

**CZARNA SERIA**  
KRYMINAŁ



**LEIF GW  
PERSSON**

---

**BOMBER I JEGO DZIEWCZYNA**

# LEIF GW PERSSON

---

**BOMBER I JEGO KOBIETA**

Przełożył Maciej Muszalski

Wydawnictwo

**CZARNA  
OWCA**

[www.czar-naowca.pl](http://www.czar-naowca.pl)

Warszawa 2017

## Spis treści

### Strona tytułowa

#### I - Angielski kolega nawiązał kontakt

[1](#) [2](#) [3](#) [4](#) [5](#) [6](#) [7](#) [8](#) [9](#) [10](#)  
[11](#) [12](#) [13](#) [14](#) [15](#) [16](#) [17](#) [18](#)

#### II - Bomber i jego kobieta (Przygotowanie do polowania)

[19](#) [20](#) [21](#) [22](#) [23](#) [24](#) [25](#) [26](#) [27](#)  
[28](#) [29](#) [30](#) [31](#) [32](#) [33](#) [34](#) [35](#) [36](#)  
[37](#) [38](#) [39](#) [40](#) [41](#) [42](#) [43](#) [44](#) [45](#) [46](#)

#### III - Polowanie na Bombera i jego kobietę (Faza wstępna)

[47](#) [48](#) [49](#) [50](#) [51](#) [52](#) [53](#) [54](#)  
[55](#) [56](#) [57](#) [58](#) [59](#) [60](#) [61](#) [62](#)  
[63](#) [64](#) [65](#) [66](#) [67](#) [68](#) [69](#)

#### IV - Polowanie na Bombera, jego kobietę i jego kamizelkę

[70](#) [71](#) [72](#) [73](#) [74](#) [75](#) [76](#) [77](#) [78](#) [79](#)

#### V - Polowanie na Bombera i jego kobietę (Przełom)

[80](#) [81](#) [82](#) [83](#) [84](#) [85](#) [86](#) [87](#) [88](#)

#### VI - Polowanie na Bombera i jego kobietę (Faza końcowa)

[89](#) [90](#) [91](#) [92](#) [93](#) [94](#) [95](#) [96](#) [97](#) [98](#) [99](#)

#### VII - Polowanie na Bombera i jego kobietę (Uderzenie)

[100](#) [101](#) [102](#) [103](#) [104](#) [105](#) [106](#)

VIII - Polowanie na Bombera, jego kreta i nowy cel

[107](#) [108](#) [109](#) [110](#) [111](#) [112](#) [113](#) [114](#)

IX - Wielkie uderzenie

[115](#) [116](#) [117](#) [118](#)

X - Lato po polowaniu na Bombera i jego kobietę

[119](#) [120](#)

I

Poniedziałek 11 maja

**Angielski kolega nawiązał kontakt**

# 1

– ANGIELSKI KOLEGA nawiązał z nami kontakt – powiedział dyrektor generalny do Lisy Mattei.

Był poniedziałek jedenastego maja. Tak to się zaczęło i był to zarazem koniec czegoś zupełnie innego.

Już tydzień wcześniej Lisa Mattei postanowiła, że poniedziałek jedenastego maja nie będzie kolejnym zmarnowanym dniem w jej wypełnionym pracą życiu. Miał to być wyjątkowy dzień matki i córki, spędzony z jedynaczką Eliną – czy też Ellą, jak ją wszyscy nazywali – która przed kilkoma miesiącami skończyła pięć lat. Ta drobna sprawa wymagała jednak zaawansowanych przygotowań – niepojęte, jeśli wziąć pod uwagę, że chodziło tylko o spędzenie czasu z własnym dzieckiem.

Najpierw rozmawiała z przedszkolem, a potem z mężem Johanem. Reakcją było zdziwienie z nutą skrywanego niepokoju.

– Chyba nic się nie stało?

– Nie, w żadnym wypadku – odpowiedziała. – Po prostu chcę spędzić czas z Ellą. Stanowczo za rzadko się widzimy.

Tylko tyle, nic więcej, pomyślała. Nie zamierzała poruszać kwestii swoich wyrzutów sumienia.

Potem poinformowała szefa – dyrektora generalnego – że w następny poniedziałek weźmie urlop, by spędzić czas z córką, i że wobec tego jej zastępca musi się zająć między innymi praktyczną stroną obowiązkowego poniedziałkowego spotkania z szefostwem policji bezpieczeństwa, Säpo.

Dyrektor generalny poparł jej decyzję „z całego serca i na podstawie własnego doświadczenia”. Powiedział, że jak najbardziej może wziąć dzień wolnego na pobycie z córką, i zapewnił, że doskonale to rozumie. Sam miał czwórkę dzieci, choć „były już duże”.

To zależy, jak na to patrzeć, pomyślała. Najmłodsze było o cztery lata starsze od Elli, a najstarsze w tym roku miało przystąpić do matury. Poza tym jego dzieci zostały podzielone pomiędzy trzy żony i jedną przygodną znajomą, która prawdopodobnie miała ułatwić przejście od trzeciej żony do czwartej i tylko „przypadkiem” zaszła w ciążę.

– Dobrze, że się zgadzamy – powiedziała Lisa Mattei, a resztę myśli, które kołatały jej się po głowie, zachowała dla siebie.

Kiedy wszystko było załatwione, porozmawiała z córką. Ella się ucieszyła, ale ona widziała w jej oczach głównie zdziwienie. Czyżby było aż tak źle? – pomyślała i natychmiast poczuła, jak dają o sobie znać wyrzuty sumienia.

W poniedziałek jedenastego maja Ella obudziła się sama. Wślizgnęła się do łóżka mamy i natychmiast zasnęła znowu.

Lisa obudziła się jak zwykle o szóstej rano. Wzięła prysznic i przy porannych gazetach wypijała pierwszą tego dnia filiżankę herbaty. Zajrzała do Elli po raz trzeci w ciągu godziny, a ponieważ córka spała mocnym snem, z braku lepszego pomysłu położyła się z powrotem. Czuła narastający niepokój i kolejny kuksaniec od sumienia, tym razem mocniejszy. Wreszcie do jej sypialni weszła Ella, przytuliła ją, umościła się obok i znów zasnęła.

Kiedy się obudziła po raz drugi, już od godziny powinna być w przedszkolu. To znaczy, gdyby to był zwykły dzień. One jednak urządziły kąpiel z pianą i na zmianę szorowały sobie plecy. Śniadanie zjadły dopiero po dziesiątej. W szlafrokach – jak przystało na szczególny dzień, w którym to Ella ustalała menu. Chciała dostać to, co zawsze jadła na śniadanie, kiedy nocowała u babci.

– Czyli co? – zapytała Lisa.

– To tajemnica – oznajmiła Ella, pokręciła głową i dla pewności przyłożyła do ust wskazujący palec prawej dłoni.

– Obiecuję, że nie wygamam – powiedziała Lisa. – Poza tym przecież muszę wiedzieć, co chcesz zjeść, jeśli mam przygotować śniadanie.

– Gofry z dżemem truskawkowym i dużą szklanekę soku. Ale nie jabłkowego. Chcę ten z mandarynką. Jest o wiele lepszy. Wiem, że jest w domu – odparła

i skinęła głową w stronę lodówki.

– Gofry z dżemem truskawkowym – powiedziała Lisa i też skinęła głową.

Ciekawe, co się stało z owsianką, którą mama wmuszała we mnie w dzieciństwie, zastanowiła się.

– Tak. A potem chcę kawę latte.

– Babcia częstuje cię kawą? – zapytała Lisa.

Muszę się z nią rozmówić, pomyślała.

– Dużo latte. Dostaję ją z bitą śmietaną i takim brązowym cukrem.

– Okej – powiedziała Lisa. – Brzmi nieźle. Przygotuję.

W końcu to szczególnie dzień, pomyślała, a jej sumienie nawet nie kiwnęło palcem.

Kiedy jadły śniadanie, rozmawiały o tym, co będą robić przez resztę dnia. Na dworze na bezchmurnym niebie świeciło słońce, nie wiał wiatr i było ciepło. Wszystko, czego człowiek może chcieć od takiego dnia.

Ella chciała iść do Skansenu – misie już się obudziły po zimowym śnie, a poza tym po drodze można się było zatrzymać przy Djurgårdsbrunnskanalen i nakarmić kaczki. Lisa pokiwała głową z aprobatą. Już najwyższy czas, żeby i ona poszła porzucać jedzenie kaczkom w kanale i obejrzała zwierzęta w Skansenie. Ostatni raz była tam co najmniej trzydzieści lat temu i na pewno towarzyszył jej ojciec, bo mama jak zwykle miała huk roboty w pracy.

– Ten program brzmi czadowo – stwierdziła Lisa.

Tak się mówi? – zastanawiała się. Czadowo? Ekstra? A może tak mówią starsi od Elli?

– *Oh my God... Yesss* – odparła Ella i oburącz przybiła z nią piątkę.

Kiedy Lisa zbierała wszystko ze stołu, wkładała naczynia do zmywarki i jak najdyskretniej pozbywała się okruszków gofrów, Ella włożyła do foliowej torby stary i świeży chleb oraz kartonowe opakowanie rodzynek, które znalazła w spiżarni.

Potem starannie dobrały ubiór z myślą o dniu wolności i zajęć na świeżym powietrzu. Już wkładały buty w przedpokoju, już miały wyjść na spotkanie z tym



wszystkim, co czekało na nie tego dnia, kiedy zadzwonił telefon Lisy. Obie w jednej chwili zrozumiały, że oto ich szczególny dzień przybrał nieplanowany obrót i nagle dobiegł końca...

Ella miała dopiero pięć lat, ale doskonale wiedziała, w czym rzecz. Lisa zobaczyła to w jej oczach.

A więc jest aż tak źle, pomyślała i odebrała.

– Rozumiem, że coś się stało – powiedziała do telefonu.

To było stwierdzenie, nie pytanie. Jedenasta osiemnaście i już cały dzień z głowy, pomyślała.

## 2

– BARDZO MI PRZYKRO, Liso, ale coś się wydarzyło i musisz tu jak najszybciej przyjechać – rzekł szef.

– No to jest nas troje niezadowolonych – stwierdziła Lisa Mattei. – Ella i ja miałyśmy właśnie iść do Skansenu.

– Nie musisz się martwić praktycznymi sprawami – odparł szef, który najwyraźniej jej nie słuchał. – Wyślę po was samochód, zawieź Ellę do przedszkola i pojedź prosto do pracy. Już poprosiłem Karin, żeby do nich zadzwoniła, i powiedziała, że Ella jest już w drodze i...

– Zrobimy inaczej – przerwała Mattei. – Zadzwoń do naszych z policji porządkowej i poproś, żeby przysłali do mnie do domu oznakowane auto.

Pięciolatka nie może być „w drodze” do przedszkola, pomyślała. Poza tym nie zamierzała tak łatwo się poddać.

– Oznakowane auto? Chodzi ci o radiowóz?

– Tak. Z dwoma wesołymi kolegami w mundurach, którzy będą mogli spędzić godzinę w przedszkolu Elli.

– Tak, tak, oczywiście. Zapytam z ciekawości: po co to?

– *Damage control* – odparła Lisa Mattei.

– *Damage control?*

– Później o tym pogadamy – rzekła. – Będę w pracy za godzinę.

Ella już zaczęła wkładać buty. Nie było protestów, płaczu, żadnych prób stawiania oporu. Uformowała tylko kółko z kciuka i palca wskazującego prawej dłoni, przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się do mamy. To był ich tajemny znak, który mówił, że nic się nie stało, że po prostu będą musiały zacząć od zera. Spróbują jeszcze raz i następnym razem wszystko się świetnie uda.

Jest zbyt miła, zbyt dojrzała jak na swój wiek, tak jak ja, kiedy miałam tyle lat co

ona, pomyślała Lisa. Czuła, że tym razem wolałaby, żeby Ella rzuciła się na podłogę, płakała, wrzeszczała i kopała, jak wiele innych dzieci w jej wieku. Ale ona tylko ścisnęła jej serce między kciukiem a palcem wskazującym swojej małej dłoni.

### 3

LISA MATTEI pojechała taksówką z przedszkola Elli przy Valhallavägen na Östermalmie do swojego biura w nowej kwaterze głównej Säpo w Solnie.

Ruch był niewielki i kierowca zawiózł ją tam w dziesięć minut – niewiele dłużej, niż zajęłoby to jej kolegom jadącym na sygnale. Ona też była, kim była, i dlatego zanim wysiadła z samochodu, spojrzała na wyświetlacz telefonu. Poniedziałek, jedenasty maja, godzina jedenasta pięćdziesiąt dziewięć, dziewiętnaście minut przed czasem zapowiedzianym szefowi, który zadzwonił do niej czterdzieści jeden minut wcześniej. W dniu, który miał być szczególny dla niej i dla jej córki.

Przez całą drogę towarzyszyły jej posępne myśli. Myślała o wszystkich swoich problemach zawodowych, które ostatnio zawsze się zaczynały od rozmowy telefonicznej. Im krótszej, tym gorzej.

Kiedy to się zaczęło? – zastanawiała się. Ponad dwadzieścia lat temu była młodą funkcjonariuszką policji porządkowej i sporadycznie wzywano ją do nagłych sytuacji, w tym do rękoczynów, których sprawcy byli tak agresywni, że należało ich obezwładnić siłą. Wtedy wszystko wyglądało inaczej – dostawali wezwanie przez radio albo po prostu byli na miejscu, a to, co się działo później, przypominało wczasy w porównaniu z tym, co ostatnio zwiastowały krótkie rozmowy telefoniczne.

Teraz wiodła inne życie. Jakkolwiek do tego doszło, dodała w myślach i weszła do biura.

Spotkanie odbyło się w gabinecie szefa. Przy zamkniętych drzwiach. Tylko on i ona. Nikogo więcej.

On także był tym, kim był, więc zaczął ich spotkanie od rozmowy na inny temat. Najpierw powtórzył wyrazy głębokiego ubolewania, które przekazał jej przez telefon niecałą godzinę wcześniej. Potem zapytał, czy się czegoś napije.

– Wody, herbaty, może kawy? – zaproponował, choć wiedział, że wyjątkowo

rzadko piła kawę.

Doszedłeś do tego po trzech miesiącach, choć przez ten czas widzieliśmy się właściwie codziennie? – pomyślała. Gratulacje, stary.

– Nie trzeba, dziękuję – odparła. – Rozumiem, że jest sprawa?

– Cierpliwości, cierpliwości – odparł dyrektor. Nachylił się do niej nad wielkim biurkiem, uśmiechnął się swoimi niebieskimi oczami i wyszczerzył białe zęby. – Najpierw to ty musisz zaspokoić moją ciekawość. Chciałaś pojechać z córką radiowozem i określiłaś to mianem *damage control*. Nie zrozumiałem, o co chodziło.

– No to wytłumaczę – odparła Mattei.

Męski język władzy, pomyślała. Najpierw zafunduje mi kilka rundek obowiązkowego tańca kogutów, a dopiero potem przejdzie do rzeczy, choć tak naprawdę pęka z zachwytu nad wszystkimi sekretami, które wkrótce mi zdradzi.

– Dostaniesz skróconą wersję – zapowiedziała. – Ella powiedziała w przedszkolu, że jej mama jest policjantką. Ostatnio niektórzy starsi chłopcy zaczęli jej dokuczać i mówili, że tylko to sobie wymyśliła, żeby się wyróżnić. Bo przecież jej mama nie wygląda na policjantkę. Wygląda jak wszystkie inne mamy. Przynajmniej gdy przychodzi do przedszkola. Dlatego pomyślałam, że może w ten sposób spróbuję jej zrekompensować wizytę w Skansenie, do której nie doszło, i wszystko inne, co zamierzałyśmy robić tego dnia. Dałam jej pojechać prawdziwym radiowozem i postarałam się, żeby dwaj panowie w mundurach weszli do przedszkola i spędzili przynajmniej godzinę z Ellą i jej kolegami. Na coś takiego mówi się chyba *damage control*. Kiedy ją zostawiałam, wszystko było świetnie. To chyba tyle.

A zasłużyłam na więcej, dodała w myślach.

Jej szef przyjął pozycję numer dwa. Odchylił się na krześle, zaczął na nim balansować tak, żeby się nie przewrócić, splótł ręce na brzuchu i pokiwał głową z radosną miną. Tym razem zamknął usta i tylko kąciki były uniesione.

– Teraz rozumiem – powiedział. – Chociaż nasi koledzy z porządkowej i tak musieli się dziwić.

– Nie – pokręciła głową. – Ani trochę. Od razu zrozumieli w czym rzecz. A właściwie zrozumiwały.

Masz cukierek i go ciumkaj, dodała w myślach, choć zwykle starała się nie myśleć o swoim legendarnym koledze z policji w Solnie, który ukuł to wyrażenie.

– Aha. No to chyba nadszedł czas, żebym cię poinformował, dlaczego musiałem cię tu wezwać.

Na wszelki wypadek odchrząknął, a potem zaczął przerzucać stosy papierów na biurku.

– No tak. Poinformujesz? – spytała Mattei z przyjaznym uśmiechem.

– Oczywiście, jasne – odparł jej szef, nachylił się nad stołem i oparł na łokciach. Spoważniał. – Nieco ponad godzinę temu wraz z kierownictwem postanowiliśmy podwyższyć stan gotowości. Decyzja była zresztą jednogłówna i zastanawiałem się, czy do ciebie nie zadzwonić jeszcze przed spotkaniem.

Mattei tylko skinęła głową. Całe szczęście, że tego nie zrobiłaś, pomyślała. Akurat jadłyśmy gofry z dżemem truskawkowym.

– To wszystko dlatego, że dziś rano odezwał się angielski kolega. Powód, niestety, nie nastraja optymistycznie.

## 4

ZANIM JEJ SZEFE przystąpił do wyjaśniania, jak brzmi złowroga wiadomość angielskiego kolegi, która sprawiła, że policja bezpieczeństwa już teraz została postawiona w stan wyższej gotowości, chciał się uporać z „kwestiami praktycznymi”.

– Załatwiłem wszystkie kwestie praktyczne – oznajmił. – Razem ze współpracownikami będziesz musiała pojechać do Wielkiej Brytanii, ale obiecuję, że jeszcze dziś wieczorem będziecie z powrotem. Dostaniecie nawet samolot, który Anglicy oddali nam do dyspozycji. Czeka na was na lotnisku Bromma, przy prywatnym terminalu. Dostarczy was prosto na miejsce spotkania, a to, zdaje się, wojskowa baza lotnicza na północ od Londynu. Przewidywany czas lotu to dwie godziny i trzydzieści minut. Tuż po spotkaniu przylecicie z powrotem.

– Brzmi bardzo praktycznie – zgodziła się Mattei z sympatycznym uśmiechem.

Wygląda na to, że Karin miała sporo roboty, pomyślała. Karin była ich wspólną sekretarką.

– Tak, angielski kolega okazał się bardzo pomocny – potwierdził szef. – Tak się szczęśliwie składa, że samolot już stoi na lotnisku Bromma. Ich ambasador w Sztokholmie poprzedniego wieczoru przyleciał z kilkoma wysoko postawionymi gośćmi, a ponieważ wracają dopiero późnym wieczorem, możemy skorzystać z ich samolotu. O ile dobrze zrozumiałem, to jeden z angielskich samolotów rządowych. Mają ich chyba z sześć.

– Fantastycznie – odparła Mattei.

Przestała wierzyć w takie zbiegi okoliczności już w pierwszym tygodniu pracy w policji.

– To prawda. To jeden z tych biznes jetów, ale może pomieścić dziesięciu pasażerów, więc proponuję, żebyś wzięła ze sobą wszystkich, którzy wejdą w skład twojej ekipy śledczej. Żeby mogli w tym uczestniczyć od początku i...

– Przepraszam, że ci przerywam, ale o co tu właściwie chodzi? Konkretnie. Jaką dokładnie informację przekazał nam Anglik? – spytała Lisa Mattei.

– Właśnie miałem do tego przejść – odparł szef. – Angielski kolega twierdzi, że według pewnego źródła grupa terrorystów z Asz-Szababu planuje zaatakować w Szwecji. Mowa o zamachowcach samobójcach. Trzon grupy stanowi kilkanaście osób, wszystkie najwyraźniej należą do jednej rodziny. Wszyscy są obywatelami Szwecji i mieszkają tu od dawna.

– Jak bardzo jest tego pewien?

– Właściwie stuprocentowo. O ile dobrze zrozumiałem, w tej sytuacji oznacza to, że zamach, o którym poinformowano, ma wkrótce zostać przeprowadzony. Przygotowania dobiegły końca i przekroczono granicę tego, co my, prawnicy, zwykliśmy nazywać zamiarem popełnienia czynu zabronionego. A w najgorszym wypadku, że... no, na pewno rozumiesz, co mam na myśli.

– Gdzie, kiedy, jak? – odparła Lisa Mattei.

Asz-Szabab to na pewno Somalijscy, pomyślała.

– Podczas Świąta Narodowego szóstego czerwca, czyli za dwadzieścia sześć dni. Konkretnie chodzi o samobójczy zamach na króla, królową i kilku członków szwedzkiego rządu. Więcej nie chciał powiedzieć przez telefon. Całą resztę dostaniemy, kiedy się z nimi spotkacie. Poza tym powiedział, że udzieli tej informacji pod pewnym warunkiem.

– Jakim?

– W tej kwestii też był lakoniczny, ale obiecał, że przedstawi swoje stanowisko bardziej szczegółowo, kiedy się spotkacie. Uważał, że nie będziemy mieli nic przeciwko temu, bo sami z pewnością postąpilibyśmy tak samo.

Lisa Mattei poprzestała na skinieniu głową. Wygląda na to, że angielski kolega zajmuje się wieloma rzeczami naraz, pomyślała. I, jak wielu ludzi jego pokroju – włącznie ze mną, dodała w myślach – chce sam ustalać kolejność.

– To wszystko – powiedział szef i na wszelki wypadek zerknął na odręczne notatki, które trzymał w ręku.

– Święto Narodowe, para królewska i rząd. Wygląda mi to na Dzień Flagi



Szwedzkiej na scenie przy restauracji Solliden w Skansenie – stwierdziła Mattei.

Była dobrze zorientowana we wszystkich już zaplanowanych i krytycznych sytuacjach. Od wizyt zagranicznych urzędników państwowych i parlamentarzystów po zwykle wydarzenia rozrywkowe i sportowe, które mogą mieć znaczenie polityczne.

– Mam takie samo zdanie – odparł szef. – Nic więcej nie wiem. Jestem jednak przekonany, że przedstawi ci całościowy obraz, jak tylko się spotkacie. Krótko mówiąc, powie wszystko, co na ten temat wiadomo.

Jeśli tak, byłby to pierwszy raz, pomyślała. I ewidentne wykroczenie. Ponieważ jednak jej szef nie był policjantem jak ona, lecz prawnikiem, który miał korzenie w polityce i doświadczenie pracy w kancelarii rządu, nie zamierzała podejmować tej dyskusji. W każdym razie nie z nim. O tym, że razem z Ellą zdążą pójść do Skansenu i zobaczyć misie, też mogła zapomnieć.

– Zastanawiam się nad dwiema kwestiami. Po pierwsze, to mi wygląda na typowe zadanie dla antyterrorystów. Dlaczego nie wyślesz ich szefa?

– To zadanie przekracza możliwości naszej sekcji antyterrorystycznej. Będzie wymagało koordynacji w zasadzie wszystkich naszych oddziałów. Musimy precyzyjnie dopasować zasoby do operacji, a jedyną osobą, która może tym pokierować, jesteś ty, Liso. Jako moja zastępczyni będziesz koordynowała działania. Po prostu. W końcu jesteś naszym szefem operacyjnym. Czy nie tak nazywało się dawniej to stanowisko?

– Okej – odparła Lisa Mattei. – Tak zrobimy.

Podoba mi się to, pomyślała. Przynajmniej na razie, dopóki wiem, że nie chodzi o coś, co ktoś inny może zrobić lepiej. Bo jeśli tak, to Ella i ja wreszcie będziemy mogły pójść do Skansenu i pooglądać niedźwiedzie.

– W takim razie mam jeszcze tylko jedno pytanie – powiedziała. – Z kim mam się spotkać?

Spodziewała się, że będzie to jeden z Anglików zatrudnionych w instytucji, której nazwę często skraca się do wielkiego M, wielkiego I i jednej cyfry.

– Z nim – odparł z uśmiechem szef i wręczył jej fotografię formatu A4. – Moim

zdaniem nie jest to zły partner, a to, że wybrano właśnie jego, pokazuje, jaką wagę Anglicy przywiązują do tej sprawy.

– Ma jakieś nazwisko? – zapytała Mattei.

Marzenie teściowej, pomyślała na widok zdjęcia.

– To Jeremy Alexander. Pracuje w MI6 i, o ile dobrze zrozumiałem, pełni tam mniej więcej tę samą funkcję co ty u nas.

Z tą zasadniczą różnicą, że ktoś taki jak on może decydować o życiu i śmierci innych, pomyślała. Od niego zależy, czy przeżyją, czy umrą, choć na pewno nigdy nawet nie spotkał żadnego z nich. Na szczęście ty nie musisz tego robić, pomyślała i dlatego zareagowała tylko skinieniem głowy.

## 5

TUŻ PRZED WYJŚCIEM z biura wysłała zwięzły mail do młodszej o dziesięć lat przyjaciółki, która wprawdzie urodziła się w Szwecji, ale odkąd była nastolatką, mieszkała, studiowała i pracowała w Wielkiej Brytanii. Obecnie jako nauczycielka i badaczka polityki międzynarodowej w Merton College w Oksfordzie. Jeżeli ktokolwiek wiedział, kim jest ich „angielski kolega”, to najprawdopodobniej ona.

Nie zapominaj, że świat, w którym żyjesz, jest znacznie mniejszy, niż wszystkim się wydaje, pomyślała.

Wzięła torebkę, wyszła z biura i zjechała windą do garażu, gdzie czekał już na nią samochód.

Dwie godziny po tym, jak zostawiła córkę w przedszkolu, przyjechała w towarzystwie trójki współpracowników na prywatny terminal lotniska Bromma. Gdyby nie jej szef, który koniecznie chciał wyczerpać temat struktury jej grupy wywiadowczej, pewnie już byłiby w powietrzu. W końcu udało jej się zakończyć dyskusję kompromisem. Najpierw wyjaśniła mu oczywiste sprawy, choć powinno się bez tego obyć. Powiedziała, że lepiej się wstrzymać z tą kwestią, dopóki nie będą wiedzieli, na czym polega ich zadanie. Potem zaproponowała, że się z nim spotka, zanim omówi wszystko ze współpracownikami, którzy mieli przeprowadzić samą operację.

– Doskonały pomysł – oznajmił. – Jutro o ósmej rano w moim gabinecie. Co ty na to?

– A może o siódmej? – zaproponowała. – Pomyślałam, że do lunchu moglibyśmy zacząć działać.

– Powtórzę: doskonale. Tak się umawiamy.

Tym razem jego słowom towarzyszyło tylko szybkie skinienie – urzędowe, dostosowane do nowej sytuacji. To była pierwsza awaryjna sytuacja, odkąd był

szefem Säpo, czyli od czterech miesięcy z kawałkiem.

To znaczy, że mam co najmniej trzy tygodnie i trzy dni na udaremnienie wielkiego ataku, który Anglicy w zasadzie nam obiecali.

## 6

KIEROWCA ZAWIÓŻŁ ICH pod sam samolot stojący na płycie lotniska. Tak jak jej obiecywano, czekał z opuszczonym trapem. Połyskujący niebieską stałą, z trzema silnikami i bez oznaczeń, które miałyby jakikolwiek związek ze zwykłymi liniami lotniczymi czy w ogóle komercją.

Wygląd załogi pasował do środka transportu. Piloci, mężczyzna i kobieta, byli szczupli, wysportowani i uprzejmi – perfekcyjni w każdym calu. Towarzyszył im o dziesięć lat starszy steward z uroczymi początkami nadwagi, który uśmiechał się więcej niż tamci dwoje razem wzięci i mówił z lekkim irlandzkim akcentem. Wszyscy mieli wypucowane czarne buty, niebieskie spodnie od garnituru z ostrymi jak brzytwa kantami, niebieskie krawaty i lśniąco białe koszule. Nie było żadnych detali, które zdradzałyby, kim są. Nawet znaczków z połączanymi skrzydłami na kieszeni na piersi, które wydawały się obowiązkowym atrybutem pracowników zajmujących się obsługą pasażerów. Ponieważ jednak Lisa Mattei była tym, kim była, postanowiła mimo wszystko ustalić ich tożsamość.

Jak tylko usiadła i zapięła pas, skinęła głową w stronę stewarda i zadała mu pytanie.

– Czy przewidywany czas lotu wciąż wynosi dwie godziny i trzydzieści minut?

Zanim odpowiedział, odruchowo się wyprężył i przyjął postawę, która, jeśli wziąć poprawkę na to, że stał w przejściu w niezbyt dużym samolocie, najbardziej ze wszystkiego przypominała wojskową postawę zasadniczą.

– *Yes, ma'am* – odparł. – *Two hours thirty minutes. We are taking off in five minutes and expect to land at base one five two zero, local time.*

Samolot służb bezpieczeństwa z załogą z Royal Air Force, pomyślała. Jeszcze lepiej. Jeśli mój angielski odpowiednik będzie bardziej podobny do mnie, a nie tak gadatliwy i komplikujący sprawy jak mój szef, być może wieczorem zdążę się zobaczyć z Ellą, zanim ta zaśnie.

Im mniej, tym lepiej, myślała Lisa Mattei, kiedy wybrała troje spośród ponad tysiąca kolegów z Säpo, którzy mieli polecieć z nią na południe Wielkiej Brytanii i spotkać się z Anglikiem.

Troje spośród ponad tysiąca, ale tylko ona miała stanowisko kierownicze. Zależało jej na ludziach, którzy zajmują się działalnością operacyjną i których nie blokuje nadmiar biurokracji, a jednocześnie są na tyle wysoko postawieni, żeby podwładni wykonywali ich polecenia bez szemrania. Trzy osoby, które znała od dawna, którym ufała bezgranicznie i co do których już teraz miała pewność, że wejdą w skład jej ekipy śledczej. Poza tym mieli jeszcze jedną umiejętność, równie ważną, jeśli wziąć pod uwagę, kim był ich współpracownik. Mówili płynnie po angielsku.

Dan Andersson, komisarz i wiceszef Zespołu ds. Ochrony Osób, popularnych „ochroniarzy”, przez wiele lat służył za granicą. Pracował w Europolu, Interpolu i przez dwa lata był oficerem łącznikowym ambasady szwedzkiej w Londynie. Linda Martinez, komisarz i wiceszef śledczych z wydziału antyterrorystycznego, znajomość angielskiego zawdzięczała pochodzeniu – jej matka była Brytyjką, a ojciec Jamajczykiem. Jan Wiklander, nadinspektor policji i wiceszef ich wywiadu, nauczył się angielskiego w zwykły, staroświecki sposób – zgłębiając język i literaturę, bo języki były jego wielką pasją.

Dobrze się pracuje z ludźmi, którzy wiedzą, jak jest po angielsku „durszlak”, pomyślała Mattei. Sama nie miała pojęcia, ale w razie potrzeby zawsze mogła to sprawdzić w smartfonie.

To dziwne, rozważała. Kiedy nieco ponad dwie godziny wcześniej zostawiała Ellę w przedszkolu, była w fatalnym nastroju. Teraz znów czuła się normalnie. To tylko pokazuje, jak ze mną źle, pomyślała.

Mattei i jej towarzysze podróży zajęli cztery szerokie i wygodne fotele ustawione parami naprzeciw siebie. Ani trochę nie przypominały zwykłych foteli lotniczych – było dużo miejsca na nogi, a pomiędzy nimi znajdował się okazały stół. Było tam miejsce na talerze, szklanki i wszelkiego rodzaju papiery, gdyby chcieli pracować przy jedzeniu.

Jak tylko samolot osiągnął wysokość przelotową, a sygnalizacja „zapiąć pasy” została wyłączona, do kabiny wszedł steward i zaproponował późny lunch. Spóźniony, nad czym szczerze ubolewał, ale ponieważ w tym fachu jest, jak jest... i z pewnością sami o tym najlepiej wiedzą... trzeba było się dostosować do sytuacji... i jakoś sobie poradzić.

Zapewnił, że zrobił, co mógł, i jako danie główne zaproponował gotowanego łososia ze szpinakiem i sosem z białego wina albo osso bucco z risotto grzybowym. W obu przypadkach pierwszą przystawką było małe ciasteczko krabowe podawane na ciepło. Potem dostali kawałek sera i kawałek czekolady do kawy. Albo do herbaty, jeśli woleli takie zakończenie posiłku. Kiedy to mówił, z jakiegoś powodu skinął uprzejmie głową Lisie Mattei.

Na szczęście w napoje był lepiej wyposażony. Na pokładzie było w zasadzie wszystko – szampan, piwo, wino, oczywiście również coś mocniejszego, jeśli ktoś miał ochotę. Woda mineralna też... ma się rozumieć... gazowana i niegazowana.

Tak więc, krótko mówiąc, robił, co mógł, choć czasem rozumiał, jak musiał się czuć kucharz Napoleona pod Marengo. Choć, jak zapewnił, oczywiście nie śmiał się porównywać ani z nim, ani z nikim innym.

Nie był to zwykły służbowy lunch. Z uwagi na okoliczności był ze wszech miar wyjątkowy, a to za sprawą Lindy Martinez.

Też zamówiła osso bucco i całą resztę, a do posiłku duże piwo. Od razu powiedziała, że jeśli któremuś z kolegów to przeszkadza, chciałaby zaznaczyć, że została wezwana w czasie urlopu. To, że tu była, wynikało wyłącznie z jej dobrej woli i obowiązkowości, a jeżeli ktoś ma problem z jej wyborem napoju, niech wezwą kogoś innego.

Martinez doczekała się silnego wsparcia z nieoczekiwanej strony. Najpierw Wiklander powołał się na swoje doświadczenia, z których wynikało, że szybkie dopasowanie się do lunchowych zwyczajów Anglików przyniesie korzyści taktyczne. O ile oczywiście nie byłoby to zbyt duże odstępstwo od typowego dla Szwedów umiarkowania. Sam miał ochotę na piwo przed jedzeniem i kieliszek czerwonego wina do cielęciny z risotto. Najlepiej włoskiego, jeśli takim

dysponowali.

– *Of course, sir. Very good choice, sir* – zgodził się steward i powiedział, że w takim razie chciałby polecić wyśmienite wino z Piemontu, które zresztą miał przyjemność zaserwować gościom, z którymi przylecieli dzień wcześniej. Może nie było tak przymilne jak wina z południowej części kraju, ale miało zupełnie inną stabilność, balans i posmak, o ile wolno mu było się podzielić swoim skromnym zdaniem.

Dan Andersson przyłączył się do Wiklandera. Po blisko sześciu latach służby za granicą dobrze wiedział, jak ważne jest to, żeby na czas dostosować się do zwyczajów panujących w miejscu docelowym. Zamówił te same potrawy i te same napoje. Kiedy już skończyli, spojrzeli wyczekująco na szefową, Lisę Mattei.

– A ty, Liso, pewnie jak zwykle masz ochotę na rybę i wodę mineralną – powiedziała Martinez z niewinną miną.

– Bynajmniej – odparła Mattei i pokręciła głową. – Poproszę kieliszek szampana przed jedzeniem – dodała i uśmiechnęła się przyjaźnie do stewarda. – Poza tym czerwone wino, które pan polecał, i te same dania, które zamówili moi koledzy. I jeszcze prosiłabym butelkę wody mineralnej, ale bez gazu.

– *Excellent choice, ma'am* – potwierdził steward. – *Excellent.*

Jasne, że to znakomity wybór, pomyślała Lisa Mattei. To w końcu ja jestem szefem.



## 7

LUNCH BYŁ pod każdym względem wyjątkowy. Dopiero kiedy nadszedł czas na kawę, przystąpili do omawiania powodu, dla którego znaleźli się w tym miejscu. Wcześniej rozmawiali o innych sprawach. Inicjatywę również przejęła Linda Martinez.

– Jest jedna rzecz, którą nie do końca zrozumiałam – powiedziała i skinęła głową w stronę drzwi, za które wycofał się steward. Prowadziły do przestrzeni pomiędzy kokpitem aabiną. – To całe Marengo. To jakiś deser? Z bezami?

– Bitwa pod Marengo – odpowiedział Wiklander z delikatnym uśmiechem.

Skinął pytająco w stronę Lisy Mattei, która pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia – odparła. – Ty mów, Janie.

Wciąż tak samo miły jak wtedy, kiedy zaczęłam pracę w Säpo, pomyślała. Był jej bezpośrednim zwierzchnikiem. Teraz role się odwróciły, ale Wiklander pozostał taki jak zwykle. Przyjazny, taktowny i obdarzony czujnym spojrzeniem.

– Marengo było małą wioską w północnych Włoszech. Teraz to znacznie większe miasto. W roku tysiąc osiemsetnym wojska Napoleona stoczyły tam znaną bitwę z armią austriacką. Francuzi wyszli z niej zwycięsko. Jak niemal zawsze na początku ówczesnych wojen. Ale jesteś na dobrym tropie, Lindo – dodał i skinął głową. – Tej wiosce swoją nazwę zawdzięcza słynne danie: kurczak Marengo, którego Napoleon spożył ponoć po bitwie. Ponieważ zostawili za sobą cały tabor, kucharz nie miał nic, co mógłby zaserwować swojemu panu. Dał radę zdobyć tylko kurę i kilka jajek, w które zaopatrzył się u rolnika mieszkającego w okolicy wsi, gdzie rozegrała się bitwa. Nie jest to wesoła historia dla rolnika i jego kury, ale Napoleon ponoć był bardzo usatysfakcjonowany. Przepis znajdziecie w większości starszych książek kucharskich. O ile dobrze pamiętam, danie najbardziej przypomina potrawkę z kurczaka. Kurczak, wędzony boczek, białe wino, oliwa z oliwek, grzyby, cebula, pomidory, papryka, wszystkie zwykłe warzywa i przyprawy, które mieli tam pod

ręką, jak rozmaryn, tymianek, pietruszka, liść laurowy. To się bierze, co się ma, jak z pewnością powiedziała by nasza rodaczka, Cajsa Warg. Chodzi o to, żeby się dostosować do sytuacji, jak to podsumował nasz steward.

– Brzmi smacznie – przyznała Lisa Martinez. – Choć ta cielęcina, którą dostaliśmy, też była niczego sobie.

– Napoleonowi z pewnością źle się nie powodziło – przytaknął Wiklander. – Przynajmniej pod tym względem i w tamtym okresie. A właśnie. Wiecie, że Marengo leży w Piemencie? W tym samym regionie Włoch, z którego pochodzi nasze wyśmienite czerwone wino. Wcale nie jest złe i aż się boję myśleć, ile kosztuje. Jeśli wziąć pod uwagę, że najprawdopodobniej było przewidziane dla gości angielskiego ambasadora, trudno nie być odrobinę ciekawym, co to za jedni – powiedział, kręcąc kieliszkiem.

– Ja znam odpowiedź – odparł Dan Andersson. – Pomagamy im z ochroną.

– No więc co to za jedni? – powtórzyła Linda Martinez. – Napiszę do nich maila z podziękowaniem, że zostawili przynajmniej butelkę prostszemu człowiekowi takiemu jak ja.

– Niestety, nie wolno mi tego zdradzić – odpowiedział Andersson ze słabym uśmiechem. – Oczywiście dopóki szefowa nie udzieli mi pozwolenia – dodał i uprzejmie skinął głową w stronę Lisy Mattei.

– Masz pozwolenie – oznajmiła Lisa Mattei. – Opowiadaj, zanim umrę z ciekawości.

To musi być szampan, pomyślała. Mimo że wypłam tylko pół kieliszka.

– Oczywiście, szefowo – odparł Dan Andersson. – Trzech gości. Wiceminister spraw zagranicznych i jego dwóch współpracowników z ministerstwa. Obowiązki służbowe współpracowników są bliżej nieznanne. Wszyscy przebywają tu incognito, mieszkają w ambasadzie i spędzili dzień na wewnętrznych obradach. Nie poinformowali nas, czego dokładnie dotyczyły. Wylot jest zaplanowany na późny wieczór, ale przedtem wiceminister spraw zagranicznych, ambasador z małżonką i czworo szwedzkich gości mają zjeść kolację z parą królewską w Drottningholm. Taka nieoficjalna kolacja. Inicjatywa wyszła zresztą od Jego Wysokości. Wygląda

na to, że Jego Wysokość i angielski ambasador są dobrymi przyjaciółmi. Kilkakrotnie mieli okazję wspólnie polować, zarówno w Wielkiej Brytanii, jak i w Szwecji. Ci szwedzcy goście też zwykle pojawiają się w związku z polowaniami. To dwaj nasi najbardziej znani magnaci finansowi w towarzystwie swoich drugich połówek.

Król i jego koledzy od polowań, pomyślała Mattei. Świat, w którym żyjemy, jest stanowczo zbyt mały. Uznała, że już najwyższy czas przejść do rzeczy.

– Na pewno się zastanawiacie, dlaczego tu jesteśmy – zaczęła, a zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie.

Potem powtórzyła kolegom to, co kilka godzin wcześniej usłyszała od szefa. Szybko przedstawiła zasadniczy sens: Asz-Szabab, sprawcy, którzy prawdopodobnie należeli do jednej rodziny, liczącej więcej niż dziesięć osób, atak zamachowca samobójcy, zaplanowany na dzień Święta Narodowego szóstego czerwca i wymierzony między innymi w członków rodziny królewskiej i rządu. I we wszystkich, którzy się znajdują w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie.

– To wszystko, co wiem – podsumowała Mattei. – Resztę obiecali opowiedzieć, kiedy się spotkamy.

Wiklander pokiwał głową z namysłem.

– Aha, no tak. W dzisiejszych czasach wszystko ma być tajne, nic tylko tajemnice, od rana do wieczora. Proste pytanie: jak bardzo Anglicy są pewni, że to prawda?

– Według ich wysoko postawionego informatora tak pewni, jak tylko może być człowiek, który jeszcze nie stanął twarzą w twarz z tragicznym faktem dokonany – podsumowała Mattei.

– Poczekaj chwilę – zaprotestowała Martinez. – Z całym szacunkiem i tak dalej, bo w końcu mówię o naszym szefie, to przecież on jest świeżakiem w tym fachu. Choć nie jakimś pierwszym lepszym żółtodziobem, którego właśnie wypuściliśmy ze szkoły policyjnej. To polityk, który pracował w kancelarii rządu jako wysoko postawiony prawnik. Wszyscy wiemy, że tacy jak on mogą zacząć chodzić po ścianach, bo nie zrozumieli nic z tego, co się do nich mówiło.

– Tak – zgodziła się Mattei. – Zdaję sobie z tego sprawę, ale uważam, że ten element jest mniej interesujący. W końcu jesteśmy tu dlatego, że Anglicy najwyraźniej to rozumieją. Ci ludzie mają takie same doświadczenia jak my, a teraz chcą się z nami spotkać. Przecież nie jest tak, że nasz dyrektor generalny sam to wymyślił i za wszelką cenę chce, żebyśmy pojechali do Wielkiej Brytanii. Gdyby tak było, najpierw zadzwoniłabym do nich i spróbowała wyrobić sobie własny pogląd.

– A ja nadal miałabym urlop – dodała Martinez. – Chociaż z drugiej strony nie jadłabym wtedy takiego lunchu, a więc ci wybaczam, Liso. O ile to ty nie zrozumiałaś intencji.

– Chyba jestem tego samego zdania co Lisa – odezwał się Wiklander. – Co wy na to, żebyśmy zrobili burzę mózgów? Mamy przed sobą jeszcze godzinę lotu. Jeśli się okaże, że źle zrozumieliśmy, nie zdradzimy się z tym przed gospodarzami i przemyślimy wszystko jeszcze raz po powrocie.

– W takim razie ja mogę zacząć – oznajmiła Lisa. – Ludzie, którzy mieszkają w Szwecji i należą do Asz-Szababu, to prawie zawsze Somalijczycy. Wyjątek stanowią głównie Szwedki, z którymi zadają się ci mężczyźni. Niektóre przyswajają ich ideologię. Ile ich jest? Obecnie znacznie mniej niż pięćdziesiąt. Janie, popraw mnie, jeśli się mylę.

– Nie mylisz się – odparł Wiklander. – Jeśli chcesz dostać liczby, mogę ci dać całą masę, kiedy wrócimy. Wygląda na to, że liczba mężczyzn zamieszkałych w Szwecji, którzy według nas mają poważniejsze związki z Asz-Szababem, sięga kilkuset. Praktycznie wszyscy mają afrykańskie pochodzenie i przynajmniej dziewięciu na dziesięciu pochodzi z Somalii albo sąsiednich krajów. Zdecydowanie jestem tego samego zdania.

– Anglik twierdzi ponadto, że ci najbardziej zaangażowani należą do jednej rodziny, która liczy więcej niż dziesięć osób. Wprawdzie jest wiele równie dużych rodzin muzułmańskich odmiennego pochodzenia, ale wtedy w grę wchodzi inne organizacje niż Asz-Szabab – dodała Mattei.

Tym razem Wiklander poprzestał na skinieniu głową.

– Jeśli wziąć pod uwagę sam czas i przyszłe ofiary – kontynuowała Mattei –

może chodzić tylko o uroczystości na scenie przy restauracji Solliden w Skansenie. Obecni będą między innymi król i królowa, wicepremier i kilku innych ministrów, których nazwisk nawet nie zdążyłam się nauczyć. No i oczywiście wszyscy inni wspaniali ludzie z otoczenia wymienionych, którzy tam się znajdują siłą rozpędu.

– Jestem tego samego zdania – powiedział Dan Andersson.

– Proste pytanie prostej śledczej – odezwała się Martinez. – Gdzie znajdę tych Somalijszczyków, o których mowa? A jeśli się okaże, że mieszkają daleko na północy, w Lapplandii albo jakiejś podobnej dziurze, zamieszkiwanej przez kilkuset nieszczęśników, spośród których dziesięciu jest czarnych jak węgiel? Wtedy ktoś taki jak ja będzie miał pewne praktyczne problemy. Mówiąc wprost, to będzie *deep, deep shit*.

– Pewnie chodzi o przedmieścia Sztokholmu, na północ i na południe od miasta – stwierdził Wiklander. – Tam mieszka wielu Somalijszczyków, w tym tacy, o których wiadomo, że mają powiązania z Asz-Szababem. Inne, najbardziej prawdopodobne możliwości w promieniu stu kilometrów od Sztokholmu to takie miasta jak Uppsala albo Eskilstuna w Sörmlandii.

– Rinkeby, Akalla, Flemingsberg, Haninge, Botkyrka, te wszystkie nazwy dzielnic są jak cudowna muzyka dla moich uszu – powiedziała Martinez. – Tyle tam pustych mieszkań, w których możemy sobie uwić małe gniazdko. Potem wystarczy tylko wywiercić dziurę w ścianie, za którą mieszkają; będziesz miała i obraz, i dźwięk. I to bez wychodzenia z domu. Wystarczy, że podniesiesz słuchawkę i zamówisz pizzę, a dostarczą ci ją do domowego gniazdko.

– Mam pytanie – odezwała się Lisa Mattei. – Ilu pracujących dla nas śledczych jest z pochodzenia Somalijszczykami?

– Zero – odparła dobitnie Martinez. – A jeśli się zastanawiasz, ilu Somalijszczyków pracuje w szwedzkiej policji w ogóle, to mogę się założyć o kasę, że też zero. Kolegów o ciemnej i czarnej karnacji, i chodzi mi o odcienie od kawy z mlekiem po czarne lakierki, pracuje u nas dwudziestu kilku. W regionie sztokholmskim ponad stu. Ale żaden z nich nie jest Somalijszczykiem. Somalijszczycy chyba nie chcą być policjantami.

– Jak sobie z tym poradzimy?

– Według mnie to klasyczny problem. Jak wybrać pewną liczbę tak zwanych kolorowych kolegów, którzy wtopią się w tłum, a jednocześnie znaleźć ich wystarczająco wielu, żeby poradzili sobie z zadaniem. Skoro w sprawę zamieszanych jest kilkanaście osób, na pewno będziemy musieli pożyczyć całą masę ludzi. Ze Skanii, z Göteborga, z Krajowej Policji Kryminalnej. W zasadzie ze wszystkich zakątków kraju, w których pracują ciemnoskórzy koledzy po fachu. Powinnaś się z tym liczyć, Liso. Będziemy musieli wypożyczyć ludzi, a w tej branży niestety trudno o ciemnoskórych mężczyzn i kobiety.

– Jakoś to rozwiążemy – odparła Lisa.

Nie ma sensu się martwić na zapas, pomyślała. Jaki właściwie mam wybór?

– Zupełnie inne pytanie – odezwał się Wiklander. – Wiesz, który z naszych angielskich kolegów będzie odpowiadał za kontakt z nami?

– O tak, wiem – powiedziała z uśmiechem. – O nim wiem prawie wszystko, co warto wiedzieć. A przynajmniej znacznie więcej niż o naszej sprawie.

Wyjęła duże kolorowe zdjęcie angielskiego kolegi i pokazała towarzyszom.

– *Oh my God* – powiedziała Linda Martinez. – Marzenie teściowej jak nic! Zdecydowanie nie w moim typie.

## 8

LISA MATTEI opowiedziała wszystko, co wiedziała o człowieku, z którym mieli się spotkać – angielskim koledze, Jeremym Alexandrze.

Alexander miał czterdzieści pięć lat, od piętnastu był mężem kobiety młodszej od niego o dwa lata. Mieli trójkę dzieci: czternastoletniego syna i dwie córki – jedenasto- i dziesięcioletnią. Mieszkali w Londynie. Brakowało dokładnego adresu, ale spokojnie można było wykluczyć wszystkie dzielnice poza centrum Londynu i bardziej eleganckimi częściami West Endu.

– To zamożny człowiek, najprawdopodobniej mieszka w miejscu, z którego można dojść na piechotę do parlamentu, Ministerstwa Spraw Zagranicznych i kwatery głównej MI6 – podsumowała Mattei. – Kto wie, może będziemy mieli szczęście i zaprosi nas do domu na filiżankę kawy i takie małe kanapeczki z łososiem i ogórkiem – dodała z lekkim uśmiechem.

Nie dysponowali dokładnym adresem ani informacjami o aktualnym pracodawcy Alexandra. Wszystko wskazywało na to, że był kimś w rodzaju konsultanta albo freelancera, skoro określano go jako „wykładowcę, pisarza i doradcę politycznego w kwestiach Bliskiego Wschodu”. Jego żona – lekarka – pracowała jako konsultant psychiatryczny w prywatnych przedsiębiorstwach i państwowych instytucjach brytyjskiej służby zdrowia. Nie pełnili funkcji politycznych i nie było wiadomo o ich powiązaniach z jakąkolwiek partią.

Oficjalny biogram Jeremy’ego Alexandra dotyczył przede wszystkim dwóch rzeczy. Po pierwsze, jego udanej kariery akademickiej, a po drugie, imponującej historii. Nie było ani słowa o pracy dla brytyjskiego wywiadu i MI6.

Studiował w Eton i Oksfordzie, gdzie w wieku dwudziestu dziewięciu lat obronił doktorat z politologii – pisał o sytuacji politycznej na Bliskim Wschodzie. Mówił płynnie między innymi po arabsku i jeszcze przed złożeniem pracy prowadził zajęcia w Merton College w Oksfordzie.

Kiedy obronił pracę i został doktorem, otrzymał posadę wykładowcy uniwersyteckiego, a dwa lata później uzyskał tytuły *fellow* i *full time professor* w dziedzinie nauk politycznych w Merton College i wspólnym instytucie badawczym zajmującym się kwestiami Bliskiego Wschodu, prowadzonym we współpracy z uniwersytetem w Oksfordzie.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat był mniej aktywny w świecie akademickim. Przez kilka lat pracował na część etatu, a potem przebywał w zasadzie na ciągłym urlopie i nie pełnił obowiązków wykładowcy. Pracował za to jako ekspert w brytyjskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych, ale nie było jasne, na czym dokładnie polegały jego obowiązki.

Jednak większość dostępnych informacji na jego temat dotyczyła pochodzenia. Rodzina Alexandrów od ponad pięciuset lat tworzyła historię Wielkiej Brytanii, a ich szlachectwo miało jeszcze więcej lat. Jeremy Alexander był najmłodszym synem obecnej głowy rodu, lorda George'a Jeffreya Alexandra. Ślady, odcisnięte w brytyjskiej historii przez jego przodków, były głębokie i imponująco liczne. Ród składał się z wielkich posiadaczy ziemskich, wysokich rangą urzędników, oficerów i dyplomatów. Bez względu na to, jaką ścieżkę obrali, przeważnie osiągnęli większe sukcesy niż inni ludzie z podobnych środowisk.

– Nasz angielski kolega jest jeszcze bardziej wysublimowany niż większość Anglików, a jego posada to prosta i logiczna konsekwencja tego, kim się urodził. To spośród takich ludzi jak on MI6 zawsze rekrutuje swoich współpracowników – zakończyła Mattei.

– Jeżeli jeszcze coś chcecie wiedzieć, z pewnością przeczytacie o tym w notatce, którą znajdziecie w swoich plikach, kiedy wrócimy do siebie. Dla uproszczenia nazwałam ją NAK, wielkimi literami, od „nasz angielski kolega”.

– Wow! – zawołała Martinez, nie potrafiąc ukryć zachwyty. – Nasza stara, dobra, zaściankowa Säpo ma teczkę tego faceta. Kto by pomyślał, że się odważymy.

– Nie – odparła Mattei. – Nie mamy na niego papierów. Ale system przepuścił go bez problemu, więc nie ulega najmniejszej wątpliwości, że jest tym, za kogo się podaje.



– To prawda, a w tym kontekście Oksford na pewno brzmi bardziej uspokajająco niż Cambridge – zgodził się Wiklander. – Na pewno znacie tę starą historię czwórki z Cambridge: Macleana, Blunta, Philby’ego i Burgessa. A może było ich pięciu. Albo, jak twierdzą niektórzy, nawet sześciu. Dobrzy chłopcy z dobrego uniwersytetu, dzieci swoich czasów i swojego środowiska... wszyscy okazali się szpiegami Rosjan. Miejmy nadzieję, że to nie dotyczy naszego angielskiego kolegi, który miał przywilej studiowania na Oksfordzie.

– Skąd to wszystko wiesz, skoro nie mamy jego teczek? – zapytała Martinez. Najwyraźniej nie słuchała wywodów Wiklandera.

– Na trop naprowadził mnie jego krawat. A poza tym jestem przecież policjantką – odparła Mattei i wzruszyła ramionami z udawaną skromnością.

*With a little help of my friend*, dodała w myślach.

– Muszę zerknąć na ten krawat – powiedział Dan Andersson i sięgnął po zdjęcie, które leżało pomiędzy nimi na stole.

– No tak, w końcu przez kilka lat obracałeś się w towarzystwie ludzi ze szwedzkiej ambasady w Londynie, a my tylko uganiał się za szumowinami i próbowaliśmy zaprowadzić tu u nas trochę prawa i porządku – odezwała się Martinez. – Mów, Danne. Ja słucham. W napięciu. Jakie wibracje przesyła ci jego krawat?

– Wygląda na typowy – odparł Andersson. – Tacy jak on zwykle takie noszą. Najczęściej są pasiaste, trochę przekrzywione, o, w ten sposób, a paski mają różne kolory. Wszystkie pokazują szczególną przynależność tego, kto je nosi.

– Co to za bzdury? Daruj sobie. A o pracy u mnie możesz zapomnieć – odparła Martinez, wzięła do ręki zdjęcie i trzymała je tak, żeby każdy mógł zobaczyć.

– Co my tu mamy? Elegancki krawat. Na moje oko jedwabny, z pewnością drogi. Ma niebieski kolor, ten odcień nazywa się chyba royal blue. Poza tym ozdabiają go małe tarcze: złote, czerwone i niebieskie. Jeżeli dobrze liczę, jest ich około dwudziestu. I kolejne dwadzieścia po drugiej stronie i pod kołnierzykiem. Co takiego ten krawat mówi o przynależności jego właściciela do czegokolwiek? Raczej nie jest to atrybut członka Bandidos. Mam rację, Danne? W tym jesteśmy zgodni.

– Z drugiej strony widać, że właściciel krawata studiował w oksfordzkim Merton College – stwierdził Jan Wiklander i skinął z namysłem.

– Brawo – powiedziała Mattei. – Nie miałam pojęcia, że jesteś znawcą krawatów z brytyjskich kręgów akademickich.

– Ja też nie – odparł Wiklander i pokręcił głową. – Ale jeśli wziąć pod uwagę twoje słowa i to, że ja też jestem policjantem, można stwierdzić, że nie był to zbyt śmiały strzał.

## 9

WIĘCEJ NIE ZDAŻYLI ustalić, bo znów włączono sygnalizację „zapiąć pasy”, a do kabiny wszedł ich steward. Posprzątał i oznajmił, że za dziesięć minut będą lądować. Kazał im pozostać na miejscach, dopóki nie wjadą do hangaru. Oczywiście dodał, że goszczenie ich na pokładzie było dla niego prawdziwą przyjemnością.

– *Right on schedule, ma'am, but today we have blue skies over Britannia and before we can disembark we have to have a solid roof over our heads to protect us from evil eyes* – uściślił, uprzejmie skinął głową Mattei i znacząco spojrzął na dach kabiny i niebieskie niebo nad ich głowami.

– Tak, nie ma powodu narzekać na pogodę – zgodził się Dan Andersson, patrząc przez okno po swojej stronie. – Wydaje się nawet lepsza niż u nas, w starej dobrej Svedali. Poza tym chyba wiem, gdzie wylądujemy. O ile kogoś to interesuje – dodał i posłał uśmiech Lindzie Martinez.

– Mnie nie. Nie po tym, co powiedziałaś o krawacie. Zapomnij, Danne – odparła Martinez i pokręciła głową. – Poza tym denerwują mnie ludzie, którzy dużo gadają tuż przed lądowaniem. I w windzie, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Może ktoś inny będzie zainteresowany – powiedział Dan Andersson, niezrażony jej obiekcjami. – Wylądujemy w jednej z baz brytyjskich sił powietrznych. Nazywa się Royal Air Force Brize Norton i, o ile wiem, leży kilkadziesiąt kilometrów na południowy zachód od Oksfordu. Niecałe pół godziny lotu helikopterem z Londynu. Z tej bazy korzysta się zresztą przy niemal wszystkich zagranicznych transportach osób i towarów.

– Sam to wymyśliłeś? – spytała Martinez wyraźnie sceptycznym tonem. – Czy może powiedział ci to w zaufaniu attaché wojskowy na ostatnim przyjęciu bożonarodzeniowym w ambasadzie?

– Już tu lądowałem – odparł Dan Andersson i wydawał się zadowolony, że może to powiedzieć.

– Dlaczego, jeśli wolno mi spytać?

– A to już jest tajemnica – oznajmił Dan Andersson i z wyraźnym zadowoleniem pokręcił głową.

– No dobrze, dzieciaki – uciął Wiklander. – Nie ma czasu na sprzeczki. Brize Norton – powiedział, jakby smakował tę nazwę. – Możemy się zgodzić, że to ładna nazwa dla takiego obiektu. Oczywiście jeśli wziąć pod uwagę, czym się zajmują.

## 10

KIEDY WYSIEDLI z samolotu, angielski kolega już na nich czekał. Dopasował się do letniej pogody. Elegancki granatowy blezer, który miał na zdjęciu, zamienił na cieńszy, bardziej swobodny garnitur w jaśniejszym odcieniu niebieskiego i białą płócienną koszulę. Oprócz tego miał nowy krawat. Niebieski i jedwabny, ozdobiony różowymi słoniami i łacińską sentencją, która wskazywała na powiązania nie tylko z oksfordzkim Merton College.

Witając się z Lisą Mattei, uprzejmie skinął głową i posłał jej uśmiech, w którym dało się zauważyć zarówno rozbawienie, jak i zainteresowanie.

– *My name is not Bond* – oznajmił. – Nazywam się Alexander. Jeremy Alexander.

## 11

KIEDY LISA MATTEI wspominała swoje pierwsze spotkanie z Jeremym Alexandrem, częściej myślała o nim samym i o sposobie, w jaki przekazał informacje, niż o tym, co rzeczywiście powiedział. Fascynowała ją forma, a nie treść, i to właśnie ona z perspektywy czasu ją niepokoiła. Raczej nie wynikało to z faktu, że była kobietą, a on bardzo wyjątkowym mężczyzną. Najbardziej działało jej na nerwy, że w ogóle się nad tym zastanawia. Dan Andersson i Jan Wiklander nie poświęcili tej kwestii ani jednej myśli, choć też tam byli.

To dlatego, że mężczyźni inaczej traktują innych mężczyzn, uznała. Albo że jako kobieta była bardziej nawykła do słuchania, co mężczyźni tak naprawdę mówią. A może po prostu tak miała? W końcu przez całe świadome życie myślała o sprawach, które, delikatnie rzecz ujmując, nie zawsze miały związek z tym, o czym powinna myśleć. Bez względu na przyczynę działało jej to na nerwy, a jeszcze bardziej denerwowały ją własne reakcje.

Już sam sposób, w jaki Alexander rozpoczął spotkanie, utwierdził ją w przekonaniu, że zdąży przyjechać do domu przed zaśnięciem Elli – choć nie miało to związku z jej śledztwem. Zaczął od przeprosin, z którymi się uporał w nieco ponad minutę. Potem nadszedł czas na obowiązkowe przedstawienie wszystkich po kolei – potrwało to niewiele dłużej.

Najpierw podziękował, że przybyli na spotkanie z nim i jego kolegami, zapowiedziane z tak krótkim wyprzedzeniem. Wyraził ubolewanie z tego powodu i przeprasząco wyjaśnił, że ta sprawa wylądowała na jego biurku nieco ponad tydzień wcześniej. Przedtem zajmowali się nią koledzy z brytyjskiej policji bezpieczeństwa. Instytucji, która w „starych dobrych czasach” była znana pod obiegową nazwą Special Branch Scotland Yard, ale po dwóch reorganizacjach spowodowanych rozwojem polityki bezpieczeństwa po jedenastym września 2001

roku otrzymała nazwę Counter Terrorism Command i stała się głównym organem odpowiedzialnym za walkę z terroryzmem w Wielkiej Brytanii.

– Z różnych względów postanowiliśmy wówczas przejąć tę część ich śledztwa, która dotyczyła naszych rodaków. Dlatego z takim opóźnieniem się z wami skontaktowaliśmy, za co szczerze przepraszam. Tak czy inaczej, *mea culpa* – powiedział Alexander z tym samym delikatnym uśmiechem i skinieniem głowy co przy powitaniu.

Potem przystąpił do przedstawiania kolegów. Z jakichś powodów on także miał troje współpracowników – dwie kobiety i mężczyznę. Tak się praktycznie złożyło, że ich obowiązki w angielskiej służbie bezpieczeństwa pokrywały się z tymi, które pełnili współpracownicy Mattei.

Pierwsza z kobiet była młodsza, miała około trzydziestki i zajmowała się głównie intelektualnymi aspektami walki z muzułmańskim terroryzmem. Jej wygląd i nazwisko wskazywały na to, że miała korzenie na Bliskim Wschodzie. Iran, Syria, Liban, może nawet Palestyna, pomyślała Mattei.

Druga kobieta była w jej wieku. Czarnoskóra i, jeśli sądzić po dialekcie, urodzona i wychowana w Londynie. Miała takie samo spojrzenie, język ciała i podejście do świata jak Linda Martinez. Poza tym, co nie było dla niej zaskoczeniem, też zajmowała się obserwacją w terenie.

Alexandrowy odpowiednik Dana Anderssona również nie sprawił jej niespodzianki. Był w tym samym wieku co Dan, również miał charyzmę i doświadczenie wojskowe zdobyte w SAS – lotniczych siłach zbrojnych Wielkiej Brytanii. Specjalizował się w ochronie wysoko postawionych osób i w działaniu w sytuacjach kryzysowych.

Być może dobór współpracowników był zakamuflowaną informacją, że Alexander wie więcej o niej i jej współpracownikach, niż ona sama wiedziała o nim i jego ekipie. Jak tylko prezentacja dobiegła końca, przedstawił proponowany porządek spotkania.

Najpierw zamierzał krótko streścić wnioski dotyczące aktualnej sprawy, które nasunęły się jemu i jego współpracownikom, a także dać im okazję do zadawania

pytań. Ogólnych, bez żadnych szczegółów – te mieli omówić z szefową. Przed końcem spotkania Mattei miała poznać „kompletne podstawy”, dowiedzieć się wszystkiego, co wiedzieli Anglicy, żeby potem jak zwykle zdecydować, w które elementy wtajemniczyć pozostałych.

– Stary dogmat, obowiązujący we wszystkich służbach bezpieczeństwa, brzmi: *further information will be given on a need-to-know basis*. To zawsze jest wyzwanie i trudność dla tak otwartego człowieka jak ja – oznajmił Alexander z przyjaznym uśmiechem.

Potem miały się odbyć rozmowy w cztery oczy. Stwierdził, że nie może się doczekać spotkania z „Deputy Director, Chief of Operations, Mattei”, bo słyszał o niej dużo dobrego. Na koniec mieli się ponownie spotkać na podsumowanie, ewentualne pytania, filiżankę herbaty i wszystkie inne brytyjskie powinności towarzyskie między lunchem a kolacją.

– Przewiduję, że na pokład samolotu wsiądziecie najpóźniej o piątej, a w Sztokholmie wylądujecie około wpół do dziewiątej wieczorem lokalnego czasu – zakończył Alexander.

Mniej więcej wtedy Ella skończy słuchać bajki na dobranoc i zacznie się tulić do wszystkich swoich pluszaków i szykować na spotkanie z Piaskowym Dziadkiem, pomyślała Lisa Mattei. Może zadzwonię do niej z samolotu. Albo poproszę Johana, żeby przeczytał wyjątkowo długą bajkę.

Nikt nie miał zastrzeżeń do porządku zaproponowanego przez gospodarza. Jak mogliby je mieć, pomyślała Mattei, skoro od początku bez trudu przejął dowodzenie, jakby to było coś oczywistego. Był urodzonym przywódcą, który nawet nie zadaje sobie pytania, dlaczego robi to lepiej od innych.

Sam Alexander to forma. Czas zająć się treścią, pomyślała Mattei. O ile to było takie proste. Doświadczenie uczyło, że w ich świecie te sfery potrafiły się pokrywać.



## 12

– NO DOBRZE, chyba już najwyższy czas, żebym przedstawił młodzieńca, za sprawą którego wszyscy się tu zebraliśmy. To Abdullah Mohammed Khalid, znany pod zdrobniałym imieniem Abbdo, od dziesięciu lat obywatel Szwecji – oznajmił Jeremy Alexander i prawym palcem wskazującym wcisnął klawisz komputera stojącego na stole.

Odchylił się na krześle i splótł ręce na brzuchu. Na ścianie wyświetliło się nazwisko i kilka zdjęć człowieka, o którym mówił.

– Moi współpracownicy z dawnego Special Branch, Wydziału Specjalnego Scotland Yardu, twierdzą, że mimo stosunkowo młodego wieku, dwudziestu ośmiu lat, Abbdo to ktoś, kogo zazwyczaj określa się mianem „bombera”. Po prostu dlatego, że jest zupełnie inaczej wykształcony niż jego starsi poprzednicy, którzy bardziej nietypowego wykorzystania materiałów wybuchowych musieli się uczyć w praktyce. Dla mnie to dowód, że wykształcenie akademickie jednak ma wartość.

Dobrze wygląda ten chłopak, pomyślał Jan Wiklander. Był szczupłej budowy i miał piękne rysy, prezentował się jak męska postać z malowidła na starej egipskiej wazie.

Abdullah Mohammed Khalid, zdrobniale zwany Abbdem, urodził się jedenastego sierpnia osiemdziesiątego siódmego roku. Mieli jego dwa zdjęcia portretowe – ze szwedzkiego dowodu i z prawa jazdy. Trzecie pochodziło z identyfikatora. Z widniejącego na nim napisu Linda Martinez wywnioskowała, że został wydany przez uniwersytet w Manchesterze. Do tego dochodziło około dwudziestu zdjęć operacyjnych, w większości ukazujących całą sylwetkę – Khalid był uchwycony w ruchu, poza domem, w różnych miejscach i o różnych porach. Uświadomiła sobie, że musieli przeznaczyć na niego znaczne środki.

Typowy Somalijczyk, pomyślał Dan Andersson. Mogło być gorzej, mogliśmy trafić na któregoś z tych świrów z Państwa Islamskiego albo Al-Kaidy. To

prawdziwe maszyny do zabijania.

Dziwny ten krawat z różowymi słoniami. Ale facet ma ładne dłonie, pomyślała Lisa Mattei. I płaski brzuch. Ciekawe, czy gra na pianinie.

Ponad rok wcześniej Khalid został przyjęty na uniwersytet w Manchesterze. Mieszanka faktów z jego biografii sprawiała, że od samego początku wzbudzał zainteresowanie brytyjskich służb bezpieczeństwa.

Był obcokrajowcem, Somalijczykiem, muzułmaninem, zapisał się na kursy fizyki i chemii, a ze złożonych przez niego dokumentów wynikało, że śpiewająco zdał szwedzką maturę w klasie przyrodniczej, a potem zaczął się kształcić na zwykłego elektryka. Zresztą zanim zdał na uniwersytet w Manchesterze, przez kilka lat wykonywał ten zawód i miał dobre referencje od pracodawców.

To, że dorastał, mieszkał i uczył się w Szwecji przez ponad dwadzieścia lat, odkąd rodzice uciekli z ogarniętej wojną Somalii, wcale nie zmniejszało zainteresowania śledczych. To samo tyczyło się jego dobrych ocen, niekaralności i faktu, że odkąd zaczął studiować w Wielkiej Brytanii, nie miał jakichkolwiek znanych powiązań ze środowiskiem bardziej radykalnych muzułmanów.

Podjezwali go przez cały czas. Już w październiku ubiegłego roku wydarzyło się coś, co sprawiło, że objęto go obserwacją. Kupił trzy telefony komórkowe za jednym razem i zapłacił za nie gotówką.

– Wiecie, te anonimowe: nie widać, kto jest właścicielem numeru – sprecyzował Alexander i znacząco wzruszył ramionami. – Kiedy potem ustalono, z jakich numerów korzystał, okazało się, niestety, że kontaktował się z niewłaściwymi osobami i prowadził działalność doradczą, za którą, według prawników służb bezpieczeństwa, może mu grozić dożywotnie więzienie. Konkretnie chodzi o tę tragiczną historię sprzed dwóch miesięcy. W sobotę czternastego marca nieopodal Old Trafford w Manchesterze młoda muzułmanka przeprowadziła zamach, który kosztował życie nie tylko ją i dwójkę jej małych dzieci, ale też czterech policjantów i dwóch cywilów, którzy akurat znaleźli się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Poza tym kilkanaście kolejnych osób, w tym trzech policjantów, odniosło mniej lub bardziej poważne obrażenia.

– Tak, tak, czytałam podsumowanie, które wrzuciliście do naszej sieci, ale będziesz musiał mi wyjaśnić, w jaki sposób Khalid jest w to zamieszany – odparła Lisa Mattei.

Najwyższy czas, żebyś wzięła się w garść, powiedziała sobie w myślach.

– Wyjaśnię, nie ma problemu – odparł Alexander. – W materiałach, które wam prześlemy, znajdziecie wszystko, co wiemy na temat tych wydarzeń. I konkretny powód, dla którego jesteśmy zainteresowani Abbdem Khalidem.

## 13

OLD TRAFFORD – drugi co do wielkości angielski stadion piłkarski po Wembley Stadium w Londynie, wybudowany w dwudziestym wieku, zbombardowany w czasie drugiej wojny światowej, przebudowywany i rozbudowywany etapami – mógł pomieścić ponad siedemdziesiąt tysięcy widzów. To macierzysty stadion klubu Manchester United – The Theatre of Dreams, Teatr Snów, jak swego czasu ochrzcił go legendarny piłkarz United, Bobby Charlton. W sobotę czternastego marca zmienił się w sceneryj jednego z największych koszmarów we współczesnej historii Wielkiej Brytanii.

Odbływały się wówczas derby w angielskiej Premier League pomiędzy Manchesterem United a Manchesterem City, które przyciągnęły prawie siedemdziesiąt tysięcy widzów. Policja wiedziała z doświadczenia, że stanowczo zbyt wielu z nich oddaje się innym czynnościom niż oglądanie piłki nożnej, toteż wysłała na miejsce setki funkcjonariuszy i ochroniarzy.

Mecz przebiegał w bardzo spokojnej atmosferze. Dopiero w trzydziestej pierwszej minucie zaczęło się dziać.

Przed głównym wejściem na stadion stoi policyjny bus i siedmioro policjantów – pięciu mężczyzn i dwie kobiety. Mają za zadanie pilnować porządku poza stadionem. Sześcioro z nich to oddani kibice – przeklinają każdą straconą minutę meczu. Gdyby na świecie istniała sprawiedliwość, staliby w środku, jak niemal wszyscy koledzy.

Siódma postać – dwudziestodwuletnia policjantka – ani trochę nie interesuje się piłką nożną. Jest w trzecim miesiącu ciąży i myśli o zupełnie innych sprawach niż służba. Za pół roku zostanie matką – czekała na to kilka lat.

W trzydziestej pierwszej minucie gospodarze z United zdobywają pierwszą bramkę. Kiedy okrzyki z trybun docierają za bramę stadionu, policjanci natychmiast zbierają się przy busie i próbują ustalić przez radio, co się stało. Ich ciężarna

koleżanka, zajęta swoimi myślami, nie rusza się z miejsca. Kiedy do busa zbliża się młoda kobieta w tradycyjnym muzułmańskim stroju, tylko kiwa jej przyjaźnie głową. Dlaczego nie? Kobieta nie ma zasłoniętej twarzy. Pcha dziecięcy wózek i jednocześnie osłania dłonią głowę trzy- lub czteroletniego chłopca, który idzie przy jej lewym boku. Jest jeden świadek tego, co się dzieje zaraz potem. Jakimś cudem przeżywa, w przeciwieństwie do wszystkich innych w pobliżu – ci zostają dosłownie rozerwani na strzępy. Według świadka policjantka uśmiechnęła do muzułmanki, szeroko, wręcz serdecznie, wskazała głową wózek i zadała proste pytanie: *Boy or girl?*

Pewnie wiedziała już, że adresatka pytania wierzy w innego Boga niż ona, ale raczej nie zdawała sobie sprawy, że jej wiara jest na tyle silna, że bez wahania gotowa jest zabrać dwójkę swoich dzieci do czekającego na nich raju. Świadek nie potrafił powiedzieć, czy policjantka otrzymała odpowiedź na swoje pytanie, bo w tej samej chwili wszystko wokół niego eksplodowało w oślepiającej białej poświacie, a siła wybuchu rzuciła go prosto w ciemność, jakby nic nie ważył.

– To przerażająca historia – podsumował Alexander. – Czwooro naszych policjantów zginęło na miejscu, a troje kolejnych odniosło tak poważne obrażenia, że już nigdy nie wrócą do czynnej służby. Zginęło także dwóch cywilów. Kolejnych kilkunastu było ciężko rannych. No i jeszcze sprawczyni zamachu. Dwudziestotrzyletnia uchodźczyni z Syrii. Przyjechała tu przed rokiem. Miała czteroletniego synka i sześciomiesięczną córeczkę. W sumie dziewięć ofiar i kilkunastu rannych. Okropna historia.

Jeremy Alexander przeszedł do następnego punktu. Jaki związek miała ta sprawa z ich podejrzanym, Abbdem Khalidem?

Nic nie wskazywało na to, żeby Abbdo był zamieszany w praktyczne przygotowania do samobójczego zamachu przed Old Trafford. Jego zaangażowanie było dwojakie. Wielokrotnie kontaktował się z człowiekiem, który uczestniczył w produkcji bomby, i radził, jakie pociski należy wybrać.

Według badań i rekonstrukcji przeprowadzonych przez techników służb bezpieczeństwa ładunek wybuchowy ważył od czterech do pięciu kilogramów. Był

to zwykły dynamit, używany w przemyśle budowlanym, nie ten przeznaczony do celów wojskowych. Do tego od siedmiuset do tysiąca pocisków o łącznej masie siedmiu do dziesięciu kilogramów. Dwa zapalniki – jeden ręczny, który kobieta mogła uruchomić, po prostu naciskając guzik, i jeden zapasowy, który pozwalał zdetonować ładunek z bezpiecznej odległości za pomocą telefonu komórkowego, na wypadek gdyby coś jej przeszkodziło.

– Wszystko to było umieszczone w wózku, pod poduszką, na której położyła swoją sześciomiesięczną córeczkę – dodał Alexander i skrzywił się z niesmakiem.

Dobór pocisków był interesujący, zwłaszcza w kontekście podejrzeń wobec Abbda Khalida. Tego typu pociski nigdy wcześniej nie zostały użyte podczas zamachu samobójczego w Wielkiej Brytanii. A ponieważ tylko w ciągu ostatnich dwóch lat miało miejsce dziesięć takich zamachów, był to bez wątpienia wyjątkowy zbieg okoliczności, że trzy tygodnie przed zamachem Khalid polecił swojemu rozmówcy właśnie ten materiał.

Jakie mieli podstawy, żeby go podejrzewać? Alexander twierdził, że bardzo mocne. Kilka podsłuchanych rozmów telefonicznych dowodziło, że współpracował z człowiekiem, którego udało się powiązać z zamachem dzięki zdjęciom z monitoringu i innym dowodom rzeczowym. To wystarczyło do zatrzymania nawet kogoś takiego jak Abbdo, osadzenia go w areszcie oraz skazania na dłuższą karę więzienia. Może nawet dożywocie, jeśli ława przysięgłych miałaby taki kaprys.

– Tak z ciekawości – odezwała się Mattei. – Dlaczego tego nie zrobiliście? Dlaczego ich nie zatrzymaliście?

Wciąż są na wolności, pomyślała. Nawet jeśli teraz się przyczaili i czekają, to ryzyko zawsze istnieje.

– Z tego powodu, co zwykle – odparł Alexander z wyraźnym rozbawieniem. – Nie ma sensu zajmować waszego czasu opowiadaniem o rzeczach, do których sami możecie dojść.

A więc masz informatora albo może nawet wtyczkę czy agenta, który obiecał, że opowie jeszcze więcej, pomyślała Mattei. Co by to mogło być? Co więcej ponad to, że sześć osób straciło życie, a kilkanaście zostało rannych? Na wszystko przychodzi

czas.

– Pomyślałem, że na zakończenie tego wstępnego podsumowania opowiem wszystko, co wiemy o Khalidzie, jego rodzinie i pozostałych kontaktach, które mogą być interesujące w tym kontekście.

Nikt z zebranych nie miał nic przeciwko temu.

– A więc zaczynamy – oznajmił Alexander.

Ponownie postukał w klawisze komputera i wyświetlił na ścianie kolejne zdjęcie.

SIEDEMNAŚCIE TWARZY na białej ścianie. Siedemnastoosobowa rodzina, w tym Bomber. Szesnastu członków było obecnie szwedzkimi obywatelami. Kiedy przyjechali do Szwecji w 1993 roku, było ich dziewięcioro. Ojciec Bombera, obecnie sześćdziesięciodwuletni, jego o dwadzieścia lat starsza matka, dwie żony i pięcioro dzieci. Od tamtego czasu przybyło jeszcze ośmiu członków rodziny.

Dwie żony urodziły ojcu Bombera jeszcze troje dzieci, a cztery lata temu do rodziny dołączyła kolejna osoba – wówczas siedemnastoletnia Somalijka, która przyjechała do Szwecji rok wcześniej, została jego trzecią żoną i w tempie niemal ekspresowym urodziła mu czworo kolejnych dzieci.

W rodzinie było sześciu synów i sześć córek. Czterech synów było dorosłych. Najstarszy z nich był Abbdo, domniemany Bomber, a najmłodszy z jego trzech dorosłych braci właśnie skończył dwadzieścia lat. Do tego dochodzili jedenastolatek i najmłodszy chłopiec w rodzinie, który miał niespełna rok.

Najstarsze dzieci w rodzinie były już dorosłymi kobietami i miały od trzydziestu do trzydziestu trzech lat. Wszystkie były córkami pierwszej żony i nadal mieszkały w domu rodziców. Obecnie miały trzy młodsze siostry – trzyletnią, dwuletnią i roczną – których matka była o kilka lat młodsza od nich.

Siedemnaście osób w jednej rodzinie. Gorzej już być nie może, pomyślała Lisa Mattei. Najstarszy członek rodziny był o dziesięć lat starszy od jej ojca, a czworo maluchów było młodszych od jej córki. Za niecały miesiąc powinnaś zatrzymać wszystkich, powiedziała sobie w myślach.

Jeremy Alexander był przekonany, że naprawdę tak może być. Doświadczenie pokazywało, że kiedy się chce zbadać tego typu sprawę, często warto zacząć od rodziny głównego podejrzanego.

Detonując bombę, która unicestwia jego ciało, zamachowiec samobójca jest



oczywiście sam. W tym sensie jest to chyba najbardziej samotna decyzja, jaką może podjąć człowiek. Jednak w czasie podróży, która doprowadza go do tego momentu, ma z reguły wielu towarzyszy. Począwszy od aprobujących przemoc imamów, którzy kształtują to, co się dzieje w jego głowie, aż po ludzi pokroju Bombera, którzy wręczają mu bilet do raju. Do tego oczywiście dochodzą też ci, którzy okazują mu miłość, pomagając przymocować ładunki wybuchowe do ciała. Z drugiej strony było nie do pomyślenia, żeby to Bomber zajął się końcową częścią operacji. Tacy ludzie jak on byli zbyt cenni, aby ich w ten sposób poświęcać.

Na tym Alexander zakończył temat. Uznał jedynie, że udzieli im kilku ogólnych rad, choć oczywiście nie zamierzał wchodzić w szczegóły prowadzonego przez nich śledztwa. Przy okazji podkreślił, że jego koledzy jedynie „poskrobali powierzchnię”, gdy chodziło o przedstawienie rodziny Khalida. Po prostu nie mieli powodu poświęcać tej sprawie więcej uwagi. Poza tym wszystkie informacje brytyjskich antyterrorystów na temat rodziny Khalida pochodziły z ich wspólnych baz, do których wszyscy mieli teraz dostęp w ramach współpracy Zachodu w dziedzinie polityki bezpieczeństwa.

Alexander szczególnie mocno podkreślił, że aż do tego dnia nikt z brytyjskich służb bezpieczeństwa nie skontaktował się z Säpo ani z żadnym innym szwedzkim organem wywiadowczym w sprawie podejrzeń wobec Abda Khalida.

– Jakież pytania? – zapytał z wykalkulowanym, ale mimo wszystko zapraszającym gestem dłoni.

– Tak, ja mam jedno – odezwała się Linda Martinez. – Gdzie mieszka ta rodzina?

– W Eskilstunie – odparł Alexander, dyskretnie zerkając na ekran komputera.

– W Eskilstunie – powtórzyła Martinez i pokręciła głową, jakby nie przyjmowała tego do wiadomości.

– Tak jest, w Eskilstunie – Alexander potwierdził zdecydowanym skinieniem głowy i postukał w klawisze. – Niewielkie miasto liczące jakieś pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, położone sto dwadzieścia kilometrów na południowy zachód od Sztokholmu.

– Nie wiesz, jak mieszkają? – zapytała Martinez i posłała znaczące spojrzenie

Lisie Mattei. – W domu wielorodzinnym?

– Nie – odparł Alexander. Najwyraźniej zdążył przeczytać to, co miał napisane na ekranie. – Wszyscy członkowie rodziny są zameldowani pod tym samym adresem i wygląda na to, że tam mieszkają. To stara willa. Według naszych informacji jest oddalona o kilka kilometrów od centrum miasta. Działka jest duża, odgradzona od sąsiadów, widok jest bardzo ograniczony, a najbliższy dom stoi około stu metrów dalej. Mamy zdjęcia satelitarne domu i sąsiednich terenów, doskonała ostrość. Wszystko to jest w materiałach, które otrzymacie.

– Słodki Jezu, to nie może być prawda – jęknęła Linda Martinez i pokręciła głową.

– Potraktuj to jako wyzwanie, Lindo – poradziła czarnoskóra koleżanka z brytyjskiej policji bezpieczeństwa.

Widać było, że trudno jej ukryć rozbawienie.

– *We will cross that bridge when we get to it* – zgodziła się Lisa Mattei.

Tak pewnie powiedziałyby Lars Martin Johansson, pomyślała. Nie ma sensu się martwić na zapas.

– Rozsądnie. – Alexander skinął głową w jej kierunku. – Niech każdy dzień swój ciężar dźwiga. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, chciałbym zakończyć tę część dyskusji kilkoma słowami na temat kontaktów, które Khalid nawiązał w czasie pobytu w Wielkiej Brytanii.

Nikt nie miał nic przeciwko. A już na pewno nie Lisa Mattei. Jeszcze raz spojrzała na zegarek i pomyślała o Elli.

Alexander zrobił szybkie podsumowanie. Na początku zaznaczył, że nie zamierza mówić o kontaktach Khalida z brytyjskimi obywatelami syryjskiego pochodzenia podejrzanymi o udział w zamachu przed Old Trafford. Te informacje były w materiałach przeznaczonych dla Mattei. To ona miała zdecydować, w jaki sposób rozdzieli je pomiędzy współpracowników.

Jeśli nie liczyć kontaktów z wykładowcami, kolegami ze studiów i sąsiadami, Khalid najczęściej chadzał własnymi drogami. Po prostu dobrze się prowadził i wszystko wskazywało na to, że większość czasu poświęca na studia, które

przywiodły go do Wielkiej Brytanii i na uniwersytet w Manchesterze. Mimo to nie uchodził za odludka czy kogoś, kto traktuje innych z góry. Był uprzejmy, przyjazny i pomocny i prawdopodobnie to ta ostatnia cecha spowodowała, że nawiązał nietypową, osobistą relację ze swoją gospodynią, Louise Urqhart – wdową, starszą od niego o piętnaście lat, urodzoną i wychowaną w Manchesterze w rodzinie, która od kilku pokoleń należała do wyższej klasy średniej.

Louise Urqhart była jedynaczką. Jej ojciec pracował w Manchesterze jako adwokat. Kiedy miała dziesięć lat, zmarła jej matka, więc wychowywała się z ojcem i gosposią. Niewykluczone, że większość tego czasu spędziła w różnych ośrodkach dla dziewcząt.

W wieku dziewiętnastu lat zaczęła studiować nauki humanistyczne na uniwersytecie w Yorku. Dopiero po siedmiu latach udało jej się zbierać wystarczająco dużo punktów, żeby z przeciętnymi ocenami ukończyć studia. Obejmowały wiele przedmiotów i obszarów tematycznych i raczej nie toczyły się tradycyjnym trybem.

– Wszystko, od buddyzmu zen i języków orientalnych po filmoznawstwo, dramaturgię i kilka innych rzeczy, których nazw, szczerze mówiąc, nie rozumiem – oznajmił Alexander. – Kto wie, może jest kimś w rodzaju poszukiwaczki? – dodał z nieobecny, wręcz zrezygnowany wzruszeniem ramion.

Nie było do końca jasne, czym się zajmowała po zakończeniu studiów, ale najprawdopodobniej wykonywała różne prace w branży medialnej. Na czym dokładnie polegały jej obowiązki służbowe, również nie było wiadomo. Spędziła pół roku w agencji reklamowej w Londynie, kolejne pół w lokalnej rozgłośni radiowej w tym samym mieście, potem około roku w Birmingham w prywatnej firmie zajmującej się produkcją filmów i programów telewizyjnych. To wszystko trwało ponad dziesięć lat, do śmierci jej ojca. Nagły zawał serca dopadł go na tydzień przed zaplanowanym świętem z okazji jej trzydziestych urodzin.

Po śmierci ojca obraz znacząco się wyklarował. Według spisu inwentarza ojciec zostawił po sobie ponad pięć milionów funtów, a ponieważ tego typu dokumenty często bywają ostrożne w szacunkach, z całą pewnością w grę wchodziło ponad dwa

razy tyle.

W wieku trzydziestu lat Louise Urqhart zyskała niezależność finansową i dzieliła czas pomiędzy administrowanie majątkiem a podróże. Zwiedziła właściwie każdy zakątek kuli ziemskiej i z wielką swobodą mieszała zwykłe rekreacyjne wypady do Nowego Jorku, na Majorkę, do Wenecji i Singapuru z pieszymi wędrówkami po Tybecie, obozami jogi w Indiach i miesięcznymi safari fotograficznymi po Afryce.

– Spędziła nawet czternaście dni na Arktyce, na Svalbardzie – oznajmił Alexander i pokręcił z niezadowoleniem głową. – Co tam, u diabła, robiła?

Może to poszukiwaczka przygód, może nawet ma w sobie coś z małej Pippi Pończoszanki? – pomyślała Mattei. Nagle poczuła niewytłumaczalny przypływ radości.

Louise Urqhart z Abbdem Khalidem połączyła działalność zawodowa – po ojcu odziedziczyła kilkanaście nieruchomości w centrum Birmingham i kiedy nie była w podróży, zajmowała się ich administrowaniem.

We wrześniu ubiegłego roku, niecały miesiąc od rozpoczęcia studiów na uniwersytecie, Khalid wynajął niewielkie mieszkanie w starej willi patrycjuszowskiej, która przetrwała bombardowania wojenne i została przebudowana na mniejszy dom wielorodzinny z kilkunastoma mieszkaniami. Pokazywała mu je Louise Urqhart. Kiedy zapytała, czym się zajmował, zanim rozpoczął studia na uniwersytecie w Manchesterze, odparł, że pracował jako elektryk.

– Podobno tak to się zaczęło – ciągnął Alexander. – Miała w tym domu duże problemy z elektrycznością. Khalid uporał się z nimi w tydzień, a po kolejnym tygodniu zrodziła się między nimi więź seksualna. Z naszej dokumentacji wynika, że była dość intensywna. Od skrzynki elektrycznej do jej sypialni, że tak to podsumuję.

– Nie masz żadnego jej zdjęcia? – zapytała Mattei.

– Jest ich pod dostatkiem. Zarówno zdjęć, jak i ruchomych obrazów. No i oczywiście nagrań dźwiękowych. Jak wiadomo, mamy w kraju długą tradycję, jeśli o to chodzi – odparł Alexander i westchnął.

Kilkoma stuknięciami w klawisze usunął zdjęcia Abbda Khalida i jego rodziny

i zastąpił je fotografią Louise Urqhart.

– W tym zdjęciu ciekawe jest to, że zrobił je Abbdó. W ogrodzie przy jej domu. To zresztą także dom, w którym się wychowywała.

Ojej, pomyślała Mattei. Louise Urqhart ani trochę nie odpowiadała jej wyobrażeniom. Alexander zaczął opowiadać.

– To niewątpliwie atrakcyjna kobieta, jeśli ktoś lubi taki typ. Mój staruszek ojciec, straszny seksista, określa takie kobiety mianem „dziewoi czystej rasy angielskiej”. Jeśli wziąć pod uwagę, że w ogóle nie jest podobna do żadnej z trzech żon mojego ojca, a już najmniej do mojej matki, gdyby was to interesowało, to jest to trochę dziwne określenie.

Może to wyraz jego tęsknoty, pomyślała Mattei. Tęsknoty za kobietą, która po prostu stoi w swoim ogrodzie i patrzy prosto w oczy swojego kochanka i w obiektyw. Na bosaka, w koszuli i znoszonych džinsach, z wyprostowaną szyją, czujnym spojrzeniem i jedynie załóżkiem uśmiechu. Czego ty szukasz? – zapytała w myślach.

Kilka tygodni wcześniej, kiedy na uniwersytecie zaczęła się przerwa wielkanocna, Abbdó poleciał z Londynu do Szwecji i wylądował na lotnisku Skavsta w Sörmlandii. Jeden z młodszych braci odebrał go i zawiózł do Eskilstuny. Trzy dni wcześniej Louise Urqhart opuściła mieszkanie w Manchesterze i wyjechała w nieznanym kierunku.

Sekretarce z kancelarii ojca, która nadal zajmowała się jej sprawami, wyjaśniła, że wyjeżdża na jakiś czas na urlop do Europy. Spakowała torbę, wzięła ze sobą karty płatnicze, paszport, pieniądze i smartfon, wsiadła do samochodu, wyjechała z domu i pięć minut później przepadła. Jak kamień w wodę. Ekipa antyterrorystów, która miała ją śledzić, zgubiła trop w zatłoczonym centrum Birmingham, kiedy nadajnik umieszczony pod samochodem przestał działać. Samochód znaleziono tydzień później. Stał na wielopoziomowym parkingu na lotnisku w Manchesterze, ale po Louise Urqhart nie było ani śladu. Nie odnaleziono jej do tej pory. Wyłączyła telefon i nie było żadnych śladów użycia kart kredytowych.

– Niewątpliwie zaplanowała to wszystko, a pomagał jej Khalid. Niestety nie

wiemy, dokąd pojechała, gdzie teraz jest i co robi. Wiemy tylko, że w ciągu kilku miesięcy przed zniknięciem wypłaciła pokaźne sumy w gotówce, co najmniej pięćdziesiąt tysięcy funtów.

– Po co? – spytał Wiklander.

– Żeby sfinansować swojego nowego chłopaka i to, co zamierza zrobić w Szwecji. Myślę, że już mu dała pieniądze i że będzie się trzymała w cieniu, dopóki jego plan nie zostanie wdrożony. Po wszystkim znów będą razem. Podkreślam, że to są moje przypuszczenia. W tej części historii jest wiele znaków zapytania.

Zdaniem Alexandra Louise Urqhart była wyjątkowo interesującą kobietą. Nie tylko jako osoba, lecz przede wszystkim jako dowód na to, że potrzeba walki z muzułmańskim terroryzmem na Zachodzie z każdą chwilą jest coraz pilniejsza.

– Na pewno znacie historię Samantha Lewthwaite, znanej jako Biała Wdowa. Jej mąż, czarnoskóry Germaine Lindsay, dziesięć lat temu w londyńskim metrze przeprowadził zamach samobójczy, w którym zginęło pięćdziesiąt siedem osób. Samantha przebywa obecnie w Somalii z czwórką dzieci. Kilka lat temu wzięła kolejny ślub. Jej mąż Hassan Maalim Ibrahim jest przywódcą w Asz-Szababie. Myślę teraz o tych wszystkich kobietach Zachodu z tradycyjnie mieszczańskich rodzin, które się wiążą z muzułmańskimi terrorystami. Bomberzy i ich kobiety. Mam wrażenie, że Louise Urqhart jest teraz jedną z nich.

Czy to naprawdę takie proste? – zastanawiała się Mattei. Bomberzy i ich kobiety. Co się stało z dziewczyną czystej rasy angielskiej?

## 15

NA SAMYM POCZĄTKU spotkania w cztery oczy z Jeremym Alexandrem Lisa Mattei zadała mu pytanie z ciekawości. Chciała wiedzieć, jak brzmi krótka sentencja wyhaftowana na jego krawacie w różowe słonie.

– *Semper exqitet aliquem*. Zawsze kogoś to zirytuje – odparł Alexander.

– Ale to nie jest krawat z Merton.

– Boże broń. To by dopiero wyglądało. W takich miejscach nie ma różowych słoni. Wręcz przeciwnie. Podobno w przepisach uczelni są zakazane. Wydaje mi się, że pochodzą z tysiąc trzysta czterdziestego drugiego roku. Przepisy, bo słonie są jeszcze starsze, jeśli wierzyć pewnym opozycyjnym głosom, ale jeśli, niczym współczesny Galileusz, będziesz się upierała przy tym stanowisku, spotkają cię straszne rzeczy.

– Skąd w takim razie jest ten krawat? – Mattei nie dawała za wygraną.

– Z The Pink Elephant Club. To znacznie mniejsze stowarzyszenie niż te działające w takich miejscach jak Merton, a to z tego oczywistego powodu, że potencjalnych członków było tak niewielu.

To było stowarzyszenie starych przyjaciół, którzy razem dorastali, chodzili do tych samych szkół, żyli tak samo i robili te same rzeczy. Kilku jego starszych krewnych nosiło ten krawat z takich samych powodów.

Sama sentencja wskazywała, że liczy się to, co ukryte. Że nie należy wierzyć we wszystko, co się widzi. Na przykład w różowe słonie, które idą jeden za drugim po niebieskiej sawannie. Zwłaszcza jeśli wcześniej piło się alkohol.

Z krawatem z Merton, który nosił na prawie nigdy niepokazywanym oficjalnym zdjęciu, sprawa była prostsza, bo wysyłał zupełnie inny komunikat: kojarzył się ze studiami, wysiłkiem intelektualnym, może nawet wysokimi kwalifikacjami i mocnym kręgosłupem moralnym. To raczej nie powinno nikogo irytować. A nawet gdyby, to taki delikwent już na samym początku postawiłby się w trudnej sytuacji.

– Jak rozumiem, mamy w Merton wspólną znajomą – oznajmił Alexander z tym samym rozbawionym uśmiechem.

– A ja rozumiem, że rozmawiałeś z nią wcześniej niż ja.

– Kobietę o nieprzeciętnym intelekcie – ciągnął Alexander. – Nie wiem, czy ci to mówiła, ale tak się składa, że byłem promotorem jej pracy dyplomowej. Zupełnie jakbym mógł się jej do czegoś przydać. Spotykaliśmy się raz w miesiącu w herbaciarni w British Museum, żeby omawiać jej postępy. Siedzieliśmy tam godzinami i rozmawialiśmy bez przerwy, ale tematu pracy nie poruszyliśmy ani razu.

– O czym w takim razie rozmawialiście? – spytała Mattei.

– O wszystkim – odparł Alexander i nagle zaczął sprawiać wrażenie, że myśli o czymś zupełnie innym. – Najwięcej chyba o różowych słoniach wędrujących po niebieskiej sawannie.



POTEM ZMIENILI TEMAT i przeszli do rzeczy. Najwyższy czas, pomyślała Lisa Mattei.

Alexander wręczył jej zwykły pendrive, na wszelki wypadek czerwony. Kiedy zapytała, czy musi podpisać jakieś papiery, odpowiedział tym samym lekkim ruchem głowy, rozbawionym uśmiechem i znaczącym spojrzeniem w stronę gładkich ścian pozbawionego okien niewielkiego pokoju, w którym siedzieli.

– Papier zabił więcej takich ludzi jak my niż proch i kule. Jest jednak inna sprawa, w której musimy dojść do porozumienia.

– No to porozmawiajmy o tym. – Mattei przypuszczała, w czym rzecz. – Ale najpierw mam konkretne pytanie. Chodzi mi o pociski użyte do zamachu przed Old Trafford. Co w nich takiego wyjątkowego?

– *Rebar* – odparł Alexander. – *Small pieces of rebar. Sharp, rusty, nasty little pieces of rebar.*

– *Rebar* – powtórzyła Mattei. – *Is this some kind of heavy metal?*

Gdzie jest kolega Wiklander? – myślała. Teraz przydałby się ktoś taki jak on.

Musiła jej jednak wystarczyć pomoc, jaką oferował Alexander. Wprawdzie kosztowało ich to minutę cennego czasu, ale jego wyjaśnienia były wyczerpujące i przystępne.

Jakby grał w kalambury, pomyślała, kiedy pomagał sobie gestami.

– Długie żelazne pręty, których się używa do wzmocnienia dachu, podłogi lub murowanej ściany – wyjaśnił Alexander.

– Ahaa, już rozumiem. Zbrojenie.

– Tak – zgodził się Alexander, choć zapewne nie znał tego słowa. – Długie żelazne pręty.

– Zbrojenie – powiedziała Mattei.

– Sprojenie – powtórzył wyraźnie zachwycony Alexander.

– Co w tym wyjątkowego?

– W Wielkiej Brytanii nigdy nie używano tego jako materiału do produkcji pocisków. Wygląda na to, że w Europie też nie. Ostatnimi laty odnotowano tylko dwa przypadki. Jeden w Kenii i jeden w Iraku.

Potem Alexander odbiegł trochę od tematu i zaczął mówić o tym, w jaki sposób jego analityk odpowiedział na w pełni uzasadnione pytanie, dlaczego pręty zbrojeniowe są tak interesujące.

Jak wyjaśnił, po pierwsze dlatego, że tego typu bomby są rzadko spotykane, a po drugie, niezwykle skuteczne. Ekspert od bomb, z którym rozmawiał analityk, twierdził, że powinno się je produkować częściej.

W przypadku bomb używanych przez zamachowców samobójców pociski otaczające ładunek wybuchowy mają kluczowe znaczenie. To one zabijają ludzi znajdujących się daleko od miejsca eksplozji i w porównaniu z nimi sam ładunek wybuchowy jest prawie nieszkodliwy. Fala uderzeniowa zabija ludzi w promieniu maksymalnie dziesięciu metrów. Chyba że ktoś stojący dalej będzie miał pecha i uderzy głową w ścianę budynku.

Produkcja takiej bomby łączyła się z kilkoma kwestiami praktycznymi. Po pierwsze, często trzeba było korzystać z materiałów, które można było kupić jawnie, bo były przeznaczone do zupełnie innych, pokojowych celów. Takich jak gwoździe, śruby, metalowe kulki, gruby ołowiany śrut czy wszelkiego rodzaju ostre metalowe przedmioty. Jak na przykład w rurobombie – w chwili detonacji ładunku metalowa rura rozpada się na masę ostrych odłamków. Po drugie, konstruktorzy dążyli do osiągnięcia jak najmniejszej objętości i wagi bomby, a jednocześnie zmieszczenia w niej jak największej liczby pocisków.

Żelazo zbrojeniowe było w tym wypadku dobrym wyborem. Należało przecinać je na ukos, żeby powstały spiczaste kawałki o długości dwóch do trzech centymetrów i masie około dziesięciu gramów.

– Jak ścięty stożek – uściślił Alexander.

Mattei po raz pierwszy usłyszała to słowo po angielsku, ale mimo to od razu się domyśliła, co miał na myśli.

– Małe, ostre, zardzewiałe, paskudne kawałki żelaza. Znacznie lżejsze od pocisków ze stali czy ołowiu. Poza tym mają tę nieprzyjemną właściwość, że rotują i rykoszetują inaczej niż inne. Niczym rój śmiercionośnych szerszeni kołujących w powietrzu – podsumował.

Wielu znanych bomberów podpisywało swoje dzieła. Z reguły nieświadomie, poprzez technikę, którą opanowali. Czasami z premedytacją, żeby wysłać komunikat przeciwnikowi. Podpisem mogło być wszystko, począwszy od sposobu połączenia kabli albo związania tych, które zostały, aż po sposób, w jaki mocowali i lokowali pociski wokół ładunku wybuchowego.

Analitik, z którym rozmawiał Alexander, nie wykluczał, że bomba z prętami zbrojeniowymi była pierwszym przykładem dzieła z autografem Abbda Khalida.

– Trudno się nie zastanawiać, skąd wziął ten pomysł – stwierdził Alexander. – O ile wiemy, nie był robotnikiem budowlanym, nie pracował w żadnym warsztacie ani nawet nie dorastał w wiejskim gospodarstwie.

– Obiecuję, że dam znać, jak tylko się tego dowiemy. Chciałabym zadać jedno konkretne pytanie, skoro mamy rozmawiać o Szwecji. Jak pewne jest to, że zamach ma się odbyć podczas Święta Narodowego, najprawdopodobniej w Skansenie przy okazji oficjalnych obchodów, i ma być wymierzony w członków rodziny królewskiej i rządu?

– Informacje pochodzą bezpośrednio od Khalida. Uważam, że są tak pewne, jak tylko mogą być, zanim zamach stanie się faktem.

– Okej – odparła Lisa Mattei. – Gdybyśmy dla zaoszczędzenia czasu przyjęli, że masz informatora w otoczeniu Khalida... Nie musisz nawet odpowiadać...

– Gdybym go miał – przerwał Alexander – to jego wiedza mogłaby pochodzić od kilku takich jak Khalid i ten człowiek, któremu dawał dobre rady, jak sklecić działającą diabelską maszynę. On zresztą też studiuje na uniwersytecie w Manchesterze, choć na innym wydziale niż Khalid. W materiałach, które ci dałem, znajdziesz wszystkie informacje na jego temat. Pytania, kto kogo z kim zapoznał, możemy na razie odłożyć na potem.

– A koledzy z brygady antyterrorystycznej? Znają twojego informatora?

– Jeszcze tego by brakowało – odparł Alexander z demonstracyjnym niezadowoleniem. – Nasi współpracownicy stawiają sobie dyskrecję za punkt honoru. Poza tym dobrze wiemy, jak ich chronić przed różnymi naszymi kolegami.

– Okej. No to mam jeszcze tylko jedno pytanie. Co to za sprawa, w której musimy dojść do porozumienia?

Sposób, w jaki pomogę ci ochronić twojego informatora, dodała w myślach. Nie oddając przy tym życia za swojego króla, królową i trzech parlamentarzystów.

– Bardzo prosta, z mojego punktu widzenia wręcz oczywista – odparł Jeremy Alexander i wyprostował się na krześle.

Nieco ponad tydzień wcześniej stało się dla niego jasne, że brytyjska policja bezpieczeństwa zamierza zatrzymać kilkanaście osób w związku z zamachem samobójczym przed Old Trafford. Jedną z nich był Abbdo Khalid. Musieli się skontaktować ze szwedzką policją bezpieczeństwa i poprosić o pomoc w kwestiach praktycznych, bo Abbdo pojechał do domu do Szwecji, zanim zebrali dowody wystarczające do zatrzymania pozostałych.

Jeden ze współpracowników Alexandra wyłowił komunikat o planowanym nalocie z morza informacji, które każdego dnia krążyły pomiędzy różnymi organizacjami wchodzącymi w skład brytyjskich służb bezpieczeństwa. Była to tradycja, która obowiązywała od wielu lat, a po jedenastym września zmieniła się w absolutną regułę – tak już musiało być w organizacji, w której z samej natury rzeczy jedna ręka nie wie, co czyni druga.

Stwierdzenie, że jego koledzy z brygady antyterrorystycznej bez szemrania podporządkowali się obowiązującej linii i po prostu dostosowali się do panujących zasad, byłoby jednak grubą przesadą. Od czternastego marca byli pod ogromną presją mediów z całego świata. Praktycznie codziennie jakiś polityk stawał na mównicy sejmowej i pytał, czym, u diabła, zajmuje się policja bezpieczeństwa.

O nastrojach w zwykłej policji też było lepiej nie wspominać. Czterech kolegów straciło życie, a trzech już do końca miało pozostać inwalidami.

– Niełatwo było się dogadać – stwierdził.

Ale w końcu się udało. Decydującego wsparcia udzielił mu „amerykański

przyjacieli”. Na razie Alexander czekał na informacje, które pozwoliłyby jemu i brygadzie antyterrorystycznej uderzyć nie tylko w ludzi, którzy stali za zamachem przed Old Trafford, ale też w znacznie liczniejszą grupę ich sprzymierzeńców działających poza granicami Wielkiej Brytanii. Zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w Europie.

Sprawa była jasna i prosta. Dla niego i ludzi, z którymi pracował, stawka była o wiele większa niż to, co zostało stracone przed Teatrem Snów. Gdyby antyterroryści przeprowadzili planowaną akcję, straciliby wszystko, co do tej pory postawili. Przeciwnik najprawdopodobniej domyśliłby się, co się stało, i postanowiłby zejść pod ziemię.

– Oczywiście ani myślę pozwolić na to, żeby za cenę mojego spokoju w pracy kilku obłąkanych dżihadystów pozbawiło życia przywódców państwa szwedzkiego. Poza tym muszę postawić ci takie same wymagania, jakie postawiłem moim kolegom. Jeżeli na przykład zostaniesz nagle przyparta do muru i nie będziesz miała innego wyjścia, jak tylko podjąć działania przeciwko Khalidowi i współnikom, których na pewno zdążył już zwerbować, będziesz musiała zrobić to tak, żeby nie narażać tego, co robimy u mnie i u naszych amerykańskich przyjaciół. Konkretnie chodzi o to, żeby w odpowiednim momencie skonstruować bardzo wiarygodny przypadek, zbieg okoliczności, który pozwoli wam wkroczyć do akcji przeciwko Khalidowi. On musi myśleć, że miał pecha. Nie możecie wzbudzić w nim choćby najmniejszych podejrzeń, że przez cały czas wiedzieliście o wszystkim i tylko czekaliście na dobry moment. Dlatego musimy pozostawać w stałym kontakcie. Przez cały czas chcę otrzymywać szczegółowe informacje o tym, co robicie i co zamierzacie zrobić. Świetnie zdaję sobie sprawę, że to ci się nie podoba.

– Tu się mylisz – powiedziała Lisa Mattei. – Zrobiłabym dokładnie to samo co ty.

– Miło, że się zgadzamy. Dodam jeszcze, że jedną dobrą wiadomość zostawiłem na koniec. Choć dokładniej rzecz ujmując, będzie przedostatnia.

– Przedostatnia?

– Cały czas coś się dzieje – wyjaśnił Alexander i wzruszył ramionami. – Dowiedziałem się o tym dopiero godzinę przed wylądowaniem twojego samolotu.

– W takim razie powiedz mi teraz.

– Nie – odparł Alexander. – Powiem na końcu. Miejmy nadzieję, że to był tylko różowy słoń, który akurat przechodził obok. Jeden z tych, które nie istnieją. Nie należy wierzyć we wszystko, co się widzi.

„Dobrą wiadomością” było to, że obchody szwedzkiego Święta Narodowego były zaplanowane na szóstego czerwca. Zostały jeszcze prawie cztery tygodnie. Alexander stwierdził, że jeśli wszystko będzie się u niego toczyć w spodziewanym tempie, to wszystkie praktyczne problemy zostaną do tego czasu rozwiązane i będzie mogła działać według własnego uznania.

– A Khalid? – zapytała. – Jak on na to zareaguje?

– O to niech cię głowa nie boli. Kiedy się zorientuje, co zaszło, będzie już za późno, żeby cokolwiek zrobić.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz wysłać do Eskilstuny drona.

Zawsze lepiej zapytać, pomyślała.

– Nie – odparł Alexander i pokręcił głową. – Do Eskilstuny nie.

Ciekawe, ilu ludzi zabili do tej pory on i jego „amerykański przyjaciel”. I ilu zabiją tym razem.

– No dobrze – powiedział w końcu. – Najwyższy czas, żebyśmy porozmawiali o naszym różowym słońcu. Albo po prostu o tym, że zaczynam mieć paranoję i widzę rzeczy, których tak naprawdę nie ma.

– Przedstaw całą historię – poleciła Mattei. – Z pewnością jest taka sama bez względu na to, który z tych wariantów jest prawdziwy.

Chyba jest trochę zakochany w sobie, pomyślała.

– Jasne, słuszna uwaga – odparł Alexander, a na jego twarzy znów zagościł chłopięcy uśmiech.

Kilka godzin wcześniej brytyjskie wojskowe służby bezpieczeństwa przechwyciły esemes wysłany mniej więcej w chwili, kiedy samolot Lisy Mattei i jej kolegów startował z lotniska Bromma. Telefon, na który przyszła wiadomość, znajdował się kilkadziesiąt kilometrów na południe od Sztokholmu, a telefon nadawcy namierzono

w centrum Sztokholmu. Trzy minuty później odbiorca potwierdził otrzymanie wiadomości pustym esemesem.

– Jak to rozumiesz? – zapytała Mattei.

– Człowiek, który jako pierwszy odebrał wiadomość, przemieszczał się samochodem z prędkością około stu kilometrów na godzinę trasą E4 na północ w kierunku Sztokholmu. Nasi technicy są tego pewni. Posłużyli się trzema różnymi masztami telekomunikacyjnymi.

*Makes sense*, pomyślała Mattei i skinęła głową.

– Oba telefony są nam znane, choć nigdy wcześniej nie zostały użyte. Numery wskazują na to, że są to dwa z trzech telefonów, które Abdo Khalid kupił w Manchesterze prawie pół roku temu. Mają te same karty SIM.

– Jak brzmi wiadomość?

– Jest bardzo krótka i pozwala na różne interpretacje – odparł Alexander i podsunął jej odręcznie napisaną kartkę:

*Take care! L U*

– *Take*, spacja, *care*, wykrzyknik, spacja, wielka litera L, spacja, wielka litera U – przeczytała na głos Mattei.

– Tak jest – potwierdził Alexander i pokiwał głową.

– Jak to rozumiesz?

– Jeżeli różowe słonie naprawdę istnieją, to powiedziałbym, że to ostrzeżenie. Uważaj na siebie... wykrzyknik... wielkie L i wielkie U, czyli inicjały Louise Urqhart. Tajemniczej Brytyjki, która zniknęła bez śladu. Teraz chce powiedzieć swojemu ukochanemu Bomberowi, że musi uważać, bo ty i twoi koledzy depczecie mu po piętach.

– Jak to możliwe, że wysłała mu takie ostrzeżenie? Skąd mogła wiedzieć?

– Dobre pytanie. Powinno się udać to ustalić. Inne, bardziej prawdopodobne wytłumaczenie jest takie, że dostała się do Szwecji i chciała tylko przesłać Khalidowi wyznanie miłosne. Dała znak życia i obróciła to w żart, pisząc w młodzieżowym stylu. Wykorzystuje to, że L U może znaczyć zarówno *Love You*,

jak i Louise Urqhart, i nie ma pojęcia, że Abbdo przejawia osobliwe zainteresowanie materiałami wybuchowymi. A ja po prostu wmówiłem sobie, że widziałem różowego słonia.

– Jest jeszcze trzeci wariant – powiedziała Mattei.

– Prawdziwy różowy słoń. I to najbardziej różowy ze wszystkich – zgodził się Alexander.

– Jak to?

– Może być i tak, że ktoś z twojej organizacji dowiedział się o śledztwie przeciwko Khalidowi, które właśnie rozpoczęliśmy. I ten ktoś chce go ostrzec. W najgorszym razie wie o istnieniu Louise Urqhart i posługuje się skrótem, który można odczytać jako jej inicjały, żeby nas zmylić. Ten pracownik dowiedział się o śledztwie równocześnie z tobą. Możliwe, że w tym waszym nowym, pięknym budynku w Solnie macie małego kreta.

– Myślę, że możesz wykluczyć troje moich towarzyszy podróży. Kiedy wsiadaliśmy do samolotu, nie mieli pojęcia, czego w ogóle dotyczy ta sprawa. Nikt z nas nie znał Khalida, dopóki nam o nim nie opowiedziałeś. Poza tym im ufam. Bezwarunkowo.

Pozostaje mój szef, dyrektor generalny, pomyślała. Muszę z nim porozmawiać, jak tylko go zobaczę. Już nie mogę się doczekać.

– Ja też im ufam – odparł Alexander. – Dlatego, że to ty ich wybrałaś, i dlatego, że ufam tobie.

– Co w takim razie teraz zrobimy? W czysto praktycznym sensie.

– Już o to zadbałem. Kiedy przyjdiesz do pracy i włączysz komputer, znajdziesz tam nowy adres kontaktowy, przeznaczony tylko dla ciebie i dla mnie i tylko do tej jednej sprawy. Potem każde z nas będzie pracowało osobno i zobaczymy, jak to się wszystko rozwinie. Miejmy nadzieję, że po prostu się pomyliłem.

– Dobrze, zróbmy tak – zgodziła się Mattei. – Ostatnie pytanie. Jak to możliwe, że mi ufasz? Przecież dopiero się poznaliśmy.

– Jesteś taka jak ja – odparł Alexander. – Zrozumiałem to, jak tylko cię zobaczyłem. W dniu, w którym przestanę ufać samemu sobie, przestanę też tutaj



pracować. Wrócę do Merton i zajmę się myśleniem, czytaniem i pisaniem. Może nawet będę spędzał czas z dziećmi.

– A może będziesz tylko strzelał do bażantów i pił drogie wina?

– Niewykluczone, że czasem coś ustrzelę – odparł Alexander z tym samym delikatnym uśmiechem. – Zobaczymy, niech każdy dzień swój ciężar dźwiga. Na pewno rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć.

KIEDY ALEXANDER i Mattei wrócili po rozmowie w cztery oczy, ich współpracownicy byli już na miejscu. Podano im herbatę i, jeśli sądzić po niewymuszonej atmosferze, rozmowa nie dotyczyła pracy.

Współpracownica Alexandra – kobieta, która wyglądała, jakby pochodziła z Bliskiego Wschodu – naląła im obojgu herbaty. Zaczęła od Mattei i z przyjaznym uśmiechem zapytała, czy chce cukier, czy mleko. A może woli kawę zamiast herbaty? Do tego szczerze polecała ich bułeczki – domowe, z masłem, marmoladą, dżemem i bitą śmietaną, gdyby ktoś miał takie życzenie.

Lisa zadowoliliła się filiżanką herbaty, ukradkiem po raz nie wiadomo który spojrzała na zegarek i poczuła narastające zniecierpliwienie. Nie uszło to uwadze gospodarza. Rzucił jej pytające spojrzenie, a ona skinęła głową. Niczego więcej nie potrzebował.

– Pięć minut – oznajmił i uformował sklepienie ze swoich długich dłoni, tak że koniuszki palców się zetknęły. – Choć czas upływa nam tak miło, naszych szwedzkich kolegów wzywają obowiązki służbowe. Nie zatrzymujmy ich bez potrzeby.

Dziesięć minut później Lisa Mattei i jej troje towarzyszy siedzieli w samolocie. Członkowie załogi – dwóch pilotów i stewardesa – byli nowi, ale najprawdopodobniej wycięci z tego samego szablonu co ich koledzy.

Ciekawe, z jakiego rodzaju drewna ich strugają, pomyślała Lisa Mattei. Jeśli wziąć pod uwagę ich historię, pewnie ze starego angielskiego dębu, materiału, z którego Anglicy z pewnością wytwarzali załogę okrętów wojennych w ciągu pięciuset lat panowania na morzach całego świata.

– Właściwy materiał – wyszeptała Lisa. Pochyliła się do Wiklandera i dyskretnie skinęła głową w stronę stewardesy, która stała za bufetem. – Ale to chyba nie dąb,

co?

– Domyślam się, że chodzi ci o to, że gdyby byli wykonani z tego ich brytyjskiego dębu, nie mieliby tak jasnej, lekko czerwonej cery, takiej, jaką mają tylko prawdziwi Brytyjczycy.

– Tak jest – zgodziła się Mattei. – Mam na myśli to, że powinni być znacznie bardziej brązowi. O ile to jest dąb.

– Może zdębieją, kiedy im o tym powiesz. Nabiorą właściwego koloru i zrobią się twardzi.

– Szefowo i cała reszta... co byście powiedzieli na pięć minut ciszy? – spytała Martinez. – Nie wiem, czy pamiętacie, ale zanim wylądowaliśmy, powiedziałam, że denerwują mnie ludzie, którzy rozmawiają w windzie albo podczas startu i lądowania.

Cisza, którą Linda Martinez wyprosiła, kiedy startowali, panowała w zasadzie przez całą podróż. Martinez i Dan Andersson przenieśli się na tył samolotu. Odpowiedzieli twierdząco na pytanie stewardesy, czy mają ochotę na ciepłą kanapkę, kawę i wodę, i wrócili do stukania w klawisze. Lisa zamówiła taką samą kanapkę, wodę mineralną i jeszcze jedną filiżankę herbaty. Podłączyła czerwony pendrive do komputera i zaczęła szybką lekturę liczących ponad pięćset stron materiałów, które dał jej Alexander.

Jedynym odstępstwem od normy było to, że Wiklander pochwalił ciepłą kanapkę z serem, czekoladą i owocami. Potem poruszył temat wyśmienitego włoskiego czerwonego wina, które ostatnio podano im do lunchu.

– Czy dałoby się... – zaczął.

Stewardesa zapewniła, że jak najbardziej. Cała przyjemność była po jej stronie i nikt nie cieszyłby się bardziej niż ona, gdyby Wiklander zechciał się zlitować nad ostatnią butelką, która w przeciwnym wypadku stałaby na półce i niepotrzebnie komplikowała jej raporty stanu zapasów.

– Obiecuję, że zrobię, co w mojej mocy – oznajmił Wiklander.

Potem wyjął z kieszeni marynarki zmięty egzemplarz „Timesa”. Z drugiej kieszeni wyciągnął ołówek z gumką i zaczął rozwiązywać krzyżówkę.

– Znalazłem wczorajszego „Timesa” – powiedział do Mattei. – Ich niedzielne krzyżówki są bezkonkurencyjne.

– Mhm – mruknęła Mattei.

Zdążyła już trochę przeczytać i myślami była teraz gdzie indziej.

Muszę mieć kogoś, z kim będę mogła porozmawiać, pomyślała. Komu będę mogła zaufać.

Gdyby jej dawny szef i mentor – Lars Martin Johansson – nadal żył, to nie miałyby najmniejszego problemu z wyborem. Gdyby chociaż był na emeryturze, i tak by sobie poradziła, w najgorszym wypadku nie powiedziała by o tym obecnemu szefowi. Ale on nie żył. Wykopał sobie grób nożem i widelcem, jowialnym usposobieniem i wielką serwetą na brzuchu. Przed jedzeniem wtykał ją za kołnierz koszuli. „Zawsze się strasznie uświnie” – tłumaczył. Najwyraźniej nie aż tak bardzo, skoro do ust trafiło na tyle dużo, żeby wywołać rozległy zawał, pomyślała Mattei.

– Słuchaj – zwróciła się do Wiklandera. – Mam pytanie.

– Mhm – mruknął Wiklander.

Właśnie się zastanawiał nad nazwiskiem „kompozytora motetów polifonicznych, o których pisał Sherlock Holmes”. Trzy wyrazy – kolejno na siedem, dwie i pięć liter.

– Myślałam o Larsie Martinie – powiedziała. – Jak ci się wydaje, co sobie pomyślał, kiedy dotarło do niego, że umiera?

– Człowiek, który widzi, co jest za rogiem – odparł Wiklander.

– Tak.

– Pomyślał: już czas. Zobaczył to z wyprzedzeniem.

– Też mi się tak wydaje – odparła Mattei. – Dlatego chciałam cię prosić o przysługę.

– Słucham – oznajmił Wiklander, odłożył gazetę i ołówek na stół i odchylił się w fotelu.

Materiał, który dał jej Anglik, był podzielony na trzydzieści siedem rozdziałów i opatrzony kilkunastoma kodami dostępu. Gdyby to wszystko zastosować w praktyce, nikt oprócz niej nie miałby pełnego oglądu całości.

– Tak nie może być – stwierdziła Mattei i pokręciła głową. – Muszę mieć przynajmniej jedną osobę, z którą mogłabym porozmawiać, a niedługo pewnie się okaże, że musi nas być więcej. Jeszcze trochę, a oszaleję od tych gadek o kodach, dostępie i klauzulach tajności. Nie mówiąc już o kolorach, które mogą oznaczać zupełnie różne rzeczy: zielony może być czerwony, tyle że czerwiejszy, ale nie odwrotnie...

– Doskonale cię rozumiem – zarechotał Wiklander. – Miło słyszeć, że przynajmniej jest nas dwoje. Dobrze, że nie jesteśmy daltonistami.

– Postanowiłam, że dam ci wszystko, co dostałam od niego.

– Rozumiem – odparł Wiklander. – To może zabrzmieć trochę dziwnie, ale uważam, że to mądra decyzja. Sam postąpiłbym tak samo.

– Dobrze. No to podjęliśmy decyzję. Sprawa jest prosta: chcę, żeby to zostało między nami, dopóki się nie dowiem, o co tak naprawdę chodzi.

– Niech tak będzie – zgodził się Wiklander. – Wszystko ma swój czas, jak powiedziałyby Lars Martin.

– Wszystko ma swój czas – powtórzyła Mattei.

Miejmy nadzieję, że różowe słonie nie istnieją, dodała w myślach.

– A teraz ja mam pytanie do ciebie – oznajmił Wiklander. – Sherlock Holmes, motety polifoniczne. Trzy wyrazy, kolejno siedem, dwie i pięć liter.

– Nie mam zielonego pojęcia – odparła Mattei i pokręciła głową.

– Mam! Orlando di Lasso, szesnastowieczny holenderski kompozytor, wspomniany w jednym z opowiadań Conan Doyle’a o Sherlocku Holmesie. – Wiklander przypomniał sobie prawidłową odpowiedź, jak tylko odłożył gazetę.

Ich samolot wylądował na lotnisku Bromma za piętnaście dziewiąta. Jej samochód już czekał. Miała nadzieję, że kiedy się zjawi w mieszkaniu przy Narvavägen, Ella będzie rześka jak skowronek.

– Witam w domu, szefowo – powiedział jej kierowca. – Rozumiem, że musimy pruć?

– Ile fabryka dała.

Chyba właśnie tak się mówi w jego wieku, pomyślała. Pruc, ile fabryka dała.

A nie „wszystko ma swój czas”.

## 18

JEJ DAWNY SZEFEJ oczywiście jak zwykle miał rację. Wszystko miało swój czas, a tego dnia czas na zabawę z Ellą minął. Kiedy wpadła do mieszkania, rzuciła torbę i zzuła buty, do przedpokoju wszedł jej mąż, Johan.

– Witaj w domu, kochanie – powiedział, pokręcił głową, uśmiechnął się i objął Lisę ramieniem.

– Śpi?

– Jak kłoda – potwierdził Johan. – Jeżeli to może być jakieś pocieszenie dla jej mamy, to dodam, że zasnęła dwie godziny temu. Pokładała się już przy jedzeniu. Potem tylko mycie zębów, nocna koszula z misiami i hop do łóżka. Nie zdążyliśmy nawet z żadną bajką.

– Chyba się nie rozchorowała? – Lisa obrała kurs na pokój Elli.

– Nie – odparł Johan. – Odkąd koło piątej odebrałem ją z przedszkola, bez przerwy paplała o tobie, o waszym śniadaniu z kawą i goframi z dżemem i o tym, że pojechała do przedszkola prawdziwym radiowozem. Najlepsze było to, że mama nie jest jakąś tam zwykłą policjantką. Ona rządzi wszystkimi innymi zwykłymi policjantami i dlatego wygląda jak zwykła mama. Ella jest teraz w przedszkolu niekwestionowanym liderem. Wszystkie wielkie, złośliwe chłopaki leżą jej u stóp. Policjanci obiecali, że wrócą do przedszkola z prawdziwym policyjnym psem, którego wszystkie nieuczulone dzieci będą mogły pogłaskać.

Lisa stanęła w drzwiach pokoju córki. Ella leżała na środku łóżka i spała tak, jak śpią małe dzieci, które dobrze się czują. Nieruchomo, nie wydając żadnego dźwięku. Nie było widać ani słyszać, że oddycha. Leżała na plecach, ze skopaną kołdrą i koszulą nocną podwiniętą na brzuchu, w otoczeniu maskotek.

– Halo, Ziemia do Lisy Mattei – powiedział Johan.

– Przepraszam – odparła Lisa, odwróciła się i go objęła. – Przepraszam, jestem

trochę zestresowana.

– Prawie nie widać. Jadłaś jakąś kolację?

– Kanapkę i herbatę – odparła. – Czy jestem głodna? W sumie nawet nie zdążyłam się nad tym zastanowić.

– Z cukrem we krwi nie ma żartów – powiedział Johan. – Zajmę się tym, żebyś mogła popieścić naszą córkę. Ale postaraj się jej nie obudzić.

– Obiecuję.

A kiedy ty i ja będziemy mieli swój szczególny dzień? – myślała. Jeden z tych, które sprawiły, że ze sobą zamieszkaliśmy. I że postanowiliśmy wziąć ślub.

Kiedy weszła do kuchni, zobaczyła, że Johan nakrył dla dwóch osób. Ubrany w jej czerwony fartuszek, stał pochylony nad otwartym piekarnikiem.

– Niech zgadnę – powiedziała. – Spaghetti z sosem bolońskim.

– Tu się pani myli, pani władzo. To lasagne mojej własnej roboty.

– *Fantastico!* – zawołała Lisa. Czują, że z niewiadomych powodów jest w dobrym humorze. – Skoro tak, to cię nie spiorę. Myślałam, że już jadłeś.

– Postanowiłem podzielić to na dwie tury – odparł Johan i wzruszył ramionami. – Najpierw córka, a potem żona. Choć jedzenie to samo. A właśnie, co powiesz na kieliszek czerwonego wina? – zapytał i uniósł nieotwartą butelkę.

– Muszę wstać o wpół do szóstej, o siódmej być w pracy, potem mam spotkanie z szefem...

– Czyli bez czerwonego wina.

– Jasne, że mam ochotę na czerwone wino. Kieliszek? Nie, co najmniej dwa. Powiem ci, że mogłabym tu siedzieć... uuu... całą noc.

W ciągu minuty Johan podał im lasagne i świeżo zrobioną sałatkę, odkorkował butelkę, nalał czerwonego wina, wyjął dużą butelkę wody mineralnej i na koniec postawił pomiędzy nimi talerz tartego sera i młynek do pieprzu.

– Całe szczęście, że nie pracujesz w knajpie – stwierdziła Lisa. – Wszyscy inni zostaliby zwolnieni, bo nie mieliby nic do roboty.

– Wiem – odparł Johan. – Dlatego pracuję w filmie. To bardziej jak zakład pracy



chronionej. Nikt nie zostaje zwolniony. Nawet jeśli podaje matiasy do makaronu. No, opowiadaj. Chcę wiedzieć dokładnie, co dzisiaj robiłaś. Od przedpołudnia, kiedy zostawiłaś naszą córkę w przedszkolu, aż do chwili, kiedy dwadzieścia minut temu przekroczyłaś próg mieszkania i natychmiast zaczęłaś rozrzucać wokół siebie rzeczy osobiste. O ile oczywiście to nie jest tajemnica. Bo jeśli tak, to możemy porozmawiać o czymś innym.

– Tajemnica jak cholera – odparła Lisa ściszym głosem, pochyliła się i chwyciła go za rękę. – Ale tobie i tak opowiem. W końcu jesteś moim mężem. Masz prawo wiedzieć...

– Jakie klauzule tajności obowiązują w przypadku mężów?

– Obawiam się, że takie same jak w przypadku zwykłych konkubentów – odparła Mattei i spróbowała czerwonego wina. – Chociaż wyroki są niższe po ślubie, więc to jeszcze nie koniec świata.

– Aha. Skoro tak mówisz – odparł Johan i na wszelki wypadek odstawił kieliszek na stół.

– Byłam w Wielkiej Brytanii i poznałam Jamesa Bonda – powiedziała i przejechała paznokciem palca wskazującego po grzbiecie jego dłoni.

– Ale nic się nie stało? Nic, o czym powinienem wiedzieć?

– Oczywiście, że się stało – odparła Lisa. – Kiedy tu weszłam i najpierw zobaczyłam ciebie, a potem stanęłam i popatrzyłam na pochrapującą w łóżku Elle, dotarło do mnie, jak mam dobrze. Nie jest to żadna tajemnica i możesz o tym powiedzieć każdemu, kto będzie chciał słuchać. Oprócz tego wydarzyło się całkiem sporo paskudnych rzeczy, które zwykle mają tendencję do wpadania w wentylator i bryzganca na wszystkie strony. Jeśli o tym komuś powiesz, choćby nawet mojej mamusi, która pracowała w tym samym miejscu dłużej ode mnie, niestety będę zmuszona cię zabić. Po cichu. Byłoby to megaprzykre z uwagi na to, co powiedziałam wcześniej. Megaprzykre – powtórzyła. – Tak się mówi, prawda?

– Niektórzy tak mówią, ale ty nie. Okej. W takim razie porozmawiajmy o czymś innym.

– Otóż to – odpowiedziała Lisa i skinęła głową. – Porozmawiajmy o tobie, o mnie

i o naszej córce. Choć raz porozmawiajmy o czymś ważnym. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to ja chciałabym zacząć.

– Okej, okej – odparł Johan. – Ale zanim zaczniesz i zanim umrę z ciekawości, mogę zadać jedno pytanie o tamto? Tylko jedno, obiecuję.

– Jasne. – Lisa na wszelki wypadek zaczęła sączyć wino. – *I'm all ears. Shoot, officer.*

– Byłaś w Wielkiej Brytanii i poznałaś Jamesa Bonda?

– Tak – odparła Lisa. – Albo przynajmniej jego szefa. Ale prawdziwego.

– Dziwne masz życie.

– Tak.

Co innego miałabym powiedzieć, pomyślała. Poza tym taka była prawda.

Już przy drugim kieliszku Lisa zaczęła opowiadać o tym, co chodziło jej po głowie, o sprawach, które nie dawały jej spokoju. Z początku niepewnie, nieskładnie, punkt po punkcie, jak ktoś, kto porusza ważne i trudne tematy, które w dodatku dotyczą i jego, i rozmówcy.

Lisa Mattei pracowała w policji od dwudziestu lat i wszystko wskazywało na to, że przepracuje tam przynajmniej drugie tyle. Spędzała w pracy pięćdziesiąt godzin tygodniowo, a jeśli nie, to znaczyło, że spędzała ich więcej. Zdawała sobie sprawę, że za kilka lat Ella przestanie być dzieckiem i zacznie być nastolatką, a za kilka kolejnych stanie się dorosła i nie będzie już z nimi mieszkała.

– Wiesz, ile razy zdążyłam ją zawieźć do przedszkola i stamtąd odebrać w zeszłym tygodniu? Raz ją zawiozłam. Ty zawiozłeś ją cztery razy i odebrałeś pięć. Połowa tygodnia wyglądała tak, że wyjeżdżałam, kiedy jeszcze spała, i wracałam, kiedy już spała. Co będzie za dwadzieścia lat? Kiedy nie będę już mogła pracować w policji. Kim wtedy będę? Nikim, bo wszystko inne straciłam, żeby być policjantką.

– Nieprawda – odparł Johan i pokręcił głową. – Ella cię kocha. I będzie cię kochała. A przedszkolem się nie przejmuj, mam po drodze do pracy i z powrotem. To wręcz najkrótsza droga. W czym problem? To wszystko kwestie praktyczne.

I rozwiązuje się je w najbardziej praktyczny sposób.

– Nie słuchasz mnie – odparła Mattei. – Mówię o sobie.

– Słucham, ale argumentu z zawożeniem i odbieraniem nie kupuję. Nie o to chodzi.

– A o co?

– Jak często tata pozwalał jej jechać do przedszkola radiowozem? Ani razu. W tym rzecz. Chodzi o to, że kiedy dorośnie, będzie wspominała, jak to było w dzieciństwie.

– Miałyśmy pójść do Skansenu i pooglądać małe niedźwiadki, które właśnie się obudziły – odparła.

– Ciągłe tam są – stwierdził Johan i wyszczerzył zęby. – Dokąd miałyby pójść? Gdybym żył tak jak one, wolałbym przespać cały rok. Przejazdka radiowozem do przedszkola to zupełnie inna sprawa. To się nazywa wycucie czasu, umiejętność złapania nadarżającej się okazji, wspomnienie, które zostaje w głowie na całe życie. Dobre wspomnienie. Tata odwiózł mnie do przedszkola. No i co z tego? – zakończył i rozłożył ręce.

– Zupełnie inna sprawa – powiedziała Lisa Mattei. – Dasz radę posłuchać?

– Tak. Będę cię słuchał, dopóki nie zrozumiesz, że kiedy decydujemy, co robić, wybieramy to, co jest najbardziej praktyczne. Dla nas obojga i dla każdego z osobna.

– Tak, wiem. Wiem to wszystko, ale teraz chcę porozmawiać o mnie. Posłuchaj tego – powiedziała, nalewając wina do kieliszka. – Za każdym razem, kiedy czytam gazetę, słucham radia albo oglądam telewizję, jest tam mowa o relacjach. Z jakiegoś powodu najczęściej o relacji matki z córką.

– Selektywna percepcja – odezwał się Johan. – Ciekawie byłoby pokazać to w filmie, w którym...

– Słuchaj, co mówię – przerwała Lisa.

– Okej, okej – Johan podniósł ręce w geście obronnym.

– Jak myślisz, jak się wtedy czuję? Nie trzeba pracować w policji, by zrozumieć, że gdyby na tym świecie istniała sprawiedliwość, to ktoś taki jak ja powinien zostać pozbawiony prawa do opieki nad Ellą. Tak się właśnie czuję, kiedy zaczynają mówić

na ten temat.

A mimo to chłoneła takie informacje jak ćma, która leci do lampy naftowej, chociaż wie, że płomień może spalić jej skrzydła. Robiła to, choć zdawała sobie sprawę, że powinna tego unikać i nie myśleć tak, jak tego wymagano od podobnych do niej kobiet w czasach Hjalmara Söderberga. Złościła się na siebie, a raczej wściekała, bo mimo wszystko nadal myślała w ten sposób. Sto lat później. Była naprawdę wściekła z powodu swoich wyrzutów sumienia.

– Więcej ludzi powinno to robić.

– Co robić?

– Myśleć o tym, jak myślano w czasach Hjalmara Söderberga. O tym, a nie tak samo. Chociażby po to, aby zrozumieć, że teraz żyjemy w innych czasach. Nie po to, żeby się oderwać od życia, lecz żeby zyskać perspektywę na teraźniejszość.

– Musisz być mną zmęczony jak cholera – powiedziała Mattei.

– Nie jestem – odparł Johan i pokręcił głową.

– Dlaczego?

– Dlatego, że cię kocham. Po prostu.

Położył dłoń na jej dłoni, spojrzał na nią i skinął głową w kierunku ich sypialni.

– Co powiesz na...

– Myślałam, że nigdy nie zapytasz – rzekła Mattei, odstawiała szklankę i wstała.

Godzinę później doszła do wniosku, że seks to dobra rzecz. Niemal zawsze pozwalała jej oderwać myśli od bieżących spraw, a kiedy był naprawdę dobry, nie myślała o niczym. Tak jak teraz. Chwilę później zasnęła.

II

Wtorek 12 maja – poniedziałek 18 maja

**Bomber i jego kobieta**

**Przygotowanie do polowania**

LISA MATTEI obudziła się pięć minut przed czasem. Zdążyła wyłączyć budzik w komórce, żeby nie obudzić Johana.

Kiedy ostatnio wypiałś w poniedziałek trzy kieliszki czerwonego wina? – zapytała się w myślach. I zaraz sobie odpowiedziała: nigdy. Mimo to była wypoczęta, miała jasny umysł i wyjątkowo pozytywne nastawienie. Podoba ci się to, powiedziała do siebie.

Po drodze do łazienki stanęła w drzwiach sypialni Elli i zajrzała do środka. Ella spała, tak spokojnie, jak to potrafią tylko małe dzieci, które dobrze się czują. Sama spałam jak dziecko, pomyślała. Może stąd się bierze moje samopoczucie.

Pół godziny później była już wykąpana i miała typowy dla siebie powściągliwy makijaż. Włożyła czyste ubrania. Strój wybrała starannie, pod kątem czekającego ją zadania. Niebieskie spodnie, granatową koszulę, niebieski żakiet, czarne szpilki na średnim obcasie. Najbliżej munduru, jak to było możliwe. Do munduru nie potrafiła się przekonać już dwadzieścia lat wcześniej, tuż po szkole, kiedy przechodziła okres próbny w policji porządkowej w City. Wtedy nie miała wyboru i musiała go nosić.

Przy śniadaniu i pierwszej filiżance herbaty przygotowała wiadomość dla Elli. Narysowała duże czerwone serce z tekstem „Ella i Lisa. Naprawdę”. Na koniec narysowała dwa uśmiechy i dwie policjantki w mundurach, które stały po obu stronach serca i salutowały.

Potem pozbierała ze stołu, wyszła z kuchni i minęła pokój Elli. W chwili kiedy kładła wiadomość na progu, dostała esemes od kierowcy. Stał pod bramą.

Dasz radę, Liso, powiedziała sobie.

Kiedy weszła do swojego gabinetu, było dziesięć minut przed siódmą. Jej sekretarka Karin już przyszła.

– Niebieski, dobry wybór – stwierdziła. – Wszyscy chłopcy rozumieją, że nie ma

czasu na ich zwyczajowe rozwlekłe wystąpienia. Trzeba wysłać jasne sygnały. Właśnie dzwonił kolega Wiklander i pytał, czy może się z tobą spotkać. Jest tutaj.

– Z tym może być problem – odparła Mattei. – Za dziesięć minut mam spotkanie z szefem.

– Nim nie musisz się przejmować – oznajmiła Karin. – Dzwonił z informacją, że spóźni się pół godziny. Wygląda na to, że jest korek...

Karin nie lubi naszego nowego szefa, pomyślała Mattei. Ciekawe dlaczego.

– Dobrze – powiedziała. – W takim razie możesz powiedzieć Janowi, żeby do mnie przyszedł. Raz-dwa – dodała z uśmiechem.

– Muszę przyznać, że mam słabość do Wiklandera – odparła Karin. – W porządku z niego facet. Poza tym ma naprawdę wszechstronną wiedzę, czego nie można powiedzieć o wielu naszych kolegach...

Trzy minuty później Jan Wiklander wszedł do jej gabinetu. Delikatnie poruszył dłonią w pytającym geście, a ona odpowiedziała równie delikatnym uśmiechem. Usiadł po drugiej stronie jej wielkiego biurka.

Wiklander chciał rozmawiać o dwóch rzeczach. Po pierwsze, o wiarygodności informacji, których udzielił im angielski kolega. Po drugie, o czymś, do czego zamierzał przystąpić po uporaniu się z pierwszą kwestią.

– Mów – poprosiła Lisa Mattei.

W Manchesterze i okolicach mieszkało ponad dwa i pół miliona ludzi. Dziesiątki tysięcy były muzułmanami, a około trzystu figurowało na liście „znanych, podejrzanych, domniemyanych terrorystów powiązanych z muzułmańskimi organizacjami terrorystycznymi” – tak sformułowały to angielskie służby specjalne, kiedy przekazywały tę informację współpracownikom.

Okolo czterdziestu osób ujętych na liście miało takie czy inne powiązania z uniwersytetem w Manchesterze. Dwóch brakowało – po pierwsze, studenta podejrzewanego o udział w samobójczym zamachu przed Old Trafford, a po drugie, ich rodaka, Abda Khalida, który miał udzielać rad na temat pocisków wykorzystanych do produkcji użytej bomby.

Wiklander był pewien, że w tym kręgu znajdował się informator Alexandra. Prawdopodobnie nie był to zwykły informator – prędzej wtyczka lub agent umieszczony tam przez MI6 i tak ważny, że nawet nie wspomnieli o nim kolegom z innych organizacji działających w ramach brytyjskich służb specjalnych.

– Słucham – oznajmiła Mattei i skinęła głową, żeby mówił dalej.

Znowu Johansson, pomyślała. Muszę się pilnować.

– Nie wydaje mi się, żeby chodziło o człowieka, który szukał porady – stwierdził Wiklander. – Czy nawet o samego Khalida. Khalid i jego angielski kumpel to po prostu nie ten poziom. Osoba, o której myślę, ma ważniejsze sprawy na głowie.

– Kto to taki?

– Zgaduję, ale przede wszystkim musi to być ktoś, kto na uniwersytecie pełni funkcję pozwalającą wyszukiwać takich ludzi jak oni. Wykładowca albo pracownik administracji, który nie ma problemu ze zdobyciem zaufania i zwabieniem ich.

– Jestem tego samego zdania – odparła Mattei. – Co teraz?

– Myślę, że powinniśmy zrezygnować z zadawania tego pytania Alexandrowi.

– Zgadzam się w zupełności. Przyznam, że już raz próbowałam.

– Chwała mu za to, że nic nie powiedział – rzekł Wiklander. – Ja postąpiłbym tak samo.

– Co w takim razie zrobimy?

– Albo spróbujemy sami to ustalić, albo darujemy sobie ten element. W zależności od tego, jak bardzo jest dla nas ważny.

– Darujmy go sobie. Przynajmniej na razie.

– Rozsądnie – stwierdził Wiklander i zdecydowanie pokiwał głową.

– Jaka jest ta druga sprawa, którą chciałeś omówić?

– Chciałbym porozmawiać o tych wszystkich kobietach z Zachodu, które się pojawiają w tym kontekście. Poczynając od szalonej Amerykanki, Jihad Jane, która zamierzała zamordować karykaturzystę Larsa Vilksa, aż po Samanthę Lewthwaite, tak zwaną Białą Wdowę, której mąż Jamajczyk wysadził się w londyńskim metrze. A nawet Louise Urqhart, którą mógł zwerbować Khalid. Według materiałów, które dostaliśmy od Alexandra, w samych tylko Stanach Zjednoczonych i Wielkiej



Brytanii jest kilkaset takich kobiet. Mówię tylko o tych, które są nam znane.

– Rozumiem, że chcesz sporządzić podobny wykaz u nas? – zapytała Mattei.

– Tak – potwierdził Wiklander. – Mam zamiar zlecić to jednemu z moich analityków. Choć nie mam pojęcia, czy to może mieć znaczenie dla naszego śledztwa.

– Zrób to – poradziła Mattei. – Przynajmniej wzbogacisz swoją wiedzę.

– Tak. W najgorszym wypadku to się przyda następnym razem, kiedy będziemy pracowali nad podobną sprawą. A tak w ogóle, myślałem, że o tej porze będziesz tu siedziała z naszym szefem.

– Zadzwoił i poinformował, że się spóźni. Chyba utknął w korku.

– Dziwne – stwierdził Wiklander i pokręcił głową.

– Dlaczego dziwne?

– Przecież mieszka w Birkastan. Po drugiej stronie Solnabron. To maksymalnie siedem minut jazdy. A dziś rano pięć.

– Rozumiem, co chcesz powiedzieć – odparła Mattei.

Wyglądało na to, że Wiklander, podobnie jak jej sekretarka Karin, nie lubił szefa. Z kolei Karin zdawała się lubić Wiklandera. To wszystko wydawało jej się za proste.

– No to dobrze – oznajmił z lekkim uśmiechem i zaczął się podnosić z krzesła.

– Dyskusja jest wtedy, kiedy rzucona piłeczka odbija się i wraca – stwierdziła Lisa. – Mam rację?

– Rozumiem – oznajmił i opadł z powrotem na krzesło. – Coś ci powiem. Pracuję tu prawie tak długo jak twoja mama i przez te wszystkie lata poświęciłem stanowczo zbyt wiele czasu na kłamstwa. Kłamałem w zasadzie każdemu, kto tylko był w stanie słuchać. Kłamałem żonie, dzieciom, zatroskanym obywatelom, dziennikarzom i wszystkim szumowinom, które próbowałem wsadzić za kratki albo przynajmniej wydalić z kraju. Rozsiewałem kłamstwa we wszystkich możliwych barwach, od najbielszej bieli do najczarniejszej czerni. Zawsze jednak robiłem to służbowo.

– Doskonale cię rozumiem – oznajmiła Lisa Mattei. – Cel uświęca środki.

– Tak, a honorem nie musisz się przejmować. Pozbywasz się go praktycznie

natychmiast, kiedy tylko zaczniesz traktować kłamstwa jak powietrze, którym oddychasz. Jednak żeby nie stracić zdrowego rozsądku, wcześniej postanowiłem, że nie będę kłamał bez potrzeby. Że przynajmniej będę się trzymał prawdy, kiedy nie chodzi o sprawy służbowe.

– Na przykład nie będziesz zrzucał winy na korek, jeśli zaśpisz.

– Coś w tym stylu.

Nagle drzwi pokoju się otworzyły i stanęła w nich Karin.

– Przepraszam, że przerywam – powiedziała.

– Tak, słucham – odparła Mattei.

Daj spokój, upomniała się w myślach.

– Nasz szef dzwonił z garażu. Za dwie minuty będzie w swoim gabinecie i chce się z tobą spotkać, natychmiast. Jak każdy grzesznik, który za późno się obudził.

– Muszę cię poprosić o przysługę – odparła Mattei. – Powiedz mu, żeby sam do mnie przyszedł. Ja nie za bardzo mogę stąd wyjść. Czekam na wiadomość. Wiesz, jedną z tych tajnych – dodała i wskazała głową swój komputer.

– Rozumiem doskonale – powiedziała Karin z wyraźnym rozbawieniem.

– Uważaj, Liso. – Jan Wiklander pokręcił głową, wstał i skinął w jej kierunku. – Do zobaczenia o dwunastej. Na pierwszym spotkaniu z naszą ekipą śledczą.

– Tak – odparła Mattei. – I niech cię drzwi ścisną, jeśli nie przyjdiesz na czas.

PIĘĆ MINUT po wyjściu Wiklandera w gabinecie Mattei zjawił się jej szef, dyrektor generalny. Od razu podszedł do biurka i usiadł na krześle naprzeciwko. Tym razem bez żadnego pytającego gestu, lecz z pewnością siebie wynikającą z pełnionej funkcji.

Zaczął od przeprosin za spóźnienie. Wyjaśnił, że co prawda mieszka w centrum, ale w pewne dni poranny ruch na ulicach Sztokholmu jest nie do opisania i to niestety był jeden z takich dni. Potem z zaciekawieniem skinął głową w stronę jej komputera. Usłyszał od Karin, że dzieje się coś ważnego, i oczywiście chciał wiedzieć, co to takiego. Czyżby ich angielski kolega znów się odezwał?

– Nadal czekam – skłamała Mattei z przyjaznym uśmiechem. – To całe kodowanie i dekodowanie zajmuje strasznie dużo czasu – dodała tytułem wyjaśnienia.

– Tak – zgodził się szef. – Wprawdzie jestem tu nowy, ale to jedno zrozumiałem. Tajemnice zabierają nam większość czasu.

Potem zapytał o wizytę u Anglika. Chciał znać jej efekt. Zapytał, co mają i jak poważna jest sytuacja, przez którą już dzień wcześniej podwyższył stan ich gotowości o jeden stopień.

Mattei zignorowała jego pytanie. Zaczęła od informacji, że Anglik podał im tożsamość podejrzanego, domniemanego sprawcy – obywatela Szwecji somalijskiego pochodzenia, który podczas Świąta Narodowego Szwecji planuje przeprowadzić tak zwany zamach samobójczy.

To wszystko wiedział już wcześniej, pomyślała.

– Mieli dla nas coś jeszcze? – zapytał.

Wyjaśniła, że dostali obszerny materiał, z którym jeszcze nie zdążyła się zapoznać, więc wolałyby poczekać z przedstawianiem swojego poglądu na tę sprawę. Ponieważ jednak angielski kolega traktował tę sprawę niezwykle poważnie,

postanowiła niezwłocznie wszcząć śledztwo przeciwko człowiekowi, o którym mowa. Rozmawiała już z ich prokurator – miały się spotkać za godzinę. Pierwsze spotkanie z ekipą śledczą zostało wyznaczone na dwunastą. Miała nadzieję, że już po południu rozpoczną pracę.

Jeśli chodzi o śledztwo, postanowiła, że zostanie ono objęte najwyższą klauzulą tajności i że od samego początku będą pracowali pełną parą zgodnie z planem obowiązującym w przypadku śledztw zakrojonych na szeroką skalę.

– Nieciekawa historia – stwierdził dyrektor generalny. – Mam wrażenie, że jesteś równie zaniepokojona jak nasz angielski kolega.

– Tak, przynajmniej dopóki nie udowodnię, że nie ma ku temu powodu.

– Rozsądnie – zgodził się dyrektor generalny.

– Powinieneś wiedzieć jeszcze jedno. Nie chcę, żebyś źle to odebrał, dlatego pomyślałam, że powiem od razu – oznajmiła Mattei z przyjaznym uśmiechem, który miał złagodzić wydzźwięk tego, co miała mu do przekazania.

– Wal – odparł dyrektor i też się uśmiechnął. – Jako ktoś, kto przepracował dziesięć lat w kancelarii i jeszcze więcej w polityce, jestem przyzwyczajony prawie do wszystkiego.

– Tak, choć do niektórych rzeczy człowiek nie powinien się przyzwyczajać – odparła Mattei i lekko ściągnęła usta.

– Cóż to takiego? – zapytał dyrektor generalny, tym razem z wyraźnym rozbawieniem.

Ponieważ chodziło o śledztwo, które przynajmniej na początku miało być prowadzone w największej tajemnicy, jaka tylko jest możliwa w Säpo, liczba informacji, które mogła mu przekazać, była znacznie ograniczona. Ona i tylko ona decydowała o tym, do których z nich będzie miał dostęp.

Szef przyjął to z humorem. Wyraził nadzieję, że w takim razie „okaże łaskę” i wybaczy mu jego ciekawość. Zapewnił, że doskonale ją rozumie, bo dobrze wie, jakie zasady obowiązują w ich pracy.

– Miło to słyszeć – odpowiedziała Mattei. – Możesz mi wierzyć, niełatwo powiedzieć coś takiego szefowi.

– Nie zazdrozczę ci, Liso. Jednocześnie chcę podkreślić, że całkowicie ci ufam i popieram cię z całego serca.

– Miło to słyszeć – powtórzyła Mattei i uśmiechnęła się, by pokazać, że czuje ulgę. – W takim razie muszę zadać jeszcze tylko jedno pytanie.

– Do wszystkiego się przyznaję – zażartował szef. – Daj mi tylko dokument z moimi zeznaniami, żebym mógł go podpisać.

– Tak źle nie jest. Rzecz w tym, że zgodnie z zasadami, których muszę się trzymać, odpowiadam też za to, żeby śledztwo było w pełni udokumentowane. Dokumentacja zaś w znacznej mierze ma dotyczyć informacji, które mogły trafić do różnych osób.

– Czyli chcesz wiedzieć, czy mówiłem jeszcze komuś to, co wczoraj przekazałem tobie? I co wiem od Alexandra?

– Tak – odparła Mattei.

Niegłupi z ciebie facet, dodała w myślach.

– Nie mówiłem – odparł dyrektor generalny, lekko się uśmiechnął i pokręcił głową. – Możesz mi wierzyć lub nie, ale nie pisałem ani słowem. Nikomu. Nie wspominałem nawet, że się wczoraj spotkaliśmy. A tym bardziej nie zdradziłem, choćby ogólnie, tematu naszej rozmowy. Tylko Karin wie, że rozmawialiśmy, lecz nie dowiedziała się tego ode mnie.

– Doskonale – stwierdziła Lisa Mattei. – W takim razie chcę cię prosić tylko o jedno. O krótkie spotkanie, kiedy już omówię wszystko z ekipą śledczą.

– Oczywiście – odparł dyrektor generalny. – Czy wtedy okażesz mi łaskę i zdradzisz wszystkie tajemnice?

– Nie – Mattei pokręciła głową. – Ale zamierzam dać ci spis osób, których będę potrzebowała. I wstępny kosztorys.

– Trafiłaś pod właściwy adres – odparł z werwą. – Mam czterech synów w takim wieku, że regularnie muszę sięgać do portfela. Że nie wspomnę o dwóch byłych żonach. Choć to są właśnie rzeczy, o których absolutnie nie wolno rozmawiać.

To prawda, pomyślała. Choćby z troski o siebie. Chociaż w czasach Hjalmara Söderberga byłoby to jak najbardziej w porządku, więc nie jesteś gorszy niż

ktokolwiek inny w podobnej sytuacji.

## 21

DZIESIĘĆ MINUT przed spotkaniem z ekipą śledczą Mattei poszła do łazienki, żeby po raz ostatni rzucić na siebie okiem. W jej przypadku nie mogło być mowy o plamach z sosu na koszuli, zapaszku zwiastującym ubytki higieny czy tym bardziej rozpiętym rozporku, który w przypadku jej kolegów mógł oznaczać wszystko – od zwykłego żartu między kolegami po wyraz męskiej siły i tego, że w pracy mieli ważniejsze rzeczy na głowie niż tego typu szczegóły. Kiedy chodziło o nią, wystarczyła odrobina szminki na zębach, żeby do końca swojej służby w policji była znana jako Lisa Szminkozębna.

Kto powiedział, że życie ma być sprawiedliwe, pomyślała. Teraz jednak wyglądała od początku do końca nieskazitelnie. Tak jak Jeremy Alexander, choć różniło ich to, że on nie poświęciłby tej kwestii ani jednej myśli. Na pewno nie zapiąłby górnego guzika koszuli, żeby po chwili wahania rozpiąć go znowu, dając do zrozumienia, że się nie denerwuje. Przeciwnie – rozpięty guzik pokazywał pewność siebie i otwarte podejście do czekającego ich problemu.

– *Impeccable* – skostatowała Lisa Mattei i skinęła głową w stronę odbicia w lustrze.

Ktoś taki jak ona nie mógł sobie pozwolić na krawat w różowe słonie. Nawet gdyby chciała go założyć.

Pierwsze spotkanie z ekipą śledczą. Oprócz niej w pokoju było jedenaście osób. Prokurator, która w sensie formalnym odpowiadała za czekającą ich robotę, jej najbliższy współpracownik i wiceszef śledztwa, Jan Wiklander, oraz ośmiu szefów grup odpowiedzialnych za analizę, działalność wywiadowczą, przesłuchania, dochodzenie wewnętrzne i zewnętrzne oraz cały szereg spraw technicznych. Od zwykłych oględzin i rekonstrukcji, namierzania telefonów komórkowych i podsłuchiwanie rozmów po montaż ukrytego mikrofonu w sypialni podejrzanego

czy wyszukiwanie kolejnych specjalistów, gdyby zaszła taka potrzeba. Był też Dan Andersson, mający chronić tych, o których przede wszystkim chodziło, i to z nim należało omawiać kwestie bezpieczeństwa. Nikt nie znalazł się tu przypadkowo.

Mattei zaczęła od powitania. Nie pracowali ze sobą po raz pierwszy, dobrze się znali, więc żadne bardziej szczegółowe prezentacje nie były potrzebne. Dostali już materiały, których potrzebowali, a cała reszta miała najwyższą klauzulę tajności i najwyższy priorytet.

– Jeśli obawy niektórych rzeczywiście są słuszne, będziemy działać według specjalnych wytycznych, ale zanim podejmę tę decyzję, chciałabym wiedzieć, o co tak naprawdę chodzi. Dzisiaj jest wtorek. Najpóźniej w piątek o drugiej po południu chcę wiedzieć wszystko o Abbdzie Khalidzie, jego rodzinie i pozostałych kontaktach, które mogą nas zainteresować. Wiklander będzie codziennie sprawdzał, czy wszystko się zgadza, więc mogę spokojnie przenosić moje segregatory z miejsca na miejsce. To wszystko – zakończyła i przyjaźnie się uśmiechnęła. – Macie jakieś pytania?

Szczypta autoironii nie zaszkodzi, pomyślała. Nikt jeszcze od tego nie umarł.

Zgodne kiwnięcia głowami świadczyły o tym, że nie było żadnych pytań. Zobaczyła za to kilka uśmiechów.

– Okej, w takim razie pozostaje kilka praktycznych rzeczy, z którymi będę musiała iść do naszego dyrektora generalnego. Chcę mieć wstępne kosztorysy, harmonogramy dyżurów, wnioski o środki prewencyjne, specjalistyczny sprzęt i ewentualne wsparcie innych jednostek i organów, a także szczególne życzenia i wszystko to, o czym na pewno zapomniałam. Słucham.

W sumie trzydzieści siedem minut, pomyślała, kiedy pół godziny później ruszyła do gabinetu dyrektora generalnego.



DYREKTOR GENERALNY leżał na sofie i czytał „Dagens Industri”. Na stoliku obok stała miska z orzechami, rodzynkami i ziarnami. Przyjaznym, choć lekko nieobecny ruchem wskazał fotel po przeciwnej stronie, nie przerywając lektury.

– Siadaj, Liso. Siadaj – powiedział. – W czym mogę ci pomóc?

– Oto wstępne kosztorysy, lista personelu, różne pozostałe koszty związane z naszą sprawą – odparła Mattei i położyła na stoliku czerwoną koszulkę z dokumentami.

– Zastanawiam się nad zakupem paru leków – oznajmił. Myślami najwyraźniej był gdzie indziej.

– Mam nadzieję, że to nic poważnego – odparła z niewinną miną.

– To jest poważne – stwierdził, usiadł i odłożył gazetę. – Nie zrozumiałaś. Nie chodzi mi o lekarstwa. Mówię o akcjach. Akcjach leków. Dziękuję za troskę, ale czuję się wybornie. Jak ryba w wodzie, jak pączek w maśle.

– Miło to słyszeć – odparła Mattei z przyjaznym uśmiechem. – Bo już prawie zaczęłam się martwić.

Jaki pożytek możemy tu mieć z pączka? – pomyślała.

– Opowiadaj – polecił dyrektor. Wziął z miski garść rodzynek i orzechów i wsypał sobie do ust. – Opowiadaj, jak wam idzie.

– Chciałam zacząć od ustalenia, o co tak naprawdę chodzi. Jeżeli obawy niektórych się potwierdzą, skorzystam z DSOD. Najpóźniej w piątek po południu podejmę decyzję.

– DSOD? Co to jest DSOD? Jakaś substancja chemiczna?

– Nasze wytyczne w sprawie Działań Specjalnych przy Obszernych Dochodzeniach. DS... działania specjalne... OD... obszerne dochodzenia – powtórzyła, dobrze zaznaczając odstępy między wyrazami.

– Te wszystkie przekłete skrótowce – mruknął dyrektor z irytacją. – Skąd oni je

biorą?

– Dobre pytanie – przyznała Mattei. – Mam pewną propozycję. Nie jadłam nic na lunch. Może skoczę na dół coś przekąsić, a ty w tym czasie spokojnie się zapoznasz ze wszystkimi papierami, które ci dałam. Spotkamy się, kiedy już naładuję akumulatory.

– Brzmi rozsądnie. Nie próbowałaś diety paleo? Dużo orzechów, suszonych korzeni, nasion i takich tam. – I wskazał stojącą na stoliku miskę.

– Nie. Ale na pewno jest dobra. No to do zobaczenia za pół godziny.

Na szczęście nie jestem Johanssonem, pomyślała, kiedy wychodziła.

Na dole, w stołówce dla personelu, pod hasłem „Mięso i ryba dnia” serwowano smażony boczek z duszoną kapustą lub gotowanego łupacza z purée z zielonego groszku i chrupiącymi warzywami. Ciekawe, co wybrałby Lars Martin, zastanawiała się, grzebiąc widelcem w sałatce z krewetkami, którą znalazła w menu. Dwadzieścia minut później wstała od stołu. Wychodząc, postawiła tacę na taśmie z naczyniami.

Jesz o wiele za szybko i o wiele za zdrowo, pomyślała.

Kiedy po nieco ponad trzydziestu minutach wróciła do gabinetu dyrektora, siedział za biurkiem pogrążony w lekturze ulotki firmy farmaceutycznej, która najwyraźniej miała zadebiutować na szwedzkiej giełdzie.

– Myślałem o twoim tacie – oznajmił. – Czy on przypadkiem nie zajmuje się lekami? Ktoś tu chyba mówił, że był aptekarzem w Niemczech.

– Nie – Mattei pokręciła głową. – Nie aptekarzem. Jest biochemikiem i w latach sześćdziesiątych przyjechał tu z Bawarii jako student. Nazywa się Claus Peter Ferdinand Mattei. Kiedy byłem dzieckiem, pracował w Astrze, w końcu został tam kierownikiem do spraw badań. Potem moi rodzice się rozwiedli i wrócił do Niemiec. Za to jego ojciec był aptekarzem w Monachium. W czwartym pokoleniu. Teraz jest na emeryturze i znów mieszka w Monachium. Przedtem przez wiele lat mieszkał w Nowym Jorku.

– W Nowym Jorku? To ciekawe – odparł dyrektor. – Co tam robił? Nadal się zajmował lekami?

– Tak. Chociaż nie jako aptekarz. Zasiadał w zarządzie Pfizera.

– Pfizer? Przecież to największy koncern farmaceutyczny na świecie.

– Skoro tak mówisz – odparła obojętnie i wzruszyła ramionami. – Ja się na tym nie znam, ale wiem, że między innymi przewodniczył grupie badawczej, która opracowała tak zwane leki lifestyle’owe. Viagrę i takie tam, z pewnością znasz je lepiej ode mnie.

– Viagra! – zawołał szef. – O, mój Panie! Musiał mieć forsy jak lodu!

– A nawet więcej. To chyba najczęściej kupowany lek na świecie – stwierdziła Mattei, wciąż raczej obojętnie. – Nie pytałam, ile dokładnie zarabia, więc, szczerze mówiąc, nie wiem. Ojciec nigdy nie mówi o pieniądzach.

Masz swój cuks do pociumkania, pomyślała.

– Aha. – Szef westchnął i wyjął papiery, które mu dała. – Uporajmy się z praktycznymi sprawami.

Jak wyjaśnił, w jego przemyśleniach dotyczących administracyjnej strony tej operacji panował lekki chaos. Kiedy próbował je uporządkować, zastanawiał się głównie nad trzema kwestiami.

Mattei zaczęła cierpliwie tłumaczyć. Wszystko wynikało z tego, że dopiero wkroczyli w fazę wstępną. Na początku chciała zrozumieć, w czym rzecz. Ostateczny obraz ulegnie zmianie w zależności od tego, jak się rozwinie sytuacja.

– Śledztwo nas poprowadzi – podsumowała.

Dyrektor generalny zgodnie pokiwał głową. Chciał jednak dopytać o jeszcze jeden szczegół. Analizując poszczególne pozycje wydatków, doszedł do wniosku, że ta sprawa nie ma związku ze Sztokholmem. Koszty wyjazdów i pobytu personelu wyraźnie na to wskazywały.

– Zapytam wprost – powiedział dyrektor. – O której części kraju mówimy? Byłbym wdzięczny za konkretną odpowiedź.

Gdzieś w Szwecji, odparła w myślach Mattei. Nie mogła powiedzieć tego na głos.

– Rozumiem, że potrzebujesz tej informacji na wypadek, gdyby nasi kontrolerzy mieli zastrzeżenia, ale jeśli ją otrzymasz, będę musiała to udokumentować.

– Oczywiście – zgodził się dyrektor. – Nie ma najmniejszego problemu.

- Chodzi o Eskilstunę – oznajmiła Mattei.
- O Eskilstunę – powtórzył i pokiwał głową. – Eskilstuna, powiadasz...
- Tak.
- Dlaczego wygląda na zdziwionego? – zastanawiała się.
- Wyglądasz na zdziwionego.
- Tak. Nie sądziłem, że w tym mieście są muzułmanie.
- Znacznie więcej niż w Sztokholmie. Procentowo.
- A to dopiero. Nie spodziewałbym się. Akurat w Eskilstunie.

Pozostawało jeszcze jedno pytanie. Nie chciał się mieszać do tego, w jaki sposób prowadziła śledztwo – to nie byłoby w jego stylu – ale z jednym miał kłopot. W grupie śledczych, którą powołała, brakowało mu pewnych osób i funkcji.

– Jak to? – odparła, choć domyślała się, co zaraz powie.

– Chodzi mi o kolegów z NCT, naszego Narodowego Centrum Oceny Zagrożeń Terrorystycznych. Współpraca z nimi jest praktyczna i nie obciąża naszego budżetu. I to samo tyczy się tych, którzy pracują w wywiadzie wojskowym, oraz tych z Instytutu Obrony Radiołączności.

– Czyli NCT, Must i FRA – podsumowała z chłodnym uśmiechem. – A ja myślałam, że nie lubisz takich skrótów.

– No tak – odparł szef. – Dostrzegam tu pewne problemy. NCT stworzyliśmy przede wszystkim po to, żeby odgrywało istotną rolę właśnie w tego typu sprawach, dotyczących walki z terroryzmem. Teraz nagle znaleźliśmy się w trudnej sytuacji, a ich z nami nie ma. Można by powiedzieć, że ten brak wręcz kłuje w oczy.

– Jeśli się okaże, że potrzebujemy ich usług i umiejętności, oczywiście zostaną wezwani. Mam nadzieję, że jak najszybciej będę mogła ci odpowiedzieć na to pytanie.

– Doskonale – odparł dyrektor. – Nie zapominajmy, że to ma wpływ na całą naszą organizację. Ważne, żeby unikać niepotrzebnych tarć pomiędzy jej częściami. Nikt nie może mieć pretensji, że my w starej dobrej Säpo wciąż się upieramy przy znaczeniu tych samych terenów.

– Masz rację – odparła Mattei.

– Miło to słyszeć. Poza tym doceniam, że jesteś gotowa wysłuchać moich być może laickich rozważań. Jednak jeśli chodzi o ogólne kwestie organizacyjne, śmiem twierdzić, że mam pewne doświadczenie.

– Żaden problem. Wręcz przeciwnie, cenię twoje zdanie – zapewniła Mattei z przyjaznym uśmiechem.

– Dobrze. To by było wszystko – podsumował szef. – Nie będę cię niepotrzebnie zatrzymywał.

Czy to przypadkiem nie ty obiecywałeś, że nie będziesz się mieszał do mojego śledztwa? – pomyślała, wychodząc z jego gabinetu.

PO POWROCIE do siebie była już zdecydowana. Postanowiła, że zadzwoni po taksówkę, zostawi bieżące zadania około pięćdziesięcioosobowemu zespołowi, którym kierowała, i dyskretnie opuści miejsce pracy. Z bezpiecznego wnętrza taksówki zadzwoni do męża i oznajmi, że przez resztę dnia sama będzie się zajmowała rodzinnymi sprawami. Odbierze Ellę z przedszkola, zrobi zakupy w sklepie spożywczym, będzie gotowała z Ellą i spędzała czas z nią i Johanem, potem zjedzą razem kolację, ułoży Ellę do snu i zakończy tę część dnia długą bajką na dobranoc.

Kiedy dotarła w wyobraźni do tego punktu świeżo ułożonego planu, ogarnęła ją nagła, męcząca niepewność. Przed dylematem tymczasowo uchronił ją Jan Wiklander.

– Jeśli masz trochę czasu, chciałbym ci przekazać najświeższe informacje – powiedział ze zwyczajowym przyjaznym uśmiechem.

– Oczywiście – odparła, też się uśmiechnęła i wskazała głową krzesło dla gości, które stało po przeciwnej stronie biurka. – Siadaj – poprosiła.

Jan jest opoką, pomyślała. Nad tym, czym jest ona sama, wolała się nie zastanawiać.

Wszystko idzie zgodnie z planem, stwierdził Wiklander. Ich prokurator zaczęła się starać o pozwolenia na rozmaite środki prewencyjne: nadzór telekomunikacyjny, podsłuchiwanie telefonów komórkowych i stacjonarnych, zakładanie podsłuchów, tajne rewizje – by wymienić tylko te znajdujące się na samej górze listy najbardziej potrzebnych we wstępnej fazie śledztwa. Martinez i jej koledzy pojechali już do Eskilstuny na rekonesans, niezbędny przed podjęciem praktycznych działań w terenie, a on sam zdążył się już dobrze zorientować w ich działalności wywiadowczej i sposobie pozyskiwania informacji.

– Calle Lewenhaupt zajmie się tym elementem – oznajmił. – Liczy na to, że kiedy się spotkamy, będzie mógł przedstawić pierwszą charakterystykę Khalida, jego rodziny i najbliższego otoczenia.

– Calle jest dobry – stwierdziła Mattei. – Choć czasem się zastanawiałam, jak to możliwe, że postanowił zacząć pracę w tym miejscu. W lepszym świecie powinien zasiadać w Archiwum Narodowym albo zarządzać królewskimi zbiorami dzieł sztuki.

– Nie on. Calle to wojownik, mimo łagodnej powierzchowności. Poza tym sam go o to zapytałem.

– Co odpowiedział?

– Tak jak się spodziewałem, wyjaśnił, że to część jego dziedzictwa. Rodzina Lewenhaupta służyła Królestwu Szwecji już ponad pięćset lat przed jego narodzinami. Przez ten czas przelali za nie więcej krwi niż wszyscy funkcjonariusze w ciągu niecałych dwustu lat istnienia policji. Sama wiesz, co mówi, kiedy mu się na to zbierze.

– Co on wie o islamie i muzułmańskim terroryzmie? – Mattei nie dawała za wygraną.

– Moim zdaniem bardzo dużo – odparł Wiklander. – Mówi zresztą, że to zainteresowanie też jest dziedziczne.

– Jak to?

– Nasz Calle zapewnia, że jeden z jego przodków towarzyszył Karolowi XII w Benderach w tureckim imperium, kiedy król był więźniem sułtana z dynastii Osmanów. To rzekomo przyczyna zainteresowania rodu Lewenhauptów kulturą islamu.

– No cóż, w takim razie powinniśmy się cieszyć. Nawet jeśli to bujda.

– Tak – odparł Wiklander. – Mnie też to przyszło do głowy. Mam dla ciebie propozycję.

– Słucham.

– Jedź do domu – powiedział i dla pewności wskazał dłonią zamknięte drzwi jej gabinetu. – Jedź do domu, zobacz się z córeczką i swoim facetem, a my się

spotkamy jutro. Na razie nie jesteś tu potrzebna.

– Dzięki! – zawołała bardziej ochotczo, niż zamierzała.

Dokładnie to chciałam zrobić, dodała w myślach.



– GDZIE TATA? – zapytała Ella, kiedy Lisa przyszła po nią do przedszkola.

Pięciolatki nie wyczuwają ironii, więc Lisa Mattei próbowała szczerze, najlepiej, jak potrafiła, odpowiedzieć na to kłopotliwe pytanie. Wyjaśniła, że dziś to ona odbiera ją z przedszkola – okazało się, że tata ma więcej obowiązków w pracy i dlatego same muszą się zająć praktycznymi sprawami, jak zakupy, gotowanie, nakrywanie do stołu czy wkładanie naczyń do zmywarki po obiedzie. Ella przez chwilę milczała. W końcu pokiwała głową, ułożyła kółko z kciuka i palca wskazującego, podeszła i objęła ją w tali.

Na początku zrobiły zakupy spożywcze. Wyrzuty sumienia Lisy sprawiły, że to Ella miała decydujący wpływ na posiłek. Klopsiki, purée ziemniaczane – takie prawdziwe – a do tego brązowy sos i góra borówek z dodatkowym cukrem, żeby nie były kwaśne. Na deser lody waniliowe z sosem czekoladowym, bitą śmietaną i bezami. Ella wyjaśniła, że to samo zwykle dostawała u babci.

A po jedzeniu solidna filiżanka kawy, pomyślała z rezygnacją Mattei. Pokiwała głową i się uśmiechnęła.

Z pomocą książki kucharskiej przygotowała klopsiki, Ella zaś nakryła do stołu, pilnowała, żeby ziemniaki się nie rozgotowały, i dawała dobre rady. Zadała też kilka pytań. Zapytała na przykład, dlaczego przygotowując klopsiki, czyta książkę. Tata i babcia nigdy tego nie robią. Mattei wyjaśniła, że dzięki temu jedzenie wychodzi dużo smaczniejsze. Ella nie wydawała się do końca przekonana, ale nic nie powiedziała.

Potem do domu przyszedł Johan. Pocałował Mattei w usta, ucałował córkę, uniósł ją w powietrze i całował w brzuch, dopóki ze śmiechu nie zabrakło jej tchu. Uściskał je obie, z delikatnym uśmiechem popatrzył na rozgardiasz wokół kuchenki i zlewozmywaka, ale go nie skomentował.

– Domowe babcine klopsiki ze starodawnym brązowym sosem i tłuczonymi ziemniakami, mniem, psychota. Cóż to za niebiańskie zapachy dolatują do umęczonego ojca rodziny, kiedy tylko przekracza próg tego przytulnego gniazdka. Czy może być coś lepszego? – zapytał z szerokim uśmiechem.

– Siadaj, proszę – Lisa Mattei spojrzała na niego i skinęła głową w kierunku stołu. – Mam cię obsłużyć?

– Tak, proszę – odparł. – Choć możesz usiąść.

No, no, uważaj, pomyślała.

Po jedzeniu Ella, zapytana przez nią, co sądzi o jedzeniu, wyraziła swoją opinię. Borówki uznała za zbyt kwaśne. Powiedziała, że przydałoby się więcej cukru. Ale poza tym było „okej”, chociaż mus, klopsiki i sos były „bardziej cienkie” niż u babci. Z drugiej strony deser oceniła jako „naprawdę okej”, mimo że lody, które kupowała babcia, smakowały „bardziej lodowo” niż te kupione przez mamę.

– Ja uważam, że były bardzo, bardzo, bardzo dobre – oznajmiła Mattei.

Co ja wyprawiam? – pomyślała. Próbuję się podlizać własnej rodzinie.

Kiedy Johan „przeprowadzał renowację” kuchni – tak określał sprzątanie – Lisa usypiała ich córkę. Pomogła jej się rozebrać, zorganizowała małe wieczorne mycie, dopilnowała, żeby Ella umyła zęby i włożyła koszulę nocną. Wszystko zgodnie z wyuczoną rutyną i bez podpierania się literaturą.

– Chcesz mieć koszulę z misiami czy jakąś inną? – zapytała Lisa z wahaniem i na wszelki wypadek podniosła tę z misiami.

Muszę zajrzeć do pralki, pomyślała.

– Misie – odpowiedziała Ella. – Koszulę z misiami.

Pozostało okrycie kołdrą, trochę pieszczot i przeczytanie ostatniej bajki o samotnym małym ludziku. Ella zasnęła w środku zdania.

Jestem nie tylko policjantką, ale też mamą, pomyślała Lisa Mattei, gładząc córkę po czole. Najwyższy czas obudzić w sobie policjantkę i odbyć poważną rozmowę z własną matką, pomyślała.

Pół godziny później, kiedy wyszła spod prysznicza, zadzwoniła do niej Martinez.

– Śpisz czy nie?

– To zależy – odparła Mattei.

– Ja jestem w barze i osuszam kufel. Pojechałam do Bonnaköping na rekonesans. Zatrzymałam się w Stadshotellet. Dużo tu lowelasów. Już kazałam dwóm miejscowym spadać na drzewo.

– Miło słyszeć, że się nie wyróżniasz z tłumu – odparła Mattei.

– Trzeba widzieć, ale nie być widocznym, jak to się mówi w mojej branży. Zastanawiałam się tylko, czy ty sama miałabyś ochotę tu wpaść i przyłożyć ucho do torów.

– Przyłożyć ucho do torów?

– Chyba tak się wyraził nasz szalony kolega po fachu, który zaniedbał sprawę morderstwa Palmego. Ten okręgowy komendant policji ze Sztokholmu. To było, jeszcze zanim nastąpiły moje i twoje czasy, więc na pewno wiem o tym od kogoś ze starszych kolegów.

– Na kiedy to zaplanowałaś?

– Na jutro rano. Jeden z moich chłopaków może cię podwieźć. Jeśli będziesz miała szczęście, może uda ci się obejrzeć naszego osobistego bombera. Dzwoniłam do Franka, możesz pojechać z nim.

– Frank? Miałam już okazję go poznać?

– Frank Motoele. Pracuje u mnie od kilku lat. To nie jest ktoś, kogo można zapomnieć. Czarny koszmar białego człowieka, jeśli wiesz, co mam na myśli. W zasadzie powinien pomagać swoim kolegom Duńczykom w Kopenhadze, ale udało mi się go ściągnąć. Będzie tu jutro rano.

– Nie pamiętam. Najwyraźniej się nie spotkaliśmy – odparła Mattei.

Frank Motoele, pomyślała.

– Co powiesz na ósmą rano, jutro? Frank może cię odebrać z domu.

– Byłoby idealnie.

– I jeszcze jedno...

– Tak?

– Olej ten wypasiony drogi żakiet, fioletową bluzkę, czarne buty i całą resztę. Będzie dobrze, jeśli się pojawisz jako zmęczona życiem kobieta czterdzieści plus, miejscowa, mająca problemy w domu z chłopem i bachorami. Rozumiesz, o co mi chodzi.

– Już tak mam, więc nie przyjdzie mi to z trudem. Do zobaczenia jutro.

Jej mąż leżał w łóżku i czytał książkę, ale w odróżnieniu od szefa odłożył ją, kiedy tylko weszła. Spojrzał na nią.

– Jak tam, maleńka?

– Tak sobie – odpowiedziała i zrobiła nieokreślony ruch ramionami.

Nie chce mi się płakać, ale niewiele brakuje, pomyślała. Właśnie tak się nagle poczuła.

– To nie żaden życiowy kryzys?

– Nie, może tylko lekki zgrzyt – odparła i znów wzruszyła ramionami.

– Jeśli chcesz, mogę porozmawiać z moją kochaną teściową – powiedział Johan z uśmiechem. – Zanim brzusek naszej córki zrobi się okrągły jak u małego Muminka.

– Nie – zaprotestowała. – Ja z nią porozmawiam.

Johan to dobry człowiek, pomyślała. Wie, kiedy zmienić temat.

– Połóż się już – powiedział i odsunął kołdrę po jej stronie. – Jeżeli ty jesteś łyżeczką do kawy, to ja mogę być chochlą. Może to trochę tradycyjne, ale udzielię ci genderowej dyspensy.

– Dzięki – odparła Lisa Mattei.

– Jeszcze jedno – powiedział Johan i znów się uśmiechnął. – Zastanów się nad tym, co mówiłem: żeby nie robić problemu z nieistotnych rzeczy. Chętnie się tym wszystkim zajmuję. Myślami jestem wtedy gdzie indziej.

– Chodzi ci o sprzątanie kuchni? – odparła Mattei i mimo woli się uśmiechnęła.

– Na przykład. Albo o gotowanie.

– Ale dało się zjeść?

– Tak, było całkiem okej. Może nie jakoś... bardzo... bardzo... bardzo smaczne, ale całkiem jadalne. Z pewnością śmiertelnie niebezpieczne, gdybyśmy to jedli

codziennie. Zastanów się lepiej nad tym, co powiedziałem.

– Obiecuję, że tak zrobię – odparła Mattei.

Piętnaście minut później już spała.

POPZEDNIEGO WIECZORU przed zaśnięciem postanowiła nastawić budzik na siódmą. Wychodziła z założenia, że jeśli ma zostać odebrana o ósmej, godzina wystarczy na wykonanie wszystkich codziennych rutynowych czynności. Wejście pod prysznic, ubranie się, przejrzanie porannych gazet, wspólne śniadanie z Ellą i Johanem.

Zazwyczaj zajmowało jej to godzinę, ale teraz sprawę komplikowało życzenie Martinez, która chciała, żeby nawet wyglądem spełniała złotą zasadę każdego śledczego – widzieć, ale nie być widocznym. Zmęczona życiem kobieta czterdzieści plus, najlepiej miejscowa, która miała problemy z mężem i dziećmi – czysto emocjonalnie nie był to dla niej problem, zwłaszcza kiedy sobie przypominała, jak sama się czuła o wiele za często w ciągu ostatniego tygodnia. Pozostawał wygląd. Skoro nawet przygotowanie się do eleganckiego przyjęcia zajmowało dużo czasu, osiągnięcie przeciwnego efektu mogło potrwać jeszcze dłużej. Na wszelki wypadek nastawiła budzik w komórce na wpół do siódmej.

Rankiem jak zwykle obudziła się kilka minut przed sygnałem budzika. Poszła do łazienki i od razu stanęła pod prysznicem. Nie zamierzała rezygnować z mycia, a poza tym pod strumieniem wody miała czas na zastanowienie. Makijaż czy bez makijażu? Wyjątkowo mocny czy żaden? – rozważała, po raz drugi mydląc się pod pachami.

Żaden – postanowiła w końcu. „Jej chłop” poprzedniego wieczoru ogłosił, że zamierza się wyprowadzić do jej najlepszej przyjaciółki i że będą mieli dziecko. Co gorsza, ten trzęsидуpek zrobił to przez telefon i... Z całą pewnością żadnego makijażu – zdecydowała. Wyszła spod prysznic, zgarnęła dwa ręczniki, jednym owinęła mokre włosy, a drugim zaczęła się wycierać.

Zabiję tego kretyna, myślała, trąc ciało coraz gwałtowniejszymi ruchami.

Reszta wyszła jej siłą rozpędu. Wcale nie potrzebowała dodatkowych trzydziestu minut. Najpierw zebrała swoje jasne włosy i upięła je na karku za pomocą różowej gumki, pożyczonej od córki. Włożyła džinsy, które zwykle nosiła na wsi, spraną koszulkę, którą zapomniała wyrzucić, i stare skórzane mokasyny kupione na bazarze w Chorwacji, kiedy byli tam z Johanem na wakacjach. Całość zwieńczyła uszytym na maszynie dziewiarskiej niebieskim sweterkiem – mama Johana zostawiła go u nich przez nieuwagę miesiąc temu. Opiekowała się wtedy chorą Ellą.

Czas na najzwyczajniejsze na świecie śniadanie, pomyślała. Troje uczestników.

Po pierwsze: czterdziestodwuletnia policjantka, zazwyczaj szefowa pionu operacyjnego szwedzkiej Säpo, a obecnie, w najlepszym wypadku i w oczach nowego szefa, „najważniejsza kura” w miejscu, w którym on był teraz najważniejszym kogutem. Problemów egzystencjalnych szybko przybywało. Po drugie: pięcioletnia córka z własną głową, którą często zaprzętały zupełnie inne myśli albo przynajmniej krążyły w niej w zupełnie inny sposób. I wreszcie po trzecie, mąż szefowej, ojciec dziecka, o siedem lat młodszy od jego matki, świeżo upieczony doktor filmoznawstwa, zatrudniony w Szwedzkim Instytucie Filmowym. Mimo młodego wieku przypominał młodego starca. Był dobrym ojcem, lepszym mężem, niż mogła sobie wymarzyć, i oddanym moderatorem każdego rodzinnego śniadania.

Kiedy weszła do kuchni, Johan stał i zajmował się praktycznymi rzeczami, a Ella siedziała już przy stole i grzebała w talerzu z jagodami, kwaśnym mlekiem i musli. Spojrzała na nią zaskoczona.

– Bardzo dziwnie wyglądasz, mamó. Jedziemy na wieś? Masz taki brzydki strój.

– Mama ma dziś pojechać w teren, gdzie będzie szpiegowała złoczyńców – oznajmił Johan i wyszczerzył zęby. – Dlatego tak wyglądasz. Żeby złoczyńcy nie wiedzieli, że jest z policji.

– Jak na balu przebierańców? – Twarz Elli wyraźnie się rozjaśniła. – Na przykład w Halloween?

– Tak – odparł Johan. – Chociaż może nie Halloween. Okej – dodał po chwili. – Opisz mi postać, to wystawię ci fachową ocenę.

– Zniszczona życiem kobieta czterdzieści plus, miejscowa, z miasta średniej wielkości w środkowej Szwecji – streściła.

Teraz chyba powinnam go zastrzelić, bo powiedziałam za dużo, pomyślała.

– Niech zgadnę. Facet ją zostawił, zabrał psa i jeden z dwóch samochodów, ten sprawny, a do tego opróżnił ich wspólne konto. Sama mogła zatrzymać dzieci. Akurat tego dnia jedno i drugie nie chce iść do przedszkola?

– Coś w tym stylu – zgodziła się.

Nadal dostarcza informacji, więc pozwolę mu przeżyć, dodała w myślach.

– Powiem ci, że ta krótka kitka mi się podoba – stwierdził Johan. – Kiedy wyschną ci włosy, będziesz wyglądała jak jeden wielki krzyk o pomoc. Myślę, że idziesz w dobrą stronę. Ten niebieski sweterek jest wręcz fenomenalny. Noszą je wszyscy, którym chodzi tylko o to, żeby było ciepło. Poznają go.

– To twojej mamy. Mam nadzieję, że mogę go wziąć?

– To zdobycz ze sklepu Ica w Norrtälje – odparł Johan i wzruszył ramionami. – Jeden z tych ciuchów, które leżą w koszach przy kasie. Esencja prowincjonalizmu. Skromne środki, o to właśnie chodzi. Jeśli tylko dasz sobie radę z językiem ciała, to gwarantuję, że nie poznają cię nawet sąsiedzi z tego budynku.

– Z językiem ciała?

– Twój chód i postawa mają wynikać z tego, jak się czujesz. Nie jest dobrze, jeśli kobieta, która się poddała, chodzi wyprostowana, różnym krokiem. To znaczy, że zamierza zrobić coś strasznego. Ty zwykle chodzisz żwawo, z wysoko podniesioną głową i wyprostowanymi plecami, a to dlatego, że jesteś tym, kim jesteś.

– Dlaczego mama ma na sobie sweterek babci? – dopytywała Ella.

– Później o tym porozmawiamy, skarbie – zbył ją Johan. – Jeszcze jedno – dodał i skinął głową w stronę Lisy. – Wszyscy naprawdę dobrzy aktorzy to wariaci. Pomyśl o tym. Sprawa jest prostsza, jeśli człowiek całkiem na serio myśli, że jest kimś innym. Kiedy Ragnar Josephson był dyrektorem Dramaten, powiedział podobno, że są trzy rodzaje aktorów: po pierwsze psychopaci, po drugie alkoholicy, a po trzecie zwykli, normalni ludzie. Ci ostatni są do niczego.

– Co ty chcesz powiedzieć? To komplement?



– Sam nie wiem. Chyba chcę powiedzieć, że tęsknię za moją żoną. I żebyś na siebie uważała – odparł Johan i wzruszył ramionami.

Minutę przed ósmą dostała esemes. Nadawca mieszał szwedzki z arabskim.

– *Salaam alaikum, sharifa*. Stoję na zewnątrz, czarne bmw – przeczytała na głos Mattei i pokazała wyświetlacz Elli i Johanowi.

– Cześć, szeryfie – przetłumaczył Johan. – *Sharifa* ma ten sam rdzeń i pochodzenie co słowo szeryf, które także pochodzi z arabskiego. Dokładniej: używali go hiszpańscy Maurowie. To żeńska forma od *almo-jarife* albo *jarife*. Na początku oznaczało poborcę podatkowego. W siódmym wieku nie było policjantów. Przynajmniej w mauretańskiej Hiszpanii. Może gdzieś indziej tak. Zresztą sama powinnaś to wiedzieć. Wiem, że jacyś policjanci byli w starożytnym Rzymie, ale w siódmym wieku Cesarstwo Rzymskie już nie istniało.

– Nie mam pojęcia. Ale skąd ty to wszystko wiesz?

– Chyba z islamskiego festiwalu filmowego w Casablance. A może to było w Marrakeszu. Nie pamiętam. Za to jestem pewien, że przez cały tydzień pokazali tylko jeden zachodni film.

– Omar, kolega Turego Sventona, jest Arabem – odezwała się Ella. – Ma dwa wielbłądy. Jeden nazywa się Diament, a drugi nie pamiętam jak.

– Ja wiem – powiedziała Mattei, nachyliła się i pogłaskała ją po policzku.

– No to jak?

– Mama też zapomniała.

– Szmaragd – odezwał się Johan. – Drugi wielbłąd ma na imię Szmaragd. Książka, w której można o nich poczytać, nosi tytuł *Detektyw na pustyni*. Pierwsze wydanie ukazało się chyba w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym roku.

– Ma też latający dywan – dodała Ella. – Ale on nazywa się po prostu „latający dywan”.

– Tak, ale jest całkiem dobry – powiedziała Mattei.

– Lata, kiedy się dotknie fędzli.

– Nie fędzli, tylko frędzli, skarbie – poprawiła Mattei.

– Ale trzeba ich dotykać delikatnie – wyjaśniła Ella.

Najwyższy czas zacząć działać, pomyślała Mattei i zerknęła na zegarek. Wstała od stołu i skinęła głową w stronę męża i córki.

– *Salaam alaikum* – powiedziała.

Pokój z wami, dodała w myślach.

– *Wa alaikum assalam* – odparł Johan, złączył dłonie i pochylił głowę.

Ciekawe, czy złamałam tajemnicę służbową, myślała, wychodząc na ulicę. Była funkcjonariuszką policji bezpieczeństwa, która właśnie wróciła z Wielkiej Brytanii, gdzie poznała szefa Jamesa Bonda, a teraz wymieniała z kimś wiadomości po arabsku. Pracowała nad śledztwem, które ponoć było bardzo ważne i miało związek ze średniej wielkości miastem w centralnej Szwecji. A może po prostu trochę poplotkowała, jak każdy.

Z WIADOMYCH POWODÓW Frank Motoele zaparkował samochód sto metrów dalej. Kiedy Mattei wyszła na ulicę, mrugnął światłami stopu. Minutę później, tuż przed tym, jak chciała nacisnąć klamkę po stronie pasażera, otworzył jej drzwi, nie wstając z siedzenia kierowcy.

Nachyliła się i na niego spojrzała. Czarny koszmar białego człowieka, przemknęło jej przez myśl. Jeśli Motoele wstał lewą nogą, z pewnością mogło być znacznie gorzej.

– Chce szefowa zobaczyć odznakę? – zapytał z uśmiechem.

– Nie – odparła Mattei i pokręciła głową. – Sam opis mi wystarczy.

Cienka, granatowa bawełniana koszula sięgająca do połowy ud, bez kołnierzyka i bez guzików, z wycięciem u góry w kształcie litery V i długimi rękawami, do tego czarne skórzane trampki, brak skarpetek, ale za to łańcuch, bransoletka i trzy obrączki na każdej dłoni, wszystko ze złota.

– *Black muzulmanin, gangsta* – podsumował Motoele z krzywym uśmieszkiem.

– Rozumiem, o co chodzi – odparła Mattei.

Czarnobrody, grubo ciosany, zarośnięty. Grube czarne włosy, głęboko osadzone oczy i szerokie czoło, dobre sto kilogramów wagi, same mięśnie i kości, pomyślała.

– Nie rozważałeś nigdy kariery aktorskiej? – zapytała po chwili.

– Nie – odpowiedział Motoele i pokręcił głową. – To by nie wypaliło. Jestem, kim jestem. Jakie role bym dostawał? Bandziora, który prawie zabija głównego bohatera?

– Nigdy w to nie uwierzę. Martinez mówiła, że masz złote serce.

– Jak mam z szefową jeździć? W milczeniu czy nie? Pierwszy raz z nowym kierowcą to trochę jak wizyta u fryzjera.

– Z chęcią pogadam – oznajmiła Mattei. – Ale najpierw muszę odbyć pewną

rozmowę.

Motoele tylko skinął głową.

Mattei zadzwoniła do Wiklandera i oznajmiła, że „jedzie na spotkanie z Martinez”, wróci do pracy koło drugiej po południu i chętnie by się z nim wtedy spotkała, żeby przedyskutować bieżące sprawy. Wiklander nie miał nic przeciwko temu. Stwierdził, że odrobina „akcji terenowej” nie zaszkodzi. Poza tym na pewno dobrze jej zrobi, jeśli trochę się porusza na świeżym powietrzu.

– I przyłożę ucho do torów – dodała Mattei.

– Tak jest – zgodził się Wiklander. – Tylko trzeba dobrze nasłuchiwać. Żeby zdążyć cofnąć głowę, zanim nadjedzie pociąg. Nie każdy sobie z tym radzi.

On sam niestety utknął w wybornej niedzielnej krzyżówce z „Timesa” i miał nadzieję, że rano przy kawie uda mu się rozwiązać problem. Być może za cenę dodatkowego kwadransa.

Zakończyła rozmowę. Ponownie skinęła głową i posłała uśmiech Motoelemu.

– No więc dokąd to zmierzaliśmy? – zapytała.

– Właściwie donikąd. Teraz jesteśmy na Strandvägen i jedziemy na południowy zachód. Ale mogę zacząć. Szefowa też może zacząć, jeśli tak woli.

– W takim razie ty zacznij. Co robiłeś, zanim się znalazłeś ze mną w tym samochodzie?

I Frank Motoele zaczął opowiadać. Miał trzydzieści pięć lat, był kawalerem. Pochodził z Kenii, został adoptowany i przyjechał do Szwecji, kiedy miał „jedną dziesiątą tego, co teraz”. Po maturze zdawał do szkoły policyjnej i od razu został przyjęty, choć jego oceny były takie sobie. Zdecydowały warunki fizyczne i to, że za takich jak on obowiązywało „znależne”.

– Kilku ważniaków zdecydowało, że co piąty przyjęty do szkoły policyjnej powinien być jednym z nas. Nie mieli pojęcia, o czym mówią. Zwykli ludzie ledwo rozumieją takich jak ja. Jaka matura? Połowa z tych, którzy najbardziej nadawaliby się na policjantów, już siedziała w kiciu.

– W takim razie na pewno się ucieszyli na twój widok – stwierdziła Mattei. – Mam na myśli nauczycieli ze szkoły.

– Nie wszyscy. Niektórzy. Kilku było pod wrażeniem.

– Gdzie wylądowałaś później? – zapytała.

Motoele odparł, że w Sztokholmie, podobnie jak wielu innych. Sam się zresztą o to ubiegał i tak jak cała reszta zaczął od służby w policji porządkowej.

– Żadnemu łobuzowi nie mieściło się w głowie, że ktoś taki jak ja może być policjantem.

– I stamtąd przeszedłeś do dochodzeniówki?

– Gdzie indziej miałbym pójść? – zapytał Motoele i wymownie wzruszył ramionami. – W policji przepracowałem piętnaście lat. Trzy z nich przeleciały mi w policji porządkowej, przez całą resztę byłem śledczym. Najpierw w wydziale narkotykowym w City i na Söder, potem zajmowałem się poważnymi przestępstwami na szczeblu regionalnym, a następnie krajowym. Ostatnie pięć lat spędziłem w Säpo u naszej wspólnej znajomej, Lindy.

– Lubisz ją?

– Jeśli się pracuje z Martinez, to się ją lubi – odparł. – Nie ma, że tak powiem, innego wyboru. Jasne, potrafi się czepiać. I to przez cały czas. Zdarza się, że jest jak mały plaster. Ale najczęściej ma rację, więc... Są dwa typy śledczych – podjął po chwili. – Po pierwsze, ci starego typu: widzieć, ale nie być widocznym. Po drugie, tacy jak ja, którym się udaje dzięki uprzedzeniom innych.

– Uprzedzeniom?

– Ludzie myślą, że ktoś, kto tak wygląda, nie może być policjantem.

– Rozumiem – odparła Mattei.

– Nie jestem tego taki pewien – stwierdził Motoele z uśmiechem zadowolenia. – Ale jest sposób, żeby to sprawdzić.

– Jaki?

– Jutro, kiedy szefowa wróci do pracy, proszę mieć ten sam strój i styl. Proszę podejść do strażnika, przedstawić się jako, powiedzmy, Lisa Johansson i powiedzieć, że umówiła się szefowa na spotkanie z Wiklanderem. Na pytanie, o co chodzi, proszę odpowiedzieć, że to tajne. Na prośbę o pokazanie legitymacji: że nie ma takiej potrzeby, bo znacie się z Wiklanderem. Ten koński ogon jest nawet lepszy niż

czapeczka z folii. A sweterek to strzał w dziesiątkę.

– I co wtedy będzie?

– Transport do psychiatryka. Jeżeli ktoś tak wygląda i twierdzi, że ma się spotkać z człowiekiem w rodzaju Wiklandera, ląduje w psychiatryku. Nasze uprzedzenia, to wszystko, co wiemy i o czym nie musimy nawet rozmawiać, gwarantują taką wycieczkę.

Głupi to ty z całą pewnością nie jesteś, pomyślała Mattei. Choć masz lekkie skrzywienie zawodowe.

Godzinę później zjechali z autostrady. Skręcili w lewo w kierunku centrum Eskilstuny, przejechali przez rzeczkę, minęli Stadshotellet i wjechali prosto na parking wielopoziomowy znajdujący się w sąsiedniej dzielnicy.

– Cześć, Liso – przywitała się Martinez. – Mam nadzieję, że Frank się zachowywał.

– Wzorowy kierowca, inspirujący rozmówca – podsumowała Mattei.

– Zgadza się. Obecnie nie mamy prawa wymagać od niego wiele więcej – odparła Martinez. – Możesz już jechać, Frank.

– *Yes, boss* – powiedział Motoele. – Gdyby ktoś wam podskakiwał, wystarczy zadzwonić.

– Dzięki, Frank – odparła Martinez. – Leć i ten jeden jedyny raz dopilnuj, żeby coś zostało zrobione. Tym razem daruję ci samochód piekarnię, samochód lodziarnię czy zwykłą nieoznakowaną ciężarówkę – dodała i wskazała taksówkę zaparkowaną kawałek dalej. – Żeby uczcić ten dzień, skorzystasz z usług Taxi Sörmland.

LINUS RASMUSSEN miał dwadzieścia osiem lat. Z wyglądu stanowił przeciwieństwo Franka Motoelega, a jeśli chodziło o to, co miał w głowie, różnic z pewnością było jeszcze więcej. Jednak w świecie, w którym żyła i działała Martinez, obaj byli produktem tej samej idei: żadnemu człowiekowi, czy to dobremu, czy złemu, nigdy nie przyszłoby do głowy, że Linus jest policjantem.

Chudy, ciut mniej niż przeciętnego wzrostu, blondyn z niesfornymi włosami i lekko nieobecny wyrazem twarzy, spotęgowanym przez parę okularów w stalowych oprawkach, które dla bezpieczeństwa wisiały na wąskim koniuszku nosa. Można go było wziąć za dziesięć lat młodszego. W tych rzadkich przypadkach, kiedy odwiedzał sklep monopolowy – nie robił zakupów dla siebie, tylko kupował wino dla matki, która nie mogła dźwigać ciężarów, albo coś dla gości, kiedy on i jego dziewczyna urządzali kolację – z reguły musiał pokazywać dowód.

Ostatnio zdarzyło się to przed miesiącem. Kiedy pokazał legitymację policyjną, kasjerka nie mogła ukryć zdziwienia. Linus grzecznie skinął głową i przyznał jej rację. Zdarzyło się to nie po raz pierwszy, a poza tym doskonale ją rozumiał. Tylko wykonywała swoją pracę. Sam też musiał służbowo zadawać to samo pytanie wiele razy.

– To nasz mały Linus – oznajmiła Martinez. – W wolnych chwilach obserwuje ptaki, a w tym roku zatrudnił się na lato w Eskilstunie jako taksówkarz, więc pomyślałam, że pokaże nam, gdzie mieszka nasz cel. Ma prawo jazdy, gdybyś miała wątpliwości – dodała.

Abbdó wraz ze swoją dużą rodziną mieszkał w domu położonym siedem kilometrów i siedem minut drogi samochodem od centrum Eskilstuny. Martinez uważała, że z technicznego punktu widzenia to koszmar dla śledczego, ale czekała z tą uwagą do momentu, aż Mattei na własne oczy zobaczy dom i posesję. Tymczasem miała dla

niej inną wiadomość.

Trzy godziny wcześniej, koło wpół do siódmej rano, Abbdó wsiadł w samochód i odjechał. Skierował się w stronę centrum Eskilstuny i już po pięciu minutach zgubił śledzącego go funkcjonariusza. Nie był to jeszcze koniec świata. Linda Martinez wiedziała, że coś takiego może się zdarzyć z wielu powodów, także zupełnie zwyczajnych. Na miejscu nie było jeszcze całej ekipy – dlatego mógł go śledzić tylko jeden radiowóz, a na samochodzie nie zamontowano nadajnika. Przypomniało jej się, jak Alexander opowiadał o jego angielskiej przyjaciółce, która rozpląnęła się w powietrzu. Postanowiła, że do rozważań na ten temat zaangażuje jeszcze jedną osobę.

– Jakie wrażenie na tobie zrobił? – zapytała.

– Całkiem opanowanego – stwierdziła Martinez i wzruszyła ramionami. – Ulotnił się dziś rano tuż po wpół do siódmej i nie wiem, czy pojechał do pralni chemicznej, czy po prostu straciliśmy go z oczu.

– Do pralni chemicznej?

– Czy celowo zgubił ogon – doprecyzowała Martinez z krzywym uśmiechem. – Daj znać, czy mam cię wysłać na kurs, żebyśmy się rozumiwały.

– A ty jak uważasz?

– Pralnia chemiczna – zawyrokowała Martinez. – Zrobił to na wszelki wypadek. Wcale nie musi wiedzieć, że siedzimy mu na ogonie.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Pół godziny temu znowu pojawił się w domu. Skręcił na posesję i wjechał prosto do garażu, który jest w piwnicy domu. Niestety, nie mam pojęcia, co kombinował przez te trzy godziny, kiedy go nie było, choć mam pewne podejrzenia.

– Mianowicie?

– Załatwiał jakąś sprawę. W promieniu stu kilometrów od domu, prawdopodobnie znacznie bliżej. Najpierw chciał się upewnić, że jest sam. Na wszelki wypadek.

– Na wszelki wypadek? Nie dlatego, że siedzimy mu na ogonie, a on o tym wie?

– Tak sądzę – odparła Martinez. – Ktoś taki jak on powinien mieć równie wielkie



skrzywienie zawodowe, co ktoś taki jak ja. A nawet większe, jeśli wziąć pod uwagę, czym się zajmuje.

Dom leżał przy Lötgärdesstigen, małej przecznicy prowadzącej do Västeråsvägen, jednej z mniejszych dróg przelotowych Eskilstuny. Jedną przecznicę wcześniej Linus skręcił w lewo w Lötgatan. Pojechał nią do samego końca i stanął na wysypanym żwirem placu do zawracania.

– Szefowo, jego chata jest tam na górze – powiedział Linus i skinął głową w stronę dużego czerwonego domu z drewna, ponad sto metrów wyżej po prawej stronie. – Miejsce, w którym teraz stoimy, jest najlepsze, jeśli nie zamierzamy się skradać i chcemy zostać w samochodzie.

Jak tylko Mattei zobaczyła dom, natychmiast zrozumiała, dlaczego Linda Martinez nazwała go koszmarem śledczego. Był stary i dwupiętrowy. Styl wskazywał, że powstał w latach pięćdziesiątych, był rozbudowywany i przebudowywany etapami. Kilkanaście metrów dalej stał oddzielny parterowy dom, który najwyraźniej służył za garaż i składzik. Z budynkami sąsiadowała ogrodzona płotem działka wielkości połowy boiska piłkarskiego. Popatrzyła na nieprzycinany trawnik, kilka pojedynczych drzew i dziką plantację czegoś, co wyglądało jak krzewy owocowe. Przed domem ktoś wystawił huśtawkę i okazały zestaw mebli ogrodowych. W sumie były tam dwa stoły, dwie sofy i kilkanaście krzeseł w różnym stylu, poustawianych wokół sporego murowanego grilla. Obrazu dopełniały przenośny nadmuchiwany basenik, dwa małe rowerki dla dzieci, przewrócony trzykołowicz i porzucony wózek.

– Jak to wygląda, kiedy się pojedzie dalej Lötgärdesstigen, przy której mieszkają? – spytała.

Istna Willa Śmiesznotka, dodała w myślach.

Martinez odparła, że jeszcze gorzej. Ich dom był ostatnim przy tej ulicy. Dom najbliższego sąsiada znajdował się ponad sto metrów niżej, a ponieważ stał „po złej stronie”, a droga skręcała „w złym kierunku”, sąsiadów po prostu nie było widać.

– Ulica kończy się za ich domem. Są tam plac do zawracania i podjazd. Poza tym drzwi do garażu w piwnicy domu. Tędy właśnie wjeżdżają i wyjeżdżają albo po

prostu wychodzą na spacer. Na tyłach domu jest zagajnik o powierzchni ponad trzech hektarów, który rozciąga się w kierunku wschodnim i południowym: las liściasty i zarośla, jak twierdzi Linus. Był tu już wczoraj wieczorem i oglądał ptaki. Nie wiem, czy już to mówiłam, ale należy do młodzieżowej organizacji biologicznej Fältbiologerna.

– Mam pewien pomysł – powiedziała Mattei. Choć jako śledczy najwyraźniej znaleźli się w bardzo trudnej sytuacji, dziwnym trafem poczuła przypływ dobrego humoru. – Co ty na to, żeby dać im jednego z tych krasnali ogrodowych odlanych z cementu? Ten byłby ogromny, pusty w środku i mogłoby się w nim zmieścić dwóch policjantów. Musimy oczywiście wmówić Khalidom, że to nagroda w jakiejś loterii, o udziale w której nawet nie wiedzieli.

– Właściwie myślałam o tym samym – przyznała Martinez. – Choć z krasnałem się nie uda. Ortodoksyjny muzułmanin nie wierzy w krasnoludki. A co byś powiedziała na wielbłąda? Wielbłąda trojańskiego? Dwugarbnego, z policjantem w każdym garbie? Jeżeli będą wielkości Linusa, da się podwoić tę liczbę. Dwa plus dwa.

– O wilku mowa – powiedział Linus i skinął głową w stronę domu. – To on. Nasz Abbdo Khalid.

Abbdo robił wrażenie spokojnego i odprężonego. Ani trochę nie przypominał typowego bombera. Był ubrany tak samo jak Motoele, choć koszula, którą miał na sobie, była jeszcze dłuższa. Nie sięgała do stóp jak tradycyjny kaftan, przypominała raczej męską tunikę. Podeszedł do huśtawki i usiadł. Stopy ułożył wygodnie na poduszce. Odstawił na stół dużą filiżankę, którą trzymał w prawej dłoni. Potem otworzył gazetę i zaczął czytać.

– Sprawdź, czy czyta „Al Jazeera” – poleciła Martinez i podała Mattei lornetkę. – Może przy odrobinie szczęścia będziemy mogli go zatrzymać za szykowanie jakiegoś gówna, wsadzić za kratki i zakończyć tę całą nieszczęsną historię.

Dobrze wygląda, pomyślała Mattei, kiedy tylko ustawiła ostrość. Krótko ostrzyżone, zadbane włosy, starannie przycięta broda. Znacznie jaśniejsza cera niż u Motoelego. Czyste, piękne rysy, jak na starych malowidłach naściennych

w egipskich grobowcach. Przez dobre pięć minut patrzyła, jak przegląda gazetę i popija płyn z wielkiej filiżanki. Pił, odstawiał filiżankę na stół i wycierał kącik ust prawym kciukiem. Jego ruchy były spokojne i wyważone. Nie wyglądał na kogoś, kto ma jakiegokolwiek zmartwienia.

Czy to może być prawda? – zastanowiła się i oddała lornetkę Lindzie Martinez.

– Udało ci się zobaczyć, co za piśmidło czyta?

– „Eskilstuna-Kuriren” – oznajmiła Mattei. – Przykro mi, Lindo, ale tego jestem całkowicie pewna.

– Niech to szlag. Dlaczego nie może palić haszyszu albo chociaż żuć khatu, jak to całymi dniami robią jego pobratymcy? Można by go było za to zatrzymać. Proponuję, żebyśmy na razie na tym zakończyły. Jeśli chcesz, mogę ci pokazać nasze gniazdko.

– Innym razem. Muszę wracać do biura. Mam zamiar pojechać pociągiem, więc byłoby dobrze, gdybyś odwiozła mnie na dworzec. Po drodze możesz mi o wszystkim opowiedzieć.

„Gniazdko”, które w końcu wybrała Martinez, mieściło się przy Lidgatan, kolejnej odnodze ulicy, przy której mieszkał Abbdo. Jeśli spojrzeć z perspektywy ich celu, sporo mu brakowało do ideału.

– Jego dom od naszej kryjówki dzieli ponad sto metrów – oznajmiła Martinez i westchnęła. – Będziemy tam pracować, ale powinnaś się nastawić na spore problemy z obrazem i dźwiękiem. Okolica jest cicha i spokojna, mieszkają tam głównie starsi ludzie, lecz odległość zawsze stanowi problem. Zaletą tej lokalizacji jest dobry widok. Możemy obserwować zarówno przód, jak i tył domu.

– Problemy, problemy, problemy – powiedziała Mattei z uśmiechem. – Nie masz nic, co by mnie mogło ucieszyć?

– Jeśli pominąć odległość, jest idealnie – odparła Martinez. – Gdyby tylko się dało przesunąć ten dom o sto metrów.

„Gniazdko” było sporą willą. Poprzedni właściciel używał jej jako mieszkania połączonego z siedzibą swojej małej firmy produkującej piły i noże dla rzeźni. Od pięciu lat willa stała pusta i agent nieruchomości był coraz bardziej zdesperowany –

reklamował ją jako „marzenie złotej rączki”. Po śmierci właściciela spadkobiercy nie zdecydowali się na natychmiastową sprzedaż i po prostu pozwolili jej niszczyć. Martinez przekonała agenta, żeby wynajął ją na lato za niewielkie pieniądze. Mieli tam prąd i bieżącą wodę.

– Nie pytali, po co ci ten dom? – zainteresowała się Mattei.

– Na warsztat ceramiczny i tymczasowe mieszkanie dla mnie i dla kolegów.

– Uwierzyli?

– Czysznik jest opłacony do końca sierpnia – odparła Martinez i wyszczerzyła zęby. – Poza tym chyba mogłabym zostać tam dłużej i w końcu kupić ten dom, bo to marzenie takiej złotej rączki jak ja. Tym bardziej że sąsiedzi narzekali na kloszardów, którzy zaczęli się tam kręcić.

Pewnie po prostu nie mieli nic lepszego i uznali, że trzeba „brać, co dają”, pomyślała Mattei.

– Jeżeli masz wątpliwości, możemy tam pojechać i sama zerkniesz – powiedziała Martinez.

– Nie trzeba. Ufam ci. – Mattei pokręciła głową. – Czy jest coś jeszcze, o czym powinnam wiedzieć?

Martinez zaczęła opowiadać o „kwaterze”, którą załatwiła całej ekipie. Był to stary hotel, dziesięć lat wcześniej przerobiony na skromny pensjonat dla gospodarbeiterów, którzy przyjeżdżali na lato do pracy w okolicznych gospodarstwach.

– Wiesz, rzemieślnicy, pracownicy rolni, nawet ci, którzy żyją ze zbierania jagód i grzybów – podsumowała Martinez.

Teraz dom był pusty, ale Martinez wynajęła cały kompleks na miesiąc. Nie było luksusów, ale się nadawał. Kuchnia, prysznice i łóżka były całkiem w porządku. Poza tym leżał na uboczu i z centrum Eskilstuny można było tam dojechać w dwadzieścia minut. Dziesięć minut na sygnale, w razie jakiejś awaryjnej sytuacji.

– Dzięki temu nie trzeba jeździć do Sztokholmu i z powrotem albo rozrzucać ludzi po różnych hotelach. Chcę mieć wszystkich pod jednym dachem – oznajmiła Martinez.

– Brzmi rozsądnie – zgodziła się Mattei.

- Masz jeszcze jakieś pytania?
- Nie. Pojadę już do Sztokholmu. Jestem usatysfakcjonowana. Podoba mi się to.
- Nie chcę się powtarzać, ale Linus może cię odwiedzić.
- Dzięki za propozycję, ale pociąg w pełni mi odpowiada – odparła Mattei.  
Będę mogła się spokojnie zastanowić, dodała w myślach.

ZANIM MATTEI WSIADŁA do pociągu, poszła do kawiarni mieszczącej się koło budynku dworca i kupiła coś do jedzenia i picia na podróż: duży styropianowy kubek z herbatą, butelkę wody mineralnej i kanapkę, która, jak się później okazało, nie smakowała tak dobrze, jak wyglądała. Była to kanapka z dojrzewającą włoską szynką, mozzarellą, rukolą i cienkimi plasterkami czerwonej cebuli i świeżego pomidora.

Przy jedzeniu zaczęła przeglądać maile i pozostałe wiadomości, miała też dość czasu na myślenie o śledztwie. Martinez to załatwi, powtarzała sobie. Ona zawsze stawiała na wysokości zadania. Nigdy nie mówiła o kwestiach niezwiązanych ze sprawą i składała tylko takie obietnice, jakie mogła spełnić.

W przeciwieństwie do niektórych, dodała w myślach, kiedy mijala stację w Södertälje i odczytywała wiadomość od szefa, która właśnie się pojawiła na ekranie jej smartfona.

„Rozumiem, że jesteś w Eskilstunie i pilnujesz, żeby wszystko grało. Po południu nie zastaniesz mnie na komisariacie, jestem na konferencji w Rosenbad, ale byłoby świetnie, gdybyśmy mogli się spotkać jak najszybciej i przedyskutować to, co proponowałem w związku z naszą ekipą. Może jutro rano? Jak najwcześniej”.

Mattei jęknęła i westchnęła. Chyba żartuje, pomyślała i na wszelki wypadek wyłączyła komórkę.

Wysiadła na Centralstation i włączyła ją ponownie. Wsiadła do taksówki i wysłała do Wiklandera esemes z pytaniem, czy mogą się zobaczyć za pół godziny w jej gabinecie. Od razu przyszła odpowiedź: „OK”.

Jak ja bym sobie bez was poradziła? – pytała się w myślach. Miała na myśli o dwadzieścia lat starszego kolegę i swój smartfon.

Pół godziny później znów siedział w tym samym miejscu z zadowolonym uśmiechem i przyjaźnie kiwał głową. Tym razem też nie skomentował jej wyglądu, który nadal pozostawiał sporo do życzenia, choć po powrocie poszła prosto do swojej prywatnej łazienki i spędziła tam prawie kwadrans, próbując się doprowadzić do porządku.

– No więc tak, Liso – odezwał się. – Znów tu siedzimy.

– Dwa ptaszki na jednej gałęzi – przytaknęła Mattei.

– Wiem od Martinez, że miałaś okazję zerknąć na nasz cel. Jak wrażenia?

– Przeszło mi przez myśl, że może zupełnie błędzimy. To się już wcześniej zdarzało. A ty jak uważasz?

– Alexander. Nasz angielski kolega – odparł Wiklander. – Po pierwsze, musisz wiedzieć, że to człowiek o nieposzlakowanej opinii. Moi informatorzy twierdzą, że dobrze sobie na nią zasłużył. Po drugie, sędzę, że wie więcej o Khalidzie, niż nam powiedział.

– Oczywiście, że tak. W czym problem?

– Samo w sobie to nie jest problemem. Jest przekonany, że ma rację. Że Abbdo Khalid naprawdę jest bomberem. Jednak z różnych powodów nie może powiedzieć, skąd o tym wie. Bez wątplenia byłoby lepiej dla nas, gdyby przestał trzymać język za zębami i wyjawiał, skąd u niego taka pewność. Ja też się nad tym zastanawiałem. Asz-Szabab nie przeprowadził zbyt wielu akcji poza najbliższą okolicą w Afryce. Jeśli chodzi o Europę i kraje Unii, było ich w sumie dziesięć w ciągu dziesięciu lat, z czego pięć miało miejsce w ciągu ostatniego roku. Trochę skromnie, jeśli chcesz znać moje zdanie. O ile oczywiście jest sens szukać podpory w danych statystycznych.

– Jak najbardziej – odparła Mattei. – Trochę mówienia otwartym tekstem nie zaszkodzi.

Zamiast tych wszystkich różowych słoni, o których tak lubi opowiadać, dodała w myślach.

– Coś ci leżało na wątrobie – przypomniał Wiklander. – Mam nadzieję, że to nic poważnego.

– Tak sobie – odparła Mattei i wymownie wzruszyła ramionami. – Głównie chodziło mi chyba o to, żeby trochę sobie ulżyć.

– Chyba wiem, do czego zmierzamy. Chętnie posłucham. *Na tropie* to zresztą mój ulubiony program telewizyjny.

Mattei ulżyła sobie opowiadaniem o ich szefie. Powiedziała, że miesza się do spraw, do których nie powinien się mieszać i na których się nie zna. Ma nawet czelność podsuwać konkretne propozycje dotyczące organizacji jej własnej ekipy śledczych. Chce wiedzieć pewne rzeczy, choć powinien rozumieć, że nie wolno mu o nie nawet pytać. A na domiar złego ma, delikatnie mówiąc, niefrasobliwe podejście do kwestii, które była zmuszona zdradzić. Pokazała Wiklanderowi wiadomość, którą szef wysłał do niej godzinę wcześniej, kiedy siedziała w pociągu.

– Niedobrze – powiedział i pokręcił głową. – Poza tym to zupełnie niepotrzebne.

– Dlaczego w takim razie to robi?

Wiklander odparł, że powody mogą być różne. Choć mogli wykluczyć działanie „w imieniu obcego mocarstwa” i „potajemny sojusz z muzułmańskimi terrorystami”. Na szczęście.

– To po prostu zbyt głupie. Żaden poważny agent czy szpieg, jak zwał, tak zwał, aktywny lub uśpiony, nie zachowywałby się w taki kretyński sposób – oznajmił wyraźnie zadowolony.

– W takim razie z czego to wynika? – Mattei nie dawała za wygraną.

Odpowiedź Wiklandera brzmiała: ze zwykłych, ludzkich pobudek, a w przypadku szefa w grę wchodziła zapewne ich kombinacja. Po pierwsze, brakowało mu świadomości bezpieczeństwa – w ich branży absolutnie kluczowej. Najprostszy przykład: za dużo mówił. Wyraźnie nie zdawał sobie sprawy, że zwyczajne pytania o wiele za często zawierają odpowiedź, w najgorszym razie udzieloną komuś, kto w żadnym wypadku nie powinien jej znać. Po drugie, po prostu nie wiedział, jak w czysto technicznym, rzemieślniczym sensie wykonuje się tego rodzaju pracę dochodzeniową. A poza tym, z typowo dziecinnych pobudek, chciał brać w niej aktywny udział. Po czwarte, nie widział w tym nic dziwnego, bo w sensie formalnym był przecież dyrektorem generalnym całej instytucji.



– Do tego dochodzą jeszcze inne kwestie. Ze zrozumiałych względów jest zestresowany i dlatego koniecznie chce mieć nad wszystkim kontrolę. Boi się, że nagle go wyrzucą, bo ktoś taki jak ty czy ja spleta mu za plecami jakiegoś figla. I najprostsza ze wszystkich: ma za mało roboty. Zaczyna rozumieć, że ma być naszą twarzą w kontaktach zewnętrznych, ale u nas odgrywa tylko rolę papierowego tygrysa.

– Powinien był zdawać sobie z tego sprawę już od początku. Po co on tu przyszedł? Johansson wyciągnąłby go stąd za uszy – powiedziała Mattei z większym zapalem, niż zamierzała.

– Z pewnością – odparł Wiklander. – Powiem szczerze, że to nie jest głupie rozwiązanie. Chyba powinnaś spróbować. Oczywiście nie w dosłownym sensie, ale czasami jesteś zbyt przyjazna, a z niektórymi niestety nie można po dobroci.

– No tak – odparła Mattei. – Ty chyba nie miałbyś z tym problemu.

– Tego by jeszcze brakowało. Ale może po prostu powiesz „nie”, kiedy następnym razem przyjdzie ze swoimi opiniami i życzeniami?

– Już nie mogę się doczekać.

– Nie będziesz musiała czekać zbyt długo. Przecież już jutro rano przedstawi te same żądania. Po raz kolejny.

– Czekaj, czekaj – odparła Lisa Mattei. – Jutro jest czwartek, święto, potem piątek i znowu wolne. Cztery dni. Dlaczego miałby się tu pojawiać w długi weekend?

– Chce z tobą porozmawiać. Raczej nie ma innego powodu. Zresztą już męczył Karin pytaniami, czy mogłaby się tu pojawić. Pewnie po to, żeby podawać mu kawę.

– Co ona na to?

– Po prostu powiedziała „nie”. I dodała, że chętnie się z nim zobaczy w poniedziałek rano, jak zwykle. Jasne postawienie sprawy. Zastanów się nad tym.

Zwykle „nie”. Na co jeszcze czekasz? – pomyślała Lisa Mattei.

W CZWARTEK TUŻ PRZED dziesiątą szef wszedł do gabinetu Lisy Mattei i usiadł. O nic nie pytał i nie marnował czasu na grzeczności i formalności.

– Zastanawiałaś się nad moim życzeniem w związku z organizacją naszej ekipy śledczej? – zaczął prosto z mostu.

– Tak – odparła. – Tak jak mówiłam wcześniej, mam nadzieję, że będę mogła dać ci odpowiedź jutro po południu.

– Jak to masz nadzieję?

– Nie jestem jasnowidzem. Wszystko zależy od tego, czego zażyczą sobie ludzie, którzy pracują nad tą sprawą. Tak wygląda sytuacja. Poza tym muszę z tobą porozmawiać o czymś jeszcze.

– Brzmi poważnie.

– Bo jest poważne. Chodzi o tajemnicę śledztwa, nad którym pracuję i za które odpowiadam.

– Obawiam się, że muszę zażądać, żebyś mi to wyjaśniła.

– A pewnie, że wyjaśnię – odparła Mattei. – Niestety, zostałam zmuszona do sporządzenia służbowej notatki w tej sprawie. Masz ją w swojej wewnętrznej skrzynce mailowej i proponuję, żebyś spokojnie przeczytał. W skrócie chodzi o wiadomość, którą wysłałeś na mój służbowy telefon wczoraj o jedenastej czterdzieści dwie i którą odebrałam w pociągu z Eskilstuny do Sztokholmu. Nie była zakodowana ani zaszyfrowana. Ani mój, ani twój telefon nie spełniają wymogów technicznych, które pozwalałyby na przesyłanie sobie takich wiadomości zapisanych otwartym tekstem. Tym bardziej w sprawie opatrzonej najwyższą klauzulą tajności. Co więcej, zdradziłeś konkretną informację na temat naszego śledztwa, także objętą tą klauzulą.

– Co ty powiesz. Nie miałem pojęcia, że jesteś prawnikiem. Myślałem, że jesteś kimś w rodzaju genderystki. No i policjantką. Ja z kolei...

– Eskilstuna – przerwała Mattei.

– Eskilstuna?

– Z twojej wiadomości wynika to jednoznacznie i nie trzeba być prawnikiem, żeby to zrozumieć. Wystarczy umieć czytać, żeby zrozumieć, że szefowa pionu operacyjnego Säpo, czyli ja, prowadzi śledztwo w Eskilstunie, a jej szef, dyrektor generalny tejże Säpo, ma niecierpiące zwłoki przemyślenia na temat tego, jak ma wyglądać ekipa ludzi pracujących nad tą sprawą. Jak ci to brzmi? Jakby kilku skinheadów pomazało obóz dla uchodźców rasistowskimi wyzwiskami?

– Zaczynam się trochę martwić, Liso. Co ty mi chcesz powiedzieć? Przecież w swoim telefonie na pewno masz mnóstwo tajemnic.

– Mylisz się, ani jednej, którą mógłby przeczytać ktoś oprócz mnie. Jedynym wyjątkiem jest ta, którą do mnie wysłałeś, choć nie miałeś pojęcia, gdzie przebywam.

– Popraw mnie, jeśli się mylę, ale żyłem w przeświadczeniu, że tylko ty możesz otwierać te wiadomości.

– Tak, i nie wiązało się z tym żadne ryzyko, nawet jeśli stałam wtedy w metrze w godzinach szczytu. Aż do wczoraj. Jeśli nie rozumiesz, o co tu chodzi, to proponuję, żebyś porozmawiał z którymś z naszych kolegów w wywiadzie albo, jeśli tak wolisz, kimś z Must albo FRA i zapytał, jak łatwo ktoś nieuprawniony może przechwycić taką wiadomość za pomocą zwykłego szpiegowania telefonu. Albo jeszcze prościej: jakiś cymbał siedzący w tym samym przedziale może mnie rozpoznać, wyrwać mi telefon, uciec i...

– To mi brzmi jak skrzywienie zawodowe, stanowczo zbyt powszechne w tym miej...

– Nie przerywaj mi. Nie wiem, czy istnieje prostszy sposób na wytłumaczenie ci, o co tu tak naprawdę chodzi.

– Dlaczego mam wrażenie, że nic więcej nie omówimy? – zapytał szef i wstał z krzesła.

– Niestety, muszę się z tobą zgodzić. Co by to miało być?

Szef zostawił ją samą. Po prostu pomaszerował do pokoju Karin. A potem do

swojego i zamknął drzwi.

Po prostu powiedziałam „nie”, pomyślała Lisa Mattei. I nawet nie przyśpieszył mi puls.

Na wszelki wypadek dotknęła lewego nadgarstka.

PIĘĆ MINUT PÓŹNIEJ dyrektor generalny wyszedł z budynku. Po kolejnych pięciu przyszedł Wiklander, nawet nie musiała po niego dzwonić. Najwyraźniej dobrze znał zagrania dyrektora. Tym razem zaczął rozmowę od oceny jej spotkania.

– W konkurencji „po prostu nie” wypadłaś może nie najlepiej, ale przekaz był wystarczająco jasny – stwierdził. – Co dalej?

Czy powinni sporządzić formalne zgłoszenie, że szef złamał tajemnicę śledztwa? Przekazać je prokuratorowi, który odpowiadał za bezpieczeństwo wewnętrzne, i załączyć dowody: wiadomość do Mattei, nagranie ich rozmowy i jej służbowe notatki?

W historii Säpo nie był to zwyczajowy krok, ale kilkanaście razy zdarzyło się, że ktoś z Säpo zdecydował się nagłośnić nieprawidłowości. Wprawdzie nie przysłużyło się to karierom tych ludzi, ale w jednym przypadku rząd postanowił natychmiast odwołać szefa, a w drugim odsunięto go od obowiązków i kazano mu wziąć urlop do czasu, aż znajdzie się dla niego inna posada.

Mattei postanowiła, że przynajmniej poczeka ze zgłoszeniem. Uznała, że każdemu należy dać szansę, żeby zmądrzał. W najgorszym razie będzie się ponownie zastanawiała nad podjęciem tego kroku. Materiał dowodowy nie ucieknie.

– Myślę, że teraz mamy ważniejsze rzeczy do roboty – podsumowała.

– Rozmawiał z tobą tak, jakby nie wiedział, że nagrywasz rozmowę – powiedział Wiklander.

– Nie, tacy jak on chyba o tym nie myślą – stwierdziła. – Co jest zarówno częścią większego problemu, jak i wyjaśnieniem, dlaczego tak się zachowuje.

– Mówisz, że ma uwagi dotyczące tego, jak powinniśmy prowadzić śledztwo – powiedział Wiklander. – Jakie konkretnie?

– Chce, żebym włączyła naszych żołnierzy do ekipy śledczej. Zarówno tych z wywiadu, jak i tych z radiołączności. Zabiega o to, bo jeśli nie pozwolimy im się

z nami bawić, mogą się czuć odrzuceni. A to z kolei może zaszkodzić całej organizacji. Wyślemy złe sygnały i tak dalej.

– Co ty na to?

– Próbowałam wytłumaczyć, że do wykonania zadania zamierzam wykorzystać te zasoby, które się nam przydadzą, i jeżeli się okaże, że potrzebujemy ludzi z Must i FRA, oczywiście to załatwię. Ponieważ jednak jeszcze nie wiem, co nas czeka, kazałam mu się uzbroić w cierpliwość. Powiedziałam to trzy razy. Same oczywistości, które w dodatku go nie dotyczą. Naprawdę przykre, że muszę mu mówić takie rzeczy.

– W tej kwestii w pełni się zgadzamy – stwierdził Wiklander. – Co do tego, dlaczego się tak zachowuje, też jesteśmy wyjątkowo zgodni.

– Tak, chociaż ze sposobu, w jaki to mówisz, wnioskuję, że jest coś, w czym się aż tak nie zgadzamy.

– Sam nie wiem – odparł Wiklander. – Z ludźmi z wywiadu pracowaliśmy przez wiele lat. Bardzo nam się przydawali, tak samo jak my im.

– To naprawdę doskonale. Ale jak według ciebie wykorzystalibyśmy ich w Eskilstunie?

– Martinez z całą pewnością nie ma łatwego zadania, jeśli wziąć pod uwagę, gdzie mieszkają Abbdo i jego rodzina oraz że wiele spośród interesujących nas rzeczy z pewnością będzie się działo w domu.

– Zdaję sobie z tego sprawę – powiedziała Mattei. – Widziałam to miejsce na własne oczy.

– Ja tylko na zdjęciach satelitarnych. Ludzi, którzy nam z nimi pomagali, możesz spokojnie wykluczyć. Równie dobre zdjęcia możemy zrobić z naszych śmigłowców, z tą różnicą, że ci, którzy się na nich znajdują, nie będą mieli o tym pojęcia.

– Nawet ja to rozumiem – odparła.

Choć jestem kobietą i nie służyłam w wojsku, dodała w myślach.

– A jeśli chodzi o twoje pytanie: tak, uważam, że nasi żołnierze mogą pomóc nam i Martinez rozwiązać sporą część tych problemów. FRA zasłużenie ma bardzo dobrą opinię, jeśli chodzi o przechwytywanie wszelkiego rodzaju przekazów

telekomunikacyjnych, specjalizują się też w podsłuchiwaniu ludzi, którzy po prostu siedzą i rozmawiają. Poza tym mają dobrych tłumaczy: arabskiego, somalijskiego, ale też języków używanych w krajach sąsiadujących z Somalią.

– Wyobrażam sobie – stwierdziła Mattei.

– Ta ironia jest niepotrzebna, Liso. Z kimś takim jak ja po prostu ją marnujesz. Poza tym nasi wojskowi koledzy mogą nam pomóc nie tylko z podsłuchami.

– A z czym jeszcze?

– Jeśli chodzi o skradanie się w krzakach, w naszym wywiadzie wojskowym i ich oddziałach jest kilku ludzi, którzy są w tym lepsi od nas.

– Widziałam, że na posesji jest mnóstwo krzewów owocowych. Twój kumple z wojska mogliby się w nich schować. Tylko dziesięć metrów od węgła domu.

– Nie można tego wykluczyć – odparł Wiklander z delikatnym uśmiechem. – Ale chyba coś innego sprawia, że się wahasz. Opowiedz mi, co to takiego.

– Już mówię. Powody są dwa. Zawodowy i prywatny.

Powód zawodowy był prosty i oczywisty. Przy obserwacji przestępców tajemnica służbowa to absolutna podstawa. Moment wkroczenia do akcji musi być dla podejrzanych jak grom z jasnego nieba. Aby to się udało, trzeba mocno trzymać w garści wszystkie swoje sekrety, a im mniej rąk ich dotyka, tym łatwiej je utrzymać. Im więcej ludzi, tym większe ryzyko, że ktoś sypnie. Ryzyko wzrasta, kiedy na peryferia śledztwa wprowadza się nowe osoby. Ludzie gadają przez cały czas. Tym więcej, im mniej wiedzą – tak podpowiadało jej doświadczenie.

Wiklander zgodnie pokiwał głową. Zgadzał się w zupełności. Pozostawały motywy osobiste, których zresztą był bardzo ciekaw.

– Mam z nimi problem – oznajmiła Mattei i wzruszyła ramionami. – W czysto prywatnym, osobistym sensie.

– Masz z nimi problem – powtórzył Wiklander i sam miał problem z ukryciem zdziwienia.

– Tak. Zaraz wytłumaczę dlaczego.

Kilka lat wcześniej kwatera główna Säpo została przeniesiona na Ingentingsgatan w Solnie, a w tym samym budynku znalazł się też ich nowy współpracownik,

Narodowe Centrum Oceny Zagrożeń Terrorystycznych, czyli NCT. Obecnie w NCT pracowało około dwustu osób. Wojskowi, funkcjonariusze policji bezpieczeństwa i szybko rosnąca liczba pracowników cywilnych – ekspertów od wszystkiego, począwszy od broni i komputerów aż po język, politykę i historię religii.

Kiedy byli nowi w budynku, ówczesny szef Säpo uznał, że powinni jak najszybciej poznać się nawzajem. Dlatego już w pierwszym półroczu zorganizował łącznie cztery konferencje, podczas których dawni pracownicy Säpo i ich nowi koledzy rozmawiali o sprawach służbowych i spotykali się w tak przyjemnych okolicznościach, jakie tylko są możliwe, jeśli brać pod uwagę charakter ich pracy.

– Pracowałam wtedy u niego jako szefowa sztabu i przez pół roku byłam w zasadzie kimś w rodzaju tajnego odpowiednika Micaela Binfelda, tego profesjonalnego organizatora przyjęć. Tyle że w przeciwieństwie do niego musiałam brać udział w tym, co sama zorganizowałam.

– To z pewnością nie było łatwe – zgodził się Wiklander.

– Nie było. Musiałam się głowić, kto może spotkać kogo i to z powodów, których nawet nie wolno zdradzić. Do tego dochodziły inne rzeczy. Sam rozumiesz. Czy w ogóle zaprosić ich na kilka kieliszków wina, jakby to miało jakieś znaczenie, skoro przynieśliby ze sobą cały ten bagaż. Często w tych przygotowaniach pomagali mi moi nowi wojskowi koledzy z pracy. Niestety, stanowczo zbyt często było to dla mnie mocne doświadczenie z powodów osobistych, a to przez ich sposób myślenia, poglądy i wypowiedzi. Gdybym miała to ująć wyjątkowo łagodnie, powiedziałabym, że mogły nie być całkowicie zgodne z intencjami, jakie politycy wyrazili w ustawie regulującej naszą działalność.

– Doskonale rozumiem, co masz na myśli – zapewnił Wiklander. – Jednak ten problem istnieje także u nas, w policji. Seksizm, rasizm, przesady jako takie i wszelkie głupoty, które niektórzy zaczynają wygadywać, jak tylko usiądą z podobnymi sobie. Jednocześnie musisz przyznać, że w porównaniu z policją sprzed lat i tak się poprawiło. Chociaż myślę, że my z Säpo wypadamy dobrze nawet w zestawieniu z kolegami z młodszego pokolenia.

– Chodzi ci o naszą młodszą koleżankę, która pracuje w sztokholmskiej



dochodzeniówce i jednocześnie zasiada w zarządzie z ramienia Szwedzkich Demokratów.

– Może niekoniecznie o nią. Poza tym jej stanowisko wynika z mandatu politycznego, więc ani mi w głowie mieć jakiegokolwiek zastrzeżenia.

– Jeszcze by tego brakowało – zgodziła się Mattei. – W końcu reprezentuje szwedzką partię polityczną. I to największą w parlamencie. Nie mam pojęcia, gdzie tacy jak ona byli za twoich czasów. W każdym razie nie tam. Naszej szanownej członkini zarządu też tam nie było. Nie zasiada w parlamencie, w radzie gminy ani w radzie regionu. O innych jej funkcjach w partii Szwedzkich Demokratów też nic mi nie wiadomo. Kim ona jest? Może zwykłą przyjaciółką partii.

– No tak – odparł Wiklander i westchnął.

– Nie mówię o takich ludziach, jeśli to cię pocieszy. Chodzi mi o tych, którzy obecnie pracują w tym samym budynku co my. Jest ich trzech, wszyscy są wojskowymi i kompletnymi świrami, zrobili na mnie niezatarte wrażenie. Wszyscy jak jeden mąż, i to pomimo faktu, że każdemu z nich psychiatra wystawiłby zupełnie inną diagnozę.

– Kiedy to mówisz, ogarnia mnie zawodowa ciekawość – przyznał Wiklander. – Mogłabyś mi zdradzić ich nazwiska?

– Nie – odparła Mattei. – Nie mogę. Pomówimy o tym któregoś wieczoru, kiedy nie będziemy mieli nic lepszego do roboty. Jeśli chcesz, mogę się wykosztować na to włoskie czerwone wino.

– Ale żadnych nazwisk?

– Okej, niech ci będzie – Mattei wzruszyła ramionami. – Dam ci jedno nazwisko, żebyś siedział cicho. Ten, którego pamiętam najlepiej, był majorem. Pamiętam go dlatego, że nazywał się tak samo jak ówczesny minister obrony narodowej. Opowiadał takie rzeczy, że aż musiałam sprawdzić, czy nie są spokrewnieni. Na szczęście nie było tak źle.

– Masz na myśli Björklunda – stwierdził Wiklander. – Callego Björklunda, majora Carla Björklunda.

– W rzeczy samej – przytaknęła Mattei. – Gdyby to on był ministrem obrony

narodowej, zacząłby od wprowadzenia nas do NATO, a potem niezwłocznie wypowiedziałby wojnę Rosji. Nie zrobił tego, bo dostał pracę u nas.

– Calle Björklund jest podobno jednym z wiodących krajowych ekspertów w dziedzinie konwencjonalnej broni wojskowej. Wie wszystko o likwidowaniu ludzi. Od kul i materiałów wybuchowych po działa i czołgi. Gaz, trucizna, broń biologiczna, wszystko.

– No to dobrze – odparła Mattei. – Na co jeszcze czekamy? Jeśli wpadniesz na niego w korytarzu, pozdrów go ode mnie i przy okazji zapytaj, co wie o zamachowcach samobójcach i tych wszystkich ustrojstwach, które na siebie zakładają.

– Obiecuję, że tak zrobię. Dziękuję za radę.

MATTEI BYŁA NIESPOKOJNA. Zastanawiała się nawet, czy zadzwonić do Martinez albo kogoś innego i zapytać, jak idzie.

To z pewnością wpływ mojego szefa, pomyślała. Martinez i pozostali mają pełne ręce roboty – gdyby zdarzyło się coś, o czym powinnam wiedzieć, na pewno daliby znać.

Zaczęła wertować papiery, żeby zobaczyć, czy czegoś nie przeoczyła. Jasne, że nie, odpowiedziała sobie w myślach i westchnęła. Prowadzący śledztwo, który tylko siedzi i czeka, aż coś się wydarzy, jest jak księgowy z nerwicą natręctw.

Poszła do łazienki i jeszcze raz spróbowała doprowadzić do porządku swój wygląd. Wiedziała, że standardowa procedura – mycie włosów, czekanie, aż same wyschną, i związywanie ich w koński ogon za pomocą gumki Elli – jest czymś, czego powinna unikać. Nie mogła też wykonać alarmowego telefonu do fryzjerki i prosić, żeby spróbowała uratować resztki włosów. Był Dzień Wniebowstąpienia Pańskiego i wszyscy normalni ludzie wzięli urlop.

Co mam teraz robić? – zastanawiała się. Wróciła do biurka, uruchomiła komputer i natychmiast zobaczyła nowy mail, wysłany na zabezpieczony adres, który dostała od Jeremy'ego Alexandra. Miały tam trafiać wyłącznie informacje dotyczące telefonu komórkowego Abbda Khalida.

Nareszcie, pomyślała.

Jeremy Alexander ani trochę nie przypominał jej szefa, kiedy chodziło o obchodzenie się z tajnymi informacjami. Mattei musiała wstukać kod zabezpieczający i odczekać kilka minut, zanim treść maila ukazała się na ekranie. Ciągle te kody, myślała, niecierpliwie bębniąc palcami w biurko.

Poprzedniego dnia, dziesięć po siódmej, mniej więcej wtedy, kiedy Mattei stała pod prysznicem w mieszkaniu przy Narvavägen, na telefon Abbda Khalida przyszła

wiadomość wysłana z numeru, z którego już wcześniej ktoś do niego napisał.

### *Gonna miss U! L U*

Tym razem minęło trochę czasu, zanim odpowiedział. Dopiero po ponad godzinie potwierdził otrzymanie wiadomości. Tak samo jak poprzednio, przez zwykłe naciśnięcie przycisku, bez wysyłania wiadomości zwrotnej. Ustalono, że telefon nadawcy miał tę samą pozycję GPS, kiedy wysyłał wiadomość i kiedy odbierał potwierdzenie. Pozycja drugiego telefonu również nie uległa zmianie.

Alexander załączył współrzędne obu. Według jego współpracownika telefon Khalida znajdował się czterdzieści dwa kilometry na południowy wschód od Eskilstuny, a telefon nadawcy w centrum Sztokholmu.

Alexander pisał też, że chciałby z nią porozmawiać, jak tylko przetrawi informacje, które dostała. Najprościej byłoby, gdyby zadzwoniła pod bezpieczny numer – mogliby wtedy omówić wszystko przez telefon. Najlepiej przez to praktyczne ustrojstwo, którego nie potrafił ogarnąć. To, które pozwala słyszeć i widzieć rozmówcę, uściślił.

Co mam zrobić z włosami? – zastanawiała się Mattei. Będę udawała, że byłam na dworze i zmoczył mnie deszcz, postanowiła i wystukała numer.

Jeremy Alexander wyglądał jak zwykle, nawet na ekranie jej komputera. Ta sama nieskazitelna, imponująca powierzchowność i kolejny krawat. Tym razem w ukośne czerwono-niebiesko-zielone paski, które z pewnością oznaczały przynależność do czegoś jeszcze innego, ale nie zamierzała dociekać, co to takiego.

Alexander zaczął rozmowę od przeprosin, że nie odezwał się wcześniej. Wyjaśnił, że mógł to zrobić już poprzedniego wieczoru, ale z różnych powodów, o których zaraz opowie, przed rozmową z nią musiał zasięgnąć rady swojego „amerykańskiego przyjaciela”. To w połączeniu z różnicą czasu między Londynem a Waszyngtonem wyjaśniało, dlaczego minęło dwanaście godzin. Poza tym on i jego kolega z CIA byli zmartwieni tym, co się wydarzyło. O to nietrudno, kiedy się widzi różowego słonia.

– Co cię niepokoi? – spytała Mattei.

– Mam wrażenie, że ten różowy słoń naprawdę istnieje – odpowiedział Alexander. – Poza tym wydaje mi się, że żaden z tych telefonów nie zostanie już więcej użyty. Tak rozumiem tę wiadomość. Pierwsza, którą otrzymał w poniedziałek, była ostrzeżeniem. Miał zachować ostrożność, bo coś mogło być na rzeczy.

– A wczoraj otrzymał potwierdzenie, że rzeczywiście tak jest – uzupełniła Mattei.

– Tak to rozumiemy. „Będę za tobą tęsknić” oznacza tak naprawdę, że Khalid nie może używać swojej komórki do kontaktowania się z tym kimś, bo zaczęliśmy go śledzić.

– Tak – zgodziła się Mattei. – Zaczęliśmy już w poniedziałek wieczorem.

– Skontaktował się z nim ktoś, kto jest zaangażowany w tę robotę albo po prostu o niej wie. Trwało to półtorej doby, więc obstawiam kogoś z peryferii.

– Nie jest to żaden z naszych śledczych działających w terenie, lecz ktoś, kto został poinformowany, że śledzimy Khalida.

– Tak. Jeśli wasza ekipa śledczych jest równie liczna jak z reguły bywają nasze, to jest z czego wybierać. Nie zazdrozczę ci.

– We wtorek po południu, po pierwszym spotkaniu z ekipą śledczą, o naszym zainteresowaniu Khalidem wiedziało ponad pięćdziesiąt osób – oznajmiła Mattei.

– A dwanaście godzin później? – zapytał Alexander. – Kiedy zaczęliście go szukać w naszych rejestrach i umieszczać na wszystkich listach bieżących spraw? Nie zapominaj o ludziach, którzy zawsze chlapią na prawo i lewo. Ilu ich wtedy było?

– Stanowczo zbyt wielu – odparła Mattei.

– Przykra sprawa. Pocieszające w tej sytuacji jest to, że osoba, o której rozmawiamy, wciąż nie wie, że mamy ten numer, choć jednocześnie uważa ryzyko za na tyle duże, że Khalid musi przestać się nim posługiwać.

– Wniosek z twojej wypowiedzi jest więc taki, że mamy u siebie kreta.

– Tak, zdecydowanie – zgodził się Alexander, wyraźnie zadowolony. – Powiem ci, że sami w ciągu ponad stu lat naszej działalności mieliśmy sporo takich

przypadków. To część naszych bogatych tradycji, a wielu z tych, którzy drążyli korytarze pod nami, porządny, uczciwy ludźmi, z pewnością otrzymało podziękowanie w postaci emerytury i, powiedzmy, Orderu Imperium z rąk Jej Wysokości Królowej. Wy, zdaje się, radziliście sobie znacznie lepiej.

– Choć nie tym razem – odparła Mattei.

– Ufam ci, Liso. Jeżeli ktokolwiek może wytropić tego kogoś, to właśnie ty. Zresztą z czystej ciekawości przeczytałem trochę na ten temat. Znalazłem u was tylko jeden taki przypadek, a mianowicie oficera rezerwy, który odpowiadał za wasze kontakty z wojskiem. To się działo pod koniec lat siedemdziesiątych. Szpiegował szwedzkie wojsko dla Sowietów i jednocześnie robił krecią robotę w szwedzkiej policji bezpieczeństwa, w której był zatrudniony. Długo przede mną, to tak gdybyś się zastanawiała, dlaczego nie nawiązałem z wami kontaktu w tej sprawie. Wtedy jeszcze biegałem w krótkich spodenkach, nawet w zimie.

– Chodzi ci o Stiga Berglinga – powiedziała Mattei.

– Tak jest. Stig Bergling, tak się nazywał. Żadna gruba ryba, jeśli chcesz znać moje zdanie, ale jednocześnie *The One and Only*, jak zrozumiałem z lektury.

– Ja miałam pięć lat, kiedy go złapano.

– Wiem – oznajmił Alexander. – Ja niestety jestem starszy. Ale przyznaj, że to fantastyczne.

– Fantastyczne? Co takiego?

– Tylko jeden kret na tyle lat. Dopiero teraz w końcu macie następnego. Przecież szwedzka policja bezpieczeństwa istnieje niemal równie długo jak my. Dwa krety w ciągu stu lat. Musisz przyznać, że to wręcz zbyt piękne, aby było prawdziwe.

Zbyt piękne, aby było prawdziwe, powtórzyła w myślach po zakończeniu rozmowy z angielskim kolegą. Co mam teraz zrobić? Muszę podejść do tego systematycznie.

Godzinę później miała już wszystko przemyślane i nawet podjęła decyzję. Jeżeli przestanę mu ufać, będę mogła równie dobrze przestać ufać sobie, uznała. Wyjęła komórkę i zadzwoniła do Jana Wiklandera.

WIKLANDER POTRZEBOWAŁ dobrej chwili, żeby przeczytać papiery, które mu dała. Czytając, robił notatki i zadawał pytania. Kiedy wreszcie odłożył kartki, przez chwilę milczał i kręcił głową. W końcu się odezwał.

Jeśli mieli u siebie kreta, było naprawdę źle. Ta wiadomość była nawet gorsza od domniemanych poczynań Khalida. O obu tych sprawach jednocześnie wolał nie myśleć.

Jeżeli tak rzeczywiście było, to mieli w czym wybierać. Po pierwsze, w Säpo pracowało ponad sześćdziesiąt osób, które wchodziły w skład ekipy śledczej lub wiedziały o jej istnieniu.

– Dwie z nich siedzą nawet w tym pokoju – dodał.

To był niewesoły wniosek i najgorszy możliwy przykład skrzywienia zawodowego.

Do tego dochodziła niewiadoma liczba osób, które miały kontakt z tym spośród nich, który zdążył już się wygadać. Jeżeli ten ktoś nie utrzymał języka za zębami więcej niż raz, istniało poważne ryzyko, że to się powtórzy. Wiklander jednak nie sądził, żeby chodziło o kogoś takiego.

– Dlaczego? – spytała Mattei.

– Człowiek, który monitoruje sytuację dla Khalida, wygląda na profesjonalistę. Komórki, których nie można namierzyć, żadnej niepotrzebnej paplaniny, poza tym sposób wyrażania się typowy dla takich ludzi: abstrakcyjny, wymagający czytania między wierszami, otwarty na rozmaite interpretacje.

– Louise Urqhart – powiedziała Mattei. – Czy to możliwe, żebyśmy mówili o niej?

– Musiałaby najpierw zostać złowiona i zwerbowana przez Abbdę. Mogę sobie wyobrazić, że motywem były jej pieniądze. Do tego momentu wszystko mi się zgadza.

– Ale później już nie?

– Wydaje mi się, że to by było zbyt wiele. Z opisu Alexandra wynika, że to zwykła wariatka z angielskich wyższych sfer. Pozostają jeszcze czysto praktyczne kwestie.

– To znaczy?

– Najpierw musiałyby dotrzeć do Szwecji, a potem zbliżyć się do kogoś stąd, kto odpowiada za zwalczanie terroryzmu, wyciągnąć od niego informacje, a potem przekazać je Khalidowi. Mówię od niego, bo byłby to mężczyzna. Powtarzam: trochę tego za wiele jak na mój gust.

– Czy coś wskazuje na to, że mogła się dostać do Szwecji?

– Nie, przynajmniej na razie. Zaczęliśmy sprawdzać podróże z zagranicy, przyloty i nie tylko, do tego oczywiście kontrole paszportowe i hotele w okolicach Sztokholmu. Jak dotąd nic to nie dało. Ale wiadomo, jeśli ktoś wygląda tak jak ona, nie powinien mieć większych problemów z dostaniem się tutaj. Bez fałszywego paszportu. Unikanie samolotów, niepatrowane przejścia graniczne. Stopniowo, po jednym kraju.

– W takim razie gdzie ona jest? Jeżeli nie tutaj.

– Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że siedzi w jakimś bezpiecznym miejscu za granicą i czeka, aż jej kochanek upora się ze swoimi sprawami, żeby mogli znów być razem. Może Somalia, Bliski Wschód? Tam zwykle lądują – podsumował i wymownie wzruszył ramionami.

– A jej pieniędzmi zaopiekował się Abbdo.

– Od tego na pewno zaczął – zgodził się Wiklander. – Jeżeli jest z nim tak źle, jak niektórzy z nas się obawiają, nic nie stało na przeszkodzie, żeby ją zabił zaraz po otrzymaniu pieniędzy, potem pozbył się ciała i zostawił jej samochód obok lotniska w Manchesterze. Możliwe, że nie żyje i nigdy nie opuściła Wielkiej Brytanii.

– Mnie też to przeszło przez myśl – przyznała Mattei.

– Jeśli rzeczywiście mamy u siebie kreta, to niestety musi nim być ktoś, kto pracuje tutaj. I bardzo wcześnie otrzymuje informacje. Przecież po raz pierwszy odezwał się, kiedy wsiedliśmy do samolotu, który miał nas zabrać do Wielkiej



Brytanii na spotkanie z Alexandrem.

– W takim razie sprawa jest prosta – stwierdziła Mattei z uśmiechem. – To ja albo nasz dyrektor generalny. Może jeszcze ktoś z naszego otoczenia, komu się wygadaliśmy.

– Nie – Wiklander zdecydowanie pokręcił głową. – Nie wierzę, żeby to było któreś z was. Tobie ufam, wiesz, co robisz. Naszego dyrektora wykluczam ze względu na te same argumenty, choć dokładnie odwrotne, że się tak zagadkowo wyrażę.

– Chodzi ci o to, że mówi stanowczo za dużo na temat rzeczy, o których nie ma pojęcia?

– Tak, coś w ten deseń. Ale to ty powiedziałaś. Poza tym są jeszcze dwie możliwości, o których nie wolno nam zapominać.

– I obie dotyczą naszego angielskiego kolegi, który jako pierwszy dał nam cynk – powiedziała Mattei.

Zaczęła myśleć tym torem tuż po zakończeniu rozmowy z Alexandrem.

– Zgadza się. Nasi angielscy koledzy z Brygady Antyterrorystycznej interesowali się Khalidem już od dziewięciu miesięcy. Nie ma u nas nawet najmniejszej notatki, która wskazywałaby na to, że kontaktowali się z nami formalną drogą. Już to sprawdziłem, chociażby po to, żeby wiedzieć, czy jakiś nieznany nam kolega nie musi wypełnić kilku dodatkowych blankietów o tajemnicy służbowej. Nic takiego nie znalazłem. Pozostaje druga możliwość. Ile nieformalnych kontaktów z kolegami z zagranicy nawiązałaś przez te lata, Liso?

– Nie wiem – odparła Mattei. – Na pewno więcej niż sto.

– A ja znacznie więcej – odparł Wiklander. – W ciągu dziesięciu lat pracy nawiązywałem taki kontakt mniej więcej raz w tygodniu.

– To dotyczy w zasadzie każdego z nas.

– Nie wolno nam też zapominać o samym Alexandrze. To przecież z jego powodu uruchomiliśmy to śledztwo. Poza tym chyba oboje jesteśmy zdania, że ma w tym jakiś ukryty interes. Zresztą nawet sam to sugerował. Mówił, że coś jest na rzeczy, ale niestety nie może nam zdradzić, o co chodzi.

– Zgadza się – odparła Mattei – tyle że w tym punkcie sama mam pewne problemy z logiką. Trudno mi uwierzyć, że to on wysłał te wiadomości i później nam je dał. Dlaczego miałby tak mącić?

– Również nie sędzę, żeby to zrobił. Problemem jest raczej to, co przed nami ukrył. Może chce, żebyśmy pomogli mu ruszyć z miejsca. Przekonali jego rywala, że wie rzeczy, których tak naprawdę nie wie. Najprostszy wariant starej dobrej wojny w lustrze, którą tacy jak Alexander wysysają z mlekiem matki.

– Gdybym miała to podsumować... – zaczęła Mattei i odchyliła się z powrotem na oparcie krzesła.

– Podsumuj – poprosił Wiklander.

– Ech – westchnęła. – Tak właśnie brzmiało moje pierwsze podsumowanie przypuszczenia, że ewentualny kret działa tu, u nas. Po drugie, praktyczne kroki.

– Zamieniam się w słuch – powiedział Wiklander.

– Musimy nadal szukać Louise Urqhart. Nawet jeśli prawie wszystko przemawia za tym, że jej noga nie powstała w naszym kraju.

– Pełna zgoda.

– Poza tym – ciągnęła Mattei – muszą być z nami ludzie z radiołączności. W najgorszym razie, jeśli Alexander trochę nam blefuje, chcę przynajmniej wiedzieć, jak jest naprawdę. A nie siedzieć i czekać, aż się w końcu odezwie.

– Pełna zgoda.

– Chcę włączyć jeszcze kilku innych oprócz FRA, chodzi mi o ich kolegów z Must, którzy potrafią się ulokować pod krzakiem agrestu. Jednych i drugich musimy mieć natychmiast, a człowieka, który odpowiada za współpracę między nimi, chciałam umieścić w ekipie u twojego boku. Takie rzeczy są ważne dla naszych wojskowych.

– Tu również pełna zgoda. Jeśli zajmą się swoimi sprawami, ja się zajmę moimi.

– Dobrze. Choć taki zły ze mnie człowiek, że zaczynam żałować tej decyzji, jak tylko pomyślę o naszym kochanym szefie i wszystkich jego propozycjach w tej samej sprawie.

– Jeśli chcesz, mogę się zająć stroną praktyczną – oświadczył Wiklander.

– Byłoby doskonale. A jutro upewnij się, że są na miejscu, zanim zaczniemy działać na poważnie. Gdybyś poza tym mógł się postarać o wojskowego odpowiedzialnego za współpracę, który jak najmniej przypominałby majora Björklunda, to może nawet dałabym ci w prezencie kilka butelek tego drogiego włoskiego wina.

– Bardzo dziękuję. Wydaje mi się, że już znalazłem nam kogoś takiego.

– Kim on jest?

– Nie on, lecz ona, wierz mi lub nie. Nazywa się Helena Palmgren. Zaczęła pracę w naszym centrum antyterrorystycznym zaledwie kilka miesięcy temu.

– Aha – odparła Mattei. – Wojskowa? Policjantka? Skąd ona jest?

– Ani stąd, ani stąd. To naukowiec, ukończyła psychologię pola walki. Ostatnio pracowała w Must.

– Jest dobra?

– Doskonała. Miła, cicha, rzeczowa, żadna tam konserwatystka, kompetentna i utalentowana. Jeśli pominąć wygląd, trochę przypomina ciebie.

– Fantastycznie – odparła Mattei. – Masz z nią kontakt? Pozdrów ją ode mnie.

– Dobrze – odparł Wiklander i wstał. – Coś jeszcze?

– Jeśli chodzi o nas, to wszystko. Johan i Ella wyjechali na wieś do moich teściów. Ja miałam zamiar pojechać do Eskilstuny, spotkać się z Martinez i wykonać trochę starej, dobrej policyjnej roboty.

– Powodzenia – powiedział Wiklander. – Uważaj na siebie.

Między Wiklanderem a Martinez jest sporo różnic, choć oboje są równie dobrzy w tym, co robią, pomyślała Lisa Mattei, kiedy zeszła do garażu po służbowy samochód. Miała tyle rzeczy na głowie, a on powiedział, żeby na siebie uważała. Cały Wiklander. Co powiedziała Martinez, kiedy się dowiedziała o jej planowanym powrocie do Eskilstuny? Żeby nie zapomniała włożyć niebieskiego sweterka.

TUŻ PO WPÓŁ DO SIÓDMEJ w środę rano Abbdo Khalid wyszedł z domu, wsiadł do samochodu i ruszył w stronę centrum Eskilstuny. Już po pięciu minutach minął pralnię chemiczną i zgubił śledzący go samochód Säpo. Nie było jasne, czy zrobił to na wszelki wypadek, czy już wiedział, że go obserwują. Dwie godziny i pięćdziesiąt minut później, o dziewiętej dwadzieścia pięć, wrócił do mieszkania. Wtedy prawdopodobnie już o wszystkim wiedział, bo dwie godziny i piętnaście minut wcześniej ktoś go ostrzegł wiadomością tekstową. Odpowiedział na nią po godzinie i dziesięciu minutach. Było dwadzieścia po ósmej, ale nawet jeśli dopiero wtedy zrozumiał, że dostał ostrzeżenie, to wjeżdżając przed dom przy Lötgärdesstigen, wiedział o nim już od ponad godziny.

Czterdzieści minut później Lisa Mattei obserwowała go przez lornetkę. Siedział na ogrodowej huśtawce, czytał gazetę i popijał coś ze sporej, pomalowanej na niebiesko filizanki. Prawdopodobnie herbatę, pomyślała, nie wiedząc, skąd to przypuszczenie. Ten młody człowiek zachowywał się tak, jakby nie miał najmniejszych zmartwień.

Może tu nie chodzi o nic więcej, pomyślała Mattei. Może po prostu odezwała się do niego ukochana kobieta i napisała, że jej go brakuje. To w każdym razie tłumaczyłoby jego zachowanie. Może różowy słoń, którego widzieli Alexander i reszta, istniał tylko w ich głowach. To do niej i jej kolegów należało wyjaśnienie wszystkich znaków zapytania. Na przykład ustalenie, co Abbdo porabiał przez prawie trzy godziny, kiedy nie było go w domu.

Zanim pojechała do Eskilstuny, wstąpiła do swojego mieszkania. Postanowiła, że zostanie w Eskilstunie na noc, prześpi się w Stadshotellet i rano pojedzie prosto do pracy, więc spakowała do torby kosmetyczkę z przyborami toaletowymi i czyste ubrania na następny dzień.

Poszła do łazienki, umyła się i przebrała stosownie do zadania. Dżinsy, koszula, cienka bluza, trampki – praktyczny strój, ładny i schludny, ale pozwalający się nie wyróżniać.

Przedostatnim krokiem było otwarcie szafki na broń w głębi garderoby, wyjęcie służbowego pistoletu i przymocowanie kabury przy lewym udzie za pomocą metalowych klipsów przypinanych do pasa. Przejrzała się w dużym lustrze w przedpokoju i zrobiła groźną minę. *Come on, Abbd. Make my day*, pomyślała. Dawno nie czuła takiego ożywienia jak w chwili, kiedy zwieńczyła przemianę, wkładając skórzaną kurtkę, na tyle długą, że zakrywała broń. Była ładna i wygodna, a kieszenie miały wystarczającą pojemność dla kogoś, kto nie ma czasu i miejsca na torebkę. To było najlepsze i odróżniało tę kurtkę od niebieskiego sweterka, który ostatnio miała na sobie.

Czy o czymś zapomniałam? – zastanawiała się. Ostatnio coraz częściej zadawała sobie to pytanie. To chyba oznaka wieku, kiedy człowiek, posługując się własną pamięcią, próbuje skontrolować jej niedostatki. To wszystko, uznała w końcu.

Jadąc w stronę Essingeleden i autostrady wiodącej na południe, zastanawiała się nad innymi sprawami niż te, które skłoniły ją do wyjazdu do Eskilstuny. Często myślała o innych rzeczach, niż powinna. Kiedy była młodsza, niepokoiło ją to i któregoś razu opowiedziała o tym szefowi i mentorowi Larsowi Martinowi Johanssonowi. Wbrew jej oczekiwaniom pogratulował tej cechy i zasugerował, że są do siebie podobni.

Tylko idioci myślą o ściśle określonych sprawach, a najgorsi są ci, którzy potrafią myśleć tylko o obowiązkach służbowych. Johansson uważał, że należy unikać myślenia „o czymś”. Najważniejszy jest sam proces myślenia, i to najlepiej o czymś, co nie ma najmniejszego związku z zasadniczą kwestią, stwierdził, a potem poklepał ją po ramieniu i skinął głową.

– Pamiętaj o tym, Liso. Właśnie to różni ciebie lub mnie od tych wszystkich prostszych umysłów, które nas otaczają.

Na przykład używanie własnej pamięci do kontrolowania niedostatków tej pamięci, myślała Lisa Mattei. Fakt, to sprzeczne z naturą problemu, ale ponieważ nie było żadnej prostej alternatywy, musiało tak zostać. Johansson twierdził, że

rozwiązania tego typu są ważnym elementem intuicji, która wyróżnia każdego prawdziwego policjanta. Tego rzadko spotykanego osobnika, który żyje siłą wątpliwości, a nie przekonania.

Nie o wszystkich można to powiedzieć, pomyślała Mattei. Choć niektórzy mimo wszystko są świetnymi funkcjonariuszami. Na przykład Linda Martinez. Kilka godzin wcześniej, kiedy usłyszała, dlaczego mają się spotkać w Eskilstunie, najpierw głośno westchnęła. Wzdychała tak jeszcze dobrą chwilę. Jej zdaniem robienie ze wszystkiego tajemnicy, tak popularne w jej pracy, stanowiło poważne zagrożenie dla każdego szanującego się śledczego. Obserwacja w terenie nie jest czymś, co w każdej chwili można zorganizować pstryknięciem palca. Fantazyjnym dodatkiem do zwykłej pracy policji. Wymaga sięgania myślą naprzód i przede wszystkim opracowania planu.

W końcu Mattei jej przerwała. Powiedziała, że sama nie ma żadnego problemu ani z tajemnicami, ani z planowaniem, ale tym razem po prostu dowiedziała się o tym wszystkim dopiero godzinę wcześniej.

– No i jak ci się podoba ta sytuacja? – zapytała na koniec.

– Uwielbiam ją – odparła Martinez. – Prawie tak samo jak ciebie.

Kiedy Mattei wjechała na autostradę, zadzwoniła do domku letniskowego teściów, żeby porozmawiać z Johanem i Ellą. Odebrała Ella. Opowiedziała, że była z tatą i dziadkiem łowić śledzie na linkę, za którą się szarpało. Jak wyjaśniła, sama ruszała nią tylko w górę i w dół, żeby nie rozboleły jej ręce. Złapali bardzo dużo śledzi, a to dobrze, bo są znacznie mniejsze niż szczupaki czy okonie, które zwykle łowili z dziadkiem w sieci. Nawet takie maciupkie.

– Tyci, tyci, tyciusieńkie – doprecyzowała.

Kiedy wrócili do domu, babcia wzięła wszystkie śledzie, a teraz stała w kuchni i smażyła je na patelni, żeby mieli co jeść na kolację.

– Czyli to babcia przygotowuje jedzenie? – zapytała Mattei.

No proszę, pomyślała.

– Tak – odparła Ella. – Ale dostanę do tego purée ziemniaczane, a nie te zwykłe okrągłe ziemniaki. Purée jest dużo lepsze. I jeszcze prawdziwy dżem z borówek,

znacznie lepszy niż same borówki, bo one są za kwaśne.

Johan powinien się rozmówić z moją teściową, pomyślała Mattei. To w końcu jego matka. Nie zamierzała jednak poruszać tego tematu z Ellą.

– Co robi tata? – zapytała.

Ella ściszyła głos.

– Obiecuj, że nikomu nie powiesz.

– Obiecuję, skarbie.

– Daj słowo honoru i bez krzyżowania.

– Słowo honoru i bez krzyżowania – powtórzyła. – Palce skrzyżowane za plecami się nie liczą – dodała dla pewności.

– Tata i dziadek piją whisky – wyszeptała Ella. – Pachnie przepysznie, mamó. Jak łądka dziadka. Ta bardzo stara i bardzo zniszczona, w której nie wolno pływać, bo się utonie.

– To prawda – odparła Mattei. – I wiesz, co jeszcze?

– Nie.

– Smakuje jeszcze pyszniej.

– Ale dlaczego oni piją whisky?

– Nie wiem. Zapytaj taty. Mama nigdy jej nie pije.

– Tęsknię za tobą, mamó. Bardzo mocno.

– Ja też bardzo mocno za tobą tęsknię, skarbie. Jutro muszę być w pracy, ale potem przyjadę na wieś. Będę jutro wieczorem i spędzimy razem cały weekend.

– Ale wtedy on już się prawie skończy.

– Nie – zaprotestowała Mattei. – Będziemy się widziały jutro, w sobotę i w niedzielę. To prawie cały weekend.

– Słowo honoru i bez krzyżowania?

– Słowo honoru i bez krzyżowania – powtórzyła Mattei.

– Całuję cię i ściskam, mamó – powiedziała Ella.

– Ja ciebie też, skarbie. Pozdrów tatę, wyściskaj i ucałuj go ode mnie.

– Dobrze, obiecuję – odparła Ella.

Ja też, pomyślała Mattei. Słowo honoru, bez krzyżowania, a palce za plecami się

nie liczą.

Zameldowała się w hotelu, wniosła torbę do pokoju i wróciła do lobby. Martinez już na nią czekała.

– Ładna kurtka – powiedziała i wyszczerzyła zęby. – Ten niebieski sweterek, który wczoraj na sobie miałaś, wyglądał strasznie.



MIMO BRAKU PLANU Martinez próbowała jak najlepiej wykonać zadanie. Między innymi dlatego usiadła za kierownicą. Z kolei Mattei miała odpowiadać za dokumentację – w końcu była po studiach. Dyktafon, kamera z teleobiektywem, lornetka, stoper, nawet kartka i długopis – te wszystkie przybory znajdowały się w schowku między przednimi siedzeniami. Martinez stwierdziła, że najprościej będzie, jeśli Mattei już teraz je wyjmie i zacznie się z nimi zapoznawać, a ona pojedzie do punktu startowego.

– Pomyślałam, że obserwację rozpoczniemy od miejsca, w którym zgubił moich chłopaków – stwierdziła.

– A potem?

– Potem mam zamiar użyć GPS-u i dojechać najkrótszą drogą do punktu, gdzie znajdowała się jego komórka w chwili wymiany wiadomości. Prawdopodobny obszar leży w promieniu niecałych dwóch kilometrów, więc dla uproszczenia postanowiłam dotrzeć do centralnego punktu w tym okręgu. Znajduje się niecałe trzydzieści kilometrów od miejsca, w którym teraz jesteśmy.

– Nie myślisz, że pojechał autostradą?

– Nie – odparła Martinez. – Jeśli znają okolicę, zwykle unikają większych dróg. Zawsze to niepotrzebne ryzyko, gdyby miało się wydarzyć coś nieplanowanego.

– Okej – zgodziła się Mattei. – Robiłaś to już wcześniej?

Martinez pokręciła głową.

– To mój pierwszy raz. Ale trochę się czytało.

Pralnia chemiczna, którą wykorzystał Abbdó, leżała w małej bocznej uliczce od Västeråsvägen, mniej więcej pięć kilometrów od domu, w którym mieszkał, w kierunku centrum miasta.

– Okej – powiedziała Martinez, kiedy sprawdziła ich pozycję na GPS-ie. – To

tutaj nas zgubił. Nie włączył kierunkowskazu, skręcił w tę boczną uliczkę, dodał gazu i po kilku kolejnych zakrętach był wolnym człowiekiem. Jakież pytania?

– Nie.

– Ja mam jedno. – Martinez skinęła głową w stronę schowka z przyborami. – Co powiesz na to, żeby zacząć mierzyć czas na stoperze, który leży tam?

– Zagapiłam się – odparła Mattei.

Za minutę ósma, pomyślała. Miały przynajmniej dwie godziny do zapadnięcia zmroku.

– No dobra – powiedziała Martinez. – Jedziemy z tym koksem.

Pięć minut później miały już Eskilstunę za sobą. Droga, którą jechały, nie była nawet wyasfaltowana, zabudowania były skąpe, podobnie jak oświetlenie. Mijały gospodarstwa i budynki rolnicze, pojedyncze wille i zwykłe domki letniskowe. Mattei odezwała się pierwsza.

– Zastanawia mnie jedna rzecz.

– Co takiego?

– Druga wiadomość, którą dostał. Dlaczego zwlekał z odpowiedzią ponad godzinę?

– Proste wyjaśnienie jest takie, że zostawił gdzieś samochód, ale zapomniał telefonu.

– Tak myślisz? Ta komórka to przecież jego lina ratunkowa. Czy naprawdę zostawiłby ją w samochodzie?

– Ludzie popełniają błędy – stwierdziła Martinez i wymownie wzruszyła ramionami. – Przez cały czas i nikt się z tego nie cieszy bardziej ode mnie. Nasz mały Abbdó przyjeżdża tutaj. Telefon kładzie sobie na siedzeniu obok, by mieć pewność, że usłyszy, gdyby dostał jakąś wiadomość w czasie jazdy. Jednocześnie ma ważniejsze rzeczy na głowie, więc kiedy dojeżdża na miejsce, wychodzi z samochodu załatwiać swoje sprawy, a telefon zostawia na siedzeniu. Dopiero ponad godzinę później może stąd znowu wyjechać. Wtedy widzi, że dostał wiadomość i odpowiada od razu. Tak mi się wydaje.

– Brzmi rozsądnie. – Mattei pokiwała głową.

– Chociaż to czysty strzał – odparła Martinez i się uśmiechnęła. – Gdybym miała lepszy plan, z pewnością mogłabym przygotować szczegółowy opis jego poczynąń.

Sörmlandia. Tuż przed nastaniem lata. Przy krętej żwirowej drodze co chwilę pojawiały się kolejne jeziora, pojedyncze gospodarstwa i domy, prawie wszystkie pomalowane na kolorowo i z białymi narożami, pewnie dostępnymi w standardzie. Pola i łąki pokrywała wczesna zieleń. Mijały lasy liściaste i zwierzęta pasące się na pastwiskach – kilka danieli przebiegło nawet przez jezdnię.

– To tutaj – oznajmiła Martinez i zatrzymała samochód. – Analiza zasięgu poszczególnych masztów telekomunikacyjnych pozwoliła ustalić, że punkt przecięcia znajduje się w tym miejscu. Oznacza to, że jego samochód stał gdzieś blisko. Prawdopodobnie w promieniu kilkuset metrów. W najgorszym wypadku kilkaset kolejnych metrów dalej.

– Trzydzieści dwie minuty – stwierdziła Mattei i wyłączyła stoper. – Co najmniej pięć minut przed tym, jak dostał esemes.

– Tak – potwierdziła Martinez. – Wtedy Abbdo już wyszedł z samochodu i był na tyle daleko, że nie usłyszał sygnału. W przeciwnym wypadku odpowiedziałby od razu, jeśli weźmiemy pod uwagę, jak często ten telefon się odzywał.

– Tam dalej jest gospodarstwo. – Mattei wskazała ręką punkt za przednią szybą. – Jeśli zerkniesz w lewo po twojej stronie, zobaczysz dach kolejnego. A tam przed nami, na drugim brzegu jeziora, jest typowy sörmlandzki domek letniskowy.

– Najbliższa większa miejscowość to Åkers Styckebruk – oznajmiła Martinez. – Jedenaście kilometrów w linii prostej na wschód. Jeśli wziąć pod uwagę największy okoliczny teren, można powiedzieć, że znajdujemy się w trójkącie o boku dwudziestu kilometrów pomiędzy Eskilstuną na zachodzie, Strängnäs na wschodzie i Malmköping na południu. Mówiąc wprost: pośrodku kurewsko ślicznej Sörmlandii. Na drodze pomiędzy Ärlą a Styckebruk, czyli tu, gdzie jest naśliczniejsza.

– Co on tu robił? O siódmej rano w środku tygodnia?

– Miał się z kimś spotkać, kogoś odebrać albo coś zostawić – odparła Martinez.

– Może po prostu ma tu jakąś kryjówkę? Chowa materiały wybuchowe, broń, to wszystko, czego nie może trzymać w domu. Może chciał zostawić albo odebrać coś,

co ukrył?

– Nie sądzę. – Martinez pokręciła głową. – Do tego ma lepsze miejsca znacznie bliżej. Poza tym godzina jest nieodpowiednia. Mieszkańcy kręcą się tu o tej porze. Idą po gazetę do skrzynki, wychodzą na poranny spacer albo jogging, wyprowadzają kundla czy co tam jeszcze. Poza tym są czujni jak cholera. Nikt nie jest tak czujny jak wieśniacy z takich okolic. Wszyscy wszystkich znają. Teraz z kolei nie ma tu żywej duszy. Gapią się w telewizor albo grają w gry wideo. Albo surfują po sieci, szukając pornosów, skąd mogę to wiedzieć. W każdym razie nie ma ich na dworze. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że chciał się z kimś spotkać. Prawdopodobnie ten ktoś mieszka w najbliższej okolicy.

– Co robimy?

– Pukanie do drzwi nie jest raczej dobrym pomysłem – stwierdziła Martinez. – Jeśli wziąć pod uwagę to, co przed chwilą powiedziałam, ryzyko, że zapukamy nie do tych, co trzeba, wynosi mniej więcej sto procent.

– To co nam pozostaje?

– Zacznę od ustalenia każdego pieprzonego faktu na temat każdego z nich, i to w taki sposób, żeby żaden nic nie zwęszył. Potem może przyjdzie czas na wizyty domowe.

– A co zrobimy teraz?

– Dyskretnie przejdziemy się po okolicy, a potem wrócimy do hotelu coś przekąsić. Ja chciałabym osuszyć kufel z browarem, ale spokojnie, mają też wodę mineralną.

– Niech tak będzie – zgodziła się Mattei.

– A potem omówię jeszcze z tobą kilka praktycznych kwestii. Im szybciej, tym lepiej. Może tak być?

– O co chodzi?

– Chcę przekazać naszym ludziom od namierzania telefonów ten numer, który mi dałaś. Wyciągnąć wszystko, co się da, z masztów, które przekazały esemes do Abbda. Spróbować znaleźć jakieś inne numery, którymi się posługuje. No wiesz, to, co zwykle.

– Okej – powiedziała Mattei.

– Nie ufam temu naszemu Anglikowi. Mówię o gościu od krawatów.

– Nazywa się Jeremy Alexander – odparła Mattei z uśmiechem. – Dlaczego mu nie ufasz?

– Nie jest w moim typie. A jeśli chodzi o kwestie zawodowe, wydaje mi się, że to w ogóle nieodpowiedni typ. Bardzo nieodpowiedni.

Nieodpowiedni typ? Nigdy nie zaszkodzi sprawdzić takiego dwa razy, pomyślała Mattei i pokiwała głową bez słowa.

ŚWIĘTO. Dzień Wniebowstąpienia Pańskiego, opustoszały hotel w Eskilstunie. Kiedy Mattei i Martinez usiadły w barze, żeby zjeść późny obiad, były tam jedynymi gośćmi. Mattei zamówiła ciepłą sałatkę z grillowanymi przegrzebkami i niegazowaną wodę mineralną, a Martinez zażyczyła sobie hamburgera z dodatkowym wszystkim i duże piwo.

– Jesz jak mały ptaszek, Liso – oznajmiła Martinez.

– Jem jak mały ptaszek, wyglądam jak mały ptaszek i czuję się jak mały ptaszek – zgodziła się Lisa.

– Czy on cię bije? Kiedy dużo jesz.

– Kto? Chodzi ci o Johana? Nigdy mnie nie bije. Nawet się nie złości.

– To musi być czyste piekło. Życ z takim człowiekiem.

– Piekło to chyba za dużo powiedziane, ale coś w tym jest. Czasami rzeczywiście jestem na niego wściekła. Z Johanem wszystko jest bardzo proste. Jest duży, silny, wysportowany, utalentowany, wykształcony, ma poczucie humoru i jeśli się wścieka, to tego nie okazuje. Poza tym jest siedem lat młodszy ode mnie. No i też jest dobry... w te klocki... gdybyś chciała wiedzieć.

– W sensie, że dobrze się pieprzy?

– No, tak jakby.

– Dlaczego tak trudno rozmawiać na ten temat? Mieszkanie z nim to musi być istne piekło.

– Tak – odparła Mattei. – Czasami trochę tego za wiele.

– Jak sobie z tym radzisz? Zdarza ci się mu przywalić? Nic byś nie ryzykowała, skoro on taki jest.

– Zwykle mam wyrzuty sumienia – odparła Mattei z westchnieniem.

– Skąd on jest? Z Marsa?

– Nie, z Huddinge. Urodził się tam i wychował. Jego mama jest przedszkolanką,

a tata inżynierem. Magdalena i Gunnar, pokolenie wczesnych lat pięćdziesiątych, obecnie na emeryturze. Ma starszego brata i młodszą siostrę. Oboje są po ślubie, mają pracę i dzieci. Wszyscy niekarani, nic mi nie wiadomo o jakichkolwiek nałogach.

– Wszyscy z Marsa – stwierdziła Martinez. – Tacy ludzie mogą być tylko z Marsa.

– Tak, chociaż lubię młodszą siostrę Johana. Ona jest naprawdę okropna. Straszny człowiek. Zazdrosna tak bardzo, że aż zżera ją to od środka. Ma na imię Madeleine. Na cześć księżniczki.

– Miło słyszeć – odparła Martinez. – Dobrze, że ktoś z nich jest normalny. Czym ona się zajmuje?

– Pracuje jako pośrednik w firmie informatycznej. Jej mąż pracuje w banku. Jako doradca.

– Mam ten obraz – powiedziała Martinez. – Pięknie. Zakładam, że nie przegapiłaś ani jednej okazji, żeby zaprosić ich do swojego małego mieszkanca przy Narvavägen.

– Wiadomo – odparła Lisa Mattei. – Mają nieustające zaproszenie. A tak z innej beczki: możesz przywołać tu tego barmana, który przez cały czas ukradkiem ci się przygląda? Zamówiłabym kieliszek białego wina. Najchętniej włoskiego. Na mnie jakoś nie zwraca uwagi.

– Dobrze, Liso. Zaczyna mi się to podobać. Mam tylko nadzieję, że nie jest to jakiś życiowy kryzys.

– Nie – odparła Mattei. – Z jednym kieliszkiem chyba sobie poradzę. Co ty na to, żebyśmy porozmawiały o czymś innym?

– Nie ma problemu – stwierdziła Martinez. – Wymyśl coś dobrego, a ja ci załatwię wino. Lubię cię, Liso. Jesteś prawdziwym człowiekiem. I dobrym, i złym, że tak powiem.

Potem zmieniły temat i rozmawiały o innych sprawach niż rodzina. O wspólnych znajomych, kolegach i o wszystkim, o czym się rozmawia, głośno i cicho, bez rzucania nazwiskami i nawiązywania do czasu i miejsca. Cicho, choć nie szeptem,

bo po drugiej stronie lokalu był barman, który z pewnością podarłby ich rachunek, gdyby tylko się dowiedział, kim są, i usłyszał ich rozmowę. W końcu – to było nieuniknione – mimo wszystkich otrzymanych instrukcji zaczęły rozmawiać o pracy.

– Co sądzisz o Helgem Złotej Rączce?

– O Helgem Złotej Rączce?

– Tak, naszym elektryku, tym, który ma angielską rozdzielnicę elektryczną i jest taki dobry w majsterkowaniu.

– Sama nie wiem – odparła Mattei i pokręciła głową. – Kiedy tam siedziałam i na niego patrzyłam, nagle przyszło mi do głowy, że zrozumialiśmy to wszystko opacznie. To się działo już po tym, jak otrzymał ten esemes. Przecież coś takiego powinno nim wstrząsnąć. A on po prostu siedział na huśtawce ogrodowej, czytał gazetę, popijał herbatkę i wyglądał, jakby nie miał żadnych zmartwień.

– Bo na pewno ich nie ma – stwierdziła Martinez. – Ma swoją wiarę. Już się zakwalifikował do rajy i pałacu wielkości połowy Sörmlandii, gdzie czeka na niego masa służących, którzy wszystko za niego zrobią, i siedemdziesiąt dziewięć, gotowych, żeby je pokrył, jak tylko nie będzie miał nic lepszego do roboty. Nie jest taki jak ty, ja i nasi koledzy.

– A jacy oni są?

– Inni niż on – odparła Martinez i pokręciła głową. – Zapomnij, Liso. Kiedy tacy jak ty czy ja idą do pracy, w naszych małych główkach jest tylko jedno.

– Co takiego?

– Żeby po pracy wrócić do domu. I zasnąć w swoim łóżeczku, żeby następnego dnia mieć siłę znów iść do pracy. Z Helgem Złotą Rączką jest dokładnie na odwrót. Jeżeli uda mu się nas powstrzymać, najlepiej rozbić na atomy, wylądować w rajy.

– Odniosłam wrażenie, że nie do końca cię przekonało to, co przekazał nam angielski kolega.

– Ten fragment mnie przekonał – Martinez skinęła głową. – *You bet, Lisa.*

– Co w takim razie cię nie przekonuje?

– Cała reszta. To, że zataja przed nami fakty, które dobrze byłoby znać. Wtedy można by było choć raz sporządzić plan.



– Nasz Helge to nie jest sympatyczny człowiek.

– Helge Złota Rączka żyje siłą swojej wiary. To jedyna rzecz, która dla niego cokolwiek znaczy. Służy dobrej sprawie, jest dobrym, prawowiernym, szczęśliwym człowiekiem. I do tego spokojnym, bo nie ma się czego bać. No i zamierza zabić jak najwięcej nas, pozostałych, żeby pokazać, jaki jest dobry. Zabicie tylu ludzi to dla niego szczegół. Nie robi tego byle jak.

Mattei tylko skinęła głową. Spojrzała na zegarek.

– Muszę lecieć – powiedziała. – Jutro rano jadę prosto do pracy. Raj może poczekać.

– Z pewnością – odparła Martinez. – Do tej podróży nasz mały Helge nie zamierza nas zapraszać.

KIEDY MATTEI WESZŁA do biura w piątek rano, przywitał ją wielki bukiet kwiatów, który ktoś wstawił do wazonu na jej biurku. Z wypisanej odręcznie kartki, która w nim tkwiła, wynikało, że były to „najszczerze przeprosiny” od szefa. Napisał, że można mieć różne poglądy, ale wyrażanie ich w sposób, w jaki to zrobił, jest niewybaczalne i ogromnie tego żałuje. Poza tym miał trochę czasu, żeby wszystko przemyśleć, i doszedł do wniosku, że mieszał się do spraw, które go nie dotyczyły, a przecież ona wie, co robi. Zapewnił, że to się więcej nie powtórzy i że darzy ją pełnym, bezwarunkowym zaufaniem. Jak stwierdził, lepszego współpracownika nie mógłby sobie wymarzyć.

Albo porządnie go wystraszyłam, albo ktoś, kogo on słucha, przemówił mu do rozumu, pomyślała. I jeszcze trzecia możliwość: jest lepszym człowiekiem, niż przypuszczałam. Tak czy inaczej, kwiaty były piękne, bukiet z pewnością dużo kosztował. Najwyższy czas wziąć się do pracy.

Już w samochodzie, w drodze do Sztokholmu, postanowiła, że większą część przedpołudnia przeznaczy na bliższe zapoznanie się z Louise Urqhart, tajemniczą Brytyjką, która nie tylko była kochanką ich bombera, ale prawdopodobnie także współniczką w zadaniu, które miał do wykonania na tym świecie. I – jeśli to była prawda – tą samą, która wysłała esemes podpisany „L U” i najwyraźniej nawiązała kontakt z kimś pracującym w szwedzkiej policji bezpieczeństwa.

Pięć spośród trzydziestu siedmiu rozdziałów tekstu, który dał jej Alexander, dotyczyło Louise Urqhart – zestawienie otwierała zwięzła biografia z odnośnikami do rozdziałów, w których opisywano jej studia, sytuację finansową, kontakty osobiste, zajęcia w czasie wolnym, podróże i inne zainteresowania. Jak to mawiał Lars Martin: zaczynaj zawsze od małej biografii. Powinna mieć najwyżej pół strony. Nie zapominaj zapisywać wszystkiego, czego ci w niej brakuje.

Louise Urqhart miała czterdzieści trzy lata, urodziła się w 1972 roku. Była jedynym dzieckiem adwokata George'a Williama Urqharta, urodzonego w 1930 roku, i jego o dwadzieścia lat młodszej żony Judith Rebecki Urqhart z domu Stein. W roku 1982, kiedy Louise miała dziesięć lat, zmarła jej zaledwie trzydziestodwuletnia mama. Dwadzieścia lat później zmarł jej ojciec. W wieku siedemdziesięciu dwóch lat dostał rozległego zawału. To również nie jest szczególnie podeszły wiek, pomyślała Mattei.

Ciekawe, na co umarła jej mama, zastanawiała się. Szybko przeczytała również kolejne rozdziały, ale nie znalazła żadnej informacji na ten temat. Pewnie rak, pomyślała. Jak w przypadku Jeanette, jej najlepszej przyjaciółki z liceum – zmarła na raka piersi, kiedy była w wieku mamy Louise. Na wszelki wypadek mimo wszystko zrobiła notatkę na ten temat.

Kolejne rozdziały przeczytała szybko – wydawało się, że Alexander zawarł najważniejsze informacje tam, gdzie opisywał Louise Urqhart w związku z ich spotkaniem. Jej, delikatnie mówiąc, różnorodne studia, niezależność finansową, ciągłe podróże do najbardziej odosobnionych miejsc i to, że najwyraźniej nie miała własnej rodziny, bliskich przyjaciół i kontaktów. Mattei również i w tym miejscu zrobiła notatkę. „Odludek? A może samotniczka”, zapisała. Do obstawienia drugiej możliwości skłoniły ją zdjęcia.

Louise Urqhart wyglądała na nich na piękną kobietę – w tym sensie, w jakim kobiece piękno rozumiał na przykład jej ojciec. I prawdopodobnie również ojciec Alexandra, jeśli wierzyć w to, co mówił o czystej rasie angielskiej.

Nie była szczupłą, bladą, zimną blondynką jak ona, lecz bardziej przypominała jej mamę, była podkomisarz Lindę Mattei. Louise nie była jednak blondynką, jak jej mama, lecz miała gęste, rudobrunatne kręcone włosy, które albo swobodnie opadały falami, albo były spięte w węzeł na karku. Niebieskie oczy, szczere spojrzenie, regularne rysy, jasna cera i piegi wokół nosa. Biuściasta dziewczyna o wąskiej talii, klasycznych kobiecych kształtach i, według paszportu, stu osiemdziesięciu centymetrach wzrostu. Była o sześć centymetrów wyższa niż Abdo Khalid, Bomber i jej domniemany kochanek.

Pozostawał jeszcze materiał filmowy. W sumie dwugodzinny, podzielony na mniej więcej pięćdziesiąt krótszych i dłuższych sekwencji. Filmy nagrane z ukrycia przez angielskich kolegów, z udziałem wciąż tych samych dwojga aktorów. Bombera Abda Khalida i jego kobiety, Louise Urqhart.

Większość materiałów, które oglądała, nie była kontrowersyjna. Przedstawiała różne codzienne sytuacje. Louise i Abdo wsiadają do jej samochodu i odjeżdżają. Ona prowadzi. Louise i Abdo spacerują w parku w Manchesterze albo siedzą w ogródku kawiarni w tym samym mieście, wchodzą jedną bramą, wychodzą inną. Na filmach młody czarnoskóry mężczyzna, wyraźnie zauroczony, szarmancko traktuje białą kobietę, która wprawdzie jest od niego starsza, ale nie na tyle, żeby tylko to się liczyło. Dwoje młodych, pięknych ludzi, mężczyzna i kobieta, którzy wyglądają na zakochanych i nie mają problemów, żeby to okazywać, choć jednocześnie nie robią z tego wielkiej sprawy.

Na przykład gdy Louise przelotnie kładzie mu dłoń na karku, kiedy idą w dół małej uliczki w starej dzielnicy Manchesteru, a on odpowiada, kładąc dłoń na jej lewym udzie. Widać ich od tyłu, ale przekaz jest wystarczająco jasny.

Kiedy siedzą na parkowej ławce i jedzą lody, on się nachyla, bierze od niej rozek, wkłada w dłoń, w której trzyma swój, znów się nachyla, całuje ją, a potem z uśmiechem i lekkim ukłonem oddaje. Louise Urqhart szeroko się do niego uśmiecha, potrząsa kręconymi włosami, zarzuca mu ręce na szyję, przyciąga jego głowę do piersi i mocno go przytula. Swój rozek z lodami odkłada na ławkę.

Zakochanie, może miłość, która ich łączy, pomyślała Mattei. Jeżeli łączył ich także islam, dowody na to były znacznie mniej liczne. Marny kilkuminutowy urywek, w którym Abdo i Louise modlą się razem na zabudowanym dziedzińcu jej domu. Każde z nich klęczy na swoim dywaniku, Abdo z przodu. Louise ma białe stopy, a jej włosy są zakryte chustą. Abdo ma na głowie białą dzierganą czapkę, ale poza tym są ubrani tak jak zwykle.

Są też inne filmy. Nakręcone z ukrycia, jak wszystkie, i w ten sam sposób, przy użyciu tych samych środków, choć to, że zostały zrobione z ukrycia, jest w tym przypadku namacalne. Alexander nazywał to „najlepszą gałęzią angielskiego

wywiadu”. Na tych filmach Abbdo Khalid i Louise Urqhart uprawiają seks – w ubraniach i bez.

Louise parkuje samochód przed domem, w którym mieszka Abbdo. Odpina pas, mówi coś do Khalida, targa mu włosy, nachyla się do niego, znika z kadru. Seks oralny, jeśli sądzić po wyrazie twarzy Abbda.

Dwie minuty później ona wyskakuje z samochodu, przebiega przez ulicę, zatrzymuje się w bramie jego domu, uśmiecha się i kiwa do niego, żeby się pośpieszył. Abbdo wychodzi, kręci głową, uśmiecha się, rozkłada ręce z udawaną rezygnacją, a potem przebiega przez ulicę, chwyta Louise w ramiona i wciąga do środka.

Łóżko w sypialni Abbda Khalida. Zaciągnięte zasłony. Środek dnia, dobre światło, scena filmowana najwyraźniej z okna sąsiedniego domu. Abbdo leży na plecach, Louise siada na nim okrakiem. Są nadzy, zestrojeni ze sobą, wykonują precyzyjne ruchy, ona go ujeżdża, a on ją penetruje, głaszcze po piersiach, przywiera do niej udami, odchyła głowę, mocniej chwyta jej piersi, szarpie brodawki, wydaje okrzyk, jęczy. Louise wyczekuje, potem znowu przyśpiesza, odchyła się, przyciska mu dłoń do piersi, rzuca burzą włosów na wszystkie strony, krzyczy na całe gardło.

Najwyraźniej kompletnie opacznie zrozumiałam pogląd islamu na kobiety, pomyślała Lisa Mattei pół godziny później, kiedy wreszcie wyłączyła komputer. Albo przynajmniej pogląd niektórych muzułmanów. Jak Abbdo Khalid.

PRZED SPOTKANIEM z ekipą śledczą Lisa Mattei spotkała się z Lisą Lamm, główną prokurator, która w sensie formalnym kierowała ich śledztwem przeciwko „Abdullahowi Mohammedowi Khalidowi i innym”. Tak było napisane na samej górze tajnego dokumentu sporządzonego zaledwie trzy dni wcześniej, kiedy to postanowiono wszcząć przeciwko niemu postępowanie przygotowawcze, ponieważ podejrzewano, że „z innymi osobami” planował przeprowadzić bardzo poważny „atak terrorystyczny”.

Jeżeli Lisa Lamm formalnie kierowała śledztwem, to Lisa Mattei robiła to w praktyce – osobiście dowodziła działaniami policji, a przecież to one były najważniejsze. Lamm miała tyle lat co ona i od ponad roku pracowała w sztokholmskiej prokuraturze zajmującej się sprawami bezpieczeństwa. Mieli „swoich własnych” prokuratorów, jak zwykle określano ich w Säpo, co niekoniecznie musiało im się podobać.

Lisa Mattei i Lisa Lamm nie znały się bliżej. Co prawda wpadały na siebie przy różnych okazjach zawodowych i towarzyskich, które w naturalny sposób wynikały z ich pracy, ale nigdy nie prowadziły wspólnie dużego śledztwa. Były jednak dobre powody ku temu, żeby się spotkać i spokojnie omówić sprawę. Mattei była w miejscu, w którym później tego samego dnia miało się odbyć spotkanie z ekipą śledczą, więc zaproponowała swój gabinet i dodała, że zamówiła lunch, by nikt im nie przeszkadzał. W odróżnieniu od jej szefa prokurator nie miała nic przeciwko temu. Poza tym najwyraźniej nie miała problemów z punktualnością. Dokładnie co do minuty zapukała do drzwi Mattei i już po chwili siedziała po przeciwnej stronie jej biurka.

– Nie masz urodzin ani nic w tym stylu? – zapytała Lisa Lamm z ciekawością w głosie i skinęła głową w stronę dużego wazonu na stole.

– Nie – odparła Mattei. – Obawiam się, że to bardziej skomplikowana sprawa.

– Teraz naprawdę mnie zaciekałaś.

– E tam – odparła Mattei i się uśmiechnęła. – Nie chcesz o tym słuchać. Ale mam pewną propozycję.

– Żebyśmy się zajęły praktycznymi szczegółami, zanim rzucimy się na duże kwestie – odparła Lisa Lamm i było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

Dlaczego mam wrażenie, że to będzie działało idealnie? – pomyślała Lisa Mattei i pokiwała głową.

Pierwszą praktyczną kwestią było wymyślenie odpowiedniego kryptonimu dla ich operacji. To była długa tradycja, nie tylko w Säpo, ale w niemal wszystkich służbach bezpieczeństwa na całym świecie. Nazwa, która sprawi, że wszyscy staną na wysokości zadania, nie afiszując się przed przeciwnikiem z tym, o co tak naprawdę chodzi.

– Chodzi ci o te wszystkie operacje, o których czasem się czyta w gazetach? Operacja Olga, Operacja Entebbe, Operacja Mogadyszu, chyba było też coś takiego jak Operacja Nimrod. No i oczywiście Ebba Grön. Kiedy rozpracowywano tego niemieckiego terrorystę, który chciał porwać minister Annę-Gretę Leijon.

– Tak – odparła Mattei. – Nazywał się Norbert Kröcher, to było w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym, pod koniec marca, ale operacja wymierzona w niego i jego kolegów nazywała się Ebba Röd. Ebba Grön to sygnał, podany przez jednego z policjantów przez radio w chwili, kiedy nadszedł czas, żeby wkroczyć do akcji i go schwytać. Siedział w knajpie i pił piwo, kiedy go zabrali.

– Wybacz mi – powiedziała Lisa Lamm. – W tym czasie nawet nie było mnie na świecie, więc, jak widać, umknęło mi sporo szczegółów. W gruncie rzeczy mam wrażenie, o ile mogę sobie pozwolić na krytykę, że nazwa Ebba Grön, czyli Zielona, byłaby lepsza niż Röd, Czerwona. Ten Kröcher był chyba komunistą?

– Tak jakby – zgodziła się Mattei.

– Ja bym chyba wybrała Zieloną. Jak w Partii Zielonych. Żeby niepotrzebnie nie przyciągać jego uwagi, gdyby jakimś sposobem poznał tajną nazwę operacji.

– Tak, coś w tym jest. A co byś powiedziała na nazwę Operacja Helge Złota Rączka?

– Niezła, kojarzy mi się z majsterkowiczem. Wielkim, małomównym facetem w kraciastej flanelowej koszuli, który mówi z norrländzkim akcentem i jest twoją ostatnią deską ratunku, kiedy stoisz w markecie budowlanym i nie potrafisz znaleźć odpowiedniego kranu do umywalki.

– Coś w tym stylu. Propozycja wyszła od Lindy Martinez.

– Zgoda. Nikt przy zdrowych zmysłach nie skojarzy tego z Khalidem. Bałam się, że zaproponujesz Operację Pustynna Wędrownia albo coś podobnego. Myślałam też o innej kwestii związanej z imionami. Obie mamy na imię Lisa. Czy to może zdezorientować naszych współpracowników? Czy nie będą chcieli przechrzcić mnie na Å-Lisę, a ciebie na P-Lisę?

– Nie – odparła Mattei. – To żaden problem. Dla moich kolegów ty jesteś Lamm albo prokurator główna, w zależności od tego, kto mówi. A ja Mattei. Albo szefowa.

– Miło słyszeć. Kto by chciał się nazywać Å-Lisa.

– Nikt – zgodziła się Mattei. – Nawet P-Lisa.

Następne praktyczne pytanie dotyczyło roli, jaką ich partnerzy z wywiadu wojskowego mieli odegrać w śledztwie.

Oczywiście w razie potrzeby i ze względu na specjalistyczną wiedzę, którą mają funkcjonariusze FRA i Must, a której może brakować w Säpo, wyjaśniła Mattei. Żeby niepotrzebnie nie przeciągać pracy, już postanowiła mianować jedną osobę swoją zastępczynią na stanowisku prowadzącej śledztwo, żeby mogła się zająć kontaktami i komunikacją z wojskiem. Nazywała się Helena Palmgren i pracowała w Narodowym Centrum Oceny Zagrożeń Terrorystycznych, które w takich sytuacjach często działa jak organizacja parasolowa.

– Nigdy nie spotkałam jej osobiście – oznajmiła Mattei. – Choć pewnie będę miała okazję na naszym spotkaniu z ekipą śledczą. Jest w naszym wieku, ukończyła psychologię, pracowała w Państwowym Urzędzie ds. Ochrony Psychologicznej i w wojsku, a potem wylądowała tutaj. Poleciał mi ją jeden z moich współpracowników.

– Wiem, kto to taki. Nawet pracowałyśmy razem przy okazji kilku spraw.

– Jaka ona jest?



– Cóż – odparła Lisa Lamm z delikatnym uśmiechem. – Jak by ją tu opisać... Prawdziwy kawał baby w starym stylu, choć jest w naszym wieku. Może kilka lat starsza. Sama słyszysz, jak to brzmi. Ale jest dobra. Mądra i zrównoważona. Poza tym nie przypomina zbyt wielu innych ludzi pracujących w tamtym miejscu. Szaleńcy to może zbyt mocne słowo, ale u naszych przyjaciół wojskowych nie brakuje dziwnych jednostek.

– Co powiesz na lunch? – zapytała Mattei.

– A co powiesz na to, żebyśmy się z tym wstrzymały jeszcze pięć minut, żebyś przekazała mi najświeższe informacje z przebiegu śledztwa?

– Zamówiłam sushi i sashimi. Mieszankę. W Sundbybergu jest naprawdę dobry Japończyk.

– Uwielbiam sushi, skąd wiedziałaś?

– Sama też je lubię. Wszystkie prawdziwe dziewczyny lubią sushi.

ZDANIEM MATTEI sytuacja była dobra. Tuż przed spotkaniem z Lisą Lamm rozmawiała ze wszystkimi szefami poszczególnych grup i twierdzili, że wszystko idzie zgodnie z planem. Mieli wszystkie pozwolenia, których potrzebowali we wstępnej fazie śledztwa, odwiedzili Eskilstunę, zaczęli już zbierać informacje o Khalidzie i jego rodzinie. Ekipa była praktycznie w komplecie. Brakowało jeszcze kilku śledczych wypożyczonych ze zwykłej policji, ale ci powinni się stawić najpóźniej za dwa dni.

– Żadnych szczególnych życzeń albo zażaleń?

– Żadnych – odparła Lisa Mattei, pokręciła głową i postukała w klawisze komputera, który stał przed nią na biurku. – Trochę zwykłego marudzenia, jak zawsze, ale nauczyłam się z tym żyć, to nie koniec świata. Może zjadłybyśmy teraz lunch? Portier twierdzi, że właśnie go przyniesiono.

– Dobrze – zgodziła się Lisa Lamm. – Ważnymi kwestiami zajmiemy się przy jedzeniu. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, ja chciałabym zacząć. Właściwie niepokoją mnie dwie rzeczy. Oczywiście nasza sprawa, ale też problemy prawne, które napotkaliśmy przy kilku poprzednich.

– Wszystko, co cię niepokoi, niepokoi również mnie. Zamieniam się w słuch – powiedziała Mattei.

Prokurator główna Lisa Lamm była najbardziej zaniepokojona dwoma problemami prawnymi. Chodziło mianowicie o duże postępowania przygotowawcze w sprawach związanych z terroryzmem, które Säpo prowadziła w ciągu ostatnich trzech dni – jedno w Göteborgu i jedno w Malmö. Podejrzanych było w sumie dziesięciu i wszyscy należeli do Asz-Szababu.

Wszyscy podejrzani, trzej w Göteborgu i siedmiu w Malmö, usłyszeli zarzuty i zostali skazani przez sądy na karę pozbawienia wolności od roku do dziesięciu lat.

Obrońcy złożyli apelację. We wcześniejszej sprawie, tej z Göteborga, Sąd Apelacyjny dla Zachodniej Szwecji zajął dokładnie odwrotne stanowisko niż sąd pierwszej instancji.

Skazani zostali oczyszczeni ze wszystkich zarzutów i zasądono im wysokie odszkodowania. W sensie prawnym i zdroworozsądkowym, ujmując rzecz elegancko – a taki język był zwyczajowy w takich sytuacjach – sąd apelacyjny w Göteborgu udzielił Säpo i jej prokuratorom naprawdę ostrej lekcji. Zdaniem sądu apelacyjnego przedłożony materiał dowodowy nie tylko był zbyt skąpy, ale, co jeszcze gorsze, zgodnie ze szwedzkim prawem nie mógł być podstawą do wymierzenia kary.

Materiał dowodowy składał się wyłącznie z podsłuchanych rozmów, w których trzech oskarżeni rozmawiali o przeprowadzeniu zamachu na przeciwników Asz-Szababu w ich rodzinnej Somalii. Język rozmowy był mieszanką arabskiego, somalijskiego, szwedzkiego i angielskiego. Prokurator twierdził, że temat rozmowy i sposób, w jaki została przeprowadzona, wskazują na popełnienie przestępstwa – należy je traktować jako przygotowania do zamachu.

Sąd apelacyjny w Göteborgu nie podzielał tej opinii. Na początku poddał ostrej krytyce „czysto filologiczne” tłumaczenie rozmowy, które prokurator przedstawił w sądzie. „W decydujących momentach” było „błędne” i jako całość dawało „mylny obraz sytuacji”. Według sądu apelacyjnego oskarżeni nie planowali przeprowadzić zamachu. Były to tylko „myśli i poglądy o hipotetycznym, potencjalnym charakterze”, które „mogły być uwarunkowane niezadowoleniem z sytuacji politycznej w ich ojczystym kraju”, jednak niezależnie od tego, o co chodziło, „prowadzenie takich rozmów w taki sposób, jak to miało miejsce, według szwedzkiego prawa nie jest karalne”.

Pierwszy proces pozostał właściwie niezauważony przez opinię publiczną. Adwokat jednego z oskarżonych napisał o tym artykuł w dzienniku „Dagens Nyheter”, komentowany w jednym z programów publicystycznych w telewizji SVT, ale na tym właściwie się zakończyło. W swoim artykule redaktor naczelny „Dagens Nyheter” ironizował: „To, że nasze myśli nadal są wolne jak ptaki – przynajmniej według Sądu Apelacyjnego dla Zachodniej Szwecji – najwyraźniej nie jest

materiałem na pierwszą stronę”.

Jeśli zaś chodzi o wydarzenie, które przed niecałym rokiem miało miejsce w Malmö, reakcje były zupełnie inne. Tym razem zamach miał być wymierzony w gminę żydowską w Malmö. Oskarżonych było siedmiu, wszyscy pochodzili z Somalii, należeli do Asz-Szababu i według prokuratora planowali przeprowadzenie tak zwanego zamachu samobójczego przy okazji spotkania społeczności żydowskiej.

Sąd w Malmö skazał kilku z nich na długie kary pozbawienia wolności, ale kiedy wyrok zaskarżono, Sąd Apelacyjny dla Skanii i Blekinge orzekł tak samo jak Sąd Apelacyjny dla Zachodniej Szwecji – wszyscy zostali całkowicie oczyszczeni z zarzutów i zasądzone dla nich odszkodowania, które po zsumowaniu stanowiły pokaźną kwotę.

Materiał dowodowy w sprawie z Malmö był w zasadzie identyczny z tym z Göteborga. Podsluchane rozmowy telefoniczne albo przeprowadzone w cztery oczy, maile i esemesy. Ocena materiału również zgadzała się z tą z Göteborga. Chodziło o wymianę poglądów i myśli, mieszczącą się w granicach wolności wypowiedzi gwarantowanej szwedzkim prawem, nie zaś o podlegające karze przygotowania do popełnienia przestępstwa.

Sąd apelacyjny w Malmö również wypowiadał się w ostrych słowach na temat Säpo i jej oskarżycieli. Ostra lekcja wymierzona przez kolegów z Göteborga tym razem została zastąpiona mocnym prztyczkiem w nos, a rozgłos i skutki dla systemu sądowego miały zupełnie inną skalę.

Zasadniczy powód takiego postępowania nie miał nic wspólnego z pracą Säpo. Chodziło o szwedzką politykę zagraniczną – pół roku wcześniej rząd popadł w konflikt z kilkoma państwami arabskimi z powodu wypowiedzenia umów handlowych i publicznych wypowiedzi na temat wielkich problemów politycznych i prawnych, jakie występują w systemach politycznych tych krajów, co z kolei wywołało silne, zdecydowanie negatywne reakcje w świecie muzułmańskim.

W krótkim czasie Szwecja dorobiła się tak samo złej opinii jak sąsiadująca z nią od południa Dania. Mieszkańcy tych dwóch krajów Północy najwyraźniej nienawidzili muzułmanów i wyznawanej przez nich religii. Tej krytyki nie dało się

w łatwy sposób pogodzić z dwoma ułaskawiającymi wyrokami sądu apelacyjnego, ale krytykom najwyraźniej to umknęło. Skoncentrowali się na tym, że szwedzka policja bezpieczeństwa zajmuje się prześladowaniem muzułmanów mieszkających w Szwecji, a to z powodu ich wiary.

Tym razem krytyka również miała odzwierciedlenie w systemie sądowym. Rząd przydzielił specjalnego funkcjonariusza, który miał się przyjrzeć przepisom regulującym działalność antyterrorystyczną Säpo. Poprzedni szef Lisy Mattei postanowił odejść, zanim wygasł jego kontrakt, i został szefem bezpieczeństwa i członkiem zarządu koncernu, który był właścicielem jednego z największych banków w kraju. Dwoje z sześciu prokuratorów z prokuratury zajmującej się sprawami bezpieczeństwa zrobiło to samo. Jedna z nich nawet publicznie zdradziła powód takiej decyzji. Twierdziła, że od kilku miesięcy ona i jej rodzina otrzymywali poważne groźby związane z pełnioną przez nią funkcją, dlatego też postanowiła porzucić pracę prokuratora i otworzyć prywatną praktykę w jednej ze sztokholmskich kancelarii.

Nawet Lisa Lamm została wciągnięta w ogólnie panujące zamieszanie. Kiedy jej najwyższy zwierzchnik, prokurator generalny, zadzwonił z pytaniem, czy byłaby zainteresowana posadą wiceszefa prokuratury do spraw bezpieczeństwa, jednym z jego argumentów było to, że wśród prawników jest znana z tego, że „przywiązuje dużą wagę do zasady pewności prawa”.

– Z jakiegoś powodu nie wspomniał za to o tym, że... najwyraźniej... tak się praktycznie składa, że nie mam męża, dzieci ani rodzeństwa. I że oboje moi rodzice nie żyją – oznajmiła Lisa Lamm. – Po prostu pomyślny przypadek – dodała z lekkim uśmiechem.

– Ale wzięłaś tę robotę – oznajmiła Mattei.

– Ma się rozumieć. Gdzie byśmy byli, gdybyśmy uginali głowy przed zmasowanym atakiem przemocy?

– Sytuacja z całą pewnością mogłaby być lepsza – zgodziła się Mattei. – Powodem, dla którego tutaj siedzimy, jest przekonanie naszego angielskiego kolegi, że Abbdo Khalid to prawdziwy mały gagatek. Czytałaś materiały?

– Tak. I nic nie poradzę na to, że aż za bardzo przypominają mi to, co moi koledzy zaprezentowali w sądzie w Göteborgu i w Malmö. Nie jest to zbyt komfortowa myśl.

– Mam takie samo zdanie. Ja też się pocieszałam, że Alexander może wiedzieć coś więcej, tyle że postanowił nam tego nie mówić. W tej branży to niemal utarty zwyczaj. Zapytałam go wprost, a on odpowiedział, że jego zdaniem Khalid z całą pewnością dostanie dożywocie za udział w zamachu przed Old Trafford.

– Z pewnością. Jeśli wziąć pod uwagę, delikatnie mówiąc, okropne doświadczenia Anglików z takimi sprawami, trudno znaleźć gremium, które by ich za to nie skazało. Jeżeli ma taką pewność, nie rozumiem, dlaczego pozwolił Khalidowi wyjechać z Wielkiej Brytanii ponad miesiąc temu. Albo dlaczego się ze mną nie skontaktował z prośbą o dopilnowanie, żeby został schwytany i deportowany do Wielkiej Brytanii.

– A ja wiem – odparła Mattei. – On się zajmuje czymś innym, znacznie ważniejszym niż schwytanie Khalida. Miałam mu nawet obiecać, że ja też tego nie zrobię, bo naraziłabym na szwank jego operację.

– Wierzysz mu?

– Tak – odparła Mattei. – Choć nie mam pojęcia, co to takiego i jaki może mieć związek z interwencją w sprawie Khalida. Pocieszające jest to, że, jak mi wyjaśnił, ta sprawa będzie już załatwiona przed Świętem Narodowym.

– To znaczy, że nie ma nic przeciwko temu, żebyśmy schwytali go potem? – zapytała Lamm. – Gdyby nie udało nam się potwierdzić podejrzeń bardziej konkretnymi dowodami niż jego prywatne pogaduszki.

– Alexander i jego koledzy z pewnością przyjęliby go z otwartymi ramionami. W tej sytuacji.

– To dla mnie małe pocieszenie. – Lisa Lamm pokręciła głową. – Przyjąć, że jest niewinny? Albo że mam wątpliwości co do jego winy? Myśl, że w takiej sytuacji miałyby się wysłać młodego człowieka tam, gdzie czeka go dożywocie, naprawdę nie jest kusząca. W końcu jest obywatelem Szwecji. W sensie humanitarnym to nie ma znaczenia, ale w przypadku formalnych działań, jakie należy podjąć w Szwecji,

jest inaczej.

– Bomber i jego kobieta – kontynuowała Lisa Lamm. – Co ty na to? Prawda czy fałsz?

– Da się to ustalić – odparła Mattei i wzruszyła ramionami, choć wcale nie była tego taka pewna.

ZANIM PIERWSZE spotkanie z ekipą śledczą się rozpoczęło, Mattei wykorzystała okazję i przywitała Helenę Palmgren, która miała odpowiadać za kontakty między wywiadem wojskowym a radiołącznością. Odpowiadała opisowi Lisy Lamm, która określiła ją jako „kawał baby”, i nie wyglądała na młodszą niż czterdzieści pięć lat. Była nieumalowana, jasne włosy zebrała na karku w gruby warkocz, miała niebieskie oczy. Na jej ubiór składały się: spodnium, koszula i czarne szpilki na średnim obcasie.

Z pewnością H&M – stosowne, praktyczne, za niewygórowaną cenę – ale ja bym tego nie włożyła, pomyślała Mattei.

– Miło cię spotkać, Heleno – powiedziała. – Czuj się jak u siebie. Mam nadzieję, że otrzymałaś materiały, którymi sami dysponujemy.

– Dziękuję – odpowiedziała Helena i przyjaźnie się uśmiechnęła. – Zdecydowanie jest co czytać. Pytań na razie nie mam.

– W razie czego daj znać. Polecam zwłaszcza Wiklandera. To jeden z tych, z którymi zawsze można się skontaktować.

Porządna i obowiązkowa, pomyślała Mattei. Jak moja teściowa. Może powinnam ją zapytać, czy chce ten niebieski sweterek.

Lisa Lamm zaczęła spotkanie od powitania i stwierdzenia, że nie musi nikogo przedstawiać, bo wszyscy zebrani się znają.

Potem przeszła do kwestii formalnych. Wyjaśniła, że mają zbadać sprawę domniemanych przygotowań do zamachu terrorystycznego. Ona miała prowadzić postępowanie przygotowawcze, a Lisa Mattei kierować działaniami policji.

Dodała, że śledztwo ma być prowadzone zgodnie z instrukcjami w DSOD, że jest objęte najwyższą klauzulą tajności i że szefowie poszczególnych grup odpowiadają za to, by ich współpracownicy, którzy nie mogli się pojawić na spotkaniach, byli



informowani o rozwoju sytuacji.

– Jakież pytania? – zapytała na zakończenie Lisa Lamm.

Wszyscy zebrani wokół dużego stołu pokręcili głowami.

– Dobrze. W takim razie oddaję głos Lisie Mattei.

Lisa Mattei również się streszczała. Zaczęła od tego, że ich operacja zyskała nazwę – Helge Złota Rączka. To był pomysł Martinez, a Helge to zapalony majsterkowicz. Zauważyła, że zebrani pokiwali z aprobatą głowami.

Potem poprosiła, żeby szefowie grup przedstawili aktualną sytuację. Większość z nich nie miała wiele do powiedzenia, bo ich praca dopiero się rozpoczęła. Komisarz, która odpowiadała za przesłuchania, nazywała się Ingrid Dahl. Wśród kolegów była znana z trzech rzeczy: nieograniczonej cierpliwości, silnej potrzeby bycia samą i tego, że choć wkrótce miała skończyć pięćdziesiątkę, wciąż należała do elity krajowych biegaczek długodystansowych.

Kiedy usłyszała pytanie, najpierw pokręciła głową. Potem stwierdziła, że na razie czeka na kolegów, dzięki którym najbliżsi Khalida mają trafić za kratki – dopiero wtedy przyjdzie czas na poważną rozmowę. Nie miała żadnych szczególnych życzeń.

Dan Andersson przedstawił listę około stu gości honorowych i specjalnie zaproszonych osób, których się spodziewano z okazji obchodów Święta Narodowego w Skansenie. Pałac królewski mieli reprezentować król i królowa, rząd – wicepremier, minister obrony, minister spraw wewnętrznych i kilku innych polityków z parlamentu, rad gmin i rad regionów. Poza tym wśród zaproszonych byli urzędnicy wysokiego szczebla ze służby cywilnej, kilku wyróżniających się prywatnych przedsiębiorców, wojskowi, dyplomaci oraz ludzie z wyższych sfer i celebryci. A także przedstawiciele rozmaitych organizacji, którzy z rąk Jego Królewskiej Mości mieli odebrać nagrody w postaci szwedzkich flag i plaketek. Oprócz gości na liście było jeszcze około stu dwudziestu osób, które na różne sposoby uczestniczyły w przygotowaniach do uroczystości. Od około dwudziestu osób odpowiedzialnych za wnoszenie i wynoszenie różnych rzeczy i inne praktyczne czynności po ponad trzydziestu pracowników telewizji, którzy mieli dbać o to, żeby

telewidzowie też brali udział w obchodach w Skansenie. Do tego dochodziła taka sama liczba muzyków i artystów, od członków młodzieżowego chóru Stockholms Musikgymnasium po niezwykle popularnego śpiewaka operowego, który miał zaśpiewać oba szwedzkie hymny: królewski i narodowy. Miał status celebryty, bo to on na zakończenie roku przeczytał tradycyjny wiersz Tennysona, *Dzwony noworoczne*, a poza tym występował w reklamie znanej sieci supermarketów.

Pozostawała jeszcze zwykła publiczność – niestety, Dan Andersson nie mógł wręczyć kolegom listy nazwisk. Zgodnie z wyliczeniami szwedzkiej telewizji na miejscu miało się pojawić od tysiąca do dwóch tysięcy osób, w zależności od pogody.

Andersson ozajmił, że bez wątpienia mają dużo na głowie, i dodał, że jeśli może zakończyć osobistym życzeniem, to poprosiłby, by wszyscy koledzy z ekipy uważnie przeczytali listę, którą im wręczył. Mieli sprawdzić, czy na jej widok w głowach zapala im się czerwona lampka związana z nieplanowanym punktem programu, który najwyraźniej zamierzali zapewnić Abbdo Khalid i jego koledzy.

Zapowiedział, że jeszcze wróci do listy policjantów, którzy mieli nadzorować uroczystość. Zgodnie z pierwotnym planem przydzielono w sumie osiemdziesięciu funkcjonariuszy ze sztokholmskiej policji i z Säpo, ale ponieważ sytuacja uległa zmianie, mogą potrzebować znacznie liczniejszej ekipy.

Martinez właściwie od razu skorzystała z okazji i zaczęła biadolić nad wszystkimi cholernymi szczegółami, które uprzykrzyłyby życie każdemu poważnemu śledczemu.

Siedemnastu członków rodziny w jednym domu, w którym zawsze jest kilka osób, niezależnie od pogody, dnia i godziny. Dom położony na uboczu, oddalony o ponad sto metrów w linii prostej od gniazdka, w którym w końcu się urządziła razem ze współpracownikami, żeby móc obserwować jego krótszy bok. Na domiar złego otoczony ogrodzoną działką, którą najprościej byłoby określić jako pełnowymiarowe boisko piłkarskie. Efekt powinien być czytelny nawet dla kogoś, kto nigdy nie prowadził obserwacji. Innych komentarzy nie miała.

Calle Lewenhaupt, który odpowiadał za podsłuchy i działalność wywiadowczą,

zaczął od stwierdzenia, że ma trochę aktualnych i rzeczowych informacji związanych ze sprawą.

Choć Abbdo Khalid i jego rodzina korzystali z pokaźnej liczby legalnych usług telekomunikacyjnych – mieli dwa abonamenty stacjonarne, kilkanaście komórek z jawnym właścicielem i jawnym numerem, a do tego cztery komputery – udało mu się ruszyć z kopyta, jeśli chodzi o podsłuchy. Wraz ze współpracownikami zaczął analizować przesył danych i znalazł kilka wiadomości, które pozwalały zarzucić Khalidowi kłamstwo.

Abbdo Khalid wyjechał z Wielkiej Brytanii w połowie marca w związku z feriami wielkanocnymi na uniwersytecie w Manchesterze. Ponad trzy tygodnie później, w drugim tygodniu kwietnia, miał wrócić i rozpocząć semestr letni. Jednak dwa dni przed terminem wysłał wykładowcy maila, w którym przeproszał i wyjaśniał, że jego ojciec niestety nagle zachorował, więc jako najstarszy syn musi zostać w Szwecji i zaopiekować się matką i pozostałymi członkami rodziny.

Wyrażał nadzieję, że ojciec niedługo wyzdrowieje, i zapewniał, że kiedy tylko będzie miał pewność, że tak się stało, wróci na uniwersytet. Do tego czasu będzie studiował zdalnie, bo za pośrednictwem komputera ma dostęp do wykładów, seminariów i obowiązującej literatury.

Wykładowca przesłał wyrazy współczucia i życzenia szybkiego powrotu do zdrowia dla ojca. Na koniec wyraził nadzieję, że niedługo się spotkają.

Podane przez Khalida informacje sprawdzono. Jak się okazało, ojciec był najwyraźniej zupełnie zdrowy. Przez cały czas chodził do pracy i nigdzie nie wspomniano, że korzystał z pomocy służby zdrowia. W jego mailach również nie było wzmianki o problemach ze zdrowiem – przewlekłych bądź nagłych. Wręcz przeciwnie – w mailu wysłanym do o dwa lata młodszego brata dziękował Bogu za dobre zdrowie, którym się cieszył, choć wkrótce miał skończyć sześćdziesiąt dwa lata.

Historia, jaką Abbdo przedstawił swojemu wykładowcy, była więc kłamstwem. Lewenhaupt przypuszczał, że prawdopodobnie zajmował się innymi sprawami, które wymagały jego obecności w Szwecji, na ich temat nie mógł jednak nic więcej

powiedzieć. Albo – a i tej możliwości nie mógł wykluczyć, choć uważał ją za mniej prawdopodobną – że Khalid chciał sobie przedłużyć urlop przed powrotem na studia.

– Nie wiesz może, na kiedy jest przewidywane wyzdrowienie jego ojca?

– Jeżeli właśnie Abbdo jest Helgem Żółtą Rączką, to pewnie będzie to moment, kiedy upora się z praktyczną robotą. Czyli nie wiadomo. Nie wiemy też, czy wtedy postanowi wrócić do Manchesteru – odparł Lewenhaupt.

– Okej – powiedziała Mattei i spojrzała na zegarek. – Zanim rozprostujemy nogi, chciałam poruszyć jeden temat. Chodzi o przekonanie, które żywią angielscy koledzy, a mianowicie, że nasz bomber ma obecnie kobietę: Brytyjkę, Louise Urqhart, którą poznał w Manchesterze. I która ponadto jest jego gospodynią. Proszę bardzo, możecie improwizować. Będę wdzięczna.

ZACZAŁ Jan Wiklander.

Jeżeli rzeczywiście, tak jak twierdzą Anglicy, Abbd Khalid jest bomberem, to materiał, który dali Säpo, mocno przemawia za tym, że utrzymuje stosunki seksualne z Louise Urqhart. Co nie znaczy, że ona wie o jego ewentualnej działalności terrorystycznej czy tym bardziej że zamierza mu w niej pomagać.

Choć za tym drugim mogły przemawiać okoliczności jej wyjazdu z Manchesteru. Wiele wskazywało na to, że się wymknęła ludziom, którzy mieli ją obserwować. Z drugiej strony nie można było wykluczyć naturalnego wyjaśnienia. Wciąż zdarzało im się gubić śledzonych, i to z najbardziej trywialnych przyczyn, więc to, że nadajnik umieszczony na podwoziu samochodu przestał działać, nie musiało oznaczać, iż ktoś przy nim majstrował.

Były również inne możliwości. Ktoś mógł jej pomóc zniknąć, choć sama o tym nie wiedziała. Albo wiedziała, ale wyjaśniono jej to w inny sposób, nie wspominając, że ma pomóc Abbdowi w działalności bombera.

– Coś w tym rodzaju – podsumował Wiklander. – Jako całość wydaje mi się to chyba trochę naciągane.

– Miło słyszeć, że jesteś sobą – odparła Martinez, westchnęła i pokręciła głową.

Nie rozumiała, o czym mówi Wiklander. Uważała, że w tej sprawie nie potrzeba filozoficznych rozważań, mnóstwa „jeśli”, „ale” i „gdyby”. Wystarczyła odrobina zwyczajnego policyjnego nosa, a to, co podpowiadał jej własny nos, było jednoznaczne. Pewnie, że Louise Urqhart wiedziała o działalności swojego młodego kochanka. Mało tego – pomagała mu w tym z pełnym zaangażowaniem. Chociażby zapewniając mu masę pieniędzy.

Zwykła, bogata, zapatrzona w siebie „cizia z wyższych sfer”, chętna na wszystko, co tylko może dodać jej życiu trochę dreszczyku. Nie była to zwyczajna Patty Hearst, którą trzeba porwać i zgwałcić, zanim da się przekonać. Louise Urqhart była

*all in* od samego początku, co według Lindy Martinez czyniło z niej najgorszy typ.

Calle Lewenhaupt nie był równie przekonany, choć uważał, że coś w tym jest. Z policyjnym nosem z całą pewnością trzeba było się liczyć. Zwłaszcza kiedy do akcji wkraczał nos Martinez.

Jednocześnie nie miał żadnych problemów z przyswojeniem oczywistych zastrzeżeń, które przedstawił jego szef, Jan Wiklander. Szczerze mówiąc, nie mógł się zdecydować, jaką rolę odegrała w tym wszystkim Urqhart – na dwoje babka wróżyła. Dobrym przykładem była jej charakterystyka sporządzona przez angielski wywiad. Uważał, że niewiele wyjaśnia, zwłaszcza jeśli spojrzeć na studia na uczelni, którym poświęciła ponad dziesięć lat.

Kim ona właściwie była? Zwyczajną bogatą wariatką, która nie musi studiować, żeby jak najszybciej znaleźć pracę i zarabiać na siebie jak normalny człowiek? A może poszukiwaczką, która w końcu znalazła prawdę i światło, choć islamski płomień w jej przypadku palił się na tyle mocno, że była gotowa na przemoc, byle tylko podtrzymać go przy życiu? Kimkolwiek była, wszystko to, co dało się o niej przeczytać, mogło przemawiać zarówno na jej korzyść, jak i na niekorzyść.

Oczywiście w opisie było pełno luk. Może po prostu Anglicy „uczepili się” starej historii o Samancie Lewthwaite – Białej Wdowie – albo jej następczyniach z zachodnioeuropejskiej klasy średniej, które codziennie pojawiały się w mediach społecznościowych z opowieściami o swojej nowej wierze.

Wyjaśnienie mogło też być proste i dokładnie odwrotne. Brytyjskie służby bezpieczeństwa miały wyraźny dowód na to, że Louise Urqhart jest we wszystko zamieszana, ale z tych samych powodów co zwykle nie mogły go zdradzić szwedzkim kolegom.

– Calle, do jasnej cholery – przerwała te rozważania Martinez. – Może byś tak udzielił jasnej odpowiedzi?

– W takim razie jestem tego samego zdania co ty – odparł Lewenhaupt i pokiwał głową.

– Dlaczego? – zapytała Martinez i rozczapierzyła palce prawej dłoni. – Czyżbyś miał takie samo przeczucie?

Lewenhaupt oznajmił, że chodzi raczej o parę szczegółów, na których się zafiksował.

Martinez zapytała, czy może podać jakieś przykłady.

Lewenhaupt odparł, że jak najbardziej. Jeden ze szczegółów wypatrzył na filmie przedstawiającym wewnętrzną dziedziniec domu, w którym Abdo mieszkał razem z Louise Urqhart. To, że on opanował rytuał, szczególnie nie dziwiło, ale w jej przypadku było już warte odnotowania. Do tego dochodziły inne rzeczy. Lewenhaupt wrzucił jej dom do jednego z programów GPS i stwierdził, że w czasie modlitwy ich pozycja względem siebie była poprawna.

– Jak to „poprawna”?

– On jest bliżej Mekki niż ona – stwierdził Lewenhaupt. – Dokładnie ponad dwa metry. A więc prawdopodobnie mają dostęp do własnego GPS-u.

– Ciekawe – odparła Mattei i wyglądała, jakby mówiła szczerze. – Ja zwróciłam uwagę, że to zawsze ona prowadzi samochód, a na filmie z sypialni ona go ujeżdża. Abdo natomiast zachowuje się prawie jak szarmancki młodzieniec.

– Jasne. Szczegóły rzadko są jednoznaczne – zgodził się Lewenhaupt. – W Arabii Saudyjskiej albo w Emiratach Arabskich zostałaby pewnie wychłostana, gdyby usiadła za kierownicą. A przynajmniej publicznie zbesztana. To samo spotkałoby człowieka, który jej na to pozwolił. W większości pozostałych krajów muzułmańskich nie tylko nie jest to zabronione, ale wręcz całkiem powszechne. W Wielkiej Brytanii nikogo ani trochę nie dziwi, że muzułmanki prowadzą auta. Co się zaś tyczy seksu, sądzę, że w każdym kraju zyskałaby jednakowe uznanie.

Martinez skinęła mu głową, a potem nią pokręciła, patrząc na Mattei.

– W czym problem? – spytała. – Młody, czarnoskóry chłopak, w dodatku dobrze wyposażony, co chyba każdy zauważył, pieprzy się z cholernie piękną białą kobietą i obojgu wyraźnie sprawia to przyjemność.

– Chodzi o sposób, w jaki to robią – zaoponowała Mattei. – A ściślej mówiąc, sposób, w jaki ona to robi. Mam wrażenie, że to ona przejmuje inicjatywę. Nie tylko w jego sypialni, ale i wtedy, kiedy siedzą w samochodzie. Nie do końca mi się to zgadza. Że ona siedzi za kierownicą. Jak to się ma do tradycyjnego muzułmańskiego

poglądu na kobiety?

– Przecież muzułmanie pieprzą się jak wszyscy – powiedziała Martinez. – Jest dobry seks i kiepski seks.

– Tak mówisz?

– Jak najbardziej. Chyba nie ma sensu tak się przywiązywać do tej gadki o dziewicach, które czekają na nich w raju. Jeśli zapytasz statystycznego Svenssona, będzie równie mocno miał ozorem na ten sam temat. I każdy, zarówno Abbdo, jak i Nils z Motali, wyłaziłby ze skóry, gdyby miał choćby najmniejszą szansę na poużycanie sobie z kimś takim jak Louise Urqhart.

– Tak, tak. Rozumiem, co chcesz powiedzieć, choć nadal uważam, że w tej całej Urqhart jest coś, co przeoczyliśmy.

– Co mianowicie? – zapytała Martinez.

– Nie wiem. – Mattei pokręciła głową. – Naprawdę nie wiem.

Także przedstawicielka wojska, Helena Palmgren, która pracowała w tym samym budynku, a ostatnio także nad tą samą sprawą, zdawała się przychylić do stanowiska Martinez i Lewenhaupta. Choć wyraziła to w znacznie bardziej wyważony, grzeczniejszy sposób niż Martinez.

Stwierdziła, że ludzie tacy jak oni, zwykli chrześcijanie z Zachodu, mogą mieć zbyt uproszczoną wizję muzułmanów, chętnie patrzą na nich inaczej niż na siebie. Może nawet ich demonizują, choć w ogólnoludzkim sensie są tacy jak wszyscy inni, niezależnie od tego, w jakiego Boga wierzą.

Jak choćby wszyscy, którzy siedzą w tym pokoju – ochrzczeni i bierzmowani. W tym sensie są chrześcijanami, ale poza tym nie są zbyt podobni, jeśli chodzi o sposób, w jaki praktykują wiarę. Jej ojciec był pastorem i pracował w Szwedzkiej Agencji Międzynarodowej Współpracy Rozwojowej. Był bardzo staroświecki w kwestiach wiary i takie samo podejście przekazywał swoim parafianom jako drogowskaz, ale nie przywiązywał do tego szczególnej wagi we własnym życiu.

– Tak więc uważam, że trzeba się wystrzegać mierzenia wszystkich jedną miarą. Bez względu na to, jaką religię wyznają – podsumowała Palmgren.

– Jestem tego samego zdania co ty – powiedziała Lisa Lamm i wymieniła szybkie



spojrzenie z Mattei. Ta skinęła głową. – Poza tym myślę, że nasz koszyk z improwizacjami zaczyna być przepelniony. Co wy na to, żeby dać sobie pięć minut na rozprostowanie nóg, zanim pozwolimy Callemu Lewenhauptowi zakończyć spotkanie?

KIEDY PIĘTNAŚCIE MINUT później wrócili do sali, rolę prowadzącej przejęła Mattei. Lisa Lamm musiała pobiec do sądu, żeby przed weekendem odbyć spotkanie, na którym miała zapisać decyzja w sprawie aresztowania.

– Nasza prokurator, której już tu z nami nie ma, twierdziła, że obiecałeś nam trochę materiałów, Calle. Jak ci idzie?

– Wszystko gotowe. Znajdziecie je w skrzynkach mailowych po powrocie do siebie. Pod tytułem Helge Złota Rączka zebrałem wszystko, co dotyczy tego śledztwa. Teraz dostaliście dwa dokumenty: pierwszy to ogólny materiał na temat Somalijszczyków i muzułmanów w Eskilstunie. Informacje, które warto znać, choć nie muszą mieć bezpośredniego przełożenia na śledztwo. To się okaże.

– Doskonale – stwierdziła Mattei. – Masz coś jeszcze?

– Drugi dokument to materiał pomocniczy szczególnego rodzaju. Pierwsza, wstępna charakterystyka Abbda Khalida i jego rodziny. Będziemy ją oczywiście uzupełniać wraz z postępami w śledztwie. Powiem wam, że to ciekawa rodzinka. Wyróżnia się, jeśli mogę tak powiedzieć, spośród innych Somalijszczyków mieszkających w Eskilstunie. W dość wyraźny sposób.

– Nie mógłbyś trochę przyśpieszyć? – spytała Mattei.

– Oczywiście, szefowo – odparł Lewenhaupt.

Włączył komputer i wyświetlił pierwszy slajd na wiszącym w sali ekranie. Proste zestawienie danych statystycznych dotyczących Eskilstuny i jej mieszkańców.

Wynikało z nich, że Eskilstuna jest największym miastem Sörmlandii, liczącym sześćdziesiąt pięć tysięcy mieszkańców, i centralnym obszarem gminy o tej samej nazwie, którą zamieszkuje ponad sto tysięcy osób. Dawnym ośrodkiem handlu, rzemiosła i przemysłu o bogatych tradycjach sięgających średniowiecza. W dzisiejszych czasach było to również miasto mocno podzielone, pełne nasilających się problemów społecznych i antagonizmów etnicznych.

W całej Szwecji mieszka jakieś pięćdziesiąt tysięcy Somalijszczyków. Większość z nich ma obywatelstwo szwedzkie. Stanowią oni dokładnie pół procent ludności kraju. Trzy tysiące mieszkają w Sörmlandii, z czego dwa tysiące w Eskilstunie.

– Prawie wszyscy mieszkają w mieście, do tego w tej samej dzielnicy – uściślił Lewenhaupt. – Jeśli wziąć pod uwagę odsetek ludności, w Eskilstunie jest więcej Somalijszczyków niż w trzech największych szwedzkich miastach. Stanowią ponad trzy procent wszystkich mieszkańców. Regiony wokół trzech największych miast skupiają niecały jeden procent.

Prawie osiemdziesiąt procent Somalijszczyków z Eskilstuny mieszka w okolicy Bellmansplan w dzielnicy Fröslunda, niedaleko centrum.

Fröslunda była początkowo dzielnicą robotniczą, powstała w latach dziewięćdziesiątych, a wśród zabudowań dominują typowe dla tego okresu dwu- i trzypiętrowe szeregowce, w kolejnym półwieczu uzupełnione o kilka wieżowców, większe centrum handlowe i największą przychodnię w regionie.

Dzielnica była pomyślana jako miejsce zamieszkania szwedzkich robotników i ich rodzin, ale kiedy tylko się stamtąd wyprowadzili do lepszych mieszkań, zastąpili ich imigranci z południowej Europy, którzy przyjeżdżali do Eskilstuny pracować, a od dwudziestu lat – stała fala uchodźców, głównie z Afryki i Bliskiego Wschodu.

– Dwie na trzy spośród mieszkających tu osób to imigranci albo uchodźcy – stwierdził Lewenhaupt. – Odsetek wzrasta wśród młodszych pokoleń. Na przykład w szkole we Fröslundzie siedemdziesiąt pięć procent uczniów to dzieci imigrantów albo uchodźców. Z pewnością macie ten obraz, że się tak wyrażę.

Lewenhaupt stwierdził jednak, że określenie Fröslundy mianem typowego getta dla uchodźców byłoby przesadą. Jednocześnie dzielnica była silnie nacechowana tymi wszystkimi elementami, które w debatach politycznych o imigrantach i uchodźcach przedstawiano jako klasyczne przykłady nieumiejętności rozwiązania tego problemu szwedzkiej polityki społecznej.

Był to wielki odsetek imigrantów i uchodźców skupiony na niewielkim obszarze, który prezentował cały szereg problemów, społecznych i nie tylko: wysokie

bezrobocie, duży procent ludzi utrzymujących się z zasiłków, wysoki wskaźnik przestępczości, powszechne uzależnienie od narkotyków, choroby fizyczne i psychiczne, kiepskie wyniki w szkołach, duży odsetek rozbitych rodzin, samotność, poczucie wyobcowania, izolacja.

Eskilstuna nie tylko była największym miastem Sörmlandii, ale też miastem największych podziałów w regionie. Różnice, mierzone w pieniądzach, były uderzające. W najbogatszej dzielnicy, Snälltorpet, średni miesięczny dochód na mieszkańca wynosił trzydzieści tysięcy koron. Kilka kilometrów stamtąd, w dzielnicy czynszówek wokół Bellmansplan, wynosił mniej niż dziesięć tysięcy, z czego ponad połowę stanowiły rozmaite zasiłki.

– Ta okolica to coś w rodzaju lokalnego, sörmlandzkiego wariantu Rinkeby w Sztokholmie, Rosengårdu w Malmö czy Hammarkullen w Göteborgu – podsumował Lewenhaupt. – Pierwsi Somalijczycy przyjechali tu na początku lat dziewięćdziesiątych. To pierwsza fala, potem było ich coraz więcej i więcej. Wojna nadal trwa, w ciągu dwudziestu pięciu lat sytuacja niespecjalnie się poprawiła.

– Jak sobie radzili w Szwecji? – zapytał Wiklander.

Lewenhaupt odparł, że źle. A nawet bardzo źle, jeśli mierzyć ich poziom przystosowania społecznego przyjętymi miarami. Ponad osiemdziesiąt procent Somalijczyków mieszkających w Eskilstunie było bezrobotnych, a wśród młodzieży tylko siedem procent miało pracę czy choćby tymczasowe zajęcie. Większość utrzymywała się po prostu z zasiłków.

– To się oczywiście łączy z całą resztą – kontynuował. – W tej grupie jest duży odsetek uzależnionych. Biorą prawie każdy rodzaj narkotyków, w tym oczywiście somalijską specjalność, khat, ale również piją alkohol, choć praktycznie wszyscy Somalijczycy w Eskilstunie to muzułmanie. Kiedy spojrzymy na krajowy rejestr karny w Eskilstunie, okaże się, że Somalijczyków jest tam czterokrotnie więcej niż ludzi innych narodowości. Poza tym popełniają całą gamę przestępstw – od morderstw, pobić, gwałtów, rozbojów, napadów z bronią w ręku i przestępstw narkotykowych po poważne wykroczenia drogowe i zwykłe kradzieże, także kieszonkowe. Czyli wszystko – podsumował Lewenhaupt i westchnął.

– A islam jako taki? – zapytał Dan Andersson. – Muszą tam mieszkać też inni muzułmanie, oprócz tych, którzy pochodzą z Somalii.

– Jak najbardziej – odparł Lewenhaupt. – W całej gminie jest około dziesięciu tysięcy wyznawców islamu. Ponad sześć tysięcy mieszka w Eskilstunie, a pozostali przebywają w różnych obozach dla uchodźców rozsianych po całej gminie. Ostatnio to przede wszystkim uchodźcy z Bliskiego Wschodu, głównie z Syrii. Procent muzułmanów z całą pewnością się zwiększył. Dziś w Eskilstunie jest sześć meczetów. Przed dwoma laty były dwa. Pierwsza wspólnota muzułmańska powstała tam w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku, a rok później otrzymali pierwsze pomieszczenie modlitewne, hucznie nazwane meczetem Sabirin. Sabirin znaczy po arabsku cierpliwość. Mieściło się w zwykłej piwnicy w Nyfors. To dzielnica, która przypomina Fröslundę. Wielu imigrantów, duże problemy społeczne.

– O ile się orientuję, meczety ostatnio często płonęły, prawda? – zapytała Helena Palmgren. – Cztery pożary w ciągu niecałego roku, jeśli dobrze liczę.

– Tak – Lewenhaupt pokiwał głową. – To prawda.

– No i? – wtrąciła się Mattei i spojrzała badawczo na Lewenhaupta.

Teraz właśnie powinnam mieć okulary do czytania. Żeby pozwolić im się zsunąć na czubek nosa i wwiercić spojrzenie w małego Callego, pomyślała.

– W mediach przez cały czas, przynajmniej na początku, określano to jako przestępstwa wymierzone w muzułmanów.

– Jak jest naprawdę? – zapytała Mattei.

Lewenhaupt wyjaśnił, że we wszystkich czterech przypadkach sprawdzano, czy nie doszło do podpalenia. W trzech można już było to wykluczyć i przyjąć, że były to nieszczęśliwe wypadki albo niedbalstwo osób przebywających w pomieszczeniach. Frytkownica pozostawiona bez nadzoru, niedopałek w palarni, kosz na śmieci przed salą modlitewną, który zajął się ogniem. W ostatnim przypadku meczet spłonął w wyniku pożaru, do którego doszło w piwnicznym pomieszczeniu na śmieci. Przyczyny nie ustalono, ale nie był to koktajl Mołotowa wrzucony przez okno przez nieznaną sprawców, jak początkowo twierdzono w medialnych doniesieniach na temat pierwszych pożarów. W czwartym przypadku, który

wydarzył się miesiąc wcześniej, śledztwo nadal trwało, ale tu również wszystko wskazywało na to, że nikt nie podłożył ognia.

– Być może się zastanawiacie, kto prowadził śledztwo – powiedział Lewenhaupt z uśmiechem. – To była miejscowa policja z Eskilstuny. Oczywiście zażądaliśmy materiałów i je przeanalizowaliśmy.

– No i? – powtórzyła Mattei.

– Podzielamy ich przekonanie. Nie mówię o ostatniej sprawie, bo tamto śledztwo trwa.

– Jak wygląda sytuacja w społecznościach, które ucierpiały? – zapytała Ingrid Dahl, która do tej pory się nie odzywała. – Bo bez względu na przyczynę pożaru można powiedzieć, że ucierpiały. Co mówią ci ludzie?

– Nie dzielają przekonania policji – odpowiedział Lewenhaupt i lekko odchrząknął.

– Mógłbyś być nieco bardziej konkretny? – powiedziała Mattei.

– Dobrze. Mówią o chrześcijańskich rasistach, którzy nienawidzą muzułmanów, czarnych, Arabów, wszystkich, którzy nie są tacy jak oni. Mówią, że próbowali upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: spalić budynki i przy okazji ludzi, którzy w nich przebywali.

– I że są chronieni przez miejscową policję i przez nas.

– Tak, z tego przekonania nie robili żadnej tajemnicy. Prezentują je zresztą każdego dnia, zarówno w mediach społecznościowych w kraju, jak i w zwykłych środkach masowego przekazu w świecie arabskim.

– Domyślam się – odparła Mattei. – Ale jedna rzecz mnie dziwi. Od siedemdziesiątego pierwszego, kiedy muzułmanie dostali pierwszy meczet, aż do pożaru ponad rok temu w Eskilstunie nie spłonął ani jeden meczet. Nawet małego pożaru przez prawie pół wieku. A teraz nagle cztery...

– Chwileczkę, szefowo – wtrącił się Calle Lewenhaupt.

– Nie przerywaj mi – warknęła Mattei. – Teraz nagle mamy cztery pożary w ciągu roku. Nie powinno aż tak dziwić, gdyby się okazało, że to podpalenia albo nawet zamachy terrorystyczne, spowodowane... na przykład... nasilającymi się

antagonizmami między ludnością muzułmańską a otoczeniem. Za to jeśli pożary wybuchły z ich winy, byłabym zdziwiona. Jak to, u diabła, możliwe, że nagle zaczęli aż tak lekkomyślnie podchodzić do zapalek, frytkownic, papierosów, worków, koszy na śmieci i sama nie wiem czego jeszcze?

– Ja mam pewien pomysł – oznajmiła Martinez z niewinną miną.

– Przeszło mi to przez myśl – odparła Mattei. – Dlatego kiedy ty, Calle, i twoi współpracownicy jeszcze raz będziecie się przyglądać tym pożarom, nie chciałabym, żebyście wykluczyli przyczynę, która niestety jest powszechna: podłożenie ognia w celu wyłudzenia pieniędzy z ubezpieczenia. Jak nasza Linda, całkiem słusznie zresztą, zamierzała właśnie zasugerować.

– Oczywiście nie wykluczymy – odparł Lewenhaupt. – Dopilnuję, żebyśmy jeszcze raz wszystko dokładnie sprawdzili.

– Doskonale – skwitowała Mattei. – Najlepiej od razu, a najpóźniej w poniedziałek. Skoro już mowa o lokalnych antagonizmach politycznych między eskilstuńskimi muzułmanami a całą resztą, ciekawi mnie, jak wygląda sytuacja polityczna. Jak na przykład poradzili sobie Szwedzcy Demokraci w ostatnich wyborach?

Carl Lewenhaupt odparł, że dużo lepiej, niż się spodziewano. W ostatnich dodatkowych wyborach, tych z ostatniego roku, głosowało na nich dziewiętnaście procent wszystkich wyborców. Odkąd w 2010 roku zajęli miejsca w parlamencie z pięcioprocentowym poparciem, notowali bardzo silny, ciągły wzrost, który trwał w czasie wyborów powszechnych, dwukrotnie zwołanych dodatkowych wyborów i przez sześć lat w parlamencie.

– Sporządziłem zresztą zestawienie także i na ten temat – dodał. – Skąd się biorą ci wszyscy Szwedzcy Demokraci?

– Rasistowska epidemia – orzekła Martinez. – W rodzaju tych, które wybuchają falami. Jak grypa żołądkowa albo liszajec zakaźny.

– Oj tam – powiedział Lewenhaupt. – W tym punkcie nasi spece od polityki wydają się zgodni. Chodzi raczej o starych socjalistów i mieszczan, którzy czują się zdradzeni przez partie, na które zawsze głosowali. Stanowią naprawdę pokaźny

odsetek. Nie wydają się też specjalnie rasistowscy, raczej zaniepokojeni. Niepokoją się, że pieniądze z ich emerytur będą szły na tych wszystkich uchodźców, którzy tu przyjeżdżają. Że ich dawna Szwecja przestaje istnieć, no i, rzecz jasna, że wzrasta przestępczość. Niepokoją się właściwie wszystkim. Przeczytajcie sami.

– Eskilstuna – przypomniała Mattei i zerknęła na zegarek. – Jak wam tam poszło?

W Eskilstunie poszło jeszcze lepiej i wydawało się, że główną przyczyną tych postępów były właśnie antagonizmy między rdzennymi mieszkańcami Szwecji a imigrantami i uchodźcami. Obie lokalne gazety – „Eskilstuna-Kuriren” i „Folket” – przeprowadziły sondaże wyborcze, z których wynikało, że może chodzić właśnie o to.

– W ostatnich wyborach Szwedzkich Demokratów poparło dwadzieścia dwa procent wyborców z Eskilstuny. To oznacza, że obecnie są drugim co do wielkości ugrupowaniem w gminie. Największym w dalszym ciągu są Socjaldemokraci z wynikiem dwudziestu siedmiu procent, ale to nie jest szczególnie duża różnica. Moderaci spadli za to na łeb na szyję. W porównaniu z poprzednimi wyborami stracili cztery punkty procentowe i poparcie dla nich utrzymuje się na poziomie nieco ponad siedemnastu procent.

– Ale to nadal socjaliści rządzą w gminie? – zapytał Wiklander.

– Tak, chociaż w mniejszości i z pomocą Zielonych, Partii Lewicy i różnych niezbyt czystych aliansów, w zależności od tego, jaka kwestia jest na tapecie. Szwedzcy Demokraci są silni, nie ma co do tego wątpliwości, i w kilku przypadkach wygrali z socjalistami. Ostatnio chodziło właśnie o pozwolenie na otwarcie kolejnego obozu dla uchodźców na terenie gminy. Niestety, sądzę, że możemy mieć tu praktyczny problem.

– To znaczy? – spytała Mattei.

– Szwedzcy Demokraci w radzie gminy mają w sumie dwadzieścia jeden zwykłych miejsc i jedenaście miejsc dla zastępców. To oczywiście jest wyrazem politycznej woli ludu i samo w sobie nie stanowi problemu.

– A co stanowi problem? – zapytał Wiklander.

– Dwóch zwykłych reprezentantów to policjanci – oznajmił Lewenhaupt. – Obaj



pracują w Eskilstunie. Jeden jest oficerem dyżurnym w policji porządkowej, a drugi prowadzi postępowania przygotowawcze na wydziale kryminalnym. Ten pierwszy jest inspektorem, ten z wydziału kryminalnego to komisarz.

– Okej – odparła Mattei. – Podaj mi nazwiska, poproszę kolegów z Urzędu Ochrony Konstytucji, żeby sprawdzili, czy możemy mieć przez to jakieś problemy związane z tajemnicą służbową.

– Oczywiście – odparł Lewenhaupt.

– Doskonale – oznajmiła Mattei i demonstracyjnie podniosła rękę z zegarkiem. – Mam propozycję, która powinna wam się spodobać.

– W końcu – powiedziała z uśmiechem Martinez. – Szefowa jest dobrym człowiekiem.

– Otóż to – zgodziła się Mattei i odwzajemniła uśmiech. – Tak jak tu siedzimy, większość z nas nie ma nic do roboty. Czekamy w gotowości, podczas gdy Linda i Calle mają pełne ręce roboty. Co wy na to, żebyśmy się tu spotkali w poniedziałek o godzinie zero osiem zero zero?

Zauważyła, że wszyscy kiwają głowami.

– Dobrze – powiedziała. – W poniedziałek w spokoju będziemy mogli się zapoznać z charakterystyką Khalida i jego rodziny przygotowaną przez Callego. Sama jestem ciekawa, skoro mówisz, że się wyróżniają na tle pozostałych Somalijszczyków z Eskilstuny. Zakładam, że pozytywnie.

– Zgadza się.

– No dobrze. Możliwy, a nawet prawdopodobny bomber jako ktoś w rodzaju miejscowego wzoru moralności. Czego chcesz więcej? Jakies pytania?

Również i tym razem odpowiedziały jej przeczące ruchy głów i uśmiechy. Wyjątkiem był tylko Calle Lewenhaupt, który jej zdaniem wyglądał trochę niepewnie.

– Calle? Zdaje się, że chcesz coś powiedzieć. No to dawaj. My będziemy teraz świętować weekend, a ty i Linda wszystkim się za nas zajmiecie.

– Nie – odparł Lewenhaupt. – A przynajmniej nie jest to pytanie. Raczej zabawny szczegół, że tak to określe. Nie wszyscy, którzy mieszkają we Fröslundzie, są

Somalijczykami. Pewien człowiek, który mieszkał tam przez dziesięć lat, kilka lat temu trafił do ośrodka, a potem umarł. Był naszym kolegą. Jednym z najbardziej znanych funkcjonariuszy Säpo. Może nawet najbardziej znanym. Z jakiegoś powodu w związku z tym zacząłem myśleć o tutejszej legendzie. Naszym starym szefie, Larsie Martinie Johannsonie, który widział, co jest za rogiem, i nauczył nas nienawidzić przypadków. Ciekawe, co by pomyślał, gdyby właśnie to nazwisko pojawiło się w prowadzonym przez niego śledztwie.

– Kto to taki? – zapytała Mattei, choć już znała odpowiedź.

– Kret, szpieg, *The One and Only*... Stig Bergling – odparł Lewenhaupt.

KIEDY MATTEI zeszła do garażu, żeby wsiąść do samochodu i wreszcie pojechać na wieś, wpadła na Franka Motoelega.

– Mogę szefową zawieźć – powiedział.

– Ale ja jadę na wieś – zaproponowała Mattei. – Pod Norrtälje. Osiemdziesiąt kilometrów tam i osiemdziesiąt z powrotem.

– Brzmi jak co najmniej godzina jazdy – stwierdził Motoele z uśmiechem.

– Nie masz nic lepszego do roboty?

– Co mogłoby być lepsze niż zawieszenie szefowej na wieś?

– Coś w tym jest, Frank – zgodziła się Mattei i skinęła głową. – Po drodze możemy porozmawiać. Ja pytam, ty odpowiadasz.

Poprosiła go, żeby opowiedział, jak było w Eskilstunie. Nie chodziło jej o postępy w śledztwie, tylko o to, jak on sam odebrał otoczenie, w którym się znalazł.

– Domyślam się, że do tego czasu zdążyłeś już przyłożyć ucho do torów.

Motoele natychmiast zrozumiał, o co jej chodziło. Z nim wszystko było praktyczne – nie potrzebował ani uszu, ani torów, żeby się uporać z tym zadaniem. Urodził się Masajem – wojownikiem, łowcą, zbieraczem i zwiadowcą od zarania dziejów. Wystarczyło, że postawił jedną stopę na ziemi, i jeszcze zanim zrobił następny krok, już wiedział, co go czeka.

Eskilstuna nie była miastem, w którym chciałby mieszkać. Nie było tu jak w Sztokholmie. Ani nawet jak w Borlänge w regionie Dalarna – tam się wychowywał, odkąd w wieku pięciu lat przyjechał do Szwecji jako adoptowane dziecko z Kenii.

W Sztokholmie mógł się wtopić w tłum. W Borlänge miał rodzeństwo i kolegów, którzy nawet nie dostrzegali różnicy. W Eskilstunie było inaczej, widział to w oczach ludzi. Nikt nie próbował się na niego rzucić, nie groził mu ani go nie

prześladował. Nikt nawet na niego nie krzyknął ani nie pokazał mu środkowego palca, przechodząc ulicą albo przejeżdżając samochodem.

Chodziło o to, co dostrzegał w ich oczach, kiedy na niego patrzyli. Niesmak, a może przede wszystkim strach. Szybko odwrócony wzrok i spojrzenie przez ramię, kiedy czuli, że są już w bezpiecznej odległości. Tak właśnie na niego patrzyli. Wszyscy ci, którzy mieszkali tam na długo przed przyjazdem takich jak on. Zresztą nie tylko oni. Z taką samą reakcją spotykał się również ze strony tych, którzy bardziej przypominali go wyglądem.

– Nawet Somalijscy zachowują dystans – wyjaśnił. – Wczoraj byłem w ich meczecie, tym przy Bellmansplan, tam, gdzie mieszkają chyba wszyscy oprócz naszego bohatera. Nie liczy się to, że jestem czarny. Wyróżniam się tak, jak wyróżniałaby się szefowa. Różnica w wyglądzie między mną a Somalijskimi jest równie duża jak między mną a zwykłym Szwedem. Tylko biali myślą, że wszyscy czarni mężczyźni wyglądają tak samo.

– Somalijscy też się boją na twój widok?

– Niektórzy są z pewnością przerażeni, zwłaszcza ci starsi, którzy się tam wychowali. Wyobraź sobie: Masaj pojawiający się wśród mnóstwa somalijskich braci. Zwłaszcza teraz, kiedy wojna między Kenią a Somalijskimi terrorystami trwa w najlepsze. Co on tu robi? Chce nas zjeść? Pozabijać? Wszyscy są podejrzani i czujni, nawet ci, którzy się tu urodzili i których noga nigdy nie postąpiła w Afryce. Wiedzą o tym wszystkim od rodziców i starszych krewnych.

– Jak to rozwiążemy? – spytała Mattei.

– Linda znalazła jakiegoś kolegę z Göteborga, który pracuje w wydziale narkotykowym. Nie jest Somalijskim, bo oni nigdy nie zostają policjantami, ale pochodzi z Erytrei, ościennego kraju na północy. Miała spróbować z nim. Niektórzy są podobni do Somalijskich. Zwłaszcza ci z południowej Erytrei. Mówię o wyglądzie.

– Myślisz, że z nim pójdzie lepiej?

– To loteria. – Motoele wzruszył ramionami. – Linda jest hazardzistką. Próbowalem jej wytłumaczyć, że na Półwyspie Somalijskim ludzie zabijają swoich

sąsiadów jak muchy. Robili to od samego początku.

– Co ona na to?

– Nie należy do związku zawodowego, więc postanowiła zaryzykować.

– A nasi miejscowi koledzy? Jak im idzie? – zapytała.

Muszę porozmawiać z Martinez, pomyślała.

Motoele odparł, że znakomicie. W ciągu czterech dni, podczas których jeździł po Eskilstunie, żeby poznać otoczenie, został zatrzymany tylko cztery razy. Zawsze przez drogówkę, która chciała zobaczyć jego prawo jazdy z tych samych powodów co zwykle. Jeśli wziąć pod uwagę jego drogie bmw i złote łańcuchy, którymi się obwiesił, nie było w tym nic dziwnego. Okazywał swoje drugie prawo jazdy, wystawione na nazwisko Frank Andersson – tak się nazywał, kiedy dorastał w Szwecji w rodzinie adopcyjnej.

– Po mamie i tacie – wyjaśnił Frank. – Ulli i Gunnarze Anderssonach. Tatko jest cieślą, pracował dla Skanska przy budowie hotelu w Nairobi. Tam się spotkaliśmy. Ja i moi rodzice.

– Adoptowali cię?

– Tak. Kiedy się spotkaliśmy po raz pierwszy, miałem pięć lat. Mama zawsze powtarza, że byłem najpiękniejszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek widziała. Choć od tamtego czasu już trochę minęło – stwierdził z lekkim westchnieniem.

– Na pewno nadal tak myśli – powiedziała Mattei. – Mamy już tak mają.

– Od urodzenia nazywałem się Frank. Frank Motoele. Potem zrobił się z tego Frank Andersson. Nazwisko Motoele przyjąłem z powrotem, kiedy zacząłem naukę w szkole policyjnej.

– Ale nie potraktowali cię źle, Frank? Mam na myśli kolegów z Eskilstuny.

Motoele pokręcił głową. Byli podejrzliwi i czujni, mniej więcej w taki sposób jak jego tak zwani czarni bracia z Somalii, ale jeśli chodziło o zasadnicze kwestie, zachowywali się poprawnie. Sprawdzili prawo jazdy i samochód. Nie mieli żadnych uwag, a pytania, które zadawali, dotyczyły głównie firmy, na którą był zapisany samochód – spółki akcyjnej African Taboo Entertainment. Pytali, czy tam przypadkiem nie pracuje, skoro jeździ firmowym autem.

– Powiedziałem im, że jestem producentem muzycznym – oznajmił Motoele z szerokim uśmiechem. – *Rap, crap and all that shit, man.*

– Łyknęli to?

– Jasne, że tak. Tłumaczyłem już to szefowej, kiedy siedzieliśmy w tym samochodzie poprzednim razem. Tacy jak ja korzystają z uprzedzeń innych.

– Abdo Khalid. – Mattei zmieniła temat. – Co o nim myślisz? W kontekście tych uprzedzeń. Mówię o uprzedzeniach, które żywimy my, policjanci.

– O Khalidzie myślę niejedno – odparł Motoele i wymownie wzruszył ramionami. – Jednej rzeczy jestem nawet całkowicie pewien. Zamierza wykombinować jakieś konkretne cholerstwo. To wiem na sto procent.

– A co wiesz nie na sto?

– Abdo to człowiek z ambicjami. Nie zamierza poprzestać na siedemdziesięciu dwóch dziewczicach. Chce przejść do historii i planuje zupełnie inny koncert niż ten, który jego koledzy urządzili w Manchesterze pod Teatrem Snów. Sześciu policjantów i kilku ludzi, którzy się znaleźli w niewłaściwym miejscu... Już o tym zapomniano. Gdyby zaś udało mu się przeprowadzić tę akcję w Skansenie, trafiłby do podręczników historii.

– Jeszcze jedno. Lindę pytałam o to samo, gdybyś się zastanawiał.

– Czy coś podejrzewa? Czy wie, że depczemy mu po piętach?

– Tak. Wie o tym?

– Nie. – Motoele pokręcił głową. – Jeżeli chodzi o to, że zgubił jeden z naszych samochodów, to myślę, że szefowa nie musi się tym martwić. Linda zresztą nie jest osobą, której powinno się zadawać takie pytanie. To jej ulubiona fobia.

– Ale ty w to nie wierzysz. Dlaczego?

– Ludzie tacy jak on zawsze to robią. Dla bezpieczeństwa, dlatego, że tacy już są przez swoje ciemne interesy, żeby poćwiczyć albo jeszcze z innego powodu. Obserwowałem go godzinami. Ma stanowczo za dobre samopoczucie jak na kogoś, kto o tym wie. Gdyby czuł mój oddech na karku, nie zachowywałby się w ten sposób.

– A jak?

– Uciekałby gdzie pieprz rośnie. Zawsze to robią i on nie byłby wyjątkiem.  
Szczególnie ktoś taki jak on, Somalijczyk.

– Jesteś tego całkowicie pewien?

– Kiedy próbują uciec, wyczuwam to od razu – stwierdził Motoele.

– Naprawdę?

– Jak tylko postawię jedną stopę na ziemi – odparł Motoele i skinął głową.

MOTOELE WYSADZIŁ JĄ na dziedzińcu domu teściów. Proponowała, żeby wszedł i napił się kawy, zanim pojedzie z powrotem, ale nie skorzystał z zaproszenia. Stwierdził, że byłoby miło, ale muszą to przełożyć na kiedy indziej, bo za godzinę obiecał odebrać Lindę Martinez ze Sztokholmu, a potem mieli wrócić do Eskilstuny.

Dał jej za to wizytówkę. I zapisał na niej swój prywatny numer, pod którym kilka wybranych osób zawsze mogło go zastać.

– Każdemu może się zdarzyć, że potrzebuje wojownika. Kiedy się tego najmniej spodziewa – wyjaśnił. – Ktoś taki jak szefowa również.

– Dzięki, Frank – odpowiedziała.

Kiedy wysiadła z samochodu, Ella już czekała na werandzie. Wskazała czarne bmw Motoelego, które wyjeżdżało przez bramę.

– Co to za pan, który cię odwiózł? – zapytała.

– Pracuje tam gdzie mama.

– Ale jest z Afryki, co nie?

Pewnie wpływ któregoś z jej kolegów z przedszkola, pomyślała Mattei.

– Tak. Mama ma w pracy mnóstwo kolegów, którzy są z Afryki. Mogę prosić o buziaka i uścisk?

– Spóźniłaś się – oznajmiła Ella i wskazała oskarżycielsko zegarek, który dostała pod choinkę.

– Przepraszam. Śpieszyłam się, jak tylko mogłam.

– Bez buziaka i uścisku, bez buziaka i uścisku! – zawołała Ella i wbiegła przed nią do domu.

Ktoś taki jak ty nie powinien mieć dzieci, pomyślała Mattei.



To był weekend na wsi, w domku letniskowym jej teściów. Jak tylko wkroczyła do kuchni, wszystko wróciło do normy. Nawet buziaków i uścisków było pod dostatkiem.

Najpierw Johan objął ją w talii, drugą ręką pogładził po policzku i musnął ustami jej usta. Przez wzgląd na jego rodziców, którzy byli w tej samej kuchni, z kolejnymi pieścotami zdecydowali się poczekać do momentu, aż zostaną sami.

– W końcu – powiedział i się do niej uśmiechnął.

Nie było to tylko powitanie. W ten sposób wyraził też nadzieję, że wszystko u niej dobrze, a jeżeli było źle, to nie aż tak, żeby nie dało się o tym porozmawiać.

Jej teściowa, pochłonięta gotowaniem, jak zwykle machnęła „lepiącymi się rękoma”, jakby się od niej opędzała, a potem i tak objęła jej ramiona i przytuliła z boku. Teść przyjaźnie i niemal po kumpelsku poklepał ją po ramieniu i zapytał, czy się czegoś napije. Sam przed jedzeniem miał zamiar wypić szklaneczkę czystej whisky, ale w domu było też wino, które zgodnie ze wskazówkami żony kupił w sklepie monopolowym w Norrtälje. Karton białego i karton czerwonego, żeby przez weekend nikomu nie zabrakło. W tym momencie dołączyła do nich Ella, objęła mamę za nogi i dla pewności kilka razy głośno cmoknęła.

Ciekawe, kiedy się uczą tej pamiętliwości, która cechuje nas dorosłych, pomyślała Mattei.

Jedli weekendowy obiad w domu, który był teraz domkiem letniskowym całej rodziny. W tym samym, w którym jej teściowa dorastała ze swoimi rodzicami, mieszkańcami wyspy.

Przejęli go, kiedy ich dzieci były małe.

Jeszcze jeden weekendowy obiad ze złowionymi przez Ellę i dziadka śledziami podanymi w marynacie, pieczoną karkówką ze świni od sąsiada, który nadal mieszkał na wyspie i prowadził małe gospodarstwo kilka kilometrów dalej. Rodzina Erikssonów zawsze kupowała tam pół świni na Boże Narodzenie. Na deser szarlotka z bitą śmietaną i sosem waniliowym. Ella pomagała babci w doprawieniu jej i ubiciu, żeby była wystarczająco słodka i nie za rzadka.

Porządna klasa średnia, kultywująca tradycje, szczególnie w weekendy, kiedy

człowiek ma większe możliwości decydowania o swoim życiu? Raczej nie, pomyślała Lisa Mattei. To był wzorzec, który tkwił głębiej, w ścianach domu i w głowach jego mieszkańców, już od pokoleń. Sama nigdy nie mogłaby żyć w ten sposób.

– Boże, jak wspaniale wreszcie móc przyjechać na wieś – powiedziała i posłała szeroki uśmiech teściowej, zaczerwienionej od pracy w kuchni, i teściowi, który starał się uporać z chwilowym skrępowaniem, nalewając sobie stanowczo zbyt dużo whisky do szklanki.

Już mieli usiąść i zacząć jeść, kiedy na jej komórkę zadzwonił Wiklander. Wyciągnął pomocną dłoń i przynajmniej tymczasowo wybawił ją z rodzinnej sielanki, w której według planu miała uczestniczyć jeszcze przez dwie doby.

– Zaraz będziemy jeść obiad – odparła Mattei. – Ale dam ci dziesięć minut. Albo porozmawiamy wieczorem.

– Wystarczy mi pięć.

– Dobrze – odparła Mattei, uśmiechnęła się przepaszająco do Johana, Elli i teściów i zniknęła za drzwiami dużego pokoju.

– Tajemnica – wyszeptała Ella i syknęła. – Mama będzie miała tajną rozmowę z jakimś panem z pracy. On chyba pracuje w Afryce.

Wiklander nie należał do ludzi wierzących w znaki. Zgadzał się ze swoim dawnym szefem, który zawsze głądził o nienawiści do przypadku, choć był do tego bardziej liberalnie nastawiony niż Lars Martin Johansson. Teraz jednak pomyślał, że nawet człowiek, który widzi, co jest za rogiem, zrobiłby wyjątek potwierdzający regułę. I że nawet przypadek może czasem przynieść osobliwe owoce.

Szpieg i kret Stig Bergling został schwytany w 1979 roku. Nie przez swoich szwedzkich kolegów, lecz przez izraelską organizację wywiadowczą, Mosad. Jak tylko zrzucił z siebie ciężar w piwnicy, w której go przesłuchiwali, nie zastrzelili go, tylko wsadzili w samolot do Kopenhagi. Nawet dostał słowo na drogę. *Mr Bergling, you are free to go.*

W samolocie wypił kilka szklanek whisky i dziękował swojej szczęśliwej

gwieździe, która najwyraźniej nigdy go nie opuszczała. Kiedy wysiadł w Kopenhadze, żeby się przesiąść na samolot do Sztokholmu, czekali już na niego ludzie z Säpo i ich duńscy koledzy. Jeszcze zanim samolot Berglinga oderwał się od ziemi w Tel Awiwie, Mosad przesłał im protokół przesłuchania, w czasie którego do wszystkiego się przyznał.

W tym samym roku – 1979 – został skazany na dożywocie za działalność szpiegowską na szeroką skalę, a osiem lat później wraz z trzecią żoną uciekł na przepustce i trafił do dawnego zleceniodawcy w Moskwie, który dał im pieniądze na pobyt, mieszkanie i nowe tożsamości.

Kilka lat później, kiedy Związek Radziecki zaczął się rozpadać, on i jego żona opuścili Rosję i do roku 1994 przebywali w Libanie, Izraelu i na Węgrzech. Potem jego kiepskie zdrowie dało o sobie znać i po siedmiu latach w ukryciu dobrowolnie wrócili do Szwecji. Bergling natychmiast trafił z powrotem do zakładu karnego i kontynuował odbywanie kary dożywocia. Trzy lata później został warunkowo zwolniony, a jednym z warunków było to, żeby o jego miejscu zamieszkania decydował dawny pracodawca.

– Tak czy inaczej – dodał Wiklander tytułem podsumowania – po kolejnych kilku latach znalazł się w małym mieszkaniu w eskilstuńskiej Fröslundzie. Jeżeli chcecie znać moje zdanie, sądzę, że niektórzy jego dawni koledzy poczuli silną potrzebę, żeby się z nim podrażnić, a człowiekiem, który dopilnował, by do tego doszło, był Lars Martin. Pamiętam, jak powtarzał, że gdyby mógł, upiekłby go na rożnie. Sama wiesz, co potrafił gadać, kiedy był w dobrym humorze.

– Jak on się tam miewał? Chodzi mi o Fröslundę.

Wiklander stwierdził, że zgodnie z oczekiwaniami Johannsona udało mu się zaaklimatyzować i przez kolejne lata wiele razy opowiadał w lokalnej prasie o swojej ciężkiej sytuacji. O życiu na poziomie minimum egzystencji w somalijskim betonowym getcie, w którym wszyscy oprócz niego byli kryminalistami, narkomanami, a do tego „czarnuchami”.

– Nie mogło mu być łatwo – zgodziła się Mattei.

– Twierdził, że odsiadka w Kumli to były wczasy w porównaniu z mieszkaniem

w eskilstuńskiej Fröslundzie.

– Jak długo tam mieszkał?

– Około dwunastu lat. Chyba nawet o rok dłużej, niż odsiadywał wyrok. Pod koniec było już z nim źle, został wysłany do szpitala w Sztokholmie i mniej więcej rok później zmarł. Ale tę część historii już chyba znasz.

– Tak – odparła Mattei.

Mimo to przeżył Larsa Martina, dodała w myślach. I to o kilka lat.

– Zgadza się. Ja sam, jak już powiedziałem, nie wierzę w przeczucia. A ty, Liso?

– Ja też nie. Nie sądzę nawet, żeby to był znak od Boga. Uważam, że odpowiedź jest znacznie prostsza.

– To znaczy?

– Myślę, że to sam Lars Martin odezwał się z zaświatów, żeby nas ostrzec, że mamy u siebie kreta.

– Coś ciekawego? – zapytał Johan z niewinną miną, kiedy wróciła do zastawionego stołu. – Czyli coś takiego, czego nie możesz zdradzić?

– Właściwie tak. Odezwał się mój dawny szef. Chciał mi tylko powiedzieć jedną rzecz. Uważał, że powinnam o tym wiedzieć.

Znów taka jesteś, pomyślała. Z niewiadomych powodów ogarnęła ją radość.

PIERWSZY WIECZÓR na wsi skończył się dla Lisy Mattei znacznie lepiej, niż się zaczął. Tuż przed zaśnięciem Ella pocałowała ją i przytuliła. Potem leżeli wraz z Johanem w łóżku prawie dwie godziny i rozmawiali, aż w końcu poszła w ślady córki, nie wiedząc nawet, jak to się stało. Po prostu zasnęła.

Zdawała sobie sprawę, że zaczęła mówić w sposób, w jaki mówią ludzie, którzy przez większość czasu leżą samotnie i myślą na głos. Wyjaśniła, że coś się wydarzyło u niej w pracy. Coś, o czym w żadnym wypadku nie wolno jej rozmawiać, zwłaszcza z mężem.

– Nie musisz mówić nic więcej – oznajmił Johan. – Säpo dostała informację, że kilku kretynów zamierza wysadzić w powietrze Rosenbad i cały rząd, a moja żona ma dopilnować, żeby im się to nie udało.

– Tak jakby – odparła Lisa. – Nie myślałeś o tym, żeby...

– Nie – przerwał jej Johan. – Gdyby mnie zwolnili z Instytutu Filmowego, wolałbym smażyć hamburgery w Maksie albo pracować jako pielęgniarz. Nie wyobrażam sobie życia jako Alicja w Krainie Czarów. Ale dzięki za ofertę.

– Dasz radę odpowiedzieć mi na jedno bezpośrednie pytanie?

– To się okaże. Jeśli nie dam rady, z pewnością to zauważysz.

– Jak to możliwe, że ze mną wytrzymujesz?

Wyjaśnił, że z jedyne go interesującego powodu. Ponieważ ją kocha.

– Poza tym nie o to chodzi – dodał.

– A o co?

– Chodzi o ciebie. Teraz twój umysł jest zaprzątnięty czymś tak okropnym, że bez względu na to, czy to prawda, nie potrafisz myśleć o niczym innym.

– Wiesz co, Johan? Jesteś taki dobry i taki mądry, że mam ochotę cię zabić.

– Wszyscy mamy wady i niedostatki. Nawet ty, Liso.

– Podaj kilka przykładów.

Johan oznajmił, że jest ich trochę i jeżeli miałyby omawiać je po kolei, zaczęłyby od niezrozumiałego wyboru zawodu. Tego, że kobieta, której umysł i warunki finansowe pozwalały na swobodę w tej kwestii, zdecydowała się zostać policjantką. Zgodnie z tym, co sama powiedziała kilka dni wcześniej, ten wybór ją unieszczęśliwił, a poza tym szkodził jej relacji z nim i z ich córką.

– Może lubię wsadzać ludzi za kratki – oznajmiła Lisa Mattei.

Johan ani przez chwilę nie sądził, że może chodzić właśnie o to. Były inne powody. Wpływ matki już od wczesnych lat. Zainteresowanie sportem, które przejawiała już jako dziecko i nastolatka. To, że lubiła badać różne rzeczy i miała romantyczne wyobrażenie, że to właśnie temu poświęcają się policjanci. A przede wszystkim chyba to, że miała mnóstwo przyjaciółek policjantek, silnych w ten sposób, który tradycyjnie był zarezerwowany dla mężczyzn. Jeżeli czegoś w tym nie lubiła, to właśnie wsadzania ludzi za kratki.

– Jasne – odparła Mattei. – To mnie przekonuje. Pytanie brzmi tylko, co mam z tym począć.

– Możesz zacząć od zastanowienia się nad tym – zaproponował Johan. – Na początek sporządź listę kroków, które możesz podjąć. Potem możesz je odhaczać punkt po punkcie. Tak kompulsywnie, jak to masz w zwyczaju.

– Może coś więcej? Coś bardziej osobistego?

– Dobrze. Potrafisz być bardzo zarozumiała, kiedy coś ci nie pasuje. W ten swój zabawny, kulturalny sposób. Tak jak to potrafią tylko najbardziej nadęte z balonów.

– Niedobrze. Poza tym chyba się rozpiłam. Na przykład w tym tygodniu dwa wieczory z trzech spędziłam na picciu wina i szampana.

– Nie próbuj się wykpić. Jesteś najmniej przekonującą przyszłą alkoholiczką, jaką można sobie wyobrazić.

– No to może masz coś innego? Daj mi coś, w co mogłabym się wgrzyźć.

– Może jesteś trochę zdystansowana. Jak ktoś, kto nie chce gadać o trudnych sprawach. Albo po prostu sama wolisz decydować, o czym będziesz rozmawiała.

– Czyli niezależność.

– Nie – odparł Johan. – Co się stało z tą ćmą, o której gadałaś w poniedziałek?

Tę, która pali sobie skrzydła, kiedy świadomie dokonuje niewłaściwego wyboru?

– No właśnie. Co się z nią stało? To, że masz rację, nie ułatwia sprawy.

– Mnie też nie. Mówienie o tym jest dla mnie równie fajne jak dla ciebie słuchanie.

– W takim razie mam propozycję – oznajmiła.

– Jaką?

– Co ty na to, żebyśmy pomówili o rzeczach, które nam obojgu się nie podobają?

– Na przykład o czym? O tych wszystkich politycznie poprawnych idiotach? O zanieczyszczeniu środowiska? O nasilającym się rasizmie? O gigantycznych niesprawiedliwościach w podziale dóbr na świecie?

– Nie, nie o tym. Kogo obchodzą takie rzeczy? Chodziło mi o dietę Elli. O jedzenie, którym cały czas faszerują ją nasze mamy, przez co zaczyna wyglądać jak mała pyza. Od tego zacznijmy.

– W końcu – odparł Johan. – Wreszcie zaczyna to przypominać normalną rozmowę ludzi takich jak my. Przecież jesteśmy razem już od sześciu lat.

– Od siedmiu – sprostowała Mattei. – Mam propozycję. Ja porozmawiam z twoją mamą, a ty z moją. To chyba bardziej do nich trafi.

– Cudownie. Nie myślałaś o tym, żeby się zająć...

– Nie – przerwała Lisa i pokręciła głową. – Jako stara policjantka mogę działać twardą ręką. Miałabym być terapeutką? Miałabym gadać o związkach? Bach pałką i już leżą. Co jest złego w odrobinie akcji?

– Ja też mam propozycję. Temat do rozmowy. Zaczynam być trochę do niczego. Może byśmy tak płynnie i gładko zakończyli?

– Obgadując ludzi, których znamy?

– Tak, wszystkich bliskich. Rodzinę, dobrych przyjaciół, a z braku laku nawet zwykłych znajomych.

– Kocham cię, Johan – wyznała Mattei. – Jesteś taki dobry, a przy tym potrafisz być ludzki.

– Poza tym mam coś fenomenalnego na poprawę humoru. Rozmawiałem z mamą i powiedziała, że moja kochana siostra, jej bankier i dwa bankierzátka jutro tu

zawitają.

– To prawda?

– Najprawdziwsza – odparł Johan.

Pięć minut później Lisa zasnęła, w samym środku elokwentnego i nieskładnego wykładu o tym, dlaczego tak bardzo nie lubi swojej szwagierki, że aż nieustannie za nią tęskni.



DNI NA WSI nie były zwyczajnymi dniami. Na przykład pewien sobotni poranek w połowie maja, kiedy można było zacząć od śniadania w kuchni z mężem, który zdążył już wszystko przygotować, i z dzieckiem, które nie jęczy i nie marudzi, tylko jest podekscytowane czekającym je dniem. Żadnych narzuconych rodzinnych zobowiązań, które mogłyby zepsuć początek dnia, bo teściowa ma pełne ręce roboty w ogrodzie, a teść właśnie opróżnia sieci, które nadają sens coraz większemu kawałkowi jego życia.

Są najedzeni i szczęśliwi, pogoda ma w sobie przynajmniej obietnicę nadchodzącego lata, całą trójką idą na spacer po lesie, podczas którego ona i mąż mogą porozmawiać o tym, co się dzieje teraz albo będzie się działo później tego dnia, i nie muszą myśleć o niczym szczególnym. Córeczka biega koło nich i wymachuje pożyczonym od babci plecionym koszykiem. Chce wrzucać do niego kupy łośi, którymi babcia później będzie karmiła swoje krzaczki, żeby mama, tata i cała rodzina mogli jeść dzem i pić sok przez całe lato i jesień, aż do Bożego Narodzenia.

- Życie na wsi – powiedział Johan.
- *Say no more* – odparła Lisa.
- Mamo, dlaczego maliny jedzą kupy łośi?
- Bo pewnie im smakują.
- A kupy ludzi nie. One śmierdzą bąkami.
- Tak, fuj – zgodziła się Mattei.

Nigdy nie rozmawiaj o kupach z pięciolatką, pomyślała.

Kiedy Lisa, Johan i Ella wrócili do domu, okazało się, że rodzina Erikssonów powiększyła się o czterech członków. O dwa lata młodszą siostrę Johana, Madeleine, jej o dziesięć lat starszego męża Nilsa i dwójkę ich dzieci – bliźniaków Markusa

i Jacoba, czterolatków, którzy już mieli nadwagę.

Mattei nie lubiła szwagierki i szwagra. Radziła sobie z tym, zachowując się w stosunku do nich wyjątkowo miło. Tym razem szeroko się uśmiechnęła i ucałowała w oba policzki najpierw szwagierkę, potem szwagra, a następnie spełniła ciotczany obowiązek, kucając i głaszcząc chłopców.

– Jak miło was widzieć – podsumowała i posłała wszystkim wielki uśmiech.

– Ciebie też, Liso – zaszczębiotała szwagierka i też się uśmiechnęła.

Miała białe zęby i czujne oczy.

Goście zgromadzili się przy szopie na narzędzia za domem i patrzyli na gospodarza – obecnie emerytowanego inżyniera Gunnara Erikssona – który czyścił ryby pochodzące ze świeżego połowu. Był wyraźnie zadowolony, bo do jednej z sieci złapała mu się blisko pięciokilogramowa troć. Pierwsza w tym roku. Zdaniem samego rybaka trudno było sobie wyobrazić lepszy lunch. Jego żona stała już w kuchni i kręciła domowy majonez, który był absolutnie niezbędnym dodatkiem do jego pieczonej ryby.

– Niezbyt często łowi się tu łososa – stwierdził jego zięć, Nils. – A przynajmniej ja sobie nie przypominam...

– To troć atlantycka. *Salmo trutta trutta* – poprawił go Johan. – Trafia się mniej więcej raz w miesiącu. Z kolei łosoś, *Salmo salar*, jest faktycznie rzadki. Najwyżej dwie, trzy sztuki rocznie.

– No właśnie, przecież mówię.

– Nie przejmuj się nim, Nils. – Lisa Mattei poklepała szwagra po ramieniu. – Johan to nie jest zwykły besserwisser. To najgorszy rodzaj, jeden z tych, którzy zawsze mają rację.

– Tak, ale to nie sztuka, jeśli samemu można wybrać temat – zgodził się Nils i jak najdyskretniej odsunął się trochę od szwagierki, bo nie lubił być dotykany.

Potem było już jak zazwyczaj, kiedy dziewięcioro członków rodziny Erikssonów spotykało się na wspólny weekend na wsi. Najpierw Ella zabrała małych kuzynów, żeby im pokazać, jak się karmi maliny kupami łosi. Jednocześnie skorzystali z okazji i podjedli trochę słodyczy. W bezpiecznej odległości od rodziców.

Kiedy nadszedł czas na jedzenie, Markus i Jacob nie chcieli nawet spróbować ryby dziadka. Mówili, że ryba jest paskudna. Za to hamburgery babci były pyszne. Zwłaszcza z frytkami. Tata Nils zagroził im aresztem domowym i konfiskatą sobotnich słodczy, a potem babcia, emerytowana przedszkolanka, zaproponowała kompromis i postawiła na stole resztkę karkówki z poprzedniego dnia. Lisa Mattei skorzystała z okazji, żeby podziękować za piwo, wino i wódkę do obiadu – następnego dnia musiała wcześniej wstać i pojechać do pracy.

Kiedy Ella wcinała przepyszną dziadkową troć, aż jej się uszy trzęsły, a Markus i Jacob dziobali karkówkę, ich rodzice rozmawiali o rzeczach, o których się zwykle mówi przed przystąpieniem do zasadniczej kwestii, w której prawie zawsze jest czyjś ukryty interes.

Ponieważ szwagier Mattei wciąż jeszcze nie mógł przeżyć wymiany zdań na temat troci, jak tylko teść skończył przepowiadać pogodę na nadchodzące lato, niespodziewanie zmienił temat na kulturalno-polityczny i zaczął wieszczyc rychłą śmierć branży filmowej. Powodem według niego była po prostu nowoczesna technika. Stwierdził, że w niedalekiej przyszłości ludzie będą odwiedzali tylko jedno kino – ostatnie, pokazywane w muzeum jako pamiątka z czasów minionych.

Johan nie chciał nawet powąchać przynęty. Całkowicie się zgadzał ze szwagrem i nie mógł sobie wyobrazić bardziej ekscytującego wyzwania niż gruntowna zmiana branży filmowej, możliwa dzięki nowoczesnej technice.

– Aj tam wyzwanie – obstawał przy swoim szwagier. Najwyraźniej nie chciał odpuścić, choć sprawa była już przegrana. – Ty i pozostali goście od kultury powinniście się nastawić, że ta zmiana będzie dla was cholernie ciężka.

– W takim razie po prostu znajdę sobie coś innego – oznajmił Johan i beztrósco wzruszył ramionami. – Na przykład zostanę panem od liczenia pieniędzy.

– A może znowu zostałbyś ochroniarzem? – spytała jego siostra. – Przecież tak się poznaliście, ty i Lisa? Kiedy siedziałeś w tej budce na komisariacie na Kungsholmen.

Najwyższy czas utrzyć nosa bankierowi i mojej szwagiereczce, pomyślała Mattei.

– A co powiesz na branżę medyczną, Nils? – zapytała z niewinnym uśmiechem.

– Zasiadam teraz w zarządzie naszej rodzinnej fundacji. Pytam ze względu na te wszystkie akcje Pfizera, którymi zarządzamy. Sądziś, że tam też byłoby źle?

Szwagier połąkł przynętę i haczyk. Stwierdził, że jego zdaniem jest kompletnie odwrotnie. Że jest to jedno z najbardziej opłacalnych miejsc pracy na świecie, jeśli spojrzeć na to z perspektywy długofalowej. Ich portfolio badawcze obejmuje wszystkie możliwe przyszłe potrzeby wykrywanej klasy średniej, która staje się coraz liczniejsza, coraz starsza i coraz bardziej podupada na zdrowiu. Branża jest odporna na wahania koniunktury, a sama spółka to oczywisty wybór, niezależnie od tego, z którym konkurentem się ją porówna.

– No i nie zapominajmy o ponadczteroprocentowej stopie dywidendy – zakończył Nils, odchylił się na krześle i podkreślił swoje słowa skinieniem głowy.

– Cztery procent – powiedziała Mattei. – Chyba dałoby się znaleźć coś, co daje więcej pieniędzy?

– Nie w dłuższej perspektywie – wyjaśnił Nils. – I nie tak pewne dla inwestora. Choć są też komplikacje prawne, jeśli wziąć pod uwagę przepisy, do których musi się stosować fundacja. Miałem okazję porozmawiać o tym z twoim kochanym tatą, Clausem, na fantastycznej rodzinnej imprezie w Baden-Baden, na którą zaprosił nas w zeszłym roku z okazji siedemdziesiątych urodzin.

– Chodzi ci o te opcje wystawione na niego przez Pfizera, które wpakował w fundację i których najwyraźniej nie można tak po prostu sprzedać?

Muszę pogadać z tatuśkiem, pomyślała Mattei. Co on sobie myśli? Rozmawiać na takie tematy z moim durnym szwagrem? O ile rzeczywiście rozmawiał. Nils mógł to po prostu zmyślić, żeby dodać sobie ważności.

– Poza tym nie sądzę, żeby firmie spodobało się coś takiego ze strony dawnego szefa badań.

– To prawda – zgodziła się Mattei. – Myślałam raczej o tym, czy nie moglibyśmy zrobić czegoś zabawniejszego z tym zyskiem. To w końcu osiemdziesiąt milionów rocznie.

– Osiemdziesiąt milionów – powtórzył Nils. – No tak, to sporo pieniędzy.

Jak dziwnie nagle brzmisz, pomyślała Lisa Mattei. Potem pomnożyła ostatni

roczny zysk rodziny Mattei przez dziesięć. Najwyższy czas zadać ostateczny cios.

– Osiemdziesiąt milionów euro. Nie wiem, jaki jest teraz kurs euro, ale zwykle to osiem, dziewięć koron. Musi chodzić o euro. To niemiecka fundacja.

– Dziewięć sześćdziesiąt – powiedział Nils, a ta radosna wiadomość zabrzmiała w jego ustach jak komunikat przedsiębiorcy pogrzebowego, który próbuje pocieszyć krewnego w żałobie.

– No tak, trochę tego jest – potwierdziła Mattei. – I w zasadzie nigdy nie przydzielamy tych pieniędzy sobie.

– To musi być bardzo praktyczne mieć nieograniczone zasoby finansowe – oznajmiła jej szwagierka.

Wydajesz się równie szczęśliwa jak twój mąż, pomyślała Mattei. Ciekawe, kiedy będziecie przepraszać na kolanach.

– No tak, jasne – zgodziła się i jeszcze raz wzruszyła ramionami. – Można zaoszczędzić dużo czasu, kiedy człowiek nie myśli ciągle o pieniądzach.

Przez resztę posiłku rozmawiano o innych sprawach i ani słowem nie wspomniano o finansach. Nabrali jedzenia w usta, a kiedy teść Mattei zapytał, czy ktoś ma ochotę na koniak do kawy albo może małą szklaneczkę likieru, bo to też da się załatwić, wszyscy pokręcili głowami.

Dzieci odeszły już od stołu. Ella zgarnęła młodszych kuzynów i poszli do sypialni babci i dziadka, w której mogli spokojnie pałaszować sobotnie łakocie. Ella czytała im bajki z książki, którą dostała od dziadka Ferdinanda. Dziadek miał tak samo na imię jak sympatyczny byczek, którego przygody wraz ze wszystkimi innymi dziećmi oglądała w telewizji w Wigilię.

Jej szwagier Nils podziękował teściowej za smaczne jedzenie i zrezygnował z kawy. Jak stwierdził, już w samochodzie postanowili z żoną, że przejdą się na długi spacer, skoro wyjątkowo mieli czas przyjechać na wieś, a Markus i Jacob mieli opiekę.

– Ja poczytam książkę – oznajmiła Mattei. – Johan i ja nachodziliśmy się po lesie przed południem, więc spasujemy.

Tematu do rozmowy na pewno wam nie zabraknie, dodała w myślach.

– A ty, Johan? Pomożesz Gunnarowi oczyścić sieci? – zapytał Nils.

– Nie – odparł Johan z przyjaznym uśmiechem i położył szwagrowi dłonie na ramionach. – Poczytam ogłoszenia o pracy w „Dagens Nyheter”. Tak na wszelki wypadek.

Kiedy Ella zasnęła, a Lisa i Johan leżeli w łóżku, zabrali się za podsumowanie kolejnego rodzinnego dnia na łonie wsi. Rozmawiali szeptem, bo w domu wszystko było słychać, a Madeleine i Nils spali niedaleko. Rozweselony Johan zaczął mówić o cesze, której najwyraźniej zapomniał wymienić poprzedniego wieczoru. Jego żona była nie tylko zarozumiała, rozpuszczona i nadęta. Była też bezwzględna.

– Nie podobało mi się to, co mówiła. O tobie i o mnie – wyjaśniła Lisa. – Nic jej do tego.

– Dlatego dodałaś dodatkowe zero do przychodów fundacji, przez co moja siostrzyczka i jej bankier prawie się zesrali.

– Tak – przyznała Lisa. – Jestem złym człowiekiem.

– Jednocześnie zapomniałaś ich poinformować, że w zasadzie jedynymi ludźmi na Ziemi, którzy nie mogą wyciągnąć żadnych pieniędzy z fundacji rodziny Mattei, są członkowie tej rodziny.

– Tak. Jestem złym człowiekiem, no trudno.

– Nie – zaprotestował Johan. – Jesteś dobrym człowiekiem, który nie pozwala sobą pomiatać. Moja siostra to bardziej skomplikowany typ. Rozpieszczona mała księżniczka z rodziny o ambicjach społecznych, których ani ona, ani Pan Bankier nie potrafili spełnić. Mimo ukończenia Wyższej Szkoły Handlowej, tego, że Nils pracuje w banku i w ogóle. Kim za to się stali? Zazdrośnikami. Wystarczy na nią spojrzeć. To ją zżera od środka.

– Tak. Nawet ja widzę, że nie czuje się najlepiej.

– No i do tego jesteśmy my. Braciszek, który pracuje jako policyjny ochroniarz i studiuje mnóstwo dziwnych rzeczy na uniwersytecie. Którego stopa nigdy nie postąpiła w Szkole Handlowej. Z moimi ocenami nie mogłem nawet się przespacerować koło tego budynku przy Sveavägen.

– No tak – odparła Mattei. – Nic dziwnego, skoro cały czas biegalesz do kina.

– Kiedy jej powiedziałem, że poznałem policjantkę, Madde się chyba ucieszyła. Policjantka to przecież cholerny łut szczęścia dla kogoś, kto całymi dniami pompuje żelastwo na siłowni i myśli, że będzie się mógł utrzymać z wiedzy o Flipie i Flapie. Kiedy zrozumiała, że nie trafiłem na szeregową policjantkę, zaczęła mieć z tym kłopot, a informacja o tym, kim jest twój ojciec, musiała być dla niej istną katastrofą. Ciekawe, ile setek razy wyszukiwała go w Google’u. W największej tajemnicy.

– Moja kochana szwagierka stalkerka.

– Tak. A jeśli wziąć pod uwagę, że ma w dupie w zasadzie każdego, kto nie jest taki jak mój teść, to chyba nie jest dobry znak. Czy urodziła się zła? Nie sądzę. Po prostu wszystko się pochrzańiło. Siostrzyczka nadal jest ładną dziewczyną. Ma trzydzieści trzy lata. To żaden wiek. Jej mężem jest o dziesięć lat starszy bankier, który zarabia mniej więcej tyle co ja. Jak myślisz, co będzie z Nilsem, jak tylko ktoś lepszy wpadnie jej w oko? Co się stanie, kiedy spotka kogoś takiego jak twój tata? Padnie przed nim plackiem, sprzeda dwóch grubasków temu, kto da więcej, albo w najgorszym razie odda ich gratis, a Nilsowi nawet pozwoli zachować stary szeregowiec w Vällingby. Jeśli tylko obieca, że nigdy więcej nie da znaku życia.

– Ale ona naprawdę nie jest taka zła. Nie składa mi się to w jedną całość.

– Dziwnie brzmi, kiedy to mówisz. Na początku owszem. Ale potem nie było już tak dobrze.

– Może zmienimy temat?

– Rozmawiamy o mojej młodszej siostrze, więc nie ma sprawy.

– Proponuję, żebyśmy przestali szeptać i zajęli się zwykłym głośnym seksem.

– A może poczekałibyśmy z tym do jutra? I spróbowali z tym nieco dystyngowanym wariantem, który mnie kręci?

– A może jutro zaraz po śniadaniu pojechalibyśmy do miasta?

– Właśnie miałem to zaproponować. Będę mógł cię podrzucić do pracy, a sam zajmę się obiadem i tak dalej.

– Nie – zaprotestowała Mattei. – W zasadzie to po co mam jechać do pracy w niedzielę? Może zjedlibyśmy lunch w restauracji Ulla Windbladh, a potem poszli do Skansenu? Obiecałam Elli, że popatrzymy na niedźwiadki.

– Cudownie – stwierdził Johan.

– No to tak zrobimy.

Niepostrzeżenie spróbuję trochę poobserwować teren, skoro już tam będę, pomyślała.



ZJEDLI ŚNIADANIE, jak tylko Ella się obudziła i ubrała. Po płatkach, kwaśnym mleku i połowie szklanki soku jabłkowego była trochę naburmuszona i nieobecna myślami, ale mimo to gotowa do podróży. Teściowa jest już w ogrodzie, a teść pewnie jak zwykle wyciąga sieć albo rozkłada nową, pomyślała Mattei. Kuzyni Elli nadal spali. Ich rodzice pewnie też, skoro nikt nie zszedł na śniadanie. Albo po prostu udają, że śpią, żeby nie zaczynać dnia od spotkania ze mną.

W samochodzie w drodze do Sztokholmu Ella wyjęła książkę z bajkami, którą dostała od miłego dziadka Ferdinanda, i zaczęła czytać tę o misiach. W połowie drogi zasnęła nagle, w środku zdania, kiedy przemądrzałym tonem upominała słuchaczy, że należy być bardzo, bardzo... bardzo... dobrym dla wszystkich zwierząt.

– Dziwne – powiedział Johan. – W samochodzie zawsze zasypia, nawet jeśli jest tylko trochę zmęczona. A przecież ma pięć lat.

– Miejmy nadzieję, że to się jej utrzyma do wieku nastoletniego. Jak tylko zacznie się wściekać, że nie pozwalamy jej biegać po nocach, wsadzimy ją w fotelik i zawieziemy do Djurgården. Potem pojedziemy do domu i ułożymy ją do snu.

– To ta niemiecka książka dla dzieci. – Johan najwyraźniej myślami był gdzie indziej. – Ta, którą dostała od Ferdinanda na gwiazdkę. W środku nie ma tekstu i chodzi o to, żeby czytać bajki tym dzieciom z obrazków, chociaż przecież jest się za małym, żeby czytać. Nie bardzo rozumiem zamysł.

– Zaraz ci wytłumaczę – powiedziała Mattei.

Autorką książki była znana psycholog, która prowadziła poradnikowy program w telewizji i pisała „powieści dla kobiet”, a teraz stworzyła „edukacyjne bajki dla dzieci, które jeszcze nie nauczyły się czytać”.

Według niemieckiego tekstu z tyłu okładki przyświecały jej dwie idee. Po pierwsze, chodziło o odwrócenie klasycznego konceptu czytania bajek dzieciom,

zamianę czytelnika w opowiadacza, zaakceptowanie naturalnej, wrodzonej ciekawości dziecka, a w najlepszym razie wychowanie człowieka, który już od najmłodszych lat uczył się nieszablonowego myślenia. Po drugie, książka miała ułatwić małym dzieciom naukę czytania. Ubierając obrazki we własne słowa, dziecko miało zrozumieć powiązanie między opisem a tym, czego on dotyczy, co w rezultacie ułatwiała również lekturę tradycyjnych tekstów.

– Aha – odparł Johan. – To dlatego tu nie ma żadnych liter.

– Coś w tym rodzaju. Rzecz w tym, żeby zwykły pasywny konsument, jak na przykład Ella, zaczął opowiadać tym dzieciom z obrazka, co się dzieje i jak powinny sobie z tym poradzić.

– Teraz już rozumiem – stwierdził Johan. – To dlatego nasza zazwyczaj urocza córka mówi tak, jakby pouczała te bajkowe dzieci, którym czyta.

– Zgadza się, wiele z tych ilustracji ukazuje sytuacje trudne moralnie, ale wystarczy przewrócić kartkę, żeby zobaczyć idealne rozwiązanie na kolejnym obrazku.

– Prosta i elementarna niemiecka pedagogika – skwitował Johan i pokiwał głową.  
– Żeby na coś takiego wpaść, trzeba samemu być Niemcem.

– To prawda. Ja jako pół-Niemka od razu to rozumiałam. Choć uważam, że wcześniejsze wydania miały nieco jaśniejszy przekaz. Kiedy byłam w wieku Elli, dostałam ten niemiecki klasyk od kochanej babci Aurore. Książkę o Stasiu Straszydłe, który w oryginale nazywa się *Der Struwwelpeter*. Pierwsze wydanie ukazało się w połowie dziewiętnastego wieku.

– O czym to jest? Stare książki dla dzieci to nie do końca mój konik.

– A jak ci to brzmi?

– Nijak. To nie jest nic o seksie, prawda?

– Zapewniam cię, że nie. Teraz trochę mnie zaniepokoiłeś. To jest niemiecka książka. Opowiada o tym, jak ważna jest higiena osobista. Mycie się, obcinanie paznokci i tak dalej. Gdybyś na przykład, tak jak Staś w książce, nie obcinał paznokci, przyszliby dorośli i obciął ci palce. Dobitniej już nie można. Sam przeczytaj. Książka stoi na półce w moim gabinecie. Ma też dobre ilustracje. Nawet

filmoznawca dobrze zrozumie przekaz.

– Nie mogę się doczekać. Nie ma palców, nie ma paznokci. O to właśnie chodzi.

Resztę dnia Lisa, Johan i Ella spędzili w swoim małym rodzinnym gronie, nawet nie myśląc, jak się w nim znaleźli. Najpierw poszli spacerem do Djurgården, po drodze zatrzymując się przy brzegu na moście po stronie Strandvägen, żeby Ella mogła nakarmić kaczki. Potem zjedli lunch w restauracji Ulla Winblad, a następnie poszli do Skansenu popatrzeć na małe niedźwiadki, które właśnie się obudziły.

Ella była w doskonałym humorze, mówiła bez przerwy i skakała pod nogami rodziców. Ani trochę nie przypominała Stasia Straszydła, który stracił palce, bo zaniedbywał obcinanie paznokci.

Po drodze do domu minęli scenę restauracji Solliden. Teraz była pusta, w pobliżu nie było nikogo, można powiedzieć, że panowały cisza i spokój. Nic, nawet najdrobniejszej oznaki tego, co miało się tu wydarzyć za niecałe dwadzieścia dni, pomyślała Mattei.

### III

Poniedziałek 18 maja – poniedziałek 25 maja

## **Polowanie na Bombera i jego kobietę**

### **Faza wstępna**

RANKIEM W PONIEDZIAŁEK osiemnastego maja Lisa Mattei miała się spotkać z ekipą śledczą. Już godzinę przed spotkaniem siedziała za biurkiem w swoim gabinecie. Musiała się zastanowić nad kilkoma sprawami, używając do tego kartki i długopisu.

Zgodnie z informacjami brytyjskiego wywiadu Abbdo Khalid planował przeprowadzić zamach samobójczy w sztokholmskim Skansenie podczas obchodów Święta Narodowego.

Nieważne, skąd o tym wiem, pomyślała Mattei i zapisała punkt pierwszy po lewej stronie na samej górze kartki.

Jeśli nie liczyć informacji od angielskiego kolegi, rezultaty ich własnego dochodzenia były, delikatnie mówiąc, skromne. Konkretnie rzecz ujmując, mieli trzy rzeczy. Pięć dni wcześniej, rankiem w środę trzynastego maja, przez nikogo nieobserwowany Abbdo Khalid na trzy godziny pojechał samochodem do miejsca oddalonego o kilkadziesiąt kilometrów od jego domu w Eskilstunie. Lisa i jej koledzy nie mieli pojęcia, co tam robił.

Informację o tej wycieczce otrzymali od Anglików. Opierała się na drugim spośród dwóch esemesów od nieznanego nadawcy, który Abbdo Khalid otrzymał tuż po siódmej rano trzynastego maja. Pierwsza wiadomość przysłała w środku dnia w poniedziałek jedenastego maja i odpowiedział na nią już po kilku minutach. W obu przypadkach rzekomo chodziło o ostrzeżenie, że Säpo zaczęła go śledzić.

Nieważne, skąd o tym wiem, dodała w myślach Mattei. Wiem, bo tak powiedzieli Anglicy.

Pewność miała jedynie co do tego, że dwie wiadomości i dwa potwierdzenia rzeczywiście zostały wysłane o tych porach i z tych miejsc, które podali. I że ich treść była właśnie taka. Potwierdziły to ich własne kontrole ruchu komórkowego. Poza tym nie wiedziała właściwie nic. Nie wiedziała, kto je wysłał, czego właściwie

dotyczyły i czy odpowiedział na nie Abbdo Khalid. Nie mogła nawet wykluczyć, że to Alexander próbuje ją oszukać. Z jakichś sobie tylko znanych powodów, dodała w myślach.

Była jeszcze wiadomość, którą Khalid przesłał swojemu wykładowcy z uniwersytetu w Manchesterze, i pytanie, dlaczego nie mógł wrócić na uczelnię wraz z rozpoczęciem semestru. Czy miał chorego ojca, który wymagał jego synowskiej troski, czy też jakieś ważniejsze sprawy. A może po prostu chciał mieć trochę więcej wolnego z rodziną i wybrał proste rozwiązanie, znajdując pretekst w chorobie ojca.

Jedyną jasną stroną tej informacji było to, że dotarli do niej jej współpracownicy. Poza tym nie mieli nic pewnego i konkretnego, czego mogłaby się chwycić. Najmniejszych oznak niepokoju u Khalida i ludzi z jego otoczenia. Żadnego stresu i zmiany zwyczajów u niego, jego rodziny i w kontaktach z ludźmi za pomocą telefonu komórkowego czy komputera.

Nic, pomyślała Mattei. Zadzwoiła do Wiklandera i poprosiła, żeby natychmiast zajrzał do jej gabinetu.

Dwie minuty później siedzieli naprzeciwko siebie przy jej biurku.

– Właśnie myślałam o naszej sprawie – oznajmiła Mattei. – Co ty na to, żeby oczyścić ją z elementów, które nie mają z nią nic wspólnego?

– Masz na myśli ten wypadek z Berglingiem, który nasz dawny szef postanowił przekazać do Fröslundy. Nie sądzę, żeby Johannson nie mógł przez to spać spokojnie.

– Ja też. Bergling naprawdę był okropnym człowiekiem. To, co mówiłam przez telefon w piątek wieczorem, było raczej próbą obrócenie tego w żart. A więc żegnaj, Berglingu.

– Zgadza się – odparł Wiklander z naciskiem.

Pozostawało całe sedno sprawy. Czy Abbdo Khalid był tym, za kogo go uważali Alexander i jego koledzy, czy też całkiem niewinnym, a przynajmniej zupełnie zwyczajnym człowiekiem, który po prostu za dużo mówił i zadawał się z niewłaściwymi ludźmi, ale nie był terrorystą?

Do Święta Narodowego zostało dziewiętnaście dni i przez ten czas musieli ustalić, jak jest naprawdę. Czy Abbdo Khalid to pies, czy wydra? Gołąb czy krogulec? Może rekin, który rozrywa ofiarę na strzępy, a może tylko powolny, gnuśny karp, który spokojnie żywi się roślinami z dna swojego stawu?

– Bądźmy dobrej myśli – powiedział Wiklander. – Miejmy nadzieję, że podczas naszego śledztwa trafimy na coś, czego będziemy mogli się chwycić.

– Przyjmijmy, że tak nie będzie. Że wszystko po prostu spokojnie się potoczy. Że nie znajdziemy najmniejszej oznaki tego, o czym mówił Alexander.

– W takim wypadku pewnie też będziemy musieli wkroczyć. Ze względu na ryzyko.

– My przeciwko siedemnastu osobom z jednej rodziny – odparła Mattei. – Od osiemdziesięciodwuletniej babci po czwórkę dzieci młodszych od mojej Elli. Nie śpieszy mi się do tej decyzji.

– Mnie też nie. Marnym pocieszeniem jest to, że będzie ją musiała podjąć Lisa Lamm.

– Nie zazdroszczę jej. Poza tym mam pewien problem praktyczny.

– Chodzi ci o obietnicę złożoną Alexandrowi, że nie zrobimy nic, zanim tego nie zatwierdzi.

– Otóż to. Bo musi się uporać z czymś innym, zanim będziemy mogli działać.

– Jeżeli się nie odezwie na czas albo jeśli przed Świętem Narodowym wydarzy się coś niepokojącego, po prostu złamiemy tę obietnicę. Szwecja jest suwerennym krajem, w tym budynku musimy działać na rzecz jej interesów i przestrzegać szwedzkiego prawa. Nie mam z tym żadnego problemu.

– Ja też nie – oznajmiła Mattei.

– Doskonale, no to przynajmniej mamy plan działania – podsumował Wiklander.

– Czy coś jeszcze musimy omówić, zanim spotkamy naszych kochanych kolegów?

Mattei odparła, że są jeszcze dwie rzeczy. Po pierwsze, chciała wiedzieć więcej o tajemniczej kobiecie Bombera, Louise Urqhart. Czy rzeczywiście była tym, za kogo ją uważano, czy po prostu piękną i bogatą kobietą w średnim wieku, która zaczęła kręcić ze szwedzkim studentem somalijskiego pochodzenia, młodszym od

niej o piętnaście lat.

– Wysłałam to pytanie do Callego Lewenhaupta. Ale naprawdę nie ma pośpiechu. To tylko kilka ogólnych refleksji. Chciałabym zrozumieć, co w tej kobiecie nie daje mi spokoju.

– A ostatni punkt? – zapytał Wiklander i zaczął się podnosić z krzesła.

– Sprawa Berglinga. To, że go wypuściłam, nie żyje, a ja nie wierzę w znaki, nie znaczy, że nie mamy u siebie kreta.

– Zamierzasz więc zacząć działać.

– Tak – odparła Mattei. – Można tak powiedzieć. Przynajmniej nie będziesz tracił czasu na zastanawianie się, czy to, co powiedziałam, nie jest tylko nieudolną próbą obrócenia wszystkiego w żart.



ŻADNYCH NOWYCH TWARZY. Taki sam porządek spotkania. Wyraźnie rześka i świeża Lisa Lamm powitała wszystkich i od razu oddała głos Lisie Mattei.

– Okej – zaczęła Mattei. – Pomyślałam, że Linda może zacząć i opowiedzieć o postępach w Eskilstunie, a potem Calle opíše nam bardziej szczegółowo Khalida i jego rodzinę.

Martinez stwierdziła, że w Eskilstunie idzie dobrze. Od poprzedniego wieczoru cała ekipa była już na miejscu i wszyscy mieli przydzielone obowiązki. Pozostało kilka problemów technicznych.

– Możesz to rozwinąć? – odezwał się Dan Andersson.

– Kiedy są na miejscu, bardzo dużo czasu spędzają w domu, zwłaszcza kobiety – odparła Martinez. – Zaciągają zasłony i trudno zobaczyć, co robią. Nie opalają się całymi dniami na trawie. Mówiąc wprost, musimy się zbliżyć do tego domu.

– Jak idzie przechwytywanie dźwięku?

– Kiepsko. To jeszcze gorsze od tych zaciągniętych zasłon. Słyszymy głównie inne dźwięki. Zmywarka, pralka, radioodbiorniki, włączone telewizory, dzieci, które biegają i krzyczą. Wygląda na to, że oni bardzo często się modlą. Ale chyba nie próbują zagłuszać specjalnie.

– Jak chcesz to rozwiązać?

– Helena i ja główimy się nad tą kwestią. A wraz z nami wszystkie jej chłopaki z wojska.

– Najgorsza jest odległość. Musimy się znaleźć bliżej ich domu – stwierdziła Palmgren. – Zastanawialiśmy się nad innymi rozwiązaniami technicznymi, wzbogaceniem naszego zestawu kamer, lornetek i zwykłych mikrofonów. Mówię o kamerach na podczerwień, detektorach ruchu, różnego rodzaju wzmacniaczach dźwięku i urządzeniach podsłuchowych umieszczonych w pobliżu domu. Najlepiej byłoby oczywiście zainstalować mikrofony w pokojach.

– Nie wydaje się to proste – stwierdził Wiklander.

– Musimy robić, co w naszej mocy – odparła Palmgren. – Na pewno coś wymyślimy.

– W tej rodzinie jest pięć samochodów – oznajmiła Martinez. – Kiedy parkują je na noc, wszystkie stoją w środku. Trzy w garażu w piwnicy i dwa w garażu połączonym ze składzikiem, który stoi przy domu. Na żadnym z samochodów nie ma nadajnika. W zasadzie mogliśmy je umieścić, kiedy załatwiali sprawy w mieście, ale na razie się wstrzymaliśmy. Gdyby któreś z nich znalazło coś takiego pod samochodem, bylibyśmy ugotowani.

– Nasi technicy pracują nad tym pełną parą – wyjaśniła Helena Palmgren. – Próbują znaleźć urządzenie, które można włączać, kiedy jest niezbędne, i wyłączać, kiedy nie jest. Żeby nie dało się go tak łatwo namierzyć.

– Abbdó Khalid jest nie tylko elektrykiem, ale także mamuszką. Mamuszką, która wciąż ma oko na całą tę wielką rodzinę – powiedziała Martinez z krzywym uśmiechem. – Calle dorwał jego CV i nie jest to przyjemna lektura. Między innymi przez ponad rok pracował jako technik w największych szwedzkich firmach podłączających alarmy i nie były to zwykłe zabezpieczenia mieszkań. Zajmował się zaawansowanymi technologicznie systemami bezpieczeństwa dla firm i organizacji. Alarmami, które się włączają pod wpływem ruchu, zapachów, zmiany oświetlenia, dźwięków albo wibracji, wyposażonymi w ukryte albo widoczne kamery, ze wszystkimi możliwymi rodzajami elektronicznych zamków, po prostu ze wszystkim, co się da.

– Czyli nie siedział w domach i nie przykręcał różnych rzeczy do ścian? – zapytała Mattei.

To by niejedno wyjaśniało, dodała w myślach.

– Nie. – Calle Lewenhaupt pokręcił głową. – Spokojna głowa, szefowo. To sprawdziliśmy na samym początku.

– Macie jeszcze coś ciekawego?

– Niestety tak – odparł Lewenhaupt. – Wprawdzie dopiero zaczęliśmy się temu przyglądać, lecz już znaleźliśmy kilka instytucji finansowych, banków i firm

informatycznych. To byli jego główni klienci.

– Ale nic się nie wyróżnia na tym tle. A teraz Abbdo chce zrobić nam krzywdę.

– Na razie znaleźliśmy trzy firmy, w których pracował, tyle że każda z tych posad to sprawa sprzed trzech, czterech lat. W firmie instalującej alarmy przestał pracować trzy lata temu.

– Jakich konkretnie miał klientów?

– Lotnisko Skavsta pod Nyköping. Kontrole wjazdu i wyjazdu, głównie w tej części lotniska, gdzie przyjmowane są dostawy i firmy serwisowe pracujące dla nich na zlecenie. Główna siedziba Urzędu Migracyjnego w Norrköping. Tam również chodzi o kontrole wjazdu i wyjazdu. Dotyczy to ludzi, pojazdów i towarów. No i jeszcze trzecie miejsce pracy. Które, niestety, nie daje mi spać w nocy.

– To znaczy? – zapytała Ingrid Dahl, która do tej pory się nie odzywała.

– Muzeum Narodowe – odparł Lewenhaupt i ciężko westchnął.

– Nie miałam pojęcia, że tak cię interesuje sztuka, Calle – stwierdziła.

– Naprawdę mnie interesuje – odpowiedział. – W zbiorach Muzeum Narodowego znajdują się *Koronacja Gustawa III Pilo*, *Powrót do domu poległego króla Karola XII Cederströma* i wspaniały obraz Carla Larssona przedstawiający wjazd Gustawa Wazy do Sztokholmu. Chybabym tego nie przeżył, gdyby ktoś wysadził Muzeum Narodowe w powietrze.

– Może byśmy zmienili temat – przerwała Martinez. – Daj nam po prostu listę tych wszystkich gówien, którymi się zajmował. Mamy mnóstwo roboty.

– Tak zróbmy – zgodziła się Mattei. – Prosimy o listę firm, dla których pracował, i ich siedzib. Linda, czy w jego zachowaniu były widoczne jakieś zmiany?

Martinez odparła, że odkąd prawie sześć dni temu zaczęła wraz z kolegami obserwację, nic takiego nie zauważyła. Rodzina wykonywała wciąż te same rutynowe czynności. Wszyscy zachowywali się jak zwykli ludzie. Chodzili do pracy, wykonywali obowiązki domowe, pracowali w ogrodzie, pilnowali dzieci, gotowali, robili zakupy, rozmawiali, spędzali razem czas, jedli i spali.

Tym, co odróżniało ich od sąsiadów, były częste praktyki religijne, codzienne stałe pory modlitw w domu, a czasem w ogrodzie i to, że głowa rodziny, Mohammed

Khalid Hussein, codziennie odwiedzał meczet we Fröslundzie z jednym lub kilkoma członkami rodziny.

Kontakty z osobami spoza rodziny? Poza wizytami ojca w meczecie nie było żadnych. Martinez stwierdziła, że brak nawet tych zwyczajnych, codziennych. Nie przyjmowali żadnych gości ani przypadkowych odwiedzających, jeśli nie liczyć gazeciarza i listonosza. Nie utrzymywali kontaktu z sąsiadami, a kiedy wychodzili w jakiejś sprawie z domu i spotykali ich po drodze, ograniczali się tylko do krótkiego pozdrowienia. Nie zatrzymywali się, żeby porozmawiać. W czasie zakupów było podobnie. Wchodzili do sklepu, wybierali towary, płacili przy kasie i wychodzili.

Kontakty przez telefon, w sieci? Głównie z Somalijczykami. Poza tym z kilkoma innymi imigrantami, również wyznawcami islamu. Ludźmi, których znali od dawna. W grę wchodziło maksymalnie trzydzieści kilka osób. Krewni, koledzy z pracy, zaufani ludzie. Żadnych zmian zwyczajów. Z całą pewnością nic, co wywołałoby gęsią skórę u kogoś takiego jak Martinez.

– Żeby uniknąć nieporozumień, chcę podkreślić jedną rzecz.

– Co takiego? – zapytał Dan Andersson. – Czy to twój słynny policyjny nos znowu daje o sobie znać?

– Żebyś wiedział – odparła Martinez. – Otóż mam stuprocentową pewność, że Abbdo Khalid i z pewnością jeszcze inni członkowie jego rodziny zamierzają wysadzić w powietrze znaczną liczbę nas pozostałych. Po prostu.

– Mimo że kiedy się nie modlą, najczęściej siedzą z założonymi rękoma? – Andersson obstawał przy swoim.

– Przyczaili się – oznajmiła Martinez. – Do kluczowego momentu zostały jeszcze prawie trzy tygodnie. Ze wszystkimi kluczowymi sprawami uporali się, zanim zaczęliśmy ich obserwować. Kiedy czas się skurczy, na pewno zaczną się dziać.

– Chyba nie chodzi o to, że się przyczaili, bo wiedzą, że ich obserwujemy? – zapytała Mattei.

Czas zasiać złe ziarno, pomyślała.

– Nie – odparła Martinez. – Skąd by mieli wiedzieć?

– Ludzie gadają – oznajmiła Mattei z celowo powściągliwym wzruszeniem ramion. – To najczęstsze wytłumaczenie. Mówią niewłaściwe rzeczy niewłaściwym ludziom. Może ktoś z twoich kolegów się spalił. Takie rzeczy się zdarzają.

– Zapomnij. Moich pracowników obowiązują dwie zasady. Patrz, ale nie bądź widziany i trzymaj gębę na kłódkę.

– Ile osób tam u ciebie pracuje? – Mattei nie dawała za wygraną.

– Trzydzieści, trochę ponad trzydzieści. Trzydzieści trzy włącznie ze mną. Jeśli mówimy o ludziach, którzy zajmują się obserwacją.

– I możesz ręczyć za każdego z nich?

– Nie tylko za nich. Sądzę, że mogę ręczyć za każdego, kto pracuje przy tym śledztwie. Nawet za tych nerdów, którzy siedzą przy komputerach i stukają w klawisze. Jak ktoś z was w tym budynku mógłby ostrzec naszego Abbda? Chyba tylko telepatycznie. Mamy pod przykrywką jego i całą tę cholerną rodzinę.

– Nos mówi mi co innego – odparła Mattei.

– W takim razie sądzą, że i ty padłaś ofiarą paranoi, która miesza w głowach ludziom z naszej branży.

– Mam nadzieję, że ty masz rację, a ja się mylę – przyznała Mattei. – Sama widzę dwie możliwości. Abbdo Khalid może być całkiem zwyczajnym muzułmaninem somalijskiego pochodzenia, na nasze nieszczęście odróżniającym się od innych Somalijszyków pod wieloma względami, które w innej sytuacji uważalibyśmy za pozytywne. Teraz jednak tłumaczymy je na jego niekorzyść.

– W tym momencie naprawdę zaczynam się o ciebie martwić, Liso. I to poważnie.

– Albo może być tak, jak mówisz. W takim przypadku zachowanie jego i całej reszty można wytłumaczyć tym, że wiedzą o naszych działaniach.

– Jest jeszcze trzecia możliwość – wtrącił Wiklander.

– Jaka? – zapytała Mattei.

– Dzięki, Janie. W końcu ktoś to zauważył. Chodzi o to, że tego rodzaju ludzie mogą mieć taką samą paranoję jak niektórzy z nas – wyjaśniła Martinez i skinęła głową w stronę Mattei.

– Coś w tym stylu – zgodził się Wiklander. – Zachowanie jego i pozostałych nie musi oznaczać, że ktoś go ostrzegł albo że któreś z nich odkryło, czym się zajmujemy.

– Co wy na to, żebyśmy rozprostowali nogi, zanim zmienimy temat? – zaproponowała dyplomatycznie Lisa Lamm.

– Ja na to, że nie ma innej opcji – powiedziała Martinez i gwałtownie wstała. – Może wyjątkowo zafundujemy sobie cały kwadrans? Żebym zdążyła znów zacząć palić – dodała, patrząc na Mattei.

PIĘTNAŚCIE MINUT później wszyscy uczestnicy wrócili na spotkanie z rozprostowanymi nogami. Przynajmniej morale w ekipie jest wysokie, pomyślała Mattei, choć akurat tego nie zamierzała dokumentować w dzienniku. Notatki tego typu zawsze były interpretowane jako dowód na coś przeciwnego, a poza tym istniały ważniejsze rzeczy, które należało zachować dla potomności.

Uznała, że już najwyższy czas oddać głos Callemu Lewenhauptowi, który miał przedstawić pierwszą charakterystykę Abbda Khalida i jego rodziny.

– Jakież pytania, zanim przejdziemy dalej? – zakończyła.

Zgłosiła się Linda Martinez. Miała pytanie bezpośrednio do niej. Mattei skinęła głową. Była ciekawa, czy Linda ma zamiar przeprosić. W końcu jestem jej przełożoną, pomyślała i posłała jej życzliwy uśmiech.

Przeprosiny były ukryte – Linda zaczęła od uspokojenia pozostałych. Po namyśle uznała, że nie zacznie znowu palić. Skoro udało jej się wytrzymać ponad rok – dokładnie dwanaście miesięcy, trzy tygodnie i dwa dni – może spokojnie poczekać na zakończenie aktualnego śledztwa. Potem mogła świętować prawdziwym cygarem zwycięzcy.

Teraz jednak miała ważniejsze rzeczy do roboty niż przemawianie do rozumu szefowej i kłótnie z kolegami. Do Świąta Narodowego pozostały niespełna trzy tygodnie i czuła narastający stres. Z pewnością dzieliła to uczucie z wieloma zebranymi i zdawała sobie sprawę, że Mattei jeszcze trudniej jest znieść to ciśnienie, kiedy musi się z nim mierzyć w samotności przy swoim wielkim biurku.

Stąd konkretne pytanie. Czy niepokój, który demonstrowała, miał jakiś powód? Coś, o czym jej koledzy powinni wiedzieć?

– Nie – odparła Mattei. – Prawdopodobnie jest tak, jak mówisz. Po prostu miałam atak choroby zawodowej, z którą musimy żyć my wszyscy, którzy tu pracujemy. Jeśli mogę zrzucić z siebie część winy: to Calle mnie zaraził, kiedy zaczął głądzić, że

we Fröslundzie mieszkał kiedyś Stig Bergling. Akurat we Fröslundzie...

Szczerze niebieskie oczy, zdecydowany przeczący ruch głową, a potem łagodzące wszystko humorystyczne wyjaśnienie, sądząc po twarzach słuchaczy, wypadły przekonująco.

Kiedy się stałaś taką dobrą kłamczuchą? – zapytała sama siebie w myślach.

– Ale teraz szefowa doszła już do siebie – odezwał się Carl Lewenhaupt.

– Z całą pewnością – potwierdziła Mattei. – Czuję się tak świetnie, że nawet wytrzymam kolejną prezentację twojego szczególnego wkładu w śledztwo.

– Weekend na wsi, z rodziną, czy może być coś lepszego? – westchnął Lewenhaupt.

Calle Lewenhaupt to naprawdę wspaniały współpracownik, mimo osobliwej biografii, pomyślała. Kiedy jest w dobrym humorze, zdarzają mu się rozwlekłość i przesadne dygresje, ale pozwalała mu na to, bo nawet w takim stanie dostarczał nader cenne informacje. Tym razem zresztą ostrzegł ją i pozostałych, że zamierza zacząć od kilku ogólnych refleksji na temat somalijskich uchodźców w Szwecji, żeby w ten sposób zarysować tło, które pozwoli zrozumieć, dlaczego Abbdo Khalid i jego rodzina są wyjątkowi.

Jeśli zmierzyć to ogólnie przyjętą miarą, można było uznać, że Somalijszczyki słabo się dopasowali do wzorców społecznych obowiązujących w ich nowej ojczyźnie. Nie zamierzał wracać do ponurych statystyk, ale postanowił powiedzieć kilka słów o tym, w jaki sposób ten problem wpłynął na ich otoczenie.

Gmina niestety reagowała ze zwyczajową mieszanką pasywności i ambiwalencji i całą odpowiedzialność zrzuciła na swoje narzędzie – biurokrację. Fröslunda nie była pod tym względem gorsza niż inne dzielnice Eskilstuny, w których mieszkało wielu imigrantów, czy inne zakątki kraju. Wszyscy mieli dach nad głową, nikt nie musiał głodować i skoro chcieli się kształcić i zdobywać pracę, nikt nie próbował ich powstrzymać.

Przeciwnie, inwestowano pieniądze, żeby pokazać dobrą wolę. Biuro pośrednictwa pracy otrzymywało od gminy dodatkowe środki na wdrażanie programów kształcenia i aktywizacji „specjalnie skrojonych” pod mniejszość



somalijską. Jeśli zaś chodziło o bardziej palące problemy społeczne – uzależnienia i przestępczość – gmina sfinansowała zatrudnienie specjalnego pracownika somalijskiego pochodzenia, o ugruntowanej dobrej opinii wśród ludzi, z którymi miał współpracować. To, że później okazał się niewart pokładanego w nim zaufania, nie było winą gminy.

– Z ciekawości: co takiego zmalował? – zapytał Dan Andersson.

– Dostał trzy lata i sześć miesięcy za przygotowanie do napadu, poważne rozboje z bronią w rękę, kilka większych kradzieży, różne przestępstwa narkotykowe i parę innych rzeczy – odparł Lewenhaupt. – Kilku jego podopiecznych oskarżono o to samo. Dostali wyroki od roku do trzech lat.

– Dobrą opinię rzadko ma się za darmo – stwierdził Dan Andersson.

– To prawda. Chociaż tym razem wycucie czasu nie było chyba najlepsze – powiedział Lewenhaupt. – Koledzy z Eskilstuny zgarnęli ich dopiero tydzień przed ubiegłymi wyborami. Chyba nie muszę mówić, jak po tym wyglądała lokalna debata polityczna.

Segregacja, izolacja społeczna, grupa Somalijszyków trzymających się z boku. Wzrastające antagonizmy polityczne i „szwedzka” większość, która najchętniej by o nich zapomniała i w której coraz więcej osób życzyłoby sobie, żeby „odesłano ich z powrotem do Afryki”. Społeczne niepowodzenia, przestępczość, alkoholizm i narkomania. Panujący od kilku lat strach przed muzułmańskim terroryzmem w grupie Somalijszyków też nie ułatwiał sytuacji. Stąd te czysto prywatne, posępne refleksje i prezentacja rodziny Khalida w szerszym tle.

– To się po prostu nie zgadza ze wszystkim, o czym do tej pory mówiłem – stwierdził Calle Lewenhaupt. – W dużym skrócie: mamy tu do czynienia z rodziną liczącą siedemnastu członków, w tym pięcioro dzieci. Głowa rodziny, Mohammed Khalid Hussein, ma jedenastoletniego syna z drugą żoną. Żona nazywa się Awa Salah Hushi i jest o dwanaście lat młodsza od męża. Czworo maluchów z rodziny to dzieci trzeciej żony Mohammeda. Nazywa się Leyla Ahmed Rage. Jest znacznie młodsza od dwóch pierwszych żon, które mu towarzyszyły, kiedy tu przyjechał prawie dwadzieścia pięć lat temu. Leyla ma dwadzieścia dwa lata i pojawiła się tu

pięć lat temu jako uchodźca. Poznała Mohammeda w obozie dla uchodźców, kiedy to on i wspólnota muzułmańska z Eskilstuny byli tam z jakąś wizytą. Ktoś ma pytania?

– Te małe dzieci – włączyła się Helena Palmgren. – Dzieci Leyli. Zastanawiam się...

– Tak, przepraszam – przerwał Lewenhaupt. – To trzy dziewczynki: cztero-, trzy- i dwuletnia, oraz dziesięcioletni chłopiec. Najstarsza jest babcia, nazywa się Salmo Ali Ahmed. Ma osiemdziesiąt dwa lata.

– Popraw mnie, jeśli się mylę, ale z tego wynika, że ten Mohammed ma trzy żony – wtrąciła Martinez z niewinną miną. – Dwie, które mu towarzyszyły, kiedy tu przyjechał dwadzieścia pięć lat temu, i tę czternastkę, którą znalazł w obozie dla uchodźców niedaleko Eskilstuny, kiedy przypadkiem tam trafił. Tę, która teraz jest matką czwórki jego najmłodszych dzieci.

– Miała wtedy siedemnaście lat, nie czternaście – sprostował Lewenhaupt. – Kiedy się poznali. Tak jak mówiłem, to było pięć lat temu. Ten obóz mieści się zresztą nieopodal Flen. Zaledwie kilkadziesiąt kilometrów od Eskilstuny.

– W takim razie wszystko rozumiem – odparła Martinez. – To jasne jak słońce. Tatuś Mohammed ma trzy żony i w sumie dwanaścioro dzieci, a na wszelki wypadek zabrał też ze sobą starą matkę. To razem siedemnaście osób, jeśli dobrze liczę.

– Przepraszam, że przerywam – odezwała się Mattei – ale nie masz przypadkiem jakiegoś zdjęcia? To by wiele ułatwiło.

– Mam – oznajmił Lewenhaupt. – Zleciłem też stworzenie drzewa genealogicznego. Wszystko macie w materiałach.

– Wystarczy zdjęcie – powiedziała Mattei z przyjaznym uśmiechem.

– Dzięki, szefowo – odparł Calle Lewenhaupt.

CARL LEWENHAUPT, hrabia w szwedzkiej policji bezpieczeństwa, postukał w klawisze komputera i wyświetlił na ścianie ten sam obraz, który równie błękitnokrwisty angielski kolega Jeremy Alexander pokazał Mattei i trojgu jej współpracowników tydzień wcześniej, kiedy odwiedzili go w Wielkiej Brytanii.

Zobaczyli listę siedemnastu osób ze zdjęciami wszystkich oprócz czwórki najmłodszych dzieci. Pod każdym ze zdjęć widniały: pełne nazwisko, numer personalny i adres zameldowania – za każdym razem był to dom przy Lötgärdesstigen w Eskilstunie. Niżej umieszczono rząd opisów, które wyjaśniały, dlaczego bohaterowie zdjęć wyróżniali się pozytywnie na tle innych Somalijczyków zamieszkałych w Szwecji.

Wszyscy, z wyjątkiem trzeciej żony Mohammeda Khalida Husseina, mieli szwedzkie obywatelstwo. Nawet czwórka najmłodszych dzieci. Dwanaścioro miało szwedzki dowód – wszyscy z wyjątkiem żony numer trzy i czwórki jej dzieci. Dziewięcioro miało szwedzkie prawo jazdy: Mohammed i jego druga żona, jego czterech dorosłych synów i trzy najstarsze córki. Żaden z członków rodziny, który miał piętnaście lub więcej lat, a więc mógł być karany, nie znajdował się w kartotece policyjnej. Nawet opieka społeczna nie miała żadnych notatek o niedostatkach w rodzinie, zwykłych zaniedbaniach ani tym bardziej o uzależnieniach.

Na żadnym z nich nie było skazy ani najmniejszej nawet plamki. Po tak długich badaniach ani Carl Lewenhaupt, ani jego koledzy z wywiadu antyterrorystycznego nie byli choćby trochę zdziwieni, że cała siódemka dorosłych dzieci ukończyła szkołę średnią. Wprawdzie z różnymi wynikami i w większości były to szkoły zawodowe, lecz znalazł się też rodzynek, który zdał maturę w klasie przyrodniczej w liceum w Eskilstunie, i to na tyle dobrze, że mógł przebierać w szkołach wyższych i uniwersytetach w całym kraju. Wybrał jednak zwykłą zawodówkę i zaczął się kształcić na elektryka.

Wszyscy dorośli, z wyjątkiem babci, podali swoje dochody. Z kwot wynikało, że przynajmniej siedmioro pracowało na pełny etat, czworo na część etatu, a łączny dochód brutto całej rodziny za ubiegły rok wynosił ponad półtora miliona koron.

– Do tego dochodzą zasiłki dla dzieci i emerytura babci, więc po odjęciu podatku zostaje im na życie ponad sto tysięcy miesięcznie. Nie są to kokosy, ale można się z tego utrzymać – podsumował Lewenhaupt.

– A ile zarabiają na czarno? – spytała Martinez. – Kolejną stówę miesięcznie?

– Na razie brakuje nam tych danych – odparł Lewenhaupt z trudnym do zinterpretowania uśmiechem. – Obiecuję, że wrócę do tematu, jak tylko się tego dowiem, lecz nie sądzę, żeby można było liczyć na większe kwoty.

– Dlaczego? – Martinez nie dawała za wygraną. – Przecież wszyscy, którzy mogą, pracują na czarno.

– Ze względu na to, czym się zajmują – wyjaśnił Lewenhaupt. – Weźmy na przykład dorosłe dzieci. Dwie córki pracują w służbie zdrowia. Starsza jest salową, a młodsza pielęgniarką. Trzecia córka to chyba szwaczka. Pracuje w pralni chemicznej w Eskilstunie, w której także się łąta, naprawia i przerabia ubrania zostawione przez klientów. Abbdó, jak już wiemy, wcześniej wykonywał zawód elektryka. Był też głównym żywicielem rodziny, kiedy pracował na cały etat. Już w wieku dwudziestu lat zarabiał ponad trzysta tysięcy rocznie. Teraz studiuje w trybie dziennym. Jeśli chodzi o jego trzech młodszych braci, najstarszy jest sprzedawcą w miejscowym markecie budowlanym koło Eskilstuny, a dwaj młodszy pracują w branży restauracyjnej i zajmują się wszystkim po trochu. W tym samym lokalu, jeśli chcesz wiedzieć. To niewielka restauracja w centrum Eskilstuny. Jeśli sądzić po zdjęciach i menu na stronie internetowej, raczej nie jest trzygwiazdkowa. Chociaż obroty wskazują, że cieszy się popularnością. Zwłaszcza wśród imigrantów. Robota na czarno? Mogłaby to być ta knajpa, ale nie wydaje mi się, żeby w grę wchodziły wielkie pieniądze.

– Nie dasz się człowiekowi ucieszyć – podsumowała Martinez.

– Najlepsze, co mogę powiedzieć, to to, że tatko Mohammed też nie klepie biedy – oznajmił Lewenhaupt. – Jest właścicielem domu, w którym mieszka z rodziną.

Samo w sobie nie jest to szczególnie dziwne, ale dom jest wart około miliona. Może nawet półtora. Wygląda na to, że ani on, ani nikt inny z rodziny nie ma długów. Poza tym ma ponad trzy miliony koron w różnych aktywach. Na zwykłych kontach, w akcjach, funduszach i dwa ubezpieczenia na dożycie określonego wieku. Korzysta z usług dwóch banków: lokalnego banku oszczędnościowego i Handelsbanken.

– Ponad trzy bańki! Skąd on tyle ma? Wygrał to na loterii, znalazł na ulicy? No skąd?

– Tata Mohammed Khalid Hussein jest chyba kimś w rodzaju biznesmena – stwierdził Carl Lewenhaupt. – Wiem, że to cię może rozczarować, Lindo.

Był biznesmenem, odkąd przyjechał do Szwecji ćwierć wieku temu. I to w tym typowo szwedzkim sensie, oznaczającym chwytnie wielu srok za ogon. Niezbyt dużych, ale opłacalnych, porządnych i nienarządzających go na żadne konflikty z władzą.

– Na razie ustaliliśmy, że posiada trzy firmy w Eskilstunie. Sklep spożywczy przeznaczony głównie dla muzułmańskich imigrantów, pralnię chemiczną z zakładem krawieckim, w którym pracuje jedna z jego córek, i wspomnianą restaurację, w której zatrudnia dwóch synów. W sumie ma około dwudziestu pracowników, zatrudnionych na cały etat lub na część. Troje z nich to jego dzieci, oprócz tego jest jeszcze kilku somalijskich krewnych. Reszta to inni imigranci.

– Ciekawe – skwitowała Lisa Mattei. – Masz coś więcej?

– Będzie więcej – zapewnił Lewenhaupt. – Dopiero zaczęliśmy. Tak czy inaczej, tu mamy nazwiska wszystkich z rodziny. Nazwisk czworga najmłodszych nie umieściłem ze względu na charakter całej sprawy. A raczej „domniemany charakter”, jeśli mamy być dokładni, obiektywni i zachować dystans.

Znów postukał w klawisze, zdjęcia członków rodziny i dodatkowe informacje zniknęły, a zamiast nich na ścianie ukazała się lista trzynastu osób, o które najprawdopodobniej im chodziło.

**Senior rodu:** Mohammed Khalid Hussein, lat 62

**Jego trzy żony:**

Pierwsza: Sagal Omar Hassan, lat 55

Druga: Awa Salah Hushi, lat 50

Trzecia: Leyla Ahmed Rage, lat 22

**Jego sześciu synów:**

Abdullah Mohammed Khalid, lat 28

Hassan Mohammed Khalid, lat 27

Ismail Mohammed Khalid, lat 24

Waaberi Mohammed Khalid, lat 20

Samakab Mohammed Khalid, lat 11

Dziesięciomiesięczny syn

**Jego sześć córek:**

Maka Mohammed Khalid, lat 32

Fathia Mohammed Khalid, lat 30

Amina Mohammed Khalid, lat 29

Czteroletnia córka

Trzyletnia córka

Dwuletnia córka

**Nestorka rodu:**

Salmo Ali Ahmed, lat 82

Na zakończenie wykładu Carl Lewenhaupt wyjaśnił kolegom, jak to możliwe, że trzy żony Mohammeda noszą inne nazwiska, a synowie i córki nazywają się tak samo jak on. Logika nadawania nazwisk wśród Somalijczyków często odbiegała od tej stosowanej przez muzułmanów z innych kultur. Na początku imię własne, potem imię ojca, a na końcu imię dziadka ze strony ojca. Imiona były najczęściej pochodzenia arabskiego, zwłaszcza w przypadku muzułmanów.

Ten system był stosowany zarówno w przypadku kobiet, jak i mężczyzn, a dzięki

obszernej dokumentacji z archiwum Urzędu Migracyjnego prześledzenie schematu w tej akurat rodzinie nie nastęrczało większych trudności. Imię własne, imię ojca, imię dziadka ze strony ojca.

– Weźmy na przykład naszego głównego bohatera – kontynuował – zwanego Bomberem. Nazywa się Abdullah Mohammed Khalid. Abdullah to jego imię własne, Mohammed to imię jego ojca, a Khalid to imię dziadka ze strony ojca. Jeśli zestawimy je z tym, które nosi jego ojciec, Mohammed Khalid Hussein, zrozumiemy, dlaczego drugie nazwisko ojca brzmi Hussein. To było imię jego dziadka ze strony ojca. Abdullah nie otrzymał go, bo Hussein był dla niego pradziadkiem.

– Chyba trzeba się cieszyć, że nie mają więcej tych nazwisk – stwierdziła Linda Martinez.

– Tak, to prawda – zgodził się Lewenhaupt. – Te imiona mają jeszcze jedną cechę, o której nie możemy zapominać.

– Jaką? – spytała Lisa Lamm.

– Każde z nich coś znaczy. To przepowiednia dotycząca przyszłości, charakteru albo jeszcze innych cech, zawsze pozytywnych. Nadając dziecku konkretne imię, rodzice wyrażają nadzieję, że takie właśnie cechy będzie niosło przez życie. Tak było w Szwecji w dawnych czasach i tak jest nadal w świecie islamskim. Przynajmniej wśród muzułmanów, którzy poważnie traktują swoją wiarę. Weźmy na przykład mnie. Nazywam się Carl Gustaf Lewenhaupt. Oba imiona, Carl i Gustaf, występują często w mojej rodzinie. Carl oznacza wolnego człowieka, a Gustaf to podpora Gotów, czyli ich przywódca.

– To dlatego tacy jak ty nigdy nie mają na imię Ronny albo Conny – stwierdziła Martinez. – Gdybyś się nazywał Ronny Lewenhaupt, pewnie wyrzuciliby cię z Domu Rycerstwa.

– I słusznie – odparł Lewenhaupt. – Może by mnie nie wyrzucili, ale ten, kto nadałby mi takie imię, złamałby utarty społeczny schemat.

Prawowici muzułmanie przywiązywali wagę do tej kwestii. Abdullah był czwartym dzieckiem swojego ojca. Mohammed, nazwany tak na cześć wielkiego

proroka, miał już trzy córki, kiedy w końcu doczekał się syna – daru od Boga. Nieprzypadkowo postanowił nadać mu imię Abdullah.

– Abdullah znaczy „sługa Boży” – oznajmił Lewenhaupt. – Trudno mi uwierzyć, że takie imię to przypadek.

W tym wszystkim rzeczywiście krył się rzeczowy argument, który z całą pewnością miał znaczenie dla śledztwa, nad którym pracowali. Jeżeli Abbdo Khalid rzeczywiście był bomberem, jak twierdzili Anglicy, to na pewno nie on wpadł na ten pomysł i zdecydował się go zrealizować. Carl Lewenhaupt uważał, że to absolutnie wykluczone z uwagi na to, jak wyglądała rodzina, w której się wychowywał.

Mohammed Khalid Hussein był głową rodziny i to on o wszystkim decydował. Dokładnie o wszystkim. O rzeczach wielkich i małych, o życiu i śmierci, nie dyskutując nawet z ludźmi, których mogło to bezpośrednio dotyczyć. Jeżeli naprawdę było tak, jak sądzili niektórzy, tata Mohammed był jedynym możliwym mózgiem planowanej operacji. Syn Abdullah był jednym z jego narzędzi. To ojciec mówił mu, co ma robić. Interesująca zbieżność między wykształceniem i zawodem syna a przewidywanym zamachem kazała przypuszczać, że planował to od wielu lat.

Na zakończenie rozważań Lewenhaupt stwierdził, że w działaniu angielskiego kolegi jest coś, co trudno mu zrozumieć.

– Co takiego? – spytała Mattei.

Dokładnie rzecz ujmując, chodziło o dwie rzeczy. Po pierwsze o to, że Anglicy najwyraźniej pominęli milczeniem rolę ojca Khalida w całej operacji. Zdroworozsądkowe wytłumaczenie było takie, że angielska służba bezpieczeństwa skupiła się na synu, a poza tym nie miała zbyt wielkich praktycznych możliwości gromadzenia informacji na temat ojca, więc dała cynk szwedzkiej Säpo, żeby to ona zajęła się tym wątkiem.

Poza tym, w typowo angielski uprzejmy sposób, nie chciał ich zawstydząć takimi oczywistościami jak ta, że władza ojca Abdullaha nad rodziną wynikała z natury rzeczy. W takich kwestiach Jeremy Alexander był międzynarodowym autorytetem. Może właśnie dlatego przeceniał wiedzę szwedzkich kolegów na ten temat.

– Jestem tego samego zdania, Calle – oznajmiła Mattei. – Jeżeli będzie chciał się



ze mną jeszcze spotkać, ciebie też zabiorę. Mówię to bez śladu ironii. Mój błąd i tyle. Nie zamierzam popełniać go ponownie.

– Dzięki, szefowo – odparł Calle Lewenhaupt.

– Chciałeś powiedzieć coś jeszcze. Co takiego?

Druga sprawa była znacznie poważniejsza od pierwszej. Jednocześnie była prostsza w tym sensie, że Alexander po prostu założył, iż szwedzcy koledzy o niej wiedzą. I to do tego stopnia, że nawet nie przesłał dwóch artykułów naukowych, które sam napisał na ten temat. Lewenhaupt postanowił sam to zrobić – opatrzył prace Alexandra tytułem i dołączył je do opisu islamskiego terroryzmu w ich dokumentach na temat operacji Helge Złota Rączka.

Zaczął je pokrótce opisywać.

Jeżeli Abbdo Khalid planował przeprowadzić zamach terrorystyczny takiego rodzaju, jak sądzili Anglicy, i jeżeli to mu się uda, będzie to po prostu europejski odpowiednik jedenastego września. Bezpośrednie wypowiedzenie wojny przywódcom politycznym jednego z krajów Unii Europejskiej. Atak terrorystyczny, który wpłynie na politykę globalną i spowoduje, że państwa członkowskie Unii i pozostałe państwa zachodnie podejmą środki odwetowe wymierzone nie tylko w sprawców, lecz także w cały świat muzułmański.

Aby taka akcja została zrealizowana, absolutnie konieczna była zgoda przywódców organizacji – w tym przypadku Asz-Szababu – czyli tak zwana fatwa. Ciekawe pytanie brzmiało, czy ten niezbędny warunek wystarczy do podjęcia decyzji.

Według Lewenhaupta nie było to zbyt prawdopodobne. Asz-Szabab już kilka lat wcześniej postanowił się podporządkować przywódcom Al-Kaidy, a do ich najbliższych sojuszników od dawna należały Państwo Islamskie i Boko Haram. Lewenhaupt był zdania, że przed podjęciem decyzji takiego kalibru należało zasięgnąć ich rady i poczekać na zielone światło.

– To nie jest decyzja, którą można powierzyć dwudziestośmiolatkowi z Eskilstuny – oznajmił Lewenhaupt. – Niezależnie od tego, jak dobry jest w konstruowaniu bomb.

– Przyjmijmy, że mały Abbdó po prostu zwariował – zaproponowała Martinez. – Nagle postanowił, że wprawi w zdumienie nie tylko świat, ale nawet swojego ojca.

– Oczywiście rozważałem taką możliwość – przyznał Lewenhaupt. – Przeciwnie nie przemawia jednak fakt, że tego typu ataki terrorystyczne bardzo rzadko są dziełem tak zwanych szaleńców, działających w pojedynkę. Ci, którzy je przeprowadzają, mają upoważnienie i przydzielone zadanie. Jeżeli chodzi o Khalidę, wciąż jeszcze nie mam pewności, kim on właściwie jest. I chyba nie ja jeden.

– Jasne – zgodziła się Ingrid Dahl. Najwyraźniej uznała, że ma powód wypowiedzieć się po raz drugi. – Uważam, że to rozsądne. Z całym szacunkiem dla Lindy i jej policyjnego nosa. Niestety, czasami nos wyprowadza nas na manowce i wtedy tacy jak ja mają problemy.

– Co do jednego możemy się zgodzić, skoro mowa o Abbdzie Khalidzie – wtrącił Lewenhaupt.

– To znaczy? – odparła Helena Palmgren.

– Że nie wydaje się ani trochę szalony. Wręcz przeciwnie.

Mattei poprzestała na skinieniu głową. Ciekawe, co by teraz powiedział Johansson, pomyślała. Prawdopodobnie że Carl Lewenhaupt wcale nie jest głupi, choć ma tytuł hrabiego. Albo, gdyby był w odpowiednim humorze, stwierdziłby, że może daleko zajść. Mimo osobliwego pochodzenia. A nawet zaprosiłby „młodego hrabiego” na kolację do włoskiej restauracji na Söder, do której zabierał wszystkich jej kolegów, poza nią samą. To może poczekać, uznała w końcu. On nie był taki jak ja, a ja nie jestem taka jak on. Robię wszystko po swojemu.

– Doskonale – oznajmiła. – Czy ktoś ma pytania? Jeżeli nie, to myślę, że na tym na razie skończymy. Proponuję też, żebyśmy poczekali z ustaleniem terminu następnego spotkania. W razie jakiegoś nagłego zdarzenia po prostu spotkamy się natychmiast.

Nikt nie miał pytań ani zastrzeżeń. Odezwała się tylko Linda Martinez. Zaraz po powrocie do Eskilstuny zamierzała rozesłać zdjęcia czwórki najmłodszych dzieci z rodziny i wózków, w których czasami je wożono. Zdjęcia czwórki maluchów w wieku od dziesięciu miesięcy do czterech lat zostały zrobione w ogrodzie

rodzinnego domu. Na jednym z nich czteroletnia dziewczynka biegała i bawiła się z dwiema młodszymi siostrami, a jej mama siedziała na krześle i karmiła z butelki ich brata, który nie miał jeszcze roku. W tle, a także na innych zdjęciach i filmach, były wózki, w których matki albo inne kobiety z rodziny woziły je wokół domu.

– Zdjęcia najmłodszych członków rodziny mogą się przydać, jeśli pomyślimy o tym, co Abbdó i jego koledzy zmalowali pod stadionem w Manchesterze kilka miesięcy temu. Zdjęcia ich wózków również – stwierdziła Martinez. – Gdyby chcieli spróbować zrobić to samo po raz drugi. Okej? – dodała i z jakiegoś powodu spojrzała na swoją przełożoną, Lisę Mattei.

– Okej, Lindo – odparła Mattei.

W jakim świecie żyję, pomyślała.

PO SPOTKANIU Lisa Mattei poprosiła Callego Lewenhaupta, żeby przyszedł do jej gabinetu na rozmowę w cztery oczy. Z różnych powodów. Kiedy usiedli, zaczęła od pierwszego z nich – swojego niepokoju.

Trudno jej było się pogodzić z tym, że choć prowadzi śledztwo, jest zależna od współpracowników. Jednocześnie gdyby wybrała odwrotną drogę i zaczęła się angażować w działalność operacyjną, byłoby jeszcze gorzej. Najważniejsze to kierować wszystkim z odpowiedniej odległości. W ten sposób dochodziło się do konkretnych rezultatów. Jeśli później ta odległość stanie się zbyt duża, to jej problem.

Potem próbowała zmniejszyć wyrzuty sumienia. Miała poczucie, że zbyt wiele obowiązków zrzuca na niego i Martinez i że nie bardzo potrafi wyrażać uznanie dla ich pracy. Jeżeli potrzebowali więcej środków, wystarczyło powiedzieć. Wtedy zrobiłaby wszystko co w jej mocy, by to załatwić. Gorzej, jeśli źle nimi kierowała.

– Weźmy na przykład rolę jego ojca w tym wszystkim. To, co mówisz, jest najzupełniej oczywiste. Patrzyłam wybiórczo i widziałam tylko Abbdę, choć nieświadomie. Po prostu tak wyszło, nawet się nad tym nie zastanawiałam.

– To nam się zdarza na okrągło. Głównie z tego powodu organizujemy spotkania. Żeby zwracać sobie nawzajem uwagę, że mamy klapki na oczach.

– W tej sytuacji byłoby dobrze, gdybyś wiedział jedną rzecz.

– To znaczy?

– Wcale nie jestem taka, na jaką wyglądam. Nie mam w sobie za grosz wrażliwości. Dopóki masz rzeczowe argumenty, możesz właściwie mówić mi wszystko. Jeżeli ponadto uda ci się mnie przekonać, że nie mam racji, to będę w siódmym niebie. Nie jestem wybuchowa i pamiętliwa, tylko racjonalna i rzeczowa.

– Wiem – potwierdził Lewenhaupt. – Sam taki jestem.

– To dobrze – skwitowała Mattei. – W końcu zrozumiałam, że należy wziąć na tapetę ojca, Mohammeda. Co jeszcze mamy?

Lewenhaupt stwierdził, że mają jeszcze sporo otwartych kwestii i że otwierały je nie tylko ich ręce. Niektóre były zapisane, uporządkowane według ważności i poddawano je analizie. Na przykład kwestia kobiet z Zachodu, które wiązały się z terrorystami. Pierwsze opracowanie wkrótce miało być gotowe. Lewenhaupt nie miał odwagi wyrokować, jakie znaczenie będzie miało dla śledztwa. Na razie traktowali te informacje jako podporę dla prowadzonego dochodzenia. Wychodzili z założenia, że w najgorszym wypadku wzbogacą ich wiedzę ogólną.

– Wcześniej czy później wykorzystamy ten materiał. Jeśli zaś chodzi o tę Brytyjkę, Louise Urqhart, dręczą mnie wyrzuty sumienia. Mamy już uzupełniające informacje, których potrzebujesz, ale jeszcze nie zaczęliśmy nad nimi pracować. Jeśli dobrze rozumiem, złościsz się na nią. Nie rozumiem tylko dlaczego.

– Wydaje się taka zadowolona.

– Zadowolona?

– Otóż to. Wyjaśnij mi, z jakiego powodu.

– Ryzykując, że się zawstydzę?

– Jak najbardziej.

– No dobrze. Udany seks to najprostsza przyczyna. Co jeszcze? To, że ktoś taki jak Abdo jest czymś w rodzaju przyprawy w życiu Louise Urqhart. Życiu, dodajmy, niezbyt ekscytującym.

– Jest coś jeszcze – powiedziała Mattei. – Myślę, że zawsze się starała o dobry seks. Moim zdaniem taka dziewczyna potrafi wydobyć z każdego partnera to, co najlepsze. Bez względu na to, jak dobry jest na początku.

– Jeśli wierzyć Martinez, Khalidowi nic nie brakuje.

– Zgoda, ale i tak mam wrażenie, że jest z niego bardziej zadowolona, niż on na to zasługuje. O ile rzeczywiście chodzi tylko o seks w połączeniu z ową przyprawą w życiu kobiety z wyższych sfer. Jest coś takiego w jej oczach.

– W jej oczach?

– Tak. Widać w nich, że jest bardziej niż zadowolona. Powodem, jak sądzę, nie

jest seks, tylko coś zupełnie innego.

– I uważasz, że to, co ją uszczęśliwia, przyda nam się nie tylko jako wzbogacenie wiedzy ogólnej?

– Z całą pewnością – odparła Mattei.

– W takim razie trzymajmy kciuki – powiedział Lewenhaupt. – Myślę, że już wkrótce spłynie na nas oświecenie.

– Też tak sędzę. Jak tylko zacznę myśleć nieszablonowo.

– To może być trudne. Poza tym mamy chyba jeszcze inne zmartwienie, którego powinniśmy unikać. W tym punkcie całkowicie się z tobą zgadzam.

– Chodzi ci o pożary i tego pracownika gminy, którego zatrzymano tydzień przed wyborami.

– Tak. Odpowiedź twierdząca.

Zbieżność w czasie w takiej sytuacji zaniepokoiła nawet Carla Lewenhaupta. Jeżeli gmina miała na tyle zaburzony osąd, że zatrudniła kryminalistę, to co stało na przeszkodzie, żeby ktoś inny zatrudnił człowieka do podłożenia ognia w siedzibach wspólnoty muzułmańskiej. To, czy chodziło o zaburzony osąd, złe zamiary, czy jedno i drugie, było bez znaczenia. Liczył się rezultat. Lewenhaupt odrzucił jednak koncepcję Mattei, że chodziło o zwykłe oszustwo ubezpieczeniowe. Właścicielem posiadłości była gmina. Dotkniętej pożarem wspólnocie brakowało bodźca ekonomicznego do podpalenia lokali, którymi dysponowała. Dostawali wysokie dofinansowania do czynszu, więc tym bardziej nie miałyoby to sensu.

– Co nie wyklucza, że mogło chodzić o coś zupełnie innego. Na przykład o pogłębienie antagonizmów między muzułmańskimi imigrantami a ich otoczeniem – podsumowała Mattei.

– Całkowicie się z tobą zgadzam – oznajmił Lewenhaupt. – Po powtórnej lekturze dokumentów ze śledztw w sprawie pożarów mam równie silne przekonanie, że możemy odrzucić ten wariant. Musimy szukać muzułmanina, który może się swobodnie poruszać po tych obiektach. Człowieka nieszczęśliwie mocnej wiary, na którego da się wpłynąć. Pieniędźmi albo w inny sposób.

– Czyli nic nie wskazuje na któregoś z naszych kolegów z Eskilstuny?

– Na razie nie.

– Bez względu na to nie chcę ryzykować, że któryś z nich nagle się poślizgnie na skórcie od banana. Sytuacja jest na tyle kiepska, że nawet jeśli będą uzasadnione prawnie powody do interwencji przeciwko Abbdowi albo komuś z jego rodziny, zamierzam ich powstrzymać. Ta część będzie musiała poczekać, aż się uporamy z naszą robotą.

– Oczywiście.

– Jak to rozwiążemy w sensie praktycznym?

– Najprościej będzie porozmawiać z naszym łącznikiem, który jest na miejscu – odparł Lewenhaupt. – Nie wdając się w szczegóły.

– Można na nim polegać?

– Tak myślę, chociaż nie znam go bliżej. Zwyczajny człowiek, cichy i spokojny. Prawie się nie odzywa, ale z całą pewnością nie jest to ktoś, z kim można tracić czas na głupoty. Poza tym fajnie się nazywa.

– Jak?

– Eskilsson. Lars Eskilsson. Odpowiada za działania operacyjne.

– Łatwo zapamiętać. Czy kiedykolwiek dał wyraz jakimkolwiek poglądom politycznym?

– W jego aktach nic takiego nie znaleźliśmy. Sądzę, że po prostu nie ma poglądów politycznych.

– Niech pomyślę...

– Lepiej nie wywoływać wilka z lasu, w którym pewnie będzie siedział aż do Święta Narodowego.

– Coś w tym stylu. A teraz zmiana tematu.

– Słucham.

– Mogę cię zaprosić na lunch?

– Bardzo proszę.

– Ale nie tutaj. Proponuję, żebyśmy zjedli na mieście.

– Nie mów, że chcesz mnie zaciągnąć do knajpy na Söder, w dzielnicy naszej legendy.

– Nie – odparła Mattei. – Byłam tam tylko raz. Na stypie po pogrzebie Larsa Martina. To było sześć lat temu, a ja nie mam zamiaru już nigdy więcej się tam pojawić.

– Rozumiem – powiedział Lewenhaupt.

– Za to na Norr Mälarstand jest naprawdę fantastyczna restauracja rybna.

– W takim razie na pewno będą mieli sandacza. Sandacza z jeziora Båven albo Hjälmaren. Lepiej być nie może.

– Dobrze – odparła Mattei. – Do zobaczenia w garażu o dwunastej.



LUNCH OKAZAŁ SIĘ miły, chociaż w menu brakowało świeżego sandacza – był poniedziałek, a rybak, który dostarczał ryby do restauracji, nie pracował w dni wolne, odkąd kilka lat temu przeszedł na częściową emeryturę. Jedli pieczoną makrelę, szpinak gotowany na parze i francuskie ziemniaki, a popijali wodą gazowaną, choć zwykła woda z kranu była ponoć lepsza dla środowiska.

W ogóle nie rozmawiali o śledztwie ani o pracy. Najbliżej tych tematów byli, kiedy zaczęli mówić o Larsie Martinie Johanssonie. Carl Lewenhaupt poruszył temat swojego pierwszego i ostatniego spotkania z nim. To było na polowaniu w Sörmlandii piętnaście lat wcześniej.

Carl pisał wtedy pracę dyplomową z historii i skrycie marzył, aby być kimś innym. Szpiegiem, a raczej kimś, kto na nich poluje – „łowcą szpiegów”. Takim polowaniom mógł poświęcić życie. Zwykłymi polowaniami nigdy nie był zainteresowany i jeździł na nie głównie po to, żeby ojciec nie martwił się niepotrzebnie o jego orientację seksualną. Zresztą z tego polowania zamierzał zrezygnować, dopóki nie zrozumiał, kim jest Johansson, którego nazwisko widnieje na liście zaproszonych gości. Wtedy czym prędzej się zgodził.

Po dobrym polowaniu i jeszcze lepszym obiedzie atmosfera zrobiła się luźna i udało mu się zaprosić Johanssona na rozmowę w cztery oczy, w czasie której opowiedział, jak widzi swoją przyszłość. Był młody i szczery, ale nie omieszkął podkreślić, że jego ambicje być może opierają się na romantycznych i z gruntu fałszywych wyobrażeniach o życiu łowcy szpiegów.

Johansson pokiwał głową i stwierdził, że choć takie życie „czasem bywa niezbyt przyjemne”, doskonale rozumie decyzję opartą na romantycznych wizjach. Odpowiednio ukierunkowane, może to być wyzwalające dla kogoś, kto dostąpił łaski podejmowania decyzji na takiej podstawie. Jeśli Lewenhauptowi się uda, z całą pewnością zajdzie daleko. Na tym zakończył rozmowę i obiecał, że się odezwie,

kiedy tylko będzie miał czas to przemyśleć. Takich decyzji nie należało podejmować na hura, a już na pewno po tak cudownym posiłku jak ten, który właśnie spożyli.

– Potem nie działo się nic specjalnego. Po sześciu miesiącach porzuciłem wszelką nadzieję, tym bardziej że, jak się dowiedziałem z gazety, Johansson miał przestać pracować w Säpo i zostać szefem Krajowej Policji Kryminalnej. Oswoiłem się z myślą, że powiedział to wszystko tylko po to, żeby mnie spławić. Z pewnością nie po raz pierwszy był w takiej sytuacji. Nagle jednak Wiklander zadzwonił i zaproponował, żebyśmy porozmawiali o czymś, co nie jest sprawą na telefon. Kilka dni po tym, jak straciłem nadzieję. Czy Jan opowiadał, w jaki sposób trafiłem do Säpo?

– Nie – odparła Mattei. – Ale znałam Larsa Martina i wiem, że był dziwnym człowiekiem.

– Tak, też odniosłem takie wrażenie. Widzenie, co jest za rogiem, to prawda?

– W czysto ludzkim sensie myślę, że posiadał tę umiejętność. A przynajmniej często miałam wrażenie, że tak właśnie jest. Choć to sprzeczne z mnóstwem praw fizyki. Jeżeli coś go interesowało, nie chciał odpuścić, a przy tym miał kompletnie nieprawdopodobną intuicję. Sam mówił, że jego wnioski opierają się na doświadczeniu, a doświadczenia nigdy za wiele. No i oczywiście na tym wszystkim, co wyróżnia wybitne talenty. Często mi powtarzał, jak ważne jest to, żeby ludzie tacy jak my żyli mocą naszych wątpliwości, a nie przekonań.

– Żyli mocą naszych wątpliwości, a nie przekonań?

– Tak, to dosłowny cytat. Lars Martin był w tym dobry. Mówił rzeczy, które zostawały w głowie.

– Rozumiem, że ci go brakuje.

– Tak, teraz chyba szczególnie – zgodziła się Mattei, skinęła głową i lekko się uśmiechnęła.

– A tymczasem musi ci wystarczyć ktoś taki jak ja – odparł Lewenhaupt i też się uśmiechnął.

– Jesteś wystarczająco dobry, Calle. Lepszych ludzi niż ty, Jan i Linda nie można sobie wyobrazić. Lars Martin miał też ciemniejszą stronę.

– Tak?

– Czasem potrafił dać się we znaki. Kiedy już podjął decyzję, nie miał żadnego problemu z egzekwowaniem swojego przywództwa. Wiesz, jak go nazywało wielu kolegów ze zwykłej policji? Znasz jego przezwisko?

– Rzeźnik z Ådalen.

– Miał strasznie dobre oko do ludzkich słabości. To w nie uderzał w odpowiednim czasie. Żeby jak najbardziej zaboląło. Jego język też nie był szczególnie dyplomatyczny. Zwłaszcza kiedy miał dobry humor. Mówił wtedy o maglowaniu delikwenta, szorowaniu mu gęby zielonym mydłem, kiedy kłamał, i wywlekaniu dziada za uszy, kiedy już z nim skończył. Kiedy tak mówił, zwykle był w bardzo dobrym humorze.

– Robił to wszystko? To, co przed chwilą wymieniłaś?

– Nie, nigdy. Chyba ani razu nie podniósł na nikogo ręki. Nie było takiej potrzeby.

– Złożona osobowość – stwierdził Lewenhaupt. – Humanista z przekonania wykazujący mocno prymitywne cechy.

– Tak, coś w tym stylu.

– Gdyby teraz siedział przy tym stole, co sądziłby o kimś takim jak Abdo Khalid?

– To samo co ty i ja. Z jednej strony to, z drugiej strony tamto. Nie zdążyłby jeszcze przemyśleć tego do końca.

– Jesteś pewna?

– Absolutnie. Dlatego tu siedzimy.

PO POWROCI do gabinetu Mattei z braku innego zajęcia postanowiła jeszcze raz przejrzeć rosnące stosy papierów. Nagle pojawił się szef. Odmieniony, inny niż ten, z którym się spotkała tydzień wcześniej. Stał w drzwiach z przyjaznym uśmiechem i pytająco skinął głową w stronę krzesła dla gości. Usiadł i zaczęli naprawdę dobrą rozmowę.

Ona podziękowała za kwiaty, a szef odpowiedział, że przynajmniej tyle mógł zrobić w ramach zadośćuczynienia.

Zacząła opowiadać o stresie, o awaryjnej sytuacji, w której się nagle znaleźli, o typowych spięciach między ludźmi, które zwykle się przytrafiały właśnie w takich sytuacjach.

– Kiedy dokładnie przeanalizuję swoje zachowanie, z całą pewnością nie mogę wykluczyć, że prędzej czy później sama dam ci kwiaty z tego samego powodu, dla którego ty podarowałeś mi ten okazały bukiet.

Szef odpowiedział, że jej współpracownik Jan Wiklander był tak miły i w weekend zadzwonił do niego z informacją, że wojskowi współpracownicy biorą teraz aktywny udział w ich śledztwie. Powiedział nawet, kto dokładnie będzie odpowiedzialny za współdziałanie.

– Nazywa się Helena Palmgren. Znałaś ją już wcześniej? – zapytał.

– Nie. – Mattei pokręciła głową. – A ty?

– Nie kojarzę. W zasadzie powinienem ją spotkać, ale tak się nie stało.

– Pewnie dlatego, że jest tu nowa. Jan twierdzi, że zaczęła pracę zaledwie kilka miesięcy temu.

– To oczywiście możliwe – zgodził się szef. – Jakie odniosłaś wrażenie?

– Dobre. Wydaje się rozsądna – odparła Mattei.

Muszę przeczytać jej akta, dodała w myślach.

– Miło to słyszeć, Liso – stwierdził szef i wstał. – Poradzisz sobie. Jestem o tym

przekonany. A wtedy dam ci porządny bukiet.

– Dziękuję – odparła Mattei.

Przez resztę dnia próbowała zebrać myśli, które przez cały czas krążyły w jej głowie. Czy o czymś zapomniała? Czy czemuś trzeba było nadać inny priorytet? Czy dokumentacja sprawy w miarę dotrzymywała kroku opisywanym działaniom?

Przede wszystkim myślała o Louise Urqhart. O kobiecie, która zdaniem jej angielskiego kolegi z całą pewnością była kobietą Bombera. Dlaczego wyglądasz na taką zadowoloną? A nawet... bardziej niż zadowoloną. Czego tu nie dostrzegam?

W końcu się zdecydowała. Zrzuciła wszystkie materiały na pendrive, zabrała wymagane papiery i blankiety, zadzwoniła po swojego kierowcę i zjechała windą do garażu.

– Dzisiaj będę siedziała z tyłu – oznajmiła. – Mam sporo papierów, które muszę przeczytać.

– Jasne, szefowo – odparł kierowca i przytrzymał jej tylne drzwi od strony pasażera.

Piętnaście minut później zatrzymał się przed bramą domu, w którym mieszkała. Mattei schowała papiery z powrotem do teczki. Najwyższy czas coś zrobić, pomyślała.

– *Permission to speak, boss?* – odezwał się kierowca, kiedy przytrzymał jej drzwi.

– *Permission granted* – odparła Mattei i się uśmiechnęła.

Przeczuwała, co zaraz powie.

– Te wszystkie tajne papiery – skinął głową w stronę teczki, którą trzymała pod pachą. – Pracuję tu niecały rok, ale się zastanawiam, jak duże jest prawdopodobieństwo, że zwariuję, skoro nawet nie wolno mi mówić, że istnieją.

– Niestety, nie mogę powiedzieć. – Mattei pokręciła głową z uśmiechem. – To tajne.

– Doskonale rozumiem – odparł kierowca i skinął głową. – Czy to będzie okej, jeśli będę życzył szefowej miłego wieczoru?

– Jak najbardziej okej – powiedziała Mattei i znów się uśmiechnęła. – Pod warunkiem, że nikomu o tym nie powiesz.

WYJĄTKOWO przyszła do domu pierwsza. Johan został dłużej w pracy. W pośpiechu i stresie wpadł do przedszkola, odebrał Ellę, popędził dalej i kupił jedzenie na wynos w chińskiej restauracji w centrum handlowym Fältöversten na Karlaplan.

– Wreszcie w domu – stwierdził, objął ją ramieniem i przytulił.

Ella nie wyglądała na ani trochę zestresowaną. Wydawała się ożywiona i szczęśliwa, a chińskie żarcie było najlepsze na świecie, zwłaszcza teraz, kiedy mogła dać sobie spokój z pałeczkami, bo tata obiecał łyżkę i widelec.

– Siadajcie – Mattei skinęła głową w kierunku stołu. – Obsłużę was. Johan, masz ochotę na kieliszek wina? Wygląda na to, że dobrze by ci zrobił.

– Jeżeli i ty się napijesz, to chętnie.

– Nie – odparła Mattei. – Ja nie. Ale chciałabym cię poprosić o pomoc z jedną rzeczą. Dlatego kieliszek wina może ci się przydać.

– To coś tajnego?

– W najwyższym stopniu – oznajmiła. – *Top secret*.

– W takim razie poproszę o kieliszek czerwonego. Po czerwonym lepiej się myśli.

– Jasna sprawa – odparła Mattei. – Może być włoskie?

– Trudno o lepsze wsparcie dla przemysłu.

– Mam jeszcze blankiet. Musisz go podpisać, zanim dam ci to, w czym mógłbyś mi pomóc.

Johan powiedział, że nie widzi problemu. Powiedział, że jeśli naprawdę jest tak, jak zapewniała, może wyjąć szczyptę z ich skrzynki na narzędzia i uciąć mu palec. Byle tylko mógł to przeczytać.

Przy jedzeniu Lisa Mattei zapytała Ellę, czy ma ochotę przed snem pójść na Djurgårdsbron pokarmić kaczki.

Ella nie odpowiedziała. Spojrzała tylko pytająco na tatę, jakby nie wierzyła w to,

co właśnie usłyszała. Johan skinął głową i dopiero wtedy Ella zrobiła to samo.

– Ale super – powiedziała. – Jesteś pewna, że już nie śpią?

– Jestem pewna, że są całkiem rozbudzone – odrzekła Lisa Mattei.

Równie pewna jak tego, że udało mi się zapomnieć o dzisiejszym dniu w pracy, pomyślała.

Kaczki były ożywione. Wyciągały chleb z rąk Elli, która szalała z radości, choć jedna kaczka ścisnęła jej prawy kciuk. W drodze powrotnej Lisa i Ella ścigały się do drzwi. Ella wygrała i mogła nacisnąć przycisk windy, choć przecież miała już pięć lat i była za duża na takie rzeczy.

– Powiesz tacie dobranoc, zanim przeczytamy bajkę? – zapytała Mattei, kiedy skończyły wieczorną toaletę.

– Przecież teraz pracuje. – Ella pokiwała ze zdziwieniem głową. – Siedzi w swoim gabinecie. Jak ty, mamó – uściśliła.

Piętnaście minut później już spała.

W przypadku Johana wszystko trwało dłużej. Mattei zdążyła obejrzeć wiadomości w telewizji, wysłać Lindzie Martinez zwyczajowy mail w stylu Pii Fistaszek, umyć się, wyszorować zęby, położyć się i przeczytać przynajmniej dwa rozdziały powieści. Wciąż wylatywało jej z głowy, że już ją kiedyś czytała.

Co on tam właściwie robi, pomyślała w końcu. Spojrzała na zegarek na nocnym stoliku koło łóżka. Trzy godziny. Doszła do wniosku, że najlepiej sprawdzić, czy jego myślenie nie skończyło się na tym, że wlał w siebie mnóstwo czerwonego wina i zasnął.

Najwyraźniej jednak tak się nie stało, bo kiedy weszła do jego pokoju i przycupnęła na dużym fotelu, nadal siedział przy komputerze.

– Jak idzie mojemu nowemu ekspertowi od analizy zdjęć? – zapytała i wskazała głową komputer.

– Tak sobie. Jeśli chodzi o pracę umysłową, już ją zakończyłem. Teraz próbuję zgrać wszystko na przenośną pamięć, którą mi dałaś. Na wypadek gdyby się okazało, że o czymś zapomniałem i muszę spojrzeć jeszcze raz.



- I jak? – zapytała Lisa z niewinną miną.
- Niedobrze – odparł Johan. – Źle.
- Tak myślałam.
- No właśnie. To dziwne.
- A jak ci poszło to drugie? To, o co pytałam?
- Chyba lepiej – odparł Johan i pokiwał głową.
- Opowiedz.
- Jasne, ale najpierw chciałbym ci zadać pytanie.

Mattei poprzestała na skinieniu.

– Chodzi mi o to, co było napisane na blankiecie o tajemnicy służbowej, który musiałem podpisać. Czy to wszystko prawda? Takie rzeczy naprawdę spotykają ludzi, którzy nie potrafią trzymać gęby na kłódkę?

– Tak – odparła Mattei. – To najprawdziwsza prawda. A ponieważ Ella kocha swojego tatę, a ja, przynajmniej na razie, nie znalazłam nikogo lepszego, proponuję, żebyś to zachował dla siebie.

– Kompletnie wariactwo – stwierdził Johan. – A ja myślałem, że Szwecja jest zwyczajnym demokratycznym państwem prawa. Poza tym mamy przecież rząd z czerwonymi i zielonymi.

– Nie myśl o tym, Johan – powiedziała Mattei. – Jeśli będziesz trzymał gębę na kłódkę, podreż to. A teraz mów. Jak to możliwe, że Louise Urqhart jest taka zadowolona?

Zgodnie z ogólnie przyjętym poglądem jej szowinistycznych kolegów, wyrażonym przez Lindę Martinez, największą szowinistyczną świnię ze wszystkich, wynika to z połączenia dobrego seksu z tą odrobiną pikanterii, którą Abbdo Khalid dodał jej zasadniczo pozbawionemu treści życiu.

– Dobrze zrozumiałem? – zapytał Johan. – Tak jest napisane w dokumencie, który mi dałaś. Większość z nich poznałem wcześniej, więc miałem pewne przypuszczenia.

– Tak, raczej tak. Linda na pewno tak uważa. Wiklander też. Na swój wiklanderowy sposób. Calle Lewenhaupt również. Chociaż on jest trochę

zawstydzony. To słodkie. No i jeszcze kilku innych. Nawet jeśli nie mieli zbyt wiele do powiedzenia.

– Bardziej się przychyliam do twojej opinii – stwierdził Johan. – Myślę, że pozostali zapominają o jednym.

– Co to takiego?

– Że seks jest nie tylko celem, ale i środkiem.

– Środkiem?

– Tak, dla kogoś, kto chce coś osiągnąć. Zapytaj dowolnego bystrego cynika, jeśli mi nie wierzysz.

Środkiem? Czy to może być takie proste? – zastanawiała się Mattei. Jasne, że tak. Jak można być tak cholernie durnym? – pomyślała.

– Jak można być tak cholernie durnym? – powtórzyła na głos.

– Rozumiem, że właśnie straciłem pracę – odparł Johan. – Tak czy inaczej, dzięki za wino.

– Nie – odparła Mattei. – Nie mówiłam o tobie. Miałam na myśli siebie. Jak można być tak durnym?

– Czyli zostaję na stanowisku zewnętrznego eksperta?

– Jak najbardziej, Johan. Dostaniesz nawet medal. Złoty. Ale to tajemnica, więc nie będziesz mógł go nikomu pokazywać. Na razie musi ci wystarczyć całus w usta.

W PIĄTEK piętnastego maja Linus Rasmusson otrzymał zadanie specjalne od swojej szefowej Lindy Martinez. Sprawa była bardziej tajna niż wszystkie inne tajne sprawy, nad którymi pracowali, więc mógł rozmawiać tylko z nią. Gdyby poczuł chęć pogadania z kimś innym, musiała mu na to pozwolić. Wszystko jedno, o co chodziło.

Dwa dni wcześniej – w środę trzynastego maja rano – nieobserwowany przez nikogo Abdo Khalid prawie trzy godziny przebywał w trójkącie pomiędzy Eskilstuną, Strängnäs i Malmköping. Martinez chciała wiedzieć, co wtedy porabiał. Czy się z kimś spotykał, czy coś odbierał, przywoził, a może po prostu znów wpadł na jakiś popieprzony pomysł? Jeśli robił coś, co nie miało najmniejszego związku z ich sprawą, też chciała to wiedzieć, żeby mogła odłożyć wszystko na bok.

Linus miał to ustalić za pomocą informacji uzyskanych w wyniku monitorowania ruchu telefonicznego i jej notatek z poprzedniego wieczoru, kiedy to odwiedziła najbardziej prawdopodobną lokalizację, w której telefon Khalida dwukrotnie nawiązał kontakt. Nic więcej nie mogła mu dać. Całą resztę musiał zrobić sam, i to szybko.

– Lubisz króla, prawda? – zapytała Martinez.

– Tak – odparł Linus z nieukrywanym zdziwieniem. – Bardzo szanuję jego zainteresowanie przyrodą, a po drugie, obaj jesteśmy starymi skautami. Wprawdzie Jego Wysokość jest ode mnie znacznie starszy, ale wśród skautów nie przywiązuje się zbyt dużej wagi do wieku. Wiedziałaś o tym?

– Widziałam w twoich aktach – skłamała Martinez.

– Bardzo podziwiam też królową, a zwłaszcza to, jak bardzo się angażuje na rzecz potrzebujących dzieci...

– Mam to w dupie, Linus – przerwała Martinez. – Ta sprawa jest ważniejsza. Właśnie dałam ci jedyną w swoim rodzaju szansę na uratowanie obojga.

Obszar pomiędzy Eskilstuną, Strängnäs i Malmköping obejmował ponad trzydzieści kilometrów kwadratowych. Było tu kilka tysięcy mieszkańców i kilka tysięcy telefonów komórkowych, z których wysyłano dziesiątki tysięcy wiadomości na dobę. Sprawdzenie chociaż jednego procenta było wykluczone. Linus Rasmusson oparł się więc na założeniu, że to, co robił Khalid, dotyczyło kogoś lub czegoś znajdującego się w pobliżu punktu, w którym telefony dwukrotnie nawiązały kontakt.

Wybrał najbardziej prawdopodobny punkt na mapie. Uznał go za środek okręgu o promieniu jednego kilometra. Wytyczony obszar miał powierzchnię ponad trzystu hektarów i według rejestru ludności było tam dziewięć gospodarstw domowych, w których mieszkało łącznie siedemnaście osób.

Jeżeli sprawa, którą Khalid załatwiał w tym miejscu, dotyczyła kogoś, kto tam mieszkał, było właściwie stuprocentowo pewne, że to ktoś z tej siedemnastki. To jak najbardziej możliwe do ustalenia, biorąc pod uwagę zarówno ramy czasowe, jak i koszty, pomyślał Linus. Od razu zrobiło mu się lżej na duchu.

O ile Abbdo Khalid nie umówił się w tym miejscu na spotkanie z kimś, kto mieszkał gdzieś indziej, albo nie wykombinował czegoś, co nie miało związku z miejscem. Wtedy będzie mógł tylko powiedzieć sobie „bierz, co ci dają”. Jeśli wziąć pod uwagę porę roku, nie mogło chodzić o zbieranie jagód ani grzybów, z wyjątkiem piestrzenicy kasztanowatej, choć w coraz grubszych aktach Khalida nie było nic, co pozwalałoby przypuszczać, że przywiodło go tam zainteresowanie florą i fauną Sörmlandii. Ani tym bardziej że był obserwatorem ptaków, tak jak on. A już na pewno nie przyjechał tam po to, żeby obejrzeć chroniony pomnik przyrody – znajdujący się w pobliżu głąz runiczny.

Bierz, co ci dają, albo będziesz ugotowany, powiedział sobie Linus. Wolał nawet nie myśleć, co mogłoby się stać z jego zainteresowanym przyrodą królem i zaangażowaną społecznie królową. Był sam w pokoju, więc dla pewności powtórzył to jeszcze na głos.

– Bierz, co ci dają.

Spędził ponad trzy doby na dowiadywaniu się wszystkiego, czego tylko mógł się

dowiedzieć, nie pytając samych zainteresowanych. W późny poniedziałkowy wieczór osiemnastego maja miał już za sobą wstępne wewnętrzne dochodzenia. Podsumował je w notatce służbowej liczącej trzydzieści jeden stron, którą tuż przed północą wysłał mailem do swojej przełożonej, Lindy Martinez.

Odpowiedziała tuż po siódmej rano następnego dnia. Chciała się z nim spotkać od razu, najpóźniej za pół godziny. Po dwudziestu minutach wszedł do jej gabinetu. Martinez nic nie powiedziała. Wskazała głową krzesło naprzeciwko swojego biurka i cały czas czytała coś z ekranu. Wyglądała na niezadowoloną.

– Szefowa czyta moją notatkę – powiedział Linus.

Próbował rozluźnić atmosferę i jednocześnie zaznaczyć, że traktuje ją z szacunkiem.

– Trzydzieści jeden stron – odezwała się Martinez. – Czyś ty zgłupiał? Jak ja mam z tym zdążyć? Streść mi to. Masz pięć minut.

– Okej – odparł Linus.

Siedemnaście osób w dziewięciu gospodarstwach domowych. Wszyscy są Szwedami, żaden nie był karany, pięcioro to dzieci poniżej piętnastego roku życia, a dziewięcioro jest na emeryturze, z czego sześćcioro ma siedemdziesiąt pięć lat albo więcej. Najstarsi mają osiemdziesiąt dziewięć i dziewięćdziesiąt pięć lat i od roku przebywają w domu opieki.

Potem Linus uporządkował ich według tego, jak bardzo prawdopodobne jest ich współdziałanie z kimś takim jak Khalid. Zrobił to na podstawie wiedzy na ich temat i przyjętych zasad kryminologii. Pozostawał jeszcze jeden praktyczny policyjny problem.

– Jaki? – zapytała Martinez.

– Żadne z nich nie może działać z kimś takim. Nikt mi nie zostaje, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– Jak to „nikt”?

– Nikt, jeśli się weźmie pod uwagę to, co on zamierza – uściślił.

– Daj mi jakiś przykład – poleciła Martinez.

Linus odparł, że w zasadzie wszyscy mieszkańcy są dobrym przykładem.

Najlepszym jest chyba najstarsza osoba w rodzinie – dziewięćdziesięcioletnia kobieta, która od śmierci męża przez ostatnie dwadzieścia lat mieszkała sama. Niewielkie gospodarstwo, na którego terenie mieścił się jej dom, leżało około dwustu metrów od punktu przecięcia, który wytyczyli podczas analizy połączeń z masztami telekomunikacyjnymi. Ubiegłego lata miała wylew i od dziewięciu miesięcy przebywała w domu opieki. Co ktoś taki jak ona mógłby mieć wspólnego z kimś takim jak Abbd Khalid?

– A co ci nie pasuje? – spytała Martinez. – Moim zdaniem to brzmi doskonale.

– Hmm – odparł Linus. – Nie bardzo rozumiem.

– Domyślam się – przerwała Martinez. – Widać, że nie rozumiesz nic a nic. Przypuśćmy, że potrzebujesz lokalu, żeby przechować coś, czego nie możesz trzymać w domu. Mam tu na myśli wszystko, od ziemianki po zwykły dom, który stoi pusty i nie ma w pobliżu żadnych ciekawskich sąsiadów. Rok temu ktoś taki jak ona, błądzący we mgle, musiał być wręcz idealny. Nie można sobie wyobrazić lepszej gospodyni. Poza tym wszystko jest gratis, bo nie ma pojęcia, co się dzieje w jej starej chałupie.

– Rozumiem, co masz na myśli – stwierdził Linus.

– To dobrze – odparła Martinez.

– Jak myślisz, co powinniśmy zrobić dalej?

– Nie my. Ty powinienes pogadać z Frankiem. Potrzebował pomocy. Jeżeli przyjdzie mi do głowy coś jeszcze, co mógłbyś zrobić, to się odezwę. Zrozumiano?

– Tak jest, szefowo. Dziękuję, szefowo.

– Chociaż tyle – odparła Linda Martinez.

Jak zrobić następny krok? – zastanawiała się.

Prawie kwadrans analizowała sprawę pod różnymi kątami, aż w końcu podjęła decyzję. Zadzwoniła do ich człowieka w eskilstuńskiej policji – szefa pionu operacyjnego, Larsa Eskilssona.

Eskilsson odebrał zwyczajowym chrząknięciem. Dla kogoś, kto go znał, był to jasny sygnał, że się dodzwonił.

– Jak tam, Eskil? – zagaiła Linda Martinez. – Fajnie słyszeć, że dobrze się

czujesz.

– W czym mogę ci pomóc, Lindo?

– Po pierwsze, chciałabym pożyczyć od ciebie zwykłe policyjne auto. Mały bus, radiowóz, cokolwiek z napisem „policja”. Wystarczy, że będzie jeździł. Nie chcemy nikogo ścigać.

– Na jak długo go potrzebujesz?

– Maksymalnie na trzy dni – odparła Martinez. – Najlepiej od zaraz.

– Coś jeszcze?

– Może jeszcze takie ulotki o zapobieganiu przestępczości, które zawsze wciskasz ludziom.

– Mam tego na tony.

– Wystarczy skrzynka – odparła Martinez.

– Do zobaczenia za godzinę – powiedział Eskilsson i się rozłączył.

Eskil jest dobry, pomyślała Martinez. Naprawdę się spisuje, a nie tylko pieprzy.

Martinez jest dobra, pomyślał Lars Eskilsson. Nie gędzi bez potrzeby. No i do tego jest ładna.

LISA MATTEI weszła do swojego gabinetu już o siódmej rano. Po raz pierwszy od rozpoczęcia śledztwa czuła, że aktywnie w nim uczestniczy. Wreszcie jestem w grze, pomyślała. Miała dobry humor, wręcz chciało jej się chichotać. Na przykład wtedy, kiedy wyłączyła telefon, żeby zostać sam na sam z myślami. Wreszcie same, pomyślała. Wyjęła kartkę i długopis, to zawsze pomagało jej się skupić. Zwłaszcza teraz, kiedy jej myśli musiały wykraczać poza słynny szablon.

Szablon był anglosaski, oparty na spostrzeżeniach empirycznych i logicznym myśleniu. Anglosaska filozofia zdrowego rozsądku była jej bliska. To będzie zwykły kwadrat, pomyślała i na białej kartce A4 narysowała kwadrat o boku około dziesięciu centymetrów.

W środku jest Abbdo Khalid, pomyślała i starannie wpisała jego imię. Dlaczego? Dlatego, że Jeremy Alexander tak mówi, odpowiedziała sobie w myślach. Z powodu tego, kim był Alexander i co mówił na temat Khalida, znalazł się poza kwadratem. Mattei napisała jego nazwisko na wysokości nazwiska Khalida.

Nie był tam sam. Towarzyszył mu też „amerykański przyjaciel”, na którego ciągle się powoływał. I wszyscy inni, którzy w różnych służbach bezpieczeństwa w krajach zachodnich zajmowali się tym samym co on. Od ponad tygodnia także Lisa Mattei i jej koledzy z Säpo. Tym, kto ulokował ją po tej stronie, był Jeremy Alexander z MI6. Ten sam, który umieścił bombera Khalida w narysowanym przez nią przed chwilą kwadracie.

Siedział w środku. Wyglądał na samotnego, być może towarzyszyła mu jedna osoba. Louise Urqhart, która rzekomo miała być jego kobietą, choć wypowiedzi Alexandra na jej temat z całą pewnością nie były tak jednoznaczne jak te dotyczące Khalida. Przypadkowe spotkanie z Urqhart, kiedy wynajmowała mu mieszkanie, nagły wybuch pożądania, odrobina pieprzu w pozbawionym treści życiu. A więc także powinna trafić do kwadratu – tego chciałby Alexander.



Mattei w zamyśleniu odłożyła długopis. A może jest odwrotnie, zastanawiała się. Może to Louise Urqhart pracowała dla Alexandra. Może była jego szpiegiem, motorem napędowym operacji wywiadowczej, którą prowadził. Tym czymś, co było tak ważne, że pozostałe kwestie musiały poczekać. Powodem, dla którego nie mógł nawet napomknąć, o co w tym wszystkim chodzi. To przynajmniej wyjaśniałoby jedno, pomyślała Lisa Mattei. Dlaczego Louise Urqhart była tak zadowolona na zdjęciach, które widziałam.

A nawet więcej niż zadowolona. Mattei wzięła do ręki długopis i napisała jej nazwisko pod nazwiskiem Jeremy'ego Alexandra. Zakreśliła oba nazwiska kółkiem i poprowadziła strzałkę od nazwiska Urqhart do kwadratu. Jeszcze raz napisała jej nazwisko pod Abdullahem Mohammedem Khalidem. Oba zakreśliła kolejnym kółkiem.

Znów odłożyła długopis. Oparła się na krzesło i zaczęła pocierać skronie prawą dłonią. Po wszystkim, co sobie pomyślała i zapisała na kartce, nie było jej już ani trochę do śmiechu.

To by było kompletnie nieludzkie, myślała. Poza tym zupełnie niezrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę, co się stało w Manchesterze kilka miesięcy wcześniej. Jeśli Urqhart pracowała dla Alexandra, musiała dla niego pracować już w czasie pierwszego spotkania z Khalidem, ponad pół roku przed zamachem. Zginęło w nim dziewięć osób, a jeszcze więcej odniosło poważne obrażenia. Dlaczego go nie udaremнили?

Bo Alexander nie wiedział, co się stanie? Bo to nie oni, lecz komórka antyterrorystyczna pocziwego Scotland Yardu obserwowała Khalida i jego kolegów, którzy doprowadzili do wybuchu pod Old Trafford? Bo późno i w zasadzie przypadkiem, jak sam to opisywał, dowiedział się o istnieniu Khalida?

Nie ma mowy, pomyślała Mattei. Jeśli Urqhart naprawdę pracowała dla Alexandra, były tylko dwie możliwości: to, nad czym pracowali, było tak wielkie i ważne, że uświęcało wszystkie środki, albo sama przestawała już rozumieć, co się dzieje, a to z powodu choroby zawodowej, która prędzej czy później dopadała każdego z nich.

Co mam teraz robić? – myślała.

Mogła oczywiście do niego zadzwonić, wykorzystując ich własną tajną linię telefoniczną – owo „praktyczne ustrojstwo”, które pozwalało widzieć rozmówcę – i opowiedzieć, do czego doszła. Wyjaśnić, że przyszło jej to do głowy, kiedy zobaczyła, jak bardzo szczęśliwa wydawała się Louise Urqhart, choć nie miała ku temu powodu. Że zamierza „upiec Jeremy’ego Alexandra na rożnie”, więc zwyczajowymi kanałami skontaktowała się z wiarygodnymi przedstawicielami mediów i polityki w jego ojczyźnie i poinformowała o roli, jaką odegrał w „niepojętej tragedii przed Teatrem Snów” kilka miesięcy wcześniej.

Ciekawe, co wtedy pocznie kochany Jeremy, pomyślała. Zrobi zmartwioną minę, pokręci głową, przyjaźnie się uśmiechnie i powie, że bardzo się o nią martwi, kiedy słyszy coś takiego. Zakończy rozmowę zwyczajowymi formułkami grzecznościowymi, zabierze nagranie tejże rozmowy, którą, jak się akurat składa, przeprowadzili po angielsku, i pokaże swojemu najwyższemu przełożonemu, ministrowi spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, Philipowi Hammondowi.

Szalona Szwedka, co gorsza wiceszefowa szwedzkiej policji bezpieczeństwa, grozi obaleniem i zagładą całego brytyjskiego rządu, a może i narodu. On zaś nie będzie w stanie wykluczyć, że do pewnego stopnia może jej się to udać – wystarczy spojrzeć, co się działo w przeszłości, kiedy do głosu dochodzili mniej lub bardziej szaleni sygnaliści.

Philip Hammond ma wiedzę historyczną. I dobrą pamięć, więc nie będzie miał problemu z przypomnieniem sobie tarapatów, w jakie wpadł Tony Blair, kiedy bronił inwazji Stanów Zjednoczonych na Irak, tłumacząc, że Saddam Husajn miał dostęp do broni masowego rażenia, w tym jądrowej. Dlatego on i Alexander niezwłocznie udadzą się na Downing Street 10, żeby poinformować premiera Davida Camerona o zbliżającej się katastrofie politycznej.

David Cameron jest doświadczonym politykiem. Dobrze wie, że co innego oskarżyć państwo totalitarne z Bliskiego Wschodu przy użyciu argumentów politycznych, które później okażą się fałszywe, a co innego z zimną krwią pozwolić, żeby muzułmańscy terroryści zabili sześciu obywateli brytyjskich w ich własnym

kraju, z czego większość stanowili w dodatku policjanci. To idealny przepis na katastrofę polityczną.

Natychmiast nawiąże kontakt z premierem Szwecji, Stefanem Löfvenem – prostym, ale porządnym i uczciwym facetem, którego zna i któremu ufa. Zrobi wszystko, żeby i on poznał treść jej rozmowy z Alexandrem. Okaze się, że na stanowisku szefowej policji bezpieczeństwa Löfven trzyma wariatkę, która właśnie wypowiedziała wojnę przyjaźnie nastawionemu państwu. Na własną rękę i stosując argumentację, której, miejmy nadzieję, nikt nie podziela.

Jakby biedny Stefan nie miał własnych problemów u siebie, pomyślała Lisa Mattei. Raczej się nie ucieszy. Na kolejny bukiet od szefa też nie będzie miała co liczyć. Bardziej prawdopodobne było to, że w ciągu godziny zabiorą ją na oddział psychiatryczny szpitala w Huddinge, przypną do łóżka i zaaplikują końską dawkę środków uspokajających. Dołączy do niej mąż Johan, jak tylko jej koledzy dojdą do tego, że to on – najwyraźniej równie znikowany pan od kultury – wpoił jej kompletnie szalone motywy tego, co właśnie zrobiła. To, że na oddziale męskim w sąsiednim korytarzu leżałby Johan, było marnym pocieszeniem. Nie potrafiła nawet myśleć, jak by to przeżyła mała Ella.

Po nadzianiu Jeremy’ego Alexandra na rożen nie wystarczy delikatny ogień. Tym bardziej jeśli chce się go podsycić jedynie mocą swojego przekonania. Nie potrzebowała Larsa Martina Johanssona, żeby zdać sobie z tego sprawę.

Pozostaje tylko załatwić porządną ilość drewna, pomyślała. Jeżeli się okaże, że nie miała racji, że praca spowodowała u niej utratę rozumu, w najgorszym wypadku złoży wypowiedzenie i zajmie się czymś innym. Niech tak będzie, pomyślała. Zadzwoiła do Callego Lewenhaupta i powiedziała, że musi się z nim natychmiast zobaczyć.

KOLEGA ESKILSSON z policji w Eskilstunie zjawił się w przytulnym gniazdku Lindy Martinez przy Lidgatan o umówionej porze. Pięć minut wcześniej zadzwonił do niej i poprosił, żeby otworzyła drzwi do garażu – chciał od razu wjechać, żeby stojący na ulicy policyjny bus nie przyciągał uwagi okolicznych mieszkańców.

– Najwyraźniej uważasz mnie za głupią, Eskil – odparła Martinez. – Garaż jest szeroko otwarty od czasu naszej rozmowy godzinę temu.

Bus marki Volkswagen co prawda dni świetności miał już za sobą, ale do celu Martinez nadawał się idealnie. Przed wyjazdem z komisariatu Eskilsson wydrukował plakietkę i przykleił po wewnętrznej stronie przedniej szyby. Widniało na niej hasło BEZPIECZNI W SÖRMLANDII, a poniżej, drobniejszym drukiem, zapisana była informacja, że akcję prowadzi oddział eskilstuńskiej policji do spraw zapobiegania przestępczości. Pudełko ulotek na ten temat stało na tylnym siedzeniu busa. Poza tym Eskilsson wziął karton policyjnych misiów znaleziony w składziku, do którego zszedł po ulotki.

– Policyjne misie – powiedziała Martinez i pytająco pokręciła głową.

– Policyjny miś Björne – uściślił Eskilsson. – Jeden z małych pluszaków w mundurach, które poprzedni komendant główny policji wprowadził już w latach dziewięćdziesiątych.

Jak twierdził Eriksson, był to jedyny trwały wkład tego człowieka w działalność operacyjną szwedzkiej policji. Ich twórca miał na imię Björn – można było bezpiecznie założyć, że to stąd zaczerpnął pomysł. Tak czy inaczej, to było jeszcze przed kadencją Martinez. Eskilsson czuł ulgę, że wreszcie się pozbędzie tego gówna.

Bus, niedźwiedzie, ulotki i plakietka, którą Eskilsson wymyślił sam. Gdyby potrzebowała czegoś więcej, wystarczyło krzyknąć.

Na razie nie potrzebowała. Podziękowała gorąco za to, co już jej dał,

i zawiadomiła, że posterunkowe, które mają jechać busem, zostały już wyznaczone.

Eskilsson staje na wysokości zadania, pomyślała. Dziwne, że go jeszcze nie zwolnili.

Posterunkowe, które wyznaczyła Linda Martinez, nazywały się Kajsa Nilsson i Lina Jonsson. Były jasnowłose, wysportowane i atrakcyjne. Wyglądały po prostu jak wiele młodych funkcjonariuszek policji porządkowej. Martinez zwerbowała je do Säpo, bo obie sprawdziły się doskonale, kiedy prowadziła obserwację prawicowych ekstremistów w ich okolicach.

Wysłanie ich do meczetu we Fröslundzie byłoby katastrofalnym pomysłem, ale do tego zadania pasowały jak ulał. Martinez poprosiła, żeby w ramach przykrywkę włożyły policyjne mundury. Ich działalność polegała na zapobieganiu przestępczości w wiejskim zakątku Sörmlandii.

Miały rozmawiać z mieszkańcami, rozdawać ulotki i misie i przekazywać informacje o zapobieganiu przestępczości – tak by nikt nawet nie podejrzewał, że chodzi o coś zupełnie innego. Czekają na nie dwadzieścia kilka osób i około stu budynków. Od zwykłych domów mieszkalnych przez obory, stajnie i budynki rolnicze po ziemianki, stare przyczepy, a nawet wychodki. Miały sprawdzić, jak mieszkają ci ludzie i co miał tam do roboty Abdo Khalid. Musiały się śpieszyć. Martinez chciała wiedzieć wszystko najpóźniej w piątek rano.

– Spotkał się z kimś, kto tam mieszka. Coś odebrał, zostawił albo chciał zajrzeć do czegoś, co tam schował. Chcę wiedzieć, co kombinuje.

– Jak bardzo jesteś tego wszystkiego pewna, Lindo? – odezwała się Kajsa Nilsson.

– Daj spokój. – Martinez pokręciła głową. – Jasne, że coś kombinuje.

CALLE LEWENHAUPT najwyraźniej jest w gotowości, pomyślała Lisa Mattei. Zadzwoiła do niego zaledwie trzy minuty wcześniej, a już był na miejscu.

– Trzymaj – powiedziała i wręczyła mu świeżo wydrukowaną listę.

– Louise Urqhart, owa piękna Brytyjka, która rzekomo jest również kobietą Bombera – stwierdził Lewenhaupt, przebiegając wzrokiem dokument. – Twoje pytania sugerują, że masz teorię, dlaczego wydaje się taka zadowolona na filmach, które razem oglądaliśmy.

– Jak tylko zadajesz pytanie, zdradzasz coś o sobie i o tym, ile wiesz – stwierdziła Mattei.

– Coś w tym stylu – zgodził się Lewenhaupt. – Jeżeli wiesz, czego szukać, łatwiej ci to znaleźć.

– Tak, też o tym myślałam.

– No więc?

– Nie – Mattei pokręciła głową. – Nie tym razem. Teraz zależy mi na szukaniu bez żadnych założeń wstępnych. Chcę wiedzieć, do czego dojdiesz, jeśli na nic cię nie naprowadzę.

– Rozumiem – odparł Calle Lewenhaupt. – Złowieszco to zabrzmiało. Coś jeszcze?

– Nie – odparła Mattei.

Już i tak jest wystarczająco źle, dodała w myślach.

Jeśli nie liczyć przerwy na lunch, Mattei spędziła resztę dnia na tym, co zwykle dało się podsumować jako „prace administracyjne”. Ponieważ chodziło o grupę śledczych liczącą ponad pięćdziesiąt osób, wymagało to czasu, rozmów telefonicznych i wymiany maili z zainteresowanymi. Praktycznych czynności związanych z personelem, pieniędzmi, wyposażeniem i kwestiami prawniczymi. Wszystkiego, co

pokazywało, że jest częścią prawdziwego świata, i na co jej fikcyjne odpowiedniczki z filmu i telewizji nigdy nie musiały poświęcać ani minuty.

Na koniec, przed wyjazdem do domu, gdzie czekali Ella i Johan, przeczytała akta Heleny Palmgren. Interesująca kobieta, przemknęło jej przez głowę. Powinnam z nią spokojnie porozmawiać.

Śniło jej się śledztwo – wiedziała z doświadczenia, że nie ma czytelniejszego sygnału świadczącego o tym, że jest w grze, niż to, że kontynuowała pracę nawet podczas snu. Choć ze względu na to, jak zwykle wyglądały jej sny, najchętniej by ją przerwała.

Była w ciemnym pokoju i z pewnej odległości obserwowała trzy osoby. Żadna z nich jej nie widziała. Pośrodku stał Abbdo Khalid. Miał długie, ostre paznokcie, jak Staś Straszycło. Wystarczająco ostre, żeby zrobić krzywdę wrogowi. Podnosił ręce i z dumą pokazywał je kobiecie, która stała przed nim. Louise Urqhart.

A ona wyglądała na bardziej niż zadowoloną. Zachęcająco kiwała głową Khalidowi, który nie odrywał od niej wzroku.

Nie widział za to Jeremy'ego Alexandra, który stał za jego plecami. Nie widział też wielkich nożyczek w jego prawej dłoni. Ani tym bardziej krawata w różowe słonie wędrujące po niebieskiej sawannie.

KAJA NILSSON i Lina Jonsson już w busie zaczęły się kłócić o to, jak mają wykonać przydzielone im zadanie w wiejskim zakątku Sörmlandii. Lina uważała, że wytyczne były oczywiste. Powinny zacząć od tych, którzy mieszkali najbliżej środka okręgu, i stamtąd przemieszczać się na peryferie.

– Dlaczego? – spytała Kajsa Nilsson i potrząsnęła jasną głową. – Moim zdaniem powinniśmy zrobić dokładnie na odwrót.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi. Przecież prawdopodobieństwo, że człowiek, z którym Abdo załatwiał interesy, mieszka w centrum okręgu, jest większe niż to, że mieszka na peryferiach – stwierdziła Lina. – Zaczniemy od domów położonych najbliżej punktu przecięcia. Z czym masz problem?

Kajsa uznała, że problemów jest więcej niż jeden. Skoro i tak musiały porozmawiać ze wszystkimi mieszkańcami i sprawdzić wszystkie budynki na tym obszarze, zdecydowanie powinny zrobić dokładnie odwrotnie, żeby niepotrzebnie nie wzbudzać czujności ludzi, których szukali. Poza tym to pozytywnie wpłynie na ich morale, bo prawdopodobieństwo, że trafią, z każdą chwilą będzie rosło.

– No to co robimy? – spytała Lina z westchnieniem.

– To, co mówię – zarządziła Kajsa. – Zaczniemy od rodziny z tymi wszystkimi dzieciakami. Jeśli dopisze nam szczęście i będą w domu, uporamy się z ponad połową tamtejszych mieszkańców.

– Jedną trzecią – poprawiła ją Lina. – Zawsze przesadzasz.

– Przestań zrędzić. Jedna trzecia mieszka w domu, który sprawdzimy, a reszta jest rozproszona po co najmniej ośmiu innych. W czym problem?

– Okej, okej.

Miały szczęście. Wszyscy byli w domu. Ojciec, matka i czwórka dzieci, z których jedno jesienią miało zacząć chodzić do szkoły. Tego dnia towarzyszyło im dwóch



małych kolegów, którzy mieszkali w okolicy. Dwoje dorosłych i sześcioro dzieci. Wszyscy siedzieli w kuchni i właśnie kończyli lunch, kiedy Kajsa i Lina zapukały do drzwi i przedstawiły sprawę. Kampanię dotyczącą zapobiegania przestępczości, pod nazwą „Bezpieczni w Sörmlandii”, przy której pracowały.

Mieszkańcy domu nie mieli do zaproponowania żadnych przestępstw. Właśnie ze względu na przestępczość kilka lat wcześniej przeprowadzili się ze Sztokholmu na wieś, do Sörmlandii. Mogli za to zaprosić na kawę, herbatę, domowej roboty sok, kanapki i jabłecznik – wprawdzie nie domowy, ale i tak smaczny. Kajsa i Lisa oczywiście skorzystały z propozycji i usiadły przy stole, a gospodarze, nie czekając na pytania, sami zaczęli opowiadać o przyjemnym życiu na wsi.

Trzy lata temu sprzedali mieszkanie własnościowe w Sztokholmie. Zostawili za sobą pośpiech, stres, wszelkie wyziewy i inne trucizny i kupili dziesięciohektarowe gospodarstwo z ponaddwukrotnie większym domem, który zresztą kosztował zaledwie połowę kwoty, którą dostali za mieszkanie na Birkastan. Matka pracowała zdalnie na część etatu jako web designerka w tej samej firmie informatycznej, w której pracowała na cały etat, kiedy mieszkali w mieście, z tą różnicą, że teraz to ona rządziła pracą, a nie odwrotnie.

Ojciec rodziny wykonywał wszystkie praktyczne czynności w ich małym gospodarstwie. Mieli własną świnię, własne kury, okazałe pole ziemniaków, duży ogródek przydomowy, sad i krzewy owocowe. Wszystko, czego potrzebowali, a nawet więcej, jak stwierdził w rozmowie z Kajszą i Liną. Trzy hektary dobrej ziemi wystarczyły, żeby wyżywić rodzinę tej wielkości. Poza tym wciąż miał nowe projekty. Właśnie kupił i rozstawił ule, a w przyszłym roku zamierzał zacząć hodowlę owiec. Oczywiście miał psa i kota, a labradorka, z którą już zdążyły się przywitać, za miesiąc miała się oszczenić.

– Nie jesteśmy wegetarianami – wyjaśnił ojciec. – Chętnie jemy mięso, ryby i jajka, ale ekologiczne, najlepiej oczywiście domowe, choć w tym zakresie też na szczęście jesteśmy zaopatrzeni.

– Lepszego życia nie można sobie wyobrazić – oznajmiła jego żona i posłała gościom przyjazny uśmiech.

– Tak, to brzmi naprawdę fantastycznie – zgodziła się Kajsa i odpowiedziała śnieżnobiałym uśmiechem.

Dopóki nie stracisz głowy dla jakiegoś nowego faceta, pomyślała.

– Naprawdę fantastycznie – powtórzyła Lina i też się uśmiechnęła.

Dopóki twój facet nie zacznie się uganiać za inną, pomyślała.

Rozdały misie i broszurki i poszły obejrzeć budynki w małym gospodarstwie. Tym razem również inicjatywę przejęli gospodarze. Nie żeby się bali przestępców – drzwi w gospodarstwie prawie zawsze były otwarte – po prostu chcieli pokazać, jak pięknie mieszkają. Pokazali kurnik, chlew, oborę, nową szklarnię, a nawet stary rozpadający się wychodek, który zostawili, żeby zachować pierwotną atmosferę tego miejsca. Ojciec rodziny zamierzał odnowić go latem.

– Co ty na to, żeby skreślić ich z listy możliwych kontaktów Abbda Khalida? – spytała Lisa, kiedy odjeżdżały. – Nie wydaje mi się, żeby tacy Zieloni byli w jego stylu.

– W pełni się z tobą zgadzam – oświadczyła Kajsa. – Poza tym sądzę, że miałyby cholerny problem z ich psem i świnią. A jak to jest z kotami?

– To znaczy?

– Chodzi mi o takich jak Abbd. Lubią koty?

– Skąd mam to wiedzieć – odparła Lina.

– Przepraszam.

– Proponuję, żebyś sama go zapytała. Poza tym mamy problem – stwierdziła Lina.

– Jaki?

– Prawie skończyły nam się misie. Nawet ich kundel dostał jednego. Zostały nam tylko trzy.

– Martwisz się, że nie wystarczy dla wszystkich emerytów? Daj spokój – jęknęła Kajsa.

Następną osobą na ich liście była dziewięćdziesięciopięcioletnia kobieta, która rok wcześniej trafiła do domu opieki. Także i tym razem dom nie był pusty. Jak tylko

skręciły na dziedziniec, zobaczyły starszego mężczyznę koszącego trawę. Przedstawił się jako sąsiad i wyjaśnił, że dogląda domu. Usiedli w ogrodzie, żeby porozmawiać, on zaproponował „paniom posterunkowym” kawę i cynamonowe bułeczki i wyraził ubolewanie, że niepotrzebnie robiły sobie kłopot. To, co spotkało jego dawną sąsiadkę, jest bardzo przykre. Do ostatnich chwil była żwawa. Jeśli chodzi o przestępczość, właściwie nigdy się nie skarżyli.

– Byłem u pośrednika w Åkers Styckebruk, w innej sprawie, i dowiedziałem się, że jej wnuki już próbują sprzedać dom. Wstyd i hańba, jeśli chcecie znać moje zdanie. Przecież ona jeszcze żyje.

Podziękował za ulotki, misia mu nie proponowały. Był za to chętny pokazać im dom, skoro już zadały sobie trud i przyjechały. Wyjaśnił, że sam umieścił nową kłódkę na drzwiach składzika. Nie uważał, że jest potrzebna, ale po prostu nie miał czasu zaglądać do domu dawnej sąsiadki częściej niż raz w tygodniu.

– Tu jest spokojnie jak na rybach – podsumował.

Kolejni starsi ludzie, którzy mieszkali w okolicy, też nie mieli nic ciekawego do powiedzenia, choć dwoje przyjęło ulotki, a jedna osoba nawet poprosiła o policyjnego misia Björnego, bo chciała go dać wnuczce, kiedy przyjdzie do niej w odwiedziny.

Na koniec dnia odwiedzili trzydziestopięcioletnią kobietę, która mieszkała z dwunastoletnią córką. Wprowadziła się tam kilka lat wcześniej w związku z rozwodem, a wybrała to miejsce ze względu na pasję, którą dzieliła z córką.

– Jazda konna – wyjaśniła. – Obie szalejemy za końmi, a tu niedaleko jest doskonały ośrodek jeździecki.

Poza tym nie miała nic do zgłoszenia, nie przypominała sobie, żeby cokolwiek niepokoiło ją albo córkę. Kiedy Lina zaproponowała córce misia, ta tylko przewróciła oczami i pokręciła głową.

– Ja chętnie wezmę, jeśli można – powiedziała mama i się uśmiechnęła, żeby załagodzić sytuację. – Mam przyjaciółkę, która pracuje na roli i ma małe dzieci.

– Proszę wziąć dwa, będzie pani miała jednego na zapas – odparła Kajsa i wręczyła jej karton.

Ten poprzedni komendant główny nie był chyba orłem intelektu, pomyślała.

– No dobra, co teraz? – zapytała Lina, jak tylko wróciły do busa.

– Ilu nam zostało? – odparła Kajsa.

– Jeszcze para emerytów koło siedemdziesiątki. I jakieś dziadziśko w wieku siedemdziesięciu siedmiu lat. Na szczęście samotne. Oni są najbliżej punktu przecięcia, o którym głądziła Linda. Czy to nie tam ma się dużo dziać?

– Tak myślę. Tylko oni mogą nam coś powiedzieć.

– Może zostawimy ich na jutro? Jestem głodna.

– Zgadzam się – odparła Kajsa. – Jedziemy do Eskilstuny. Jeść i spać. Piwka też bym się zresztą napiła. Jutro rano tu wrócimy i rozwiążemy całą sprawę.

PODCZAS GDY Kajsa Nilsson i Lina Jonsson prowadziły działania wywiadowcze w wiejskim zakątku urokliwej Sörmlandii, ich szefowa Linda Martinez znajdowała się przed meczetem w Nyfors w Eskilstunie. Siedziała koło Franka Motoelego w jego czarnym bmw, a byli tam, bo chciała się przyjrzeć z bliska ojcu Bombera – Mohammedowi Khalidowi Husseinowi. Odkąd kilka dni wcześniej Calle Lewenhaupt wypowiedział się na jego temat, ojciec był przedmiotem równie szczegółowej obserwacji co syn. Oby miał rację, inaczej uduszę tego małego snoba, pomyślała Martinez. Zaczynała mieć już dosyć ludzi.

– Dlaczego chodzi do meczetu tu, w Nyfors? – zapytała swojego kierowcy. – Myślałam, że on i jego rodzina należą do świątyni we Fröslundzie. Tutaj przychodzą raczej ci z Państwa Islamskiego.

– Głównie muzułmanie z Bliskiego Wschodu – potwierdził Motoele. – Ale też inni. Mohammed odwiedza go mniej więcej raz w tygodniu. Często wtedy, kiedy ma się spotkać z młodszym bratem, który mieszka w Nyfors.

– Przypomnij mi, jak się nazywa ten brat.

– Ibrahim Khalid Hussein.

– Ile ma dzieci?

– Dziesięcioro – odparł Frank Motoele. – Pięciu chłopców i pięć dziewczynek. Z dwiema żonami. Ale z pewnością może być ich więcej. Druga żona jest od niego o połowę młodsza.

– Jak, do cholery, można mieć dziesięcioro dzieci? – spytała Linda Martinez. Wcześniej postanowiła, że nigdy nie będzie miała dzieci. – Ci islamowcy muszą je kochać.

– Jimmie Åkesson i jego koledzy ze Szwedzkich Demokratów uważają inaczej. Robią tyle dzieciaków, żeby reszta stała się mniejszością. I gotowe.

– Po co komu ta władza – powiedziała Martinez. – Skoro w domu ma się

kilkanaście dzieciaków.

– Pogadaj o tym z Åkessonem – odparł Motoele. – O, zobacz, tam jest – dodał po chwili i wskazał głową drzwi meczetu po drugiej stronie ulicy, jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. – Tatuś Mohammed to ten w ciemnoszarym garniturze. Ten drugi, w czarnej marynarce, małej białej czapeczce i białej koszuli wypuszczonej na portki, to jego brat, Ibrahim.

– Mohammed dobrze wygląda – stwierdziła Martinez. – Przypomina mi tego amerykańskiego aktora. Jak on się nazywa?

– Może chodzi ci o Morgana Freemana – podsunął Motoele.

– Tak, o niego. Przystojny facet, ma w sobie jakąś taką pewność siebie.

– Widzisz go po raz pierwszy?

– Na żywo tak. Wcześniej widziałam go tylko na zdjęciach. A to co innego.

– Wiem, co masz na myśli – odparł Motoele.

Dobrze skrojony ciemnoszary garnitur, biała koszula i krawat. Krótkie włosy przyprószone siwizną. Niemal västerländzki sposób bycia. Wygląda jak odnoszący sukcesy biznesmen, którym zresztą jest mimo czarnej skóry, pomyślała Martinez. Naturalny autorytet, jeśli sądzić po mowie ciała i sposobie bycia.

– Nie ulega wątpliwości, kto w tej rodzinie podejmuje decyzje.

– Mohammed decyduje o wszystkim. Nie tylko w rodzinie czy rodzie. Wygląda na to, że to bardzo ważna postać wśród muzułmanów w Eskilstunie.

– A jego brat? – odparła.

Tylko nie kolejny, dodała w myślach.

– Nie wydaje mi się – Frank Motoele pokręcił głową. – Podsluchujemy jego połączenia telekomunikacyjne. Poza tym zamontowaliśmy mu pluskwę w aucie. Nie odkryliśmy nic, co by mnie zaalarmowało.

– A tych dziesięcioro dzieci? Co możesz o nich powiedzieć?

– Czwooro pracuje u wujka. Dwie dziewczyny są sprzedawczyniami w sklepie Mohammeda, a dwóch chłopaków pracuje w tej jego restauracji.

– Nikt się nie wyróżnia?

– Nie – odparł Motoele. – Najstarszy chłopak był zdaje się najlepszym kumplem

Abbda ze szkoły w Eskilstunie. Są zresztą równolatkami. On też ma dwadzieścia osiem lat. Nazywa się Awale Ibrahim Khalid. W szkole mówili na niego Avve. Abbdo i Avve. Wielu ich dawnych nauczycieli myślało zresztą, że to bracia, bo byli tak podobni i nosili to samo nazwisko.

– Kuzyn był jego najlepszym kumplem w szkole?

– Tak. Ale z jego powodu też nie masz co się podniecać.

– Czym się zajmuje?

– Zaczynijmy od tego, że mieszka w Sztokholmie – powiedział Motoele. – Gra w piłkę w lidze Allsvenskan. Jest zawodnikiem Djurgården.

– Allsvenskan. Musi być dobry.

– Prawdę mówiąc, kiedyś był lepszy. Teraz najczęściej grzeje ławkę. Wygląda na wesołego gościa. Nie jakiegoś świra uzależnionego od treningów. Ponoć ma fenomenalne wyczucie piłki. Awale oznacza zresztą „szczęśliwy”. Po arabsku. Sprawdziłem, bo ten cały hrabia ciągle chrzani, że imiona oznaczają u nich mnóstwo różnych rzeczy. Awale wygląda na szczęśliwego gnojka, więc najwyraźniej zadziałało. On i Abbdo w zasadzie przestali się ze sobą trzymać po dziewiątej klasie. Abbdo poszedł do liceum. Jego kuzyn Avve kopał piłkę. Poza tym ponoć uganiał się za dziewczynami.

– Czyli możemy dać sobie z nim spokój? Szczęśliwy gnojek uganiający się za dziewczynami to chyba nie przestępstwo.

– Myślę, że nie – odparł Frank. – Mam śledzić Mohammeda i jego braciaka? Chyba idą do samochodu.

– Nie – odparła Martinez. – Odwieź mnie do chaty. Mam mnóstwo papierów, którymi muszę się zająć.

Lisa Mattei była szefową ekipy śledczej liczącej pięćdziesiąt osób. Choć większość o tej porze była w Eskilstunie i zajmowała się tym, co policjanci nazywają obserwacją w terenie, ona siedziała za biurkiem i miała przed sobą Helenę Palmgren.

– Chciałam się z tobą spotkać i zapytać, czy dasz się zaprosić na lunch – oznajmiła.

– Chętnie – odparła Palmgren. – A kiedy?

– Dzisiaj. Niestety, obawiam się, że będziemy musiały zjeść w tym budynku. W stołówce na górze. Jeśli masz jakieś specjalne życzenia, to po prostu powiedz.

– Brzmi naprawdę fajnie. Nie mam żadnych życzeń. Jem prawie wszystko.

– Co powiesz na kotlet wallenbergare? – zapytała.

Nie trzeba być policjantem, żeby dostrzec, że jesz prawie wszystko, dodała w myślach. Opanuj się, Liso, upomniała się po chwili.

– Wallenbergare z zielonym groszkiem. Doskonale. O czym chcesz porozmawiać?

– O tobie – oznajmiła Lisa Mattei. – Nie spotkałyśmy się wcześniej, więc czytałam twoje akta.

– Jest aż tak źle?

– Nie, naprawdę. Wiklander mówił o tobie same dobre rzeczy. Chociaż jedna rzecz mnie zaintrygowała. To, że w dzieciństwie mieszkałaś w Afryce.

– Tak, zgadza się. Chyba wspomniałam o tym na którymś z naszych spotkań. Mój tata pracował w organizacji rządowej Sida. Na początku był pastorem, ale zakończył posługę i zaczął tam pracować. Miałam dziesięć lat, kiedy przyjechaliśmy do Afryki, i czternaście, kiedy mama, ja, mój młodszy brat i siostra wróciliśmy do Szwecji. Tata został, a potem rodzice się rozwiedli.

– Najpierw mieszkałaś w Kenii, a później w Etiopii.

– Tak. Mniej więcej dwa lata w każdym z tych krajów. Za to nigdy nie byłam w Somalii. Już wtedy nie było tam zbyt bezpiecznie.

– Chodziłaś tam do szkoły?

– Tak, ale to były szkoły dla takich jak ja. Dzieci pracowników pomocy humanitarnej i ONZ. Lekcje po angielsku, dwudaniowe szkolne obiady, podwózka samochodem do szkoły i z powrotem. Nie przypominało to zwykłych szkół, do których chodziły inne dzieci. Z pewnością chciałabyś wiedzieć, czy znam któryś z języków używanych na Półwyspie Somalijskim.

– Tak.

– Przykro mi, ale będę musiała cię rozczarować. Somalijski? Ani słowa. Może nie jest to takie dziwne. W suahili znam jakieś pojedyncze zdania, a tigrinię, język



używany w tej części Etiopii, w której mieszkaliśmy, poznałam chyba najlepiej. Uczyli go nas służący. Mieliśmy mnóstwo służących, a jeśli wziąć pod uwagę, czym się zajmował tata, było to dość przerażające. Ci, którzy mieszkali z nami w Kenii, rozmawiali z dziećmi po angielsku. Jeśli się zapomnieli i powiedzieli coś w suahili, tata na nich krzyczał. Ci, którzy pracowali u nas w Etiopii, nie byli równie dobrzy z angielskiego, więc często mówili w języku tigrinia. Ale tak, żeby tata nie słyszał. Bo kiedy słyszał, dostawał szału. Tyle że chyba to wszystko jest w moich aktach.

– Tego akurat nie ma – odparła Mattei. – Lecz przeczytałam, że twój tata od dawna nie żyje.

– Zgadza się. Zmarł właśnie tam. To musiało być dwadzieścia pięć lat temu. Miałam wtedy tylko dwadzieścia lat. Zapił się na śmierć.

– Tego też nie było w aktach. Z twoich słów wnioskuję, że za bardzo za nim nie tęsknisz.

– To prawda – odparła Helena Palmgren. – Nie tęsknię, bo był złym człowiekiem.

– Może zmienimy temat? – zaproponowała Mattei z przyjaznym uśmiechem.

– Chętnie. Za każdym razem, kiedy myślę o ojcu, przypominam sobie tylko to, co robił mojej biednej mamie.

– Moi rodzice też są rozwiedzeni – powiedziała Lisa Mattei. – Przestali ze sobą mieszkać, kiedy miałam mniej więcej tyle samo lat. Mama wyrzuciła tatę z domu. Nie dlatego, że źle się wobec niej zachowywał, tylko dlatego, że była nim zmęczona. Po prostu za bardzo się od siebie różnili. Był naukowcem, biochemikiem, odnosił bardzo duże sukcesy. Poza tym był Niemcem. Nie miał wiele wspólnego z mamą.

– Czym się wtedy zajmowała?

– Była policjantką – odparła Mattei. – Teraz jest na emeryturze.

– Aha. – Helena Palmgren pokręciła głową. – Niemiecki biochemik i szwedzka policjantka. W tamtych czasach nie była to zwykła kombinacja.

– Nie, ale miłość podobno potrafi być ślepa. W końcu, kiedy mama przejrzała na oczy, wyjechał. Obrażony, przeprowadził się do Niemiec. Nadal tam mieszka. Tam też zamierza umrzeć. Przynajmniej jeśli wierzyć jego słowom. Czy nadal kocha mamę? Tak, jestem o tym przekonana.

– Czyli to miły i porządny człowiek?

– Z całą pewnością – przytaknęła Lisa Mattei. – Za to moja mama ma swoje za uszami.

– I to wszystko jest w twoich aktach – powiedziała Helena Palmgren.

– Nie – odparła z uśmiechem Lisa Mattei. – Nie ma o tym ani słowa.

– Uważam, że te teczki są trochę nieprzyjemne. Wprawdzie nie przeczytałam ich zbyt wiele, może kilka, odkąd zaczęłam tu pracować.

– Mojej nie przeczytasz – oznajmiła Mattei. – Poza tym moja tożsamość jest chroniona.

– Tylko najwyższy przełożony może o tobie czytać?

– Nawet on nie może. Musi najpierw otrzymać specjalne pozwolenie. Tak samo jak ja, gdyby przyszło mi do głowy przeglądać jego akta. Zamysł jest taki, że jeśli nawet ktoś wie o naszym istnieniu, nie powinien wiedzieć nic więcej.

– Jakby to było możliwe – odparła Helena Palmgren i westchnęła, niemal z rezygnacją. – Ja na przykład wiem, kim jesteś i co robisz. W internecie mogę przeczytać o twojej pracy dyplomowej, o tym, że twój mąż jest filmoznawcą i że macie małą córeczkę.

– A więc czytałaś?

– Tak. Ze zwyczajnych powodów. Ani trochę się tego nie wstydzę. Mam problem z czymś innym. Z tym, co ludzie mówili o tobie w zaufaniu i w tajemnicy. Z tym, przed czym nie potrafisz się obronić.

– Tak, doskonale wiem, o co ci chodzi, i jestem tego samego zdania.

– Poza tym to nie działa. Wystarczy przyjść tu na kawę, żeby zobaczyć dowód na coś przeciwnego. Na każdą filiżankę przypada co najmniej dziesięć tajemnic służbowych złamanych przez ludzi, którym często zdarza się w tym miejscu chlapanąć nie tylko kawę, że się tak wyrażę. Jeśli chcesz, mogę podać kilka przykładów związanych z tobą.

– Chętnie posłucham – odparła Mattei.

– Przedwczoraj, kiedy tam siedziałam, ktoś się zastanawiał, jak to jest dla ciebie pracować. Odparłam, że moim zdaniem jest znakomicie, a wtedy ten ktoś spytał, czy

byłam w twoim fantastycznym mieszkaniu przy Narvavägen. Oczywiście zaprzeczyłam. Dlaczego miałabym kłamać? Wtedy kilka innych osób zaczęło opowiadać, w jakich świetnych warunkach mieszkasz. W końcu poczułam się osamotniona. Dlaczego mnie nie zaprosiłaś, skoro wszyscy inni mogli przyjść do ciebie do domu? Zapytałam więc wprost.

– Jak zareagowali?

– Zwyczajnie. Ktoś powiedział, że był u ciebie zostawić jakieś materiały. Ktoś inny podwiózł cię do domu. Jeszcze inna osoba podobno знаła któregoś z twoich sąsiadów, który mieszkał w równie fantastycznym mieszkaniu. Jak sobie z czymś takim poradzić? Reguły bezpieczeństwa raczej tu nie pomagają.

– To prawda. Słyszałaś coś jeszcze? – spytała z zaciekawieniem Mattei.

– Tak. Ostatnią informacją, jaką usłyszałam, było to, że podobno zarekwirowałaś radiowóz, żeby podwiózł twoją córeczkę do przedszkola przy Valhallavägen.

– Zgadza się, ludzie za dużo gadają. Rzeczywiście tak zrobiłam, ale mam wytłumaczenie, jedno z tych między matką a córką.

– Ja mieszkam w małym dwupokojowym mieszkaniu na Kungsholmen. Nie mam męża ani dzieci. Nie mam kota ani psa, ale dobrze mi się tam mieszka. Stamtąd jest tylko sto metrów do Kungholmsstrand. Odkąd zaczęłam tu pracować, schodzę nad wodę, kiedy jest ładna pogoda. To dwadzieścia minut stąd.

– Wiem – odparła Mattei. – Jest o tym mowa w twoich aktach. Nie o tym, że dwadzieścia minut idziesz do pracy, ale o całej reszcie. Mieszkasz przy Inedalsgatan, o ile dobrze pamiętam.

– Tak, zgadza się. Masz niesamowitą pamięć do takich rzeczy.

– Taką sobie – odparła Mattei. – Zapamiętałam ten szczegół, bo na tej samej ulicy mieszka mój kolega z policji.

– Pracuje tu u nas?

– Nie – odparła Mattei. – I całe szczęście. To okropny człowiek. Może byśmy coś przekąsiły?

– Jestem za. Zaczynam być trochę głodna, nawet jeśli kobieta nie powinna mówić o takich rzeczach.

– W takim razie powinniśmy coś zjeść – zawyrokowała Mattei. – Poza tym mogę ci obiecać jedną rzecz. Nieważne, jak bardzo napchamy brzuchy, opatrę nasz lunch klauzulą tajności.

Ciekawe, czy to lesba, pomyślała Lisa Mattei, kiedy po lunchu usiadła za biurkiem w pustym gabinecie. Nie ma męża, nie ma dzieci, mieszka sama, chyba nie bardzo się przejmuje wyglądem, choć drobnymi środkami mogłaby zrobić niejedno. Nie można powiedzieć, żeby miała naturę dowcipnisa. A jadła jak kawał chłopa.

Po chwili znów poczuła, że z niewyjaśnionych przyczyn chce jej się chichotać – już po raz któryś w ciągu ostatnich tygodni.

Czas najwyższy wziąć się w garść, pomyślała. Helena Palmgren była lojalną współpracownicą, chciała się wykazać, a jej wypowiedzi i zachowanie pokazywały, że jest poważnym człowiekiem. Jej skłonności seksualne nie miały znaczenia. Były koleżankami. Całe szczęście, że Helena Palmgren i wszyscy inni współpracownicy nie wiedzą, co coraz częściej chodzi po głowie ich przełożonej.

Z braku sensownego zajęcia zadzwoniła do Jana Wiklandera. Rozmowa z nim trwała pięć minut i składała się głównie z gadki o niczym, żeby jej telefon nie wydawał się dziwny w czysto międzyludzkim sensie. Samą sprawę omówili w niecałą minutę. Wiklander stwierdził, że nie ma żadnych problemów, wszystko idzie zgodnie z planem, a w razie nagłych albo interesujących wydarzeń natychmiast się odezwie.

Pozostają twoje papiery, pomyślała po zakończeniu rozmowy. Dopiero kilka godzin później, kiedy zadzwonił do niej Calle Lewenhaupt, przypomniała sobie, że prowadzi śledztwo. I to wymagające zaangażowania większej liczby ludzi niż jakiegokolwiek inne w kraju.

Zapytał, czy ma czas się z nim spotkać. Choć dochodzi piąta i właściwie powinna już zakończyć pracę i wrócić do domu.

– Mój gabinet, za dwie minuty – odparła.

Ciekawe, co Helena Palmgren robi po pracy, zastanawiała się. Mieszka sama. Co czeka na nią w domu?

Calle Lewenhaupt miał konkretną propozycję. Pojawiły się informacje o ojcu Abbda Khalida i byłoby dobrze, gdyby ich ekipa zapoznała się z nimi jak najszybciej. Nie chciał rozwijać tematu, dopóki nie dostanie odpowiedzi na kilka następnych konkretnych pytań, od których zależała jego opinia.

– Co ty na to, żebyśmy zorganizowali kolejne spotkanie w piątek o ósmej? – zapytał.

– Powiadom prokurator i wyślij w moim imieniu wezwanie wszystkim szefom grup. Piątek, godzina ósma. To samo miejsce. Ty się zajmiesz stroną praktyczną.

– Dobrze. Coś jeszcze?

– Jak idzie z Urqhart? – zapytała Mattei.

Lewenhaupt odparł, że w jej sprawie niestety nie ma nic nowego. A przynajmniej nic, co byłoby sprzeczne z charakterystyką, którą dostali od swojego angielskiego kolegi. Być może jedynie udało się uzupełnić ten opis o kilka szczegółów.

– Jakich? – spytała Mattei.

– Za przykład niech posłuży kwestia zawarta w twoich pytaniach. To, że kiedy miała dziesięć lat, zmarła jej matka. Datę śmierci znaleźliśmy już wcześniej, ale udało się ustalić również przyczynę.

– Jak zmarła?

– Zginęła w wypadku samochodowym w czasie wakacji na Riwierze. Nie wiozła żadnych pasażerów. Wszystko wskazuje na to, że zjechała z drogi i stoczyła się w dół zbocza. Nie ma podejrzeń, że doszło do popełnienia przestępstwa. Sekcja zwłok wykazała, że była trzeźwa.

– Aha – odparła Mattei.

Dlaczego nie mogła umrzeć tak jak wszyscy, pomyślała. Na raka, na wylew albo na zawał.

– Mam propozycję – oznajmiła.

– Słucham.

– Chciałabym, żebyś na wszelki wypadek porozmawiał z Kolią.

– Z Kolią? Aha, chodzi ci o Kolię Barabanowa.

– Tak – potwierdziła Mattei.

– Nawet nie wiedziałem, że on jeszcze żyje. Musi być już w sędziwym wieku.

– Ma osiemdziesiąt lat. Jest rzeński jak skowronek. Pogadaj z nim. Na wszelki wypadek.

– W takim razie mamy problem – oznajmił Lewenhaupt. – Nie wolno mi rozmawiać z Kolią. Nie powinienem nawet wiedzieć o jego istnieniu.

– Teraz już ci wolno – odparła Lisa Mattei. – Właśnie udzieliłam ci pozwolenia. Sprawy praktyczne możesz omówić z Janem.

Nie powinien nawet wiedzieć, pomyślała Mattei. Pozostaje pokój kawowy.

– Kolia Barabanow. Szefowa chce, żebym porozmawiał z Kolią.

– Tak.

– Wow – odparł Carl Lewenhaupt. – Ja wprawdzie niedługo skończę czterdziestkę, ale... Kolia Barabanow... wow.

Miło, że przynajmniej kogoś mogłaś ucieszyć, powiedziała sobie w myślach Lisa Mattei, kiedy po raz drugi z rzędu w ciągu ostatnich dni usiadła na tylnym siedzeniu swojego służbowego samochodu.

Piętnaście minut później kierowca zatrzymał się przed bramą. Czujnym wzrokiem zlustrował okolicę, wysiadł, otworzył jej drzwi i czekał, aż wejdzie do domu.

– Czy mogę coś jeszcze zrobić? – zapytał.

– Chciałeś spytać, czy możesz mnie odprowadzić do drzwi?

– Coś w ten deseń – odparł z uśmiechem.

– Nie. Z tym poradzę sobie sama.

Jestem w domu, pomyślała. U Elli, u Johana, w końcu wróciłam do... no właśnie. Do czego?

W CZWARTEK przed południem Kajsa Nilsson i Lina Jonsson kończyły zadanie, które zaczęły dzień wcześniej. Musiały tylko postawić kropkę nad i – porozmawiać z trojgiem ewentualnych informatorów, których jeszcze nie odwiedziły. Parą emerytów koło siedemdziesiątki i ich najbliższym sąsiadem, kawalerem w wieku siedemdziesięciu siedmiu lat.

Poprzedniego wieczoru Kajsa Nilsson wypła niestety o kilka piw za dużo i to je opóźniło. Lina Jonsson zaczęła na nią krzyczeć, jak tylko wsiadły do wypożyczonego policyjnego busa.

– Na pewno zjadłam jakieś gówno. Ta pizza, którą kupiliśmy, z krewetkami i kielbasą, chyba podejrzenie pachniała – jęknęła Kajsa.

– Jadłam tę samą pizzę – odparła Lina. – Czuję się ekstra, ale w przeciwieństwie do niektórych wypłam tylko jedno piwo.

– Czasami wystarczy jedna zepsuta krewetka – upierała się Kajsa.

– A pół zgrzewki piwa? Co powiesz na to?

– Niech ci będzie. Zatrzymaj się proszę przy pierwszej stacji benzynowej. Kupię tabletki na gardło i zimną colę.

To wszystko sprawiło, że miały dwie godziny spóźnienia. Kiedy skręciły na dziedziniec małego domku, w którym mieszkali ich emeryci, była dziesiąta. Potem wszystko szło jak po maśle.

Ludzie, z którymi chciały porozmawiać, byli w domu. Siedzieli w ogrodzie, czytali gazety i pili kawę. Byli przyjaźnie nastawieni, wręcz przymilni z powodu nagłego zainteresowania okazanego im przez sörmlandzką policję. Oczywiście zaproponowali kawę i kanapki. Kajsa podziękowała, a Lina przystała na propozycję. Do kanapki z pasztetem z wątróbek dołożyła majonez i ogórek. Ukradkiem robiła miny do Kajsy, która popijała kupioną przez siebie colę, ssała tabletkę na gardło

i próbowała nie chuchać na rozmówców.

Ich gospodarze opowiadali o swoim obecnym życiu i o miejscu, w którym mieszkali. Najwięcej do powiedzenia miała kobieta. Mężczyzna najczęściej tylko kiwał głową na potwierdzenie, nawet kiedy wspomniano o nim w trzeciej osobie.

Dom kupili dwadzieścia lat wcześniej od sąsiadów. Najpierw był to ich domek letniskowy i cel weekendowych wyjazdów, ale przed pięcioma laty, kiedy „mąż” przeszedł na emeryturę, postanowili, że się przenieś i zamieszkają tu na stałe. Nie nastąpiło im to żadnych problemów, bo dom był w całości odnowiony przez rzeczonego męża i miał wszystkie wygody, jakie mogli sobie wymarzyć. Określiła to jako jedną z wielu zalet bycia żoną rzemieślnika.

– O Torem można powiedzieć wiele, ale nie to, że ma dwie lewe ręce – stwierdziła, a mąż coś mruknął i pokiwał twierdząco głową.

Jeśli chodzi o przestępczość, szczęśliwie ominęło ich wszystko to, co według ich lokalnej gazety spotkało wielu okolicznych mieszkańców. Włamania, kradzieże, uszkodzenia mienia. Złodzieje często byli młodymi ludźmi uzależnionymi od narkotyków. Mieszkali w Eskilstunie i wypuszczali się w trasę po okolicznych miejscowościach.

– To znaczy, że uniknęliście tego wszystkiego, odkąd tu mieszkacie? – podsumowała Kajsa.

Miała wielką ochotę wrócić do Eskilstuny i powiedzieć szefowej Lindzie Martinez, żeby wsadziła sobie w tyłek wszystkie punkty przecięcia linii.

– Tak, chyba można tak powiedzieć – zgodziła się kobieta i posłała niepewne spojrzenie mężowi.

– No dobra. – Tore odchrząknął, zebrał się w sobie i wreszcie jego blokady puściły. – Na szczęście nie było żadnych przyjezdnych ćpunów, lecz jeśli miałbym czegoś życzyć sobie i mojej kochanej żonie, to chciałbym, żebyśmy nie musieli mieć do czynienia z naszym sąsiadem. Zakładam, że to zostanie między nami. – I spojrzał badawczo na Kajkę i Linę.

– Oczywiście – zapewniła Lina. – Wszystko, o czym pan nam powie, zostanie przy tym stole.



– Zgodnie z prawem obowiązuje nas zasada tajemnicy służbowej, więc nie mają państwo żadnych powodów do niepokoju w tej kwestii – odparła Kajsa, nie wspominając o wszystkich innych sytuacjach, w których takie powody istniały.

– Czy chodzi o Ovego Kristianssona, od którego kupili państwo dom? – zapytała Lina.

– Właśnie o niego – potwierdził Tore i, jak stwierdził, cała historia zaczęła się wraz z zakupem domu.

Wkrótce wyszło na jaw, że dom jest obciążony mnóstwem wad ukrytych. Doszli do wniosku, że sprzedawca ich oszukał. Najpierw próbowali się z nim dogadać, ale wszystko spływało po nim jak woda po kaczce.

Drugim krokiem było pójście na policję i zgłoszenie oszustwa, lecz policjanci powiedzieli tylko, że nie zostało popełnione przestępstwo. Stwierdzili, że to przedmiot sporu cywilnoprawnego i nie mają tu nic do roboty.

– To straszne – Lina pokręciła jasną głową.

– Tak, to prawda – przyłączyła się do niej Kajsa. – Co państwo zrobili?

– Ten łobuz Kristiansson śmiał się w kułak, ale nie miał pojęcia, że Ulla pracowała jako sekretarka w kancelarii adwokackiej w Sztokholmie. Rozpętało się piekło.

Z pomocą znajomych żony Tore skontaktował się z adwokatem z Eskilstuny, który przejął sprawę i poprowadził, ściśle trzymając się litery prawa. Sprzedawca przestał się śmiać, przyjął warunki ugody i nawet zadośćuczynił, zwracając okazałą część kwoty.

– Co za nieciekawy typ – podsumowała Lina.

– Tak – zgodził się Tore. – Ale na szczęście niedługo będziemy mieli go z głowy.

– Proszę rozwinąć – powiedziała Kajsa. – Czy on umiera? To znaczy, czy cierpi na jakąś poważną chorobę?

– Umiera czy nie, zależy, jak na to spojrzeć – odparł Tore.

Wyjaśnił, że zbliża się do osiemdziesiątki, a jego trybu życia raczej nie można było nazwać zdrowym. Był nie tylko „naciągaczem”, ale też „moczymordą”, „starym bimbrownikiem” i „ogólnym niechlujem”. Nawet jego higiena osobista

pozostawiała ostatecznie wiele do życzenia. Był prawdziwym „brudnym wieprzem”, a trudno o czytelniejszy sygnał, że szybkim krokiem zbliża się koniec. Tak się akurat składało, że policja miała dokumenty potwierdzające jego konflikty z prawem.

Jak stwierdził Tore, przynajmniej dwukrotnie skazano go za jazdę pod wpływem środków odurzających. Policja pojawiła się w okolicy domu tylko raz – rok po tym, jak kupili dom, przyjechali zabrać Kristianssona i jego aparat do pędzenia bimbru. Wygląda na to, że sprzedawał alkohol młodzieży z Åkers Styckebruk i sąsiednich miejscowości.

– No i wtedy trafił za kratki – dodał. – Potem chyba znalazł jakiegoś lekarza, który załatwił mu opiekę medyczną.

– Choć wygląda na zwykłego bandziora – powiedziała Kajsa, nawet mrugnięciem nie zdradzając, że zdążyła już przeczytać skąpe i wiekowe materiały na jego temat w policyjnej kartotece.

– Naprawdę nie jest to przyjemny człowiek – zgodziła się Ulla, żona Torego.

– Ale żadnych przyjezdnych typów spod ciemnej gwiazdy nie było – powiedziała Kajsa, żeby podsumować i wreszcie zakończyć dzień spojrzeniem z bliska na Ovego Kristianssona.

– Tak. Albo tylko się tu kręcili – dodała Lina.

Gospodarze po raz kolejny wymienili niepewne spojrzenia, potem Tore skinął głową, a jego żona Ulla znowu zabrała głos:

– Chyba że... – zaczęła. – Nie wiem, czy jest sens o tym wspominać, ale rok temu, jakoś tak pod koniec ubiegłego lata, ktoś nietutejszy wjechał do rowu tam na skrzyżowaniu, gdzie trzeba skręcić, jeśli się chce dojechać do Kristianssona. Albo wyjechać – dodała.

Wstała od stołu i wskazała skrzyżowanie niecałe sto metrów dalej na zwirowej ścieżce. Jak wyjaśniła, działo się to późnym wieczorem, bo na zewnątrz było ciemno. Nie dało się odczytać numerów rejestracyjnych samochodu. Był to jeden z tych małych, czarnych miejskich dżipów, którymi jeździli praktycznie wszyscy mieszkańcy wsi. Trudno było też powiedzieć, że samochód wjechał do rowu. Raczej zjechał z drogi, a koła po prawej stronie zsunęły się do rowu. Kierowca wysiadł

i patrzył, co się stało. Potem znowu usiadł za kierownicą, po paru próbach udało mu się wyjechać na drogę i ruszył w stronę Eskilstuny. To wszystko potrwało z pięć minut.

– Jak on wyglądał? – spytała Kajsa.

Nie był to ktoś, kogo znali. Nikt, kto mieszkał w najbliższej okolicy nie jeździł takim samochodem. Młody mężczyzna. Niski i chudy. Wydawało się, że jechał sam. W każdym razie ani ona, ani mąż nie widzieli żadnych pasażerów. Ale prawdopodobnie w tej całej historii nie było nic ciekawego.

– Nie wydawał się pijany ani nic takiego. Tego dnia straszliwie padało. Więc może to nie jest aż takie dziwne, że samochód wpadł w poślizg – powiedziała Ulla.

Czy ktoś z nich pamiętał coś jeszcze? Małżonkowie po raz trzeci wymienili niepewne spojrzenia, Tore kiwnął głową, a Ulla znów zabrała głos. Wreszcie wszystko zaczęło nabierać sensu.

– Miał ciemną karnację – powiedziała i było widać, że przychodzi jej to z trudem.

– Ciemną karnację, mówi pani – odparła Kajsa. – To znaczy? Jak Hiszpan czy może jeszcze ciemniejszą?

– Był czarnuchem – oznajmił Tore i na wszelki wypadek odchrząknął. – Wiem, że nie powinno się używać tego słowa.

STAN DOMU Ovego Kristianssona potwierdzał to, co mówili jego sąsiedzi. Wszystko – od zniszczonych dachówek ceramicznych, wiszących rynien, czerwonej farby odpadającej płatami od ścian aż po zmurszałe schody prowadzące na werandę i do głównych drzwi – świadczyło o rozkładzie.

Na dziedzińcu stał stary skuter w rodzaju tych, które nie wymagają prawa jazdy. Był niedbale zaparkowany – przednie koło skręcało i niemal dotykało kamiennej podmurówki domu.

– Jak tu pięknie – stwierdziła Lina, jak tylko wysiadły z busa. – Ciekawe, czy redakcja magazynu „Sköna Hem” zrobiła reportaż o Ovem i jego bajecznej rezydencji w Sörmlandii.

Kajsa weszła cicho po schodach, sprawdziła klamkę i otworzyła drzwi. Ze środka dobiegały dźwięki świadczące o tym, że ktoś ogląda mecz w telewizji.

– Czujesz ten zapach? – wyszeptała Kajsa.

– Może po prostu ma dużo kotów – syknęła Lina. – Ze trzydzieści.

– To nie są szczyny – Kajsa pokręciła głową. – To zapach samoopalacza.

– Mnie to pachnie przełomem w śledztwie – oznajmiła Lina i odpięła pasek, który zabezpieczał służbową broń w kaburze przy prawym udzie.

Ostrożnie ruszyły w kierunku odgłosów telewizora. Kajsa przodem, Lina za nią, trzymając prawą dłoń na kolbie pistoletu. Wprawdzie Ove Kristiansson miał siedemdziesiąt siedem lat, ale skoro robił interesy z kimś takim jak Abbdó Khalid, można się było po nim spodziewać wszystkiego. Kajsa stanęła za otwartymi drzwiami pokoju telewizyjnego.

– Halo, tu policja. Czy ktoś tam jest? – Kajsa stanęła w drzwiach i uśmiechnęła się przyjaźnie do starszego mężczyzny, który leżał na kanapie i rzeczywiście oglądał mecz piłki nożnej.

– Kurwa, psiarnia – odezwał się Ove Kristiansson, gwałtownie usiadł i odstawił puszkę piwa na stół.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy. – Linda stanęła przy koleżance i dyskretnie zapięła pasek na kaburze.

– Spokojnie – powiedział Ove, uśmiechnął się i pokręcił głową. – Dwie piękne dziewczyny w biały dzień. To mi nie przeszkadza.

Ove Kristiansson nie zaproponował kawy, herbaty ani kanapek. Mogły dostać co najwyżej po „zimnym browcu”. Poza tym był równie rozmowny i gościnny jak pozostali mieszkańcy tego zakątka Sörmlandii.

Na początek Kajsa opowiedziała o ich misji zapobiegania przestępczości. Ove Kristiansson nie miał nic przeciwko temu. Kiedy ostatnio były u niego gliny, zakosiły mu aparat do bimbru, więc jeśli tego właśnie szukają, będzie musiał je rozczarować. W pozostałych sprawach niestety też. Jeśli wziąć pod uwagę powód ich wizyty, jechały na próżno. Tu, gdzie mieszkał, nie popełniano żadnych przestępstw.

– Tak pan mówi – Kajsa spojrzała na niego szeroko otwartymi niebieskimi oczami. – Żadnych przestępstw. To bardzo nietypowe.

Ich gospodarz nie widział w tym nic dziwnego. Mieszkali tu po prostu wyłącznie zwykli Szwedzi.

– Żadnych czarnuchów – doprecyzował Ove Kristiansson i wymownie wzruszył ramionami.

– Co pan robi w ciągu dnia, panie Ove? – zapytała Lina.

Kristiansson odparł, że żyje dobrym, wiejskim życiem. Jest na emeryturze i rozkoszuje się zasłużonym „opium”. Ogląda meczyki w telewizji, pije browarki pod marynowanego śledzia i boczek z fasolą. A na weekend lubi coś mocniejszego, jeśli je to ciekawi.

– To fantastycznie – powiedziała Kajsa i zaświeciła zębami.

Ove ma weekend przez cały tydzień, dodała w myślach.

– Tak, nie mam żadnych zmartwień – zgodził się Ove.

Latem siedział w domu, ale jak tylko nadciągała zima, wyjeżdżał za granicę.

Jesienią do Hiszpanii, a zimą do Tajlandii. Proste i oczywiste, z tym również nie było żadnych problemów. Jako emeryt szybko postanowił, że będzie się starzeć z godnością. W tym momencie nabrał już wystarczającego rozpędu, aby zaprosić je na podsumowanie swojego bogatego życia. Poczynając od dzikiej młodości, kiedy to grał na basie w lokalnym zespole rockowym Åkersraggarna, przez wszystkie dziewczyny, imprezy, browary i wódę po całkiem konkretne jaranie. I tak przez całe radosne lata sześćdziesiąte i połowę szalonych lat siedemdziesiątych.

Potem się ustatkował, przejął gospodarstwo po ojcu, który trafił do domu opieki, i tak sobie żył prawie dwadzieścia lat, dopóki znowu nie zmienił życiowego kursu i nie zaczął sprzedawać tego, co odziedziczył po ojcu. Życie rolnika stało się po prostu zbyt męczące. Ledwo miał czas chodzić do kibla, a piątkowe potańcówki w hotelu Rogge w Strangnäs były już tylko wspomnieniem.

– I co pan zrobił? – spytała Lina.

– Wszedłem w budowlankę – odparł Ove.

Konkretnie chodziło o założenie firmy wykonującej prace wykopowe i budowlane. Wszystko, od zwykłych rowów po drogi i sztuczne jeziora, które sztokholmscy dyrektorzy chcieli mieć na posesjach, żeby razem z innymi dyrektorami strzelać do kaczek, popijając wina dobrych roczników.

To były wspaniałe czasy, bo myśliwi dosłownie tarzali się w pieniądzach ukradzionych nieświadomym emerytom, którzy za ciężko zarobione pieniądze kupili akcje. Koniec zabezpieczonej starości – jak to ujął Ove Kristiansson. Nie mogło się to skończyć inaczej, kiedy zwykli złodzieje w prążkowanych garniturach mogli swobodnie okradać koncertowych idiotów, którzy ledwo dawali sobie radę z zakładaniem sztucznych zębów na właściwą szczękę. Kiedy błoto chlapie na tych na samej górze, może też przy okazji obryzgać takiego uczciwego przedsiębiorcę jak on.

– Wspaniałe czasy – powtórzył Ove i otworzył trzecie piwo.

Nie, jeśli wierzyć twojemu syndykowi, pomyślała Kajsa. Uznała, że już najwyższy czas zastopować tego starego pijusa.

Z pewnym trudem udało jej się w końcu wyprowadzić go z alei wspomnień

pytaniem, co sądzi o tych interesujących informacjach, które ostatnimi czasy wpłynęły do policyjnego wydziału zapobiegania przestępczości. Konkretnie chodziło o paru młodych łobuzów, którzy przebywali w różnych pobliskich obozach dla uchodźców, ale większość czasu spędzali na jeździe po okolicy i okradaniu mieszkańców.

– Przecież to jasne jak cholera – odparł Ove Kristiansson. – Żeby tego nie rozumieć, trzeba być policjantem albo pracownikiem opieki społecznej. Cyganie. To oni kradną, sroki jedne, jak tylko nauczą się chodzić. Albo Romowie, jak mówią o nich nadęte bubki.

– Akurat nie. Ci, których dotyczą te informacje, są ponoć czarnuchami – odparła Lina, która chętnie dopasowywała język do rozmówcy, jeśli tylko było to korzystne dla pracy, jaką miała wykonać. – Somalijscy – dodała z niewinną miną, ciekawa, jak długo Ove wytrzyma.

– Jak, kurwa, można odróżnić jednego czarnucha od drugiego? – zapytał.

Sam nie znał żadnych. Nigdy z żadnym nie rozmawiał. Uważał, że każdy z nich jest po prostu czarny i tyle, a poza tym wiązał się z tym jeszcze jeden problem.

– Jaki?

– Zaraz po zachodzie słońca robią się niewidzialni – odparł Ove i się wyszczerzył.

Przez ostatni kwadrans oglądali budynki. Ove o tej porze chwiał się już na nogach, ale nie miał nic do ukrycia. Aparat do bimbru został mu odebrany dwadzieścia lat wcześniej. Obecnie wszyscy, którzy potrafili wypełnić formularz, otrzymywali pozwolenie na produkcję alkoholu, a w samej Sörmlandii było ze dwudziestu lokalnych specjalistów, którzy mieli państwowe pozwolenie na sprzedaż swoich domowych wyrobów w sklepach monopolowych. Ove uważał, że to wstyd i hańba – jego bimber był dziesięć razy lepszy, a gliniarz, który zakosił jego stary destylator kolumnowy, zadał śmiertelny cios znaczącemu osiągnięciu kulturowemu.

Kiedy wracały busem do Eskilstuny, wymieniały się wrażeniami na temat Ovego Kristianssona.

– Okej – zaczęła Kajsa. – Co sądzimy o Ovem?

– Chyba nie jest muzułmaninem – stwierdziła Lina.

– Rasista?

– Żartujesz? I to jaki! Chyba słyszałaś, co mówił?

– Pijak?

– Zdecydowanie. Ale chytry. Widziałaś jego oczy?

– Nie muzułmanin, robot, o ciele dwukrotnie starszym, niż wskazuje na to data urodzenia, żaden materiał na gwiazdę sportu, a prysznic też nie bierze codziennie. Rasista, yes. Pijak, yes, choć ma chytre oczy. Pozostaje jedno pytanie: czy robi interesy z Abbdem Khalidem?

– No właśnie – odparła Lina. – I tu się zaczynają schody, przynajmniej jak dla mnie.

– Co masz na myśli?

– Po co Khalidowi ktoś taki jak Ove Kristiansson? Nie rozumiem tego. Oczywiście jeśli pominąć kwestię chemii między ludźmi.



JAK TYLKO KAJSA i Lina oddały bus i ulotki, które im zostały, i przebrały się w cywilne ciuchy, zadzwoniły po taksówkę i pojechały do ich gniazdka przy Lidgatan. Popołudnie poświęciły na prowadzenie dochodzenia na miejscu.

Najpierw sprawdziły, jakie samochody posiada Abbdo. Potem ustaliły, którego dnia pod koniec minionego lata w okolicach Eskilstuny nagle lunął deszcz, a trzysta metrów od gospodarstwa Ovego Kristianssona młody czarnoskóry mężczyzna zjechał z drogi do rowu.

Abbdo Khalid posiadał i użytkował czarny samochód marki Toyota RAV4 – był to mniejszy miejski dzip, który odpowiadał opisowi podanemu im przez emerytów. Na razie wszystko szło dobrze.

Lato w poprzednim roku było długie, ciepłe i suche. Dzień po dniu na niebieskim niebie świeciło słońce. W czwartek niebo pociemniało, a potem nagle szeroko się otworzyło. Istna ulewa zaczęła się po południu i trwała trzy godziny. Szwedzki Instytut Meteorologii ustalił, że spadło ponad sto pięćdziesiąt milimetrów deszczu. Spowodowało to lokalne podtopienia, kilka wypadków i prawdziwy chaos na trasie E6 na wysokości Eskilstuny. To wszystko działo się kilka tygodni przed wyjazdem Khalida do Wielkiej Brytanii.

Trzy tygodnie później znowu spadł deszcz, ale wtedy Abbdo był już w Manchesterze, dwa tysiące kilometrów na zachód od Eskilstuny. Wszystko układało się coraz lepiej.

Trzeba było jeszcze tylko wykazać, co robił, zanim to się stało. Czy odwiedził Ovego Kristianssona w jego gospodarstwie, czy po prostu przejeżdżał obok?

Połączenie Ovego Kristianssona z Abbdem Khalidem wcale nie było proste. Z jednej strony Ove Kristiansson miał siedemdziesiąt siedem lat i wydawało się, że jest jedną nogą w grobie. Miał na koncie dwa stare wyroki za jazdę pod wpływem alkoholu i wyrok więzienia za sprzedaż bimbrowa oraz nielegalny handel alkoholem.

Przed sześcioma laty, kiedy po raz drugi został skazany za jazdę w stanie nietrzeźwym, zatrzymano mu prawo jazdy i od tamtej pory nie wyrobił sobie nowego. Mniej więcej w tym samym czasie prowadzona przez niego firma budowlana ogłosiła upadłość.

Poza tym na policji znajdowało się sześć zgłoszeń przeciwko niemu. Przed dwudziestu laty sąsiedzi, którym sprzedał działkę, oskarżyli go o oszustwo. Przed sześciu laty syndyk zarzucił mu zatajanie przychodów firmy w związku z procesem upadłościowym. Czyli przestępstwo skarbowe i podatkowe.

Mocno nadużywał alkoholu, wykorzystywał każdą okazję, żeby wyrazić swoje rasistowskie poglądy, i nie był ani trochę podobny do o pięćdziesiąt lat młodszego Abbda Khalida.

Po drugiej stronie był Abbdo. Uchodźca z Somalii, który przyjechał do Szwecji jako dziecko, wierzący muzułmanin, z całą pewnością abstynent, niekarany, porządny, wręcz odnoszący sukcesy i nieposiadający najdrobniejszej skazy w kartotekach policji i innych służb.

– Co, do cholery, ktoś taki jak Abbdo miałby mieć wspólnego z Ovem – powiedziała Lina i postukała w stos papierów, który leżał pomiędzy nimi.

– Tak – odparła Kajsa z za swojego komputera. – W kwestii chemii między ludźmi jestem tego samego zdania. Podobnie było z moim ostatnim facetem. Choć wtedy oczywiście działało wiele innych czynników.

– Tutaj chyba nie o to chodzi, co? – odparła Lina i przewróciła oczami.

– Nie sądzę, żeby Ove i Abbdo kręcili ze sobą w tym sensie, o ile przyjmujemy, że Somalijczyk jest tym, za kogo niektórzy z nas go uważają. Terrorystą i bomberem. Najgorszy sort, jeśli chcesz znać moje zdanie. Co o tym sądzisz?

– To wszystko jest jeszcze bardziej niepojęte. – Lina pokręciła głową. – Gdybym to ja była naszym młodym, odnoszącym sukcesy Bomberem, takiego faceta jak Ove nie dotknęłabym nawet kijem. Poza tym naprawdę nie rozumiem, w czym Ove Kristiansson mógłby mu pomóc. Wyobraź sobie, że siedzi na kanapie wśród puszek piwa i podłącza te wszystkie różnokolorowe przewody do ładunku wybuchowego. Nie chciałabym wtedy siedzieć obok.

– Ja też nie – zgodziła się Kajsa. – Rozumiem, co mówisz, wiem, co masz na myśli, dzielam twoje zdanie.

– Co wobec tego robimy?

– Chyba musimy to opisać.

– Opisać?

– Tak. W notatce służbowej. Żeby Linda mogła użyć swojego światowej sławy nosa i wytłumaczyć nam, zwykłym pustakom, o co chodzi.

– Czyli oddelegujemy sprawę do góry – podsumowała Lina i wyraźnie się rozpogodziła.

– Tak. Co ty na to?

– Cudownie – odparła Lina. – Kajso, jesteś genialna.

Linda Martinez najwyraźniej wyłączyła komórkę. Kajsa zadzwoniła więc do Franka Motoelego, ale nie odebrał. Można było jednak zostawić wiadomości. Wysłała esemes, na który Frank odpowiedział praktycznie natychmiast. Napisał, że mają czekać na dalsze informacje.

Czekając i nie mając nic lepszego do roboty, Kajsa i Lisa resztę popołudnia spędziły na oglądaniu zdjęć Abbda Khalida. Setek fotografii, które ich koledzy zrobili w ciągu ostatnich dziesięciu dni. I kolejnych stu z hakiem wyciągniętych z różnych kartotek albo znalezionych w sieci.

Jednym z nich było stare zdjęcie klasowe przedstawiające Abbda i jego kolegów w dziewiątej klasie szkoły podstawowej w Eskilstunie. Zdjęcie zostało zrobione w 2002 roku, a Abbdo miał wtedy piętnaście lat.

– Cholera, poznaję tego drugiego typka. Sprawdziłam go na Facebooku – oznajmiła Lina i wręczyła zdjęcie Kajsie.

– Chodzi ci o Avvego – oznajmiła Kajsa. – Chłopaka, który kopie piłkę dla Djurgården. Stoi obok Abbda. To jego kuzyn i najlepszy kumpel w czasach szkolnych. Przyznaj, że są do siebie cholernie podobni.

– Nie, nie o Avvego. O tego blond słodziaka, który stoi na samym końcu po prawej i się szczerzy. Czy on nie chodził z tobą do szkoły policyjnej w Sztokholmie? Opowiadałaś mi o nim. To ten, który miał tylko jedno w tej swojej małej główce –

powiedziała Lina i na wszelki wypadek przyłożyła palec do odpowiedniej postaci na zdjęciu.

– Cholera. – Kajsa pokręciła głową. – To nie może być prawda.

– Jak to?

– Tak, to on. Frasse Napaleniec – potwierdziła Kajsa. – To zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Niklas Fransson. Tu nawet widnieje jego nazwisko. Wiedziałam, że jest z Eskilstuny, ale nie miałam bladego pojęcia, że chodził z Abbdem do jednej klasy.

– Nasz Frasse Napaleniec?

– Yes. Niklas Fransson. Znany w całej szkole policyjnej jako Frasse Napaleniec. Człowiek legenda. *The very same* – potwierdziła Kajsa.

W PIĄTEK dwudziestego drugiego maja o ósmej rano odbyło się czwarte spotkanie kierownictwa ekipy śledczej z szefami wszystkich grup. To był dwunasty dzień śledztwa. Do Święta Narodowego Szwecji zostało czternaście dni. Należało za wszelką cenę udaremnić planowany zamach. Pod warunkiem, że to, przed czym ostrzegali ich angielscy koledzy, było prawdą. Zdecydowanie nie o wszystkich wiadomościach od informatorów można było to powiedzieć. To samo dotyczyło się informacji, które wymieniały między sobą służby z różnych krajów. Ich śledztwo też niewiele wyjaśniło. Wręcz przeciwnie. Cały czas pojawiały się nowe znaki zapytania, a żadnych sensownych odpowiedzi nie było. Musieli się z tym pogodzić i mieć nadzieję, że w końcu wszystko się wyjaśni. W najgorszym razie i tak wkroczą do akcji, „na wszelki wypadek”.

Przed spotkaniem Lisa Mattei poinformowała Lisę Lamm o dwóch esemesach wysłanych przez nieznanego nadawcę do ich głównego podejrzanego, Abda Khalida. Dodała, że to również powiedzieli jej Anglicy i że postawili obszerne warunki. Mimo to postanowiła zdać jej relację. Według najczarniejszego scenariusza mieli u siebie kreta, który informował Khalida o ich poczynaniach.

– Rozumiem – odparła Lisa Lamm i pokręciła głową. – Rozumiem też, dlaczego byłaś taka cięta na Martinez podczas naszego ostatniego spotkania. Trochę za dużo tego wszystkiego naraz, że tak powiem. Najpierw mamy ustalić, co tak naprawdę porabia młody Khalid. Potem czy mamy u siebie kreta, który ciężko pracuje, żeby nam się to nie powiodło.

– Tak – powiedziała Mattei. – W najgorszym razie, jeżeli kopie pod nami kret, oznacza to, że Khalid rzeczywiście zamierza przeprowadzić zamach terrorystyczny.

– Jak możemy temu zapobiec? – spytała Lisa Lamm.

– Mam pewną propozycję – odparła Lisa Mattei.

– Chcesz powtykać w ziemię patyki i zobaczyć, czy nasz ewentualny kret da znak

życia.

– Tak – przyznała Mattei. – Zamieszać w garnku i sprawdzić, czy coś ciekawego wypłynie na powierzchnię.

– W takim razie zróbmy to – powiedziała Lisa Lamm. – Na co jeszcze czekamy?

Piętnaście minut później, kiedy wszyscy zajęli już miejsca, Lisa Lamm zaczęła spotkanie od zapowiedzi, że poda im kolejne informacje opatrzone klauzulą najwyższej tajności. Na razie przeznaczone tylko dla nich. Gdyby ktoś z zebranych poczuł potrzebę przekazania ich współpracownikom, musiał najpierw zgłosić się do niej i poprosić o pozwolenie. Zebrani skinęli głowami.

– Okej – powiedziała Lisa Lamm. – W takim razie powiem w skrócie, o co chodzi. Kiedy skończę, będziecie mogli mi zadawać pytania maksymalnie przez pięć minut, żebyśmy niepotrzebnie nie blokowali Callego Lewenhaupta. Ma do powiedzenia ciekawe rzeczy na temat Mohammeda Khalida Husseina i jego rodziny. Ja przedstawię resztę.

Postanowiła zacząć od sedna. Niestety, istniały przesłanki pozwalające przypuszczać, że mają u siebie kreta. W najlepszym wypadku takiego, który drążył korytarze tylko pod tym jednym śledztwem. W najgorszym – kogoś podkopującego cały budynek, w którym pracowali.

– Jakież pytania? – zakończyła.

Widziała, że nikt nie wygląda na zadowolonego, ale pomyślała, że przyjęli jej słowa ze zrozumieniem. Jakkolwiek miała to sobie tłumaczyć.

– Ja mam pytanie – odezwał się Dan Andersson. – Nie rozumiem jednej rzeczy.

– Mianowicie? – odparła Lamm.

– Pierwsza wiadomość pojawiła się już w ubiegły poniedziałek. Mniej więcej w porze lunchu. Dobrze zrozumiałem?

– Tak.

– Ale wtedy jeszcze nie zaczęliśmy śledztwa. Ja sam nie miałem pojęcia, że istnieje ktoś taki jak Abbdo Khalid. Pozostali chyba też nie.

– Może z wyjątkiem mnie – wtrąciła Lisa Mattei z przyjaznym uśmiechem.

– Nie, nie. Nie to miałem na myśli – zapewnił Dan Andersson.

– Spokojnie, Dan. Przyrzekam i zapewniam: jestem niewinna.

– Nawet nie śmiałybym pomyśleć, że jest inaczej – odparł Dan Andersson. – To nikt stąd. Zapomnij.

– A ty jak myślisz? – spytała Lisa Lamm.

– Moją spontaniczną reakcją jest myśl, że to nie może być prawda.

– A jeśli? Przyjmijmy na chwilę, że tak jest. Że naprawdę mamy u siebie kreta.

Co ty na to?

– Powiedziałbym, niestety, że jest to ktoś, kto się posługuje językiem angielskim – oznajmił Dan Andersson.

– Okej – podsumowała Lisa Lamm. – Proponuję, żebyśmy się nad tym zastanowili. Jeśli nie ma już więcej pytań, chciałabym oddać głos Callemu. Posuwanie się do przodu podczas drażenia korytarzy wymaga czasu i wszyscy o tym wiemy, ale nie sądzę, żeby ewentualny kret zdążył nam uciec.

ZANIM CARL Lewenhaupt przystąpił do omawiania głównego tematu spotkania – Mohammeda Khalida Husseina, jego wielkiej rodziny i najstarszego syna, Abdullaha, obecnie podejrzanego o bycie bomberem na usługach Asz-Szababu – oznajmił, że wraz ze współpracownikami spełnił wcześniejszą obietnicę.

W skrzynkach mailowych mieli wyjątkowo obszerne materiały na temat młodych kobiet z Zachodu, które wiązały się z ludźmi na różne sposoby połączonymi z działalnością muzułmańskich organizacji terrorystycznych. Prawie wszystkie spośród tych informacji sami wrzucili do sieci. W samych Stanach Zjednoczonych i Europie Zachodniej były to tysiące kobiet i liczba ta gwałtownie rosła. W Szwecji w sumie pięćdziesiąt kilka młodych kobiet wypowiedziało się publicznie o swojej nowej wierze i świętej wojnie, w której brały udział. Wiele z nich, z niewyjaśnionych powodów, pochodziło z Göteborga i zachodniej części kraju, a organizacjami najczęściej były Państwo Islamskie, Asz-Szabab i Al-Kaida. W takiej kolejności, zaczynając od tej o największej liczbie zwolenników – uściślił Lewenhaupt.

Te informacje traktowano jako ogólne materiały pomocnicze dla śledczych, bo, jak wyjaśnił, dotychczas nie udało się wykazać, że mają związek z ich śledztwem.

– Jeśli wziąć pod uwagę, co mają zamiar nam zrobić, a także to, że odsialiśmy mnóstwo materiału, możemy tylko je przyjąć z otwartymi ramionami – stwierdził. – Tak czy inaczej, najwyższy czas przystąpić do rzeczy, czyli do tego, w jaki sposób Mohammed Khalid Hussein i jego rodzina znaleźli się w Szwecji.

Przybyli jako uchodźcy z obowiązkowej puli w styczniu 1993 roku. W tym czasie rodzina liczyła dziewięciu członków – Mohammeda, jego o dwadzieścia lat starszą matkę, dwie żony i w sumie pięcioro dzieci. Jesienią rok wcześniej uciekli z rodzinnego miasta Buuloburde. Liczyło niecałe dwadzieścia tysięcy mieszkańców



i leżało w środkowej części kraju, mniej więcej dwieście kilometrów na północ od stolicy Somalii, Mogadyszu, leżącej w centralnym regionie, Hiran.

Mohammed i jego rodzina należeli do największego klanu w kraju, Hawiye, który obejmował ponad jedną czwartą wszystkich mieszkańców. Ich liczba wynosiła ponad dziesięć milionów. Rodzina miała silną pozycję w regionie. Mohammed był drugim synem lokalnego przywódcy klanu. Poza tym byli zamożni. Zajmowali się uprawą roli i handlem, posiadali między innymi największy lokalny targ, na którym sprzedawano bydło i produkty rolne. To ostatnie było powodem, dla którego musieli uciekać. Wrogowie próbowali przejąć ich majątek.

W Somalii od ponad roku panowała wojna. Urzędujący prezydent i jego rząd zostali obaleni w 1991 roku, państwo upadło, prezydent i duża część członków rządu i przywódców wojskowych uciekli za granicę. Wybuchła krwawa wojna domowa pomiędzy różnymi klanami a grupami rebeliantów zwerbowanych spośród byłych żołnierzy. ONZ i Stany Zjednoczone nie rozpoczęły jeszcze interwencji wojskowej w kraju.

Mohammed wraz z rodziną uciekł z rodzinnego miasta, bo rozkazał mu to ojciec, przywódca klanu. Jeśli istniało ryzyko, że ich ród zostanie wybity co do nogi, mógł w ten sposób uratować przynajmniej jego część. Ta decyzja okazała się rozsądna. Już kilka miesięcy później zabito starszego brata Mohammeda, a rok po jego przyjeździe do Szwecji zamordowani zostali również jego ojciec i dwaj wujowie.

Mohammed z rodziną uciekli samochodem na południe, do Kenii. Pokonanie ponad tysiąca kilometrów zajęło im prawie dwie doby, a podróż dobiegła końca w mieście Dadaab, mniej więcej dwieście kilometrów na północny zachód od Nairobi, stolicy Kenii. W mieście działała baza Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych ds. Uchodźców, otoczona tym, co w owym czasie określano mianem największego obozu dla uchodźców na świecie – przebywało tam pół miliona zarejestrowanych osób.

Większość pochodziła z dotkniętej wojną Somalii, graniczącej z Kenią od północy. Obóz w Dadaabie był pierwszym przystankiem w podróży z Afryki do Europy, Kanady czy nawet Stanów Zjednoczonych. Mohammed i jego rodzina

należeli do bardzo małej grupy uprzywilejowanych. Mieli środki finansowe i własne paszporty. Prawdopodobnie dlatego Szwecja przyjęła ich jako uchodźców z puli, mimo że nikt z rodziny wcześniej się tu nie wprowadził. Zostali więc wybrani przez kraj, który miał być ich nową ojczyzną.

W porównaniu z tym, co wcześniej przeżyli, podróż do Szwecji musiała być dla nich jak wyjazd na wczasy. Z Nairobi polecili bezpośrednio na lotnisko Arlanda na północ od Sztokholmu. Po zwyczajowych kontrolach Urzędu Migracyjnego zostali w końcu umieszczeni w obozie dla uchodźców w Jättunie koło Flen, kilkadziesiąt kilometrów na południe od Eskilstuny.

Jeśli mierzyć szwedzką miarą, był to duży obóz. Mieszkało w nim najwyżej czterysta osób, głównie z Bośni i Somalii. W tamtym okresie był często krytykowany w mediach za rozmaite nieprawidłowości i konflikty wśród mieszkańców. W porównaniu z liczącym pół miliona uchodźców obozem w Dadaabie i życiem, jakie tam wiedli, dla Mohammeda i jego rodziny musiał to być istny raj.

Spędzili w Jättunie ponad rok. W końcu otrzymali pozwolenie na pobyt w Szwecji i przenieśli się do Eskilstuny. Najpierw do mieszkania we Fröslundzie, a po kolejnych sześciu miesiącach do domu przy Lötgärdesstigen. Na początku wynajmowali go od gminy, ale Mohammed wkrótce mógł go kupić za rozsądną cenę. Wyglądało na to, że jemu i jego coraz liczniejszej rodzinie wiedzie się dobrze. Niedługo potem został właścicielem pralni chemicznej, w której można też było naprawiać i przerabiać ubrania. Oprócz tego posiadał niewielki sklep spożywczy. Jego najstarszy syn, Abdullah, poszedł do szkoły i był najlepszym uczniem w klasie.

Mniej więcej w ten sposób można było opisać, jak to się stało, że Mohammed i jego rodzina wylądowali w szwedzkim mieście Eskilstuna, prawie dziesięć tysięcy kilometrów na północ od ojczystego miasta Buuloburde w Somalii.

Lewenhaupt i jego koledzy patrzyli na tę rodzinę inaczej niż Urząd Migracyjny ponad dwadzieścia lat wcześniej i uważali, że należy podkreślić kilka faktów. Chociażby dlatego, że sprawa Mohammeda i jego rodziny miała najwyższy priorytet ze wszystkich prowadzonych przez Säpo.

Aktualna sytuacja polityczna w Somalii była równie chaotyczna jak dwadzieścia lat wcześniej, kiedy rodzina stamtąd uciekała. Kraj był tak samo dotknięty wojną, biedą, głodem i chorobami. W dalszym ciągu był to jeden z nielicznych krajów na świecie, pozbawionych działającego rządu centralnego. Lewenhaupt stwierdził, że gdyby miał ocenić poszczególne kraje w skali od jednego do dziesięciu pod względem mizერი społecznej, ekonomicznej i politycznej, a także tragicznej sytuacji obywateli, to Somalia byłaby murowaną dziesiątką.

Jednocześnie zaszły interesujące zmiany, zarówno w samej Somalii, jak i w nastawieniu państw ościennych do tego kraju. ONZ i Stany Zjednoczone w zasadzie porzuciły ambicje stworzenia tam czegoś w rodzaju możliwego do ogarnięcia ładu politycznego i społecznego. Zwłaszcza za pomocą środków militarnych. Były dwa wyjątki i żaden z nich nie wynikał z troski o kraj i jego mieszkańców. Wręcz przeciwnie – chodziło o ochronę reszty świata przed Somalią.

Po pierwsze, akcje wymierzone w somalijskich piratów grasujących u wybrzeży Somalii, od Oceanu Indyjskiego na południowym zachodzie po Zatokę Adeńską na północy. Po drugie, regularne interwencje Stanów Zjednoczonych przeciwko organizacjom terrorystycznym, które miały swoją bazę w tym kraju.

Pozostawało ekonomiczne i społeczne wsparcie ONZ i ich rozmaitych organów, a także zwykłe dotacje z bogatych krajów zachodnich. W przypadku Szwecji chodziło o roczną kwotę trzystu milionów koron „dotacji i pomocy rozwojowej” dla ponad dziesięciu milionów mieszkańców jednego z najbiedniejszych krajów na świecie.

Tak wyglądała ogólna sytuacja polityczno-ekonomiczna na tle społecznym. Jeśli jednak chodziło o ich sprawę, było kilka bardziej interesujących kwestii.

Kiedy Mohammed z rodziną opuszczał Somalię, organizacja Asz-Szabab nie istniała. Została założona dopiero dziesięć lat później. Dziś miała znaczną władzę w kraju i dysponowała między innymi własną armią liczącą dziesięć tysięcy żołnierzy, z czego kilka tysięcy brało udział w wielu innych wojnach oprócz tej z najbliższymi sąsiadami, która nieprzerwanie trwała w ich ojczyźnie. Wielu z nich walczyło na rzecz islamu także w Afganistanie, w innych częściach Afryki i na

całym Bliskim Wschodzie. Od kilku lat głównym ośrodkiem Asz-Szababu było ich ojczyste miasto Buuloburde w regionie Hiran. Po tym jak rodzina opuściła Somalię, również klan Hawiye, do którego należał Mohammed, umocnił swoją pozycję w kraju i w samym Asz-Szababie. W ramach organizacji nie dzielono członków według przynależności do poszczególnych klanów, ważniejsza była wspólna wiara, choć jednocześnie zachodnie służby bezpieczeństwa wiedziały, że większa część przywódców Asz-Szababu wywodzi się z klanu Hawiye.

Pozostawał jeszcze sam Mohammed. Kiedy przed ponad dwudziestu laty przyjechał do Eskilstuny, był pierwszym przedstawicielem rodu, który wyemigrował do Szwecji. Dziś oprócz niego mieszkało tu kilkuset kolejnych, którzy przyjechali do niego jako krewni i stanowili mniej więcej dziesięć procent spośród około dwóch tysięcy Somalijczyków mieszkających w okolicy.

Wszyscy eskilstuńscy Somalijczycy byli sunnitami. Wszyscy członkowie rodu Mohammeda należeli do klanu Hawiye. Jak wielu z nich na rozmaite sposoby wspierało Asz-Szabab? To trzeba było dopiero ustalić. Lecz Carl Lewenhaupt uważał, że najprawdopodobniej znacznie więcej niż tylko najstarszy syn Mohammeda, Abdo Khalid.

Mohammed stał na czele muzułmanów w Eskilstunie i nikt nie kwestionował jego pozycji. Był głęboko wierzący i znał osobiście wszystkich sześciu imamów z Eskilstuny. Jednocześnie był odnoszącym sukcesy biznesmenem, a od piętnastu lat – obywatelem Szwecji.

– Nie wiemy jeszcze tylko, czy utrzymuje kontakt z Asz-Szababem. A jeśli tak, jak wiele ma tam do powiedzenia.

– A ty jak myślisz, Calle? – zapytała Lisa Lamm. – To pies czy wydra?

– Ciekawe pytanie – odparł Lewenhaupt. – Myślę, że wkrótce znajdziemy na nie odpowiedź, więc na razie wolałbym się wstrzymać ze spekulacjami. Jeśli miałbym wam coś doradzić, proponowałbym, żebyście popatrzyli na wszystkie zdjęcia Mohammeda zrobione przez Martinez i jej współpracowników. Przyjrzeni się jego mowie ciała i temu, jak jest traktowany przez otoczenie. Żeby ułatwić wam interpretację, przesłałem notatkę na temat języka ciała muzułmanów, sporządzoną

przez jednego z moich współpracowników.

– Jak zwykle znajdziemy ją w skrzynkach mailowych – powiedziała Lisa Lamm z uśmiechem.

– Oczywiście – odparł Lewenhaupt. – Dla nas, ludzi od ustalania wszystkiego, wasze skrzynki mailowe są zawsze celem podróży.

DOPIERO W PIĄTEK po południu Kajsa Nilsson i Lina Jonsson złożyły raport swojej przełożonej, Lindzie Martinez. Obie wyraziły wątpliwości na ten sam temat. Do czego Abbdo potrzebowałby Ovego? Jeśli prowadzi sekretne życie, którego celem jest konstrukcja bomb, powinien za wszelką cenę unikać właśnie takich niedyskretnych starych alkoholików jak Ove Kristiansson.

Pozostawała sprawa samochodu, który wjechał do rowu, i połączenia komórkowego nawiązanego w bezpośrednim sąsiedztwie gospodarstwa Ovego Kristianssona.

– Co o tym sądzicie, dziewczyny? – spytała Martinez.

– To może być czysty zbieg okoliczności – stwierdziła Kajsa.

– Właśnie – zgodziła się Lina. – To typowa sytuacja z gatunku tych, w których nie można wykluczyć przypadku.

– Czasami cholernie się martwię o was dwie – stwierdziła Martinez. – Dziewięć miesięcy temu Abbdo Khalid wjechał do rowu zaledwie sto metrów od gospodarstwa Ovego Kristianssona. Tydzień temu w tym samym miejscu jego komórka nawiązała połączenie. Co on tam robi, do cholery? Czci dzień, w którym wjechał do rowu?

– Rozumiem, o co ci chodzi – powiedziała Kajsa. – Rzeczywiście tajemnicza sprawa.

– Niewątpliwie ciekawy zbieg okoliczności – zgodziła się Lina.

– Coś jeszcze? – zapytała Martinez i westchnęła.

– Może jedno, ale tym razem nie chodzi o Kristianssona – oznajmiła Kajsa.

– W takim razie pogadajcie o tym z Frankiem – poleciła Martinez i pokręciła głową.

Czas, żeby mały Linus zrobił krok numer dwa, dodała w myślach.

Linus Rasmusson zjawił się u Lindy Martinez niecałe pół godziny później. Rzeński i pozytywnie nastawiony, chociażby z uwagi na to, jaki finał miało ich poprzednie spotkanie.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, mam pociągnąć dalej temat tego Kristianssona – powiedział. – Jak szefowa to sobie zaplanowała?

Martinez spojrzała znad komputera i skinęła głową w stronę notatki sporządzonej przez Kajkę i Linę.

– Przeczytaj, do czego doszły nasze dwie blondynki – odparła. – I opracuj własny plan. Daj znać, kiedy będziesz gotowy coś mi zaproponować.

– Najpierw Linus przeczytał notatkę koleżanek. Zajęło mu to pięć minut. Przez kolejne pięć intensywnie myślał, a potem ostrożnie odchrząknął.

– Słucham – oznajmiła Martinez i oparła się na krześle.

Linus zaczął opowiadać, jak wyobraża sobie dalszą obserwację Ovego Kristianssona i jak zamierza ją przeprowadzić. Zajęło mu to kolejne dwie minuty.

– Co szefowa na to? – zapytał.

– Cudownie, Linus – odparła Martinez. – Będą z ciebie ludzie. Teraz zmykaj i dopilnuj, by choć raz coś zostało zrobione, żebyśmy zdążyli uratować życie twojemu staremu kumpłowi skautowi.

FRANK MOTOELE nie okazał specjalnego entuzjazmu, kiedy Kajsa Nilsson zaproponowała rozszerzenie pola działania i objęcie obserwacją także byłego kolegi klasowego Abbda Khalida, mimo że był on policjantem i od siedmiu lat służył w Eskilstunie.

Jaki pożytek mogli mieć z posterunkowego Franssona? Chodził z Abbdem do szkoły i dwanaście lat temu ich drogi się rozeszły. Frank podejrzewał, że nawet w tamtym okresie nie można ich było nazwać najlepszymi kumplami. Wśród kolegów Fransson był najbardziej znany z przezwiska i podejmowania kiepskich decyzji na służbie.

Kajsa Nilsson obstawała przy swoim i nie chciała ustąpić. Których kolegów z dawnych lat pamięta się najlepiej? – pytała. Właśnie tych, z którymi chodziło się do szkoły w czasie dorastania. Uważała, że warto spróbować, pomimo przezwiska Frassego i jego opinii wśród policjantów.

Nikt z ekipy śledczej nawet się nie spotkał z Abbdem Khalidem. Oglądali go i podsłuchiwali z ukrycia. Przeglądali wszystkie rejestry w poszukiwaniu informacji na jego temat. Rozmawiali z niektórymi dawnymi nauczycielami, kolegami z pracy i szefami. Tylko z takimi, co do których mieli pewność, że nie opowiedzą Khalidowi o rozmowie z policją. Nadszedł czas, by skontaktować się z kimś, kto miał inne doświadczenia. Z kimś, kto mógłby tchnąć nieco życia w obraz człowieka, którego obserwowali.

– Fransson z pewnością gadał z Abbdem tysiące razy, a do tego jest policjantem.

W końcu Frank Motoele się ugiął. Postawił jednak bardzo konkretne warunki. Rozmowa z Niklasem Franssonem miała się odbyć pod przykrywką. Kajse Nilsson czekało odegranie jeszcze jednej roli. Tym razem funkcjonariuszki wydziału narkotykowego Krajowej Policji Kryminalnej w Sztokholmie. Jej rozmowa z Niklasem Franssonem musiała mieć formalny charakter i odbyć się na



komisariacie w Eskilstunie. Motoele zapowiedział, że kwestie praktyczne będzie omawiał z Eskilssonem.

– Pytaj go o wszystko, co wie na temat Khalida. Poinformuj go o obowiązku zachowania tajemnicy. Nie wymyślaj szczegółów sprawy narkotykowej. Nigdy nie powinno się kłamać bardziej, niż jest to konieczne. Dopilnuj, żeby przed wyjściem podpisał zakaz ujawniania poufnych informacji. I ani słowa o tym, o co tak naprawdę chodzi.

– A myślałeś, że co chcę zrobić? – zapytała Kajsa. – Gdzie ta cała gadka o zaufaniu do kolegów? Możesz mi zaufać. Zapewniam.

– Dobrze. Obiecuję, że jeśli zrobisz to, co mówię, będę ci ufał.

– Fajnie, że się zgadzamy – odparła Kajsa.

W sobotę dwudziestego trzeciego maja przed południem inspektor Krajowej Policji Kryminalnej Kajsa Nilsson zaczęła przesłuchanie dawnego kolegi z klasy, posterunkowego Niklasa Franssona z policji w Eskilstunie. Był dokładnie taki, jak go zapamiętała.

– Wyglądasz ładniej niż kiedykolwiek, Kajso. W czym mogę ci pomóc? – zapytał Niklas Fransson z uśmiechem, którego z pewnością używał zawsze, kiedy rozmawiał z kobietą wyglądającą jak Kajsa Nilsson.

– W sprawie tego gościa – odparła, wręczyła mu zdjęcie z dziewiątej klasy i pokazała palcem Abda Khalida.

– Mały Abdullah Mohammed. Chociaż w budzie mówiliśmy na niego po prostu Abdo. Chętnie ci pomogę, Kajso. Wiesz o tym. Zawsze możesz na mnie liczyć. W każdej sprawie.

– Co w takim razie możesz mi o nim powiedzieć?

Niklas Fransson odparł, że praktycznie wszystko. Przynajmniej z okresu tych dziewięciu lat, kiedy chodzili razem do szkoły. Choć nie można było ich nazwać najlepszymi przyjaciółmi. Abdo trzymał się na uboczu. Unikał zadawania się ze zwykłymi ludźmi, takimi jak on.

– Jego najlepszym ziomkiem był kuzyn Avve. Chodzili do tej samej klasy. A Abdo? Cóż mogę o nim powiedzieć? Był cholernie dobrym uczniem. Najlepszy

w klasie. A nawet w całej szkole. W niektórych przedmiotach, takich jak matma. Mały, cichy koleś, jeden z tych, którzy siedzą w pierwszej ławce i odpowiadają na każde pytanie. I nie muszą nawet podnosić ręki, bo wiadomo, że znają odpowiedź. Kojarzysz ten typ. Z kolei jego kuzyn Avve...

– No właśnie. Co z nim?

– Zupełnie inny chłop. Kawał wesołego gnojka. Wymiałał w piłce nożnej. Wiesz, że gra w Allsvenskan?

– Tak – odparła Kajsa. – Ale opowiedz więcej o Abbdzie. Kawał kujona, mały i cichy. Dokuczali mu?

– Nie, nic z tych rzeczy. W tej samej szkole miał ze dwudziestu braci krwi. Niektórzy z nich byli śmiertelnie niebezpieczni. Prawdziwi zawodowi mordercy. Wszyscy o tym wiedzieli. Jeśli zadarłeś z którymś z nich, ściągałeś sobie na głowę wszystkich. Miałeś przechlapane.

– Czy kiedykolwiek próbował z tego korzystać? Starsi koledzy stawali w jego obronie?

– Nie – odparł Niklas. – Tak jak mówiłem, Abbd trzymał się na uboczu. Kujon. Miły i w porządku, kiedy się go o coś pytało. Ale nigdy sam nie nawiązywał kontaktu.

– A jego somalijscy bracia krwi? Żaden z nich nie próbował się z nim drażnić?

– Pytasz o to, czy mu nie dokuczali? Dlatego, że był inny?

– Tak jakby.

– Nie, nie. To by było samobójstwo.

– Dlaczego?

– Myślę, że wiesz. Zdajesz sobie przecież sprawę, kim był jego ojciec, Mohammed Hussein.

– Wiem o nim tylko tyle, że nigdy nie był karany. Zwykły odnoszący sukcesy biznesmen, o ile dobrze zrozumiałam.

– Naprawdę, Kajso? Mohammed jest szefem Somalijszczyków. Prawdziwym Ojcem Chrzestnym, choć są muzułmanami. To dotyczy wszystkich muzułmanów z Eskilstuny. Gdyby ktoś dokuczył małemu Abdullahowi, który był jego oczkiem

w głowie, podpisałby na siebie wyrok śmierci. Pamiętam, jak to było, kiedy chodziliśmy do młodszych klas. Starsi Somalijscy zawsze się kręcili koło Abbda i pilnowali, żeby nikt z nim nie zadzierał. Naprawdę straszliwe typy, nawet nasi nauczyciele srali w gacie na ich widok.

– Ale sam Abbdo był miłym, porządnym chłopakiem. Kujon, trochę nieśmiały. Nawet muchy by nie skrzywdził – uściśliła Kajsa.

– Dlaczego by miał to robić? Nie musiał. Abbdo był najstarszym synem Mohammeda. To wystarczyło. Dlatego trochę się zdziwiłem, kiedy zaczęłaś mnie o niego pytać w związku z jakąś aferą narkotykową. Każdy z nich, nawet kuzyn Avve, ale nie Abbdo. Dla mnie to niepojęte. Sama myśl, że miałby się zajmować narkotykami.

– Mówiłam ci, że jeśli o to chodzi, nie mogę zdradzać szczegółów.

– W porządku. Ale i tak byłem zdziwiony. Kiedy chodziliśmy do szkoły... Abbdo i ja przez dziewięć lat byliśmy w jednej klasie...

– Tak?

– Jedynym gościem, który nigdy nie chlał, nigdy nie palił, był Abbdo. Nawet nie był zainteresowany dziewczynami. W siódmej klasie przestał się pojawiać na imprezach klasowych. Za to jego kuzyn uganiał się za dziewczynami, palił, żłopał piwsko, lubił imprezki. Całkiem w normie. Nie był za bardzo podobny do Abbda.

– Jak sobie radził w szkole? Pytam o Avvego.

– Genuszem to on nie był. Chyba nawet ja miałem lepsze oceny od niego. Avve miał mądrość uliczną, lecz po dziewiątej klasie dał sobie spokój z nauką. Choć w ostatniej klasie zdał egzamin z drugim wynikiem w kraju. Najlepszy był oczywiście Abbdo. Nic dziwnego. Ale to, że Avve był drugi, zdumiało wszystkich. Żaden z naszych nauczycieli nic z tego nie rozumiał. Żaden z nas też nie. Dopiero po jakimś czasie zajrzyłem, jak to możliwe. To naprawdę niezła historia. Poza tym coś o nim mówi.

– W takim razie opowiedz – poprosiła Kajsa.

Chodzenie do klasy z Abbdem i jego kuzynem Avvem wiązało się z pewnymi praktycznymi problemami, tak byli do siebie podobni z wyglądu. Cały czas ich

mylono, o ile oczywiście nie byli w klasie, bo wtedy Avve siedział na samym końcu i obczajał dziewczyny z klasy, a jego kuzyn siedział w pierwszej ławce, czytał książkę, stukał w klawisze komputera albo odpowiadał na wszystkie pytania, na które nikt inny nie potrafił odpowiedzieć.

Problemy zaczynały się tuż po wyjściu z klasy. Jeden z kolegów próbował obrócić to w żart i powiedział, że Abbdo i Avve powinni nosić na piersi tabliczki z napisami „Czarnuch jeden” i „Czarnuch dwa”. O tym, kto będzie jedynką, a kto dwójką, mógł zdecydować rzut monetą. Abbdo był najlepszy w szkole ze wszystkich przedmiotów. Avve najlepiej grał w piłkę. Najprościej było rzucić monetą.

Avve podszedł do propozycji z humorem. Stwierdził, że jeśli autor pomysłu będzie nosił podobną tabliczkę z informacją, że ma małego fiutka, on chętnie zostanie „Czarnuchem dwa”. Abbdo się nie odezwał, po prostu sobie poszedł. Na przerwie Niklas widział, jak rozmawia z dwoma najgorszymi członkami somalijskiej braci.

– To nie była dobra propozycja – stwierdził Niklas i pokręcił głową. – I mój kolega zrozumiał to jeszcze tego samego dnia, kiedy wracał ze szkoły do domu. Wszystkim zajęli się ludzie, z którymi rozmawiał Abbdo.

– Spuścili mu lanie.

– Żartujesz. To mało powiedziane. Kiedy wrócił do domu, czekali tam na niego. Zaciągnęli go do pralni i zmasakrowali. Zanim poszli, zabrali mu wszystkie ubrania. Wyciągnęli puszkę sprayu i napisali mu wiadomość na piersi, tam, gdzie jego zdaniem Abbdo i Avve powinni nosić tabliczki.

– Jak brzmiała?

– „Prawie martwy Svenne” – odparł Niklas.

– Ale ktoś na pewno to zgłosił – powiedziała Kajsa.

– Na szczęście nie. Gdyby to zrobił, następnym razem chłopak zostałby znaleziony z napisem „Martwy Svenne”.

– To śmieszne. Przecież ktoś z dorosłych musiał zareagować. Co zrobili jego rodzice? Co zrobili nauczyciele?

– Nic. Każdy trzymał gębę na kłódkę. Najbardziej zadowolony z tego był pewnie ten mój kolega. Przynajmniej przeżył.

– Rzeczywiście to brzmi jak całkiem niezła historia. Poprawiła mi humor.

– To nie koniec. Jest jeszcze jedna rzecz. Która mówi coś na temat Abbda i Avvego.

– Okej, słucham.

– Tydzień po tej historii Avve przyszedł z innym pomysłem. Zwrócił się z tym akurat do mnie, z pewnością dlatego, że też grałem w szkolnej drużynie piłkarskiej. Abbdo i on też mieli dość tego, że ciągle ich mylono, więc zaproponowali różnokolorowe koszulki. Abbdo miał mieć żółtą, to był kolor Lwa, a Avve niebieską. I tak się stało. Przez całą ostatnią klasę Abbdo chodził w żółtej koszulce, a Avve w takiej samej, tyle że niebieskiej. Wszyscy bardzo się ucieszyli, łącznie z nauczycielami. Dopiero po egzaminie, kiedy się okazało, że Avve też jest geniuszem, zrozumiałem, co zaszło. Avve był fajnym chłopakiem, kimś w rodzaju artysty życia, jak go nazywałem, ale na pewno nie geniuszem.

– Zamienili się koszulkami.

– Otóż to. Sama wiesz, jak wyglądał ten egzamin. Setka dzieciaków siedzi i wypełnia arkusze z pytaniami, a dwóch zmęczonych nauczycieli ma pilnować, żeby nikt nie ściągał. Tylko jedna osoba naraz może wyjść do toalety, i to biegiem. Nietrudno się domyślić, jak to było.

– A potem zostałeś policjantem – powiedziała Kajsa i się uśmiechnęła.

Superdetektywem, który rozwiązał wielką tajemnicę koszulek, dodała w myślach. Jakkolwiek zdążył to zrobić przy tych wszystkich dziewczynach...

– Oboje jesteście policjantami – powiedział Niklas i uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Co ty na to, żebyśmy poszli na piwo i powspominali stare szkolne czasy?

– Myślałam, że jesteś żonaty – Kajsa zaczęła się droczyć. – Stary dobry Niklas. Nigdy się nie poddaje.

– Aj tam zaraz żonaty – odparł Niklas. – To za dużo powiedziane. Mam dziewczynę, z którą się spotykam od czasu do czasu. Od wspomniania dawnych czasów w szkole policyjnej jeszcze nikt nie umarł. No, co ty na to?

– Nie wiem nawet, jak długo zostanę w mieście. Ale jasne, dryndnij do mnie na początku przyszłego tygodnia, to zobaczymy. – Gdybyś tylko wiedział, ilu ludzi umarło od gadania o dawnych czasach, dodała w myślach.

– To wszystko już wiedzieliśmy – stwierdził Frank Motoele kilka godzin później, kiedy Kajsa zreferowała to, co ich kolega Niklas Fransson miał do powiedzenia o Abbdzie Khalidzie i ich szkolnych czasach.

– Nie przesadzaj – zaprotestowała. – O zmalretowanym koledze z klasy nie wiedziałam. Ani o zamianie koszulek.

– Cokolwiek nam to pomoże, o ile jest prawdą – powiedział Frank Motoele. – Te informacje niedługo będą miały piętnaście lat. Oszustwo na egzaminie to nie przestępstwo. A jeśli chodzi o tę ofiarę przemocy, to przecież nigdy niczego nie zgłoszono. A właśnie, próbowałaś porozmawiać z tym chłopakiem?

– Kiedy miałabym niby z nim porozmawiać? Poza tym to niemożliwe. Nie zdążyłam.

– Dlaczego niemożliwe?

– Nie żyje – odparła Kajsa. – Utopił się w czasie wakacji trzy lata temu. Łowił z kumplami ryby w jeziorze Hjälmarén. Był konkretnie wstawiony, wpadł do wody i utonął.

– Dlaczego mnie to nie dziwi – stwierdził Frank Motoele.

– Mimo wszystko sądzę, że to nam coś mówi o Abbdzie i jego kuzynie – upierała się Kajsa. – Wycofany kujon Abbdo, lat piętnaście, każe swoim złośliwym kumplom prawie, ale tylko prawie, zabić kolegę z klasy. Przynajmniej ja miałam w głowie inny obraz Khalida.

– Akurat z tym nie mam problemu. Abbdo to morderca. To, że inni wykonują robotę za niego, również nie dziwi. Na niego czekają ważniejsze zadania.

– A co ty byś zrobił, gdyby ktoś ci powiedział, że powinieneś mieć taką tabliczkę? – zapytała Kajsa Nilsson.

– Nie chcesz tego wiedzieć – odparł Motoele.

– Ależ chcę. Chcę wiedzieć, jak byś zareagował, gdyby ktoś próbował cię w ten sposób obrazić. To powie coś o tobie jako człowieku. Taki ktoś jak Abbdo na pewno

co chwilę był obrażany przez ludzi, którzy nie wiedzieli, kim jest, lecz prowokował ich sam widok czarnoskórego faceta. Co ty byś zrobił, gdyby ktoś zachował się podobnie w stosunku do ciebie?

- Nikt nigdy nie próbował mnie obrazić – oznajmił Frank Motoele.
- Ciekawe dlaczego. Przejrzyj się kiedyś w lustrze, jeśli nie rozumiesz.
- Dobrze, obiecuję, że się nad tym zastanowię.
- Nie próbuj się wykręcić. Odpowiedz na pytanie. Co ty byś zrobił?
- Napis na nim nie brzmiałby „Prawie martwy”. A stroną praktyczną zająłbym się sam.

LINUS RASMUSSEN miał zadanie do wykonania. Plan, którego zamierzał się trzymać, i problem stojący w sprzeczności z podstawową zasadą każdej poważnej policyjnej roboty: brać, co dają. Zadanie, plan, problem.

Zadanie otrzymał od przełożonej, Lindy Martinez. Polegało na wykazaniu powiązań między Abbdem Khalidem a Ovem Kristianssonem, szczegółowym ich opisaniu i zabezpieczeniu wszystkich dowodów wymaganych do skazania Ovego Kristianssona na dłuższą karę więzienia, bo rozumiało się samo przez się, że ich powiązania były przestępczej natury. Tak sądziła Martinez, a praktyczne szczegóły przekazała mu lekką ręką, sama bowiem miała ważniejsze rzeczy do roboty.

Linus opracował plan, który miał mu pomóc się zbliżyć do obiektu obserwacji, zdobyć jego zaufanie i sprawić, żeby popełnił błędy wystarczające do wsadzenia go za kratki. Niestety, miał również problem, bo nie wierzył, że istnieje jakiegokolwiek powiązanie – a już tym bardziej kryminalne – między Khalidem a Kristianssonem. Do czego Khalidowi byłby potrzebny ktoś taki jak Kristiansson?

Rozmawiał o tym z koleżankami Kajsą i Liną, które poznały Ovego Kristianssona, tyle że to, co miały do powiedzenia, nie poprawiło jego morale.

– Ove Kristiansson jest starszym człowiekiem mocno nadużywającym alkoholu – podsumowała Kajsza Nilsson. – Siedzi w starej walącej się chałupie i zalewa pałę. Zapomnij o związku między wjechaniem do rowu a rozmowami telefonicznymi, o którym głądzi Martinez. To tylko pechowy zbieg okoliczności. W tej branży zdarzają się cały czas.

– Niestety – zgodziła się Lina. – W tej kwestii Kajsza i ja wyjątkowo jesteśmy całkowicie zgodne.

Pozostawało brać, co dają, i realizować plan, który sporządził. W sobotę przed południem Linus Rasmusson przystąpił do działania. Mniej więcej w chwili, kiedy



Kajsa Nilsson spotkała się z dawnym kolegą ze szkoły policyjnej, zaparkował taksówkę przed domem Ovego Kristianssona, zatrafił trzy razy, wyłączył silnik i wysiadł.

Po pięciu minutach i kolejnych trzech dźwiękach klaksonu otworzyły się drzwi i na werandę wyszedł Ove Kristiansson – na bosaka, w niewypranych dżinsach i do połowy rozpiętej flanelowej koszuli w kratę.

– W czym mogę ci pomóc, stary? – zapytał, przenosząc spojrzenie z Linusa na jego taksówkę i z powrotem.

– Bardzo przepraszam – powiedział Linus. – Mam zamówienie na godzinę dziesiątą. Kristiansson. Kurs do centrum Eskilstuny. W jedną stronę.

– Jak to, taksówka? Nie zamawiałem żadnej taksówki.

– Mam zamówienie pod ten adres – oznajmił Linus i pokazał telefon.

– Nie zamawiałem żadnej cholерnej taksówki – powtórzył Kristiansson i pokręcił głową.

– Tajemnicza sprawa – oznajmił Linus. – Ale to pan nazywa się Kristiansson?

– A jak inaczej miałbym się nazywać, do cholery? Nazwisko jest na skrzynce przy drodze. Ma pan prawo jazdy, więc umie czytać.

– Czyli nie zamawiał pan taksówki?

– Nie – odparł Kristiansson. – Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, ale wydaje mi się, że właśnie to powiedziałem. I to na wszelki wypadek dwa razy.

– Dziwne jak cholera – powiedział Linus. – Tu na komórce mam zamówienie. W okolicy nie mieszka żaden inny Kristiansson? Może to jakieś nieporozumienie?

– Nie, nie mieszka.

– A może ktoś chciał panu zrobić na złość – podsunął Linus. – To się niestety zdarza.

– Z pewnością. – Ove Kristiansson wyszczerzył zęby. – Ale nie ma tu żadnego innego Kristianssona.

– Typowe – westchnął Linus. – Będę musiał zgłosić, że nie dotarłem do celu.

– Dobra – odparł Kristiansson. – Ale niech pan nie liczy, że dam panu jakąś forszę. Płacę za taryfę tylko wtedy, kiedy ją zamawiam.

– Oczywiście. Koszty pokryje Taxi Sörmland. Przepraszam, że zakłóciłem panu odpoczynek.

– Olej to, chłopie. Takie rzeczy się zdarzają. Co teraz zrobisz?

– Muszę wracać do miasta – westchnął Linus. – Miałem nocną zmianę, więc muszę odstawić samochód najpóźniej o dwunastej.

– To może zabrałbym się z tobą do miasta? I tak mam tam do załatwienia pewną sprawę.

– Niestety – odparł Linus. – To niemożliwe.

– W czym problem? Może mnie pan wypuścić, gdzie chce.

– Nie wolno mi przewozić pasażerów, kiedy mam wyłączony taksometr. Przykro mi, ale takie są wymogi ubezpieczyciela, bo trzeba...

– Olej to, chłopie – przerwał Ove Kristiansson. – Zarobisz na boku stówę, co ty na to?

– Okej – odparł Linus i się rozchmurzył. – Stówa jest jak najbardziej okej.

– Dobrze – powiedział Ove Kristiansson. – Daj mi pięć minut na włożenie buciorów.

Piętnaście minut później Ove Kristiansson siedział na fotelu pasażera w taksówce Linusa i jechał do Eskilstuny. Kristiansson zapłacił sto koron z góry. Poza tym włożył czyste ubranie i przynajmniej z grubsza się opłukał. Włożył skarpetki, buty, wyprane džinsy, zapiął koszulę, której także nic nie brakowało. Wyglądał jak emeryt ze wsi, który musi pojechać do miasta załatwić jakąś sprawę.

Zaproponował, żeby przeszli na ty.

– Gdzie mam cię wysadzić, Ove? – zapytał Linus.

– Co powiesz na sklep monopolowy? – odparł Ove i wyszczerzył zęby.

– Idealnie. Koło naszego garażu jest jeden.

– Ja też mam propozycję. Może potem byś mnie odwiózł? Zapłacę ci kolejną stówę.

– Problem polega na tym, że muszę odstawić samochód – oznajmił Linus.

– Nie masz swojego?

– Nie – odparł Linus. – Ale jeśli dasz mi dodatkowy kwadrans, chyba będę mógł

pożyczyć. Od kumpla. On zresztą też jeździ taksówką.

– I może pożyczyć swoje auto?

– Tak. Złamał stopę w zeszłym tygodniu, kiedy graliśmy w piłkę. Jest na zwolnieniu.

– No to tak zrobimy. Zaklepane.

– Tak – odparł Linus. – Tylko problem jest taki, że zawsze kiedy pożyczca samochód, chce, żeby mu zwrócić też za wachę. Mówiąc między nami, straszny z niego chytrus.

– Takich ludzi jest pełno. Chytre gnojki, które chcą się dorobić na takich jak ty czy ja. Dostaniesz jeszcze stówę i już.

– Stoi – powiedział Linus. – Spoko z ciebie facet, Ove. Jak cholera.

Dwadzieścia minut później podjechał pod sklep monopolowy i jak tylko zobaczył, że Ove znika za drzwiami, zadzwonił do Lindy Martinez i powiedział, że jest w centrum i musi się przesiąść do innego auta. Tym razem zwyczajnego.

– Okej – odparła Linda. – Podjedź do Stadshotellet i stań na ich parkingu, a ja dopilnuję, żebyś miał nowy samochód. A właśnie: jak ci idzie?

– Lepiej niż dobrze – oznajmił Linus.

– W porządku – odparła Martinez. – Za dziesięć minut dostaniesz nowy wóz.

Ove Kristiansson był w wyśmienitym humorze. Linus ulokował na tylnym siedzeniu skrzynkę piwa i dwie wypchane torby, a czterdzieści minut później wyniósł to wszystko i postawił w kuchni Ovego. Ove poklepał go po ramieniu i podziękował za pomoc. Kiedy on był w wieku Linusa, wszyscy chętnie pomagali w razie potrzeby. Ale czasy się zmieniły. Dziś rzadko się spotyka takich ludzi jak Linus, a ci najgorsi – którzy czekają, aż starsi ludzie spokojnie zasną, żeby ich udusić poduszką i ukraść im złote zęby – często pracują w domach opieki.

– Gdyby nie to, że musisz prowadzić, zaprosiłbym cię na piwko – oznajmił Ove. – Nadrobimy to następnym razem. Poza tym zostało mi tylko jedno zimne, więc sam je obalę. Jak tylko walnę się na kanapę i włączę telewizor.

– Nie ma problemu – odparł Linus. – Weź moją wizytówkę. Firmowa, na

wypadek gdybyś jeszcze kiedyś potrzebował pomocy. Na wizytówce jest mój prywatny numer.

– Cholera, Linus – westchnął Ove. – Jesteś nie do podrobienia. Najlepiej jedź do Eskilstuny, zanim zmienię zdanie i dam ci moje jedyne zimne piwko.

Pozostaje jeszcze Ove, pomyślał Linus Rasmusson i ciężko westchnął, kiedy po raz drugi tej samej soboty wracał do Eskilstuny. Mocno uzależniony alkoholik dobiegający osiemdziesiątki – istniały spore szanse, że w najbliższym czasie zapije się na śmierć. Samotny człowiek, z którym zdecydowanie lepiej nie zadzierać. Jeśli jednak odpowiednio do niego podejść, potrafi być miły jak mało kto. Jakie jest prawdopodobieństwo, że ktoś pokroju Owego będzie chciał mieć do czynienia z kimś pokroju Abbda Khalida? – zapytał sam siebie Linus i znowu westchnął. Równie duże jak to, że gołąb będzie chciał się pieścić z jastrzębiem.

DOPIERO PO POWROCIE do swojego gabinetu, po spotkaniu, w czasie którego Carl Lewenhaupt opowiadał, jak rodzina Khalidów znalazła się w Szwecji, przystąpiła do spraw administracyjnych, które przekazała jej sekretarka Karin. Wszystkie dokumenty leżały na biurku w małej foliowej koszulce i czekały, aż Mattei wypowie się na ich temat przed przesłaniem w kolejne ręce – do wielkiego budynku przy Ingentingsgatan w Solnie.

Typowo urzędowe rutynowe kwestie, które utwierdzają ludzi w przekonaniu, że biurokracja jest potrzebna, a w najlepszym wypadku sprawiają, że życie pracowników tego budynku nabiera głębi i sensu. Tak czy inaczej, wypełniały jej coraz więcej czasu każdego dnia. Ciekawe, co by było, gdybym po prostu wsadziła je do niszcarki, pomyślała. Patrząc na kolor foliowej koszulki, stwierdziła, że nikt by od tego nie umarł.

Zamiast tego zrobiła, co do niej należało, a po skończonej pracy nadszedł czas na lunch z Lisą Lamm i Janem Wiklanderem. Lunch w stołówce dla personelu, w czasie którego rozmawiali praktycznie o wszystkim oprócz ich śledztwa. Zgodnie z zasadami tajemnicy służbowej zawartymi w DSOD, ale też przez wzgląd na znajdujących się w pobliżu kolegów z pracy, którzy mogli coś usłyszeć, wygadać i tym samym narazić na szwank całą operację.

Na zakończenie posiłku życzyli sobie miłego weekendu. Wiklander, który w tym czasie miał odpowiadać za działalność operacyjną, obiecał, że się odezwie, kiedy tylko wydarzy się coś, co będzie wymagało ich natychmiastowej obecności, ale ponieważ wcześniejsze doświadczenia jednoznacznie wskazywały, że nic takiego się nie stanie, stwierdził, że zobaczą się w poniedziałek.

W wytycznych DSOD jest wyraźna luka, pomyślała Mattei, kiedy odstawiała tacę z brudnymi naczyniami. Napisano tam, o czym nie wolno rozmawiać, ale nie zarekomendowano żadnych dozwolonych tematów. Rozmowa o pogodzie za oknem

budynku przy Ingentingsgatan była zawsze na miejscu, lecz kiedy tylko zaczęli porównywać ją z pogodą w innych zakątkach świata, wkraczali na niebezpieczny teren. Na przykład kiedy mówili o pogodzie w Wielkiej Brytanii sprzed prawie czternastu dni. Jeszcze gorsze – i stanowiące jawne złamanie tajemnicy służbowej – byłyby choćby wzmianki o słońcu, które świeciło na niebieskim niebie nad RAF Brize Norton po południu w poniedziałek jedenastego maja.

Wreszcie sama, pomyślała Lisa Mattei. Usiadła za swoim dużym biurkiem. Włączyła komputer. Zalogowała się do Helgego Złotej Rączki i otworzyła „Ogólne materiały pomocnicze” – ostatni wkład Carla Lewenhaupta w jej śledztwo.

Potem poświęciła jeszcze jedno popołudnie ze swojego życia na oglądanie filmów z młodymi kobietami z Zachodu, które to wyznawały gorącą wiarę w islam, to znów obiecywały, że osobiście zabiją przeciwników w świętej wojnie, w której obecnie uczestniczyły.

Były to młode Szwedki żyjące w związkach z muzułmanami, którzy mieli zupełnie inne pochodzenie etniczne i, co potwierdziła Säpo, byli powiązani z różnymi islamskimi organizacjami terrorystycznymi. Wyjątkowo często były to niebieskookie blondynki o jasnej cerze i białych zębach. Zawsze nieumalowane, często miłe dla oka. W innej epoce mogłyby być modelkami Carla Larssona i szwedzkimi ideałami kobiecego piękna. Ich spojrzenia były przenikliwe. Spokojne i pewne. Mówiły rzeczowo, w wyważony sposób, bez emocji, niekiedy nawet wydawało się, że nie mają w sobie żadnych uczuć. Nie podnosiły głosu, na ich twarzach nie czaił się najdrobniejszy cień uśmiechu, często były elokwentne. Wszystko razem wskazywało na to, że dorastały jakby poza wszelkimi problemami w wykształconej szwedzkiej klasie średniej.

Do tego są całkowicie pozbawione poczucia humoru, dodała w myślach, wzięła do ręki telefon i zadzwoniła do Carla Lewenhaupta.

– Cześć, Calle. Masz czas na spotkanie ze mną?

– Tak. O czym chcesz porozmawiać?

– O tych szwedzkich blondynkach, które mi przesłałeś mailem i które wciąż chcą nam podrzynać gardła.

– Zobaczyłaś to w ich oczach?

– Tak jakby – odparła Mattei.

Zacząła mówić o europejskim terroryzmie w latach siedemdziesiątych. To, że kobiety działały aktywnie jako terrorystki, nie było niczym nowym. Ulrike Meinhof, Gudrun Ensslin, Irmgard Möller, Brigitte Mohnhaupt czy Hanna Krabbe to tylko niektóre z nich. W tamtych czasach w całej Europie miały wiele naśladowczyń. W sensie społecznym były bardzo podobne do kobiet, które teraz są częścią islamskiego terroryzmu. Pochodziły z wykształconej klasy średniej, często dobrze się prezentowały. To, że wierzyły w zupełnie inne rzeczy, nie miało znaczenia. Ważny był za to wyraz ich oczu.

– Ulrike i jej przyjaciółki dało się rozczytać – dowodziła. – Były radosne, wściekłe, podniecone, pałały żądzą mordy, nazwij to sobie, jak chcesz, ale w ich oczach można było zobaczyć, co się dzieje w głowie. O dziewczynach, które pięćdziesiąt lat później przysłałeś mi mailem, nie da się tego powiedzieć. W ich oczach widać tylko światło, które ktoś zapalił im w głowach. Ten sam stabilny płomień, który nawet nie zadrga.

– Rozumiem, co masz na myśli – odparł Calle Lewenhaupt i pokiwał głową. – Zobaczyły prawdę i światło, zrozumiały, na czym polega sens życia. Coś takiego sprawia, że jesteś ponad innymi.

– Dobrze – powiedziała Mattei. – Coś ci podpowiem. Zadzwoń do kolegów z Uppsali i poproś, żeby przesłali sfilmowane przesłuchania Sary Svensson w sprawie z Knutby z dwa tysiące czwartego roku.

– Chodzi ci o tę opiekunkę do dzieci, która zastrzeliła żonę pastora i sąsiada?

– Właśnie o nią – potwierdziła Mattei. – Poproś, żeby to przysłali, i nie mów dłaczego. Gdyby ktoś pytał, zasłoń się bezpieczeństwem państwa.

– To dobre przesłuchania?

– Nie, przesłuchania są do niczego, ale opiekunka jest dobra. Ma dokładnie ten sam wyraz twarzy co dziewczyny, o których mówię. A do tego jest w tym samym wieku.

– No i jest głęboko wierząca. Choć to chrześcijanka.

– Tak – odparła Mattei. – Właśnie. Widać to w jej oczach. Problemem jest to, do czego się przyznaje. Nie wierzę jej.

– Ciekawe – stwierdził Carl Lewenhaupt i pokiwał głową z namysłem.

– Jest jeszcze jedna rzecz, nad którą się zastanawiam.

– Co takiego?

– Jeżeli masz silną wiarę... dlaczego musisz ciągle wzywać tego, w którego wierzysz? Ciągle Allah to, Prorok tamto, właściwie w każdym zdaniu i bez względu na to, o co chodzi. Ja jestem chrześcijanką w ten zwykły, szwedzki sposób, no wiesz, byłam ochrzczona, bierzmowana. Przyjmijmy, że naprawdę miałabym zostać zbawiona.

– Tak?

– Nawet by mi się nie śniło zwracać do Boga i opowiadać, co jadłam na kolację albo w co byłam ubrana, kiedy szłam na imprezę. Dlaczego miałabym zawracać mu głowę takimi rzeczami? Nie ma innych, ważniejszych spraw?

– Wiarę wyraża się na różne sposoby – odparł Calle Lewenhaupt, splótł ręce na brzuchu i skierował spojrzenie ku górze. – Miałem pewną starszą krewną, która była głęboko wierząca...

– Może niech poczeka – przerwała Mattei. – Niepokoi mnie inna rzecz. Od samego początku śledztwa. Już o tym rozmawialiśmy.

– Chodzi ci o Louise Urqhart.

– Tak jest. Wyraz jej oczu ani trochę nie przypomina tego, który można zobaczyć u tych jasnowłosych muzułmanek, które mi przysłałeś. Wiesz, dlaczego tak jest?

– Nie. Zamieniam się w słuch – odparł Carl Lewenhaupt.

– Bez względu na to, o jakim Bogu mówimy, nie sądzę, żeby Louise Urqhart służyła jego sprawie. Ona ma innych zleceniodawców. A właśnie, jak tam z Kolią?

– Mam się z nim spotkać w czwartek. Jan wszystko załatwił.

– W czwartek? To jeszcze prawie tydzień.

– Tak, wiem, ale Jan twierdzi, że Kolia potrzebuje tego czasu, jeśli ma nam pomóc.

– Okej – odparła Mattei. – Mówi tak tylko dlatego, że chce od nas wyciągnąć



więcej forsy. Ale uznam to, jeśli się dowiesz, dla kogo pracuje Louise Urqhart.

Kiedy Lisa wróciła do domu, Ella już spała. Dwie godziny wcześniej niż zwykle i to nie z powodu choroby, ale dlatego, że z innymi dziećmi z przedszkola pojechała na wycieczkę i kiedy Johan przyjechał ją odebrać, była wykończona.

– Przysypiała już przy kolacji, ale zanim zasnęła, prosiła, żebym cię ucałował i przytulił, kiedy wrócisz.

– A ja mam dla ciebie prezent. Położyłam na twoim biurku pendrive. Jest tam kilka kolejnych filmów. Chciałabym, żebyś je obejrzał.

– Jasne – odparł Johan. – Gdzie są papiery, które mam podpisać?

– Tym razem ci daruję, ze względu na twoje wcześniejsze dokonania. Sama mam zamiar pójść w ślady Elli. Ze względu na jutrzejszą imprezę i na to, że czuję się stara, pomarszczona i poszarzała.

W sobotę zostawili Ellę u babci. Ella wiedziała, że mama i tata poszli do kolegi taty na imprezę bez dzieci. Nie miała nic przeciwko temu. Fajnie było się spotkać z babcią, a jeszcze fajniej dlatego, że babcia wróciła z wakacji we Włoszech, gdzie na pewno kupiła jej jakiś prezent.

Lisa Mattei postanowiła skorzystać z okazji i przypomnieć matce o pewnej kwestii.

– Dobrze wyglądasz. Naprawdę widać, że miałaś udane wakacje.

– Dziękuję – odparła Linda Mattei. – Włochy o tej porze roku są naprawdę w porządku. Temperatura w sam raz.

– Tak, człowiek ma siłę porządnie jeść – zgodziła się Lisa Mattei. – Niedługo będziesz taka okrągłutka jak Ella.

– Ciebie ten problem chyba nie dotknął – stwierdziła Linda Mattei.

Nagle wyglądała bardziej jak policjantka, którą była kiedyś, niż jak matka, którą była nadal.

– To dlatego, że nie ładuję w siebie tyle cukru przez cały czas – odparła Lisa Mattei. – Całusy, Ellu, całusy, mamó, uważajcie na siebie i do zobaczenia jutro.

Impreza odbywała się na wyspie Dalarö na sztokholmskich szkiwach. Brali w niej udział przyjaciele i znajomi Johana z branży filmowej i telewizyjnej. Byli spełnieni zawodowo i przybyli na tyle licznie, że ryzyko spędzenia całego wieczoru w towarzystwie kogoś o wiele za bardzo pijanego albo po prostu trudnego do zniesienia nie było aż tak wielkie.

Wylądowała przy jednym stoliku z gospodynią – znaną aktorką, która była mniej więcej w tym samym wieku, ale w odróżnieniu od innych nie obchodziła urodzin co roku... Była radosna, ciekawska i podpita akurat w sam raz. Właśnie podpisała kontrakt na główną rolę w serialu o policjantce.

– Liso, czy będę mogła do ciebie zadzwonić i poprosić o wskazówki? – zapytała.  
– Może któregoś dnia umówiłybyśmy się na lunch?

– Tak – odparła Lisa Mattei i się uśmiechnęła. – Pewnie, że możemy tak zrobić.  
Nie znalazłam się tu przypadkowo, pomyślała.

– Twoja praca musi być niezwykle ekscytująca. Szpieczy, terroryści, te sprawy. Ja mam być zupełnie zwyczajną policjantką, kimś takim jak facet z serialu *Detektyw*, tyle że w spódnicy. Johan mi powiedział, że ty też taka byłaś, zanim zaczęłaś pracować w Säpo.

– I nadal jestem – odparła Mattei.

A przynajmniej się staram, dodała w myślach.

– No tak. A gdyby coś się stało? Gdyby ktoś zastrzelił premiera, jak ten wariat Breivik, który wysadził w powietrze połowę Oslo, a potem pojechał na wyspę i zastrzelił setkę dzieciaków. Nagle zjawia się śmigłowiec, ląduje pośrodku całego tego rozgardiaszu, odlatujesz i nie możesz nawet nikomu powiedzieć, co się wydarzyło.

– No tak, to by nie było zbyt fajne – przyznała Lisa Mattei.

– Szuuu i już. Wznosi się w powietrze i już go nie ma. – Gospodyni zrobiła zamaszysty gest.

– No tak – odparła Lisa Mattei i uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

Jeśli wziąć pod uwagę, jak się bawię, mam szczerą nadzieję, że tego uniknę, pomyślała. Czytać w myślach to ty nie potrafisz. Na szczęście.

Wieczorem były tańce, ale nie w dole na pomoście, tylko w kolejnym namiocie, rozpiętym przez organizatora pomiędzy basenem a domkiem dla gości. Gospodarz, starszy od żony o dwadzieścia lat, ingerował nawet w muzykę wybraną przez wynajętego didżeja. Życzył sobie wielu starych dobrych przebojów z jego czasów i kilku przytulańców – jakby didżejowi trzeba było o tym przypominać.

Lisa tańczyła z Johanem. Wypił dwa kieliszki wina, czekając na jedzenie, i kolejne dwa do posiłku, więc teraz wyśpiewywał słowa piosenki.

– *Will you still love me when I'm sixty-four* – zanuciła mu do ucha. – To Beatlesi, prawdziwa stara perełka.

– Skoro tak mówisz – odparł Johan.

– Jestem pijana – powiedziała. – Zalana w trupa.

– Nie. Może trochę wstawiona. W porównaniu z resztą towarzystwa jesteś trzeźwa jak pastor w niedzielę.

Zanim zasnęli w dużym domu dla gości, rozmawiali o przyjęciu. Johan uważał, że było trochę za dużo Wielkiego Gatsby'ego. W wydaniu szwedzkim – ludzie pili więcej niż goście Gatsby'ego. Film mu się nie podobał. Ale książka była dobra.

– A co sądzisz o tym, co śpiewali Beatlesi? Kiedy będę miała sześćdziesiąt cztery lata...

– Czyli ja będę miał wtedy pięćdziesiąt siedem – odparł Johan. – Kiedy przestanę ćwiczyć, dorobię się trzydziestu kilogramów nadwagi i będę wyglądał jak wszyscy inni, którzy pakowali na siłowni pięć razy w tygodniu w czasach, kiedy uważali, że są nieśmiertelni. A ty nadal będziesz wyglądała jak kwiat róży.

– No więc jak myślisz?

– Mam nadzieję, że nadal będziesz mnie kochała – odparł Johan.

– Znów taki jesteś – powiedziała Lisa Mattei.

– Całe szczęście, że nikt nas nie słyszy. Będziesz pomagać naszej gospodyni w przygotowaniach do roli?

– Zastanawiam się, czy nie zaaranżować jej spotkania z Martinez. Jest tak blisko, jak tylko się da.

– Tak – odparł Johan. – Ja obiecuję, że będę próbował się opiekować tobą i Ellą.

Kiedy ty będziesz się zajmowała wszystkimi innymi. Pamiętaj, co mówię.

– Tak – powiedziała Mattei. – Dobrze, że nikt nas nie słyszy.

Lisa Mattei zasnęła i nic jej się nie śniło. Żyję, pomyślała. Johan żyje, Ella żyje. Nic złego nas nie spotka.

W niedzielę po południu odebrali Ellę od babci. Jak tylko wsiedli do samochodu, Ella chciała im zdradzić tajemnicę. Jeśli obiecują, że nie powtórzą babci.

– Obiecuję – powiedział Johan.

– Obiecuję – powtórzyła Lisa. – Bez krzyżowania.

– Babcia już tak dobrze nie gotuje...

## **IV**

Wtorek 12 maja – środa 27 maja

**Polowanie na Bombera, jego kobietę i jego kamizelkę**

LINDA MARTINEZ praktycznie podchodziła do większości spraw i nie miała szczególnie romantycznego usposobienia. Dlatego nietrudno jej było ignorować rady policjantów i autorów powieści kryminalnych, kiedy kazali szukać pieniędzy, których potrzebował sprawca, albo kobiety, którą zazwyczaj miał u boku.

Jeśli chodziło o pieniądze Abbda Khalida, polowanie na nie zostawiła Janowi Wiklanderowi, Callemu Lewenhauptowi i reszcie jajogłowych. Jeżeli chcieli tracić czas na analizę przychodów, wyciągów z konta i transakcji na karcie Abbda Khalida, niech to robią bez jej pomocy. Ona była mądrzejsza. Wiedziała, że tacy jak Khalid płacą gotówką i bez względu na to, czy pieniądze są brudne, czy czyste, nie znajdzie się ich w sprawozdaniach.

To samo dotyczyło jego ewentualnych kontaktów z kobietami. Takimi sprawami mogli się zajmować akademicy w rodzaju Lisy Mattei. Ktoś taki jak Louise Urqhart raczej nie pojawi się nagle w Eskilstunie, pomyślała Martinez i głęboko westchnęła.

Postanowiła się skoncentrować na wybuchowej kamizelce, która prawdopodobnie zostanie użyta do zamachu. To, że ktoś wjedzie dziecięcym wózkiem na scenę Solliden, nie wydawało się zbyt prawdopodobne, ale poza tym Khalid mógł wykorzystać ten sam patent co przed Old Trafford. Kilka kilogramów dynamitu, kilkaset ostrych odłamków zwykłego żelaza zbrojeniowego, kamizelkę z materiału, który to wszystko udźwignie.

Podążaj za kamizelką, powiedziała sobie. Ta myśl towarzyszyła jej już dwunastego maja, kiedy zaczęła pracę nad tą sprawą. Wieczorem tego samego dnia jedna ze śledczych – Sandra Kovac – zadzwoniła do niej na komórkę i powiedziała, że brat Abbda, o dwa lata młodszy Hassan Mohammed Khalid, podobno pracuje w dużym markecie budowlanym na przedmieściach Eskilstuny. Market nazywał się Eskil i Tuna Bygg AB, miał dobrą renomę i magazyn, w którym było prawie wszystko. Żelazo zbrojeniowe, szczypce do cięcia prętów, narzędzia tnące,

lutownice, kable elektryczne, plandeki i materiały na nie, w różnej formie i różnej jakości. Mieli tam więcej urządzeń do detonacji, niż mógłby wymagać nawet najbardziej ambitny bomber, a poza tym sprzedawali dynamit i małe ładunki wybuchowe ludziom, którzy pracowali na budowie i mieli wymagane zezwolenia.

Hassan Khalid pracował tam od prawie dziesięciu lat, odkąd w drugiej klasie rzucił szkołę średnią. Najpierw był gońcem i chłopcem do wszystkiego, potem pracował w magazynie, a obecnie zajmował stanowisko sprzedawcy. Był ceniony przez kolegów z pracy i cieszył się pełnym zaufaniem kierownictwa. Jeżeli ktokolwiek mógł załatwić konieczne ingrediencje, to właśnie Hassan Khalid.

Już następnego dnia Hassan Khalid zyskał nową koleżankę z pracy. Miała przeprowadzić inwentaryzację w magazynie, zapoznać się z asortymentem i sprawdzić, czy należy coś wykreślić albo zakupić. Nazywała się Sandra Kovac. Prawdopodobnie, tak jak on, była dzieckiem imigrantów, tyle że z Jugosławii. Byli mniej więcej w tym samym wieku.

Szef poprosił, żeby Hassan, czy też Hasse, jak nazywali go wszyscy w pracy, oprowadził ją po pomieszczeniach, załatwił jej wolne biurko i szafkę w przebieralni.

– Jasne, jasne – powiedział Hassan „Hasse” Khalid z szerokim uśmiechem. – Skombinuję to wszystko, jeśli będziesz się mnie trzymać, Sandro.

Linda Martinez szybko poczuła, że panuje nad sytuacją i że prawie wszystko toczy się według planu. Wprawdzie rodzina była duża, ale wyglądało na to, że trzymają się swoich zwyczajów i przebywają albo w domu, albo w pracy. Nie prowadzili bogatego życia towarzyskiego, nie oddawali się spontanicznym czynnościom ani tym bardziej żadnym bezceństwom. Ich główny podejrzany – Abbdo Khalid – rzadko wychodził poza posesję, co mogło niepokoić. Jeżeli Anglicy mieli rację, powinien chyba być bardziej aktywny, niż na to wyglądało.

Wewnętrzne dochodzenie jak zwykle nie nastęczało takich problemów – było prowadzone w zupełnie innych, bardziej kontrolowanych warunkach. W tym wypadku przez jej kolegów ze sztokholmskiego wywiadu antyterrorystycznego, więc sama nawet nie ponosiła za nie odpowiedzialności. Chodziło o znalezienie

i zestawienie wszystkiego, co napisano o ich podejrzanym, jego rodzinie, przyjaciółach, znajomych i pozostałych osobach, z którymi utrzymywał kontakt. Wszystko od aktów urodzenia dzieci po zapiski ze szpitala dotyczące wylewu, który jego babcia miała kilka miesięcy wcześniej. Absolutnie wszystko, co można było znaleźć w rejestrach policji, Urzędu Migracyjnego, Urzędu Podatkowego, policji, służby zdrowia, departamentu spraw socjalnych i pozostałych służb.

Oczywiście ważne było też wszystko inne – to, co można było znaleźć w sieci i co dotyczyło ich samochodów, telefonów komórkowych, komputerów, kart kredytowych i reszty elektronicznych kanałów komunikacji ze światem. I wreszcie musieli mieć możliwość zajmowania się także nagłymi, niespodziewanymi sprawami, które zdarzają się zawsze. Na przykład wtedy, kiedy w śledztwie pojawia się nowa, nieznana do tej pory osoba, zostaje nawiązany nowy kontakt albo stare zwyczaje ulegają zmianie.

Z tym też nie ma chyba większych problemów, pomyślała Martinez. Została ostrzeżona na czas i dzięki temu była lepiej uzbrojona, niż to zwykle bywa. Problem polegał na tym, że nic się nie działo.



W ESKILSTUNIE było spokojnie, ale przez pierwsze dni Martinez prawie nie miała czasu o tym myśleć, bo była zajęta wszystkim innym. Dopiero kiedy zbliżał się weekend, poczuła zdenerwowanie. Dlaczego oni nic nie robią? – myślała.

Ich główny podejrzany, Abbdo Khalid, rzadko wychodził z domu, chyba że chciał pobiegać albo wsiadał w samochód i jechał do miasta załatwiać prywatne, trywialne sprawy. Kupował gazety, zaglądał do restauracji, w której pracowało jego dwóch braci, albo odwiedzał ojca i razem szli do któregoś z meczetów w mieście.

Tak samo było z jego ojcem. Wcześniej wyjeżdżał do pracy i często wracał późno do domu. Spędzał czas w biurze albo odwiedzał któryś z trzech swoich interesów i rozmawiał z personelem. Dużą część dnia poświęcał na praktyki religijne. Przynajmniej kilka razy dziennie bywał w którymś z sześciu meczetów, często w towarzystwie brata. Wydawał się dobrze znać wszystkich imamów. Często prowadził długie rozmowy z lokalnymi przywódcami muzułmańskimi, które, jeśli sędzić po mowie ciała, były przepełnione wielkim wzajemnym szacunkiem.

Dorośle rodzeństwo Abbda żyło według tego samego schematu. Chodzili do pracy, odmawiali modlitwy i spędzali czas z rodziną, takim czy innym krewnym oraz z kolegami z pracy. Jedenastoletni syn chodził do szkoły i zachowywał się tam jak wszyscy jedenastoletni chłopcy. Na przerwach grał w piłkę i bawił się z kolegami. Odróżniało go od nich może to, że zaraz po szkole szedł do domu. Ze starą matką głowy rodziny, jego trzema żonami i czwórką najmłodszych dzieci sprawa była jeszcze prostsza. Rzadko wychodzili z domu, chyba że po zakupy do sklepu spożywczego albo na spacer z małymi dziećmi. Żadne z nich nie chodziło do przedszkola. Rodzina była silnie naznaczona wiarą muzułmańską. W ciągu doby modlili się pięciokrotnie. Po raz pierwszy wczesnym rankiem, a po raz ostatni późnym wieczorem.

Najbardziej dramatycznym wydarzeniem pierwszego tygodnia było spotkanie

całej rodziny w ogrodzie, gdzie robili grilla i jedli kolację. Jedenastoletni syn dołożył po kryjomu do węgla mały fajerwerk i sprawił, że wszyscy podskoczyli ze strachu. Sam, śmiejąc się na cały głos, zaczął biegać po ogrodzie, dopóki nie złapał go któryś ze starszych braci. Tata Mohammed porządnie go skrzyczał, a na koniec przytulił i poklepał po głowie. Wszystko wróciło do normy.

Frustracja Martinez i jej śledczych była spora. Pewnego wieczoru zebrali się i zaczęli dyskutować, w jaki sposób mogliby prowadzić obserwację z prawdziwego zdarzenia. Przynajmniej ukryć w domu mikrofony, żeby słyszeć, o czym rozmawiają mieszkańcy. A najlepiej również kilka dobrych kamer w pobliżu, by oprócz tego widzieć, co robią.

Jeden ze śledczych zaproponował, pół żartem, pół serio, żeby wywołali „kontrolowany pożar” w domu. Oczywiście nie po to, by zrobić komuś krzywdę, tylko żeby Khalidowie przenieśli się w jakieś lepsze miejsce, w którym łatwiej będzie prowadzić obserwację. Na przykład do odpowiedniego hotelu, będącego własnością gminy, w którym zawczasu zamontują cały sprzęt.

Martinez pokręciła głową. Pożar – bez względu na to, jak bardzo kontrolowany – był absolutnie wykluczony. Ewentualnie mogła się zgodzić na wyciek albo długotrwałą przerwę w dostawie prądu, czego rezultat byłby podobny. O pożarze nie chciała słyszeć, ale czekała na kreatywne pomysły, które w końcu pozwoliłyby im się wyrwać z impasu.

Przez pierwszy i drugi tydzień nie wydarzyło się nic, co wzbudziłoby w nich choćby cień zainteresowania. Nieplanowana wycieczka Abbda w środę trzynastego maja się nie liczyła, dopóki nie potrafili udowodnić, że był zamieszany w nielegalną działalność, albo chociaż nie ustalili, co wtedy robił.

To, że okłamał wykładowcę z uniwersytetu w Manchesterze, również nie było szczególnie ciekawe, bo, niezależnie od motywu, nie popełnił przestępstwa.

Licząca ponad trzydziestu członków ekipa śledcza tak naprawdę nie miała czego śledzić. Poza tym do obiecanego uderzenia pozostał tylko tydzień z hakiem. W najgorszym razie wszystko było już zatwierdzone i gotowe. Nasz bomber wróci do Wielkiej Brytanii, a ktoś z pozostałych wybierze się w podróż do raj, pomyślała

Martinez.

I właśnie wtedy coś wreszcie zaczęło się dziać.

DAN ANDERSSON miał czterdzieści pięć lat, o trzy lata młodszą żonę i pracował w wydziale kryminalnym sztokholmskiej policji jako cywilny śledczy. Mieli trójkę dzieci, samych chłopców, wszyscy byli w wieku szkolnym. Cała rodzina Anderssonów mieszkała na wyspach Mäläröarna, kilkadziesiąt kilometrów od Sztokholmu. Zdecydowana większość ich sąsiadów pracowała w policji, w służbach ratunkowych albo w służbie zdrowia. Sam Dan Andersson w owym nudnym socjologicznym sensie był typowym policjantem w średnim wieku, pracującym na tak zwanym średnim szczeblu kierowniczym w Sztokholmie.

Jako pracownik był uważany za lojalnego, obowiązkowego, cichego, chętnego do pracy i kompetentnego. To, czy w sytuacjach prywatnych potrafił być towarzyski i interesujący, pozostawało odrębną kwestią. W odróżnieniu od wielu kolegów z policji nawet nie przyszłoby mu do głowy dyskutować z żoną o tym, co się działo w pracy, choć w przeciwieństwie do większości innych żon pracowała w tym samym miejscu co on. Na początku droczyła się z nim z tego powodu, a nawet pytała, czy po prostu nie ma kogoś innego, ale po dziesięciu latach przestała – po prostu szanowała jego milczenie i wierzyła, że ma ku niemu dobre powody, ale też nie protestowała, bo chętnie rozmawiał o innych rzeczach. O wszystkim, co naprawdę miało znaczenie dla nich obojga, dla dzieci i dla wspólnego życia.

Dan Andersson pracował w policji prawie dwadzieścia pięć lat. Pierwsze dziesięć w Sztokholmie, a następne sześć za granicą. Potem wrócił do Szwecji i od ośmiu lat był wiceszefem działającego w ramach Säpo Zespołu ds. Ochrony Osób, którego zadaniem była ochrona rodziny królewskiej, rządu i wszystkich innych wysoko postawionych osób, z różnych powodów przynajmniej tymczasowo potrzebujących takich usług.

W jego miejscu pracy nazywano ich potocznie „ochroniarzami”, choć od większości nie oczekiwano, że zdążą strzelić pierwsi czy w najgorszym wypadku

zatrzymają własnym ciałem kulę zamachowca. Tyczyło się to również Dana Anderssona, który tak wiele czasu poświęcał na analizę zagrożeń i ocenę ryzyka w związku z różnymi zadaniami zespołu.

Sprawa Świąta Narodowego w Skansenie regularnie wracała na jego biurko. Zadanie miało wysoki priorytet, ale nie było wyjątkowe. Każdego miesiąca trafiały do niego dwie, trzy sprawy tej samej wagi. Po spotkaniu z angielskimi kolegami sytuacja uległa diametralnej zmianie. Po powrocie do biura dwunastego maja przekazał wszystkie inne zadania współpracownikom, bo sam chciał się zająć wyłącznie tą sprawą.

Zaczął dzień od spojrzenia na zadanie z własnej perspektywy. Pewna okoliczność od razu go zainteresowała. Jedną z wielu organizacji, które tego dnia na scenie Solliden miały przyjąć szwedzką flagę z rąk Jego Wysokości Króla, było Towarzystwo Przyjaźni Szwedzko-Somalijskiej. Gdyby odbierający miał pod ubraniem kamizelkę samobójcy, trudno było sobie wyobrazić lepsze miejsce na odpalenie ładunku, jeśli wzięło się pod uwagę, kto będzie wręczał flagę i jacy ludzie będą zajmowali miejsca w pierwszych rzędach.

Flagę miał odebrać przewodniczący Towarzystwa. Mężczyzna koło pięćdziesiątki, który przed dwudziestu laty przybył do Szwecji jako uchodźca, a obecnie był obywatelem szwedzkim, miał szwedzką żonę, czwórkę dzieci i mieszkał w Nacka pod Sztokholmem. Był muzułmaninem i pracował jako kadrowy w firmie ochroniarskiej w Sztokholmie.

Dan Andersson uważał, że to wszystko przemawiało na jego korzyść, ale jako człowiek wyjątkowo skrupulatny zlecił bardzo dokładne sprawdzenie tego człowieka. Analiza nie przyniosła szczególnych rezultatów. Wręcz przeciwnie: kilka osób z otoczenia przewodniczącego opisywało go jako wesołego, zacnego i pomocnego człowieka, który żył jak każdy statystyczny Svensson. „Całkiem normalny, choć zdaje się, że to jeden z tych mahometan”.

Przy uroczystych okazjach pił piwo i wódkę, jadł szynkę na Boże Narodzenie, śledzia w czasie święta Midsommar, a nawet krewetki w sierpniu. Jego rodzina miała dwa psy, a on sam nigdy nie robił wielkiej sprawy ze swojego wyznania.

Dan Andersson odłożył tę analizę na bok. Nie można mieć wszystkiego, pomyślał. Muzułmański amator krewetek nie był dobrym wyborem, tym bardziej że przez swoją nadwagę nawet w mniejszej i świetnie dopasowanej kamizelce wyglądałby groteskowo. Tydzień później jego koleżanka Ingrid Dahl wysunęła kandydaturę osoby, która zewnętrznie znacznie lepiej odpowiadała przyjętemu wizerunkowi zamachowca samobójcy. Świetnie zbudowanej i wysportowanej kobiety. Problem w jej przypadku polegał na czym innym. Ze wszystkich ludzi w całym kraju Dan Andersson w tej sytuacji najbardziej nie chciał spotkać właśnie jej. Leyli Abdul Hussein.

DAN ANDERSSON nie lubił spraw, które zakłócały plany i wypracowane zwyczaje – absolutnie kluczowe w jego pracy. I tak już się martwił mnóstwem innych, nieprzewidzianych wypadków, które mogły się przytrafić chronionym przez niego obiektom.

Najpierw zadzwonił przewodniczący Towarzystwa Przyjaźni Szwedzko-Somalijskiej. Proponował zmianę w tej części programu, w której sam miał uczestniczyć – chciał, żeby go zastąpić osobą, która jako pierwsza otrzymała propozycję odebrania szwedzkiej flagi. Z całą pewnością była najbardziej znaną członkinią Towarzystwa, co szczególnie nie dziwiło, bo zarazem była najbardziej znaną Somalijką w Szwecji. Nazywała się Leyla Abdul Hussein.

Leyla Hussein, którą wszyscy szwedzcy obywatele, niezależnie od pochodzenia, znali jako Leylę, przybyła z Somalii jako uchodźca polityczny dziesięć lat wcześniej. Miała wtedy piętnaście lat i już od pierwszego tygodnia w nowej ojczyźnie była traktowana jak wielka nadzieja sportu. Siedem lat później była najbardziej znaną biegaczką długodystansową na świecie. W ciągu ostatnich dwóch lat zdobyła dwa tytuły mistrzyni świata i dwa tytuły mistrzyni Europy na cztery możliwe. Wygrała bieg na pięć i dziesięć tysięcy metrów w mistrzostwach Europy i mistrzostwach świata. Co do tego, że podczas najbliższych igrzysk olimpijskich powtórzy ten wyczyn, zarówno krajowi dziennikarze sportowi, jak i wszyscy kibice byli wyjątkowo zgodni.

Dzięki zasługom sportowym ustanowiła także inny rekord. Otrzymała obywatelstwo szwedzkie już po pięciu latach. Zazwyczaj uchodźcy z Somalii musieli czekać dwa razy tyle, nawet odkąd odrzucano tych, którzy nie potrafili się zachować w Szwecji.

Leyla Hussein była kochana przez wszystkich w ten sposób, który mówi więcej o kochających niż o obiekcie uczucia. To, że była muzułmanką, nie obchodziło

nikogo poza niektórymi ekspertami, którzy spekulowali, o ile sekund szybciej mogłaby biec bez zakrywającego wszystko kostiumu i chustki, pod którą chowała włosy. Jakby mogło to mieć w jej przypadku jakiegokolwiek znaczenie, skoro i tak biegła szybciej niż jakakolwiek inna kobieta na całej planecie.

Kiedy po raz pierwszy zdobyła mistrzostwo świata, jeden z najbardziej znanych pisarzy w kraju wyznał jej miłość w obszernym artykule kulturalnym na łamach największego szwedzkiego dziennika. Któż mógłby mieć większe kwalifikacje niż on, żeby wyrazić to uczucie? Nie dość, że został obdarzony przez Boga wyjątkowym darem językowym, to jeszcze w młodości odnosił sukcesy jako biegacz.

Dzięki temu potrafił dostrzec, kim naprawdę była, i mógł ją porównać do wiatru wiejącego nad Półwyspem Somalijskim; chłodnej bryzy nad wypalonym stepem, wieczorem przynoszącej ulgę ludziom i zwierzętom, którym za dnia mocno daje się we znaki nieubłagany żar z nieba.

„Nad Półwyspem Somalijskim wieje wiatr”, ten sam, który chłodził jego czoło, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Ten sam, który dostrzegał w każdym jej kroku.

Jeśli wziąć to wszystko pod uwagę, nieszczerze dziwiło, że to Leyli Hussein jako pierwszej zaproponowano odebranie szwedzkiej flagi. Niestety, musiała odmówić, bo biegła na pięć tysięcy metrów podczas dużej gali sportowej w Berlinie. Potem jednak jej lekarz zmienił zdanie. Uznał, że nie powinna brać udziału w trzech zaplanowanych zawodach, żeby nie ryzykować przeciążenia i nie narażać występu w zbliżających się igrzyskach.

Przewodniczący Towarzystwa dowiedział się o tym i natychmiast zadzwonił do Leyli z ponowną propozycją, a ona od razu się zgodziła. Krótki spacer po dużej scenie Skansenu nie był żadnym problemem. O wiele dłuższe dystanse pokonywała biegiem ze szwedzką flagą w uniesionych rękach.

Potem przewodniczący rozmawiał z rzeczniczką prasową pałacu królewskiego, która ogromnie się ucieszyła. Na koniec skontaktował się z Danem Anderssonem, który obiecał, że natychmiast porozmawia z przełożonym i doprowadzi sprawę do szczęśliwego finału, choć jest to złamanie zwyczajów obowiązujących w przypadku imprez, w których bierze udział głowa państwa.



Jak tylko odłożył słuchawkę, zadzwoniła do niego rzeczniczka prasowa pałacu królewskiego i potwierdziła to, co właśnie usłyszał od przewodniczącego Towarzystwa. Dlatego podjął decyzję samodzielnie. Jaki mam wybór, pomyślał. Prosty komisarz, jak ja, miałby się przeciwstawić woli Jego Wysokości Króla? I to podczas Świąt Narodowego Szwecji? Nie ma mowy.

Pozostawało wymienić przewodniczącego na Leylę Hussein w programie na szóstej czerwca i poinformować o decyzji ekipę śledczą.

Nienawidzę celebrytów, pomyślał Dan Andersson, kiedy wysyłał wiadomość o Leyli Hussein do wszystkich kolegów z ekipy śledczej.

Godzinę później do jego gabinetu weszła koleżanka, dawna biegaczka długodystansowa, Ingrid Dahl, i zaczęła opowiadać o lampce, która się zapaliła w jej głowie, jak tylko przeczytała, że przewodniczącego Towarzystwa Przyjaźni Szwedzko-Somalijskiej ma zastąpić Leyla Hussein.

OD WTORKU dwunastego maja komisarz Ingrid Dahl, szefowa grupy odpowiedzialnej za przesłuchania, czekała. Jej współpracownicy uporali się z problemem, prowadząc przesłuchania w innych sprawach, a ona spędzała większość czasu na lekturze materiałów, które cały czas napływały. Obejrzała chociażby pokaźną liczbę zdjęć Abbda Khalida i jego rodziny i próbowała znaleźć na nich kogoś znajomego. Coś w tych zdjęciach wzbudzało jej zainteresowanie, ale ponieważ nie wiedziała, o co i o kogo chodzi, odłożyła je na bok i zaczęła czytać w materiałach o innych sprawach. Wciąż towarzyszyło jej denerwujące uczucie, że mimo wszystko coś przeoczyła. Dopiero kiedy w śledztwie pojawiło się nazwisko Leyli Hussein, wszystkie źle dopasowane elementy w jej głowie trafiły na swoje miejsca.

Znała Leylę Hussein. Należały do tego samego klubu sportowego w Sztokholmie. Był zresztą najlepszy w kraju. Nawet się ze sobą ścigały, choć było to lata temu i nie dało się ich porównać.

– Nie wiem, ile razy mnie wyprzedziła – powiedziała z uśmiechem.

– Nie mogło być łatwo – odparł Dan Andersson.

– Właśnie. – Ingrid Dahl pokręciła głową. – Szkoda, że nie widziałeś, jak biegła.

– Okej. Powiedz, co ci przyszło do głowy.

– Ostatni raz spotkałam ją na Gali Sportu kilka miesięcy temu. Wprawdzie nie siedziałyśmy przy jednym stoliku, bo ona jak zwykle miała odebrać nagrodę i posadzono ją wśród honorowych gości, ale wpadłam na nią przed kolacją, kiedy każdy rozmawiał z każdym. Pogadałam z Leylą, a nawet z facetem w podobnym wieku, który jej towarzyszył i którego uznałam za jej chłopaka albo przynajmniej kolegę.

– Kto to był? – spytał Dan Andersson.

– To ten ze zdjęcia. Stoi tu koło Leyli – odparła Ingrid Dahl i podała mu

egzemplarz największej plotkarskiej gazety w kraju. Był tam reportaż opisujący wielką galę sportową sprzed kilku miesięcy.

Były to zwykle celebryckie zdjęcia, a największe z nich przedstawiało Leylę Hussein otoczoną innymi szczęśliwymi, mniej lub bardziej znanymi gośćmi. Jednym z nich był młody czarnoskóry mężczyzna w wieku Leyli. Miał na sobie elegancki ciemny garnitur, białą koszulę i krawat. Uśmiechał się sympatycznie do obiektywu.

– Kto to jest? – zapytał Dan Andersson.

– Leyla mi go przedstawiła. Jej dawny kolega, również Somalijczyk, nazywała go Hasse i wyraźnie nie miał nic przeciwko – odparła Ingrid Dahl, a po chwili dodała: – Nie widzisz, kto to jest?

– Nie – odparł Dan Andersson i pokręcił głową. – Tak między nami, uważam, że ci wszyscy czarni sportowcy wyglądają tak samo.

– Jestem absolutnie pewna, że Hasse, ten ze zdjęcia, wygląda identycznie jak Hassan Mohammed Khalid, o rok młodszy brat Abda, który pracuje w domu towarowym w Eskilstunie.

– Ach, no tak – przyznał jej rację Dan Andersson. – W takim razie to całkiem niezły zbieg okoliczności. Uważasz, że nasz mały Hasse przekonał Leylę, żeby założyła taką bombę...

– Zapomnij – przerwała Ingrid Dahl. – Zapomnij.

– Dlaczego mam o tym zapomnieć?

– Leyla jest najbardziej zachwycającą młodą kobietą, jaką możesz sobie wyobrazić – oznajmiła Ingrid Dahl. – Dobrą, godną zaufania dziewczyną, która nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego.

– No to dlaczego ten człowiek miałby się z nią spotkać? – Dan Andersson nie dawał za wygraną.

– Czasami trochę mnie niepokoisz, Danne. Przecież oni się znają. I wyglądało na to, że się lubią. Pochodzą z tego samego środowiska. Może jako dzieci chodzili razem do szkoły. Może on ją wykorzystuje, żeby podawała mu informacje o tym święcie? Skąd mogę wiedzieć?

– Brzmi jak sprawa dla Callego Lewenhaupta – stwierdził Dan Andersson.

Nienawidzę celebrytów, pomyślał.

Następnego dnia skontaktował się z nim jeden z licznych współpracowników z wywiadu. Miał odpowiedzi przynajmniej na kilka pytań, które dostał w mailu od niego. Zarówno Leyla Abdul Hussein, jak i Hassan Mohammed Khalid od kilku lat byli członkami Towarzystwa Przyjaźni Szwedzko-Somalijskiej. To, że będą mogli odebrać szwedzką flagę w dniu Święta Narodowego, od pół roku było u nich pilnie strzeżoną tajemnicą.

Ponad dziesięć lat wcześniej Leyla i Hassan chodzili do jednej klasy w szkole podstawowej i było bardzo prawdopodobne, że właśnie w tej szkole się poznali. Po ukończeniu dziewiątej klasy Leyla z rodziną przenieśli się do Sztokholmu. Ewentualne kolejne i późniejsze kontakty były obecnie przedmiotem śledztwa. Współpracownik obiecał, że się odezwie, jak tylko on i jego koledzy będą mieli do powiedzenia coś więcej.

Nienawidzę celebrytów, pomyślał po raz kolejny Dan Andersson. Jediną pociechą było to, że wiatr wiejący nad Półwyspem Somalijskim omijał akurat jego biurko.

WSZYSCY LUDZIE z otoczenia majora Carla Björklunda byli uderzająco zgodni, że miał nieprzyjemną aparycję. Jeśli chodziło o cechy charakteru, zdania były mocno podzielone. Z jednej strony jego nieliczni bliscy przyjaciele twierdzili, że Calle jest bardzo szczerym, uczciwym i w zasadzie sympatycznym facetem – właśnie w tej kolejności. W odpowiednim gronie potrafił być duszą towarzystwa, był obdarzony makabrycznym poczuciem humoru i wspaniałymi zdolnościami wokalnymi, które niestety niewiele osób miało okazję poznać.

Z drugiej strony byli wszyscy ci, którzy z doświadczenia mogli powiedzieć, że major Björklund jest zwykłym prymitywnym gnojem, którego poglądów na temat innych ludzi nikt chyba na szczęście nie podzielał. Większość była pośrodku: rozwiązała tę kwestię w zwyczajowy sposób, określając go jako bardzo złożoną osobowość.

W kwestii jego kompetencji zawodowych wszyscy również się zgadzali. Kiedy chodziło o to, co uzbrojone służby określały mianem „lekkiego uzbrojenia”, major Björklund dysponował unikatową wiedzą, a szczęśliwie dla zleceniodawców traktował to pojęcie szeroko.

Wiedział prawie wszystko o prawie wszystkim, co miało związek z tak zwanym „lekkim uzbrojeniem”. Od pistoletów, rewolwerów, broni automatycznej ważącej najwyżej kilka kilogramów po pojazdy opancerzone i samoloty wojskowe ważące ponad sto ton. Jediną sferą, w której nigdy się nie wypowiadał, była broń przeznaczona „wyłącznie do użytku morskiego”. Na ten temat trzeba było rozmawiać z kimś innym.

Nieszczerze interesował się wodą, nawet nie łowił ryb jako dziecko, a myśl, że w dorosłym życiu miałby kołysać się wśród fal, nie budziła w nim żadnych cieplejszych uczuć. Był żołnierzem piechoty. Kolegów z wojsk lotniczych tolerował, dopóki zapewniali konieczne wsparcie jemu i tym, którzy byli z nim na ziemi. I tyle.

Po pierwszym spotkaniu z nowymi kolegami z grupy dowodzącej Helena Palmgren wezwała do siebie Carla Björklunda i przekazała mu materiały potrzebne do wykonania zadania, które zamierzała mu powierzyć. Były to badania techników przeprowadzone po zamachu pod stadionem w Manchesterze i rozmaite informacje na temat planowanego zamachu samobójczego na dużej scenie Skansenu.

Helena Palmgren chciała, żeby Björklund skonstruował dla nich wybuchową kamizelkę z tym samym ładunkiem i pociskami, jakie umieszczono w dziecięcym wózku pod Old Trafford. Potem miał przeprowadzić rekonstrukcję i sprawdzić, jakie obrażenia wśród publiczności z pierwszych rzędów może wywołać taka kamizelka.

– Jak bardzo jest zdolny? – wymamrotał Björklund. – Pytam o tego Bombera.

– Niestety mamy powody przypuszczać, że bardzo – odparła Helena Palmgren. – Jest elektrykiem z wykształcenia i pracował jako technik instalator w jednej z większych krajowych firm zajmujących się systemami bezpieczeństwa. Mniej więcej od roku studiuje chemię i fizykę na uniwersytecie. Nasi angielscy koledzy sądzą, że to on skonstruował bombę użytą w Manchesterze.

– Do jakich materiałów ma dostęp? – spytał Björklund.

– Do wszystkiego, co każdy może kupić w dowolnym markecie budowlanym – odparła Helena Palmgren. – Oraz oczywiście do materiałów wybuchowych, prawdopodobnie do dynamitu w rodzaju tego, który wykorzystał w Wielkiej Brytanii. Używa się go w branży budowlanej.

– Ale nie ma dostępu do materiałów wojskowych?

– Wygląda na to, że nie – odpowiedziała Palmgren.

– Przykre – odparł Björklund i pokręcił ciężką głową.

– Teraz już rozumiem, co masz na myśli, Carl. Świetnie, że nie musimy myśleć o takich rzeczach.

– Tak, choć myślałem o Bomberze – wyjaśnił Björklund. – Większość tych typów to zwykli idioci, ale z nim chyba jest inaczej. Kiedy człowiek w końcu spotyka kogoś, kto wie, co robi, jest mu oczywiście przykro, że ten ktoś nie ma dostępu do najlepszych materiałów – stwierdził. – Coś jeszcze?

– Nie, dziękuję – odparła Helena Palmgren.

Pięć dni później Helena Palmgren dostała od majora Björklunda mail zatytułowany *Mission Completed*.

Zlecił wykonanie dwóch różnych kamizelek zgodnie z otrzymanymi wskazówkami. Jedną zamierzał wziąć ze sobą i zademonstrować podczas wykładu. Drugą już wysadził, kiedy przeprowadzał rekonstrukcję. Zapewnił, że pozostaje do dyspozycji szefów ekipy śledczej i reszty zainteresowanych i że spotka się z nimi po południu następnego dnia.

Tuż przed wykładem Helena Palmgren odciągnęła go na bok, żeby dać mu słowo na drogę.

– Rozmawialiśmy już o tym, Carl, ale byłabym naprawdę wdzięczna, gdybyś uważał na słowa i nie robił aż tylu osobistych dygresji.

Björklund w odpowiedzi chrząknął, a ponieważ jednocześnie skinął głową, miała nadzieję, że jest to chrząknięcie na znak zgody. Jaki ja mam wybór, pomyślała i stłumiła westchnienie rezygnacji.

MAJOR BJÖRKLUND sam mógł wybrać salę, w której wygłosi wykład. Ponieważ liczba słuchaczy miała być ograniczona, zdecydował się na najmniejszą salę wykładową, jaka była na komisariacie. Ze zwykłymi miał problem. Podobnie jak z czynnościami, którym oddawali się ludzie w nich siedzący. Sam chodził na spotkania sztabu tylko w nagłych sytuacjach.

Kiedy kilkunastu słuchaczy zajęło już miejsca, nie tracił czasu na powitania, prezentacje ani inne formalności.

– Nazywam się Carl Björklund, major Carl Björklund – zaczął. – Będę mówił o dwóch sprawach. Po pierwsze, zdam sprawozdanie z rekonstrukcji zamachu, który najwyraźniej zamierza przeprowadzić nasz przeciwnik. Potem zaprezentuję tak zwaną kamizelkę wybuchową tego samego typu co ta, którą najprawdopodobniej będzie miał na sobie – mówiąc to, wskazał głową stojący obok manekin ubrany w długą białą szatę do kostek. – To zajmie trzydzieści minut, a potem będzie jeszcze czas na pytania – zakończył Björklund i natychmiast przystąpił do stukania w klawisze komputera.

Tak jak obiecywał, zaczął od prezentacji zdjęć i fragmentów filmów z pobliskiego poligonu. Wraz z dwoma zaufanymi współpracownikami zbudował na nim kopię części sceny Solliden, na której miał stać zamachowiec, a także pierwsze rzędy publiczności.

– Dwóch starych rekrutów ulepionych z właściwej gliny. Na szczęście udało mi się ich uratować, kiedy nasi kochani politycy podjęli tę nieszczęsną decyzję o likwidacji powszechnej służby wojskowej – powiedział, najwyraźniej uznając, że nadszedł czas na osobistą dygresję.

Helena Palmgren pokręciła głową i posłała spojrzenie Lisie Mattei. Lisa poprzestała na skinieniu głową i słabym uśmiechu.



Major Björklund z wyglądu był uderzająco podobny do małego grubego komisarza policji w Solnie, którego nazwiska nie chciała wymawiać nawet w monologach wewnętrznych. Z tą różnicą, że miał dziesięć centymetrów wzrostu więcej, znacznie prostsze plecy i był trochę mniej otyły.

Major Björklund wyraźnie się nie przejmował tym, co myślą ludzie pokroju Mattei. Dziarsko parł naprzód. Pokazywał i wyjaśniał przy użyciu obrazów, które wyświetlał na ekranie za sobą.

Męski manekin na scenie udawał Jego Wysokość Króla.

– To ten w żółtej marynarce – uściślił Björklund.

Żeński manekin, stojący w odległości wyprostowanej ręki, naprzeciwko Jego Wysokości, był kobietą, która miała przeprowadzić zamach. To dlatego manekin, który stał obok Björklunda, miał taki sam strój.

Główni aktorzy zostali ustawieni ściśle według planu. Kartonowe postaci i popiersia na ławkach pod sceną imitowały najbliższych siedzących widzów. Pozostałych należało sobie wyobrazić – ze względów praktyczno-budżetowych oraz dlatego, że, jak wyjaśnił major, dostęp do sprawnych, godnych zaufania rekrutów był obecnie ograniczony.

Kiedy już przedstawił sytuację, nadszedł czas na gwóźdź programu – wybuch, który nastąpi, kiedy samobójczyni zdetonuje bombę, trzymaną tuż przy ciele pod białą szatą. Björklund kazał sfilmować eksplozję trzema różnymi kamerami. Jedną zwykłą i dwiema szybkoobrotowymi. Zapowiedział, że na wszelki wypadek odtworzy film dwa razy.

Oślepiające białe światło, ogłuszający huk i gruby na kilka metrów brunatny rój pocisków, który opadł na publiczność jak pióropusz – to wszystko trwało jedną setną sekundy. Potem można było obejrzeć pozostałości. Większe i mniejsze części obu manekinów na scenie, przestrzelone i podziurawione rzędy ławek, stosy drewnianych odłamków, kartonowe postaci porozrywane na strzępy, poszatowane albo podziurawione przez jeden lub więcej pocisków.

Major Carl Björklund wykorzystał cztery kilogramy dynamitu zwykłego typu – takiego, jaki jest używany na budowach i do innych praktycznych celów. Był

odpowiednio rozłożony – z przodu kamizelki, ze względu na ustawienie zamachowca i celu, było osiemset pocisków o łącznej masie ośmiu kilogramów. Cała kamizelka ważyła ponad dwanaście kilogramów, zgodnie z wytycznymi, które dostał i których się trzymał. Sam był zdziwiony, jak skuteczne okazały się pociski ze zwykłego żelaza zbrojeniowego. Leciały w powietrzu jak rój szerszeni, rykoszetowały znacznie częściej niż na przykład zwykłe stalowe kulki, dzięki czemu rosło prawdopodobieństwo, że pocisk trafi więcej niż jeden cel.

– W warunkach, które odtworzyłem, ta bomba zabije albo poważnie rani siedemdziesiąt, osiemdziesiąt procent widzów znajdujących się w wycinku koła o kącie stu dwudziestu stopni i promieniu od dwudziestu do trzydziestu metrów, w zależności od kąta wybuchu – stwierdził Björklund. – Oczywiście im dalej, tym efekt będzie słabszy, ale właściwie zginać mogą ludzie znajdujący się w odległości do stu metrów od eksplozji – zakończył.

– Czyli ilu? – zapytała Lisa Mattei, nie zamierzając czekać z tym pytaniem kolejnego kwadransa.

– Może moglibyśmy...

– Nie – przerwała Mattei. – Odpowiedz na pytanie.

– Od osiemdziesięciu do stu zabitych i mniej więcej dwa razy tyle mniej lub bardziej poważnie rannych. To sporo powyżej przeciętnej, jeśli chodzi o tego typu akcje.

– Będą tam król, królowa i trzech ministrów. Król na scenie, a reszta w pierwszym rządzie naprzeciwko niego. Co się z nimi stanie?

– Prawdopodobieństwo, że ktokolwiek z nich przeżyje, jest nikłe – oznajmił Björklund.

– Dzięki, nie mam więcej pytań – odparła Lisa Mattei.

Cała piątka objętych ochroną najwyższego stopnia, pomyślała. Plus bonus dla Bombera w postaci gubernatora Sztokholmu, urzędników cywilnych wysokiego szczebla, wojskowych, zagranicznych dyplomatów i członków ich rodzin.

Major Björklund przystąpił do demonstrowania, „jak zrobić dobrą kamizelkę wybuchową”. W zasadzie wykorzystał formułę, jaką posłużyłyby się każdy słynny

kucharz w telewizji. I, tak jak w telewizji, pokazał film.

Zobaczyli dużą kuchnię, przypominającą laboratorium, w której ułożył poszczególne składniki: sam szkielet kamizelki, która tym razem była wykonana z mocnej białej bawełny, żeby nie prześwitywała spod białej szaty, wiązkę lasek dynamitu, porządny stos odciętych na ukos spiczastych kawałków żelaza, butelkę czegoś, co wyglądało jak zwykły olej jadalny, dwa telefony komórkowe oraz kilka rulonów kabli rozmaitej grubości i koloru.

Do tego różne przyrządy pomocnicze: robot kuchenny starszego typu, który pozwalał między innymi na wyrabianie ciasta w obrotowym naczyniu – mieszała je drewniana szpatułka. A poza tym różne inne urządzenia i narzędzia, przez co wszystko wyglądało jak sceneria zwyczajnego programu kulinarnego.

Na tle innych telewizyjnych kucharzy Björklund wyróżniał się spokojnym, zrównoważonym zachowaniem i ubiorem. Miał okazałe rękawice hydraulika i maskę ochronną, która zakrywała usta i nos. W tle stali dwaj mężczyźni w tym samym stroju i w milczeniu obserwowali jego przygotowania.

To pewnie jego dwaj wierni rekruci, pomyślała Lisa Mattei.

Potem Björklund zaczął pokazywać i wyjaśniać, co jest na stole. Wszystko można było kupić w zwykłych sklepach. Zakup dynamitu także nie stanowił większego problemu. Wystarczyło znać odpowiedniego człowieka, a pozwolenie na dostęp do materiałów wybuchowych miało ponad dziesięć tysięcy mieszkańców kraju.

– Ale dość już na ten temat – powiedział major. – Czas przejść do rzeczy i skonstruować działającą kamizelkę wybuchową o klasycznym kroju i zawartości.

Jeden z rekrutów rozpakował laski dynamitu z woskowanego papieru, połamał i pokruszył na małe kawałeczki, które wsypał do pojemnika na ciasto w robocie kuchennym, a drugi zaczął wlewać ciecz, która wyglądała jak olej. W ciągu kilku minut zmieniła dynamit w coś, co przypominało zwykłe ciasto. Björklund wetknął do środka drewnianą łyżkę, potem ją podniósł i pokazał publiczności. Spojrzał i pokiwał z zadowoleniem głową. Ciasto było zbite i sprężyste, dające się formować, ale nie za rzadkie.

– Musi być łatwe do rozprowadzenia po kamizelce – wyjaśnił.

Robił to za pomocą zwykłej drewnianej łopatką do pieczenia, a dwóch wiernych rekrutów zaczęło wtykać spiczaste kawałki metalu w wybuchową masę, tworząc eleganckie rzędkie. Potem Björklund pokrywał je kolejną warstwą ciasta. Następnie przyszedł czas na dwa zapalniki, z których zwisały kable. Jeden był główny, a drugi zapasowy. Sprawdził, czy dźwięk w telefonie, który miał się połączyć z tym drugim, był wyciszony, a bateria w pełni naładowana. W końcu zakrył ładunek materiałem.

W środku wszyto zwykłe taśmy z rzepami. Trzeba było pamiętać jedynie o tym, żeby bok pokrowca był o mniej więcej siedem centymetrów dłuższy niż przód kamizelki.

– To ważne, żeby zamontowany ładunek nie wyglądał jak nieforemna bryła – uściślił Björklund. Dlatego wolał nieco szersze taśmy, które dało się łatwiej korygować w różnych kierunkach. Strój miał być elegancki, starannie wykonany i dopasowany, choć był przeznaczony tylko do jednokrotnego użytku.

Najpierw należało wszystko dokładnie przemyśleć, a potem wykonywać spokojne, precyzyjne ruchy i jak najdłużej unikać metalowych narzędzi – oczywiście alternatywą było drewno. Jeżeli zaś chciało się uniknąć bólu głowy, przy którym zwykły atak migreny jest jak pieszczota, nie wolno było nabierać ciasta na palec i go próbować.

W tym momencie wszyscy telewizyjni kucharze byliby martwi, pomyślała Lisa Mattei.

– To wszystko. Przepraszam, że przekroczyłem czas o kilka minut – zakończył major i skinął głową w kierunku Lisy Mattei. – Jakies pytania? – dodał i powiódł wzrokiem po zebranych.

– Tak, ja mam pytanie – oznajmiła Lisa Lamm i wskazała głową manekin stojący obok Björklunda. – Ona ma na sobie taką samą kamizelkę jak ta, którą wysadziłeś na filmie?

– Tak, oczywiście – odparł Björklund, naciągnął białą szatę na głowę manekina i wskazał kamizelkę.

– Ale nie jest chyba naładowana? – Wyglądało na to, że Lisa Lamm nie czuje się najlepiej, zadając to pytanie.

– Jasne, że jest naładowana – powiedział Björklund. – Ale nie uzbroiłem ładunku. Jeśli pani prokurator sobie tego życzy, mogę to oczywiście zrobić. Szybko się z tym uporam.

– Nie, nie, tak jest dobrze. – Lisa Lamm pokręciła głową na znak protestu. – Chyba zrozumiałam.

– A to małe pudełeczko, które ma na biodrze? – zapytała Ingrid Dahl. – To jej własny detonator?

– Tak – odparł Björklund. – Jak na pewno widzisz, przykleiłem go taśmą do jej biodra. Dzięki temu nie musi trzymać go w dłoni, a i tak wie, gdzie jest, i wystarczy, że wciśnie go przez sukienkę. Wtedy ładunek wybuchnie.

– A jeśli wcześniej ją zastrzelę? – odezwała się Martinez.

– To nie wybuchnie, ale mogę rozwiązać ten problem za nią. – Björklund wyłowił komórkę z kieszeni marynarki. – Wtedy nacisnę przycisk telefonu. Stoję w pobliżu tylko dlatego, że chcę zobaczyć, co się stanie. Dopóki mam zasięg, mogę stać w zasadzie gdziekolwiek.

– A jeśli zakłócimy sygnał wszystkich komórek w okolicy? Wtedy też się nie uda – powiedział Dan Andersson.

– Nie.

– Jak to rozwiążemy?

– Nic prostszego – stwierdził Björklund. – Nasz Bomber będzie miał detonator z tak zwanym czuwakiem. Bomba wybuchnie, jak tylko wypuści go z ręki. A ja będę miał backup sterowany radiem i wybiorę częstotliwość, którą trudno zakłócić. Albo wcześniej zaprogramuję detonację.

– Czyli nie da się tego zatrzymać – stwierdził Andersson.

– Da, nie da – odparł Björklund i wzruszył ramionami. – Zawsze da się coś zrobić albo sprawić, żeby tego nie robiono. Problem w tym, że to drugie zazwyczaj trwa dłużej. Powiem tak: jeśli tylko ten, kto ma wykonać zadanie, pojawi się na miejscu, to powstrzymanie go będzie w zasadzie niemożliwe.

Kiedy wykład dobiegł końca, Lisa Mattei poprosiła majora na bok i podziękowała mu za fantastyczną prezentację. Powiedziała, że jeszcze się do niego odezwie, bo

zastanawiało ją kilka rzeczy. Major Björklund zapewnił, że nie ma problemu, bo w każdej chwili jest do jej dyspozycji. Był dobrze przygotowany. Czy to samo można było powiedzieć o jego ojczyźnie? Nie oczekiwano od niego, że będzie się wypowiadał na ten temat.

– Nie martw się – powiedziała Mattei. – Kiedy zechcę z tobą porozmawiać, dozwolone będzie wszystko, co ma związek ze sprawą.

– Zrozumiano, dziękuję, szefowo – odparł Björklund, pokiwał głową i wyprostował już i tak proste plecy.

Ani trochę nie przypomina tego małego grubego nieszczęścia z Solny, pomyślała Lisa Mattei, kiedy wchodziła do windy, żeby pojechać na najwyższe piętro do swojego gabinetu. Björklund spełniał to, co obiecywał, a to, że czasami dmuchał przy tym w swoją małą zabawkową trąbkę, postanowiła zignorować. Major Björklund i jego dwóch wiernych rekrutów, których udało mu się uratować... Na kogo jeszcze mogę liczyć? – zastanawiała się, wychodząc z windy.

W NIEDZIELĘ dwudziestego czwartego maja Linus Rasmusson spotkał się z szefową Lindą Martinez, żeby opowiedzieć o spotkaniu z Ovem Kristianssonem z poprzedniego dnia. Opisał, jak zdobył jego zaufanie, zawiózł go do sklepu monopolowego w Eskilstunie, a potem znowu do domu, jak otrzymał zapłatę w brudnych pieniądzach, wniósł do jego kuchni piwo i wódkę i wreszcie – w ramach wisienki na torcie – spisał numer komórki, którą Kristiansson odłożył na blat w kuchni, kiedy szedł „użyć sobie w kibelku”.

Linus twierdził, że była to czasochłonna i głośna impreza, ale nikt nie mógłby być szczęśliwszy niż on dzięki temu, co mu się udało zrobić po drugiej stronie zamkniętych drzwi toalety. Numer telefonu – zwykłego aparatu na kartę, którego posiadacz był nieznany – został od razu wpisany do ich rejestru obserwowanych wraz z żądaniem przejrzania historii rozmów Kristianssona z ostatniego miesiąca.

Linda Martinez kilkakrotnie kiwała głową z aprobatą w czasie opowieści Linusa, a kiedy zaczął mówić o telefonie, wyraziła uznanie również słowami.

– Cholera, Linus – powiedziała. – Zaczynam wierzyć, że mimo wszystko będą z ciebie ludzie. A już myślałam, że się poddam.

Teraz albo nigdy, pomyślał Linus i postanowił opowiedzieć o wielkim problemie, jaki go dręczył.

– Jestem przekonany, że Ove Kristiansson nie ma żadnych, choćby najdrobniejszych konszachtów z Abbdem Khalidem. To absolutnie wykluczone. Khalid i Kristiansson żyją na dwóch różnych planetach.

Oczy Lindy Martinez się zwęziły. Dotarło do niej, że najwyraźniej rozmawiał z dwiema głupiutkimi blondynkami, które, niestety, z braku lepszego pomysłu wypożyczyła z komórki śledczej Urzędu Ochrony Konstytucji i które zamierzała odesłać z powrotem, jak tylko skończy pracę w Eskilstunie.

– Nie wiem, jak głupie były na początku, ale raczej się nie rozwinęły, spędzając

czas z tymi wszystkimi łysolami, z którymi się cackają – oznajmiła.

– No tak – zgodził się Linus – ale nie wiem, czy czytałaś protokół przesłuchania tego kolegi z Eskilstuny, które przeprowadziła Kajsa Nilsson. Moim zdaniem wzbogaciła obraz Abbda jako człowieka.

– Kajsa Nilsson? To ta z jeszcze większymi cyckami niż ma ta druga niunia.

– Tak – potwierdził Linus.

W końcu to prawda, pomyślał. Choć Lina Jansson też ma duże.

– Chodzi ci o dawnego kumpla ze szkoły policyjnej zwanego Frassem Napaleńcem, miejscową legendę, i o jego różne obserwacje na temat Abbda z cholernie zamierzchłych czasów, kiedy chodzili razem do szkoły?

– Tak – odparł Linus.

– Zaczynam się o ciebie niepokoić – oznajmiła Martinez. – Ale ponieważ jesteś fajnym, miłym chłopakiem, dam ci ostatnią szansę. Masz kartkę i długopis, żeby notować?

– Tak – powiedział Linus i wyjął mały czarny notatnik.

Szybko się nauczył, że w jego pracy to niezbędny atrybut.

– Powiązanie między Ovem Kristianssonem a Abbdem Khalidem istnieje – oznajmiła Linda Martinez, wlepiając w niego wzrok. – Abbdokupił, pożyczył albo wynajął coś od Kristianssona. Albo ten stary pijus pomógł mu zrobić coś, z czym sam nie mógł sobie dać rady. Zrozumiano?

– Tak – odparł Linus.

A mam wybór? – dodał w myślach.

– Doskonale – stwierdziła Martinez. – Chcę, żebyś ustalił, o co tu chodzi. A potem mi o tym opowiedział.

– Tak.

– To dobrze – rzekła Martinez. – Zastanawiasz się jeszcze nad czymś?

– Tak. Czy szefowa ma jakieś wskazówki. Jak mam się posunąć naprzód?

– Mam. Zacznij od tego cholernego wniosku o ogłoszenie upadłości. Jeżeli nic tam nie znajdziesz, to w najgorszym razie będziesz przeglądał jego kosz na śmieci, a potem kupę gnoju, którą ma za oborą.



– Tak – odparł Linus.

Nic dziwnego, że ta kobieta jest sama, dodał w myślach.

Syndyk masy upadłościowej był najwyraźniej bardzo skrupulatnym człowiekiem. Wykaz wszystkich składników majątku firmy Ove Buduje i Kopie AB zawierał setki przedmiotów: od łopat, łomów, wideł, narzędzi, plandek, kombinezonów i zwykłych gumowców po motocykle czterokołowe, starą ciężarówkę Scania-Vabis, trzy traktory, zwykłe wózki do transportu różnych rzeczy, a nawet starą koparkę. Najwyraźniej w związku z zakończonym przed sześcioma laty postępowaniem wszystko, co wchodziło w skład masy upadłościowej, zostało sprzedane, wyrzucone, poszło na złom albo przepadło w inny sposób.

Wprawdzie Linus był starym skautem, obserwatorem ptaków i pasjonatem przyrody jako takiej, ale o sprzęcie, którego Ove potrzebował do kopania rowów, tworzenia sztucznych jezior i wykonywania wszystkich innych prac, nie wiedział praktycznie nic. Dlatego musiał włożyć trochę wysiłku w zrozumienie tego, co czytał.

„Świder na sprężone powietrze z agregatem napędzanym silnikiem Diesla” – to chyba potrafił sobie wyobrazić. „Ciągnik z łyżką hydrauliczną” sprawdził w Google’u, ale inne rzeczy, jak na przykład „ładowarka czołowa z czerpakiem”, zajęły mu już więcej czasu. Poza tym, niezależnie od wszystkiego, pozostawało zasadnicze pytanie. Co, u licha, miał z tym wspólnego Abbdo Khalid, który chciał tylko zrobić zwykłą wybuchową kamizelkę?

Zajęło mu to cały czas i taki chyba był zamysł karnego zadania przydzielonego mu przez szefową. Ta arcymęka trwała aż do przedpołudnia w środę dwudziestego siódmego maja, kiedy to zadzwonił jego telefon i w ciągu jednej minuty wszystko się zmieniło.

W ŚRODĘ dwudziestego siódmego maja przed południem do Linusa zadzwonił Ove Kristiansson. Wydawał się być w doskonałym humorze. Gdyby tylko wiedział, jakie papiery akurat przegląda Linus, natychmiast rzuciłby słuchawką, ale ponieważ nie wiedział, miał zamiar skorzystać z jego usług. Chodziło o transport do Eskilstuny i z powrotem, bo miał do załatwienia kilka spraw. Oczywiście wizytę w sklepie monopolowym – trzeba się było uzbroić przed weekendem – ale też kilka innych.

– Powiedzmy jedna, góra dwie godziny plus oczywiście jazda. W sumie ze trzy. Dasz radę, Linus?

– Tak, nie ma problemu. Mam dziś nocną zmianę, więc muszę być w pracy dopiero o szóstej.

– Cudownie – odparł Ove. – Może byś mnie odebrał koło dwunastej? Zdążę wziąć prysznic i włożyć czyste gacie.

– Dobrze. A ja zdążę pożyczyć samochód od kolegi.

– A właśnie, jak on się czuje? – zapytał Ove.

– Nadal jest na zwolnieniu. Skacze sobie o kulach. W porządku.

– Trzeba unikać tego szajsu – oznajmił Ove i westchnął. – Piłka nożna to w dzisiejszych czasach sport walki. Jedź ostrożnie, młody.

– Nie ma problemu – odparł Linus. – Zatrąbię, kiedy będę już przed domem. Jeszcze jedno – dodał, jakby ta myśl właśnie mu przysłała do głowy. – Mówiłeś o trzech godzinach. Co powiesz na pięć stów? Na czarno.

– Zgoda – odparł Ove.

– Plus stowa za wachę, bo muszę pożyczyć samochód kumpla.

– No tak, pewnie, że ten dusigrosz musi mieć z tego jakiś pieniądz – zgodził się Ove. Wyraźnie był w nastroju do wydawania pieniędzy. – Dostaniesz sześć stów. Nierdzewnych, jak to się mówiło, kiedy robiłem w wykopach.

Zaraz po zakończeniu rozmowy z Ovem Linus zadzwonił do Franka Motoelega i poprosił o pomoc w dwóch sprawach. Po pierwsze, musiał pożyczyć tego samego czerwonego golfa, z którego korzystał tydzień wcześniej. Po drugie, potrzebował wsparcia kilku kolegów.

– Masz zawieźć Ovego Kristianssona do monopolowego i odwieźć do domu – Motoele próbował uporządkować informacje.

– Tak – potwierdził Linus.

– Samochód to żaden problem – stwierdził. – Nie rozumiem tylko, po co ci wsparcie. Przecież sam możesz sobie poradzić z tym sklepem monopolowym.

– On ma jeszcze kilka innych spraw do załatwienia. Nie wiem, jakie to sprawy, nie chciałem go pytać przez telefon, ale byłoby dobrze, gdyby ktoś go śledził i sprawdził, co kombinuje.

– Rozsądnie – skwitował Motoele. – Jak bardzo jest czujny?

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, jest jak ślepiec.

– Okej. Wyślij esemes, jak tylko będziesz z powrotem w mieście, to się włączymy.

Kilka minut przed dwunastą Linus zaparkował na dziedzińcu Ovego Kristianssona. Zatrąbił trzy razy, a Ove właściwie od razu zajął miejsce obok niego na siedzeniu pasażera. Miał stosowny strój – dżinsy i tę samą kurtkę co poprzednim razem, był wykąpany i, jeśli sądzić po zapachu i zaczerwienionych policzkach, świeżo ogolony. Nadal dopisywał mu humor.

– Od czego chcesz zacząć, Ove? – zapytał Linus, gdy już się przywitali.

– Jak to zacząć? – odparł Ove.

– Mówiłeś, że masz kilka spraw do załatwienia. Sklep monopolowy i kilka innych rzeczy, których bliżej nie określiłeś.

– Aha, już rozumiem. Sklep monopolowy i biuro podróży.

– Wyjeżdżasz na wakacje – powiedział Linus. – Cholera, to brzmi świetnie.

– Oglądałeś w weekend program z tym pieprzonym Lapończykiem, siedzącym i gapiącym się na okonie, które złowił, i na tej podstawie przewidującym pogodę?

– Nie – odparł Linus. – Przegapiłem.

– Dobry jest, skurczybyk. Patrzy na kolor płetw. Znaczą się, u tych okoni.

– I co powiedział? Jaka pogoda będzie tego lata?

– Do dupy – odparł Ove i pokręcił głową. – Zwłaszcza tutaj w Sörmlandii. Dlatego myślę, czy się stąd nie zmyć.

– Dokąd chciałeś pojechać?

– Jeszcze się nie zdecydowałem – odparł Ove. – Chyba postawię na to co zwykle. Hiszpania, Kanary, Tajlandia. Zobaczymy. Jeśli będę miał szczęście, załapię się na jakieś dobre last minute.

Pół godziny później uporali się z zakupami w sklepie monopolowym, choć tym razem zamówienie było znacznie większe. Dwie skrzynki piwa, sześć butelek whisky i sześć butelek wódki. Linus towarzyszył mu od początku, żeby Ove nie musiał dźwigać. Kiedy zanosił wszystko do samochodu, Ove płacił gotówką. Ponad cztery tysiące koron. Po dodaniu dwóch tysięcy, które zapłacił w sobotę, wychodziło na to, że w niecały tydzień wydał sześć tysięcy.

Coś tu się nie zgadza, pomyślał Linus. Przynajmniej z tym, co widniało w dokumentacji.

Załatwienie sprawy w biurze podróży potrwało dłużej, mimo że Ove nie przyglądał się Kajsie Nilsson, która przytrzymała mu drzwi i weszła za nim do środka.

Bądź co bądź niedaleko mu do setki, pomyślał Linus. W tym wieku pewnie już się nie myśli o takich rzeczach.

Piętnaście minut później zaczął się poważnie zastanawiać. Jak na wizytę z myślą o wzięciu kilku ulotek z reklamami kurortów trwało to zbyt długo. Ove wyszedł jednak po kolejnym kwadransie, a wtedy Linus miał już poważne podejrzenia. Tym bardziej że kiedy Ove wsiadł do samochodu, nie miał przy sobie żadnych ulotek. Miał za to żółtą reklamówkę kantoru Forex, którą wepchnął do kieszeni kurtki. Wymienił pieniądze. Nie zgadza mi się tu jeszcze jedna rzecz, pomyślał Linus Rasmusson.

Kiedy zjechał z chodnika, zobaczył, że w budynku znikają Frank Motoele i Lina Jonsson. To był zły znak. Zrobiło mu się nieprzyjemnie. Mimo że Ove wydawał się

tak samo radosny jak przedtem. A nawet radośniejszy.

– Znalazłeś jakąś ofertę?

– Niee – odparł Ove i pokręcił głową. – Nie mieli nic, co by mi idealnie pasowało.

– Czyli się zastanawiasz, czy nie zostać w domu? – zapytał Linus.

– Ten pieprzony Lapończyk z telewizji powiedział, że on i inni Lapończycy będą mieli u siebie ładną pogodę, a my tutaj będziemy musieli się przeprowiać łódką do skrzynki na listy.

– Czyli chciałeś pojechać na północ? – zapytał Linus.

Dlaczego w takim razie wymieniałeś pieniądze? – dodał w myślach.

– Do tego syfu? Daj spokój. – Ove pokręcił głową. – Wolę zaryzykować i zostać w domu. Jak będzie za bardzo do dupy, najwyżej zmienię zdanie.

Pół godziny później Linus wniósł skrzynki Ovego do kuchni i postawił na blacie. Torbami ze sklepu monopolowego zajął się sam Ove. Kiedy Linus wszedł do kuchni z drugą skrzynką, zobaczył, że Ove zdążył już nalać sobie piwa i wódki.

– Zdrowie, Linus. Dobry z ciebie chłopak – powiedział Ove, podniósł do ust kieliszek, opróżnił do połowy i popił piwem.

Potem zapłacił Linusowi za kurs. Dał mu dodatkową stówę napiwku i poklepał po ramieniu, kiedy odprowadzał go do drzwi. Obiecał, że się odezwie, gdyby jeszcze potrzebował pomocy.

– Miłych wakacji, Ove – powiedział Linus z uśmiechem.

– Wzajemnie – odparł Ove.

Kiedy Linus minął skrzynkę na listy Ovego i był mniej więcej tam, gdzie poprzedniego lata Abbdo Khalid miał wjechać do rowu, dostał esemes od Franka Motoelego. Frank chciał się z nim spotkać jak najszybciej, najlepiej natychmiast. W ich gniazdku w Eskilstunie.

„Do zobaczenia za pół godziny”, odpowiedział Linus.

Cokolwiek wykombinowałeś, dodał w myślach. Niestety, zaczął się już przywiązywać do Ovego.

KIEDY LINUS wszedł do pokoju na tyłach gniazdka przy Lidgatan, Frank Motoele, Kajsa Nilsson i Lina Jonsson już tam byli. Jedli pizzę i pili wodę mineralną, a ich zadowolone miny nie wróżyły nic dobrego dla Ovego Kristianssona.

– Opowiadaj – poprosił Frank Motoele, odłożył nóż i widelec i wytarł usta wierzchem prawej dłoni.

I Linus zaczął opowiadać. O zakupach Ovego w sklepie monopolowym, o sześciu tysiącach koron wydanych w ciągu czterech dni, co kiepsko współgrało z jego emeryturą w wysokości niecałych piętnastu tysięcy netto miesięcznie, o „pieprzonym Lapończyku i płetwach okoni”, o pomysłe Ovego na wcześniejsze wakacje pozwalające uniknąć biblijnej ulewy, którą ten sam Lapończyk przepowiedział na lato mieszkańcom Sörmlandii. O wizycie w biurze podróży, w którym Ove zamierzał przeglądać ulotki w poszukiwaniu ewentualnych pomysłów na wakacje, i o tym, jak trzydzieści minut później wrócił do samochodu z żółtą reklamówką z kantoru Forex, który sąsiadował z biurem podróży.

– Wykupił jakąś wycieczkę? – zapytał Motoele.

– Nie. – Linus pokręcił głową. – Nadal bił się z myślami. Nie wykluczał nawet, że ten lapoński przepowiadacz pogody mógł się pomylić i że zaryzykuje pozostanie w domu.

– W takim razie cię okłamał – oznajmiła Kajsa Nilsson.

– Kupił trzytygodniową wycieczkę do Pattai. Wyjazd w środę trzeciego czerwca, a więc w przyszłym tygodniu – wtrąciła Lina.

– Choć wydaje nam się, że to może potrwać dłużej – dołączyła się Kajsa. – Pytał dziewczynę z biura, czy mogłaby mu polecić jakiś dobry hotel w Pattai.

– Co jeszcze robił? – zapytał Linus.

– I tu właśnie zaczyna się robić ciekawie – odparł Frank Motoele. – Kupił dwieście tysięcy batów tajlandzkich. To mniej więcej pięćdziesiąt tysięcy koron.

– Powinno mu to wystarczyć przynajmniej na trzy tygodnie – stwierdził Linus. – Jeśli weźmiemy pod uwagę, ile w Tajlandii kosztuje alkohol – uściślił.

– Jasne – oznajmił Motoele. – Ciekawsze jest to, że płacił w brytyjskich funtach. W sumie cztery tysiące w pięćdziesięciofuntowych banknotach.

– Tak można? – Linus pokręcił głową. – Po prostu przyjść z ulicy i prosić, żeby wymienili cztery tysiące funtów?

– Wczoraj do nich zadzwonił i zapytał. Poinformował, że chce je wymienić na baty, a oni powiedzieli, że nie ma problemu.

– Skąd on je miał? Te funty.

– Dziewczynie z kantoru powiedział, że w weekend był w Londynie i oglądał piłkę nożną. Postawił sto funtów u lokalnego bukmachera i wygrał prawie pięć tysięcy. Wziął gotówkę, bo nie wiedział, czy w Szwecji będzie mógł zrealizować czek, który chcieli mu wystawić.

– Zapomnij – odparł Linus i pokręcił głową. – W ubiegłą sobotę odwoziłem go do monopolowego i powiem ci, że spędził ten weekend na kanapie przed telewizorem.

– Na pewno leżał i gapił się na mecz w telewizji – powiedziała Kajsa Nilsson. – Przynajmniej to właśnie robił, kiedy my byliśmy u niego.

– Tak, sprawdziliśmy to – dodała Lina. – Ma w zasadzie wszystkie kanały sportowe, jakie istnieją.

– Co zrobiliście z pieniędzmi? – zapytał Linus.

– Są już w drodze do naszych techników w Sztokholmie – odparł Motoele.

– Jeśli znajdą odciski Khalida na banknotach, będzie załatwiony – stwierdził Linus i westchnął.

– Pozostaje zasadnicze pytanie – rzekł Motoele. – Dlaczego Abbdo Khalid miałby dać mnóstwo pieniędzy Ovemu Kristianssonowi? Jakie miałby powody?

– Żadnych – oznajmił Linus i pokręcił głową. – Ani jednego, jeśli chcesz znać moje zdanie.

– Może jest asem kroju i szycia? – podsunęła Kajsa i zachichotała.

– Tak, jego kamizelki mogą być słynne na całą Sörmlandię – odpowiedziała Lina.

– To taki Karl Lagerfeld wybuchowych kamizelek.

– Niestety nie możemy zbyć tego żartem – stwierdził Motoele. – O ile Khalid rzeczywiście dał mu taką masę pieniędzy, musimy ustalić, za co płacił.

– Jeśli znajdziemy odciski Khalida na banknotach, zgarniemy Ovego i wsadzimy za kratki – rzekła Kajsja.

– Tak, a potem obiecamy, że zaprosimy go na pilznera, jeśli będzie miłym dziadkiem i wszystko nam opowie – zachichotała Lina.

– Tak się nie da. – Frank Motoele pokręcił głową. – Jeśli Khalid zacznie choćby podejrzewać, że zatrzymaliśmy Ovego, będzie po nas.

– No to co robimy? – zapytał Linus.

– I tak się tego dowiemy – odparł Motoele.

Zanim Frank Motoele ich opuścił, podziękował za dobrze wykonaną robotę. Powiedział, że nie powinni się przejmować Lindą Martinez, bo zawsze tak szalała, jeśli przez jakiś czas nic się nie działo. Z przemówieniem jej do rozsądku postanowił poczekać. Jeżeli uda się połączyć funty Ovego Kristianssona z Abbdem Khalidem, nawet Linda Martinez znów będzie całkiem normalna. Albo przynajmniej tak normalna jak to w jej przypadku możliwe.

– Co teraz, dziewczyny? – zapytał Linus, kiedy Frank Motoele wyszedł.

Ciekawe, czy któraś z nich interesuje się obserwacją ptaków, pomyślał.



**V**

Środa 27 maja – wtorek 2 czerwca

**Polowanie na Bombera i jego kobietę**

**Przełom**

W ŚRODĘ dwudziestego siódmego maja nastąpił przełom w śledztwie, na który Linda Martinez tak bardzo czekała. Szesnaście dni po telefonie od angielskiego kolegi i mimo tego, że nie słyszała jeszcze ani słowa o funtach, które Ove Kristiansson wymienił w kantorze kilka godzin wcześniej.

*Yes!* W końcu coś zaczyna się dziać, pomyślała. Wzięła do ręki telefon i wybrała numer Lisy Mattei, choć wybiła jedenasta wieczorem i Lisa prawdopodobnie zdążyła już się położyć.

– Coś się stało – powiedziała Mattei i było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

– Wreszcie poczuliśmy słodki zapach przełomu – oznajmiła Martinez.

– No to się widzimy – odparła Mattei. – I zadzwoń do Lamm i Wiklandera, jeśli też chcą w tym uczestniczyć. W moim biurze za godzinę. Dasz radę?

– Tak, już jesteśmy w drodze.

– Dobrze. Kiedy miniesz Södertälje, zadzwoń do naszej centrali i powiedz, żeby po mnie przyjechali.

Słodki zapach przełomu w śledztwie, myślała Lisa Mattei, zdejmując nocną koszulę, którą dostała od Elli pod choinkę – Ella wzięła pisak do tkanin i własnoręcznie napisała na piersi „Koszula Mamy”. Włożyła zwykłe dżinsy, niebieską koszulę i niebieski żakiet. Zostało tylko dziesięć dni. Mam nadzieję, że ten przełom to prawda, pomyślała. Ciągłe wątpliwości ją wyczerpywały.

Siedzieli w małej sali zebrania sąsiadującej z jej gabinetem. Lisa Lamm, Jan Wiklander i ona. Martinez przyprowadziła swoich dwóch śledczych – Jana Stena i Larsa Hårda – starych wyjadaczy bardziej tradycyjnego sortu, wśród kolegów znanych pod wspólnym przezwiskiem Stenhård – twardy jak skała. Mówili na zmianę, bo byli obecni na miejscu i nagrali film, który zamierzali pokazać zebrany. Pozostali goście również byli wyraźnie ożywieni i pełni wyczekiwania mimo późnej

pory.

– Pomyślałem, że szefowa powinna obejrzeć parę świeżych obrazków z Eskilstuny – powiedział Lars Hård, posłał Lisie Mattei uśmiech i włożył płytę DVD do odtwarzacza.

– Na filmie jest dwoje naszych podejrzanych – kontynuował. – Najstarsza córka, która pracuje jako szwaczka i reperuje ubrania w pralni chemicznej ojca, i najmłodsza żona tegoż samego ojca. Film został nagrany zaledwie kilka godzin temu.

Piętnaście minut przed szóstą wieczorem żona numer trzy wyszła z domu. To było nietypowe, bo rzadko wychodziła i jak dotąd nigdy nie zdarzyło jej się to o tej porze. Jeszcze zanim położyła dłoń na furtce prowadzącej do ogrodu, śledczy z położonej sto metrów dalej kryjówki zaczęli filmować. Była ubrana tak jak zwykle – miała na sobie czarną chustę zasłaniającą włosy i spódnicę, która sięgała do ziemi. Pod pachą trzymała podłużny pakunek owinięty brązowym papierem.

Poszła spacerem do centrum miasta i niecałe trzydzieści minut później zadzwoniła do drzwi pralni, w której pracowała najstarsza córka. Zakład był zamknięty od szóstej, ale najwyraźniej na nią czekano, bo ktoś otworzył drzwi i wpuścił ją do środka.

– To najstarsza córka – wyjaśnił Lars Hård. – W środku są tylko one dwie. Mamy absolutną pewność, choć nie widać, kto otwiera. Jak szefowa z pewnością zauważyła, żaluzje w obu oknach wystawowych i drzwiach od ulicy były zaciągnięte.

– Jak sobie z tym poradziłeś? – zapytała Mattei.

Zadowolone miny śledczych sprawiały, że nie niepokoiła się ani trochę.

– Dobremu graczowi szczęście sprzyja – wtrąciła Martinez. – Pokój, w którym szyją i naprawiają ubrania, ma dwa okna wychodzące na wewnętrzny dziedziniec. W obu są zwykłe firanki, które zasłaniają tylko dolną część. Moi chłopcy weszli do mieszczącego się na najwyższym piętrze biura po drugiej stronie dziedzińca. Potem wystarczyło tylko włączyć kamerę. Obraz jest bardzo ładny. – Martinez skinęła głową w kierunku Larsa Hårda, który nacisnął przycisk na pilocie.

Dwie kobiety w klasycznych muzułmańskich strojach siedzą po obu stronach stolika do szycia w eskilstuńskiej pralni chemicznej, która jest też zakładem naprawy odzieży. Pierwsza zaczyna od rozpakowania zawiniętej w szary papier beli białego materiału – być może bawełny lepszej jakości.

Materiał zostaje rozłożony na stole i przykryty już narysowanymi szablonami. Dwie kobiety z markerem, dużymi krawieckimi nożycami i czterema zręcznymi dłońmi wycinają przód i tył czegoś, co najprawdopodobniej ma być kamizelką, wystarczająco długą, aby się kończyła na wysokości kroku.

Najstarsza córka siedzi pochylona nad maszyną do szycia, najmłodsza żona jej ojca krząta się w tle – podaje herbatę, układa nowe, już wycięte kawałki materiału, różnego kształtu i długości, w końcu przynosi rulon taśmy z rzepami, a najstarsza córka wszywa ją wzdłuż piersi i tułowia. Obie wyraźnie są w dobrym humorze, bo rozmawiają i śmieją się.

– To trwało prawie trzy godziny – powiedział Lars Hård i nacisnął przycisk pauzy. – Jeśli szefowa chce, możemy oczywiście odtworzyć całość...

– Mnie wystarczy. A jak ty uważasz, Liso?

– Mnie też – odparła Lamm. – Ale mam pytanie. Odniosłam wrażenie, że kamizelka ma, że tak powiem, dwie warstwy. Jest długa wewnętrzna kamizelka i jeszcze duże kieszenie z przodu, zabezpieczone taśmą z rzepami.

– Zgadza się – odparł Jan Stern. – Chcę mieć zbliżenia wszystkiego, co świadczy o tym, że to nie jest jedna z tych zwykłych kamizelek, w których biegają rybacy i myśliwi.

– Kolor każe przypuszczać, że będzie miała inne zastosowanie – stwierdziła Martinez i wyszczerzyła zęby. – Ale tak jest, rozumiem, co masz na myśli. Porozmawiam o tym z majorem Björklundem. Wydaje się prawdziwym modowym guru, jeśli chodzi o projektowanie kamizelek zamachowcom samobójcom.

– Chcę mieć zwyczajowy raport i wszystkie materiały najpóźniej jutro przed lunchem – oznajmiła Mattei. – Co się stało z tą kamizelką? Nadal jest w sklepie?

– Nie – odpowiedział Lars Hård. – Zawinęły ją w ten sam brązowy papier, w którym była bela materiału, i zabrały do domu. Wraz z resztą materiału

i wyciętymi kawałkami, których nie potrzebowały.

– Jak dotarły do domu? – spytała Mattei.

– Drugi najstarszy brat przyjechał po nie samochodem. Siostra zadzwoniła do niego na komórkę i w piętnaście minut był na miejscu. Pojechali bezpośrednio do domu.

Jeden plus jeden plus jeden równa się trzy, pomyślała Mattei. Plus Abdo, którego dał nam Alexander. To razem cztery.

– Dobra robota – powiedziała Lisa Mattei. – Teraz chciałabym pojechać do domu i pospać. Proponuję, żebyście zrobili to samo.

Dwie godziny później znów leżała w swoim łóżku. Było już po trzeciej w nocy. Ze snu przechodziła w lekką drzemkę, a wszystkie myśli, zazwyczaj poprzedzające sny, napływały jedna po drugiej i nie mogła nad nimi zapanować. Jak myśl o animowanym filmie Disneya. Tym, w którym Kopciuszek idzie na bal na zamku. Oglądała go zawsze w Wigilię, odkąd była małą dziewczynką. Widziała go niezliczenie wiele razy z mamą, tatą, wszystkimi członkami rodziny i młodszym bratem, którego nigdy się nie doczekała. Przypomniła sobie małe myszki, które śpiewając i tańcząc, pomagały Kopciuszkowi uszyć suknię.

Kogo obchodzi jakiś bal na zamku, pomyślała Mattei, skuliła się w pozycji embrionalnej i przycisnęła pięści do przepony, w której poczuła ćmiący ból. Dopiero godzinę później wreszcie zasnęła.

W kolejnych dniach myślała o środzie dwudziestego siódmego maja jako o dniu, w którym wreszcie nastąpił upragniony przełom. Dniu, w którym jej przeciwnik zaczął się ruszać i przeszedł od myśli oraz słów do czynów. Jej współpracownikom udało się to udokumentować i w najlepszym razie mógł to być pierwszy kawałek materiału dowodowego potrzebnego do oskarżenia trzech widocznych na filmie osób o przygotowania do morderstwa.

Cztery z siedemnastu osób z rodziny. Po odjęciu babci i pięciorga najmłodszych dzieci pozostaje jeszcze siedmiu domniemanych sprawców, pomyślała. A co pozostanie? Nic. Tylko siedemnastoosobowa rodzina unicestwiona przez nią i jej

kolegów.

Tak myślała na początku. Kiedy jeszcze sądziła, że ma kontrolę nad tym, co zaplanował przeciwnik, i że osobiście to udaremni.

NAJPIERW CZTERNAŚCIE DNI oczekiwania, kiedy nie działo się praktycznie nic. A potem koniec trzeciego tygodnia, kiedy nagle wydarzenia zaczęły następować jedno po drugim. Jakby ktoś wyciągnął korek ze zlewu, pomyślała Linda Martinez z nagłą ulgą. Była szczęśliwa, bo jeszcze nie wiedziała, jak bardzo bliska jest prawdy.

W czwartek dwudziestego ósmego maja ich prokurator Lisa Lamm mogła doliczyć piątego podejrzanego. O rok młodszy brat Abbda, Hassan Khalid, który pracował w markecie budowlanym, pożyczył z miejsca pracy ostrzałkę, piłkę do metalu i szczypce do cięcia prętów, a poza tym kupił sześćdziesiąt metrów żelaza zbrojeniowego. Całkiem jawnie, z rabatem dla personelu i wdzięcznością szefa, bo miał położyć nową cementową podłogę w piwnicy domu, w którym mieszkał z rodziną.

Kiedy wrócił z pracy, zaparkował przed domem i wyszedł z samochodu, natychmiast pojawili się jego najstarszy brat i ojciec, którzy pomogli mu znieść żelazo i narzędzia do piwnicy.

W swojej głupocie, podczas przerwy obiadowej sześć godzin wcześniej, odszedł na bok i ćwiczył zadanie. Używając szczypiec, zamieniał pręty żelaza w spełniające swoje zadanie pociski. Obcinał je ukośnie, tak że były jak ścięte stożki o długości dwóch do trzech centymetrów i masie około dziesięciu gramów. Spiczaste, ostre, śmiercionośne. Wszystko było udokumentowane na zdjęciach, zrobionych w markecie budowlanym przez jego najnowszą koleżankę, inspektor kryminalną Sandrę Kovac, która przeprowadzała inwentaryzację w magazynie i robiła przegląd asortymentu firmy, choć już miała pracodawcę, który płacił jej dwa razy tyle.

Później tego samego wieczoru Hassan zawiózł swojego młodszego brata, Waaberiego Khalida zwanego Wabbem, na trening piłki nożnej. Kiedy był zajęty

obserwowaniem jego i drużyny, śledczy Lindy Martinez robili swoje. Otworzyli bagażnik jego samochodu i skorzystali z pomocy psa, który sprawdzał nosem, co w nim wcześniej przewożono.

– Ogon prawie mu odpadł od merdania – opowiadał właściciel psa później tego samego wieczoru podczas rozmowy telefonicznej z Martinez. – Nie ma żadnych wątpliwości. Musieli tam wcześniej przewozić konkretny ładunek.

– Jesteś w stanie powiedzieć, ile tego mogło być? – spytała Martinez.

– Moim zdaniem dużo – odparł treser. – Ale akurat ten element nie jest może najmocniejszą stroną Sampo.

Martinez zadzwoniła więc do Sandry Kovac i poprosiła o sprawdzenie, czy w markecie budowlanym, w którym pracował Hassan, przypadkiem nie brakuje dynamitu.

Sandra Kovac oddzwoniła już następnego ranka.

– Nie śpisz, Lindo? – zapytała. – Jeśli chcesz, mogę zadzwonić później.

– Przestań się ze mną drażnić – odparła Martinez.

– Znalazłam pięć kilo dynamitu. Sprawdziłam ich rozliczenia i okazało się, że przedwczoraj pewien klient kupił pięć kilogramów dynamexu doskonałej marki Nitro Nobel. Zresztą gorąco go polecamy w Eskils Bygg...

– Może byś tak przeszła do rzeczy?

– Oczywiście. Rzecz polega niestety na tym, że ten ktoś wziął dziesięć, a nie pięć kilogramów z magazynu, w którym robi się zakupy. Zgadnij, kto go obsługiwał. Niesamowity zbieg okoliczności, że się tak wyrażę.

– Chyba wiem, o kogo ci chodzi – odparła Martinez. – Co wiesz o kliencie?

– Nikt go nie śledzi – powiedziała Kovac z takim naciskiem, że Martinez zobaczyła, jak kręci głową, choć rozmawiały przez telefon. – To miejscowy facet. Ma niewielką firmę zajmującą się kopaniem szybów i wyburzeniami. Wszystkie papiery w porządku.

– Miło to słyszeć – odparła Martinez.



KOLIA BARABANOW był jednym z trzech uciekinierów z rosyjskiego wywiadu, który po rozpadzie Związku Radzieckiego postanowił się dostać do Szwecji. Przybył tam jesienią 1991 roku. Najpierw pojechał samochodem do Tallina. Stamtąd poleciał do Helsinek i wsiadł w pierwszy samolot do Sztokholmu. Fałszywych paszportów i innych dokumentów potwierdzających tożsamość miał pod dostatkiem, pieniędzy mu nie brakowało, a wszystkie tajne papiery, z których miał się utrzymywać przez resztę życia, zdążył schować w bezpiecznych miejscach za granicą. Kolia Barabanow nie był kimś, kto mógłby zaniedbać szczegóły ostatniej podróży.

Kiedy wylądował na Arlandzie, wsiadł do taksówki i pojechał bezpośrednio do siedziby wywiadu wojskowego w sztokholmskiej dzielnicy Östermalm. Porozmawiał z portierem i po angielsku oznajmił, że chciałby się spotkać z pułkownikiem, który z pewnością opieprza go najczęściej ze wszystkich w tym budynku.

– Od kogo pozdrowić? – Portier od razu wiedział, o kogo chodzi.

– Proszę przekazać pozdrowienia od Kolii. Kolii Barabanowa.

Pięć minut później siedzieli z pułkownikiem w wygodnych fotelach w jego gabinecie. Kolia palił pierwszą cygaretkę tego dnia, lada chwila miał dostać obiecaną wódkę, atmosfera była wyborna i taka pozostała przez kolejne dwadzieścia pięć lat. To, że Kolia wybrał Szwecję, a nie Stany Zjednoczone czy któregoś z ich sojuszników, było świadomą decyzją. Oczywistym wyborem w przypadku człowieka z jego przeszłością. W ciągu dwudziestu lat spędzonych w sowieckim wywiadzie wojskowym, GRU, właściwie przez cały czas pracował w dziale zajmującym się kwestiami Bliskiego Wschodu. Konkretnie chodziło o terroryzm polityczny. Wspieranie akcji, w których głównym celem był Izrael, a najbardziej pewnym sojusznikiem Palestyńczycy. To, że Kolia nie zdecydował się przenieść do

Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii czy Niemiec, nie było przypadkiem. Lepsza pewna szwedzka korona niż niepewny dolar, niemiecka marka albo funt, a jeśli w przyszłości będzie chciał robić interesy ze swoimi dawnymi kontaktami, nie było lepszego miejsca na niewielkie biuro niż Sztokholm i neutralna Szwecja.

Obecnie Kolia był starym człowiekiem z nową ojczyzną, nową tożsamością, kolejnym językiem, a nawet nowym wyglądem, żeby uniknąć problemów, gdyby ktoś z jego wcześniejszego życia nagle pojawił się w obecnym. Mieszkał samotnie w małym mieszkaniu na Gärdet. Był skarbnikiem w dobrze zorganizowanej wspólnocie mieszkaniowej, robił sobie codzienne długie spacerunki na łono natury, miał wiele dobrych restauracji, do których mógł dojść na piechotę, i sympatycznych sąsiadów w jego wieku, na tyle dobrze wychowanych, żeby nie zadawać pytań o jego pochodzenie i wcześniejsze życie. Nie robi się tego komuś, kto, jeśli sędzić po nazwisku i wieku, może być żydowskim uchodźcą i znać okropieństwa nazizmu z własnego dzieciństwa.

W jednym był podobny do siebie. Wyraz oczu miał identyczny jak pułkownik Kolia Barabanow, który przez dwadzieścia lat pracował w GRU, a pewnego dnia wsiadł do służbowego samochodu, wyjechał z garażu i zniknął z powierzchni ziemi. Ludzie, którzy go obecnie otaczali, nic o tym nie wiedzieli, nie mieli więc porównania.

W czwartek dwudziestego ósmego maja Carl Lewenhaupt spotkał się z nim w jego mieszkaniu przy Rindögatan w Gärdet. Kolia zaproponował kawę i wodę mineralną, a potem, po wstępnej wymianie uprzejmości, zaczął opowiadać o matce Louise Urqhart, Judith Rebecce Stein – obywatelce brytyjskiej, Żydówce, urodzonej w 1950 roku i wychowanej w Londynie, do którego jej przodkowie przybyli już w połowie dziewiętnastego wieku. Zginęła w Tel Awiwie szóstego sierpnia 1982 roku.

– W Tel Awiwie? Nie na francuskiej Riwierze? – zapytał Carl Lewenhaupt.

Kolia odparł, że było tak, jak mówi. Nie był to też wypadek samochodowy. Judith Stein została zabita przez samobójczynię, która zdetonowała bombę w kawiarni w centrum Tel Awiwu. Stein miała się tam spotkać z informatorem, a Palestyńczycy nie mogli do tego dopuścić za żadną cenę. Wszystko inne, co można było przeczytać

w jej papierach, było zasłoną dymną Mosadu – jej zleceniodawcy – oraz współpracowników z francuskich i brytyjskich służb bezpieczeństwa.

Jak powiedział, ciekawym szczegółem całej sprawy było to, że na żydowskim cmentarzu w Manchesterze nie spoczywały nawet zwłoki Judith Stein. Ze względu na stan jej szczątków nie chciano podejmować tego ryzyka.

Wysłano więc ciało innej kobiety, które pod względem wieku i wyglądu pasowało do Judith Stein, ofiary wypadku samochodowego.

– Kto to był? – zapytał Carl Lewenhaupt.

– Czy to ma jakieś znaczenie? – odparł Kolia i zrobił zmęczony gest ręką. – Musisz wiedzieć, młody człowieku, że w tamtych czasach naprawdę było w czym wybierać.

Problem z Judith Stein nie polegał na tym, że kiedy przeciwnik pozbawił ją życia, miała za sobą dziesięć lat pracy w Mosadzie. Chodziło o to, że była zdecydowanie za dobra i chętnie pracowała w terenie, podejmując wszelkie związane z tym ryzyko.

– Cokolwiek miała tam do roboty – dodał Kolia i westchnął. – Taka młoda i niezależna kobieta jak ona, która poza tym mieszkała w Anglii i mogła się zajmować czymś innym w ramach wywiadu.

Judith Stein miała dużą skłonność do przygód. Pociągało ją napięcie, a więc i niebezpieczeństwo. Jak ćma, która leci do płomienia, chociaż wie, że może jej spalić skrzydła. Kolia pokręcił głową z wyraźnym żalem.

Jak się dowiedział od swoich kontaktów z dawnych lat, jej córka również wybrała takie życie. On sam nigdy nie poznał Louise Urqhart. Chociaż z pewnością odnotował jej istnienie, bo wielokrotnie miał powód, żeby czytać akta jej matki. Z pewnością myślał wtedy ze smutkiem o małej dziewczynce, która musiała żyć z taką matką.

Wyglądało na to, że nie wyciągnęła żadnej lekcji z tego, co się przytrafiło matce, choć z pewnością od dawna znała tę historię ze szczegółami. Raczej stało się odwrotnie.

– *Like mother, like daughter* – powiedział Kolia i znów westchnął.

Takiemu romantykowi jak on wydawało się naturalne, że kobiety powinny być

mądrzejsze pod tym względem niż mężczyźni. Miał na myśli tych wszystkich synów, decydujących się na pójście w ślady ojców. Zgodnie z zasadą *like father, like son*, niestety tak powszechną w branży, którą obaj wybrali.

Kolia jak najlepiej wykorzystał życie, jakie dawna ojczyzna miała do zaproponowania człowiekowi z jego przeszłością. Postanowił zostać oficerem wywiadu. Pracować przy biurku, nie zaś w wojskach pancernych, jak jego ojciec, który poległ na Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej. A tym bardziej nie w kawalerii jak jego dziadek, który zginął przed prawie stu laty, walcząc z białymi na wojnie domowej w Finlandii.

Niestety, istniały przesłanki pozwalające przypuszczać, że Louise Urqhart była nawet bardziej żądna przygód niż jej matka. Judith Stein przynajmniej trzymała się jednego zleceniodawcy, Mosadu, co było zarówno logiczne, jak i spodziewane, jeśli wziąć pod uwagę jej przeszłość i wyznanie.

Louise była za to typową freelancerką, ze wszystkimi problemami, jakich to nastęrczało zarówno jej, jak i ludziom, dla których aktualnie pracowała. Wybrała życie na trzęsawisku i przeskakiwała z jednej kępkę trawy na drugą. Mosad, CIA, MI6 – by wspomnieć tylko organizacje, dla których najczęściej działała. Nigdy jednak nie wykonywała pracy dla Arabów, nienawidziła ich od urodzenia z powodów osobistych. Ani dla Rosjan, choć nie wynikało to z nienawiści, lecz z braku zaufania.

– Może dlatego, że za bardzo się jej kojarzymy z nią samą – zakończył Kolia z delikatnym uśmiechem. – Rozumiem, że ty i twoi koledzy też mieliście z nią kłopot.

– Pierwszy jestem gotów to przyznać – odparł Carl Lewenhaupt.

– Pociesz się, że tę pomyłkę popełniono przed nastaniem twoich czasów – oznajmił Kolia. – Życie jest niesprawiedliwe i dlatego to ty musisz posprzątać po innych.

– Niestety tak właśnie jest – zgodził się Carl Lewenhaupt.

O czym, do diabła, gada ten facet? – zastanawiał się.

– Ja sam chyba nie korzystałbym z pomocy kogoś takiego jak Louise Urqhart –

przyznał Kolia.

Carl Lewenhaupt stracił rachubę, który raz z kolei pokręcił głową. Co on chce powiedzieć? – myślał. Najwyższy czas podjąć ryzyko. W jaki sposób najlepiej zamaskować bezpośrednio pytanie?

– Mam bezpośrednio pytanie – oznajmił. – Co ty byś zrobił, gdybyś był w takiej sytuacji, w jakiej wówczas byli moi szefowie?

Na początku Kolia z namysłem pokiwał głową. Potem powiedział, co by zrobił, biorąc pod uwagę, że jego spojrzenie nie było już takie jak dwadzieścia pięć lat wcześniej. Że się zestarzał i nie miał już czujności, która dla kogoś takiego jak on była niezbędnym warunkiem przeżycia.

– JAK POSZŁO U KOLII? – zapytała Lisa Mattei godzinę później.

Lewenhaupt odparł, że doskonale, ale zanim o tym opowie, chciałby poruszyć inną kwestię, ważną w kontekście analizy Louise Urqhart. Konkretnie chodziło o wynajmowanie nieruchomości.

– Doszli do tego twoi chłopcy od cyferek? – odparła Mattei.

– Jak najbardziej – potwierdził Lewenhaupt. – Zdolne z nich bestie.

– Boże, co za emocje – odparła. – Mówię poważnie – dodała po chwili, słysząc, jak to zabrzmiało.

Współpracujący z Lewenhauptem agenci wywiadu zapoznali się z materiałami na temat muzułmańskiego terroryzmu w Wielkiej Brytanii, które ich angielscy koledzy – a konkretnie MI5 i komórka antyterrorystyczna pocziwego Scotland Yardu – przekazali do wiadomości kolegów ze służb specjalnych innych państw zachodnich.

– To bardzo obszerne materiały – oznajmił Lewenhaupt. – Wszystko włącznie z opisami każdej zamieszanej w to osoby. Tysiące stron.

– Łatwo się w tym utopić – stwierdziła Mattei.

– Jasna sprawa – odparł Lewenhaupt. – Uniknijmy tego i walnijmy prosto z mostu. Sprawa wygląda tak. W Manchesterze i okolicach mieszka około dwóch i pół miliona mieszkańców, z czego mniej więcej trzystu figuruje na sporządzonej przez Anglików liście znanych, podejrzanych albo domniemyanych terrorystów powiązanych z różnymi muzułmańskimi organizacjami terrorystycznymi. Jak myślisz, ilu z nich w ciągu ostatnich lat wynajęło pokój albo mieszkanie od Louise Urqhart?

– Ile pokoi ona wynajmuje? – spytała Mattei.

– Około stu – odparł Lewenhaupt.

– Skoro mówimy o dwóch i pół miliona ludzi, którzy powinni mieć przynajmniej

dostęp do około miliona sypialni, to prawdopodobieństwo, że ktoś taki jak Abbdo Khalid wynajmie pokój od Louise Urqhart, wynosi mniej więcej zero procent.

– W tym punkcie ty i nasz szef do spraw statystyki jesteście uderzająco zgodni. Zero procent.

– A jak jest w rzeczywistości?

– Na razie znaleźliśmy dwadzieścia osób, które mieszkały tam przez dłuższy lub krótszy czas.

– Co oznacza, że są dwa możliwe wytłumaczenia.

– Właśnie. Jeżeli rzeczywiście, jak się nieoficjalnie sądzi, jest kobietą Bombera, to by wszystko wyjaśniało. Jeśli pojawi się u niej ktoś taki jak ty czy ja i będzie chciał wynająć mieszkanie, ona pokręci głową. Powie, że nie ma nawet wolnej szafy. Ale jeśli to samo pytanie zada ktoś taki jak Abbdo, powita go z otwartymi ramionami.

– Naprawdę tak jest?

– Nie. Jeżeli to, o czym wprost mówi Kolia, co ty podejrzewasz od dłuższego czasu i ku czemu nawet ja zaczynam się skłaniać, jest prawdą, to sprawa wygląda dokładnie odwrotnie. Gospodyni Louise Urqhart z całą pewnością nie jest kobietą Abbda. Ani nikogo jemu podobnego.

– Kim w takim razie jest?

– Gospodyni Louise Urqhart utkała sieć, w którą łapie takie muchy jak Abbdo Khalid. Wprawdzie właścicielką domów jest tylko ona, ale wynajmuje je na rachunek Jeremy'ego Alexandra i spółki.

– Mimo że wygląda na słodką – dodała Mattei. – Na tych zdjęciach z Abbdem.

– Szczęśliwa pajęczycza – skwitował Lewenhaupt. – Która już dawno nie złapała tak tłustej muchy.

– Lepiej być nie może – powiedziała Mattei.

Wyobraziła sobie Jeremy'ego Alexandra i jego minę, kiedy mu powie, co ona i jej współpracownicy odkryli na temat Louise Urqhart, o której wciskał im same kity.

– Jeszcze jedno – dodał Calle Lewenhaupt. – Kolia wspomniał o tym

mimochodem, nawet nie zdając sobie sprawy z tego, co tak naprawdę powiedział.

– A mianowicie?

– Powtarzając ci to, ryzykuję, że wylejesz mnie z pracy.

– Zawsze jest takie ryzyko – odparła Lisa Mattei.

– Okej.

– Świetnie. No to na co czekasz?

– Wyglądał na przekonanego, że ty i Louise Urqhart się znacie.

– Jeśli tak, to musiałam o tym zapomnieć. Pijany był czy jak? – Mattei nie potrafiła ukryć zdziwienia.

– Mówi, że poznałyście się w związku z pewnym zadaniem w październiku prawie dziesięć lat temu.

– Kiedy, gdzie i dlaczego? – zapytała Mattei.

– Północna Majorka, początek października dwa tysiące szóstego roku. Byłyście tam, żeby wspólnie wykonać zadanie.

– Na czym polegało? Kto nam je powierzył?

– Podobno twój dawny szef, Lars Martin Johansson – oznajmił Calle Lewenhaupt.

– I w czym miałyśmy mu pomóc?

– Wysłał tam ciebie, Louise Urqhart i kilka innych osób, których nazwisk Kolia mi nie zdradził, żebyście zabili człowieka, który dwadzieścia lat wcześniej zastrzelił premiera Olofa Palmego.

– Calle – odparła Mattei z obronnym gestem obu rąk. – Czy ty słyszysz, co mówisz? Gdybyśmy siedzieli w pokoju kawowym, farba zaczęłaby teraz odpadać ze ścian.

– Kolia twierdzi, że zrobiliście to, żeby chronić Säpo. Obaj sprawcy śmierci Palmego podobno tam pracowali. Gdyby to się dostało do publicznej wiadomości, poważnie zaszkodziłoby jej działaniom.

– Ci dwaj, którzy rzekomo zastrzelili Palmego... Czy nasz kochany Kolia podał jakieś nazwiska? – spytała Mattei, choć już знаła odpowiedź.

– Tak – odparł Calle Lewenhaupt. – Jeden nazywał się Claes Waltin, a drugi



Kjell-Göran Hedberg. Kolia twierdził, że to ty ich znalazłaś. Obaj rzeczywiście tu pracowali. Waltin był głównym szefem, prawą ręką szefa pionu operacyjnego. Facet nazywał się zresztą Berg, a jego następcą był Johansson, ale z pewnością wiesz to wszystko lepiej ode mnie. Ten drugi, Hedberg, przez kilka lat pracował w Zespole ds. Ochrony Osób. Obaj już nie żyją. Hedberg zginął na swojej łódce w wyniku wybuchu gazu. Podobno wyleciała w powietrze rankiem dziesiątego października dwa tysiące szóstego roku, kiedy wypłynął na ryby. Przynajmniej według oficjalnego śledztwa, które prowadziła hiszpańska policja. Zajrzałem do niego, w naszym archiwum jest kopia. Wygląda na to, że właśnie Hedberg był strzelcem na Sveavägen. Waltin zaś wszystko zapoczątkował. Mniej więcej rok przed śmiercią Hedberga Waltin utopił się w pobliżu miejsca, w którym wydarzył się wypadek z łodzią. Nie znalazłem żadnych materiałów ze śledztwa w sprawie jego śmierci, a powinny się tu znajdować ze względu na to, kim był.

– Popatrz na mnie, Calle – powiedziała Mattei.

– No.

– Naprawdę wierzysz, że pozwoliłabym utopić jednego człowieka i wysadzić w powietrze drugiego? Niezależnie od tego, czy zrobili to wszystko, o czym bredzi Kolia?

– Nie – odparł Calle Lewenhaupt. – Nie – powtórzył.

– To dobrze – stwierdziła Mattei. – Zapytam z ciekawości. Jak Louise Urqhart łączy się z tą historią?

– Wszystko wskazuje na to, że Johansson wynajął ją jako przynętę. Miała go wywabić na jezioro, żeby wybuch nie zrobił krzywdy niewinnym ludziom. Podobno pracował wtedy dla CIA jako freelancer.

– Czyli ludzie z CIA też byli w to zamieszani i pomagali?

– Kolia twierdzi, że tak.

– Sam słyszysz, jak to brzmi – stwierdziła Mattei.

– Tak – odparł Calle Lewenhaupt. – Wiem, co masz na myśli.

– Jeszcze jedno pytanie. Skąd możesz być pewien, że Louise Urqhart była na Majorce w październiku prawie dziesięć lat temu?

– Jest o tym mowa w dokumentach na jej temat, które dał nam Alexander. Jak pamiętasz, znajduje się tam wyczerpujący opis wszystkich jej podróży. Jest wśród nich wyjazd na Majorkę. Spędziła tam trzy tygodnie. Wróciła do domu dzień po wybuchu gazu, w wyniku którego zginął Hedberg.

– No proszę – odparła Mattei. – Najwyraźniej akurat to przeoczyłam. O ile wiem, nie rozmawiałam z nią nigdy w życiu. Nawet jej nie spotkałam. Gdybyśmy coś takiego wspólnie wymyśliły, chyba bym pamiętała.

– Tak, to nieprzyjemna historia. Co teraz?

– Nie zamierzam cię zwolnić – odparła Mattei. – Co ty na to, żebyśmy spróbowali w miarę sensownie uporządkować nasze aktualne dochodzenie, a wszystko inne odłożyli na bok?

Przynajmniej na razie, dodała w myślach.

– Jak najbardziej jestem za – odparł Calle Lewenhaupt i się uśmiechnął.

– To dobrze – oznajmiła Mattei. – Dam znać, jak tylko będę potrzebowała twojej pomocy.

Próbujesz mi coś powiedzieć? – zastanawiała się, kiedy Calle Lewenhaupt wyszedł. Ale miała na myśli nie jego, lecz Jeremy’ego Alexandra.

KIEDY KOMISARZ Lars Enochson, wiceszef działu techniki kryminalistycznej Säpo, przyszedł do pracy w czwartek dwudziestego ósmego maja, na biurku w jego laboratorium leżała koperta z czterema tysiącami funtów. Poza tym pisemne żądanie jakiegoś kolegi, który pracował dla Lindy Martinez i, jeśli sądzić po nazwisku, nie był Smålandczykiem jak on.

W obliczu Pana wszyscy jesteście Smålandczykami, poprawił się w myślach. Sam był typowym przedstawicielem tego regionu. Chrześcijaninem, głęboko wierzącym, oszczędnym, jeśli chodziło o pieniądze zarówno własne, jak i cudze, cichym, zdolnym i pracowitym facetem, który oczywiście bardzo uważał z napojami destylowanymi i drożdżowymi. Krótko mówiąc, typowy Smålandczyk. To, że Pan Bóg stworzył ich jako wzór człowieka i duchowy przykład dla innych, nie było oczywiście przypadkowe.

Następnie zajął się sprawą, w której miał pomóc koledze o dziwnym nazwisku. Ponieważ szukający pomocy kolega był najwyraźniej żółtodziobem w sprawach techniki kryminalistycznej, postanowił zrobić to swoim sposobem. To pozwalało przesłać odpowiedź szefowej Lindzie Martinez po południu tego samego dnia. Prawie jakby był technikiem kryminalistyki, tyle że na niby – jak ci z seriali, które ciągle leciały w telewizji. Sam nigdy ich nie oglądał. Czasem tylko w niedzielne przedpołudnia włączał transmisje nabożeństw.

Najpierw oświetlił stos banknotów swoją kochaną lampą, której wyjątkowe światło ukazywało ślady DNA na badanych przedmiotach. Już na pierwszym banknocie znalazł coś, co prawdopodobnie było śliną. Te same ślady były na co dziesiątym, zawsze w tym samym miejscu. Prawdopodobnie zostawił je ktoś, kto miał staromodny zwyczaj regularnego ślinienia kciuka przy liczeniu pieniędzy ułożonych w większe stosy. Poza tym, jeśli sądzić po umiejscowieniu śladów, prawdopodobnie był praworęczny.

Ostrożnie pobierając wymazy, zabezpieczył wszystkie prawdopodobne ślady śliny, które udało mu się znaleźć – na osiemdziesięciu banknotach było ich w sumie dziewięć. Wysłał je w probówkach do biologa, który zajmował się u nich badaniem DNA. Po dwóch godzinach otrzymał odpowiedź. DNA z każdej z próbek było zgodne z tym pobranym od podejrzanego Abdullaha Mohammeda Khalida.

Typowy smålandzki dzień pracy typowego Smålandczyka, czyli mnie, pomyślał Enochson. Spędziłem go w trudzie i znoju, a na koniec mogłem się cieszyć owocami swojej pracy.

Pomyślał, że najwyższy czas wrócić do domu, jeżeli ma zdążyć do sklepu Willys i kupić prawdziwe smålandzkie kiełbasy isterband w promocyjnej cenie, o której się dowiedział z lokalnej gazety.

LINDA MARTINEZ nie była typową Smålandką. Jak tylko przeczytała wiadomość od Enochsona, przybiła sobie piątkę w duchu i natychmiast zadzwoniła do Lisy Mattei.

– Jak tam, Liso? – zapytała.

– Dzięki, dobrze – skłamała Mattei, nadal bowiem rozmyślała nad dziwną historią, którą opowiedział jej Calle Lewenhaupt.

– Pamiętasz ten wieczór czternaście dni temu, kiedy prowadziłyśmy obserwację na środku pustkowia w najciemniejszym zakątku Sörmlandii?

– Chodzi ci o miejsce, w którym Abbdo miał się znajdować, kiedy potwierdził otrzymanie wiadomości?

– Tak jest. Fajnie wiedzieć, że wciąż jesteś w grze.

– O której grze mówimy?

– Był tam po to, żeby się z kimś spotkać.

– Aha. No to jestem w tej grze. I nie tylko – dodała, choć wiedziała, że w przypadku Martinez szkoda się trudzić.

– Jak być może widziałas we wszystkich papierach, które ci wysłałam, mamy staruszka, który i u mnie wywołuje szybsze bicie serca.

– Masz na myśli Ovego Kristianssona, który się przewija w innych materiałach z tego śledztwa? Nadal nie pojmuję, dlaczego miałyby go coś łączyć z człowiekiem pokroju Abbda.

– Ale łączy. Z tego, co mówisz, domyślam się, że nie zdążyłaś przeczytać małego protokołu kolegi Enochsona, który się pojawił ze dwie godziny temu?

– Nie – odparła Mattei. – Ale jeśli mi opowiesz, chętnie posłucham.

Tylko nie kolejny, dodała w myślach.

Cokolwiek by sądzić na temat Lindy, nie można jej zarzucić rozwlekłości, pomyślała

Mattei kilka minut później, kiedy już znała wszystkie szczegóły na temat Kristianssona i jego banknotów.

– To znaczy, że możemy powiązać Ovego Kristianssona z Abbdem Khalidem – powiedziała Mattei.

– Żartujesz? – odparła Linda.

– Nie. Nie w tej kwestii. Za to nadal nie rozumiem dlaczego. Nie są do siebie zbyt podobni, że się tak wyrażę.

– Sami się zmagamy z tą kwestią. Jak się pewnie domyślasz, stary pijaczek podskoczył w hierarchii w ciągu ostatnich godzin.

– Bardzo dobrze. Jak tylko ustalisz, co razem kombinowali, daj mi znać.

– Dowiesz się pierwsza, Liso – obiecała Martinez.

Lisa Mattei została w pracy o wiele za długo. Ominęła ją kolacja z Ellą i Johanem i okazja, żeby ułożyć swoje jedyne dziecko do snu. O pozostałych rzeczach, które mogły ją ominąć, wołała nawet nie myśleć.

Oddała się rozmyślaniom. Z początku bezsensownym, na temat Larsa Martina Johanssona. Czy rzeczywiście – mimo wszystkiego, co o nim wiedziała – wprowadzał w czyn swoje ciągłe zapowiedzi o nadziewaniu na rożen każdego, kto działał mu na nerwy.

Nie Johansson, pomyślała. Może wymyślił coś innego, o czym wolał nie mówić. Bez względu na to, co to mogło być, raczej nie miało związku z jej śledztwem. Zapomnij o tym, powiedziała sobie. Przynajmniej na razie.

Przystąpiła do rozmyślań na temat swojego śledztwa. Z jakiegoś powodu im więcej wiedziała, tym bardziej była zaniepokojona, a najbardziej niepokoiło ją to, że przez cały czas miała rację. Może jesteś lepszą policjantką, niż potrafisz przyznać nawet przed sobą, myślała. Może dręczy cię brak wiary we własne możliwości, stanowczo zbyt częsty u kobiet. Albo też ktoś się tobą bawi. A może jedno i drugie, dodała po chwili w myślach, ponieważ była tym, kim była.

Potem pojechała do domu. Ella spała, Johan też. Prawie wszyscy spali o tej porze. W końcu i ona zasnęła. Tej nocy nic jej się nie śniło.

W PIĄTEK dwudziestego dziewiątego maja Ismail Mohammed Khalid zaczął nową pracę w restauracji Solliden, sto kilka metrów od dużej sceny Skansenu. Isse – jak nazywali go koledzy – został zatrudniony jako pomocnik kucharza, sprzątacznik i ogólnie chłopak do wszystkiego. Miał już doświadczenie w takiej pracy. Przez ostatnie dwa lata robił właściwie to samo w restauracji ojca w Eskilstunie.

Informacja, że Isse ma się przeprowadzić do Sztokholmu, nie była zaskoczeniem dla śledczych. Wiedzieli o tym od pierwszego tygodnia, w którym zaczęli podsłuchiwać jego rozmowy i analizować transmisję danych. Isse Khalid sprawiał wrażenie otwartego i utrzymywał kontakty w sieci. Po prostu wdzięczny obiekt obserwacji.

Zostały tylko dwa znaki zapytania. Jak zdobył pracę w Solliden i gdzie miał mieszkać w czasie pobytu w Sztokholmie. Dopiero śledząc go w drodze do Sztokholmu, odpowiedzieli sobie na drugie pytanie, a także wpadli na pomysł, w jaki sposób dostał nową pracę.

Jak się okazało, wynajmował pokój w piwnicy willi w Högdalen na południe od Sztokholmu. W odległości spaceru od stacji metra, trzydzieści minut jazdy od Skansenu. Właścicielem willi w Högdalen był sześćdziesięcioletni mężczyzna z Arabii Saudyjskiej, który wyemigrował do Szwecji prawie czterdzieści lat wcześniej i od trzydziestu lat miał szwedzkie obywatelstwo.

Abdul Karim był ciekawym człowiekiem. Z jednej strony głęboko wierzącym muzułmaninem, szanowanym członkiem jednej z większych wspólnot muzułmańskich w Sztokholmie, a z drugiej wybitnym biznesmenem. Przez różne spółki posiadał między innymi kilka nieruchomości, restauracji i firm usługowych w obrębie Sztokholmu. Od wielu lat był też obiektem coraz silniejszego zainteresowania Säpo, która podejrzewała, że wspierał finansowo różne muzułmańskie organizacje terrorystyczne na Bliskim Wschodzie. Tych podejrzeń

nie udawało się jednak potwierdzić.

To, że człowiek z jego środkami i listą kontaktów mógł załatwić pracę i mieszkanie młodemu bratu w wierze, nie było ani trochę dziwne. Jednocześnie wiele innych rzeczy niepokoiło analityków z komórki wywiadowczej, a nawet ich szefa, Jana Wiklandera. Najwyższy czas porozmawiać z kimś rozsądnym, pomyślał Wiklander. Piętnaście minut później siedział na tym co zwykle krześle w gabinecie Lisy Mattei.

Martwiły go dwie kwestie. Po pierwsze, nie było wiadomo nic na temat powiązań między Abdulem Karimem a Mohammedem Khalidem Husseinem albo którymkolwiek innym członkiem jego rodziny. Po drugie, Ismail najwyraźniej mieszkał u Abdula Karima. W domu z jego wielką rodziną. I nikim więcej.

– Komuś takiemu jak Karim wystarczyłby jeden telefon, żeby załatwić Khalidowi pokój do wynajęcia. Ale dzieciak ma mieszkać u niego. Moim zdaniem to trochę dziwne.

– A tak z ciekawości: czy Abdul Karim to nie ten, którego niektórzy nazywają tutaj naszym Osamą bin Ladenem?

– Padały takie określenia. Głównie przy kawie. Najnowsze, jakie słyszałem, to „Osama z Högdalen”. Ale to było na imprezie dla personelu, więc się nie liczy.

– Jesteśmy absolutnie pewni, że Isse Khalid nie jest dyplomowanym pilotem samolotów pasażerskich?

– Tak – odparł Wiklander z delikatnym uśmiechem. – Tego akurat jesteśmy pewni. Młody Khalid ma prawo jazdy na samochód i motocykl, ale licencji pilota nie ma. To, że miałyby się potajemnie nauczyć latać, uważamy za niezbyt prawdopodobne.

– Może po prostu Abdul Karim i tatusiek Mohammed mają jakiegoś wspólnego znajomego?

– Jeśli tak, to uszedł naszej uwadze. To już się zdarzało – Wiklander skinął głową.

– Zgadza się z tobą w jednym – oznajmiła Mattei. – Trochę za dużo tego wszystkiego. Praca w Solliden, sto metrów od miejsca obiecanego wielkiego



wybuchu, mały Isse mieszkający u Osamy z Högdalen, wprowadzie w piwnicy, ale zawsze. Poza tym jest jeszcze coś, co niepokoi mnie znacznie bardziej.

– To znaczy?

– Te wszystkie nowe informacje, które nagle zaczęły się sypać jak z rękawa. Jedno aż za dobrze pasuje do drugiego. Przyjmijmy, że mamy kreta w tym budynku albo tylko w tym śledztwie. Jeśli tak jest, to Abbdo i wszyscy inni powinni natychmiast zaniechać projektu. A tymczasem machina nabiera coraz większego rozpędu. Nie ma dnia, żeby nie potwierdziło się kolejne z naszych przypuszczeń.

– Proste wytłumaczenie jest takie, że pewnie nie mamy tu żadnego kreta.

– Miejmy nadzieję, że to takie proste. Problem w tym, że nie mogę się uwolnić od tej myśli. Dasz radę wysłuchać jednej z tych historii mamy i córki?

– Jeżeli chodzi o Ellę i jej mamę, posłucham z miłą chęcią.

– Jasne, że tak. A myślałeś, że o kogo? Kiedy Ella miała dwa albo trzy lata, w prezencie od kochanego dziadka dostała puzzle. Dziadek jest, jaki jest, więc kupił puzzle przeznaczone dla dzieci od piątego roku życia. Mniejsza z tym. Obrazek przedstawiał żółtą kaczkę. Jedną z tych, które lubią wszystkie dzieci. Puzzle nie były szczególnie trudne do ułożenia, miały najwyżej pięćdziesiąt kawałków. Ale Elli nie wychodziło i dostawała szału, kiedy nie mogła ich ułożyć. Był taki okres, że siadałyśmy przy tych puzzlach codziennie, aż w końcu kochana mama zaczęła podawać jej właściwe kawałki. „To mi wygląda na dziób kaczuszki, Ellu... A może by tak... Tak, na pewno wiesz, jak to zrobić”. Inna rzecz, czy robiłam to dla dziecka, dla siebie czy dla nas. Chcę powiedzieć, że tak się właśnie teraz czuję. I to nie daje mi spokoju. Siedzę tu z puzzlami, których nie potrafię ogarnąć, i chce mi się wyjąć pilnik i przyciąć elementy, żeby do siebie pasowały... aż tu nagle ktoś staje za moimi plecami i podsuwa mi właściwe elementy. To mnie niepokoi.

– Rozumiem, co masz na myśli – odparł Wiklander.

– Ale to cię nie niepokoi?

– W zasadzie nie – Wiklander pokręcił głową. – Myślę, że niepotrzebnie komplikujesz.

Lisa Mattei poprzestała na skinieniu głową. Mam nadzieję, że się nie mylisz,

pomyślała.

W dniu, kiedy Mattei i Wiklander – a zresztą nie tylko oni – dokładnie analizowali każdą myśl pojawiającą się w ich głowach, Linda Martinez rozpoczęła obserwację najnowszego obiektu – Ovego Kristianssona. To zadanie nie wymagało szczególnego kombinowania. Ove Kristiansson był wdzięcznym obiektem obserwacji. A nawet więcej. Śledziło się go tak łatwo, że nawet najmłodszy członek klubu detektywa Blomkvista z książek Astrid Lindgren poradziłby sobie z tym zadaniem.

Powodem było to, że życie Ovego Kristianssona wypełniały stałe, rutynowe czynności – dzielił czas pomiędzy spanie, chłanie, oglądanie telewizji i jeden posiłek dziennie. Jeśli sądzić po resztkach w jego koszu, dietę miał równie jednostajną jak pozostałe sfery życia. Mięso i ziemniaki, kielbasa i ziemniaki, śledź i ziemniaki, a do wszystkiego piwo i wódka.

Koło dziewiątej przed południem Kristiansson zwykle wychodził na werandę. Bez względu na pogodę miał na sobie kapcie, slipy i koszulkę. Na początku stawał na rogu domu i sikał, a potem schodził do skrzynki po gazetę. Pokonywał w sumie dwieście metrów. Po powrocie do domu otwierał pierwsze piwo i kładł się na kanapie, żeby pooglądać telewizję. Dźwięk świadczył o tym, że z reguły wybierał któryś z kanałów sportowych.

W ciągu pięciu dni, w czasie których był obserwowany, wyszedł z domu łącznie sześć razy, z czego cztery razy poszedł na róg domu do skrzynki i z powrotem. W niedzielę nie dostawał gazety, więc poprzestawał na swojej codziennej, wręcz rytualnej czynności. Jediną korespondencją, jaką otrzymywał, były ulotki reklamowe. Żadnych odwiedzin, żadnych rozmów. Nie miał nawet komputera, przy którym mógłby siedzieć. Mimo zamiłowania do sportu nie wydawał się zainteresowany obstawianiem wyników meczów, które wciąż oglądał.

We wtorek drugiego czerwca, dzień przed planowanym urlopem w Tajlandii, zrobił dwa odstępstwa od swoich zwyczajów. Przed południem, po spacerze do skrzynki, zadzwonił do Åkers Taxi i zamówił taksówkę na ósmą następnego dnia. Wprawdzie jego samolot odlatywał dopiero o pierwszej po południu, ale wolał mieć

zapas czasu, żeby się niepotrzebnie nie stresować.

Potem wsiadł na skuter i pojechał do oddalonego o nieco ponad dziesięć kilometrów Åkers Styckebruk. Kajsa Nilsson i Lina Jonsson śledziły go samochodem, żeby zobaczyć, co robi. Zadanie było proste, bo już pierwszego ranka zamontowano na skuterze nadajnik. Kristiansson zaparkował pod lokalnym hipermarketem. Kupił dżinsy, dwie letnie koszule i parę sandałów. Poszedł do działu spożywczego, gdzie kupił peklowany boczek, fasolę i puszkę śledzi. Potem wrócił do domu. Oczywiście tym razem też nie miał pojęcia, że nie jest sam.

– Wygląda na to, że przed wyjazdem do Tajlandii zamierza uczcić urlop prawdziwą ucztą – oznajmiła Kajsa Nilsson. – I śledź, i boczek z fasolą. To przecież dwudaniowy obiad.

– Smutne. Jeżeli tak ma wyglądać starość, to naprawdę do dupy – powiedziała Lina Jonsson. – Widziałaś, jakie ubrania kupił?

– Chce elegancko wyglądać w Tajlandii – stwierdziła Kajsa.

– Biedny Ove – odparła Lina.

– Wiesz, co jest jeszcze bardziej do dupy?

– Nie.

– Że nadal nie rozumiem, co mogłoby łączyć Abbda Khalida z Ovem. Oprócz tych banknotów, przez które wszyscy najwyraźniej chodzą po ścianach. Gapiliśmy się na niego prawie tydzień, a ja nadal nie rozumiem ni cholery.

– Może Abbdo chciał mu tylko pomóc – podsunęła Lina.

– Mam nadzieję, że tak było. – Kajsa wyszczerzyła zęby. – Chętnie dałabym tysiąc koron, żeby zobaczyć minę Lindy, jeśli się okaże, że Abbdo chciał tylko pomóc staruszkowi w potrzebie.

W PIĄTEK dwudziestego dziewiątego maja przed południem Abbdó wysłał mail do swojego wykładowcy z uniwersytetu w Manchesterze. Jego ojciec całkiem wyzdrowiał. On sam zamierzał jak najszybciej wrócić na uczelnię i nadrobić zaległości. Lot był opłacony, a samolot miał wylądować w Manchesterze już w czwartek drugiego czerwca po południu.

Wykładowca odpisał właściwie natychmiast. Cieszył się na spotkanie. Jednak sam miał pewien praktyczny problem – we wtorek wieczorem musiał jechać na konferencję do Edynburga i do Manchesteru miał wrócić dopiero w piątek po południu. Ale szóstego czerwca planował się pojawić w swoim gabinecie na uczelni. Zaproponował, żeby się spotkali w sobotę koło jedenastej, i zapytał Abbdá, czy mu to odpowiada. Abbdó odpisał, że nie ma problemu, i zapowiedział, że o jedenastej szóstego czerwca zjawi się w jego gabinecie.

To zbyt dobre, żeby było prawdziwe, pomyślała Mattei, przeglądając maile, które pion wywiadowczy Säpo przekazał do jej wiadomości. W tym samym czasie, kiedy Abbdó będzie siadał w pokoju wykładowcy na uniwersytecie w Manchesterze, król, królowa i wszyscy inni rozpoczną doroczne obchody Święta Narodowego w sztokholmskim Skansenie.

Trzy godziny później dostała kolejną wiadomość z pionu wywiadowczego. Okazało się, że godzinę wcześniej przechwycili kolejny esemes od tajemniczej osoby podpisującej się jako L U. Potwierdzenie odbioru przyszło natychmiast, tak jak wcześniej.

*C U soon! L U*

Nadawca wciąż był w centrum Sztokholmu. Odbiorcę namierzono w Eskilstunie, ale nie w rodzinnym domu przy Lötgärdesstigen, lecz w centrum, gdzie mieściło się

biuro Mohammeda i jego trzy zakłady.

Nie było wiadomo, gdzie przebywa Abbdo Khalid. Martinez twierdziła, że żaden z jej śledczych nie widział, żeby opuszczał dom. Nikt też nie widział go w tym czasie w środku czy przed domem.

– Jak mamy to rozumieć? – spytała Mattei w czasie rozmowy telefonicznej z Martinez.

– Mógł odpisać jego ojciec albo ktoś z rodzeństwa – odparła Martinez. – O tej porze sześcioro z nich jest w mieście.

– Ale Abbdo nie?

– Tego też nie można wykluczyć. Mógł pójść z kimś z pozostałych. Położył się na podłodze z tyłu albo wlaźł do bagażnika.

– Odezwij się, jeśli będziesz wiedzieć coś więcej – powiedziała Lisa Mattei.

Coś zaczyna się dziać. W jednej kwestii miała absolutną pewność. Nadawcą nie była Louise Urqhart. Tu chodziło o coś zupełnie innego. Zaczęło w niej wzbierać przekonanie, że w jej najbliższym otoczeniu jest kret. Co dziwne, zadziało to na nią mobilizująco.

W NIEDZIELEĘ trzydziestego pierwszego maja Abbdo Khalid wsiadł do samochodu i pojechał do Sztokholmu. Odwiedził Skansen. Zrobił sobie spacer po okolicy. Najpierw obejrzał małe niedźwiedzie brunatne – nie spały i były pełne energii. Sfotografował telefonem smętnego łosia, minął restaurację Solliden i pobliską scenę, na której wkrótce miały się odbyć obchody Święta Narodowego. Kilka minut postął przy scenie, wyraźnie zatopiony w myślach. Nie patrzył na nic konkretnego. Potem poszedł dalej, minął terrarium, a na końcu zjadł kebab w barze koło małpiarni.

Następnie wsiadł z powrotem do samochodu, pojechał do centrum i zaparkował na dużym podziemnym parkingu domu towarowego Åhléns. Zniknął w metrze i zgubił śledzących go funkcjonariuszy. Z braku lepszego zajęcia dwóch czekało w pobliżu jego samochodu. Wrócił po ponad półgodzinie i położył reklamówkę z Åhlénsa na siedzeniu koło kierowcy.

– Jednym słowem przerąbane, Lindo – powiedział szef grupy, kiedy zadzwonił do Martinez opowiedzieć o swojej ciężkiej harówce. – Takie rzeczy nie mają prawa się zdarzyć, ale mieliśmy cholerne szczęście i chyba możemy wypełnić lukę, która powstała w czasie jego nieobecności.

– Co robił? – spytała Martinez.

Takie rzeczy nie mają prawa się zdarzać, ale mimo to zdarzają się ciągle, pomyślała.

– To był czysty strzał, ale jedna z dziewczyn zareagowała na tę reklamówkę. Sama zaledwie tydzień wcześniej robiła zakupy w Åhlénsie. Kupiła telefon komórkowy i parę innych rzeczy i dostała taką samą. Pobiegła do działu z telefonami komórkowymi, komputerami i pozostałą elektroniką i pokazała zdjęcie Khalida, a wtedy jedna z kasjerek powiedziała, że go rozpoznaje.

– Kupił nowy telefon komórkowy?

– Dwa telefony. Na kartę.

– Co zrobił potem? – zapytała Martinez.

– Pojechał bezpośrednio do domu – stwierdził szef grupy. – Za kierownicą był spokojny i opanowany. Do domu dotarł niecałą godzinę później. Od tego czasu ani widu, ani słychu, więc prawdopodobnie siedzi gdzieś w piwnicy i dzierga tę swoją kamizelkę, która dla jednego z nich będzie biletem do raju. Dopina na ostatni guzik kwestię zapasowych telefonów, z których skorzystają w awaryjnej sytuacji.

– Całkiem możliwe – zgodziła się Martinez.

Za kilka dni pojedzie do Wielkiej Brytanii. Do tego czasu musi się uporać ze wszystkimi szczegółami, pomyślała Martinez. Zdaniem majora Björklunda powinno to zająć pół dnia, nawet komuś, kto wiedział, co robić, i wszystkie potrzebne rzeczy miał w zasięgu ręki. Nie mógł sobie pozwolić na niedbalstwo, bo ryzykowałby, że wszystko się posypie.

Major twierdził, że kamizelka prawdopodobnie zostanie wyposażona w dwa detonatory. Jeden ręczny i jeden zapasowy, uruchamiany telefonem. Do tego dochodził telefon, który będzie miał przy sobie ktoś inny, kto wyśle z niego jedną jedyną wiadomość. W razie czego.

# VI

Środa 3 czerwca – piątek 5 czerwca

## **Polowanie na Bombera i jego kobietę**

**Faza końcowa**



W ŚRODĘ trzeciego czerwca rano Abbdo Khalid pożegnał się z rodziną. Jeśli wziąć pod uwagę, że miał tylko pojechać do Manchesteru, zakończyć semestr letni i wrócić do Szwecji za miesiąc, wyglądało to bardzo nieszwedzko. Cała jego wielka rodzina, włącznie z wiekową babcią, zebrała się przed domem, żeby pożegnać najstarszego syna. Najpierw ojciec przytulił go i ucałował w oba policzki. Potem zrobili to pozostali członkowie rodziny: babcia, bracia, matka Abbda i dwie pozostałe żony jego ojca, dorosłe siostry, a na samym końcu malutkie dzieci.

Potem on i brat Hassan wsiedli do czarnej toyoty Abbda i odjechali. Martinez wysłała w sumie trzy pojazdy i sześciu śledczych, żeby sprawdzić, czy po drodze nie będą mijali pralni. Na wszelki wypadek postarała się też o to, by w pobliżu był śmigłowiec, w razie gdyby Abbdo i Hassan próbowali jakichś większych sztuczek.

Jednak nie wydarzyło się nic z tego, czego się obawiali. Hassan prowadził spokojnie, a dziesięć kilometrów przed lotniskiem samochód jadący kilometr przed nimi przyśpieszył, żeby być przy terminalu, kiedy dwa obiekty tam się zjawia.

Inspektorzy Jan Sten i Lars Hård dyskretnie obserwowali Abbda z dystansu, kiedy przechodził kontrolę bagażu i paszportu, a ponieważ miał ze sobą tylko niewielki plecak jako bagaż podręczny, nie musieli się martwić o żadne walizki. Do czego byłaby mu potrzebna walizka? Wszystkie ubrania i inne potrzebne rzeczy były już na miejscu, w małym mieszkaniu w Manchesterze, które nadal wynajmował.

Robił wrażenie spokojnego i zrelaksowanego. W kiosku w hali odlotów kupił kilka gazet, a tuż przed otwarciem bramki zawitał do najbliższej toalety. Po minucie z kawałkiem wyszedł i stanął w kolejce. Kiedy przyszła jego kolej, jeszcze raz pokazał paszport i poszedł do samolotu.

Do Larsa Hårda i Jana Stena dołączyło czterech kolegów. Kiedy samolot do Manchesteru wjeżdżał na pas startowy, sześć par policyjnych oczu obserwowało go przez wielkie okna w hali odlotów.

– No dobrze, to małe nieszczęście mamy w końcu z głowy – stwierdził inspektor Lars Hård z posepnym uśmiechem.

Pozostali pokiwali głowami, nikt z nich bowiem nie wiedział, jak bardzo się mylił.

Mniej więcej w chwili gdy Abbdo i Hassan opuścili dom przy Lötgärdesstigen w Eskilstunie, Ove Kristiansson wyszedł na werandę. Wyglądał schludnie jak nigdy i miał ze sobą mniejszą torbę na ramię i większą skórzaną walizkę starszego typu.

Kiedy taksówkarz wkładał bagaże do samochodu, Ove Kristiansson zaryglował drzwi na dwie zasuwki i dla pewności obszedł dom, żeby sprawdzić, czy nie zapomniał zamknąć któregoś z okien. To było wszystko i raczej nie przypominało pożegnania, jakie zgotowano Abbdowi Khalidowi.

Jak tylko taksówka minęła skrzynkę na listy, na Arlandę ruszyły dwa samochody. Jeden z nich trzymał się kilkaset metrów z przodu, drugi z tyłu. To, żeby mieć w zapasie śmigłowiec, nikomu nawet nie przeszło przez myśl. A już najmniej Lindzie Martinez.

Podróż Abbda Khalida do Wielkiej Brytanii była przede wszystkim kwestią praktyczną. Lisa Mattei zawarła porozumienie z Jeremym Alexandrem i zamierzała się go trzymać, dopóki nie zagrażało jej operacji – mimo tego wszystkiego, czego się dowiedzieli na temat Louise Urqhart.

Po południu dostała mail od Alexandra, w którym potwierdzał, że Abbdo Khalid znajduje się w swoim mieszkaniu w Manchesterze, i informował, że jego operacja powinna się zakończyć najpóźniej około północy piątego czerwca.

Jego koledzy z brytyjskiego pionu antyterrorystycznego planowali zatrzymać Abbda Khalida wczesnym rankiem szóstego czerwca. W jednej kwestii chciał ją uspokoić. To, że Abbdo w międzyczasie ucieknie pilnującym go Brytyjczykom, było wykluczone. Alexander zarządził, by natychmiast po zatrzymaniu przetransportować go do Szwecji. Najpóźniej po południu w sobotę szóstego czerwca szwedzka policja bezpieczeństwa będzie mogła go odebrać na prywatnym terminalu lotniska Bromma. Jak podsumował Alexander, oboje mieli dość czasu na dokończenie roboty.

Na zakończenie maila życzył jej powodzenia. Mattei odwdzieczyła się tym samym i napisała, że taka umowa jej odpowiada. Oczywiście pod warunkiem, że nie znajdzie się nagle w awaryjnej sytuacji, wymagającej natychmiastowego działania.

Podróż Ovego Kristianssona do Tajlandii wiązała się z kilkoma innymi problemami, głównie natury prawnej. W czasie gdy Kristiansson jechał na Arlandę, Mattei omawiała je z Lisą Lamm i Janem Wiklanderem. Zanim przedmiot ich rozważań dotarł na lotnisko, zdążyli je wszystkie rozwiązać w jak najlepszym porozumieniu.

Lisa Lamm uważała, że z zatrzymaniem Kristianssona nie będzie żadnych problemów. Podjęła już decyzję. Jak tylko się okazało, że na funtach Kristianssona znajduje się DNA Abda Khalida, wszystkie prawne warunki zostały spełnione. Trzeba tylko było zrobić to w taki sposób, żeby nie ostrzec jego wspólników. Chociażby na wszelki wypadek, niezależnie od tego, czy w budynku przy Ingentingsgatan był jakiś kret.

– Proponuję, żebyśmy się skontaktowali z naszymi fińskimi kolegami. Zatrzymają Kristianssona podczas międzylądowania w Helsinkach – odparła Lisa Lamm. – Powinniśmy mieć na miejscu ludzi, którzy natychmiast będą mogli go przetransportować do Szwecji, żebyśmy go umieścili w wiadomym miejscu. Praktyczne szczegóły chętnie przekażę Janowi i jego kolegom.

– Zgadzam się z tobą. – Wiklander skinął głową. – W końcu do święta zostały trzy dni, więc nie możemy sobie pozwolić na choćby najmniejsze ryzyko przecieku. Z Finami nie będzie problemu. Dopilnuję, żeby mogli go odstawić własnym samolotem. Nadany bagaż, jeśli taki ma, będzie musiał zostać na Arlandzie.

– Nie musicie nawet pytać, co ja o tym sędzę – odezwała się Mattei z przyjaznym uśmiechem. – Ze względu na moją dobrze wszystkim znaną paranoję związaną z kretem.

– Dla porządku – powiedziała Lisa Lamm i też się uśmiechnęła.

– Dla porządku chciałabym skorzystać z okazji i zgodzić się ze wszystkimi przedmówcami – odparła Mattei. – A teraz, skoro już doszłam do głosu, chciałabym złożyć szczególne podziękowania na ręce mojego kochanego kolegi, który obiecał się zająć wszystkimi praktycznymi rzeczami, żebym mogła powrócić do swoich

zwyczajowych wątpliwości w bardziej i mniej poważnych sprawach.

– Co cię teraz trapi, Liso? – spytał Wiklander.

– To, o czym już rozmawialiśmy – odparła Mattei.

– Co to takiego? – zapytała Lisa Lamm.

– Coś w tym stylu: przez czternaście dni nic się nie dzieje, tydzień później nagle jest zatrzęsienie wydarzeń, a teraz, kiedy zostały tylko trzy dni, wszyscy krewni zachowują się dokładnie tak, jak się spodziewaliśmy. To mnie trapi.

– A mnie to wszystko uspokaja – odparł Wiklander. – Mówi mi, że od początku mieliśmy rację.

Ove Kristiansson przyjechał na Arlandę odpowiednio wcześniej, ponad dwie godziny przed odlotem. Po kontroli bagażowej i paszportowej poszedł do sklepu wolnocłowego i kupił butelkę whisky. Potem usiadł w barze, pił piwo i shoty wódki. W samolocie zasnął. Potem kazali mu się przesiąść. Dopiero na pokładzie drugiego samolotu zaczął podejrzewać, że coś jest nie tak. Jak mam dolecieć do Bangkoku takim małym gównem? – pomyślał. Wszczął awanturę, założono mu kajdanki i dopiero kiedy wylądowali na Brommie, dotarło do niego, że nie chodzi o zwykłe przestępstwo walutowe.

Po przeszukaniu jego torby, bagażu podręcznego i kieszeni policjanci znaleźli w sumie sześćset tysięcy batów, pięć tysięcy funtów i ponad tysiąc w szwedzkich banknotach. W sumie ponad dwieście tysięcy koron.

Kiedy Ingrid Dahl odwiedziła Kristianssona na zamkniętym oddziale szpitala psychiatrycznego w Huddinge, na który czasem trafiali tacy jak on, spał głębokim snem. Lekarz z oddziału wyjaśnił, że kiedy go przywieziono, był w takim stanie, że musieli mu podać okazałą dawkę środków uspokajających. Przewidywał, że rozmowa będzie możliwa rankiem następnego dnia.

Dahl zadzwoniła do Mattei i przedstawiła sytuację. Mattei podziękowała za informacje i życzyła jej powodzenia.

Dobrze, że w końcu dzieje się coś, czego się nie spodziewałam, pomyślała.

MNIEJ WIĘCEJ w czasie kiedy Ove Kristiansson opuścił Szwecję, żeby polecieć na urlop do Tajlandii, Säpo pod przewodnictwem skrupulatnego Smålandczyka, komisarza Enochsona, przeprowadziła rewizję w gospodarstwie Kristianssona.

W jego zamrażarce znaleziono kolejny plik banknotów. Ponad sto tysięcy w banknotach pięćsetkoronowych upchniętych w niebieskiej torbie ze sklepu monopolowego. Że też oni nigdy się nie nauczą, pomyślał Enochson i westchnął. Pod łóżkiem Kristianssona leżała stara strzelba i pudełko naboji. Choć w jego mieszkaniu spędzili trzy dni, to było wszystko, co wpisał do protokołu konfiskaty.

Z prawnego punktu widzenia wartość tego znaleziska była wątpliwa. Posiadanie pieniędzy też najprawdopodobniej nie podlegało karze. Sposób, w jaki je zarobił, był już osobną kwestią i należało to sprawdzić. Jeśli wziąć pod uwagę wysokość odsetek w bankach w dzisiejszych czasach, to całkiem sensowna alternatywa, jeśli chodzi o lokatę kapitału, pomyślał Enochson i ponownie westchnął.

Stara strzelba i pudełko naboji były jednak dowodem przestępstwa. Dwadzieścia lat wcześniej Kristianssonowi cofnięto pozwolenie na broń w związku z wyrokiem za domową produkcję alkoholu. Jednak z uwagi na podeszły wiek i na to, że prawdopodobnie broń została mu po jakimś starszym krewnym albo znajomym, nikt nie wymierzy mu ostrzejszej kary. Ale ziarnko do ziarnka, pomyślał Smålandczyk Enochson.

Poza tym nie znaleźli nic, co mogłoby być podstawą do wymierzenia kary. A już na pewno nic, co mogłoby łączyć Kristianssona z Abbdem Khalidem i działaniami, o które go podejrzewano. To, że znaleziska świadczyły o wielkim społecznym i ludzkim upadku, pozostawało odrębną kwestią. I nie podlegało karze.

Wszędzie były kłęby kurzu, wielkie jak psy, puste butelki i puszki po piwie. Wygląd kuchni świadczył o tym, że Kristiansson sam przyrządzał sobie posiłki. Enochson nie mógł pojąć, jak to możliwe, że w takim razie jeszcze żył. Bardzo

samotny, zapity starszy facet, ludzki śmieć, chodzące nieszczęście – podsumował, kiedy streszczał sprawę prokurator.

– To prawda, nie wygląda na pedanta – zgodziła się Lisa Lamm.

– Alkohol – oznajmił Enochson. – Ta bestia, która powala słabych ludzi na ziemię i dosłownie unicestwia.

– Tak, Lars. To straszne, niemniej chciałabym ci podziękować za waszą pracę. – Lisa Lamm nie wydawała się zainteresowana dłuższymi wykładami na ten temat.

– To kompletnie niepojęte – powiedział Enochson.

– Jak to? – zapytała Lamm.

– Do czego komuś takiemu jak Khalid mógłby się przydać taki typ jak Ove Kristiansson.

– Może coś od niego kupował – podsunęła Lamm.

– No dobrze, ale co by to mogło być – odparł Enochson i westchnął.

W CZWARTEK czwartego czerwca przed południem Ingrid Dahl po raz pierwszy przesłuchała Ovego Kristianssona. Ale najpierw porozmawiała z jego lekarzem. Dowiedziała się, że Kristiansson był bardzo wzburzony. Poza tym miał zespół abstynencyjny i wysokie ciśnienie, między innymi. Zapisano mu tradycyjne leczenie. Na śniadanie wypił pół filiżanki kawy i zjadł bułkę serową. Zawsze to coś.

– Jest w stanie mówić?

– Tak, ale nie ręczyłbym za to, co powie. To może być cokolwiek.

– Mówił pan, że jest wściekły. Czy wydaje się też niespokojny?

– Może i tak. Ale głównie wściekły.

– Okej – powiedziała Ingrid Dahl. – Zobaczymy, co nam z tego wyjdzie.

– Powodzenia – odparł lekarz i pokręcił głową.

Wściekły, ale mówiący. Mogło być gorzej, pomyślała Ingrid Dahl.

– Może na początek się przedstawię – zaczęła. – Nazywam się Ingrid Dahl i zajmuję się prowadzeniem przesłuchań na policji. Dokładnie rzecz biorąc, pracuję w policji bezpieczeństwa.

– Moje gratulacje, Ingrid – odparł Ove i wlepił w nią wzrok.

– Mogę zwracać się do pana per Ove?

– Możesz, do cholery. W końcu tak się nazywam. Mam w dupie, jak będziesz się do mnie zwracała, ale chętnie bym się dowiedział, dlaczego tu siedzę. Jeśli jestem o coś podejrzany, to chcę tu mieć adwokata.

– Oczywiście – odparła Ingrid Dahl. – Masz jakieś specjalne życzenia?

– A jakże! – odparł Kristiansson. – Chcę mieć tu tego Erikssona. Z telewizji.

Bystry skurczybyk z niego.

– Adwokata Johana Erikssona?

– Tak.

– W takim razie obiecuję, że do niego zadzwonię – oznajmiła Ingrid Dahl

i przyjaźnie skinęła głową.

– To dobrze – odparł Ove. – No a po drugie, chcę wiedzieć, co, do cholery, robię w tym miejscu.

– Oczywiście, że się dowiesz – zapewniła Ingrid Dahl. – Jesteś tutaj, bo prokurator zatrzymała cię w związku z podejrzeniami o współudział w przygotowywaniu zamachu terrorystycznego. Konkretnie chodzi o pomoc niejakemu Abdullahowi Mohammedowi Khalidowi, który planuje przeprowadzić taki zamach.

– Cholera jasna, to nieprawda – powiedział Kristiansson, kręcąc głową.

– Wydaje mi się, że mogłeś mu sprzedać różne rzeczy i zarobić na tym mnóstwo pieniędzy.

– Cholera jasna, to nieprawda – powtórzył Kristiansson i znów pokręcił głową. – Nie znam żadnych pieprzonych terrorystów. Nie zadaję się z takimi typami. Ta cała kasa, o której mówisz... Kiedy niby miałbym ją dostać? O jak dużej kasie mówimy?

– Jakieś pół miliona – odparła Ingrid Dahl. – W ostatnim czasie.

– Ja miałbym dostać pół miliona od jakiegoś pierdolonego terrorysty? To chcesz mi powiedzieć?

– Tak. – Ingrid Dahl potwierdziła skinieniem głowy. – Ostatnio dostałeś od Abbda Khalida prawie pół miliona. Funtów brytyjskich. Nie wiem, jaka jest łączna kwota, ale oczywiście się tego dowiemy.

– Wiesz, co ci powiem? – zapytał Ove Kristiansson.

– Nie, słucham.

– Że najwyraźniej trafiłem na zbzikowaną babę, której się wydaje, że mógłbym mieć cokolwiek wspólnego z jakimś pieprzonym terrorystą.

– Nie. Źle mnie zrozumiałeś. Nic mi się nie wydaje. Ja to wiem. Wiem, że znasz Khalida, i wiem, że dał ci pół miliona. O to nie musimy się kłócić.

– Dobrze. W takim razie mogę sobie stąd pójść.

– Nie wykluczam, że tak się stanie – odparła Ingrid Dahl. – Jesteśmy tu teraz, bo chcę, żebyś mi powiedział, dlaczego on dał ci te pieniądze. Może po prostu cię oszukał. Może sprzedałeś mu coś, co jak najbardziej można sprzedawać, a on nie



powiedział, do czego tak naprawdę jest mu to potrzebne.

– Jedyne, co się stało, to to, że trafiłem na nienormalną policjantkę – odpowiedział Ove Kristiansson i pokręcił głową.

– Mam propozycję – oznajmiła Ingrid Dahl i zerknęła na zegarek.

– Jaką, do cholery?

– Ja porozmawiam z twoim adwokatem, ty wszystko przemyślisz, a potem pogadamy znowu. Może jeszcze dziś po południu. Ty, twój adwokat i ja.

– Ale przyprowadź tego Erikssona. Ja już się nagadałem.

– Poza tym mogę ci coś obiecać.

– Co takiego?

– Powiedz, w czym mu pomogłeś. Jeżeli potrafisz mi udowodnić, że nie pomogłeś mu w popełnieniu przestępstwa, osobiście dopilnuję, żebyś stąd wyszedł. O całej reszcie już wiem, nie musimy o tym gadać.

– Słuchaj, załatw tego adwokata.

– Jasne – odparła Ingrid Dahl. – Do zobaczenia po południu, kiedy już wszystko przemyślisz.

WE WTOREK po południu odbyło się kolejne spotkanie kierownictwa ekipy śledczej. Pierwszym punktem programu była interwencja, którą mieli podjąć półtorej doby później. Około dwudziestu osób miało zostać ujętych albo zatrzymanych, w tym niepełnosprawna kobieta w wieku powyżej osiemdziesięciu lat i czworo małych dzieci. Z tego powodu należało rozwiązać sporo praktycznych kwestii. Z jednej strony problemy natury prawnej, z którymi zmagali się Lisa Lamm i dwóch wiceprokuratorów, z drugiej samą interwencją, za którą odpowiadali antyterrorysty z NI, Nationella Insatsstyrkan.

NI ćwiczyło tę operację od tygodnia. Ich szef, komisarz Honkamäki, pojawił się na spotkaniu, żeby opowiedzieć pozostałym uczestnikom, do czego doszli wspólnie z Lisą Mattei.

Jak tylko angielscy koledzy zatroszczą się o Abbda Khalida, oni zaczną zbierać pozostałych członków rodziny. Także gospodarz Issego Khalida miał zostać zabrany na przesłuchanie bez wcześniejszego wezwania, a jego wynik miał przesądzić o tym, czy zostanie zatrzymany. Poza tym mieli przeprowadzić rewizje w sześciu różnych miejscach. Oczywiście w rodzinnej willi, ale też w siedzibach firm ojca rodziny, w restauracji Solliden i w pokoju w willi w Högdalen, który Isse Khalid wynajmował od Abdula Karima.

– Ja i Lisa jesteśmy zgodni, że powinniśmy to zrobić tak sprawnie i elegancko jak to możliwe bez szkody dla bezpieczeństwa – oznajmił Honkamäki.

– Jak to sobie wyobrażasz w praktyce? – spytał Dan Andersson.

– Jak tylko Abbdo trafi za kratki w Wielkiej Brytanii, zaczniemy zbierać pozostałych członków rodziny, jednego po drugim. Większość dorosłych będzie jechała wcześniej do pracy, zamierzamy ich przechwytywać po drodze. Jak tylko skończymy, weźmiemy się za tych, którzy zostaną w domu. Domyślam się, że będą to trzy żony ojca, jego stara matka i piątka najmłodszych dzieci.

– Czyli żadnego gazu łzawiącego, bomb dymnych ani granatów hukowych?

– Zdecydowanie. Tego chcielibyśmy uniknąć.

– Macie jeszcze jakieś pytania? – zapytała Lisa Lamm.

– Tak, ja mam jedno – odezwała się Helena Palmgren. – Rozmawialiście z ludźmi ze służb ratunkowych, na wypadek gdyby stało się coś nieplanowanego, i z opieką społeczną? W tym drugim przypadku chodzi mi o małe dzieci i ich mamy.

– Oczywiście – odparła Lisa Lamm. – Pomyśleliśmy o wszystkich, poczynając od babci, którą zamierzamy umieścić w szpitalu w Eskilstunie, aż po małe dzieci i ich mamy. Dla tych, których zatrzymamy, zorganizowaliśmy miejsca w areszcie w Sztokholmie.

– Pozostaje jedno pytanie – oznajmiła Lisa Lamm. – Jak wiecie, już wczoraj zatrzymaliśmy Ovego Kristianssona w związku z podejrzeniami o współudział w planowaniu zamachu terrorystycznego. Wiem, że wielu z was się zastanawia, jaką rolę odegrał. Poza tym wiem, że ty, Ingrid, przesłuchałaś go kilka godzin temu. Dobrze byłoby się dowiedzieć, jak poszło.

– Oczywiście – odparła Ingrid. – Kristiansson jest wściekły, ale da się z nim rozmawiać. No i oczywiście jest niewinny. Nie ma pojęcia, o czym bredzę. Nie zna żadnego Abda Khalida. Oczywiście nie wziął od niego pieniędzy.

– Mocne słowa – powiedziała Martinez.

– Jasne, że zna Khalida i że wziął od niego pieniądze – stwierdziła Ingrid Dahl. – Powiedziałam mu to prosto w oczy. Poradziłam, żeby nie tracił czasu na gadanie na ten temat. Chcemy po prostu wiedzieć, dlaczego je wziął.

– I co on na to?

– Niewiele – odparła Ingrid Dahl. – Poza tym, że oczywiście nazwał mnie zwariowaną babą. Zresztą liczę na to, że będę mogła przesłuchać go raz jeszcze dziś po południu. Bylibyśmy tam ja, Ove i jego adwokat. Johan Eriksson, gdybyście chcieli wiedzieć. Sam go zresztą wybrał.

– Jeszcze tego brakowało. Ten Eriksson to oczywisty wybór wszystkich niesłusznie oskarżonych biedaków – powiedziała Martinez.

– Tak – zgodziła się Lisa Lamm. – Doskonale to rozumiem. To bardzo

kompetentny prawnik.

Przez następną godzinę dyskutowali, dlaczego Abbdo Khalid dał mnóstwo pieniędzy Ovemu Kristianssonowi. Ich propozycje obejmowały pełne spektrum możliwości. Wszystko, poczynając od tego, że Khalid kupił od Kristianssona coś niezwiązanego ze sprawą – Helena Palmgren nie mogła tego wykluczyć – aż po pogląd Martinez, która uważała, że Kristiansson sprzedał Khalidowi „tony dynamitu”.

– To jedno z twoich przeczuć – oznajmił Carl Lewenhaupt i zilustrował to potarciem nosa.

– A co ty myślisz? – spytała Martinez.

– Nie wiem – odparł Lewenhaupt. – Ale zadam wam dwa pytania.

– Mianowicie?

– Po pierwsze, gdzie Kristiansson dostałby ten dynamit? Po drugie, do czego byłby on potrzebny Khalidowi? O ile dobrze zrozumiałem, ma już tyle dynamitu, ile mu potrzeba. Sama mi to zresztą powiedziałaś. Że w markecie budowlanym, w którym pracuje jego brat, brakuje pięciu kilogramów.

– Sądzę, że nie ustalimy już wiele więcej – oznajmiła Lisa Lamm. – Będziemy w kontakcie i gdyby coś się działo, spotkamy się znowu.

PO SPOTKANIU Mattei zadzwoniła do majora Björklunda i oznajmiła, że chciałyby się z nim natychmiast zobaczyć. Miała kilka pytań i liczyła na to, że pomoże jej się z nimi uporać.

Björklund pojawił się po kwadransie i zaczął od przeprosin. Tłumaczył się szwankującym biodrem – pokonanie każdego schodka wymagało czasu.

– Brakowało mi ciebie na dzisiejszym spotkaniu – powiedziała Mattei.

– Mam nadzieję, że nie chodzi o mnie jako osobę – mruknął major. – Nie lubię spotkań.

– Ja też – odparła Mattei. – Uważam, że ludzie gadają stanowczo zbyt wiele pierdół.

Zadziałało, pomyślała na widok zdziwienia w jego oczach.

– No to jest nas dwoje – oznajmił major. – Jestem tego samego zdania co szefowa. Poza tym nie zostałem nawet zaproszony. To musiało być coś tajnego, o czym taki prosty człowiek jak ja nie musi wiedzieć.

– Oj tam zaraz tajnego. – Mattei wzruszyła ramionami. – Chętnie bym cię tam zobaczyła. Rozmawialiśmy o Ovem Kristianssonie. Ciekawie byłoby usłyszeć, co o nim sądzisz.

– Ove Kristiansson – powiedział Björklund i potrząsnął głową. – Kto to taki?

– Wczoraj go zatrzymaliśmy. Jest podejrzany o współpracę z Abbdem Khalidem.

– Najwidoczniej zbyt tajne jak dla mnie – odparł Björklund i pokręcił głową.

– Nie słyszałeś o nim? – spytała Mattei.

Dziwne, pomyślała.

– Nie – odparł Björklund. – I to nie dlatego, że jestem leniem, który nie czyta wiadomości. Domyślam się, że winien jest system dystrybucji wiadomości, który obowiązuje w tym miejscu. Tak zwana segmentacja wertykalna i horyzontalna. Czyste szaleństwo, jeśli szefowa chce znać moje zdanie.

– Tak, to potrafi się dać we znaki – przyznała Mattei. – Wiesz, co zrobimy, Carl? Wyślę ci wszystkie nasze informacje na temat Kristianssona, żebyś mógł je spokojnie przeczytać u siebie.

– Nad czym się szefowa zastanawia?

– Wygląda na to, że Abbdó Khalid dał Kristianssonowi mnóstwo pieniędzy. Podobno około pół miliona. Moje pytanie brzmi: dlaczego? Do czego Khalid potrzebuje kogoś takiego jak Kristiansson?

– Rozumiem – odparł Björklund. – Kiedy szefowa chce to wiedzieć?

– Jak najszybciej, najlepiej natychmiast – odparła Mattei.

– Odezwę się – odpowiedział Björklund i wstał, nie bez wysiłku.

Zadzwoił do niej godzinę później.

– Szefowa chciała wiedzieć, do czego Khalid potrzebuje kogoś takiego jak Kristiansson – powiedział.

– Tak – odparła Mattei.

– Do niczego.

– Do niczego?

– Tak.

– Przykro mi, Carl – powiedziała Mattei – ale niestety muszę cię prosić, żebyś przyszedł tu znowu.

– Daj mi piętnaście minut – poprosił Björklund. – Te cholerne schody.

Piętnaście minut później, o obiecanej porze, major Carl Björklund był na miejscu.

– Możesz rozwinąć to, co powiedziałeś przez telefon?

– Tak. Jeśli chodzi o skonstruowanie kamizelki, ten cały Khalid ma już wszystko, czego potrzebuje. Czytałem papiery. Ma kamizelkę, ma pięć kilo dynamitu, a to spokojnie wystarczy. Ma materiał na pociski. Wszystko, czego potrzeba, żeby zdetonować ładunek. No i wreszcie: wie, co robi. Oto nasza odpowiedź. Nie potrzebuje żadnego Kristianssona. W każdym razie jeśli chodzi o kamizelkę.

– A mimo to dał mu masę pieniędzy.

– Może być po prostu tak, że zapłacił mu za pomoc w czymś innym. Że ma

alternatywny plan, jak to się mówi w mojej branży. Że z jakiegoś powodu musiał porzucić pomysł z kamizelką i działać według planu B, który z pewnością przez cały czas miał w zanadrzu.

– Tak ci się wydaje... – odparła Mattei.

Choć przecież nie możesz mieć pojęcia, czy działa u nas kret, dodała w myślach.

– Tak. Ja też powinienem mieć przynajmniej jeden plan B – odparł Björklund.

– Masz jakieś propozycje?

– Weźmy na przykład tego szalonego Norwega, Breivika. Sklecił bombę z nawozu sztucznego i oleju napędowego i użył jej do zdemolowania połowy budynku rządu w Oslo. Tamta bomba ważyła około półtorej tony. Gdyby miał taką samą ilość dynamitu, zrównałby z ziemią całą dzielnicę.

– Skąd Abbdo mógłby go mieć? Mam na myśli dynamit.

– Ten cały Kristiansson działał w branży budowlanej. To żadna sztuka zdobyć takie materiały. Widziałem, że sześć czy siedem lat temu ogłosił upadłość.

– Tak, to prawda.

– Nieważne – odparł Björklund i pokręcił głową. – Większość materiałów wybuchowych ma to do siebie, że jeśli się je odpowiednio przechowuje, mogą być zdatne do użytku nawet po pięćdziesięciu latach. W naszych wojskowych magazynach są setki ton materiałów wybuchowych, które leżały tam ponad dziesięć lat. Nie mówimy o zwykłych produktach spożywczych.

Nie, pomyślała Mattei i skinęła głową. Raczej o czymś wręcz przeciwnym.

– Możesz mi coś podsunąć, Carl – oznajmiła Mattei. – Powiedzmy, że znasz kogoś takiego jak Kristiansson, z przeszłością w branży budowlanej. Powiedzmy, że nadal ma mnóstwo towaru z tamtego okresu. W czym wobec tego najbardziej mógłby ci pomóc?

– Obawiam się, że na to potrzebowalibyśmy więcej niż godzinę – odpowiedział Björklund. – Muszę się zorientować, co robił, kiedy prowadził tę działalność, a do tego przeczytać wiele setek stron.

– Co powiesz na jutro przed południem? – spytała Mattei.

– Jeżeli szefowej wystarczy hipoteza, to zgoda.

– Jutro przed południem jak najbardziej mi odpowiada – stwierdziła. – Dochodzi szósta. Czas iść do domu. Gdzie ty właściwie mieszkasz?

– Na Östermalmie – oznajmił Carl Björklund. – Przy Jungfrugatan.

– No to prawie jesteśmy sąsiadami – powiedziała Mattei. – Masz samochód?

– Nie – odparł Björklund. – Żaden normalny człowiek, który tam mieszka, nie ma samochodu. Ale właściwie chciałbym. Ze względu na moje biodro.

– W takim razie mam propozycję. A dokładnie trzy.

– Słucham – oznajmił Björklund.

– Odwiozę cię do domu. Przygotuję materiały tak, żebyś mógł je tam spokojnie przeczytać i żeby żadne z nas nie naraziło się na więzienie za złamanie tajemnicy służbowej. A teraz zaproszę cię na whisky. Albo coś innego, jeśli wolisz.

– Whisky jest w porządku – powiedział Björklund. – Zgadzam się na wszystkie propozycje.

– Chętnie zaprosiłabym cię też na kolację. Ale to musi poczekać, bo dziś wieczorem muszę jechać do siebie i uśpić moją córeczkę.

– Jak najbardziej rozumiem. – Major Björklund skinął głową. – To ta dziewczynka, którą policjanci podwieźli radiowozem do przedszkola, kiedy nie mogła iść z mamą do Skansenu?

– Zgadza się – odparła Mattei. – A właściwie to skąd wiesz? Usłyszałeś o tym podczas przerwy na kawę?

– Nie. Wspomniała o tym moja szefowa.

– Helena? Helena Palmgren?

– Tak – potwierdził Carl Björklund.

– Dlaczego o tym mówiła?

– Rozumiem, że to zostanie między nami.

– Możesz być spokojny – zapewniła Mattei.

– Jeżeli to zostanie między nami, to powiem, że Palmgren to prawdziwa mała moralistka. Była wzburzona, że ktoś taki jak ty w ten sposób korzysta z zasobów policji.

– Kiedy to było? To znaczy, kiedy ci o tym powiedziała?



– Kilka tygodni temu – odparł Björklund.

– Muszę się ogarnąć – powiedziała Mattei.

Kilka tygodni temu, pomyślała. To nie może być prawda.

– Nic nie musisz, jeśli chodzi o mnie – odparł major Björklund. – Sam robiłem podobne rzeczy.

– Przygotuję ci tę whisky, Carl. Potem potrzebuję dziesięciu minut, żeby się uporać z komputerem.

– Nie ma najmniejszego problemu – stwierdził Björklund. – Dobrze mi się tu siedzi.

– Proszę, whisky – powiedziała Mattei i podała mu butelkę i szklanę. – Zaraz dam ci komputer. Chcesz też wody?

– Nie. – Björklund pokręcił głową. – Za wodą nigdy nie przepadałem.

Mattei poszła do pokoju sekretarki i zrzuciła na swój komputer wszystkie dane na temat działalności Kristianssona, które mogły się mu przydać. Potem zadzwoniła do Carla Lewenhaupta.

– Hej, Calle – powiedziała. – Jesteś jeszcze w pracy?

– Tak – odparł Lewenhaupt. – Nawet się zastanawiałem, czy nie sprzedać mieszkania. Po co mi ono? Przecież mieszkam tutaj. Ingentingsgatan to nie tylko moja twierdza, ale też dom.

– Tak zrób – odparła Mattei. – Możesz do mnie wpaść za pół godziny?

– Mogę, jeśli chcesz.

– No to za pół godziny.

Potem zadzwoniła do swojego kierowcy i poprosiła, żeby odwiózł majora Carla Björklunda do mieszkania przy Jungfrugatan.

– A szefowa?

– Niestety, zmiana planów – odparła Mattei.

Wróciła do gabinetu i postawiła mały laptop na biurku przed swoim gościem.

– Tu chyba masz wszystko, czego ci potrzeba – stwierdziła Mattei. – Jeżeli czegoś brakuje, po prostu daj znać.

– Będzie dobrze – oznajmił Björklund. – Wyśmienita whisky – dodał i odstawił pustą szklanę. – Szefowa też ją pije?

– Nie – odparła Mattei. – Ja piję wino.

– No tak, oczywiście – odparł Björklund i z jakiegoś powodu westchnął.

– Zamówiłam kierowcę. Czeka na ciebie w garażu. Ja muszę niestety zostać w pracy.

– Dzieje się – stwierdził Björklund.

– Tak – odparła Mattei. – To co zwykle, sam rozumiesz.

– Ani mi w głowie drążyć temat. Pozwolę sobie tylko podziękować. Za whisky i za kierowcę.

– Nie – Mattei pokręciła głową. – To ja dziękuję tobie.

Choć oddałabym wszystko, żeby nie musieć ci za to dziękować.

W CZWARTEK po południu Ingrid Dahl i jeden z jej kolegów przesłuchali Ovego Kristianssona po raz drugi. Kristiansson dostał adwokata, którego sobie życzył. Przed przesłuchaniem ponad kwadrans naradzali się na osobności. To, co się działo podczas przesłuchania, sprawiło, że Ingrid Dahl pożałowała decyzji. Nie mogła jednak nic zrobić – Kristiansson miał takie prawo.

Nie był już tak wzburzony. Wydawał się raczej nieobecny i już przy pierwszym pytaniu odesłał ją do adwokata.

– Dla oszczędności czasu, żebyśmy nie musieli tu niepotrzebnie siedzieć, chciałabym, żebyś mi powiedział, w czym pomagałeś Abbdowi Khalidowi – oznajmiła Ingrid Dahl. – To, że go znasz i wzięłeś od niego pieniądze, już wiemy.

– Spytaj Erikssona – odparł Ove Kristiansson. – Ja nie mam nic do powiedzenia.

– Obawiam się, że mimo wszystko to ty musisz odpowiedzieć – oznajmiła Ingrid Dahl.

– Już odpowiedziałem. Rozmawiaj o tym z moim adwokatem.

– Rozumiem, że odmawia pan odpowiedzi – odezwał się kolega Dahl.

– Nie, nie – powiedział adwokat. – Moja interpretacja jest taka, że Kristiansson po prostu korzysta z przysługującego mu prawa do nieudzielania odpowiedzi.

– Żeby adwokat mógł odpowiedzieć za niego. – Kolega Dahl nie dawał za wygraną.

– Tak, chociaż obawiam się, że na ten temat nie mam wiele do powiedzenia.

– Teraz jestem naprawdę zaintrygowany. Rozumiem, że może nam pan powiedzieć o innych rzeczach.

– Jak najbardziej.

– O czym? – zapytała Ingrid Dahl, choć już znała odpowiedź.

– Niestety nie ma tego dużo. Ove i ja omówiliśmy tę kwestię i uważam, że jego stanowisko jest proste i jednoznaczne. Nigdy nie spotkał Khalida. Nigdy nie przyjął

od niego pieniędzy ani nie zrobił niczego, za co Khalid mógłby zapłacić jemu.

Nic więcej nie ustalili, choć Ingrid Dahl i jej kolega robili, co mogli, przez prawie godzinę.

PIĘTNAŚCIE MINUT po tym, jak Mattei pożegnała się z Carlem Björklundem, na krześle, na którym wcześniej siedział major, usiadł Calle Lewenhaupt. Zanim przyszedł, zastanawiała się, czy przypadkiem nie zrozumiała wszystkiego opacznie – gdyby tak było, miałyby powód, żeby odwołać spotkanie. Niestety, nic na to nie wskazywało, więc Lewenhaupt musiał się zjawić. Dobrze, że to krzesło nie umie mówić, pomyślała. Naprawdę dobrze, jeśli wziąć pod uwagę to, co zaraz mu przekażę.

– Chciałabym cię prosić o przysługę, Calle – oznajmiła Mattei. – O tym, o co zamierzam cię prosić, możesz rozmawiać tylko ze mną. Będziesz potrzebował pomocy. Podejrzewam, że wystarczą ci dwie osoby. Będą mogły rozmawiać tylko z tobą.

– Brzmi poważnie – odparł Carl Lewenhaupt.

– Tak – potwierdziła Mattei. – Jeżeli się nie mylę, to może być najpoważniejsza sprawa, do jakiej ty, ja czy ktokolwiek inny w tym budynku choćby się zbliżył.

– W czym rzecz?

– Zaraz do tego przystąpię. Ale najpierw, ze względu na charakter tego, co zamierzam powiedzieć, chciałam ci dać możliwość odmowy. Jeżeli wyjdzie na to, że się pomyliłam, wylecę stąd z hukiem, a ty pewnie dotrzymasz mi towarzystwa.

– Daj spokój. – Lewenhaupt pokręcił głową. – Całkowicie ci ufam.

– Mimo że się pomyliłam więcej niż raz.

– Tak. Kiedy pomyślę, jak często masz rację, jestem gotów podjąć to ryzyko. Zwłaszcza po tej sprawie z Urqhart. Kto oprócz ciebie by na to wpadł? Nikt.

– Dzięki – odparła Mattei. – Wiedz, że naprawdę to doceniam.

– Sam bardzo bym się cieszył, gdybyś mi powiedziała, w czym rzecz. Zanim umrę ze zwykłej prostej ciekawości.

– Wiesz, co to jest *Talpa europaea*?

– Tak – odparł Lewenhaupt. – To kret. A dokładnie jego europejska odmiana.

– Czyli taki, jaki występuje u nas – odparła Mattei. – A teraz zupełnie inne pytanie. Lubisz czytać akta personalne?

– Nie bardzo – odparł Calle Lewenhaupt. – Po pierwsze, to trochę tak, jakby wąchać czyjaś bieliznę, a po drugie, uważam, że zawarte w nich informacje zbyt często są błędne. Dwóch moich najlepszych współpracowników nigdy nie przekroczyłoby progu tego miejsca, gdybym wierzył w to, co jest napisane w ich aktach.

– Mam podobne zdanie – powiedziała Mattei. – Niestety i tak muszę cię poprosić, żebyś to przeczytał – dodała i wręczyła mu czarny segregator.

– Kogo to dotyczy? – spytał Carl Lewenhaupt.

– Sam przeczytaj – odparła Mattei. – Nazwisko widnieje na samej górze pierwszej strony. Wystarczy otworzyć segregator.

– Okej – odparł Carl Lewenhaupt i poszedł za jej radą. – Helena Palmgren? – zapytał po chwili.

– Tak.

– Helena Palmgren, która jest tu przedstawicielką wywiadu wojskowego. Numer trzy wśród tutejszych pracowników Must, jeśli chodzi o rangę?

– Tak. Myślałam, że już czujesz zapach kreta.

– Żartujesz sobie ze mnie?

– Nie – odparła Mattei. – Z całą pewnością nie. Nie mogę wykluczyć, że się mylę, ale niestety sędzę, że mam rację.

– Czyli to Palmgren wysłała te trzy tajemnicze esemesy na komórkę, którą Khalid kupił w Manchesterze.

– Tak. Kiedy wysłała dwie pierwsze wiadomości, nie wiedziała tylko tego, że my wiemy o telefonie. Przy trzeciej wiadomości oczywiście już wiedziała. Dowiedziała się tego na spotkaniu, od Lisy Lamm. Sama się postarałam, żeby ta informacja padła. Dlatego wysłała trzecią wiadomość. Żebyśmy myśleli, że autorem jest ktoś inny. Na przykład Louise Urqhart.

– Poczekaj – odparł Lewenhaupt. – Z całym szacunkiem, mimo wszystko myślę,

że to, co mówisz, jest trochę naciągane. Przecież to mogłem być ja. Też byłem na tym spotkaniu.

– Obawiam się, że to Palmgren. Myślę tak z powodu jednej z tych zwykłych, banalnych rzeczy, które ludzie mówią, nie zdając sobie sprawy, co tak naprawdę powiedzieli.

– Co masz na myśli?

– Pomyślałam, że chwilę poczekam, zanim ci to powiem. Nie dlatego, że to tajemnica, w żadnym wypadku. To po prostu bardzo długa i zawikłana historia. W skrócie chodzi o to, że dwie policjantki podrzuciły mnie i Ellę do przedszkola w zastępstwie za naszą zaplanowaną wycieczkę do Skansenu. To było w poniedziałek jedenastego maja, tego samego dnia, kiedy Alexander zadzwonił do nas i powiedział o Khalidzie. Zaledwie godzinę po tej rozmowie.

– Ale to Palmgren opowiedziała o Elli, policjantach i Skansenie.

– Tak, choć nie powinna była o tym wiedzieć.

– Czekaj, czekaj – powiedział Calle Lewenhaupt. – Pierwsza wiadomość od tajemniczej L U przyszła, kiedy siedzieliście w samolocie. Ty, Jan, Linda i Dan Andersson. Nikt więcej.

– Zgadza się, ale cel naszej podróży do Wielkiej Brytanii, zanim wsiedliśmy do samolotu, znały dwie osoby.

– Ty i twój dyrektor generalny.

– Tak jest.

– Przepraszam, trochę dużo tego wszystkiego – powiedział Lewenhaupt. – Jak w tej historii Kollii, który opowiadał, że Lars Martin Johansson, ty i jeszcze kilka osób, plus oczywiście CIA, zlecieliście zabicie dwóch dawnych pracowników Säpo, którzy dwadzieścia lat wcześniej zamordowali Olofa Palmego. Jak wszyscy wiemy, istnieje pewne brzydkie określenie tego rodzaju teorii.

– Tak, wiem – odparła Mattei z uśmiechem. – Choć to jest jeszcze lepsze.

– Nie rozumiem.

– No tak. Jak miałbyś rozumieć? Mnie samej domyślenie się tego zajęło czternaście dni. Chcesz krótką czy długą wersję?

– Krótką – rzekł Lewenhaupt. – Zaczynij od krótkiej. Zobaczymy, czy chociaż z nią sobie poradzę.

– Myślę, że krótka w zupełności wystarczy – oznajmiła Mattei. – Nasz dyrektor zna Helenę Palmgren. Zdaje się, że ze sobą kręcą. Alexander do nas dzwoni, nasz dyrektor powtarza wszystko Palmgren. Nie dlatego, że są w zмовie. To po prostu zwykła męska skłonność do przechwałek. Chce pokazać, jaki z niego wyjątkowy facet. Poza tym papla ogólnie o mnie, o Elli i naszej odwołanej wizycie w Skansenie. Palmgren również zna Khalida, więc od razu zaczyna podejrzewać, o kogo może chodzić. Na wszelki wypadek postanawia go ostrzec. To pierwsza wiadomość. Pisze mu, że musi być ostrożny. Z kolei druga to bezpośrednie ostrzeżenie. W tym momencie już wie, że chodzi o niego i że deptamy mu po piętach, więc każe mu siedzieć cicho. Jak tylko nasz dyrektor usłyszał, że chodzi o sprawę Somalijszyków z Eskilstuny, też jej to powtórzył. Reszty domyśliła się sama. Nie знаła tylko szczegółu z telefonem. Jak tylko się o nim dowiaduje, zostawia fałszywy trop.

– Ale i tak zamierzają przeprowadzić ten zamach samobójczy w Skansenie?

– Nie – odparła Mattei. – Myślę, że o tym możemy na razie zapomnieć. Mają alternatywny plan i zaczynają go realizować. To dlatego w naszym śledztwie nagle się pojawia Ove Kristiansson.

– Ale przez cały czas robią rzeczy, które świadczą o tym, że chcą przeprowadzić zamach w Solliden.

– Ze względu na nas. Dlatego robią to wszystko w taki sposób. Jakby zamieścili w gazecie anons na całą stronę.

– Abbdó zostanie zatrzymany i odesłany do nas.

– No tak. Ale o co mielibyśmy go oskarżyć? O zamach samobójczy, który nie doszedł do skutku?

– Rozumiem, co masz na myśli.

– To dobrze – odparła Mattei.

– Kiedy Helena Palmgren zaczęła u nas pracować?

– Tuż po Nowym Roku. Wkrótce po tym, jak dostaliśmy nowego szefa.

– Czyli myślisz, że to on ją tu sprowadził?



– Być może. Właśnie tu chciała pracować. Chociaż on twierdzi, że nawet jej nie zna. A w jej papierach nie ma po nim śladu.

– Pytałaś go?

– Nie, oczywiście, że nie. Sam mi opowiedział. W ten głupio naiwny sposób, typowy dla takich jak on. Nie rozumiejąc, co tak naprawdę mówi.

– W jaki sposób została zaangażowana w śledztwo?

– Po części ze względu na swoją posadę, a po części dlatego, że polecił ją nasz wspólny dobry przyjaciel, Jan Wiklander. Jeżeli się zastanawiasz, dlaczego go tu nie ma, to powiem ci, że ta wiadomość prawdopodobnie by go wykończyła. A to ostatnie, czego bym chciała.

– Co teraz zrobimy?

– Dwie rzeczy – odparła Mattei. – Po pierwsze, możesz sprawdzić związki Heleny Palmgren z rodziną Abbda. Mam wrażenie, że mogą sięgać dość dalekiej przeszłości. Zaczynij od momentu, w którym rodzina Khalidów przyjechała do Szwecji. Dowiedz się, co Helena Palmgren robiła w tym czasie.

– A reszta? To, czy ona i nasz dyrektor kręcą ze sobą?

– To dla ciebie o wiele za łatwe, Calle. Dlatego uznałam, że inni się tym zajmą. Poza tym ani mi się śni pozwolić takiej wrażliwej duszy jak ty babrać się w tym gnoju.

– A potem? Gdyby się okazało, że masz rację?

– Nie ma sensu się martwić na zapas – odparła Lisa Mattei i wzruszyła ramionami.

Czy nie tak powiedziałały Johansson? – zastanawiała się.

W PIĄTEK piątego czerwca po południu Ingrid Dahl pojechała na zamknięty oddział szpitala w Huddinge na trzecie przesłuchanie Ovego Kristianssona. Zjawiała się na miejscu jednocześnie z jego adwokatem. Kiedy weszli na oddział, czekał na nich lekarz Kristianssona.

Okazało się, że godzinę wcześniej Kristiansson miał gwałtowny skok ciśnienia. Ponieważ istniało spore ryzyko wylewu, podano mu duże dawki leków regulujących ciśnienie. Ciśnienie udało się opanować, ale przesłuchanie było wykluczone ze względów medycznych.

– Mam propozycję – powiedziała Ingrid Dahl i uśmiechnęła się do adwokata, kiedy opuszczali oddział. – Może dałbyś się zaprosić na lunch?

– To bardzo kiepska propozycja – odparł adwokat i też się uśmiechnął. – Mówię tak, bo wiem, o czym będziesz chciała rozmawiać.

– A co ty na to, żebyśmy zawarli kompromis i poszli na kawę?

– Okej – odparł adwokat. – Robię to tylko dla ciebie, Ingrid.

Ingrid Dahl i adwokat Eriksson zajęli miejsca przy ustronnym stoliku w dużym lokalu przy wejściu do szpitala. Ingrid poszła po kawę i od razu powiedziała to, co chciała powiedzieć.

Kristiansson sprzedał coś Khalidowi. Coś, czego Khalid potrzebował do przeprowadzenia akcji terrorystycznej. Co do tego była pewna i on też powinien być pewien, bo znał materiał obciążający jego klienta.

Nie wiedziała za to, w czym Kristiansson pomagał Khalidowi. Powiedziała, że jeśli się tego nie dowie, znacząco wzrośnie ryzyko, że Khalid wprowadzi swoje plany w życie. Jeśli chodziło o całkiem legalne sprawy, była oczywiście gotowa spojrzeć na to przez palce. Jeśli zaś Kristiansson sprzedał Khalidowi mnóstwo materiałów wybuchowych, obiecała, że zrobi, co w jej mocy, żeby dostał jak

najłagodniejszą karę.

– Chciałabym, żebyś go skłonił do pójścia po rozum do głowy. Nie ma żadnych formalnych przeszkód, żebyś jako adwokat spróbował to zrobić.

– Oczywiście zdaję sobie z tego sprawę. Nawet mu to tłumaczyłem. Problem polega na tym, że on tylko kręci głową. Nie zna Khalida i już.

– Przyjmijmy, że Khalidowi uda się zrobić coś w stylu Breivika. Jak twoim zdaniem podejdzie do tego Kristiansson? Przecież ma córkę spoza małżeństwa, a ona ma dzieci. Wygląda na to, że Kristiansson ma jakiś kontakt z nią i z wnukami. Córka wysyła mu zawsze kartki na urodziny, Boże Narodzenie i Dzień Ojca. Znaleźliśmy je podczas rewizji. Leżały na nocnym stoliku w jego sypialni, więc muszą coś dla niego znaczyć. Jak według ciebie czuliby się ona i jej dzieci, gdyby wyszło na jaw, że jej ojciec i ich dziadek pomagał krajowemu odpowiednikowi Breivika?

– Rozumiem, co masz na myśli – odparł adwokat. – Niestety, mój klient najwyraźniej nie rozumie.

– Może jednak spróbowałbyś raz jeszcze?

– Dobrze. Spróbuję, jak tylko będzie się dało z nim porozmawiać.

– Dziękuję – odparła Ingrid Dahl.

W PIĄTEK RANO major Carl Björklund opowiedział Lisie Mattei, do czego terrorysta może wykorzystać byłego rolnika i budowlańca. Jedyne problem z Ove Kristianssonem polegał na tym, że nie utrzymywał wokół siebie porządku. Gdyby jednak utrzymywał, mógłby zaoferować niejedno komuś takiemu jak Abdo Khalid. Poczynając od nawozów sztucznych, oleju napędowego i dynamitu po wymagane pomieszczenia i różne pojazdy, które można było wykorzystać w akcji. Poza tym była jeszcze jedna okoliczność, którą należało brać pod uwagę. Czysto techniczne umiejętności, jakie Kristiansson wykorzystywał do legalnych, codziennych celów mogły oczywiście być użyte również do rozmaitych działań przestępczych.

– Okej, Carl – powiedziała Lisa Mattei. – Gdybyś miał wybierać, do czego wykorzystałbyś Kristianssona?

– Na pewno nie do skonstruowania wybuchowej kamizelki. Z tym poradzę sobie sam – odparł Carl Björklund.

– Pierwsza jestem gotowa to potwierdzić. Ale przypuśćmy, że chciałbyś skonstruować innego rodzaju bombę. W czym mógłby ci pomóc?

– To zależy od tego, o jakim rodzaju celów mówimy. Czy o twardych, jak na przykład budynki, czy też o miękkich, jak ludzie. Jeśli cię to interesuje, zdradzę ci pewną prostą, praktyczną zasadę.

– Proszę – odparła Mattei.

– Jeżeli ktoś taki jak Abdo Khalid będzie chciał uderzyć w miękkie cele, użyje pocisków, które uniesie fala uderzeniowa. Na przykład dynamitu i ostrych kawałków żelaza zbrojeniowego, które wykorzystał przed tym stadionem piłkarskim. Gdybym ja miał to zrobić, nie potrzebowałbym nawet żadnych pocisków. Mam znacznie lepsze rzeczy.

– Jakie?

– Podam ci kilka przykładów. Wybuchowe gazy, które, mówiąc wprost, potrafią

usmażyć człowieka w ciągu sekundy. Stany Zjednoczone używają ich w pociskach Hellfire, w wariantcie przeznaczonym do miękkich celów, umieszczanych na dronach bojowych.

– Coś jeszcze?

– Zwykle trujące gazy, broń biologiczna, preparaty radioaktywne. Do wyboru, do koloru. Chodzi głównie o to, jak mają zginąć – oznajmił major z wyraźnym zadowoleniem.

– Ale nie w przypadku kogoś takiego jak Abdo.

– Nie. On na szczęście trzyma się najprostszego wariantu. Materiały wybuchowe i rozmaite pociski, prawie zawsze z metalu. Mają większy zasięg niż sama fala uderzeniowa.

– Całe szczęście, że ma dostęp tylko do takich rzeczy – powiedziała Lisa Mattei.

– A gdybyś miał uderzyć w twardego cel? Jak na przykład budynek?

– Wtedy unikałbym pocisków i zdałbym się wyłącznie na materiały wybuchowe i falę uderzeniową po wybuchu. Ona też zabija ludzi. Tych, którzy znajdują się w pobliżu, i tych, którzy są w walącym się budynku.

– Czyli bez pocisków?

– Bez. Właściwie żadnym pociskom spośród tych, których używają nasi terroryści, nie udaje się penetrować twardej powierzchni. Jeśli tylko możesz się gdzieś skryć, masz całkiem sporą szansę na przeżycie. Może nawet wystarczy mieć na sobie kamizelkę ochronną albo stać za solidnymi drzwiami.

– Jak byś to zrobił, Carl? Gdybyś chciał podejść do tematu, wykorzystując wszystko to, z czym może ci pomóc Ove Kristiansson?

– Postarałbym się o traktor albo ładowarkę. Z napędem na cztery koła. Największy model, dziesięć do dwudziestu ton masy własnej. Wykorzystałbym ją jako coś w rodzaju cywilnego pojazdu bojowego jednorazowego użytku.

– A potem?

– Potem załadowałbym do niej kilkaset kilogramów dynamitu, więcej nie potrzeba, i wjechałbym prosto w Rosenbad. I zdetonował ładunki.

– Co by się wtedy stało?

– Cała dzielnica ległaby w gruzach – odparł Carl Björklund. – A gdybym miał wybrać dzień, zrobiłbym to w czwartek, kiedy cały rząd ma w tym budynku zebranie.

– Jak możemy się obronić przed czymś takim?

– Na pewno nie ustawiając kilka betonowych zapór o wadze dwustu kilogramów każda – prychnął major Björklund.

– Pisałeś może coś na ten temat?

– Oczywiście. Wszystkie informacje masz już w skrzynce mailowej. Wysłałem je, zanim tu przykuśtykałem.

– Pozostali członkowie ekipy też to dostali?

– Jasne. Ma się rozumieć. Przezorny zawsze ubezpieczony.

W PIĄTEK piątego czerwca liczba współpracowników przewijających się przez gabinet Mattei zdecydowanie się zwiększyła. Był to wyraźny sygnał, że zostało niewiele czasu. W Säpo planowanie dobiegło końca, uzgodniono szczegóły wszystkich działań. Atmosfera nie sprzyjała temu, żeby Mattei zaczęła rozsiewać wątpliwości dotyczące samej istoty sprawy.

Po spotkaniu z majorem Carlem Björklundem odwiedził ją Dan Andersson, pełen optymizmu przed kolejnym dniem. On i jego współpracownicy byli dobrze przygotowani. Liczył na to, że jak tylko przeciwnik zostanie schwytany, rozpocznie się spokojne świętowanie. Zwłaszcza w restauracji Solliden i na dużej scenie Skansenu.

– Też tak uważam, Dan – zgodziła się Mattei.

Nie zamierzała dzielić się przekonaniem, że byłoby tak nawet wówczas, gdyby odwołali całą ochronę.

W piątek po południu pojawił się Wiklander. Był w wyśmienitym humorze. Cieszył się, że tak łatwo można znaleźć różne rzeczy, jeśli tylko się wie, gdzie szukać. W pierwszej chwili nawet się zastanawiał, czy nie sprezentować butelki whisky majorowi Björklundowi. W końcu był pomysłodawcą notatki, która wreszcie naprowadziła jego współpracowników na właściwy tor i sprawiła, że znaleźli to, czego wcześniej bezskutecznie szukali. Jednak po namyśle postanowił z tego zrezygnować.

– Dlaczego zmieniłeś zdanie? – spytała Mattei.

– Przez podsumowanie, w którym zaczął się rozwodzić na temat konieczności wzmocnienia zabezpieczeń tak zwanych twardych celów, czyli budynków o kluczowym znaczeniu dla bezpieczeństwa państwa. W samych okolicach Sztokholmu jest ich dwadzieścia kilka. Od Rosenbad po Drottningholm. Nawet my

dostąpiliśmy tego zaszczytu. Kwatera Główna Policji Bezpieczeństwa przy Ingentingsgatan w Solnie.

– Björklund taki jest, chociaż w zasadzie nie można mu nic zarzucić. Jak miało by to wyglądać? W sensie czysto praktycznym.

– Mielibyśmy uzupełnić ekipę o przydzielonych do tego zadania wojskowych. Oczywiście z odpowiednim wykształceniem i uzbrojeniem.

– Odpowiednim uzbrojeniem?

– Tak. Jak na przykład działa bezodrzutowe i ten szwedzki przeciwpancerny pocisk kierowany Bill, o który było tyle szumu jakiś rok temu, kiedy rząd nie chciał go sprzedać Arabii Saudyjskiej. Wyobraź sobie, Liso. Dwóch rekrutów majora Björklunda, stojących na baczność przed naszym gabinetem, każdy z takim pociskiem w objęciach. To by mnie nie uspokoiło.

– Mnie się wydali słodcy, trochę jak Karlsson z komiksu *91:an*. Wspominałeś, że coś znalazłeś.

Współpracownicy Wiklandera trafili na wyjątkowo zaawansowane roboty drogowe, które prowadzono przed dwudziestu pięciu laty przy okazji poszerzania trasy E20 między Mariefred a Eskilstuną. Wybudowano wtedy między innymi pięćdziesiąt kilka nowych zjazdów i wjazdów i nawet pociągnięto linię kolejową wzdłuż jeziora Melar, między Södertälje a Västerås. Budowa trwała wiele lat i kosztowała jeszcze więcej miliardów. Poza tym zużyto setki ton dynamitu.

Zainteresowanie pionu wywiadowczego wzbudziły dwie okoliczności. Inspekcja nadzoru nad materiałami wybuchowymi kilkakrotnie poddawała ostrej krytyce różnych przedsiębiorców uczestniczących w tych pracach. Według inspektorów protokoły używanych materiałów wybuchowych były sporządzane niedbale. Rezultat był taki jak zwykle. Obiecali poprawę, a urzędnikom to wystarczyło.

A jednym z wielu lokalnych przedsiębiorców, którzy brali udział w robotach, była specjalizująca się w wykopach firma Ovego Kristianssona. Lata, w których przebudowywano autostradę, były tłustymi latami dla Kristianssona. W najlepszym okresie miał dwunastu pracowników i okazały park maszynowy. Kiedy wielka budowa dobiegła końca, nastały dla niego nowe, ciężkie czasy, a kiedy ogłaszał



upadłość, z dawnej firmy nie pozostało praktycznie nic.

– Czy inspekcja miała do niego jakieś uwagi w tym czasie?

– Nie – odparł Wiklander i pokręcił głową. – Do dwóch największych firm, owszem, mieli uwagi, ale obiecały poprawę i śledztwa umorzono.

– Chcesz powiedzieć, że Kristiansson przez wiele lat pracował w miejscu, z którego mógł zakosić dowolną ilość dynamitu i innych materiałów wybuchowych?

– Tak. Można to nazwać wręcz klasyczną informacją wywiadowczą – powiedział Wiklander i się uśmiechnął.

– Jak na to zareagowała Lisa Lamm? – spytała Mattei.

– Nie była zachwycona.

– Według mnie to interesujące. Myśl, że Ove Kristiansson był wtedy zupełnie innym człowiekiem niż teraz. Dziś jest tylko starym wujaszkiem: samotnym, smutnym, zapitym i Bóg wie jakim jeszcze.

– Tak. To też mnie niepokoi.

Po południu Lisa Mattei pojechała do domu, zjadła kolację z Ellą i Johanem, przeczytała córeczce bajkę na dobranoc i wróciła do pracy.

– Nie znalazłaś sobie przypadkiem kochanka? – zapytał Johan.

– Nie. Już jednego mam. Od dziesięciu lat.

– Jak się nazywa?

– Säpo – odparła Mattei. – Powiem ci, że zaczyna mnie bardzo męczyć.

– Naród znalazł się w trudnej sytuacji – powiedział Johan. – Moja żona musi sypiać w pracy.

– Coś w tym stylu – przyznała Mattei.

– Uważaj na siebie, kochanie. Zadzwoń, zanim się zaczniesz na dobre, żebyś zdążył nam włożyć te stare bawarskie kaski policyjne, które twój tata dał nam w prezencie na ucztę rakową kilka lat temu. Te, które tak strasznie wrzynają się w kark.

– Zadzwonię, obiecuję – odparła Mattei.

PIĄTEGO CZERWCA koło jedenastej wieczorem Lisa Mattei odbyła krótką rozmowę z Jeremym Alexandrem przez „praktyczne ustrojstwo”, które pozwalało zobaczyć rozmówcę. U niego wszystko szło zgodnie z planem. Zapytał, czy może zadzwonić za dwie godziny i ustalić szczegóły techniczne na następny dzień. Mattei odparła, że nie ma problemu. Będzie dostępna przez całą noc.

– *I wish you the best of luck, Lisa* – powiedział Alexander.

– *You too* – odparła Lisa Mattei, choć nie życzyła mu powodzenia, odkąd się zorientowała, co on i jego amerykański przyjaciel zamierzają zrobić.

Jeszcze jeden krawat, pomyślała Mattei, jak tylko zakończyli rozmowę. Ciekawe, czyj tym razem.

Koło drugiej w nocy czasu szwedzkiego Alexander odezwał się ponownie. Oznajmił, że on i jego amerykański przyjaciel zakończyli swoją operację. Przez kilka najbliższych godzin mieli sprzątać. Potem amerykański prezydent miał wygłosić przemówienie w imieniu sojuszników – szóstego czerwca po południu czasu szwedzkiego. Dokładną godzinę Alexander obiecał podać później.

Jeżeli chodziło o Abbda Khalida, zamierzali go zatrzymać koło siódmej rano czasu angielskiego. Również i tutaj mieli pełną kontrolę nad sytuacją. Khalid właśnie spał w swoim mieszkaniu w Manchesterze. Alexander zapowiedział, że po schwytaniu go i załatwieniu niezbędnych formalności wyśle go do Szwecji „angielską pocztą”.

– Obstawiam, że będziesz mogła go odebrać z Brommy koło czwartej po południu. Odezwiemy się odpowiednio wcześniej, jak tylko będzie w drodze.

– Brzmi świetnie. A tak z ciekawości, mam pytanie.

– Tak?

– Zakładam, że zaczęliście w Buuloburde, i oczywiście jestem ciekawa, jak wam

tam poszło.

– Dlaczego cię to ciekawi?

– Z wielu powodów dotyczących pracy, jaką mam wykonać – odparła Mattei. – W końcu Abbdo i jego rodzina pochodzą z Buuloburde. To ich rodzinne miasto, Abbdo się tam urodził, a jego ojciec Mohammed najprawdopodobniej jest przywódcą największego z lokalnych klanów. Poza tym to najsilniejsza twierdza Asz-Szababu w Somalii.

– Nadal nie rozumiem – powiedział Alexander z tym samym niezmiennie przyjaznym uśmiechem.

– Jeżeli uśmierciliście setki krewnych Khalida, oczywiście będą problemy, jak tylko to wyjdzie na jaw.

– Z pewnością rozumiesz, dlaczego nie mogę tego skomentować.

– Miałam nadzieję, że mi pomożesz – powiedziała Lisa Mattei.

– Niestety, nie teraz, Liso. Muszą ci wystarczyć moje komplementy.

– Mam nadzieję, że przynajmniej twoja dawna współpracownica Louise Urqhart żyje i ma się dobrze.

Po raz pierwszy się nie uśmiecha w ten swój charakterystyczny sposób, pomyślała Mattei.

– O tym moglibyśmy porozmawiać, kiedy się spotkamy – powiedział Alexander.

– Tak zróbmy – odparła Lisa Mattei. – Bardzo ci dziękuję za pomoc.

– I vice versa. Już się nie mogę doczekać naszego następnego spotkania.

## **VII**

Sobota 6 czerwca

**Polowanie na Bombera i jego kobietę**

**Uderzenie**

W SOBOTĘ szóstego czerwca koło szóstej rano Mattei zeszła do centrali w budynku przy Ingentingsgatan. Ich radiooperatorzy i pozostali pracownicy techniczni byli już na miejscu, ale poza tym przyjechała jako pierwsza spośród wszystkich członków grupy kierowniczej. Wzięła ze sobą śniadanie – filiżankę herbaty, kanapkę i kubek jogurtu. Nie zdążyła się nawet zastanowić nad samopoczuciem. Jeszcze jeden dzień z życia Lisy Mattei, pomyślała.

Jako pierwszego zatrzymano Abbda Khalida. Koło ósmej trzydzieści rano jeden z angielskich kolegów z pionu antyterrorystycznego odezwał się do Mattei, żeby ją poinformować, że zatrzymał Khalida, który obecnie siedzi w areszcie w Manchesterze i czeka na transport z powrotem do Szwecji.

Został zatrzymany w swoim mieszkaniu, sam proces przebiegł bezproblemowo. Kiedy przedstawiono mu zarzut – przygotowywanie zamachu terrorystycznego – zaprzeczał, nie wiedział, o czym mówią, ale jednocześnie nie miał nic przeciwko temu, żeby go przewieziono z powrotem do Szwecji.

– Okej – odezwała się Lisa Mattei, wstając i podnosząc głos, żeby zaznaczyć, że prosi o ciszę. – Anglicy właśnie dali znać, że zatrzymali Abbda. Teraz możemy się zająć pozostałymi. Na co czekasz, Honken – powiedziała i uśmiechnęła się do komisarza Honkamäkiego z Nationella Insatsstyrkan.

W ciągu kolejnych dwóch godzin schwytano albo zatrzymano w sumie szesnastu pozostałych członków rodziny Abbda Khalida. Poza tym zabrano jego młodszego brata, gospodarza Issego Khalida, „Osamę bin Ladena z Högdalen”, na „przesłuchanie bez wcześniejszego wezwania”. Zważywszy na okoliczności, wszystko przebiegło raczej spokojnie i bezproblemowo. Problem polegał na czymś innym. Podejrzanych zatrzymywano jednego po drugim i tak samo szybko – jeden

po drugim – upadały kolejne dowody.

OBCHODY ŚWIĘTA Narodowego w Skansenie były najspokojniejsze od wielu lat. Nie znalazł się nawet żaden pijany widz, który wykrzykiwałby nieprzyzwoite słowa pod adresem królewskich gości, choć publiczność przed sceną Solliden była dwukrotnie liczniejsza niż rok wcześniej.

Bogowie pogody pokazali się z najlepszej strony i zaserwowali prawdziwy przedsmak szwedzkiego lata w najlepszym wydaniu. Błękitne niebo i żółte słońce – kolory flag i sztandarów, które Jego Wysokość rozdawał ludziom z powodzeniem działającym na rzecz Szwecji.

Była wśród nich Leyla Hussein, słynna szwedzka sportsmenka z Somalii, która być może bardziej niż którykolwiek inny obywatel przyniosła chlubę Szwecji i rozślawiła ją na cały świat. I to w momencie, w którym szwedzki naród nie musiał żyć tylko w blasku minionej chwały.

Leyla Hussein była królową balu – w białej szacie do ziemi i z olśniewającym uśmiechem – i to bez wątpienia ona stanowiła główny punkt programu. Po raz kolejny podbiła serca wszystkich, unosząc szwedzką flagę ku błękitnemu niebu, ukazując swoje słynne na cały świat stopy w tańcu i przyjmując owację na stojąco.

Te same stopy, które niosły ją niczym wiatr wiejący nad Półwyspem Somalijskim.

Kiedy uroczystości w Skansenie dobiegły końca, Jego Wysokość Król i Jej Wysokość Królowa zaprosili wybranych eleganckich gości na późny lunch w rezydencji Drottningholm. Leyla Hussein oczywiście była wśród nich. Po zwyczajowych krótkich rozmowach i jedzeniu pochłonęła ją dłuższa dyskusja z królową.

„Obchody Święta Narodowego w najlepszej postaci – przede wszystkim

potwierdziły, że Szwecja jest częścią świata”, jak podsumował to szef działu kulturalnego największej codziennej gazety w kraju.



PIERWSZE OGNIWO w łańcuchu dowodowym pękło już w momencie zatrzymania Ismaila Khalida, zwanego Issem. Tuż po tym, jak szef sił specjalnych Honkamäki dał swojej ekipie zielone światło, Isse wyszedł ze swojego tymczasowego mieszkania w domu w Högdalen i ruszył w kierunku metra, którym zamierzał pojechać do pracy w restauracji Solliden w Skansenie. Wszystko było już jasne, więc jak tylko wyszedł z domu, zrównał się z nim czarny van. Dziesięć sekund później Isse leżał w środku, z rękoma skrępowanymi na plecach.

Kiedy go pojmano, miał przy sobie podróżną torbę na ubrania, z hasłem reklamowym Dressmanna. Przed otwarciem dali ją do powąchania psu. Pies nie wykazał żadnego zainteresowania, jego ogon nie poruszył się ani o milimetr. Dopiero wtedy otworzyli torbę, a zaraz potem zadzwonili do szefa w centrali, żeby zdać raport.

– W torbie, którą miał przy sobie, znaleźliśmy kamizelkę – potwierdził kolega Honkamäkiego. – Jak dla mnie wygląda jak zwykła kamizelka wędkarska.

– No i dobrze – odparł Honkamäki.

– Problem jest taki, że ma niewłaściwy kolor.

– Jak to „niewłaściwy kolor”?

– Jest zielona, a nie biała, bo i nie ma najmniejszych śladów materiałów wybuchowych. Cholernie przypomina zwykłą kamizelkę wędkarską, jeśli chcesz znać moje zdanie.

– Co ty, do diabła, mówisz? Przyjedź tu natychmiast, żeby technicy mogli jej się przyjrzeć.

– W czym problem? – spytała Mattei.

– Kamizelka... – westchnął Honkamäki. – Chłopaki twierdzą, że ma niewłaściwy kolor.

– Jaki?

– Jest zielona – odparł Honkamäki.

– Brzmi prawie jak coś, co napisał Strindberg – odparł Calle Lewenhaupt. – Choć u niego chodziło o podrywkę na ryby. Też była zielona, choć w niewłaściwym odcieniu.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy dyskutowano o kolorach rozmaitych przyrządów do łowienia ryb, współpracownicy Enochsona rozpoczęli rewizję w miejscu pracy Issego. Jak tylko zobaczyli, że pies nie wyczuł bomby, zaczęli przeszukiwać pomieszczenia dla personelu, a chcąc zaoszczędzić czas, wzięli się do wyważania drzwi szafki Issego. Znaleźli w niej pięć kolejnych przyrządów wędkarskich. Dwa małe termosy, dwa plastikowe pudełka z błyskami i kołowrotek. Wszystko elegancko zapakowane na prezent.

– Wyślij wszystko do nas, żebyśmy mogli się temu spokojnie przyjrzeć – zarządził komisarz Enochson, jak tylko usłyszał o znalezisku.

Godzinę później jeden z kolegów z pracy Issego poprosił jednego z przeszukujących restaurację policjantów o rozmowę na osobności. Uważał, że policja „popęnia gruby błąd, zgarniając Issego”. Był „najbardziej spoko kolesiem na świecie i dobrym ziomkiem” dla wielu pracowników restauracji. Między innymi szefa kuchni Solliden, któremu za następną godzinę mieli złożyć życzenia. Jako zapalony wędkarz już w czasie rozmowy kwalifikacyjnej zaproponował, że zorganizuje prezenty dla jubilata. Wszyscy w Komitecie organizacyjnym przyjęli tę propozycję z radością. Zwłaszcza kiedy Isse powiedział, że jego siostra jest szwaczką i na pewno da radę uszyć kamizelkę wędkarską na miarę.

– On wygląda tak, jak czasem wyglądają kucharze, jeśli pan rozumie, co mam na myśli – dodał.

Kolega Enochsona przeprosił za ten incydent. Wyjaśnił, że niestety nie może nic zrobić. Wszystkie prezenty były teraz materiałami dowodowymi.

– Może dajcie mu zwykły bukiet? – podsunął. – Przynajmniej na razie.

Tak to się zaczęło, tak się rozwinęło i póki co wszystko wskazywało na to, że

również tak się skończy.

Kiedy zrobili rewizję w markecie budowlanym, okazało się, że już nie brakuje pięciu kilogramów dynamitu. Jak to się stało, pozostawało tajemnicą, w której rozwiązaniu Hassan Khalid nie potrafił pomóc policji. W ogóle nie rozumiał, o co go pytali.

Kiedy policjanci opróżnili dom przy Lötgärdesstigen z kobiet i dzieci, do pracy przystąpili technicy. W piwnicy najwyraźniej kładziono nową podłogę. Połowa była jeszcze zerwana. Znalezione tam również stopy żelaza zbrojeniowego, worki cementu, małą betoniarkę i narzędzia potrzebne do ukończenia prac.

W pokoju jedenastoletniego syna – Samakaba Khalida zwanego „Sammym” – znaleziono procę i małe plastikowe wiaderko, do połowy wypełnione odciętymi kawałkami żelaza zbrojeniowego. Jego mama, zapytana o to, wyjaśniła, że proca i kawałki to prezent od starszego brata, Hassana. Miał ich używać do płoszenia borsuka, który zamieszkał pod składzikiem koło domu.

Wszystkie osiem rewizji jak dotąd nie przyniosło rezultatów. W sumie było czternaście dorosłych osób, z czego cztery zostały schwytane albo zatrzymane, jedną wzięto na przesłuchanie bez uprzedniego wezwania, trzy zatrzymano. Do tego dochodziło pięcioro dzieci. W sumie dziewiętnaście osób.

Z dwiema najstarszymi – Ovem Kristianssonem i dziadkiem Salmem Alim Ahmedem – nie dało się porozumieć. Pozostawało dwanaście osób, które łączyło to, że nie rozumiały, o co chodzi policjantom. Poza tym dwie były bardzo wzburzone. Najbardziej denerwował się ojciec rodziny, Mohammed Khalid Hussein. Przyjechali do Szwecji przed ponad dwudziestu laty. Od dawna wszyscy byli obywatelami Szwecji. Mohammed stwierdził, że dopiero teraz zdaje sobie sprawę, że wylądował w państwie policyjnym, gdzie prawa, które mają chronić obywateli przed nadużyciami, nie obejmują jego i jego rodziny.

Drugim oburzonym był jego „stary przyjaciel i brat w wierze”, Abdul Karim, który nie rozumiał, co nielegalnego jest w proponowaniu synowi „kochanego przyjaciela rodziny” pomocy z pracą i mieszkaniem. Dla niego, muzułmanina, był to oczywisty ludzki odruch.

– Okej – powiedziała Lisa Mattei i wstała. – Dochodzi dwunasta. Proponuję, żeby ci, którzy nie mają nic lepszego do roboty, poszli napełnić czymś żołądki. To będzie długi dzień. Na razie odłóżmy na bok kwestie prawne. Czy stało się coś w związku z samymi zatrzymaniami, o czym ja albo prokurator musimy wiedzieć?

Komisarz Honkamäki odparł, że może tylko jeden szczegół. Drobny incydent, który się wydarzył podczas akcji w domu przy Lötgärdesstigen.

– Co mianowicie? – spytała Mattei.

To się nigdy nie skończy, pomyślała.

– Kiedy koledzy weszli do domu, nie znaleźli tego jedenastolatka. Ukrył się na poddaszu. Nagle wyskoczył z jakiejś szafy. Kompletnie mu odbiło. Miał na sobie jakiś biały kaftan, dziwną czapkę. Koledzy musieli powalić go na ziemię i skuć kajdankami. Zupełnie zwariował, wykrzykiwał coś po arabsku. Wiedzieliśmy, co czasem robią chłopaki w jego wieku, więc nie mogliśmy wykluczyć, że pod tym białym kaftanem ma bombę.

– Ale nie miał.

– Nie, tylko gacie w tym samym kolorze. Żadnej bomby. Miał za to w dłoni jakiś przedmiot, którym wymachiwał. Nie było widać, co to takiego. Mógł to być detonator.

– Ale nie był.

– Nie, to była zwykła zapalniczka. Do czego jej potrzebował? Ale kiedy tak krzyczał i wymachiwał, można go było zastrzelić. Pozwalała na to instrukcja, którą zresztą oboje pisaliśmy.

– Powalili go na ziemię i skuli kajdankami. I tyle – powiedziała Mattei.

– Tak – potwierdził Honkamäki. – Nie wiem, co sam bym zrobił, ale o tym pogadamy z chłopakami, kiedy będziemy wszystko analizować.

– Pozdrów ich ode mnie i podziękuj – rzekła Mattei.

– Z całym szacunkiem, ale tego nie zrobię – odparł Honkamäki. – Gdyby to się skończyło źle, nie byłoby komu dziękować. Ani dzieciakowi, ani moim chłopakom.

– Rozumiem. Powinnam wiedzieć coś jeszcze?

– Tak. Na wszelki wypadek zdecydowałem się odesłać dzieciaka do szpitala

w Eskilstunie, żeby zerknął na niego wujek doktor. Rozmawiałem z nim przed chwilą.

– Co powiedział?

– Że chłopak na pewno nie umrze. Nie znaleźli u niego nawet draśnięcia. Na wszelki wypadek mimo wszystko zamierza zlecić dokładne badania.

– Daj znać, kiedy będziesz wiedział coś więcej.

– Oczywiście – odparł Honkamäki.

– Jeszcze jedno – powiedziała Mattei. – Zapomnij o tym, co mówiłam na temat dziękowania kolegom. Sama mogę z nimi o tym porozmawiać.

– Ja nie wiem, o czym szefowa mówi – oznajmił Honkamäki i pokręcił głową. – Gdyby ktoś pytał, w tym pokoju nie było nikogo innego.

– I jestem za to bardzo wdzięczna – odparła Mattei.

Kiedy Wiklander przejął po niej pracę, zaprosiła Lisę Lamm i Lindę Martinez do swojego gabinetu, żeby mogły przeprowadzić naradę wojenną i przy okazji coś zjeść.

– To nie wygląda dobrze – oznajmiła Lisa Lamm. – Czasami żałuję, że nie jestem naprawdę kiepską prawniczką.

– A co ty na to, żeby się trochę uspokoić?

– Jeśli dasz mi dobry powód – odparła Lisa Lamm.

– To jest dużo gorsze, niż nam się wydawało – oznajmiła Mattei.

– Tak myślisz?

– Nie myślę. Ja to wiem.

– Gdyby mi ktoś kazał opisać to uczucie, powiedziałabym, że tak to właśnie jest być wydymanym w dupę – odezwała się Martinez. – Oczywiście o ile wcześniej się o to nie prosiło – uściśliła.

– To się wymyka mojej ocenie – stwierdziła Mattei. – Proponuję, żebyśmy zapytali Abbda Khalida. Alexander twierdzi, że powinien tu być za kilka godzin.

Jak tylko to powiedziała, zadzwonił jej telefon. Sygnał wskazywał, że mogło chodzić tylko o jedną osobę.

– Siedźcie – powiedziała Mattei. – Wyjdę i odbiorę. Niestety nie możecie słyszeć

tej rozmowy. Zaraz wracam.

Mimo dobrego wychowania i zapewne wrodzonej uprzejmości Jeremy Alexander przeszedł od razu do rzeczy:

– Obawiam się, że mamy problem.

KIEDY LISA MATTEI zakończyła rozmowę z Alexandrem i wróciła do gabinetu, skinęła głową dwójce gości, wzięła z tacki kilka różnych kawałków sushi, nalała sobie do szklanki wody mineralnej, usiadła na krześle i zaczęła jeść. Niech ma, pomyślała. Chodziło jej o koleżankę z pracy i przyjaciółkę, Lindę Martinez.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz, Liso? – powiedziała Linda i rozłożyła ręce. – Powiedz coś.

– Właśnie rozmawiałam z Alexandrem – odparła Lisa Mattei. – Obawiam się, że obietnica, którą ci złożyłam, Lindo, była nieco pochopna.

– Jaka obietnica?

– Ta seksualna. Moja propozycja dla ciebie i Khalida po jego powrocie do Szwecji.

– A, już wiem, o co chodzi. W czym problem?

– Odpowiem w skrócie. Człowiek, którego Anglicy zatrzymali w mieszkaniu Abbda w Manchesterze, to nie Abbdo. Poprosiłam Alexandra, żeby go tu przysłał. Ma się pojawić na Brommie za kilka godzin, więc może powinnaś porozmawiać z nim.

– Kto to taki?

– Kuzyn Abbda Khalida, Awale Ibrahim Khalid.

– Kurwa, mogłam się założyć! – Martinez uderzyła pięścią w biurko Mattei.

– O co?

– Że Anglicy nawalą.

– Ani trochę w to nie wierzę – odparła Mattei i pokręciła głową. – Jestem pewna, że pralnia chemiczna, którą tym razem mijał Abbdo, mieściła się w męskiej toalecie w hali odlotów lotniska Skavsta.

– Dlaczego tak myślisz?

– Myślę tak z uwagi na to, co przeczytałam w dwóch twoich notatkach. Po

pierwsze: przesłuchanie kolegi z eskilstuńskiej policji, który ponoć był tam znany jako Frasse Napaleniec. Chodził do tej samej klasy co „Czarnuch jeden” i „Czarnuch dwa”. Koledzy nazywali w ten sposób Abbda i Avvego, bo byli tak do siebie podobni... Kiedy w dziewiątej klasie pisali państwowy egzamin, zrobili zabawny psikus, który Frassemu Napaleńcowi udało się rozgryźć.

– Kurwa! – zaklęła głośno Martinez.

– Jeśli chcesz informacji, proponuję, żebyś przeczytała notatkę, w której Stenhård relacjonują, jak pilnowali, żeby Abbdó Khalid rzeczywiście wsiadł w środę w samolot do Manchesteru. Jeśli użyjesz głowy zamiast swojego słynnego nosa, powinnaś to rozwiązać natychmiast. Stenhård wspominają między innymi o wózku do sprzątnia. Brakuje mi sprzątacza. Zaczynicie od niego.

– Kurwa! – zawołała znów Martinez i zerwała się z krzesła. – Przepraszam. Straciłam apetyt. Obiecuję, że to załatwię, Liso. Obiecuję, że dzisiaj to załatwię,

– Takie rzeczy się zdarzają – powiedziała Mattei. – Powodzenia, Lindo.

Takie rzeczy nie mają prawa się zdarzać, pomyślała.



PO POŁUDNIU w dniu Święta Narodowego Lisa Mattei nie zdążyła nawet wyjść z gabinetu. Siedziała za biurkiem.

Najpierw zadzwonił do niej Dan Andersson. Obchody w Skansenie dobiegły końca. Ponad setka gości ze Skansenu jadła spóźniony lunch w Drottningholm. Wszystko przebiegało spokojnie i zdaniem Dana Anderssona również to wydarzenie powinno się potoczyć zgodnie z planem. Obiecał, że gdyby coś się działo, natychmiast się odezwie.

Po Danie Anderssonie zadzwonił do niej jej szef, dyrektor generalny. Świętował z rodziną na wsi, ale obejrzał telewizyjną transmisję uroczystości na dużej scenie. Dzwonił tylko, żeby jej podziękować za dobrze wykonaną pracę. Ten człowiek jest nie do opisania, pomyślała. Ciekawe, czy ta cała Palmgrenka zdaje sobie sprawę, z jakim to koncertowym idiotą się zadaje.

Komisarz Honkamäki z sił specjalnych odezwał się jako trzeci. Rozmawiał z lekarzem ze szpitala w Eskilstunie. Mały Sammy właśnie przeszedł dokładne badania i jedynym, co znaleziono, były dwa pęknięte żebra na zdjęciu rentgenowskim. Prawdopodobnie efekt tego, że policjant – sto kilogramów wagi wraz ze sprzętem – powalił na ziemię jedenastolatka ważącego nieco ponad trzydzieści kilogramów.

Oczywiście nie było to dobre, ale też nie stanowiło poważnego zagrożenia ani nie mogło spowodować trwałego uszczerbku na zdrowiu. Sammy skarżył się na ból klatki piersiowej. Dostał tabletki przeciwbólowe, a lekarze stwierdzili, że dolegliwości powinny ustąpić w ciągu tygodnia. Wiklander postanowił więc, że Sammy i jego mama zostaną w szpitalu, dopóki chłopiec całkiem nie wydobrzeje. Dostali osobną salę, którą chronili policjanci z Eskilstuny.

Potem Mattei odbyła długą rozmowę z Lisą Lamm. Lisa była obecnie tego samego zdania co ona, a przekonało ją tajemnicze zniknięcie Abbda Khalida. Po prostu tego wszystkiego było za wiele. Nie wierzyła już, że wraz z Lisą Mattei i ich ekipą śledczą zrozumieli wszystko opacznie i że istnieje naturalne wytłumaczenie. Abbd Khalid i pozostali wyprowadzili ich w pole, ale nie dlatego, że chcieli się z nimi podroczyć. Zrobili to z innych, znacznie poważniejszych powodów.

– Jestem przekonana, że pracują nad czymś innym – powiedziała Lisa Lamm.

– Ja też – odparła Mattei.

– Zorientowałam się, że tak uważasz, już jakiś czas temu. Ja chyba jestem trochę powolniejsza.

– Chyba myślimy o tym samym z różnych perspektyw – oznajmiła Mattei.

– Tak, to dobre podsumowanie. Dlatego też uznałam, że wszyscy ci, którzy siedzą za kratkami, powinni siedzieć tam nadal. Mimo że to na pewno będzie kosztowało. Z jednym wyjątkiem.

– Jakim?

– Abdul Karim. Kiedy zabrano go na przesłuchanie, jego adwokat już czekał. Rewizja i przesłuchanie nie dały kompletnie nic. Dlatego wypuściłam go do domu – powiedziała Lisa Lamm.

– Rozumiem – oznajmiła Mattei. – Mam pewną propozycję. Albo raczej zaproszenie.

– Jakie?

– Amerykański prezydent ma zorganizować konferencję prasową na temat tego, co on i jego koledzy robili dziś w nocy. W Białym Domu w Waszyngtonie o pierwszej po południu czasu lokalnego. U nas będzie to siódma. Co ty na to, żebyśmy obejrzały ją razem w moim gabinecie? Mamy przecież dostęp do wszystkich kanałów informacyjnych.

– Ja chętnie przyjdę – powiedziała Lisa Lamm. – Najwyższy czas się dowiedzieć, w czym tak naprawdę wylądowaliśmy.

– Przygotowałam trochę sera, owoców i takie tam. Obie zasłużyłyśmy na kilka kieliszków dobrego wina.

- Ale nie mamy okazji do świętowania.
- Nieważne. Możemy świętować, zapijać smutki, wszystko jedno.
- Liczy się zawrót głowy?
- Tak jest. Poza tym załatwiłam eksperta. Który może nam pomóc z dronami i tak dalej.
- Majora?
- Tak.
- Już mnie masz – odparła Lisa Lamm.

Cztery godziny po pierwszej rozmowie jej szef, dyrektor generalny, odezwał się znowu. Mattei już wiedziała, co zamierza powiedzieć, więc nie odebrała i czekała, aż się nagra na automatyczną sekretarkę.

Był poważnie zaniepokojony tym, co się wydarzyło w ciągu dnia. Mattei nie miała wątpliwości, że o dwóch spośród niepokojących go spraw musiał usłyszeć od kogoś z ich ekipy. Ekipy, której członkowie wiedzieli, że nie wolno im rozmawiać z nim o tych rzeczach, a i tak to robili.

On nie tylko jest głupi. On wykopuje sobie grób, myślała, przenosząc jego rozbudowaną wiadomość do prywatnego dziennika śledztwa.

Koło wpół do siódmej wieczorem przyszedł do niej mail od Lindy Martinez. Dwie godziny wcześniej dwóch kolegów Ingrid Dahl zakończyło przesłuchanie Avvego Khalida. Avve wylądował na lotnisku Bromma tuż po czwartej i został zatrzymany, jak tylko postawił stopę na szwedzkiej ziemi. Pierwsze przesłuchanie odbyło się w Säpo przy Ingentingsgatan o wpół do piątej po południu i trwało pół godziny.

Avve twierdził, że odniósł kontuzję podczas ostatniego meczu równo tydzień wcześniej. Musiał zejść z boiska, bo nabawił się poważniejszego naciągnięcia mięśnia uda. Lekarze wystawili mu zwolnienie i zalecili ponad tydzień odpoczynku przed ponownym pojawieniem się na boisku.

Avve podjął więc spontaniczną decyzję. Kupił bilet do Londynu i poleciał tam, żeby się spotkać ze starymi kumplami i robić to wszystko, co się wtedy robi. W środę wsiadł w pociąg do Manchesteru, żeby się spotkać z innymi kolegami.

Mieszkał u kuzyna, tak jak poprzednim razem przed prawie rokiem. W niedzielę, to znaczy następnego dnia, miał zamiar znów pojechać do domu, bo w poniedziałek czekała go kolejna wizyta u klubowego lekarza. Wczesnym rankiem w sobotę został wyrwany z łóżka przez okazałą grupę angielskich gliniarzy, którzy twierdzili, że jest swoim własnym kuzynem, a dziesięć godzin później siedział ze szwedzkim gliną, wygadującym rzeczy, z których nic a nic nie rozumiał.

Byli zgodni tylko w jednym – że on to on, a nie Abbdo.

Nie miał pojęcia, gdzie jest jego kuzyn. Prawdopodobnie był w Eskilstunie u rodziny. A przynajmniej był tam, kiedy ostatnio rozmawiali tydzień wcześniej.

Zdaniem Martinez prawda była inna. Avve wyleciał z Arlandy do Londynu przed sześcioma dniami. I natychmiast wrócił do Szwecji. Nie samolotem, który przekraczał granice państw, tylko drogami, którymi mógł podróżować bez większego ryzyka, używając szwedzkiego paszportu.

Do Szwecji prawdopodobnie wrócił już w poniedziałek, najpóźniej we wtorek. Rolę sprzątacza na lotnisku Skavsta, którego obowiązki i tożsamość przejął, przekazał kuzynowi Abbdowi w toalecie hali odlotów na lotnisku Skavsta. Następnie Avve Khalid poleciał do Wielkiej Brytanii. Po raz drugi w ciągu trzech dni. Tym razem jako Abbdo Khalid. I tym razem do Manchesteru. Po przyjeździe okazał paszport Abbda. Kilka godzin wcześniej Abbdo zakończył zmianę sprzątacza na lotnisku i zniknął.

Prawdziwy sprzątacznik, Somalijczyk zamieszkały w Nyköping, w tym samym wieku co bracia Khalidowie i o podobnym wyglądzie, tego samego dnia pojechał na urlop. Nie wiadomo dokąd. Był poszukiwany przez policję. Martinez miała nadzieję, że jak najszybciej będzie mogła podać szczegóły. Decyzję, czy poszukiwać również Abbda, przekazała Mattei. W obecnej sytuacji nie miała sprecyzowanej opinii na ten temat.

On może poczekać, muszę się zastanowić, myślała. Wyłączyła komputer, żeby w spokoju powybierać różne smakołyki dla gości.

LISA MATTEI i Lisa Lamm podzieliły się butelką wyśmienitego włoskiego wina. Zagryzały serem, oliwkami i owocami. Major Björklund pił whisky i piwo, wsunął całą wędzoną kiełbasę, mnóstwo suszonej szynki, a nawet ser. Do tego pieczywo chrupkie Wasa Sport. Podziękował jednak za gruszki i winogrona.

Przy jedzeniu i picu słuchali prezydenta Stanów Zjednoczonych, który przemawiał z Białego Domu. Swoje słowa skierował nie tylko do własnego kraju, jego sojuszników i wszystkich innych demokratycznych krajów, ale także do wrogów demokracji.

W nocy Stany Zjednoczone i ich sprzymierzeńcy przeprowadzili dużą liczbę ataków dronami z dwóch lotniskowców na Oceanie Indyjskim i Morzu Śródziemnym oraz z sześciu baz lądowych, od Kenii na południu po Turcję na północy. Ataki były wymierzone w kilkanaście celów w Somalii i na Bliskim Wschodzie. Zaatakowano przywódców czterech muzułmańskich organizacji terrorystycznych – Al-Kaidy, Asz-Szababu, Państwa Islamskiego i Boko Haram. Z dwudziestu najważniejszych zabito połowę, między innymi trzech głównych liderów Asz-Szababu, Państwa Islamskiego i Boko Haram. Do tego szefa sztabu, wicelidera Al-Kaidy. Oraz pięciuset tak zwanych „świętych wojowników”. Zniszczono również większość ich obozów szkoleniowych, magazynów broni, koszar i kryjówek. Podsumowując, była to najbardziej udana akcja w historii walki z muzułmańskim terroryzmem, a może nawet przypomnienie, że już najwyższy czas, żeby wrogowie demokracji poszli po rozum do głowy i natychmiast zaprzestali działań terrorystycznych. W przeciwnym razie Stany Zjednoczone i sojusznicy będą musieli ich unicestwić.

Potem oglądali filmy typowe dla amerykańskich kanałów informacyjnych. Nagrane nocą, kamerami pozwalającymi na nagrywanie w ciemności. Szare budynki filmowane od góry, szare eksplozje, ziarnisty obraz, szaroczarny raster.

– To najnowszy model ich drona bojowego, Żniwiarz. MQ-10 Reaper, jak brzmi oficjalna nazwa – oznajmił major Björklund.

– Co w nim takiego szczególnego? – zapytała Lisa Lamm.

– Tani, bezzałogowy, można nim sterować ze zwykłego komputera znajdującego się po drugiej stronie kuli ziemskiej. Ten model może się utrzymać w powietrzu dwadzieścia godzin, z ładunkiem broni o masie ponad dwóch ton. Bombami i raketami, którymi także można sterować, kiedy się je zrzuci albo odpali.

– Nawet z bronią jądrową? – spytała Mattei.

– Oczywiście. Istnieją taktyczne ładunki jądrowe w formie bomb transportowanych drogą powietrzną, z których każdy waży mniej niż sto kilogramów.

– Po co w takim razie tylu pilotów w samolotach, które kosztują setki milionów, skoro można używać takich rzeczy? – zapytała Lisa Lamm, wypila solidny łyk ze szklanki i posłała Mattei wymowne spojrzenie.

– Dobre pytanie – odparł Björklund. – To, o czym właśnie wspomniałaś, wkrótce przejdzie do historii.

– I zamiast tego będziemy mieli drony i mnóstwo nerdów siedzących przy komputerach w bunkrach po drugiej stronie kuli ziemskiej i bawiących się w pilotów?

– Dokładnie – potwierdził Björklund. – Za mniej niż jedną dziesiątą ceny konwencjonalnego samolotu bojowego. Mam ci podać przykład?

– Tak, poproszę.

– Masz około dwudziestu dronów modelu, który przed chwilą widzieliśmy w telewizji, i te dwadzieścia dronów może być obsługiwanych przez dwóch tak zwanych nerdów, a to wszystko w cenie jednego samolotu JAS z pilotem. Poza tym tak się składa, że Szwecja jest w czołówce, jeśli chodzi o konstruowanie dronów nowej generacji.

– Możesz o tym opowiedzieć, Carl? – spytała Mattei z niewinną miną.

– Tak. W tym pokoju mogę – odparł major Björklund, skinął głową i napełnił whisky kolejną szklankę.

– Kilka lat temu firma Saab i szwedzki Instytut Obrony Radiołączności FRA nawiązały interesującą współpracę ze Stanami Zjednoczonymi i ich przemysłem lotniczym. Udało się zajść daleko w opracowywaniu dronów o tak zwanych właściwościach *stealth*. Wiecie, nazywa się je skradaczami. To samoloty, które łatwiej mogą uniknąć radarów nieprzyjaciela. Saab pracuje nad samymi samolotami, FRA zaś zajmuje się oprogramowaniem do sterowania.

Przynajmniej nie ryzykuję, że zostanę na lodzie z powodu braku pracy, pomyślała Mattei.

– Zupełnie inna sprawa – odezwała się Lisa Lamm. – Przyjmijmy, że Stany Zjednoczone i cała reszta zlikwidowały około pięciuset terrorystów. Ilu cywilów zginęło? Mówi się na to *collateral damage*.

– Z pewnością koło setki – odparł Carl Björklund i westchnął. – To ich sposób na ochronę. Nieprzypadkowo wolą jeść, spać i mieszkać w szpitalach, domach dziecka i szkołach albo na obszarach zamieszkanym przez zwykłych ludzi. Nie wśród podobnie myślących w obozach szkoleniowych, magazynach, koszarach czy w zwykłych kryjówkach. To część ich taktyki. Po prostu ich żywe tarcze. Ta sama taktyka, która sprawia, że podczas akcji na Zachodzie atakują raczej zwykłych niewinnych obywateli, najlepiej kobiety i dzieci. Takich jak my wolą unikać. Cena za sztukę jest stanowczo za wysoka. Dużo prościej uderzyć w nasze dzieci, naszych ukochanych, przyjaciół i sąsiadów.

– Musimy się liczyć ze stratami – powiedziała Lisa Lamm.

– Ja staram się unikać tego określenia – odparł Carl Björklund z nagłą szorstkością w głosie. – Ostatni raz użyłem go w Karlbergu ponad czterdzieści lat temu. Kiedy zobaczyłem zdjęcia Kim Phúc, uświadomiłem sobie, że istniejemy wyłącznie po to, żeby bronić takich osób jak ona, przed tym, co ją spotkało.

– Kim Phúc... – powtórzyła Lisa Lamm i pytająco potrząsnęła głową.

– Na pewno widziałaś to zdjęcie – powiedział Carl Björklund. – Nie pamiętasz tylko nazwiska. Zdjęcie pochodzi z wojny w Wietnamie, zostało zrobione w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku i ukazuje nagą dziewięcioletnią dziewczynkę, która biegnie po drodze, ciężko poparzona napalmem. Nazywa się

Kim Phúc. Nadal żyje. Od wielu lat mieszka w Kanadzie.

– Już wiem – odparła Lisa Lamm. – I doskonale rozumiem. To straszne.

– Jeśli mogę powiedzieć coś dobrego o nas, ludziach Zachodu, którzy próbują zwalczać terroryzm, to właśnie to, że za wszelką cenę chcemy uniknąć tego, o czym właśnie wspomniałaś. Po części dlatego, że życie jest tak straszne za każdym razem, kiedy mimo wszystko się nie udaje, ale głównie dlatego, że nie dajemy sobie z tym rady. Nasz przeciwnik też do tego doszedł i włączył do swojego systemu. Żeby ochronić siebie i skrzywdzić nas tak bardzo, jak to tylko możliwe.

Może powinieneś się spotkać z Johanem, pomyślała Lisa Mattei.

– Co wy na to, żebyśmy zwinęli manatki i poszli do domu? – podsunęła.

– Doskonały pomysł – odparł major Björklund. – Jutro niedziela, jeszcze jeden dzień pracy dla takich jak my.



KIEDY LISA wróciła do domu, było już po dziesiątej, ale dopiero po wejściu do przedpokoju poczuła, jak bardzo jest zmęczona.

Ella spała. Johan siedział przed telewizorem i oglądał ten sam materiał, który ona widziała w pracy kilka godzin wcześniej. Nie będzie dobrze, pomyślała i opadła na sofę.

– Witaj w domu – powiedział Johan.

– Dzięki – odparła i skinęła głową.

Będzie naprawdę, naprawdę źle, dodała w myślach.

– Czy to jest coś, w czym brałaś udział? – zapytał Johan i skinął głową w stronę ekranu.

– Nie. – Lisa pokręciła głową.

– Ponieważ w tych nocnych atakach dronów zginęło kilkaset osób, Säpo schwytala mnóstwo osób podejrzanych o terroryzm, a ty i ja jesteśmy małżeństwem i mamy córkę, to naturalnie chcę wiedzieć.

– To są właściwie dwa pytania – stwierdziła Mattei. – Rozumiem, dlaczego pytasz. Odpowiedź na pierwsze, to, które amerykański prezydent poruszył w swoim wystąpieniu, brzmi nie. Ani rząd, ani Säpo, ani ja nie mieliśmy o tym pojęcia i...

– I mam w to uwierzyć?

– Możesz wierzyć, w co chcesz, ale jeśli zależy ci na odpowiedzi, to przestań mi przerywać. Co się tyczy drugiego pytania, nie bardzo wiem, o co ci właściwie chodzi.

– Zastanawiam się tylko, czy jest jakiś związek między tym, co wymyśliły Stany, a tym, czym ty i twoi koledzy zajmowaliście się tutaj.

– W takim razie to wyjątkowo durne pytanie. Odpowiedź również brzmi nie i powinieneś sam do tego dojść, posiłkując się odpowiedzią na pytanie pierwsze.

– Okej – odparł Johan. – Rozumiem.

– Nie. Mam wrażenie, że nie rozumiesz – odparła Lisa Mattei i wstała. – Znamy się od siedmiu lat i te słowa są najgłupsze i najbardziej krzywdzące ze wszystkich, jakie wypowiedziałeś przez cały ten czas. Gdybym choć podejrzewała, że wymyśliłeś coś podobnego, momentalnie bym cię zostawiła...

– Przepraszam – powiedział Johan. – Nieczęsto...

– Jeszcze nie skończyłam – przerwała Mattei. – Masz w sobie coś, z czego nie zdajesz sobie sprawy. Zawsze masz rację i jesteś tak cholernie dobry, że nie masz pojęcia, jaki potrafisz być zły.

Po tych słowach Lisa Mattei wyszła. Na ulicy zadzwoniła po taksówkę i wróciła do pracy.

Kiedy zasnęła, Jeremy Alexander zadzwonił do niej po raz czwarty w ciągu doby. Ale nie musiała wstawać, żeby odebrać – sam się uporał z „praktycznym ustrojstwem”. Chciał tylko powiedzieć, że właśnie rozwiązał jej problem. Wysłał jeden z dronów angielskich sił powietrznych do Eskilstuny, gdzie zlikwidował całą rodzinę Khalidów i zrównał ich dom z ziemią. Jego własny Żniwiarz miał swój pierwszy plon na szwedzkiej ziemi. Kiedy przekazywał te dobre wiadomości, miał na sobie krawat w różowe słonie, ale nie po to, żeby się z nią drażnić. To było odznaczenie honorowe i najpiękniejszy krawat, jaki można nosić w takiej sytuacji.

## VIII

Niedziela 7 czerwca – wtorek 9 czerwca

**Polowanie na Bombera, jego kreta i nowy cel**

W NIEDZIELĘ siódmego czerwca Calle Lewenhaupt zadzwonił do Mattei i obudził ją o siódmej rano.

– Skoro dzwonisz o tej porze, domyślam się, że podzielasz mój pogląd na temat Heleny Palmgren – oznajmiła.

– Tak – odparł Lewenhaupt. – Tak naprawdę liczyłem na to, że ten jeden raz się pomylisz, ale oczywiście była to z mojej strony głupota.

– Potrzebuję godziny – oznajmiła Mattei. – Żeby doprowadzić się do porządku, w sensie kobiecym.

– Pasuje mi to. Wyjątkowo nocowałem w domu.

– No to weź ze sobą materiały, które będziemy mogli dać naszej prokurator.

– W takim razie potrzebuję jeszcze dwóch godzin – stwierdził Lewenhaupt.

– I wtedy będziesz miał wystarczające materiały?

– Z całą pewnością. Ze względu na to, czego dotyczy sprawa, nie będę skakał z radości, ale gdybym był prokuratorem, na pewno bym to robił.

– Bądź o dziesiątej. Może być?

– Idealnie – odparł Lewenhaupt.

Mattei odczekała dwie godziny. W tym czasie poćwiczyła, wzięła prysznic, doprowadziła się do porządku i zjadła śniadanie. Dopiero wtedy zadzwoniła do Lisy Lamm.

– Mam nadzieję, że cię nie obudziłam?

– Nie. Już wstałam i skaczę wkoło. Rześka jak skowronek mimo wczorajszych ekscesów. Martwi mnie tylko, że major Björklund mi się wymyka. Wydaje się mieć o wiele bardziej złożoną osobowość, niż początkowo sądziłam. To ktoś w rodzaju prymitywnego humanisty.

– Tak. Myślę, że masz rację. Muszę się z tobą spotkać. O dziesiątej. W moim

gabinecie.

– Nie – jęknęła Lisa Lamm. – To niemożliwe. Nie dzisiaj. Dziś mam randkę. Nie jakąś tam zwykłą. Tę randkę.

– Kto to?

– A co to ma do rzeczy? To mężczyzna. Może po południu, co ty na to?

– Do zobaczenia po południu – powtórzyła Mattei. – Nie mogę powiedzieć przez telefon dlaczego.

– Okej, okej – odparła Lisa Lamm. – Rozumiem. Jest aż tak źle?

– Jeszcze gorzej.

– No dobra.

– Spójrz na to z optymistycznej strony. Mężczyzna, którego poznałaś, będzie miał okazję wcześniej zrozumieć, z kim się związał.

HELENA PALMGREN urodziła się w 1970 roku, a pod koniec lat osiemdziesiątych zaczęła studia na uniwersytecie w Sztokholmie. Przez pierwsze dwa lata konsumowała całkiem różnorodną mieszankę przedmiotów, od retoryki po religioznawstwo, aż w końcu zdecydowała, że będzie się kształcić na psychologa. Wiosną 1994 obroniła tytuł. Jej praca licencjacka dotyczyła rozmaitych problemów psychicznych, które miewają uchodźcy, kiedy się znajdują w nowym kraju o zupełnie innej kulturze.

Jej materiałem empirycznym – uchodźcami, których problemy opisywała – byli wyłącznie Somalijscy, którzy opuścili swój kraj z powodów politycznych. To jasno i wyraźnie wynikało z przedmowy i z kilku miejsc w tekście.

Praktyczne doświadczenie w tej kwestii zdobyła między innymi latem 1992 i 1993 roku, kiedy pracowała w dwóch ośrodkach przyjmowania uchodźców Urzędu Migracyjnego. Duża część uchodźców pochodziła z Somalii. Latem 1993 roku pracowała jako urzędniczka w ośrodku w Jättunie w Sörmlandii, do którego po przybyciu do Szwecji trafił Mohammed Khalid Hussein z rodziną.

To była pierwsza część obciążającej ją argumentacji, przedstawionej przez Carla Lewenhaupta. Helena Palmgren musiała poznać rodzinę Khalida w 1993 roku. Najwyraźniej zdecydowała się to przemilczeć dwadzieścia lat później, kiedy zwerbowano ją do ekipy śledczej mającej zweryfikować podejrzenia o terroryzm wobec Abbda Khalida i pozostałych członków jego rodziny. Na ten temat mieli obszerną pisemną dokumentację z Urzędu Migracyjnego: czas, kiedy została zatrudniona, notatki dotyczące wypłaty wynagrodzenia i innych praktycznych kwestii związanych z jej pracą w Jättunie.

Przez kolejne lata Helena Palmgren kontynuowała studia psychologiczne i pracowała na część etatu na swoim wydziale. Ponad rok po obronieniu pracy

licencjackiej otrzymała tytuł magistra psychologii, a wkrótce potem została przyjęta na studia doktoranckie. Jej studia obrały jednak inny kierunek. Wtedy już pracowała w Państwowym Urzędzie ds. Ochrony Psychologicznej i na część etatu w Szwedzkiej Akademii Ochrony. Wykorzystała to w długiej rozprawie na temat czynników stresogennych u załogi wozów bojowych na misji. Potem badała, w jaki sposób szwedzcy żołnierze na misjach zagranicznych najskuteczniej mogą się uporać z zespołem stresu pourazowego. Pomagała nawet opracowywać metody diagnozowania takich problemów i program ich leczenia.

Ponad dziesięć lat później, w 2010 roku, zebrała te artykuły i stworzyła z nich pracę doktorską. Jeśli chodziło o jej profil zawodowy, najbardziej pasowało do niej określenie „pracująca naukowo psycholog wojskowa z doktoratem”.

Widać to było również po pracodawcach, których miała, odkąd zrezygnowała z części etatu w Instytucie Psychologii. Najpierw przepracowała ponad rok w Państwowym Urzędzie ds. Ochrony Psychologicznej, potem kilka lat w Szwedzkiej Akademii Ochrony, a na końcu w wywiadzie wojskowym Must – zaczęła tam pracować pół roku po uzyskaniu stopnia doktora. Po kolejnych pięciu latach w wywiadzie wojskowym została umieszczona w utworzonym przez Säpo, Must i FRA organie współpracy – Narodowym Centrum Oceny Zagrożeń Terrorystycznych, NCT – i urzędowała w budynku Säpo przy Ingentingsgatan.

Jej praca miała w sobie coraz więcej elementów operacyjnych. Brała już udział w trzech dużych śledztwach w sprawie terroryzmu. Ponieważ każda z tych spraw dotyczyła muzułmańskiego terroryzmu wywodzącego się z Somalii, Carl Lewenhaupt był zdziwiony, że w CV, które złożyła, ubiegając się o przeniesienie do NCT, nie było już żadnych informacji na temat pracy akademickiej poświęconej somalijskim uchodźcom. To było dziwne i mogło zostać odczytane jako chęć ukrycia tego elementu biografii.

O zwerbowaniu Heleny Palmgren do ekipy prowadzącej śledztwo w sprawie powiązań z członkami organizacji terrorystycznych przesądziła rozmowa z o dwadzieścia lat starszą kobietą – bezpośrednią przełożoną Heleny Palmgren w ośrodku w Jättunie latem 1993 roku. Obecnie była na emeryturze i mieszkała

w Katrineholm, ale nie miała nic przeciwko temu, żeby się stawić na przesłuchanie w sprawie pracy w Jättunie i doświadczeń z Heleną Palmgren.

W Jättunie były wtedy duże problemy. Silne antagonizmy i czysto fizyczne konflikty między uchodźcami z różnych środowisk – zgłoszenia i podejrzenia przemocy, handlu narkotykami, prostytucji i innych przejawów bezprawia. Na ten temat powstało wiele wyczerpujących reportaży w mediach.

Helena Palmgren wcześniej i bardzo zdecydowanie stanęła po stronie somalijskich uchodźców, w przeciwieństwie do swoich kolegów z pracy. Nie sposób wykluczyć, że właśnie to było przyczyną plotek o jej romansie ze znacznie starszym przewodniczącym grupy Somalijczyków, Mohammedem Khalidem Husseinem, ojcem wielu dzieci, spośród których najstarszy był Abdullah Mohammed Khalid.

Już pod koniec lata 1993 roku w sprawie Jättuny przeprowadzono wewnętrzne śledztwo. Helena Palmgren przyznała, że utrzymywała częste kontakty z Mohammedem Khalidem. Ze względu na jego rolę w grupie somalijskich uchodźców i jej pracę nie było w tym nic dziwnego. To, że przy okazji nawiązała coś w rodzaju osobistej relacji z Mohammedem i jego rodziną, również szczególnie nie dziwiło. Plotkom o romansie stanowczo zaprzeczyła. Wewnętrzne śledztwo zakończyło się w zwykły sposób – utworzono nowe reguły i rekomendacje, ale nie zaadresowano ich do konkretnej osoby. Ani tym bardziej nie udzielono Helenie Palmgren żadnej reprimendy.

Była szefowa bez oporów opowiadała, że kilka razy poruszyła z nią temat jej zdaniem wątpliwych stosunków z rodziną Khalidów. Podkreślała, jak ważne są zawodowy dystans i obiektywizm. Nawet powiedziała wprost, że jej zdaniem to niewłaściwe, żeby ktoś taki jak ona przytulał Mohammeda, dorosłego człowieka. To nie to samo, co przytulanie jego dzieci czy nawet żon.

– Co ona na to? – spytała Mattei. – Czy Helena Palmgren uprawiała seks z Mohammedem?

– Ta kobieta nie powiedziała tego wprost – odparł Lewenhaupt. – Ale widziałem, że jest przekonana, iż tak właśnie było. Jeśli zlecisz mi jeszcze jedno przesłuchanie, z pewnością uda mi się ją namówić, by podała choćby nazwiska kolegów z pracy, od



których to usłyszała. Jeśli dasz mi kilka dni, prawdopodobnie uda mi się ich odszukać. Wśród współpracowników Heleny Palmgren znajdzie się paru takich, którzy nie byli nią zachwyceni. Wynika to wprost z przeprowadzonego dochodzenia.

– A jej szefowa?

– Mądra, zrównowazona, nie przejawia najmniejszej skłonności do plotek. Dobra przełożona, w rodzaju tych uczciwych i empatycznych, próbująca przemówić do rozsądku pracownikom, którzy roją jeszcze jakieś nadzieje. Jednocześnie nie wzbrania się przed ochrzaniem kogoś, jeśli potrzeba.

– Jak jej poszło? Kiedy próbowała skłonić Helenę Palmgren, żeby się opamiętała?

– spytała Mattei.

– Niespecjalnie. Helena Palmgren miała w sobie coś, czego jej szefowa nie lubiła. Nie słuchała pewnych rzeczy. I nie chciała o nich rozmawiać. Szefowa użyła słowa „zatwardziała”.

– To, co powiedziałaś, wystarczy, żebym zaczęła ją podejrzewać o złamanie tajemnicy służbowej albo niedopełnienie obowiązków – powiedziała Lisa Lamm. – Mam też nadzieję, że uda się udowodnić, iż tym samym działała jako kret na rzecz Abda Khalida i pozostałych zamieszanych w sprawę członków jego rodziny. Mogę podpisać papiery, a to, że przedtem powinnam porozmawiać z moim szefem i szefem ochrony Säpo, wcale mnie nie niepokoi.

– Mnie też nie – odparła Mattei. – Wiem, że jesteś znacznie bardziej krwiożercza niż my.

– Niepokoi mnie za to kolejny krok – ciągnęła Lamm. – W jej zaangażowaniu w poważną działalność terrorystyczną brakuje obecnie czegoś, czym moglibyśmy przywalić Khalidom. Ale w porządku, porozmawiam z tymi, o których mówiliście, a ty, Liso, możesz wysłać ludzi, którzy zatrzymają ją w ciągu kilku godzin. Mamy dość materiału, żeby ją wsadzić za kratki, tyle że chcę się najpierw uporać z krokiem numer dwa. Tym, że pomagała przygotować albo przeprowadzić duży zamach terrorystyczny. I że przeszkadzała nam w śledztwie w tej sprawie, ostrzegając Khalida. A w najgorszym wypadku że zrobiła to, by umożliwić mu przeprowadzenie jakiejś innej akcji.

– Najgorsze w tym całym bajzlu, którego jak dotąd udało mi się ci oszczędzić, jest to, co skłoniło mnie do postanowienia, że musimy zrobić jeszcze kilka innych rzeczy, zanim się weźmiemy za Helenę Palmgren. Chodzi mi o człowieka, który był jej źródłem informacji. Wprawdzie go wykorzystwała, ale sposób, w jaki na to pozwolił, nie uchroni go przed wyładowaniem w tym samym więzieniu.

– Kto to taki?

– Nasz dyrektor generalny – odparła Mattei. – Unikalne połączenie naiwności, niedyskrecji i zwyczajnego rozbuchanego ego.

– Nie, Liso. Przestań.

– Nie mam zamiaru – powiedziała Mattei. – W ten właśnie sposób znalazłam Palmgren. Z pomocą jej durnego, nieświadomego pomocnika. Jego motywacje są zwyczajne. Kręci z nią i jak wszyscy faceci jego pokroju tłumaczy to sobie tak, że jest ucieleśnieniem skrytych marzeń każdej kobiety.

– I co teraz?

– Oto co zrobimy – oznajmiła Mattei. – Nie powiemy o tym ani słowa naszemu dyrektorowi. Ty załatwisz wszystkie zezwolenia potrzebne w sprawie Palmgrenki: zwyczajne i tajne podsłuchy, zhakowanie jej komputera, tajna rewizja, krótko mówiąc cały zestaw, a ja się zajmę stroną praktyczną. W ciągu kilku dni przyniesie nam jego głowę na talerzu.

– Myślisz, że jest równie naiwna jak dyrektor?

– Nie – odparła Mattei. – Helena Palmgren jest inna. Kompletnie pozbawiona poczucia humoru, zatwardziała, brakuje jej czujności, a wszystko dlatego, że jest głęboko wierząca. Zobaczyła prawdę i światło.

– Skoro tak mówisz – odparła Lamm i skinęła głową. – Pamiętam, że na jednym ze spotkań mówiła, że jej tata był pastorem Kościoła Szwecji.

– Tak, choć teraz wierzy w zupełnie coś innego. Helena Palmgren jest muzułmanką, prawdopodobnie od czasu, kiedy pracowała w ośrodku dla uchodźców w Jättunie i papa Mohammed ją nawrócił, jakkolwiek to wyglądało.

– Muzułmanką? Jakie masz na to dowody? Uważam, że wygląda raczej jak starodawna korepetytorka.

- Ale nią nie jest – odparła Mattei. – Pozostaje to udowodnić. Założymy się?
- O co? O miesięczną pensję?
- Nie rób tego. – Calle Lewenhaupt spojrział na Lisę Lamm i pokręcił głową.
- Szkoda – powiedziała Mattei. – Przydałoby mi się trochę dodatkowej kasy na zakupy.

DEBATA O ICH ŚLEDZTWIE w mediach społecznościowych rozpoczęła się już w sobotę po południu, zgodnie z obowiązującym zwyczajem. Była to standardowa mieszanka faktów, domysłów, spekulacji, życzeń, fantazji, oszczerstw i zwykłego wariactwa. Na brak zaangażowania także nie można było narzekać. Lista proponowanych środków politycznych była rozległa i wyrażona zwyczajowym językiem. Zaczynając od tego, że powinno się „powystrzelać wszystkich gliniarzy, rasistów i złodziei”, po stwierdzenia, że powinno się zrobić jeszcze gorsze rzeczy wszystkim „islamistom, Arabusom, czarnuchom i pedałem”. Krótko mówiąc – jak zwykle. Poczucie bezpieczeństwa podczas lektury i dialogu było gwarantowane.

Tradycyjne media dały pierwszy znak życia ze zwyczajowym opóźnieniem – wstępne, ostrożnie krytyczne komentarze zaczęły się pojawiać na pierwszych stronach niedzielnych gazet i w porannych wiadomościach radiowych. Niepokojono się, że zaczyna to przypominać procesy terrorystów w Göteborgu i Malmö. Jak bardzo zagrożona tym razem jest zasada pewności prawa?

Reakcje w mediach można było porównać z pojedynczymi podmuchami wiatru, jeszcze tak słabymi, że nie sposób było przewidzieć, jaki kierunek obiorą, jeśli wiatr będzie się wzmacniał. Nie dało się też wykluczyć, że osłabnie i w ogóle zaniknie. Te ostrożne podmuchy przerodziły się jednak w prawdziwy orkan za sprawą programu śniadaniowego w TV4 i zaproszonego gościa – Leyli Hussein. To był nie lada wyczyn, bo zazwyczaj zwykle przemyślenia nie zmieniały się w materiały z pierwszych stron gazet.

Leyla Hussein przyszła do programu opowiedzieć o przygotowaniach do zbliżających się igrzysk olimpijskich, ale kiedy kwadrans przed zajęciem miejsca w studiu wspomniała, co obecnie zajmuje jej głowę i serce, producentka natychmiast zmieniła koncepcję o sto osiemdziesiąt stopni i postarała się o to, by jej koledzy z redakcji newsowej przygotowali dodatkowy materiał.

Leyla ze łzami w oczach opowiedziała o bezprawnych działaniach wymierzonych w całą rodzinę, którą miała okazję poznać, kiedy jako mała dziewczynka uciekła do Szwecji z ogarniętej wojną Somalii. Zapewniała, że to najlepsi i najmiłsi ludzie, jakich zna. Opowiadała, że ona i jej krewni zawsze mogli szukać schronienia i pomocy u Khalidów, mówiła o jednym z synów, w którym się potajemnie kochała, kiedy chodzili do tej samej klasy szkoły podstawowej, o małym Sammym, który siedział jej na kolanach po mityngu lekkoatletycznym DN Galan rok przed tym, jak świętowano jej sukcesy wielką imprezą w Towarzystwie Przyjaźni Szwedzko-Somalijskiej. Określiła ich jako uczciwych, pracowitych ludzi. Teraz wszyscy siedzieli w szwedzkim więzieniu. Wiekowa babcia przebywała na oddziale zamkniętym, a mały Sammy został tak dotkliwie pobity przez służby specjalne, że leżał na oddziale ratunkowym w szpitalu w Eskilstunie i pewnie był w fatalnym stanie, bo lekarze nie chcieli z nią rozmawiać, kiedy zadzwoniła zapytać, jak się czuje.

Dan Andersson widział ten materiał, bo chciał dotrzymać żonie towarzystwa, skoro wreszcie miał kilka godzin wolnego. Jeszcze zanim głęboko poruszona prowadząca zdążyła podziękować Leyli Hussein za przyjście, rozdzwoniły się wszystkie telefony, a on już wiedział, o co chodzi.

Nienawidzę celebrytów, pomyślał.

DYREKTOR GENERALNY zadzwonił jeszcze raz i zostawił wiadomość niemal identyczną z poprzednią. Był poważnie zaniepokojony i stwierdził, że ona też powinna być zaniepokojona, jeśli widziała, w jaki sposób jej śledztwo zaczęło być przedstawiane w mediach. Z tego względu prosił o natychmiastowy kontakt.

Jeśli myśli, że rzucę wszystko i do niego pogonię, to sam niech się goni, pomyślała Mattei i zadzwoniła do Martinez.

– Będę się streszczać – powiedziała. – Weź dwunastu najlepszych ludzi. Dopilnuj, żeby wzięli swoje bambetle i przyjechali do Sztokholmu. Zmieniamy priorytety. Zostawiamy wszystkich ludzi potrzebnych do uporania się z tym, co zostało do zrobienia. Znalezienie Abba to priorytet numer jeden dla tych, którzy zostaną. Przyczaił się gdzieś w pobliżu. Jestem tego pewna. Stenhård i ich koledzy są dobrzy w takich rzeczach. Pozostali mogą zrobić sobie przerwę.

– Naprawdę nie mam problemu z tym, żeby wrócić do Sztokholmu.

– Wiem – odparła Mattei. – Ale mam nudną robotę dla ciebie i twoich kolegów.

– Co będziemy robić?

– Polować na kreta – odparła Mattei. – Chciałam zacząć najwcześniej, jak to możliwe. Najpóźniej dziś wieczorem.

– Jest ktoś, z kim mamy nie rozmawiać?

– Tak, wszyscy – odparła Mattei. – Oczywiście oprócz mnie.

– Wreszcie – skwitowała Martinez.

Lisa Mattei została ostrzeżona na czas przez rzecznika prasowego Säpo i ustawiła przekierowywanie rozmów bezpośrednio na pocztę głosową. Jak tylko Martinez zadzwoniła i powiedziała, że ona, Motoele i kilku innych godnych zaufania kolegów już są, zgarnęła najpotrzebniejsze rzeczy, wyszła z pokoju i udała się w najbezpieczniejsze miejsce w budynku: centrum operacyjne pionu

antyterrorystycznego znajdujące się w piwnicy.

Kiedy tam szła, zadzwoniła do niej Lisa Lamm z informacją, że mają już całe niezbędne wsparcie formalne.

– No to klakson i w drogę – powiedziała.

Jak za starych dobrych czasów, pomyślała Mattei. Kiedy sama byłam prawdziwą policjantką. Nie to co teraz – siedzenie za wielkim biurkiem i przerzucanie papierów.

Potem przedstawiła sytuację Martinez i jej współpracownikom.

Należało zdobyć dowody, że ich kret – Helena Palmgren – kontaktował się z Abbdem Khalidem i ludźmi z jego otoczenia. Potwierdzić związek Palmgren z dyrektorem generalnym. Przez cały czas być gotowym na nagłe i niebezpieczne sytuacje. Przeprowadzić wszystkie niezbędne przygotowania techniczne najszybciej, jak to możliwe. Zrobić to w jak największej tajemnicy.

– Mamy jakieś ramy czasowe, szefowo? – zapytał Motoele.

– Jak najszybciej. Wszystko, co pasuje do tego, co przed chwilą powiedziałam, chcę wiedzieć natychmiast. Jak tylko prokurator uzna, że mamy wystarczająco dużo materiałów, żeby zatrzymać Palmgren i dyrektora generalnego, zrobimy to. Najlepiej by było, gdybyśmy zatrzymali ich równocześnie.

– A jeszcze lepiej w łóżku, kiedy szaleją na całego – powiedziała Sandra Kovac.

– Szef Säpo podrygujący na szpiegu. A ty skujesz ich oboje kajdankami. Taki dodatkowy profit.

– Jeszcze o jednym powinnam was poinformować – powiedziała Lisa Mattei.

– O czym? – spytała Martinez.

– To nie są zwyczajni przestępcy. Helena Palmgren żyje w przekonaniu, że jest poza wszelkim podejrzeniem. Z naszym dyrektorem generalnym jest niestety jeszcze gorzej. Chyba nawet nie jest świadomy, że to, co robi, jest w jakimkolwiek sensie niezgodne z prawem. Nie ma pojęcia, że Helena Palmgren chce go wydoić z informacji. To się nie mieści nawet w jego wyobraźni.

– Tacy ludzie są tak łatwymi ofiarami, że to aż przerażające – powiedziała Martinez.

– Otóż to. Są dokładnie tacy, jacy się wydają. Uważają, że nie mają się czego

obawiać ze strony takich jak my.

Polowanie na kreta trwało niecałe trzy doby. Już w niedzielę wieczorem Frank Motoele postarał się o to, żeby zacząć je z przytupem. Jak tylko ustalił, gdzie mieszka Helena Palmgren, doszedł do wniosku, że jeśli dobrze wszystko rozegra, będzie mógł wejść w posiadanie kryjówki w domu po drugiej stronie ulicy, co było jak mokry sen dla takiego śledczego jak on.

Piętnaście minut później dzwonił do drzwi mieszkania, które – był o tym przekonany – należało do jedyne go policjanta w kraju, który zasługiwał na to miano – komisarza Everta Bäckströma.

– Miło cię widzieć, Frank – oznajmił Bäckström, pykając kubańskie cygaro. – Co mogę dla ciebie zrobić?

– Szacunek, szefie – powiedział Frank i się uklonił. – Mogę wejść?

– Oczywiście, Frank. Wchodź, wchodź – odparł Bäckström i wszedł przodem do swojego sanktuarium.

Miał na sobie czerwono-niebieską bonzurkę z grubego jedwabiu z szerokimi złotymi wyłogami złączonymi złotym sznurkiem. Widząc jego gołe nogi, można było się domyślić, że nie ma na sobie nic więcej. Pewnie po to, żeby Supersalami mogło swobodnie dyndać, pomyślał Motoele, bo sam miał tego typu problemy. Bäckström miał na szyi szeroki złoty łańcuch, na którym wisiał krzyżyk z brylantami, do kieszeni na piersi zaś schował czarne skórzane etui na cygara.

– Siadaj, Frank, siadaj – zachęcił Bäckström i zapraszającym gestem wskazał ogromną skórzaną sofę.

Sam opadł na ogromny fotel z uszami i oparł strzaskane na brąz stopy na okazałym podnóżku. Na małym stoliku u jego boku stała duża karafka z czymś, co, jeśli sądzić po kolorze, prawdopodobnie było wódką, a do tego porządny kieliszek klasycznego modelu, napełniony po brzegi. Bäckström wypuścił dym z cygara, opróżnił kieliszek do połowy, westchnął z zadowoleniem i opadł na oparcie.

– Jeśli masz ochotę na kielicha albo piwo, to się obsłuż – powiedział i wskazał ręką kuchnię. – Wszystko jest w lodówce.

– Dziękuję, nie trzeba – odparł Frank Motoele.



Facet musi być niezniszczalny, pomyślał. Tyle żre i chleje, a teraz jeszcze zaczął palić cygara. Tyle że wygląda jak okaz zdrowia – tłusty, opalony i lśniący.

– Mówiłeś o jakiejś przysłudze, którą miałbym ci wyświadczyć – przypomniał Bäckström.

– Słyszałem pogłoski, że szef kupił mieszkanie sąsiadów w tym budynku – oznajmił Motoele.

– Tak jest w istocie – odparł Bäckström. – Nie przepadam za sąsiadami. Ten mój był godny pożałowania. Stary, zapity reporter telewizyjny. Ludzie o wiele za dużo chleją – orzekł Bäckström, opróżnił kieliszek, kolejnym ruchem napełnił go po brzegi i zakończył jeszcze jednym pyknięciem cygara.

– Zastanawiam się, czy moglibyśmy wynająć je na kilka dni i używać w charakterze kryjówki.

– Aha – odparł Bäckström z chytrym uśmiechem. – Zaczynam rozumieć, co jest grane. Pracujesz teraz w Säpo?

– Tak – Motoele skinął głową na potwierdzenie.

– To nie może być zbyt fajne: mieć przełożonego, który posuwa polską dziwkę.

– Skąd szef o tym wie? – zapytał Frank.

– Jestem policjantem – odparł Bäckström. – Z tym się trzeba urodzić. Powinieneś to wiedzieć. Jeśli chodzi o twojego szefa, kojarzę go. Wynajmuje tamto mieszkanie od pół roku. Mieszka tam z nim gruba, niewyżyta blondyna z dużymi melonami. Twój szef, że tak powiem, nie wygląda jak ty czy ja – oznajmił i dla podkreślenia swoich słów zamachał cygarem w kierunku Supersalami, choć przecież nie mógł mieć pojęcia o mrocznych tajemnicach, które skrywały wypchane dzinsy Motoelega.

– Dlaczego szef myśli, że to jest polska dziwka?

– Dam ci dobrą radę, Frank. Jeżeli widzisz kogoś, kto wygląda jak polska dziwka i pieprzy się jak polska dziwka, to znaczy, że właśnie zobaczyłeś polską dziwkę. A właśnie, może byśmy obejrzeliby to gniazdko?

Doskonale, pomyślał Motoele. Duże okna wychodzące na ulicę, puste mieszkanie najwyraźniej czekające na remont, możliwość zajrzenia prosto do mieszkania Heleny Palmgren w domu po drugiej stronie ulicy. Dom nie miał nic wspólnego z gniazdem

wron, w którym mieszkał Abbdo z rodziną.

– Nie mógłbym wynająć tego kwadratu na kilka dni? – zapytał Frank.

– Jasne, że byś mógł – odparł Bäckström.

Wielki i głodny kanibal, który pyta, czy możesz go poczęstować hamburgerem z surowego mięsa, pomyślał. Cóż można na to odpowiedzieć.

– Co w takim razie mogę dla szefa zrobić?

– Może kilka dobrych zdjęć, które wykorzystam jako ilustracje w moich pamiętnikach – odpowiedział Bäckström i wzruszył ramionami. – Najlepiej coś, co ma związek z policją – dodał.

– Związek z policją?

– No, wiesz. Jakieś kajdanki, pałki, kneble i tego typu rzeczy. Coś w klimacie tego byłego policjanta i seryjnego gwałciciela, znanego jako Kapitan Sukienka. Dyrektora szkoły policyjnej i zagorzałego orędownika kwestii równouprawnienia.

– Zobaczę, co da się zrobić – odparł Frank Motoele.

– Zrób, co w twojej mocy, Frank – odparł Bäckström. – Zdjęcia, które ja zrobiłem, niestety nie są wybitne. Zwykle obciążanie. Raczej się nie da zamieścić na jego stronie. Ostrość jest bez zarzutu, ale brakuje tego czegoś.

– Szef ma jego zdjęcia?

– Oczywiście. Ile dusza zapragnie – odparł Bäckström. – Jej oczywiście też.

– Mógłbym na nie zerknąć?

– Oczywiście, Frank – odparł Bäckström. – Oczywiście.

Lisa Mattei twierdziła, że to dwie łatwe zdobycze. I miała absolutną rację. W dwie i pół doby zgromadzili wszystkie potrzebne materiały obciążające Helenę Palmgren i jej kochanka, nieświadomego informatora. Kiedy skończyli, ich zadanie również dobiegło końca. Nie było sensu ich zatrzymywać, ale to już nie była sprawa Mattei. Wszystko się rozwiązało.

CZEKAJĄC, aż Ove Kristiansson będzie w takim stanie, że da się z nim porozmawiać, Ingrid Dahl musiała się zadowolić codziennymi kontaktami z lekarzem Kristianssona i jego adwokatem. Trzecie przesłuchanie doszło do skutku dopiero rankiem ósmego czerwca. Lekarz niechętnie wyraził zgodę, więc adwokat podjął jeszcze jedną próbę przemówienia klientowi do rozsądku. Kristiansson oświadczył, że mógłby się spotkać z Dahl, bo może dzięki temu „wreszcie przestanie się z nim drażnić”. Chciał, żeby spotkanie odbyło się na osobności, a powodów tego życzenia nie chciał zdradzać nawet adwokatowi.

– Nikogo ta decyzja nie cieszy bardziej niż mnie – oznajmił z westchnieniem adwokat Eriksson.

– Naprawdę nie masz się czego wstydzić, Johan – powiedziała Ingrid Dahl. – Nie ulega wątpliwości, że działałeś w interesie klienta.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz – odparł Eriksson. – Wprawdzie to się wydarzyło, ale nie mam zamiaru zamieniać takich kontaktów w zwyczaj.

Ingrid Dahl czekała prawie godzinę, aż lekarz Kristianssona skończy. Kristiansson był obudzony, niezbyt przytomny, ale jego stan zdrowia nie stanowił decydującej przeszkody. Lekarz poradził, by starała się być dobrej myśli, jak on, i zapewnił, że gdyby coś się działo, będzie tuż obok.

Trzecie przesłuchanie na cztery próby, pomyślała Ingrid Dahl, kiedy weszła do sali i usiadła na krześle koło jego łóżka.

– Miło cię znowu widzieć, Ove – zaczęła. – Mam pozdrowienia od twojego adwokata, życzył ci szybkiego powrotu do zdrowia. Z kolei twój lekarz uważa, że wszystko idzie ku lepszemu.

Skinęła mu głową i przyjaźnie poklepała go po wąskim, żylastym ramieniu.

– Hmm – mruknął Ove i niechętnie skinął głową.

Przynajmniej mnie poznaje, pomyślała Ingrid Dahl. Chociaż niewiele ponadto. Pozostaje mi zrobić, co w mojej mocy.

– Twój adwokat dał do zrozumienia, że chcesz o czymś opowiedzieć.

– Hmm – mruknął Ove i powtórnie skinął głową.

– Chętnie posłucham – powiedziała i poklepała go po dłoni.

Tym razem nie było żadnego mamrotania, tylko skinienie.

– Zrozumiałam, że chciałeś opowiedzieć o czymś, w czym pomagałeś Abbdowi Khalidowi.

– E-e – odparł Khalid i tym razem pokręcił głową.

– O czymś, co mu sprzedałaś – powiedziała Ingrid Dahl, udając, że nie zauważa jego reakcji.

– Sprzedałeś – powtórzył Ove Kristiansson i znów skinął głową.

Wreszcie do czegoś dochodzimy, pomyślała Ingrid Dahl.

– Mówisz, że sprzedałeś coś Abbdowi. Co takiego? – zapytała Dahl.

– Bolin – wybełkotał Ove i pokręcił głową. – Bolin.

– Bolin? Sprzedałeś coś komuś, kto się nazywa Bolin? Kto to taki?

– E-e – wymamrotał Kristiansson i znów pokręcił głową.

– Opowiedz – Dahl nie ustępowała. – Sprzedałeś coś komuś o nazwisku Bolin.

Kim on jest?

– E-e – odparł Ove i pokręcił głową. – Bolin... mnich – wybełkotał.

– Mnich?

– Bolin... mnich – powtórzył Ove i skinął głową.

– Sprzedałeś coś człowiekowi, który się nazywa Bolin i jest mnichem – powiedziała Dahl, delikatnie ściskając go za ramię. – Możesz powiedzieć o nim coś więcej?

Tym razem Ove nic nie odpowiedział. Nie kiwnął ani nie pokręcił głową. Nagle wydawał się kompletnie nieobecny. Miał nieruchome spojrzenie i wyglądał, jakby nie patrzył na nic konkretnego. W tym samym czasie do sali wszedł jego lekarz w towarzystwie pielęgniarki. Pokręcił głową i skinął w kierunku drzwi. Ingrid Dahl wstała, wyszła z sali, usiadła na krześle w korytarzu i czekała.

Co ja mam teraz zrobić? – myślała.

Po dwóch minutach pielęgniarz wywiózł z sali łóżko z nieruchomym Ovem, minął ją i zniknął w korytarzu, a lekarz Ovego przystanął, żeby porozmawiać.

– Co się stało? – spytała Dahl. – Zemdlął?

– Miejmy nadzieję – odparł lekarz. – W najgorszym wypadku miał wylew albo zakrzep.

– Będziemy w kontakcie – powiedziała Dahl.

– A mam jakiś wybór? – zapytał lekarz. – Obiecuję, że się odezwę, jak tylko będę coś wiedział.

Godzinę później Ingrid Dahl siedziała w gabinecie Lisy Mattei.

– Popraw mnie, jeśli się mylę – powiedziała Mattei. – Trudny do zrozumienia Kristiansson twierdzi, że sprzedał coś niejakiemu Bolinowi, który do tego jest podobno mnichem.

– Nagrałam wszystko komórką – oznajmiła Ingrid Dahl. – Masz to na mailu. Proponuję, żebyś sama spojrzała.

– Jasne – odparła Mattei. – Ależ to ekscytujące. Najpierw Abbdo Khalid robi jakieś interesy z Kristianssonem, bo wiemy już, że tak było, a potem nagle w śledztwie pojawia się jakiś mnich. Bolin. Jeśli sądzić po nazwisku, to szwedzki mnich. To fantastyczne. Być może pierwszy przypadek w historii walki z terroryzmem, kiedy chrześcijańscy fundamentaliści, z tych, co to z reguły wysadzają w powietrze kliniki aborcyjne, urzędy podatkowe i komorników, połączyli siły z muzułmanami.

– Super – odparła Ingrid Dahl i wstała. – Super, że ci się podoba.

– Do usłyszenia – powiedziała z uśmiechem Mattei.

Od dawna nie czułam się tak dobrze, pomyślała. Mam już za sobą to nieszczęsne Święto Narodowe, nasz dyrektor wkrótce będzie już tylko złym wspomnieniem i nawet przestałam przeklinać Johana.

– Tak. Odezwij się, proszę – odparła Ingrid Dahl. – Potrzebuję każdej możliwej pomocy. Dlaczego nie można po prostu dostać zwykłej wiadomości od człowieka na

łożu śmierci? Wiesz, jak to zwykle w kryminałach. Kompletnie niepojęte.

– To nie takie dziwne – stwierdziła Mattei.

– Czyżby?

– No tak. Przecież Ove Kristiansson żyje.

JAK TYLKO MATTEI została sama w gabinecie, zaczęła oglądać przesłuchanie, które Ingrid Dahl nagrała telefonem komórkowym. Bez wątpienia trudno to zrozumieć, pomyślała. Potem przesłała nagranie dalej, Carlowi Björklundowi, „tylko do jego wiadomości”. Prosiła, żeby się do niej odezwał, jeśli będzie potrafił rozproszyć otaczającą ją mgłę. Oczywiście im szybciej, tym lepiej.

Jeżeli ktoś taki jak Abbdó Khalid może załatwiać sprawy z mnichem Bolinem, nie powinno dziwić, że policjantka i genderystka szuka wsparcia i porady u majora Carla Björklunda, pomyślała Mattei i wysłała wiadomość.

– Wszystko dobrze, szefowo? – zapytał major Björklund.

– Prima sort, Carl. A u ciebie?

– Cóż, niektórzy mają gorzej. Jeśli zaś chodzi o przesłuchanie, nie ma większych problemów. Chce szefowa, żebyśmy pomówili o tym teraz, przez telefon?

– Nie, ani słowa. Chcę, żebyś tu przyszedł i wszystko mi powiedział.

– Będę za kwadrans – odparł major Björklund.

I tak znów się tam znalazł. O umówionej porze. Wszystko wskazywało na to, że był jej tak wierny, jak dwaj rekruci byli wierni jemu. Major Carl Björklund, porządny człowiek, pomyślała.

– Słucham, Carl – powiedziała Mattei i skinęła mu głową.

Zaczynam też mówić jak on, pomyślała.

– Myślę, że szefowa nie musi się martwić, że pojawił się jakiś tajemniczy Bolin, w dodatku mnich. Nazwisko, które próbuje wymówić Kristiansson, brzmi Bolinder.

– Kto to taki?

– Na pewno nie mnich. Bolinder był producentem traktorów z Eskilstuny. Na początku lat trzydziestych połączył firmę z innym warsztatem, który również mieścił

się w Eskilstunie i nosił nazwę Munktells. Nowa firma, Bolinder-Munktell AB, na początku lat pięćdziesiątych została sprzedana Volvo.

– I produkują traktory.

– Nie tylko traktory, ale też wiele innych pojazdów do celów cywilnych i wojskowych. Na przykład gaśnicowe transportery opancerzone dla wojska. Mówimy o wiodącej firmie, najjaśniejszym punkcie w historii szwedzkiego przemysłu.

– W jaki sposób oni się łączą z tą historią? – spytała Mattei.

– Zauważyłem, że stara firma Kristianssona, ta, która zbankrutowała siedem lat temu, posiadała między innymi ładowarkę czołową największego modelu. Volvo BM z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego, z napędem na cztery koła, o masie własnej liczącej ponad dziesięć ton.

– Ładowarka czołowa? Co to takiego?

– Taki traktor z wielką łyżką z przodu. Akurat ta była prawdopodobnie używana do usuwania ciężkich materiałów, jak odłamki skalne i temu podobne. To największa maszyna, jaką wyprodukowało Volvo BM. Sądząc po papierach, została skreślona z ewidencji i wyrejestrowana przy okazji upadłości Kristianssona, ale nie oznacza to, że nie stoi w jakiejś oborze.

– Po co Abbdowi Khalidowi coś takiego? – zapytała Mattei, choć major Björklund już podał jej odpowiedź.

– Najwyraźniej zrobił to, co i ja bym zrobił na jego miejscu – odparł major Björklund i skinął głową. – Kupił wóz bojowy jednorazowego użytku.



KIEDY HELENA PALMGREN wyszła z domu, żeby pójść piechotą do pracy przy Ingentingsgatan, technicy Säpo wkroczyli do jej mieszkania. W tym samym czasie śledczy Martinez ruszyli za Heleną Palmgren, żeby mieć pewność, że technicy będą mogli spokojnie pracować. Ukryte mikrofony, ukryte kamery oraz różne czujniki mogły wykryć pozostałe czynności, którym oddawał się obiekt.

Jej komputer został już zhakowany, dzięki czemu mogli natychmiast przechwycić wszystko, co wysyłała i odbierała. Można było na przykład zatrzymać jej pocztę i całą aktywność na komputerze. Jej telefony komórkowe były już na podsłuchu, a gdyby kupiła sobie nowy i używała go w mieszkaniu, mogli go również zidentyfikować, praktycznie od razu.

Wszystko było w jak najlepszym porządku. Skoro już byli na miejscu, postanowili na zakończenie pracy przeprowadzić bardzo dyskretną rewizję. Dzięki temu udało się znaleźć zdjęcia w starym albumie, które potwierdzały, że utrzymywała kontakty z Mohammedem Khalidem i jego rodziną kilka lat po zakończeniu pracy w Jättunie, na początku lat dziewięćdziesiątych.

Lisa Mattei postarała się, żeby jej dziennik ze śledztwa był w jak najlepszym porządku. Szczególnie te fragmenty, które dotyczyły dyrektora generalnego i Heleny Palmgren. Dwukrotnie w ciągu tego popołudnia znalazła się w sytuacji, kiedy to musiała się pilnować, żeby się nie zdradzić. Wiele ją to kosztowało, bo udawała przed ludźmi, którzy potrafili przejrzeć tego typu zagrania, ale była przekonana, że jej się udało.

Najpierw odbyła krótką rozmowę z szefem, który wyraził duże zaniepokojenie szalejącą w mediach burzą. Niektóre informacje na temat ich śledztwa, które podawano, były wręcz nie do pomyślenia. Mattei się z nim zgadzała. Treści nie mogła oczywiście komentować, z tych samych powodów co wcześniej, ale nie

rozumiała, dlaczego się martwi. Gdyby coś poszło nie tak, będą za to odpowiadały ona i prokurator. Właśnie dlatego instrukcje, którymi się kierowali, wyglądały, jak wyglądały.

– Jestem przekonany, że skontaktuje się ze mną rząd i będzie chciał informacji – zaoponował dyrektor generalny.

– To jeszcze nie koniec świata – odparła Mattei. – Obowiązuje nas regulamin. Przestrzegaliśmy go co do joty.

Przestrzegam go nawet teraz, żebyś nie narobił kolejnych problemów, pomyślała.

Potem na jej komórkę zadzwoniła Helena Palmgren. Chciała porozmawiać o jednej sprawie. Najlepiej w cztery oczy, lecz jeśli to niemożliwe, mogła też przez telefon. Mattei odpowiedziała, że niestety nie da rady się z nią spotkać, ale nie jest zwolenniczką omawiania ważnych kwestii przez telefon.

– Może zjadłybyśmy jutro razem lunch? – podsunęła Mattei.

– Jeśli ci pasuje – odparła Palmgren. – Po prostu mam pewne przemyślenia. Dotyczą aktualnej sytuacji.

– To brzmi jak doskonały temat do rozmowy przy lunchu – stwierdziła Mattei.

Chcesz mi sprzedać informację, pomyślała Lisa Mattei. Wszystko zgodnie z podręcznikiem oszukiwania i zdrady. A tymczasem ten, którego naprawdę udało ci się oszukać, plecie koronę cierniową, którą zamierza włożyć mi na głowę.

Pozostało najtrudniejsze – to, co wymagało największego wysiłku, bo dotyczyło jej i rzeczy, które naprawdę miały znaczenie. Zadzwoniła do Johana.

– Wreszcie – powiedział Johan. – Nie zamierzam nawet pytać, czy widziałas moje wiadomości.

– Oczywiście, że widziałam. Nie odpowiadałam, bo na początku byłam tak wściekła, że wydawało mi się to bezcelowe. A dzisiaj miałam pełne ręce roboty. Proponuję, żebyśmy o tym porozmawiali za chwilę, bo mimo wszystko się zobaczymy. Oczywiście o ile nie wyprowadziłeś się do siostry i jej pana od liczenia pieniędzy.

– Nie, jeszcze tu jestem.

– Miło to słyszeć – odparła Mattei.

– Co teraz robimy?

– Ja miałam zamiar odebrać Ellę z przedszkola, a potem zrobić nam kolację. Może spotkajmy się o szóstej? Co ty chciałeś robić?

– Nie masz pojęcia, jak cholernie źle się czułem po tym, co powiedziałem.

– Myślę, że mam. Musisz nad tym popracować. Weź pod uwagę, że możesz być całkiem normalny albo rozwścieczony. Kiedy czujesz, że to się zbliża, poskacz trochę i pokrzyycz.

– Obiecuję, że tak zrobię.

– Wierzę ci – odparła Mattei. – Zrobię nam najpyszniejszą kolację na świecie.

– Tata powiedział, że był dla ciebie niedobry – oznajmiła Ella, jak tylko wróciły z przedszkola i mogły szczerze porozmawiać.

– Dorośli czasem się kłócą – odparła Lisa.

– Dzieci kłócą się w kółko – odparła Ella. – Oczywiście wtedy, kiedy są niezadowolone.

– Dorośli też.

– Może spuścimy mu lanie? – podsunęła Ella.

– To chyba nie jest dobry pomysł – rzekła Lisa. – Jest dużo silniejszy od nas.

– No to co zrobimy?

– Pomyślałam, że mogłybyśmy ugotować coś razem i go na to zaprosić. Potem będziemy go całować. Non stop. Aż każe nam przestać.

– Taaaaak! – zawołała Ella.

WE WTOREK dziewiątego czerwca Ingrid Dahl odebrała telefon od lekarza Ovego Kristianssona. Miał smutną wiadomość. W nocy Kristiansson doznał poważnego wylewu, ocenionego przez chirurga jako nieoperacyjny, a godzinę później zmarł.

– Aha, no i co o tym sądzimy? – zapytała Lisa Mattei, kiedy Ingrid Dahl przekazała jej tę informację.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, to powiem: tym lepiej. I tak nie wytrzymałby procesu.

Godzinę później Lisa Mattei i jej trzech najbliższych współpracowników urządzili naradę wojenną w budynku pionu antyterrorystycznego. Lisa Lamm spytała, czy ktoś ma dobre wiadomości, bo jeśli nie, to może ich rozerwać nowinkami prawniczymi. Martinez co prawda miała dobre wiadomości, ale oferta Lamm była tak kusząca, że była gotowa zaczekać.

– Powiem teraz, to będziemy mieli z głowy – oznajmiła Lamm. – Postaram się streszczać. Zażądałam, żeby wszyscy zatrzymani trafili do aresztu z oskarżeniem o przygotowywanie ataku terrorystycznego. Ze względu na obowiązujące ramy czasowe należy to zrobić najpóźniej jutro o dwunastej.

– Dasz radę? – zapytał Carl Lewenhaupt. – Dowody przeciwko nim nie były przytłaczające.

– Jestem przekonana, że zostaną zaaresztowani. Powody są trzy. Po pierwsze, rozmaite okoliczności związane z tym, że Abbd Khalid nam uciekł i przebywa na wolności. Po drugie, kret, który sabotował dla niego naszą robotę. Po trzecie, członkowie rodziny są ze sobą mocno związani i ktoś może próbować pomóc Abbdowi. Jeśli chcecie, mogę to omówić szczegółowo.

– Jeśli o mnie chodzi, nie trzeba – odparła Martinez.

– W takim razie chętnie posłucham dobrych wiadomości – powiedziała Lisa

Lamm.

– Mam prawdziwy hit.

– Nie mogę się doczekać – oznajmił Lewenhaupt.

– Stenhård i ich koledzy dorwali tego sprzątacza ze Skavsty. Tego, którego zastępował nasz piłkarz, dopóki Abbdó nie przejął roboty i nie dokończył sprzątanía za niego. Dostali cynk i zatrzymali go w kwaterze w Nyköping. Wraz z kilkoma kolegami o podobnych poglądach siedział i popalał. Znalezione u nich prawie kilogram marihuany. Imprezę zorganizował sprzątaczn. Ledwo Stenhård zdążyli go zapuszkować, a już zaczął gadać. Wyśpiewał wszystko jak słowik.

– Co miał do powiedzenia? – spytała Mattei.

– Pograżył Avvego i Abbdá. Mówił, że dostał dwa tysiące funtów od Avvego, a Avve dostał kasę od Abbdá. Znaleźliśmy mniej więcej połowę pieniędzy. Trzymał je w kieszeniach swoich gównianych džinsów. I to w rulonie. Jak jakiś pieprzony raper. W takich samych starych banknotach pięćdziesięciofuntowych jak te, którymi siał dookoła ten stary pijus Kristiansson. Świętej pamięci zresztą. Tym sprzątacznem nie musimy się martwić. Na pewno nie przydarzy mu się żaden wylew krwi do mózgu. Z przyczyn anatomicznych.

– A nasza zakochana para? – spytał Lewenhaupt.

– Załatwieni – odparła Martinez. – Wczoraj wieczorem był u niej w domu. Kiedy nie bawili się w doktora, w najlepsze obrabiali mnie i Lisę.

– Mnie? – odparła Lisa Lamm z udawanym zdziwieniem.

– Nie – odparła Martinez. – Ona nigdy o tobie nie mówi. On obrabia naszą Lisę.

– Co ja takiego zrobiłam?

– Kompletnie ci odbiło. Masz manię prześladowczą. Zniszczyłaś życie całej rodzinie. Zupełnie niewinnym ludziom.

– A co on na to?

– Zgadza się. Spokojnie. Jutro na pewno się spotka z ministrem sprawiedliwości, a potem zostaniesz zwolniona.

– Ale mówisz, że mamy wystarczająco dużo materiału, żeby ich zatrzymać? – spytała Lisa Lamm.

– Żartujesz? Mogę pojechać po nich teraz, jeśli chcesz.

– To co robimy? – zapytała Lisa Lamm.

– Myślę, że powinniśmy zaczekać – odparła Martinez. – Palmgren nam raczej nie ucieknie. Poza tym jest całkiem spora szansa, że Abbdó się do niej odezwie. Wydaje mi się, że sytuacja się zagęszcza. Mam wrażenie, że Palmgren wykona ruch.

– Coś takiego powiedziała? – zapytał Lewenhaupt.

– Nie, ale wczoraj wynajęła samochód. Stoi zaparkowany przed jej domem.

– Ciekawe – oznajmiła Lisa Lamm. – Co ty na to? Pozwolisz, żeby cię jeszcze trochę poobrażała?

– Jestem przyzwyczajona – odparła Lisa Mattei. – Odkąd byłam małą dziewczynką, ludzie zawsze szeptali mi za plecami, że mam paranoję.

– No dobrze – zawyrokowała Lisa Lamm. – W takim razie zaczekamy jeszcze trochę.

Godzinę przed lunchem Lisa Mattei zadzwoniła do Heleny Palmgren, żeby przełożyć spotkanie. Są jakieś granice, pomyślała.

– Przykro mi, Heleno – powiedziała – ale muszę odwołać nasz lunch. Czeka mnie obowiązkowe spotkanie z naszą prokurator i jej szefem. Jutro ma zapaść decyzja w sprawie aresztu i niepokoju ich nasz materiał dowodowy.

– Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać – odparła Helena Palmgren. – Sama jestem trochę zaniepokojona tym samym.

– Z chęcią posłucham – zapewniła Mattei. – Naprawdę potrzebuję każdej możliwej dobrej rady.

*Surprise, surprise*, dodała w myślach.

– Tak – odparła Helena Palmgren i westchnęła. – Wiedz, że obracałam tę sprawę na wszystkie strony. Nic na to nie poradzę, ale myślę, że oni są niewinni. Niestety.

– Sama nie bardzo wiem, w co wierzyć – odparła Mattei.

– Powodzenia, Liso. Kiedy się z nimi spotkasz. Wiedz, że o tobie myślę.

– Wiem. Dzięki.

Resztę dnia Lisa Mattei poświęciła na zestawianie materiałów, które musiała mieć

przy sobie w czasie spotkania z ministrem sprawiedliwości. Chętnie by je sobie odpuściła, ale szef nie dał jej wyboru. Zadzwoiła do niego pod numer, którego nie użyła ani razu, odkąd dwa lata temu została szefową pionu operacyjnego Säpo.

– Lisa Mattei – przedstawiła się. – Mam nadzieję, że wszystko u ciebie dobrze?

– Tak, znakomicie – odparł minister sprawiedliwości. – Mam nadzieję, że ty też się dobrze czujesz. Kiedy czytałem gazetę, zrozumiałem, że mieliście dużo ciężkiej pracy przy Ingentigsgatan.

– Tak. To, co piszą w gazetach, nie martwi mnie ani trochę. Muszę się jednak z tobą spotkać i wyjaśnić, dlaczego przekaz medialny wygląda tak, a nie inaczej.

– Nie ty pierwsza mi to proponujesz – odparł minister sprawiedliwości. – Twój szef zadzwonił do mnie z tym samym życzeniem. On jednak był bardzo zaniepokojony.

– Już o tym wiem. Wiem, że ma się z tobą spotkać jutro o dwunastej w Harpsund, rezydencji premiera Szwecji, i że chce to zrobić beze mnie. Wiem nie dlatego, że mi powiedział. Nie będę go powstrzymywała, ale rzecz w tym, że muszę się z tobą spotkać przed nim. Wystarczy pół godziny wcześniej.

– Brzmi złowieszczo. Wolę się spotkać z tobą niż z twoim szefem. Odwołam spotkanie z nim.

– Niestety, tego też nie da się zrobić. Masz pod ręką jakąś bezpieczną linię?

– Tak się składa, że mam. Jestem w naszej ambasadzie w Brukseli. Mamy tu spotkanie unijne.

– W takim razie wyślę ci materiały. Są tylko do twojej wiadomości. Będziesz mógł je otworzyć prywatnym kodem.

– Już nie mogę się doczekać – odparł minister. – Oddzwonię, jak tylko przeczytam.

– To głównie zdjęcia – powiedziała Lisa Mattei.

Dwadzieścia minut później oddzwonił.

– Już przeczytałem. I obejrzałem zdjęcia. Powiedz, że to nieprawda.

– Przykro mi – odparła Mattei.

– No to spotkajmy się w Harpsund. Pojadę tam bezpośrednio. Będzie mała

nieoficjalna impreza. Takie tam „spędźmy miło czas przed nastaniem lata”, sama rozumiesz. Pomysł szefa. Mamy jeść śledzie, popijać coś mocniejszego, siedzieć w saunie, a dla chętnych są przewidziane podchody. Cały program. Dlatego muszę cię prosić o jedną rzecz.

– Co takiego?

– Żebyś go nie zgarnęła w środku imprezy.

– Obiecuję – odparła Mattei. – Mam od tego specjalny przycisk. Kiedy go naciskam, po prostu znikają. Nikt tego nie zauważa, a już najmniej sami zainteresowani.

– Z uwagi na to, czego ten facet się dopuścił, możesz nacisnąć dwa razy. Do zobaczenia jutro o dwunastej w urokliwej Sörmlandii.



**IX**

Środa 10 czerwca

**Wielkie uderzenie**

MATTEI I JEJ KIEROWCA wyjechali z garażu przy Ingentingsgatan tuż po dziesiątej w środę. Kiedy ponad godzinę później mijają Malmköping, Frank Motoele wchodził do ich kryjówki przy Inedalsgatan na Kungsholmen.

– Zadzwoiła dziś rano do pracy – powiedziała Kajsa Nilsson. – Czuła się trochę niewyraźnie. Powiedziała, że jeśli jej się poprawi, przyjdzie po lunchu.

– Teraz jest w łazience i pudruje nos – odparła Lina Jonsson. – Moim zdaniem zachowuje się jak zwykle.

Właśnie teraz coś się wydarzy, pomyślał Motoele. Czuł to, odkąd kilka godzin wcześniej wstał z łóżka.

– Ups – powiedziała Lina. – Cofam to, co powiedziałam o pudrowaniu nosa. Ubrała się. Ma na sobie białe trampki. Teraz wychodzi na korytarz i wkłada czarną kurtkę z kapturem.

– Okej – odparł Motoele i włączył mikrofon, który miał na nadgarstku. – Motoele do wszystkich. Obiekt właśnie wychodzi z mieszkania. Działamy zgodnie z planem. A wy zostajecie tutaj – dodał i skinął głową w kierunku Kajsy i Liny.

– *Yes, boss* – odparła Kajsa i skinęła głową.

– *Thank you very much, boss* – dołączyła do niej Lina.

Frank Motoele był sam w swoim czarnym bmw. Ponieważ się domyślił, dokąd zmierza Helena Palmgren, pojechał tam pierwszy i zaparkował w dyskretnej odległości.

– Sandra do Franka – odezwała się Sandra Kovac. – Chyba masz rację. Babka skręciła w prawo w Odengatan. Jedzie ulicą Valhallavägen w kierunku wschodnim.

– Dobrze – odparł Frank. – Zabezpieczyliśmy jej cel?

– Jak tylko wsiadła do samochodu. Zrobiła to ponad dwadzieścia minut temu.

– Dobrze – odparł Frank. – Wejdę i zaczekam. Wy róbcie, jak mówiłem.

Potwierdźcie, jak tylko będziecie wiedzieć.

Minutę później Kovac znów się odezwała.

– Właśnie zaparkowała auto. Teraz wysiada. Czarna kurtka z kapturem. Niebieskie dzinsy, trampki. Ma do przejścia ponad sto metrów. Wkłada kaptur. Prawdopodobnie za ponad minutę będziesz mógł powiedzieć jej cześć.

– Dobrze. Zabezpieczcie auto. Zajmijcie pozycje. Czekajcie na dalsze polecenia. Koniec, bez odbioru.

– Koniec, bez odbioru – potwierdziła Sandra Kovac.

Mattei przyjechała do Harpsund o umówionej porze. Pięć minut później siedziała w tak zwanym bezpiecznym pokoju, zbudowanym przez poprzedniego premiera w piwnicy głównego budynku. To było najlepsze miejsce nawet dla tych, którzy po prostu chcieli się wymienić tajnymi informacjami i nie obawiali się o swoje bezpieczeństwo. W pokoju były cztery osoby. Lisa Mattei, premier, minister sprawiedliwości i minister spraw wewnętrznych. Lisa już ich знаła.

Po zwyczajowych powitaniach usiedli przy jednym końcu długiego stołu konferencyjnego.

– Okej – powiedział minister sprawiedliwości. – Tak jak mówiłem, kiedy rano rozmawialiśmy przez telefon, przekazałem szefowi i koledze z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych informacje, które mi przysłałaś wczoraj wieczorem. Tylko w ogólnym zarysie, więc jeśli chcesz je omówić bardziej szczegółowo, możesz to zrobić, a my ewentualnie będziemy później zadawać pytania.

– Ile mam czasu? – spytała Mattei z przyjaznym uśmiechem.

– Zwyczajowy kwadrans – odparł minister sprawiedliwości i też się uśmiechnął.  
– W tym pokoju to dużo.

– Czuję się zaszczycona – odparła Lisa.

Opowiedziała im całą historię. Zdała sprawozdanie ze wszystkich ważnych wydarzeń, przedstawiła sytuację prawną i opowiedziała o głównej bohaterce. Zrobiła to, co było możliwe w piętnaście minut, nie opuszczając niczego, co musieli wiedzieć.

– To by było wszystko – zakończyła. – Jeśli ktoś ma pytania, chętnie odpowiem.

– Co za cholerna historia – odezwał się premier i westchnął. – Zastanawia mnie ta Palmgren. Czy można przypuszczać, że już wcześniej wywijała takie numery?

– Nie u nas – odparła Mattei. – U nas zaczęła pracować dopiero kilka miesięcy temu, ale kiedy się przyglądaliśmy jej wcześniejszym sprawom, nic nas nie zaniepokoiło. Śledztwo wykaże, co robiła, zanim trafiła do Säpo. Przez ostatnie pięć lat przed przejściem do nas pracowała w Must.

– Tak, to musiało być dobre miejsce dla kogoś takiego – prychnął premier. – To jakiś odpowiednik Maty Hari?

– Nie, raczej Cyceron w spódnicy – odparła Mattei.

– Cyceron – odezwał się premier.

– Cyceron – powtórzył minister spraw wewnętrznych.

– Ty czy ja, Liso? – zapytał minister sprawiedliwości.

– Ty opowiedz – odparła Lisa Mattei.

– Cyceron to szpieg nazistowskich Niemiec w czasie drugiej wojny światowej. Był Albańczykiem, nazywał się Elyas Bazna i pracował jako służący angielskiego ambasadora w Ankarze. Ambasador niespecjalnie pilnował tajnych papierów, ale nie miał żadnych przestępczych planów – powiedział minister sprawiedliwości, którego wykształcenie historyczne było znane nawet poza jego macierzystą partią.

– Inna rzecz, nad którą się zastanawiam, to pytanie, czy mamy kogoś, kto by wiedział, gdzie się podziewa nasz nieszczęsny Khalid – oznajmił premier.

– Nie – odparła Mattei. – Szukamy go. Palmgren nadal jest na wolności, bo mamy nadzieję, że się ze sobą skontaktują i znajdziemy go tą drogą. A mojego szefa nie zatrzymaliśmy, żeby jej nie ostrzegł – wyjaśniła.

– Przepraszam – powiedział premier i wyjął z kieszeni telefon. – To moja sekretarka. Prosiłem, żeby zadzwoniła – dodał teatralnym szeptem. – Tak, słucham – odezwał się do słuchawki, przełączył rozmowę na głośnik i mrugnął do zebranych.

– Chciałam tylko powiedzieć, że jest tu szef Säpo. Mam z nim zejść?

– Nie – odparł premier. – Jeszcze nie skończyliśmy. Daj mu coś do picia i powiedz, żeby pogadał z innymi. Zadzwoń, jak tylko skończymy.

– Tak zrobimy – potwierdziła sekretarka.

– O wilku mowa – westchnął premier. – Jeżeli kogoś nie chciałbym teraz spotkać, to właśnie jego. Jak to załatwimy?

– Obecna tu Lisa obiecała, że się tym zajmie – odparł minister sprawiedliwości. – Ma takie praktyczne urządzenie podłączone do telefonu. Jeżeli kogoś wskaże i naciśnie przycisk, ten ktoś po prostu znika. Prosiłem, żeby zrobiła to jeszcze raz, dla nas.

– Miło słyszeć – stwierdził premier. – W takim razie mam tylko jedno pytanie. Macie pojęcie, co może wykombinować Khalid, skoro akcja w Skansenie, której najwyraźniej udało nam się zapobiec, nie doszła do skutku?

– Nie – odparła Mattei.

I jak tylko to powiedziała, nie tylko ona, ale i wszyscy inni zebrani zorientowali się, co takiego wymyślił Abdo Khalid.

ABBDO KHALID załatwił sobie dostęp do Harpsund w taki sam sposób, jak zrobiliby to major Björklund. Po prostu przyjechał.

Jak tylko strażnik zobaczył żółtą ładowarkę, wyszedł na drogę i podniósł rękę, dając znak kierowcy, żeby się zatrzymał. Widok pojazdu go nie zaniepokoił – to była codzienność na wsi, nawet w większych gospodarstwach takich jak Harpsund.

Zamiast się zastosować do polecenia, kierowca opuścił łyżkę i wcisnął gaz do dechy. Sforsował wszystko – betonowe zapory, które przewróciły się na boki, i szlaban, który się złamał. Strażnik spadł z krzesła, kiedy łyżka uderzyła w róg cementowej podstawy i cała budka się przekrzywiła. Jego kolega, który próbował zatrzymać ładowarkę, rzucił się do rowu, w jego ślady poszli też dwaj żołnierze z wojskowych służb specjalnych.

Żołnierz, który odpowiadał za przeciwpancerny pocisk kierowany Bill, szybko się wygramolił, klęknął na kolana, wycelował i wystrzelił, choć żółta ładowarka była już na dziedzińcu przed głównym budynkiem. W chwili kiedy wystrzelił pocisk, ładowarka zrobiła obrót o dziewięćdziesiąt stopni, bo Abbdo zobaczył wszystkich ludzi przed budynkiem. Niektórzy patrzyli zdziwieni, ale inni nawet nie zwracali na niego uwagi. Abbdo skierował łyżkę w miejsce, w którym stało najwięcej ludzi, a sekundę później zdetonował umieszczony na niej ładunek z ponad dwustoma kilogramami dynamitu. Co się stało później, nie wiedział, bo już znajdował się w rajku.

Pocisk przeciwpancerny Bill szwedzkiej produkcji dziewiętnaście razy na dwadzieścia trafiał do celu. Tym razem nie trafił i jak zwykle w takich przypadkach była to wina strzelca, a nie pocisku. Żołnierz po prostu nie zdążył zareagować, kiedy ładowarka skręciła. Bill minął cel, doleciał aż do pomostu na jeziorze, trafił słynną płaskodenną łódź z Harpsund i w jedną setną sekundy zamienił ją w górę spalonych

wiórów.

NAJPIERW USŁYSZAŁA daleki, ledwo słyszalny trzask. Potem pokój, w którym siedzieli, się poruszył, jakby olbrzym wziął go do ręki i potrząsnął. Jeden raz, nie więcej. Wystarczająco jednak, żeby biały tynk na suficie pękł i kilka odłamków wielkości płatków śniegu spadło na stół, przy którym siedzieli. Na końcu rozległ się głuchy huk, od którego zatkały jej się uszy.

– Na ziemię, na ziemię, pod stół! – wrzasnęła Lisa Mattei i wskazała kierunek lewą dłonią.

Jednocześnie wyciągnęła służbowy pistolet, szybko przemknęła przy ścianie i ustawiła się w rogu przy drzwiach. Potem wyjęła komórkę i jak tylko zobaczyła, że ma połączenie, wszczęła najbardziej dramatyczny alarm w historii szwedzkiej policji.

– Po prostu leżcie – zwróciła się do premiera i jego dwóch kolegów. – Leżcie, dopóki nie powiem, że już jest w porządku.

Wreszcie ktoś robi to, co mówię, pomyślała.

Odczekała jeszcze kilka minut i ostrożnie otworzyła drzwi. Najpierw zobaczyła błękitne niebo i słońce. Doszła do wniosku, że połowa budynku musi być wysadzona w powietrze. Dopiero wtedy zaczęła myśleć o Elli, Helenie Palmgren i o taktyce, którą ich przeciwnik zastosował, żeby zrobić krzywdę takim ludziom jak ona.

Ella, pomyślała i wybrała zaprogramowany numer, który dał jej Frank Motoele, kiedy wywiózł ją na wieś i zaproponował, żeby miała u swojego boku wojownika.

Fragmentaryczne wspomnienia, pokój, który zaczyna się chwiać. Nie dlatego, że podłoga się ruszała, tylko dlatego, że sama nie mogła ustać na nogach.

– Ella! – wykrzyczyła do słuchawki.

– Spokojnie, szefowo – odparł Frank Motoele. – Jest w Gärdet i kopie piłkę



z moimi kolegami.

– Palmgren – powiedziała Mattei. – Złapaliście ją?

Już spokojnie, spokojnie, pomyślała i oparła się o ścianę, przy której stała.

– Nie żyje – oznajmił Motoele.

– Nie żyje – powtórzyła Mattei. – Jak to się stało?

– Spokojnie – odparł Motoele. – Właśnie ją zastrzeliłem.

KIEDY HELENA PALMGREN weszła do przedszkola Elli, Frank Motoele już na nią czekał. Jego koledzy zabrali w bezpieczne miejsce Ellę, inne dzieci i przedszkolanki, jak tylko Helena Palmgren wyszła z mieszkania na Kungsholmen. Motoele powiedział kolegom, żeby się trzymali w odpowiedniej odległości i pozwolili jej wejść do środka. To, co pozostawało do zrobienia, zamierzał zrobić sam.

Helena Palmgren miała kaptur na głowie. Zaraz po wejściu przystanąła i wyjęła z kieszeni pistolet. Jej prywatny, pomyślał Frank Motoele. Był tej samej marki i modelu co sig sauer, którego sam trzymał w dłoni.

– Mogę ci w czymś pomóc, Heleno? – zapytał.

Tak jak wszyscy inni, którzy byli jak ona, a nie byli jak on, o wiele za bardzo się śpieszyła. Obróciła się i wystrzeliła w kierunku, z którego dobiegał głos. Minęła głowę Motoelego o co najmniej pół metra.

Frank zrobił to, co zwykle. Najpierw strzelił jej w prawy bark, ani przez chwilę nie myśląc, że Palmgren może zdążyć wystrzelić jeszcze raz, zanim upuści broń na ziemię. Czasu miał pod dostatkiem. Dobrze wycelował i przestrzelił jej lewy bark. Sekundę przed tym, jak wsunęła dłoń do lewej kieszeni.

Helena Palmgren upadła na kolana, z szeroko rozstawionymi nogami i luźno zwisającymi rękoma. Jej tułów się chwiało. Frank Motoele doszedł do wniosku, że czas już wszystko zakończyć.

– Mam dla ciebie niespodziankę – oznajmił.

Helena Palmgren wydawała się go nie słuchać. Patrzyła na niego pustym wzrokiem i się nie odzywała.

W międzyczasie Frank Motoele zmierzył odległość między jej oczami, a potem linią włosów i nasadą nosa. Narysował w głowie krzyż i strzelił jej w środek czoła.

Helena Palmgren bezładnie poleciała do przodu, ze zwieszonymi luźno rękoma

i podrygującymi nogami. Z jej głowy tryskała krew.

– Witaj w raju, Heleno – powiedział Frank Motoele, zabezpieczył broń i schował do kabury na prawym biodrze.

X

**Lato po polowaniu na Bombera i jego kobietę**

LATO PO POLOWANIU na Bombera i jego kobietę wielu z nich poświęciło na sprzątanie po wszystkim, co się wydarzyło. Smutek miał to do siebie. Osiadał w głowie. Przejmował świadomość, codzienność i powodował ból serca. Ale wszystkie praktyczne sprawy zostawiał na swoim miejscu. Spodziewał się, że człowiek będzie robił wszystko to, o czym nie potrafił nawet myśleć.

Co dziwne, tym razem najlepiej poradzili sobie ci, którzy mieli najwięcej powodów do żałoby. Politycy, którzy ucierpieli zarówno jako ludzie, jak i jako reprezentanci smutku wszystkich obywateli. To oni najszybciej doszli do siebie, nawet jeśli musieli zostawić trochę brudu w kątach i zakamarkach.

Już dzień po „wielkim wybuchu w Harpsund”, jak szybko ochrzczono to zdarzenie w mediach społecznościowych, choć ze względu na ludzi pogrążonych w żałobie można było sobie wyobrazić bardziej empatyczną nazwę, rzecznik rządu skontaktował się z premierem. Zaproponował, żeby rozważyć stworzenie rządu jedności narodowej. Modelu politycznego, który zastosowano prawie osiemdziesiąt lat wcześniej, kiedy za granicami kraju szalała wojna. Oczywiście wówczas sytuacja była inna – obiektywnie rzecz biorąc, znacznie poważniejsza niż ta, w której się teraz znaleźli – ale jako wiadomość od Szwecji dla świata i tak by się to sprawdziło. Wojna też zmieniła oblicze. Może właśnie w obliczu takiego konfliktu powinni się zjednoczyć.

Premier podziękował rzecznikowi za radę, ale wraz z kolegami z rządu przystał na inne rozwiązanie. Postanowiono zerwać koalicję z Partią Zielonych i poszukać innego partnera. Przekonania polityczne postanowiono na razie odłożyć na bok. Teraz należało się postarać o to, żeby Szwecja funkcjonowała w najprostszym praktycznym sensie. Dopiero po uporaniu się z tą kwestią przyjdzie czas na powrót do ideologii.

Działanie w rządzie koalicyjnym nie było łatwym zadaniem. Zwłaszcza

w sytuacji, kiedy partie spoza koalicji w ważnych kwestiach politycznych były bliższe danej partii niż ta, z którą postanowiła ona rządzić. Poza tym premier i jego partia nie zamierzali znowu pozostawać w mniejszości.

Całą resztę premier określił mianem prostej matematyki politycznej. Razem z moderatami reprezentował pięćdziesiąt dwa procent wyborców. W aktualnej sytuacji ich partner koalicyjny był oczywisty. Rozmowy już rozpoczęto, wszyscy zdawali sobie sprawę z powagi sytuacji, panowała pozytywna atmosfera i przekonanie, że akurat ten problem uda się wkrótce rozwiązać.

I tak też się stało. Już tydzień później Szwecja miała nowy, większościowy rząd. Jego premier przeżył tragedię, która dotknęła tak wiele osób z jego otoczenia. Najważniejszym punktem programu było dopilnowanie, żeby to się już więcej nie powtórzyło.

Premier osobiście zamówił nową płaskodenną łódź dla Harpsund u lokalnego cieśli. Została dostarczona już w sierpniu i kiedy premier usiadł przy wiosłach, żeby opróżnić pierwsze klatki do łowienia krewetek, z każdym machnięciem czuł, że Szwecja znów się podnosi.

Kiedy rzeczy, które nie miały prawa się wydarzyć, mimo wszystko się działy, sprzątanie było zadaniem aktualnego aparatu prawnego. Najbardziej intensywnie sprzątano w Säpo, a jako pierwszy został wymieciony przeciwnik, który w prostym sensie prawnym był winien temu, co się stało.

Stara zasada mówiąca o tym, jak łatwo jest coś znaleźć, kiedy się wie, czego szukać, po raz kolejny znalazła potwierdzenie. Bomber Abdo Khalid nie żył. Oddał życie za swoje przekonania, wierząc, że uda mu się zmieścić szwedzki rząd z powierzchni ziemi. Nie żyła także kobieta, która najbardziej mu pomagała. Jedna z wielu, które mu pomagały, choć nie była jego kobietą w takim sensie, jak w określeniu „Bomber i jego kobieta”, używanym przez jego przeciwników. Teraz należało się zająć tymi, którzy przeżyli.

Jesienią Lisa Lamm i jej współpracownicy oskarżyli w sumie piętnaście osób o udział w zamachu w Harpsund. Wszyscy zostali później skazani na kary

pozbawienia wolności od roku po dożywocie. Ojciec Abbda Khalida, Mohammed Khalid Hussein, i jego stary przyjaciel Abdul Karim dostali dożywocie. Trzech synów, jedna córka i trzecia żona otrzymali kary od roku do dziesięciu lat pozbawienia wolności, a bratanek miał spędzić w więzieniu dwa lata i sześć miesięcy.

Siedmiu pozostałych, skazanych na kary od roku do dziesięciu lat, nie należało do rodziny Khalidów.

Policja bezpieczeństwa także poważnie ucierpiała. Szef Säpo i jego ochroniarz zginęli w zamachu.

Historia o pracującym tam krecie została upubliczniona, z dwoma wyjątkami. Po pierwsze, nie wspomniano o jego współpracy z zamordowanym dyrektorem generalnym. Tę informację nie tylko przemilczano, ale na wszelki wypadek objęto klauzulą tajności na następne siedemdziesiąt pięć lat.

Drugim wyjątkiem było oświadczenie, które Helena Palmgren umieściła na swoim komputerze i które miało zostać automatycznie wysłane o godzinie pierwszej w dniu zamachu. Występowała tam w tradycyjnej chuście jako przedstawicielka Asz-Szababu w Szwecji.

Opowiadała o dwóch akcjach, które miały zostać przeprowadzone wcześniej tego samego dnia. Tylko część, w której brała na siebie winę za zamach w Harpsund, została upubliczniona. Reszta, ze względu na bezpieczeństwo państwa, została objęta klauzulą tajności na siedemdziesiąt pięć lat, a sama wiadomość nigdy nie trafiła do nikogo oprócz informatyków FRA, pracujących w budynku przy Ingentingsgatan.

Byli jeszcze członkowie ekipy śledczej i to, co zostało im w głowach. Wspomnienia i doświadczenia, z którymi musieli żyć już do końca.

Zdruzgotany Jan Wiklander natychmiast poszedł na zwolnienie lekarskie i złożył pisemny wniosek o odejście ze służby po zakończeniu wewnętrznego śledztwa.

Lisa Mattei nie poszła na zwolnienie. Poprosiła za to o przydzielenie jej innych obowiązków na czas śledztwa. Zamierzała zrezygnować z pracy w Säpo. Nie zastanawiała się jeszcze nad tym, co będzie robiła potem.

Rząd odrzucił jej wniosek i zaproponował, żeby została w Säpo jako tymczasowa dyrektor generalna, dopóki śledczy nie zakończą pracy. Próbowano ją przekonać trzy razy, aż w końcu ustąpiła. Była gotowa pozostać w policji na jakiś czas, pod warunkiem, że jako dyrektor generalna będzie miała pełny wgląd w działalność operacyjną. Minister sprawiedliwości nie miał nic przeciwko temu. Oznajmił, że osobiście dopilnuje tego szczegółu. Zaś co do wyniku toczącego się śledztwa, o jej los nie martwił się ani trochę.

Zaraz po jego zakończeniu zamierzał się do niej zwrócić z bardziej długoterminową propozycją. Tak jak wielu kolegów z rządu, uważał, że już najwyższy czas na pierwszego szefa kobietę w Säpo. Kto zaś bardziej się nadawał do tego zadania niż ona, która naprawdę wiedziała, czym to się je? Więcej nie musiał chyba mówić.

W mediach uporano się ze sprawą tak jak zwykle. Najpierw podsumowano straty w ludziach. W sumie dwudziestu zabitych, mniej więcej drugie tyle mniej lub bardziej poważnie rannych – względnie niewielu, jeśli porównać to z wcześniejszymi atakami terrorystycznymi.

Jednak jako zamach polityczny wymierzony w demokrację ten był znacznie gorszy. Środa dziesiątego czerwca stała się szwedzkim jedenastym września. Ośmiu z dwudziestu zabitych było członkami rządu, a wyjątkowo mocno ucierpiała Partia Zielonych. Pięciu z sześciu jej przedstawicieli w rządzie poniosło śmierć. Przeżyła tylko minister kultury – akurat była w Eksjö, gdzie inaugurowała konferencję na temat smålandzkiego rękodzieła – jej wielkiej pasji. Socjaldemokraci mieli znacznie więcej szczęścia. Z osiemnastu posłów – z czego połowa była na miejscu – zginęło trzech, przy czym żaden z nich nie pełnił ważniejszej funkcji w rządzie.

Poza nimi było jeszcze dwanaście ofiar. Osiem z nich pracowało w kancelarii rządu. Oprócz nich zginęli dyrektor generalny policji bezpieczeństwa, ochroniarz Säpo i dwaj pracownicy rezydencji premiera.

Do opowiedzenia pozostało jeszcze kilka innych historii. Począwszy od „Rękodzieło uratowało jej życie” po „Jak Abbdo Khalid zniknął w męskiej toalecie na lotnisku



Skavsta”. I inne, które wielu wolało zapewne przemilczeć.

WE WTOREK, który wypadł po święcie Midsommar, Alexander zadzwonił do Lisy Mattei z informacją, że następnego dnia przyjedzie do Sztokholmu. Zapytał, czy może ją zaprosić na kolację w brytyjskiej ambasadzie. W końcu było wiele kwestii, które prędzej czy później musieli omówić.

Lisa Mattei przystała na propozycję. Nie dlatego, że została sama w mieście, odkąd Johan i Ella pojechali do Niemiec na spotkanie z jej ojcem i innymi niemieckimi krewnymi, ale dlatego, że pewne sprawy naprawdę musieli omówić.

Najpierw rozmawiali o Louise Urqhart, którą Abbdo Khalid z pewnością uważał za swoją kobietę. Rozmowę zaczął Alexander, jak tylko usiedli i dostali po kieliszku szampana.

Kiedy tylko pokazał Lisie Mattei pierwsze zdjęcie, zrozumiał, że nigdy wcześniej nie poznała Louise Urqhart ani nawet nie wiedziała o jej istnieniu. Tak się praktycznie składało, że niewinność miała swoje charakterystyczne oblicze, które potrafił rozpoznać.

Sprawa Louise Urqhart wyglądała inaczej. Lisa Mattei zauważyła coś, co uszło uwadze Alexandra, i pochlebiało jej to w takim samym stopniu, w jakim dręczyło jego.

Wszystkie czysto zawodowe komplementy dla Mattei postanowił sobie darować. Nie miał pojęcia o Old Trafford, dopóki to się nie stało. Gdyby wiedział, oczywiście udaremniłby tę akcję. Istniały granice, których nawet ktoś taki jak on nie przekraczał, mimo że wybrał sobie takie, a nie inne życie.

– Oczywiście ją pytałem – oznajmił. – Kategorycznie zaprzeczyła. Już wkrótce wiedziałem, że mnie oszukała. Ale wtedy było za późno, poza tym miała inne zadanie do wykonania. Jak z pewnością się zorientowałaś.

– Zrobiła to, żeby zwiększyć swoją wiarygodność u Abbda Khalida – odparła

Mattei.

– Tak, i dlatego umieścił ją w domu w Buuloburde. Było to najbezpieczniejsze miejsce, jakie potrafił sobie wyobrazić. Mógł robić swoje, zanim się ponownie spotkają. Była w tym samym domu, w którym przebywali szefowie Asz-Szababu i ich rodziny. Dobrzy przyjaciele i krewni jego ojca Mohammeda, przywódcy klanu. Tej nocy, kiedy zaatakowaliśmy, kierownictwo Asz-Szababu miało się spotkać z sojusznikami z Boko Haram, Państwa Islamskiego i Al-Kaidy. Taką informację przekazała nam Urqhart. W noc naszego ataku dała nam zielone światło.

– Co z nią? Żyje?

– Nie – odparł Alexander. – Zginęła podczas ataku. Uzgodniliśmy, że damy jej co najmniej dwie godziny, zanim zaatakujemy Buuloburde, ale musiało się wydarzyć coś, co sprawiło, że nie dotarła w bezpieczne miejsce. Nie mogło to być nic, co zwróciło uwagę jej gospodarzy, oni bowiem byli w domu. Nic więcej nie wiemy. Jesteśmy za to pewni, że zginęła.

Mattei poprzestała na skinieniu głową. Pewnie podałeś jej niewłaściwą godzinę, pomyślała. W podziękowaniu za to, co się wydarzyło pod Teatrem Snów.

– Rządy Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii przyznają jej bardzo wysokie wyróżnienie. Oczywiście tajne – dodał i jak zwykle się uśmiechnął.

– Tęsknisz za nią? – spytała Mattei.

– Nie – odparł Alexander. – Urqhart miała zbyt wielu zleceniodawców jak na mój prosty gust. Trudno wykonywać swoje obowiązki, kiedy nie można liczyć na współpracowników.

– Tak – zgodziła się Mattei. – Pierwsza jestem gotowa się z tym zgodzić.

– Ale mimo wszystko ją znalazłaś. Drugiego kreta w długiej historii szwedzkiej policji bezpieczeństwa.

– Choć, niestety, stanowczo za późno – odparła Mattei.

– Takie rzeczy zdarzają się nam wszystkim, na okrągło – odparł i uniósł kieliszek. – Może byśmy tak coś zjedli? – dodał i skinął głową w stronę dyskretnego kelnera, który właśnie pojawił się w drzwiach sąsiadującej z ich pokojem jadalni.

Potem zjedli kolację. Naprawdę wyśmienitą. Gospodarz był wykształcony

i utalentowany, a rozmawiali o wszystkim oprócz pracy.

Ostatniego dnia przed urlopem, kiedy Lisa Mattei szła do garażu, zatrzymał ją portier. Okazało się, że właśnie dostała list, który miał zostać doręczony jej osobiście.

Przekazał go wiceattaché wojskowy z ambasady brytyjskiej w Sztokholmie, który jednocześnie był ich łącznikiem ze szwedzką policją bezpieczeństwa. Nie zwiastowało to problemów, ale sytuacja na świecie była taka, że na wszelki wypadek sprawdzono list pod kątem obecności materiałów wybuchowych. Tu również nie było problemu – co w najprostszym wymiarze oznaczało, że przynajmniej stosunki Szwecji z Wielką Brytanią w dalszym ciągu pozostawały dobre.

Mattei usiadła na tylnym siedzeniu i dopiero kiedy wyjechali z budynku i skręcili na drogę prowadzącą do centrum, otworzyła grubą kopertę. W środku nie było listu ani żadnego tekstu. Tylko krawat, który mógł być uznany za wiadomość otwartą na różne interpretacje.

Zwykły prezent? Pamiątka? Wezwanie? Wyciągnięta dłoń? Pewnie coś innego, pomyślała Lisa Mattei. Zaproszenie do wspólnoty, w której obowiązywały tak szczególne warunki, że była otwarta tylko dla nielicznych i wykluczała całą resztę.

W tej samej chwili podjęła decyzję. Nie zamierzała nigdy więcej przekroczyć progu budynku przy Ingentingsgatan.

Spojrzała na jedwabny krawat z kunsztownie wyhaftowaną łacińską sentencją, którą już teraz rozumiała. Z pewnością bardzo drogi, zwłaszcza ten konkretny, który zarazem przekazywał wiadomość.

*Różowe słonie wędrujące po niebieskiej sawannie.*